

**Aleksander Dumas**

**W 20 lat później**

**Część I**

Przełożył Stefan Flukowski

Tytuł oryginału francuskiego: *Vingt Ans Apres*

Opracowanie graficzne Janusza Wysockiego

Redaktor Elżbieta Kwaśniewska

Redaktor techniczny Anna Kwaśniewska

Korektor Grażyna Henel

ISBN 83-207-1207-6

For the Polish edition © copyright by Państwowe Wydawnictwo "Iskry",

Warszawa 1957

# 1. Widmo kardynała de Richelieu

W jednej z komnat znanego nam już Pałacu Kardynalskiego, przy połączonym na rogach stole, zarzuconym papierami i książkami, siedział mężczyzna z głową wspartą na dłoniach.

Za jego plecami znajdował się duży, rozpalony do czerwoności kominek, gdzie płonące głównie rozsypywały się na szerokich, połączonych rusztach. Blask ognia oświetlał z tyłu wspaniały ubiór owego marzyciela, z przodu zaś padało nań światło licznych świec kandelabra.

Patrząc na tę długą, czerwoną szatę i bogate koronki, na to blade czoło schylone pod brzemieniem rozmyślań, na pustkę gabinetu, wsłuchując się w milczenie zalegające przedpokoje i w miarowy krok straży na korytarzu, można by sądzić, że w komnacie tej przebywa jeszcze cień kardynała de Richelieu.

Niestety! Był to istotnie tylko cień wielkiego człowieka. Francja osłabiona, powaga króla zapoznana, magnaci znów silni i niesforni, wróg z powrotem w granicach państwa — wszystko to świadczyło, że nie masz tu już kardynała de Richelieu.

Ale co jeszcze dobitniej wskazywało, że ta czerwona szata nie należy do starego kardynała, to owo odosobnienie, przywodzące raczej, jak to już mówiliśmy, myśl o widmie aniżeli o żywym człowieku; świadczyły o tym owe korytarze opuszczone przez dworzan, owe podwórce pełne straży; świadczyły nastrój drwiny i szyderstwa, co wdzierał się tu z ulicy przez szyby komnaty, wstrząsanej tchnieniem całego miasta sprzymierzonego przeciw ministrowi; świadczyły wreszcie dalekie, coraz to powtarzające się odgłosy wystrzałów, oddawanych na szczęście bez celu i bez skutku, jedynie po to, by dać poznać strażom, szwajcarom, muszkietierom i żołnierzom otaczającym Palais-Royal — gdyż sam Pałac Kardynalski zmienił był swą nazwę — że lud również posiada

broń.

Owym cieniem kardynała Richelieu był Mazarini.

Owoż Mazarini był sam i czuł swoją słabość.

— Cudzoziemiec! — mruczał. — Włoch! To największa ich obelga!

Słowem tym zamordowali, powiesili i pozarli Conciniego<sup>1</sup> i niechbym im tylko popuścił, zamordowaliby, powiesili i pozarli mnie tak samo, choć nie zrobiłem im nic złego, co najwyżej trochę ich cisnąłem. Głupcy! Nie czują, że wrogiem ich nie ów Włoch, mówiący źle po francusku, lecz raczej ci, którzy z takim talentem prawią im piękne słówka czystym, doskonałym akcentem paryskim.

— Tak, tak — ciągnął dalej minister z przebiegłym uśmiechem, który w tej chwili wydawał się raczej dziwny na jego bladych wargach — tak, wasze wrzaski mówią mi, że los faworytów jest niepewny. Jeśli jednak wiecie o tym, to musicie również wiedzieć, że ja nie jestem zwykłym faworytem! Hrabia Essex<sup>2</sup> posiadał wspaniały pierścień wysadzany brylantami, który mu ofiarowała jego królewska kochanka; ja zaś mam tylko skromną obrączkę z cyfrą i datą<sup>3</sup>, tylko że obrączkę tę pobłogosławiono w kaplicy Palais-Royal. Mimo gorących życzeń nie uda się im mnie złamać. Nie dostrzegają, iż kiedy krzyczą bez końca “Precz z Mazarinim!”, dopuszczam, że wiwatują na cześć bądź diuka de Beaufort, bądź Księcia Pana<sup>4</sup>, bądź parlamentu. No i co!... Diuk de Beaufort siedzi w Vincennes, Książę Pan prędzej czy później dołączy do niego, a parlament...

Tu w uśmiechu kardynała zarysował się wyraz takiej nienawiści, do jakiej jego łagodna twarz zdawała się być niezdolna.

— Tak, parlament... Zobacz się, co z nim zrobimy; mamy Orleanów i

---

1 Concino Concini (marszałek d'Ancre) — Włoch z pochodzenia, faktycznie rządził Francją po śmierci Henryka IV. Znienawidzony przez wszystkich, został zamordowany w spisku dworskim (1617), ciało zaś jego lud włóczył po ulicach miasta.

2 Hrabia Essex — mowa o noszącym ten tytuł hr. Robercie Devereux (1567—1601), faworycie królowej Elżbiety.

3 Wiadomo, że Mazarini, nie otrzymawszy żadnych święceń, które stałyby na przeszkodzie małżeństwu, poślubił Annę Austriaczkę.

4 Książę Pan — tytuł nadawany we Francji najstarszemu członkowi rodziny królewskiej w linii męskiej. Tu chodzi o ks. Gastona Orleańskiego.

Montargisów. Poświęcę temu trochę czasu, ale ci, co zaczęli krzyżeć: “Precz z Mazarinim”, skończą na okrzykach: “Precz z nimi wszystkimi, z każdym z nich”. Richelieu, którego nienawidzili za życia, a o którym od czasu śmierci mówią bezustannie, znajdował się w sytuacji o wiele trudniejszej niż moja; był bowiem po wielekroć wypędzany, a jeszcze częściej żył w obawie, że go wygnają. Mnie królowa nie wypędzi nigdy, a jeśli pospólstwo zmusi mnie do ustąpienia, i ona ustąpi wraz ze mną. Jeżelibym uciekł, ucieknie i ona, a wówczas zobaczymy, co ci buntownicy zrobią bez królowej i króla. Och, gdybym nie był cudzoziemcem, gdybym był Francuzem, gdybym był szlachcicem!

I na nowo pogrążył się w zadumie.

Istotnie, położenie było trudne, a w ciągu minionego dnia skomplikowało się jeszcze bardziej. Mazarini, powodowany potwornym skapstwem, uciskał lud podatkami, lud zaś, któremu wedle słów generalnego adwokata Talona nie pozostało nic prócz duszy, i to tylko dlatego, że duszy nie można było sprzedać na licytacji, lud, który wrzawą wokół odniesionych zwycięstw usiłował nakłonić do cierpliwości, był zdania, że laury wojenne to nie mięso, którym można by się pożywić, i zaczął szemrać już od dłuższego czasu.

Lecz na tym nie koniec. Bo gdy szemrze tylko lud, odgradzony przez mieszczaństwo i szlachtę od dworu, głos jego wcale tam nie dociera. Ale Mazarini był na tyle nierozważny, że porwał się na wyższych urzędników! Sprzedał był dwanaście nowych dyplomów sędziów Izby Kasacyjnej. Ponieważ urzędnicy płacili za swe urzędy bardzo drogo, a powiększenie dotychczasowej liczby sędziów o dwunastu nowych musiało obniżyć ich dochody, więc sprzymierzyli się i zaprzysięgli na Ewangelię nie dopuścić do powiększenia ich liczby i stawić czoło wszelkim prześladowaniom dworu. Przyrzekli też sobie nawzajem, że na wypadek, gdyby któryś spośród nich postradał skutkiem tej rebelii swój urząd, wszyscy pozostali złożą się celem spłacenia należnej mu ceny urzędu.

A oto jak potoczyły się wypadki.

Siódmego stycznia, siedmiuset czy ośmiuset zgromadzonych kupców paryskich zbuntowało się przeciwko nowemu podatkowi, jaki chciano nałożyć na właścicieli domów. Wydelegowali spośród siebie dziesięciu, którzy w ich imieniu mieli przedłożyć całą sprawę księciu Orleańskiemu, stawiającemu swym dawnym zwyczajem na popularność. Księżę przyjął ich, oni zaś oświadczyli, że nie będą płacić nowego podatku, choćby nawet byli zmuszeni z bronią w rękę stanąć do walki przeciw ściągającym go ludziom królewskim. Księżę Orleański wysłuchał ich wielce łaskawie, darząc nadzieją pewnych ulg, przyrzekł porozmawiać o tym z królową i królem, po czym odprawił z przysłowiowym książęcym słówkiem: “Zobaczmy”.

A znowu sędziowie Izby Kasacyjnej przyszli dziewiątego stycznia do kardynała i jeden z nich, zabierający głos w imieniu wszystkich, przemawiał tak śmiało i zuchwale, że wprowadził kardynała w zdumienie. Podobnie jak księżę Orleański kupców, tak i kardynał sędziów odprawił słówkiem: “Zobaczmy”.

Ażeby zobaczyć, zwołano radę i posłano po generalnego intendenta finansów, pana d'Emery.

Ów d'Emery był wielce zniechęcony przez lud, po pierwsze dlatego, że zazwyczaj wszyscy intendentzi finansów bywają z reguły nienawidzeni, a następnie, trzeba to przyznać, po trosze zasłużył sobie na to. Był on synem bankiera z Lyonu, który zwał się Parficelli; w następstwie bankructwa zmienił nazwisko na d'Emery. Kardynał de Richelieu, widząc w nim wielki talent w zakresie finansów, zaprezentował go królowi Ludwikowi XIII pod nazwiskiem d'Emery, a pragnąc uzyskać dlań nominację intendenta finansów, bardzo go wychwalał.

“Świetnie! — rzekł król. — Jestem wielce uradowany, że na to stanowisko, wymagające uczciwego człowieka, proponujesz mi pana d'Emery. Mówiono mi, że popierasz tego oszusta Particellego, i bałem się, byś nie nalegał na jego nominację”. “Sire — odparł kardynał — niech wasza królewska mość będzie

spokojny, ów Particelli, o którym mowa, został powieszony”. “A to doskonale! — wykrzyknął król. — Nie bez kozery przecież nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym!”

I... podpisał nominację pana d'Emery.

Był to ten sam d'Emery, który został naczelnym intendentem finansów.

Posłano po niego. Przybiegł blady i wystraszony, opowiadając, że o mało co nie zamordowano mu dziś na placu du Palais syna: tłum, spotkawszy go, jął mu wyrzucać zbytek, w jakim żyje jego żona, której mieszkanie obite było czerwonym aksamitem ze złotymi taśmami. Była ona córką Mikołaja Lecamus, sekretarza królewskiego z roku 1617, który przybył do Paryża z dwudziestu liwrami w kieszeni, a potem podzielił między swe dzieci dziewięć milionów, zatrzymując dla siebie czterdzieści tysięcy liwrów rocznej renty.

Mało brakowało, by syn pana d'Emery nie został uduszony: jeden ze zbuntowanych zaproponował, by dusić go tak długo, póki nie zwróci wszystkiego złota, jakie pożarł. Rada nie powzięła więc tego dnia żadnego postanowienia, naczelną intendent bowiem nazbyt był przejęty wypadkiem, aby mieć głowę do obrad.

Nazajutrz zaatakowany został pierwszy prezes sądu, Mateusz Mole, którego odwaga w czasie tych wszystkich zajść, jak to powiedział kardynał de Retz, równała się odwadze diuka de Beaufort i księcia de Conde razem wziętych, to znaczy dwóch ludzi, którzy uchodzili we Francji za najmężniejszych; nazajutrz więc pierwszy prezes został zaatakowany. Lud odgrażał się, że powetuje sobie gwałty, jakich zamierzano się na nim dopuścić.

Lecz pierwszy prezes, z właściwym sobie spokojem, niczym nie wzruszony i nie zaskoczony, powiedział, że o ile wicherzyciele nie dadzą posłuchu nakazom króla, na placach wzniesione zostaną szubienice, na których zawisną najbardziej krnąbrni spośród nich. Na to otrzymał odpowiedź, że niczego bardziej sobie nie życzą aniżeli widoku wznoszonych szubienic, które posłużyłyby do wieszania złych sędziów, kupujących łaski dworu za cenę nędzy ludu.

Na tym nie koniec: w dniu jedenastym stycznia królowa w drodze na mszę do Notre-Dame, dokąd udawała się w każdą sobotę, została otoczona przez przeszło dwieście rozwrzeszczanych kobiet, które domagały się sprawiedliwości. Nie miały one zresztą żadnych złych zamiarów; pragnęły jedynie rzucić się królowej do stóp i wzbudzić jej litość. Przeszkodziły temu straże, królowa przeszła mimo, dumna i wyniosła, nie zważając na krzyki.

Po południu znowu odbywała się narada. Postanowiono na niej, że trzeba podtrzymać autorytet króla, w wyniku czego zwołano parlament na następny dzień, na dwunastego.

Tegoż dnia, kiedy to wieczorem rozpoczyna się nasza nowa opowieść, dziesięcioletni wówczas król, pod pozorem, że udaje się do Notre-Dame złożyć dziękczynienia za przywrócone zdrowie po świeżo przebytej wietrznej ospie, kazał postawić na nogi całą swą straż, szwajcarów i muszkietierów, rozmieszczając ich wokół Palais-Royal, na bulwarach i na moście Pont-Neuf. Po wysłuchaniu mszy udał się do parlamentu, gdzie na sesji naprędce zwołanej nie tylko potwierdził swe poprzednie edykty, ale dodał jeszcze pięć czy sześć nowych, jeden bardziej zgubny od drugiego, jak to był orzekł kardynał de Retz. Doszło do tego, że pierwszy prezes sądu, który jak to widzieliśmy poprzednio, oddany był dworowi, teraz powstał bardzo śmiało przeciw podobnemu kierowaniu osobą króla w celu oszukańczego pogwałcenia wolności głosowania.

Szczególnie zaś ostro przeciwstawili się nowym podatkom prezes Blancmesnil i radca Broussel.

Po wydaniu tych edyktów król powrócił do Palais-Royal. Na drodze, którą przejeżdżał, stały tłumy ludzi. Ponieważ wiadano jednak, że powracał z parlamentu, a nie wiadano, czy udał się tam, by ludowi wymierzyć sprawiedliwość czy też poddać go jeszcze większemu uciskowi, więc w czasie przejazdu króla nie rozległ się ani jeden okrzyk radości w związku z jego powrotem do zdrowia. Przeciwnie, wszystkie twarze były zaniepokojone i posępne, niektóre nawet groźne.



Pomimo że król powrócił już do Palais-Royal, wojsko pozostało na miejscu: obawiano się, ażeby po rozejściu się wieści o wyniku posiedzenia parlamentu nie wybuchły rozruchy. Istotnie, zaledwie po mieście rozeszła się pogłoska, że zamiast przyznania ulg nastąpiło zwiększenie podatków, natychmiast potworzyły się grupy i rozległy się głośnie okrzyki: “Precz z Mazarinim! Niech żyje Broussel! Niech żyje Blancmesnil!” Lud bowiem wiedział już, że Broussel i Blancmesnil stawali w jego obronie, i chociaż przemówienia ich nie dały żadnego wyniku, nie zmniejszało to wcale wdzięczności dla nich.

Usiłowano rozproszyć tłumy, stłumić okrzyki, ale jak to się dzieje w podobnych wypadkach, tłumy rosły, a okrzyki się podwoiły. Strażom królewskim i szwajcarom wydano rozkaz nie tylko nie ustępować, lecz ponadto patrolować ulice Saint-Denis i Saint-Martin, gdzie tłumy wydawały się liczniejsze i bardziej podniecone. W tym czasie w Palais-Royal anonsowano przybycie burmistrza miasta Paryża.

Został on natychmiast wprowadzony: przyszedł powiedzieć, że o ile wrogim demonstracjom nie położy się natychmiast kresu, to w ciągu dwóch godzin cały Paryż znajdzie się pod bronią.

Naradzano się, co należy przedsięwziąć, kiedy wszedł porucznik straży Comminges, w podartym mundurze, z zakrwawioną twarzą. Królowa, ujrawszy go w takim stanie, wydała okrzyk zdumienia i zapytała, co się stało.

Stało się to, co przewidział był burmistrz Paryża: na widok straży ogarnęło ludzi wzburzenie. Tłum zawładnął dzwonami, uderzono na alarm. Comminges wytrwał na stanowisku, zaaresztował człowieka, który zdawał się być jednym z głównych wicrzycieli, i dla przykładu kazał go powiesić na krzyżu du Trahoir. Żołnierze zabrali go, by wykonać rozkaz, w Halach jednak zostali zaatakowani gradem kamieni i ciosami halabard. Buntownik skorzystał z tego i umknął, dobiegł do ulicy des Lombards i wpadł do jednego z domów, gdzie natychmiast wyważone zostały drzwi.

Gwałt ten nie zdał się na nic, winnego nie można było odnaleźć. Comminges postawił posterunek na ulicy przed domem, a sam z resztą swego oddziału powrócił do Palais-Royal, aby zdać królowej raport z wypadków. Przez całą drogę towarzyszyły mu wyzwiska i pogrożki, większość jego ludzi odniosła rany od ciosów pik i halabard, on zaś trafiony został kamieniem, który rozciął mu brew.

Opowiadanie Commingesa potwierdzało ostrzeżenie burmistrza; trudno było stawić opór prawdziwemu buntowi. Kardynał zlecił rozpowszechnić wśród ludu wiadomość, że wojsko rozstawione zostało na bulwarach i Pont-Neuf jedynie w związku z ceremonią i że będzie ściągnięte. Istotnie, około czwartej wieczorem całe wojsko skoncentrowano wokół Palais-Royal; jeden posterunek ustawiono przy rogate des Sergents, drugi przy Quinze-Vingts, wreszcie trzeci na wzgórzu Saint-Roch. Podwórza i parter wypełniono szwajcarami oraz muszkietierami i rozpoczęło się wyczekiwanie.

Tak przedstawiały się sprawy w chwili, gdy wprowadziliśmy czytelnika do gabinetu kardynała Mazariniego, gabinetu należącego niegdyś do kardynała de Richelieu. Widzieliśmy, w jakim stanie umysłu kardynał nasłuchiwał pomruków ludu, które docierały aż do niego, oraz odgłosu strzałów muszkietowych dochodzących aż tu do komnaty.

Nagle uniósł głowę, zmarszczył lekko brew, jak człowiek, który powziął jakąś decyzję. Wzrok utkwiał w ogromnym zegarze, który miał właśnie wydzwaniać szóstą godzinę, i wzięwszy leżący na stole, na odległość ramienia, połączany gwizdek, dwa razy zagwizdał.

Ukryte za obiciem drzwi uchylły się bezgłośnie i cicho zbliżył się czarno odziany człowiek, który przystanął za fotelem.

— Bernouin — rzekł kardynał nie odwracając się, pewny, że na podwójne gwizdnięcie musi się zjawić jedynie jego osobisty pokojowy — którzy muszkietierowie trzymają dziś straż w pałacu?

- Czarni, wasza wysokość.
- Która kompania?
- Kompania Treville.
- Czy na przedpokojach jest któryś z oficerów tej kompanii?
- Porucznik d'Artagnan.
- Myślę, że dobry oficer?
- Tak, monsignore.
- Podaj mi mundur muszkietera i pomóż się przebrać.

Pokojowy wyszedł równie cicho, jak był się zjawił, i po chwili wrócił niosąc żądany mundur.

Wówczas kardynał, zamyślony i milczący, jął się rozdziewać z galowego stroju, jaki był przyoblekł na sesję parlamentu, i włożył mundur wojskowy, w którym czuł się swobodnie dzięki swym dawniejszym kampaniom włoskim. Odziany już całkowicie, powiedział:

- Poproś pana d'Artagnan.

Pokojowy wyszedł tym razem przez środkowe drzwi, zawsze równie cichy i milczący. Można go było wziąć za cień.

Pozostawszy sam, kardynał z zadowoleniem przejrzał się w lustrze; był jeszcze młody, miał zaledwie czterdzieści sześć lat. Postawę miał wytworną, wzrost nieco poniżej średniego, zdrową i piękną cerę, spojrzenie pełne ognia, nos duży, lecz dość kształtny, czoło szerokie i majestatyczne, włosy kasztanowate, lekko kręcone, brodę ciemniejszą od włosów, zawsze starannie ukarbowaną, co przydawało mu dużo wdzięku.

Przypasał pendent szpady, spojrział z upodobaniem na swe dłonie, bardzo ładne i pieczołowicie pielęgnowane, po czym odrzucając mundurowe, grube rękawice z zamszu, które już był naciągnął, nałożył zwyczajne, jedwabne rękawiczki.

W tejże chwili otworzyły się drzwi.

- Pan d'Artagnan — zaanonsował pokojowy.

Oficer wszedł.

Był to człowiek lat trzydziestu dziewięciu do czterdziestu, niski, lecz postawy bardzo zgrabnej, szczupły, o spojrzeniu żywym i dowcipnym, brodzie czarnej, a włosach siwiejących, jak to bywa z ludźmi, których życie upłynęło nazbyt pomyślnie albo też zbyt ciężko, a nade wszystko jak to bywa z brunetami.

D'Artagnan postąpił cztery kroki w głąb gabinetu, który sobie przypominał, był tu bowiem kiedyś za czasów kardynała de Richelieu. Widząc, że w gabinecie nie ma nikogo poza muszkietierem z jego kompanii, zatrzymał na nim wzrok i od pierwszego wejrzenia rozpoznał kardynała.

Zastygł więc w postawie pełnej szacunku, ale zarazem z godnością człowieka, który w swoim życiu często miał okazję przebywać wśród znakomitości.

Kardynał utkwiał w nim spojrzenie przebiegłe raczej niż głębokie, przyglądając się z uwagą. Po kilku sekundach milczenia odezwał się:

— Czy to pan jest panem d'Artagnan?

— Tak jest, monsignore — odrzekł oficer.

Jeszcze przez chwilę kardynał patrzył na tę inteligentną głowę i na twarz, której nadmierną ruchliwość trzymał w ryzach wiek i doświadczenie. Lecz d'Artagnan sprostął próbie jak człowiek, który wytrzymywał ongiś spojrzenia przeszywające jakże inaczej niż to, które go teraz poddawało badaniu.

— Panie oficerze — wyrzekł kardynał — pójdzie pan ze mną albo raczej ja z panem.

— Na rozkaz, monsignore — powiedział d'Artagnan.

— Pragnąłbym osobiście sprawdzić posterunki otaczające Palais-Royal. Czy sądzi pan, że istnieje jakieś niebezpieczeństwo?

— Niebezpieczeństwo, monsignore? — zapytał zdziwiony d'Artagnan. — A jakież by?

— Mówią, że lud całkowicie ogarnięty buntem.

— Mundur muszkieterów królewskich cieszy się dużym szacunkiem, wasza wysokość. A gdyby nie, to we czwórkę czuję się na siłach zmusić do ucieczki setkę tych drabów.

— Jednakże widział pan, co przytrafiło się Commingesowi?

— Pan Comminges należy do straży królewskiej, a nie do muszkieterów — odparł d'Artagnan.

— Co by znaczyło — podchwycił uśmiechając się kardynał — że muszkieterowie są lepszymi żołnierzami od straży?

— Każdemu najbliższy jest jego własny mundur, wasza wysokość.

— Z wyjątkiem mnie, panie — odparł kardynał uśmiechając się znowu — gdyż jak pan widział, porzuciłem swój, by przywdziać pański.

— Do kroćset, monsignore, co za skromność! Jeśli chodzi o mnie, to wyznaję, że gdybym miał mundur waszej wysokości, wystarczyłoby mi to zupełnie i w razie potrzeby zobowiązałbym się nie nosić nigdy innego.

— Zapewne. Ale wyjść w nim dzisiejszego wieczoru może nie byłoby zbyt bezpiecznie. Bernouin, kapelusz.

Pokojowy wszedł przynosząc mundurowy kapelusz o szerokich skrzydłach.

Kardynał nałożył go dość swobodnie i zwrócił się ku d'Artagnanowi:

— Konie w stajniach osiodłane, nieprawdaż?

— Tak, monsignore.

— Doskonale, ruszajmy.

— Ilu ludzi życzy sobie wasza wysokość?

— Powiedział pan, że z czterema odważyłby się pan rozpedzić stu tych drabów. Wobec tego, że możemy spotkać ich ze dwie setki, proszę wziąć ośmiu ludzi.

— Wedle rozkazu, monsignore.

— Idę za panem albo raczej nie, tędy, poświęć nam, Bernouin. Pokojowy wziął świecę, kardynał mały kluczyk przytwierdzony do biurka i otworzywszy nim drzwiczki wiodące na sekretne schody, znalazł się w jednej chwili na

podwórca Palais-Royal.

## 2. Nocny ront

W dziesięć minut później mały oddział wyjeżdżał ulicą des Bons-Enfants, na tyłach sali widowiskowej wybudowanej przez kardynała de Richelieu dla wystawienia *Mirame*; obecnie kardynał Mazarini, większy amator muzyki niżli literatury, wprowadził do sali tej pierwsze wystawione we Francji opery.

Wygląd miasta nosił wszelkie cechy wielkiego wzburzenia: ulicami przeciągały liczne grupy i cokolwiek by tam mówił d'Artagnan, zatrzymywały się, by rzucić na przejeżdżających żołnierzy spojrzenie groźne i szydercze. Świadczyło to, iż mieszczenie pozbyli się z miejsca swej zwykłej łagodności, popadając w nastroje raczej wojownicze. Chwilami dobiegał zgiełk z dzielnicy Hal. Od strony ulicy Saint-Denis trzaskały karabiny, a od czasu do czasu, nagle i nie wiadomo dlaczego, zaczynał bić jakiś dzwon targnięty kaprysem pospólstwa.

D'Artagnan podążał swą drogą z beztroską człowieka, na którego podobne głupstwa nie wywierają żadnego wrażenia. Kiedy jakaś gromada tarasowała środek ulicy, popędzał konia nie wołając nawet "z drogi!", a wszyscy — buntownicy i nie-buntownicy — rozstępowali się i przepuszczali patrol, jakby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Kardynał zazdrościł mu tego spokoju, przypisując go otrzaskaniu z niebezpieczeństwem; ale nie wynikało stąd bynajmniej, aby nabrał do oficera, pod którego rozkazami chwilowo się znajdował tego uznania, jakie beztroskiej odwadze przyznaje roztropność.

Kiedy zbliżali się do posterunku przy roгатce des Sergents, wartownik krzyknął:

— Kto idzie?!

D'Artagnan odpowiedział i zapytawszy kardynała o hasło i odzew, zbliżył

się na rozkaz wartownika; hasło brzmiało: Ludwik, odzew: Rocroi<sup>5</sup>.

Po wymianie haseł d'Artagnan zapytał, czy to nie pan de Comminges dowodzi posterunkiem. Wartownik wskazał na oficera, który stał w pobliżu i trzymając rękę na szyi konia rozmawiał. Był to ten, o którego d'Artagnanowi chodziło.

— Tak, to pan de Comminges — powiedział d'Artagnan powracając do kardynała.

Kardynał zwrócił konia ku rozmawiającym, podczas gdy d'Artagnan dyskretnie się cofnął; mimo to odgadł ze sposobu, w jaki obaj oficerowie zdjęli kapelusze, że rozpoznali jego eminencję.

— Brawo, Guitaut — zwrócił się kardynał do jeźdźca. — Widzę, że mimo swych sześćdziesięciu czterech lat jest pan zawsze ten sam: rześki i oddany służbie. O czymże to rozmawiał pan z tym młodym człowiekiem?

— Mówiłem mu, monsignore — odrzekł Guitaut — że żyjemy w osobliwej epoce i że dzień dzisiejszy podobny jest bardzo do jednego z owych dni Ligi<sup>6</sup>, o których tak wiele opowiadano sobie za mych młodszych lat. Czy jego eminencja wie, że na ulicach Saint-Denis i Saint-Martin zastanawiano się ni mniej, ni więcej, tylko nad stawianiem barykad?

— A co panu odpowiedział Comminges, mój drogi Guitaut?

— Odpowiedziałem mu, monsignore — odezwał się Comminges — że do zawiązania Ligi brak im, moim zdaniem, czegoś najistotniejszego, a mianowicie księcia de Guise. Poza tym jedna i ta sama rzecz nie powtarza się dwa razy.

— Nie, powiadają, że zrobią Fronde<sup>7</sup> — rzucił Guitaut.

— Cóż to takiego ta Fronda? — zapytał Mazarini.

---

5 Rocroi — miejscowość w Ardenach, gdzie w 1643 r. książę de Conde (Kondeusz) zwyciężył armię hiszpańską.

6 Liga — mowa o Lidze Katolickiej, utworzonej w 1576 r. przez ks. de Guise (Gwizjusza), rzekomo dla ochrony religii katolickiej, w rzeczywistości w celu obalenia Henryka III i wprowadzenia na tron Gwizjuszów. Kres jej położył dopiero Henryk IV przechodząc na katolicyzm.

7 Fronda — stronnictwo arystokratyczne powstałe w czasie małoletności Ludwika XIV jako reakcja przeciwko absolutystycznym tendencjom dworu. Kilkuletnia wojna domowa zakończyła się ostatecznie zwycięstwem Mazariniego, co ugruntowało absolutyzm króla, a złamało siłę feudałów.



— Jest to, monsignore, nazwa, jaką nadają swej partii.

— A skąd się wzięła?

— Zdaje się kilka dni temu radca Bachaumont powiedział w Pałacu Sprawiedliwości, że wszyscy ci sprawcy rozruchów przypominają uczniaków strzelających z procy<sup>8</sup> po fosach paryskich, co to rozpraszają się na widok porucznika straży porządkowej, by zejść się na nowo po jego odejściu. Pochwycili słówko w lot, podobnie jak ci łajdacy z Brukseli<sup>9</sup> i przezwali się “frondystami”. Dziś jak i wczoraj wszystko było już a la Fronda: chleb, kapelusze, rękawiczki, koszulki, wachlarze. O, proszę się zatrzymać i posłuchać.

Rzeczywiście, w tejże chwili otwarło się gdzieś okno, jakiś mężczyzna wychylił się i zaczął śpiewać:

*Wiatr się zerwał dzisiaj z rana,*

*wiatr od Frondy wieje.*

*Może zdmuchnie Mazarina,*

*który już się chwieje.*

*Wiatr się zerwał dzisiaj z rana,*

*wiatr od Frondy wieje...*

— Bezczelność! — wymamrotał Guitaut.

— Monsignore — odezwał się Comminges, którego rana wprawiała w zły humor i któremu szło tylko o to, aby wziąć odwet i odpłacić pięknym za nadobne — jego eminencja pozwoli, bym posłał kulę temu łajdakowi i nauczył go na drugi raz nie fałszować.

I sięgnął ręką do olster, które jego wuj miał przytroczone do siodła.

— Nie, nie! — wykrzyknął Mazarini. — *Diavolo!* Drogi przyjacielu, popsułby pan wszystko; przeciwnie, sprawy układają się cudownie. Znam ja

---

<sup>8</sup> La fronde (fr.) — Proca.

<sup>9</sup> Guitaut mówi tu o matce Ludwika XIII, która za intrygi wygnana została przez Richelieugo do Brukseli, gdzie jednak wespół z panią de Chevreuse, ks. Orleańskim, ks. de Chalais, hr. de Montmorency i Cinq-Marsem wicherzyła jeszcze bardziej. Trzej ostatni zostali ścięci.

tych waszych Francuzów, jakbym ich sam zrobił od pierwszego do ostatniego: śpiewają, będą za to płacić. W czasie Ligi, o której właśnie mówił Guitaut, śpiewano tylko msze i także się wszystko źle skończyło. Zabieraj się, Guitaut! Chodź, zobaczymy, czy przy rogatec Quinze-Vingts straż sprawuje się równie dobrze jak na rogatec des Sergents.

I skinąwszy Commingesowi ręką, dołączył do d'Artagnana, który znów wysunął się na czoło swego małego oddziału. Zaraz za nim ruszył Guitaut i kardynał, a na końcu reszta eskorty.

— Racja — mruknął Comminges patrząc za oddalającymi się. — Zapomniałem, że byleby mu płacili, to reszta go nic nie obchodzi.

Pojechali znów ulicą Saint-Honore, mijając wciąż nowe grupy. Rozprawiano tam tylko o dekretach dnia; wyrzekano na młodego króla, który nie zdając sobie sprawy, tak rujnuje swój naród; całą winę zrzucano na Mazariniego; radzono, jak by zwrócić się do księcia Orleańskiego i do jego wysokości królewskiego brata; wychwalano pod niebiosa Blancmesnila i Broussela.

D'Artagnan wjeżdżał w środek tych grup beztroski, jakby i on, i jego koń byli z żelaza. Mazarini i Guitaut rozmawiali po cichu; muszkietierowie, którzy w końcu rozpoznali kardynała, podążali za nim w milczeniu.

Dotarli na ulicę Saint-Thomas-du-Louvre, gdzie przy Quinze-Vingts znajdował się posterunek. Guitaut przywołał starszego oficera, który podszedł zdać raport.

— No i co tam? — zapytał Guitaut.

— Ach, panie kapitanie — odparł oficer — u nas wszystko dobrze, tylko w tym pałacu wydaje mi się coś nie bardzo.

I wskazał ręką na wspaniały pałac położony w miejscu, gdzie później stanął Vaudeville.

— W tym pałacu? — wyrzekł Guitaut. — Ależ to pałac de Rambouillet.

— Nie wiem, czy to pałac de Rambouillet — odparł oficer. — Ale wiem

to, co widziałem. Mianowicie, że wchodziło tam wielu ludzi, którym źle z oczu patrzyło.

— Ach! — rzekł Guitaut wybuchając śmiechem. — To poeci.

— Ale, ale Guitaut! — wtrącił Mazarini. — Bądź łaskaw nie wyrażać się o tych panach z takim brakiem szacunku. Nie wiesz, że ja sam w młodości byłem poetą i pisywałem wiersze w guście poezji pana de Benserade<sup>10</sup>.

— Pan, monsignore?

— Tak, ja. Chcesz, żebym ci je zarecytował?

— Obojętne, monsignore. Nie rozumiem po włosku.

— Tak, lecz rozumiesz po francusku, nieprawdaż, mój poczciwy, miły Guitaut? — odrzekł Mazarini kładąc mu przyjaźnie dłoń na ramieniu. — I wykonasz rozkaz wydany ci w tym języku, nieprawdaż?

— Niewątpliwie, monsignore, podobnie jak dotychczas. Byleby tylko wydany był przez królową.

— Ach, tak! — rzekł Mazarini zagryzając wargi. — Wiem, że jesteś jej całkowicie oddany.

— Jestem kapitanem jej przybocznej straży od przeszło dwudziestu lat.

— W drogę, panie d'Artagnan — rzucił kardynał. — Tutaj wszystko w porządku.

D'Artagnan bez słowa wysunął się znów na czoło kolumny, z tym biernym posłuszeństwem, jakie cechuje starego żołnierza.

Ulicami Richelieu i Villedot skierował się na wzgórze Saint-Roch, gdzie znajdował się trzeci posterunek. Był on najbardziej odosobniony, gdyż graniczył prawie z wałem obronnym, a miasto z tej strony było słabo zaludnione.

— Kto dowodzi tym posterunkiem? — zapytał kardynał.

— Villequier — odrzekł Guitaut.

— Do diabła! — rzucił Mazarini. — Niech pan z nim rozmawia. Wie Pan, że jesteśmy z nim na bakier, odkąd to pan otrzymał zlecenie aresztowania diuka

---

<sup>10</sup> Izaak Benserade (1618—1691) — poeta nadworny Ludwika XIV.

de Beaufort. A on, jako kapitan straży królewskiej, rościł sobie pretensje do tego zaszczytu.

— Wiem o tym doskonale i mówiłem mu ze sto razy, że nie ma racji. Król nie mógł mu wydać tego rozkazu, gdyż miał wtedy zaledwie cztery lata.

— Oczywiście, Guitaut, mogłem jemu wydać ten rozkaz, wolałem jednak zlecić to panu.

Guitaut, bez słowa, wypuścił konia i opowiedziawszy się warcie, przywołał pana de Villequier.

Wezwany wyszedł do niego.

— Ach, to pan, Guitaut — wyrzekł jak zwykle zgryźliwym tonem. — Co za lichy tu pana przyniosło?

— Przyszedłem pana zapytać, co tu u was nowego?

— Co by pan chciał nowego? Krzyczą: “Niech żyje król! Precz z Mazarinim!” Toż nic nowego; przywykliśmy już od jakiegoś czasu do tych okrzyków.

— A pan dołącza się do chóru? — odparł śmiejąc się Guitaut.

— Dalibóg, nieraz mam wielką ochotę! Uważam, że mają dużo racji, Guitaut. Oddałbym chętnie swój zaległy od pięciu lat żołd, byleby tylko król był o pięć lat starszy.

— Doprawdy, a cóż mogłoby się przydarzyć, gdyby król był starszy o pięć lat?

— Gdyby król był starszy o pięć lat, to rozkazywałby sam, a przyjemniej byłoby słuchać wnuka Henryka IV aniżeli syna Pietro Mazarini. Pał diabli, za króla dałbym się zabić! Gdybym jednak miał ponieść śmierć za Mazariniego, czego udało się dzisiaj uniknąć pańskiemu siostrzeńcowi, to nie masz takiego raju, który by był w stanie mnie pocieszyć, gdybym się w nim znalazł.

— Dobrze, dobrze, panie de Villequier — odezwał się Mazarini. — Niech pan będzie spokojny, zdam królowi relację o pańskim oddaniu dla jego osoby.

Po czym zwrócił się do eskorty:

— No, panowie, wszystko w porządku, wracamy!

— Masz tobie — powiedział Villequier. — Mazarini tutaj! Tym lepiej. Dawno już mnie korciło powiedzieć mu, co o nim myślę. Dał mi pan do tego okazję, Guitaut, i chociaż zamiary pana w stosunku do mnie nie były może najzyczliwsze, dziękuję i za to.

I obróciwszy się na pięcie, powrócił do kordegardy gwizdząc piosenkę frondystów.

Tymczasem Mazarini powracał zatopiony w myślach. To, co usłyszał był kolejno od Commingesa, Guitaut, Villequiera, utwierdzało go w przekonaniu, że w razie jakichś poważniejszych zajść nie miałby za sobą nikogo prócz królowej. Królowa jednak tak często opuszczała swoich przyjaciół, że jej poparcie, mimo zachowywanych środków ostrożności, wydawało się czasem ministrowi i mocno wątpliwe, i mocno niepewne.

Przez cały czas trwania tej nocnej przejażdżki, to znaczy mniej więcej około godziny, kardynał, obserwując kolejno Commingesa, Guitaut i Villequiera, usiłował przeniknąć jednego człowieka.

Człowiek ten, który pozostawał niewzruszony wobec pogroźek tłumu, człowiek, którego twarz nawet nie drgnęła, kiedy słuchał żartów Mazariniego czy też strojonych z Mazariniego — wydawał się być kimś wyjątkowym, dostatecznie zahartowanym, aby brać udział w wypadkach toczących się, a przede wszystkim w wydarzeniach mających nadejść.

Zresztą nazwisko d'Artagnan nie było mu obce, chociaż Mazarini przybył do Francji dopiero około 1634 czy 35 roku, to znaczy w siedem lub osiem lat po zdarzeniach opowiedzianych w poprzedniej powieści. Kardynałowi snuło się po głowie, że nazwisko to już gdzieś słyszał; należało ono do człowieka, który w okolicznościach zatartych już w pamięci odznaczył się jako wzór odwagi, zręczności i oddania.

Wspomnienie to nękało umysł kardynała tak natrętnie, że postanowił wyjaśnić tę sprawę bez zwłoki. Ale wyjaśnień dotyczących osoby d'Artagnana

nie należało czerpać od niego samego. Z kilku słów wypowiedzianych przez porucznika muszkietarów kardynał poznał, iż jest z pochodzenia Gaskończykiem, a Włosi podobnie jak Gaskończycy znają się zbyt dobrze i zbyt podobni są do siebie, ażeby polegać na tym, co mogą powiedzieć o samych sobie. Zbliżywszy się więc do muru otaczającego ogród Palais-Royal, kardynał zastukał do małych drzwiczek, znajdujących się mniej więcej tam, gdzie dziś mieści się kawiarnia "Foy", następnie podziękował d'Artagnanowi i zleciwszy mu czekać w podwórku Palais-Royal, dał znak Guitaut, aby mu towarzyszył. Zsiedli obydwaj z koni, oddali cugle lokajowi, który otworzył drzwi, i zniknęli w ogrodzie.

— Mój drogi Guitaut — rzekł kardynał opierając się na ramieniu starego kapitana straży królewskiej — wspominałeś przed chwilą, że upłynęło dwadzieścia lat, odkąd jesteś na służbie u królowej?

— Tak, to prawda — odpowiedział Guitaut.

— Otóż, mój drogi Guitaut — ciągnął dalej kardynał — zauważyłem, że oprócz bezspornej odwagi i wypróbowanej wierności masz jeszcze godną podziwu pamięć.

— Monsignore zdołał to zauważyć? — odparł kapitan. — Do diabła! Tym gorzej dla mnie.

— Dlaczegoż to?

— Jedną z pierwszych zalet dworaka jest niewątpliwie sztuka zapominania.

— Ależ pan nie jesteś dworakiem, Guitaut, tylko dzielnym żołnierzem, jednym z tych kapitanów, których pozostało zaledwie kilku z czasów króla Henryka IV i których niestety wkrótce już zabraknie.

— Do kroćset, monsignore! Czy jego eminencja kazał towarzyszyć sobie, aby mi postawić horoskop?

— Nie — rzekł śmiejąc się Mazarini. — Zleciłem panu pójść ze mną, ażeby zapytać, czy zwrócił pan uwagę na tego porucznika muszkietarów?

— Na pana d'Artagnan?

— Tak.

— Nie potrzebowiałem zwracać nań uwagi. Znam go od dawna.

— Co to za człowiek?

— Ależ — odparł Guitaut zdziwiony tym pytaniem — to Gaskończyk!

— Tak, wiem o tym. Chciałbym jednak zapytać, czy to człowiek zasługujący na zaufanie.

— Pan de Treville darzy go wielkim szacunkiem, a jak wiadomo, pan de Treville jest jednym z wielkich przyjaciół królowej.

— Chciałbym wiedzieć, czy to człowiek wypróbowany.

— Jeżeli chodzi o dowody jego odwagi jako żołnierza, mam wrażenie, że mogę odpowiedzieć: tak. W czasie oblężenia la Rochelle, w wąwozie de Suse, w Perpignan, jak słyszałem, dokonał daleko więcej, niż do niego należało.

— Ale jak ci wiadomo, Guitaut, my, biedni ministrowie, potrzebujemy często ludzi nie tylko walecznych. Potrzebujemy też i ludzi zręcznych. Czy za czasów kardynała pan d'Artagnan nie był przypadkiem zaplątany w jakąś intrygę, z której według pogłosek wywinął się nader sprytnie?

— Jeśli chodzi o to, monsignore — rzekł Guitaut zauważywszy, że kardynał chce go wziąć na spytki — to muszę wyznać waszej eminencji, że wiem tylko tyle, co jego eminencja sam mógł usłyszeć z pogłosek. Ja osobiście nigdy nie byłem zamieszany w intrygi, a jeśli zdarzyło się niekiedy, że ktoś zwierzył mi coś w sprawie osób trzecich, to ponieważ sekret ten nie należy do mnie, monsignore nie weźmie mi za złe, że zachowam go dla tych, którzy mi go powierzyli.

Mazarini potrząsnął głową.

— Ach, na honor — wyrzekł — bywają ministrowie szczęśliwi, którzy wiedzą wszystko, co tylko zapragną.

— To dlatego, monsignore — odpowiedział Guitaut — że ministrowie ci nie przykładają do wszystkich jednej miary; w sprawach wojny potrafią zwracać się do ludzi wojny, w sprawach zaś intryg do intrygantów. Niech więc jego

eminencja zwróci się do któregoś z intrygantów owych czasów, a wydobędzie od niego wszystko, co zechce, oczywiście za zapłatą.

— Ech, do diabła — odrzekł Mazarini, a na twarzy jego pojawił się grymas, który występował zawsze, ilekroć poruszano z nim kwestie pieniężne w tym sensie, jak to był uczynił Guitaut — zapłaci się... jeśli nie ma innego sposobu.

— Czy monsignore naprawdę życzy sobie, bym wskazał człowieka, który byłby zamieszany we wszystkie intrygi owych czasów?

— Per Baccho! — odparł Mazarini zaczynając już tracić cierpliwość. — Przecież od godziny nie proszę pana o nic innego, zakuta głowo.

— Jest taki jeden, za którego, jeśli o to chodzi, odpowiadam, o ile w ogóle zechce mówić.

— To moja rzecz.

— O, monsignore, nie zawsze łatwo zmusić ludzi do mówienia tego, czego nie chcą.

— Ba, ale można to osiągnąć cierpliwością. A więc... człowiekiem tym jest...

— Hrabia de Rochefort.

— Hrabia de Rochefort?

— Niestety, zniknął od blisko czterech czy pięciu lat i nie mam pojęcia, co się z nim stało.

— A ja wiem, Guitaut — odezwał się Mazarini.

— Czemuż więc jego eminencja skarżył się przed chwilą, że nic nie wie?

— I myśli pan, że Rochefort...

— Była to dusza zaprzędana kardynałowi, monsignore, więc ostrzegam, że będzie to drogo kosztowało; kardynał był hojny dla swoich kreatur.

— Tak, tak — mówił Mazarini — był to wielki człowiek, lecz miał tę jedną wadę. Dziękuję panu, Guitaut, skorzystam z pańskiej rady, i to jeszcze dzisiaj wieczora.



Ponieważ w tejże chwili obaj rozmówcy znaleźli się w podwórku Palais-Royal, kardynał skinieniem ręki pożegnał Guitaut. Zauważywszy oficera, który spacerował tam i na powrót, zbliżył się doń. Był to d'Artagnan, oczekujący stosownie do otrzymanego rozkazu powrotu kardynała.

— Pójdź pan, d'Artagnan — wyrzekł kardynał swym najśłodszy glosem.  
— Mam dla pana rozkaz.

D'Artagnan skłonił się i podążył za kardynałem tajemnymi schodkami. W chwilę później znalazł się znów w gabinecie, z którego niedawno był wyszedł. Kardynał zasiadł za biurkiem i wziął kartę papieru, na której skreślił kilka słów.

D'Artagnan stał obojętny, oczekując bez zniecierpliwienia, ale i bez zaciekawienia; zamienił się w wojskowy automat, działający, czy raczej poddający się czyjejś woli.

Kardynał złożył list i odcisnął swą pieczęć.

— Panie d'Artagnan — powiedział — zawiezie pan to pismo do Bastylii i przyprowadzi osobę, o której tu piszę. Weźmie pan karoce, eskortę i proszę pilnie strzec więźnia.

D'Artagnan wziął list, podniósł rękę do kapelusza, odwrócił się na pięć niczym najzręczniejszy podoficer na mustrze i wyszedł. W chwilę potem słyhać było jego komendę, wydawaną krótko, na jednym tonie:

— Czterech ludzi eskorty, karetę, mój koń.

W pięć minut później dał się słyszeć turkot toczących się kół i odgłos końskich podków na bruku podwórca.

### 3. Dwaj dawni wrogowie

Biło wpół do ósmej, kiedy d'Artagnan przybył do Bastylii.

Kazał się zaanonsować gubernatorowi, który dowiedziawszy się, że d'Artagnan przybył z rozkazem od ministra, wyszedł na spotkanie porucznika aż na ganek.

Gubernatorem Bastylii był wówczas pan du Tremblay, brat sławnego kapucyna, ojca Józefa, zwanego szarą eminencją; będąc ulubieńcem kardynała de Richelieu budził niegdyś postrach.

Kiedy marszałek de Bassompierre siedział w Bastylii jakieś dobre dwanaście lat, a jego towarzysze snuli marzenia o wolności i mówili sobie: “Ja wyjdę wtedy...”, “A ja wtedy...”, Bassompierre odpowiadał: “Ja zaś, panowie, wyjdę wówczas, kiedy ustąpi stąd pan du Tremblay”. Należało przez to rozumieć, że z chwilą śmierci kardynała pan du Tremblay musi utracić swoje stanowisko w Bastylii, a Bassompierre odzyskać swe miejsce na dworze.

Przepowiednia ta o mały włos się nie sprawdziła, ale zupełnie inaczej, niż to myślał Bassompierre, gdyż z chwilą śmierci kardynała sprawy potoczyły się jak dawniej. Pan du Tremblay nie opuścił Bastylii i mało brakowało, a Bassompierre nie wyszedłby stamtąd w ogóle.

Kiedy więc d'Artagnan pojawił się, aby wykonać rozkaz ministra, pan du Tremblay był wciąż jeszcze gubernatorem Bastylii. Przyjął porucznika z największą uprzejmością, a ponieważ miał właśnie zasiadać do stołu, zaprosił go na wieczerzę.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie — odpowiedział d'Artagnan — lecz jeśli się nie mylę, na kopercie zaznaczone jest: bardzo pilne!

— Rzeczywiście — rzekł du Tremblay. — Hej!, majorze! Niech tu zejdzie numer 256.

Wchodząc do Bastylji więzień przestawał być człowiekiem, stawał się numerem.

D'Artagnan, słysząc brzęk kluczy, poczuł przeszywający go dreszcz. Toteż pozostał na koniu nie zamierzając zeń schodzić. Spoglądał na kraty, na głęboko osadzone okna, potężne mury, które widział dotąd jedynie od strony fosy i które przed około dwudziestu laty budziły w nim tak wielkie przerażenie.

Rozległ się głos dzwonu.

— Opuszczam pana — zwrócił się do oficera pan du Tremblay. — Wzywają mnie, bym podpisał zezwolenie na wyjście więźnia. Do widzenia, panie d'Artagnan.

— Niech mnie diabli wezmą, jeśli odpowiem ci podobnym życzeniem — mruknął d'Artagnan. Przekleństwu jego towarzyszył ujmujący uśmiech. — Wystarczyło mi tu pobyc pięć minut, abym się poczuł chory. No, no, widzę, że lepiej umierać na słomie, co mnie prawdopodobnie czeka, aniżeli zgarniać dziesięć tysięcy liwrow pełniąc funkcję gubernatora Bastylji.

Zaledwie skończył swój monolog, gdy pojawił się więzień. Na jego widok d'Artagnan zdradził przez moment zdziwienie, natychmiast jednak je opanował. Więzień wsiadł do powozu; zdawał się d'Artagnana nie poznawać.

— Panowie — zwrócił się porucznik do czterech muszkieterów — zlecono mi największą czujność nad więźniem; ponieważ karoca nie ma zamków przy drzwiczkach, usiądę obok niego. Panie de Lillebonne, poprowadź, proszę, mego konia luzem.

— Z chęcią, panie poruczniku — odrzekł żołnierz, do którego zwrócił się był d'Artagnan.

Porucznik zeskoczył z konia, oddał uzdę muszkieterowi, wsiadł do karety zajmując miejsce obok więźnia i głosem, w którym nie można było dopatrzeć się nawet cienia emocji, powiedział:

— Do Palais-Royal! Kłusem!

Gdy tylko kareta ruszyła, d'Artagnan, korzystając z ciemności panujących

pod mijanym właśnie sklepieniem wjazdu, rzucił się więźniowi na szyję.

— Rochefort! — krzyknął. — Więc to naprawdę ty! Przecież się nie mylę!

— D'Artagnan! — wykrzyknął z kolei zdumiony Rochefort.

— Ach, mój biedny przyjacielu! — ciągnął d'Artagnan. — Nie widząc cię od czterech czy pięciu lat, sądziłem, żeś umarł.

— Dalibóg — rzekł Rochefort — niewielka to różnica między zmarłym a pogrzebanym. A ja jestem pogrzebany lub też prawie pogrzebany.

— Za jakąż to zbrodnię znalazłeś się w Bastylii?

— Chcesz bym wyznał ci prawdę?

— Tak.

— A więc nie mam pojęcia.

— Nie ufasz mi, Rochefort?

— Broń Boże, słowo szlachcica. Tylko że jest niemożliwością, bym się tam znajdował za to, co mi zarzucają.

— A cóż takiego?

— Że jestem grasującym po nocy opryszkiem.

— Ty opryszkiem! Rochefort, kpisz?

— Rozumiem twe zdziwienie. To wymaga komentarza, nieprawdaż?

— Oczywiście.

— A więc posłuchaj, co się zdarzyło. Pewnego wieczoru po pijaństwie u Reinarda w Tuileries w towarzystwie diuka d'Harcourt, Fontraillesa, de Rieux i innych, diuk d'Harcourt zaproponował, byśmy poszli na Pont-Neuf ściągać z przechodniów okrycia. Zabawę tę, jak ci zapewne wiadomo, usilnie wprowadzał w modę diuk Orleański.

— Zwariowałeś, Rochefort! W twoim wieku?

— No cóż, byłem pijany. Ponieważ zabawa wydawała mi się nieszczęśliwa, zaproponowałem kawalerowi de Rieux, byśmy raczej zostali widzami niż aktorami i byśmy się wspięli na konia z brązu i obserwowali, wszystko jakby z pierwszych łóż. Jak się rzekło, tak się i zrobiło. Dzięki

ostrogom, które posłużyły nam za strzemiona, w mgnieniu oka siedzieliśmy wysoko na grzbiecie. Czuliśmy się cudownie, mieliśmy zachwycający widok. Ściągnięto już cztery czy pięć płaszczy z niezwykłą zręcznością, przy czym żaden z rozdzielanych nie odważył się pisnąć słówka, gdy wtem jakiś dureń, mniej uległy od innych, zaczął wrzeszczeć: “Ratunku!” i ściągnął nam na głowę patrol łuczników. Diukowi d'Harcourt, Fontraillesowi i innym udało się uratować ucieczką; de Rieux chciał zrobić to samo. Odwiodłem go od tego zapewniając, że nas tutaj nie odkryją. Nie posłuchał mnie, lecz postawił nogę na ostrodze chcąc zejść; ostroga pękła, spadł, złamał nogę i zamiast zachować się cicho, zaczął krzyczeć jak opętany. Z kolei chciałem skoczyć i ja, lecz już było za późno: spadłem wprost w ramiona łuczników, którzy odprowadzili mnie do Chatelet<sup>11</sup>, gdzie usnąłem jak suseł, pewny, że wyjdę stamtąd następnego ranka. Przeszło jutro, przeszło pojutrze, przeszło osiem dni... Napisałem do kardynała. Tego samego dnia przyszli po mnie i odprowadzili do Bastylli. Upłynęło już pięć lat, odkąd tam tkwię. Czy sądzisz, że to za świętokradztwo, jakie popełniłem siadając na koniu z tyłu za Henrykiem IV?

— Nie, mój drogi Rochefort, masz rację, to nie to, ale prawdopodobnie dowiesz się za co.

— Ach, prawda, zapomniałem cię zapytać, dokąd mnie wiesz.

— Do kardynała.

— Czegóż on chce ode mnie?

— Nie wiem, nie miałem nawet pojęcia, że jadę po ciebie.

— Niemożliwe, ty, faworyt...

— Ja faworytem?! — wykrzyknął d'Artagnan. — Ach, mój biedny hrabio! Jestem dziś bardziej kadetem gaskońskim aniżeli wtedy, gdyśmy się widzieli w Meung, przypominasz sobie? Niestety, upłynęło już od tego czasu dwadzieścia dwa lata!

I ciężko westchnął kończąc to zdanie.

---

<sup>11</sup> Chatelet —dawne więzienie paryskie.

— Jednakże przybyłeś z rozkazem..

— Przypadkowo znajdowałem się na przedpokojach i kardynał zwrócił się do mnie, podobnie jak by się zwrócił do każdego innego. Jestem nadal porucznikiem muszkietarów i o ile mnie pamięć nie myli, jestem nim już około dwudziestu jeden lat.

— Dobrze chociaż, że nie spotkało cię nieszczęście, a to już i tak wiele.

— A jakież to nieszczęście miałyby mnie spotkać? Powiedziane jest w jednym wierszu łacińskim, który zapomniałem, a raczej nigdy go dobrze nie umiałem: “Piorun nie uderza w doliny”, ja zaś, mój drogi Rochefort, jestem doliną, i to jedną z najniższej położonych.

— To ten Mazarini jest dalej Mazarinim?

— Bardziej niż kiedykolwiek; mówią, że zaślubił królową.

— Zaślubił?

— O ile nie jest jej mężem, jest na pewno kochankiem.

— Oprzeć się Buckinghamowi, a ulec takiemu Mazariniemu!

— Tak to bywa z kobietami — odparł filozoficznie d’Artagnan.

— Z kobietami tak, ale królowe?

— Och, mój Boże, pod tym względem królowe są po dwakroć kobietami.

— A pan de Beaufort przebywa nadal w więzieniu?

— Bez przerwy. O co ci chodzi?

— Ach, gdyż był to człowiek mi życzliwy i mógłby mnie wyciągnąć z opresji.

— Przypuszczam, że jesteś bliższy wolności aniżeli on. To ty będziesz go mógł wyciągnąć.

— A więc wojna...

— Będziemy ją mieli.

— Z Hiszpanem?

— Nie, z Paryżem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

- Słyszysz odgłosy strzałów?
- Tak, więc cóż?
- To mieszczanie zabawiają się w oczekiwaniu rozgrywki.
- Myślisz, że można by z mieszczan coś zrobić?
- Ależ tak, zapowiadają się dobrze, byleby tylko mieli przywódcę, który by połączył te wszystkie grupy...
- Jaka szkoda, że nie jestem na wolności.
- Ech, mój Boże! Nie rozpaczaj. Jeśli Mazarini kazał cię sprowadzić, oznacza to, że jesteś mu potrzebny. A jeśli jesteś mu potrzebny, pozostaje tylko gratulować ci. Ja nie jestem nikomu potrzebny już od wielu lat, toteż widzisz, do czego doszedłem.
- Radzę ci, poskarż się!
- Słuchaj, Rochefort, układ...
- Jaki?
- Jesteśmy przecież dobrymi przyjaciółmi.
- Dalibóg, noszę na sobie ślady tej przyjaźni: trzy blizny po szpadzie...
- Więc jeśli powrócisz do łask, proszę, nie zapominaj o mnie.
- Słowo Rocheforta, ale na zasadzie wzajemności.
- Zgoda. Masz moją rękę.
- A więc przy pierwszej sposobności, jaka się nadarzy, kiedy będziesz mógł o mnie mówić...
- Powiem o tobie, a ty?
- Ja podobnie. Ale, ale, a twoi przyjaciele, czy mam i o nich wspomnieć?
- Jacy przyjaciele?
- Atos, Portos i Aramis. Czyżbyś o nich zapomniał?
- Prawie.
- Co się z nimi stało?
- Nic o nich nie wiem.
- Doprawdy?!

— Ach, mój Boże, oczywiście, że nie. Jak wiesz, rozstaliśmy się. Wszystko, co mogę o nich powiedzieć, to, że żyją. Od czasu do czasu miewam od nich pośrednio wiadomości. Ale niech mnie diabli, jeśli wiem, w jakim zakątku świata się znajdują. Nie, na honor, nie mam prócz ciebie, Rochefort, żadnych przyjaciół.

— A ten sławny... jakże nazywał się ten chłopak, którego zrobiłem sierżantem w pułku Piemontczyków?

— Wiórek?

— Tak, zgadza się. Więc cóż się stało ze sławnym Wiórkiem?

— Ożenił się ze sklepem cukierniczym przy ulicy des Lombards. Chłopiec ten zawsze przepadał za słodyczami. Dzięki temu jest mieszczuchem paryskim i prawdopodobnie hałasuje w tej chwili. Przekonasz się, że ten hultaj będzie pierwiej ławnikiem niżli ja kapitanem.

— Głowa do góry, drogi d'Artagnan, odwagi! Zazwyczaj gdy się jest na najniższym szczeblu koła, koło obraca się i wynosi cię w górę. Być może, że od tego wieczoru los twój zmieni się całkowicie.

— Amen — rzekł d'Artagnan zatrzymując karete.

— Co robisz? — zapytał Rochefort.

— To, co trzeba. Jesteśmy na miejscu i nie chcę, by mnie widziano wysiadającego z karety. Nie znamy się przecież.

— Masz rację. Żegnaj.

— Do widzenia. Proszę, pamiętaj o obietnicy.

I d'Artagnan dosiadł konia, stając na czele eskorty.

W pięć minut później zajechali na podwórzec Palais-Royal.

D'Artagnan powiódł więźnia głównymi schodami, przeszedł z nim przedpokój i korytarz. Gdy dotarł do drzwi gabinetu Mazariniego i zamierzał się zaanonsować, Rochefort położył mu dłoń na ramieniu.

— D'Artagnan — rzekł śmiejąc się — chcesz, bym ci wyjawiał, o czym myślałem przez całą drogę patrząc na mijane grupy mieszczan, którzy spoglądali



na ciebie i twoich czterech ludzi pałającymi oczami?

— Mów — odparł d'Artagnan.

— Myślałem, że wystarczyłoby tylko krzyknąć o pomoc, a poćwiartowano by ciebie i całą eskortę, ja zaś byłbym wtedy wolny.

— Dlaczegoś tego nie uczynił?

— Jakżeż to! — odparł Rochefort. — Zaprzysiężona przyjaźń! Ach, gdyby tak prowadził mnie kto inny, a nie ty, nie powiem...

D'Artagnan opuścił głowę.

— Czyżby Rochefort stał się lepszy ode mnie? — rzekł do siebie. I kazał się zaanonsować ministrowi.

— Wprowadzić pana de Rochefort — odezwał się zniecierpliwiony głos Mazariniego, gdy tylko usłyszał te dwa nazwiska. — I proszę, by pan d'Artagnan poczekał; mam z nim jeszcze coś do załatwienia.

Słowa te naprawdę uradowały d'Artagnana. Jak to był powiedział, od dawna już nikt go nie potrzebował, a to nieustanne krążenie Mazariniego wokół jego osoby wydawało mu się dobrą wróżbą.

Co się tyczy Rocheforta, wywołało to tylko ten efekt, że jał się mieć na baczności. Wszedł do gabinetu, gdzie zastał Mazariniego siedzącego za stołem, w codziennym stroju, to jest w szacie kardynała; strój ten, prócz fioletowych pończoch i płaszcza tegoż koloru, był niemal zwykłym ubiorem księżowskim owych czasów.

Drzwi się zamknęły, Rochefort spojrzał na Mazariniego spod oka i pochwycił wzrok ministra krzyżujący się z jego spojrzeniem.

Minister wcale się nie zmienił: starannie uczesany, starannie ufryzowany, dobrze uperfumowany, dzięki tej kokieterii nie wyglądał na swoje lata. Inaczej miała się sprawa z Rochefortem; pięć lat spędzone w więzieniu postarzały mocno tego zacnego przyjaciela pana de Richelieu. Jego krucze włosy posiwiały zupełnie, a brązowy odcień cery ustąpił miejsca całkowitej bladości płynącej z wyczerpania. Na jego widok Mazarini potrzęsnał niedostrzegalnie głową, jakby

chciał powiedzieć:

“Człowiek ten wydaje mi się już do niczego”.

Po chwili milczenia, w rzeczywistości dość długiej, a która panu de Rochefort wydała się wiekiem, Mazarini wyjął z pliku papierów otwarty list i ukazując go szlachcicowi, zapytał:

— Znalazłem tu pański list, w którym domaga się pan, Rochefort, wolności. Przebywa pan tedy w więzieniu?

Na to pytanie Rochefort zadrzał.

— Ależ wydaje mi się, że jego eminencja wiedział o tym lepiej od kogokolwiek.

— Ja? Nic podobnego! W Bastylii znajduje się jeszcze tłum więźniów, którzy przebywają tam od czasów de Richelieu, a których nie znam nawet z nazwiska.

— Ale ze mną inna sprawa i moje nazwisko było jego eminencji znane, gdyż na pański to rozkaz, monsignore, zostałem przewieziony z Chatelet do Bastylii.

— Tak pan sądzi?

— Jestem tego pewien.

— Ach tak, rzeczywiście, przypominam coś sobie. Czy pan w tym czasie nie odmówił królowej podjęcia pewnej podróży do Brukseli?

— Aaa! — wykrzyknął Rochefort — więc to jest istotnym powodem? Szukam go od pięciu lat. Cóż za głupiec ze mnie, że nie mogłem go znaleźć!

— Ależ nie twierdzę, że to było przyczyną pańskiego aresztowania, proszę mnie źle nie rozumieć. Stawiam tylko pytanie, i to wszystko: czy nie odmówił pan jazdy do Brukseli w służbie królowej, podczas gdy podjął się pan tego samego dla nieboszczyka kardynała?

— Właśnie dlatego, że byłem w Brukseli w służbie zmarłego kardynała, nie mogłem po raz drugi udać się tam od królowej. Będąc w Brukseli znajdowałem się w okropnych okolicznościach. Było to w czasie spisku de

Chalais<sup>12</sup>. Byłem tam by przejąć korespondencję pana de Chalais z arcyksięciem i już wtedy o mało nie rozdarło mnie w strzępy, kiedy zostałem rozpoznany. Jakżeż mogłem tam znowu powrócić! Zgubiłbym królową zamiast jej służyć.

— Więc pojmuje pan teraz, drogi Rochefort, jak czasem najlepsze intencje mogą być źle zrozumiane. Królowa nie widziała w pańskiej odmowie nic innego poza zwykłą odmową; jej królewska mość miała ważne powody, żeby się skarżyć na pana za życia zmarłego kardynała.

Rochefort uśmiechnął się wzgardliwie.

— Działo się tak właśnie dlatego, że służyłem wiernie kardynałowi de Richelieu przeciw królowej, a po jego śmierci, monsignore powinien to zrozumieć, służyłem wiernie waszej eminencji przeciwko całemu światu.

— Ja, panie de Rochefort — rzekł Mazarini — nie jestem człowiekiem, jakim był pan de Richelieu, który zmierzał do wszechwładzy. Jestem zwykłym sobie ministrem, który nie potrzebuje oddanych sług będąc sam w służbie królowej. Otóż jej królewska mość jest bardzo drażliwa. Wiedziała o pańskiej odmowie, wzięła ją za wypowiedzenie wojny, i ona to, uważając, że pan, panie de Rochefort, jest tym bardziej niebezpieczny, iż jest pan człowiekiem niepospolitym, rozkazała mi pana uwięzić. W ten sposób znalazł się pan w Bastylii.

— A więc, monsignore — odezwał się Rochefort — wydaje mi się, że jeśli znajduję się w Bastylii przez omyłkę...

— Tak, tak, bez wątpienia — przerwał Mazarini — można to wszystko naprawić. Jesteś pan człowiekiem, który jest w stanie zrozumieć pewne sprawy, a raz zrozumiawszy, dobrze nimi pokierować.

— Takie było zapatrywanie pana kardynała de Richelieu, a fakt, że jego eminencja był łaskaw powiedzieć mi, iż jest tego samego zdania, powiększa jeszcze mój podziw dla tego wielkiego człowieka.

— To prawda — rzekł Mazarini — pan kardynał posiadał wiele zręczności

---

12 Patrz obj. na str. 17

politycznej i to właśnie było przyczyną jego ogromnej wyższości nade mną, jestem bowiem człowiekiem zupełnie prostym, pozbawionym przebiegłości; szkodzi mi to, że jestem szczerzy jak Francuz.

Rochefort zagryzł wargi, żeby się nie roześmiać.

— Dochodzę teraz do sedna sprawy. Potrzebuję oddanych przyjaciół, wiernych w służbie. Kiedy mówię “potrzebuję”, rozumiem przez to, że potrzebuje ich królowa. Czynię wszystko tylko z rozkazu królowej. Proszę zrozumieć, że ze mną sprawa ma się inaczej niż z panem kardynałem de Richelieu, który kierował się swym widzimisię. Oczywiście, nie będę nigdy wielkim człowiekiem, takim jak on, ale za to jestem człowiekiem uczciwym, panie de Rochefort, i mam nadzieję, że dam panu tego dowody.

Rochefort znał ten jedwabisty głos, w którym od czasu do czasu przewijało się jakby syczenie żmii.

— Jestem gotów uwierzyć panu całkowicie, monsignore — wyrzekł — chociaż sam mało miałem dowodów owej dobroduszości, o której wasza eminencja mówi. Proszę nie zapominać, monsignore — ciągnął Rochefort widząc odruch zniecierpliwienia, który minister starał się stłumić — proszę nie zapominać, że od pięciu lat siedzę w Bastylji i że nic tak nie wykoślawia myśli, jak oglądanie spraw poprzez kraty więzienia.

— Ach, panie de Rochefort, mówiłem już panu, że nie miałem nic wspólnego z pańskim uwięzieniem. Królowa... gniew kobiety i księżnej, cóż pan chcesz! Ale jak przyszło, tak i mija. Później nie myśli się o tym...

— Pojmuję, monsignore, że ona już o tym nie myśli, ona, która przepędziła te pięć lat w Palais-Royal pośród uciech i dworzan. Lecz ja, który spędziłem je w Bastylji...

— Ech, dobry Boże, czy pan, drogi panie de Rochefort, sądzi, że w Palais-Royal żyje się tak wesoło? Nic podobnego. Zapewniam pana, że również i my miewaliśmy tutaj wielkie przykrości. Ale dość, nie rozmawiajmy już o tym. Ja, jak zazwyczaj, wykładam karty na stół. No, zobaczymy, czy należy pan do nas,

panie de Rochefort.

— Musi pan zrozumieć, monsignore, że nie ubiegam się o nic lepszego. Tylko że się już w niczym nie orientuję. W Bastylii rozprawia się o polityce jedynie z żołnierzami i dozorcami więziennymi, a monsignore nie wyobraża sobie, jak ci ludzie są mało świadomi tego, co się dzieje. Ja, ja jestem zawsze z panem de Bassompierre... Czy jest on wciąż jeszcze jednym z siedemnastu panów lennych?

— Zmarł, panie de Rochefort, jest to ogromna strata. Był to człowiek oddany królowej, a ludzi oddanych spotyka się rzadko.

— Dalibóg, rozumie się — rzekł Rochefort. — Ale kiedy tacy są, wysyłacie ich do Bastylii.

— Istnieje tylko zagadnienie — mówił Mazarini — jak wypróbować to oddanie?

— Czynem — rzucił Rochefort.

— Ach tak, czynem — podjął minister zamyślony — lecz gdzież znaleźć ludzi czynu?

Rochefort potrząsnął głową.

— Nigdy ich nie brak, lecz monsignore źle ich szuka.

— Ja źle szukam! Co pan chce przez to powiedzieć, drogi panie de Rochefort? Proszę, proszę, niech mnie pan oświeci. Musiał się pan wiele nauczyć będąc w zażyłości z nieboszczykiem kardynałem! Ach, to był wielki człowiek!

— Czy monsignore nie obrazi się, że będę mu prawił morały?

— Ja, przenigdy! Wie pan dobrze, że mnie można wszystko powiedzieć. Staram się, aby mnie raczej kochano, a nie lękano się.

— A więc, monsignore, w lochu moim na murze wypisane jest ostrzem gwoźdźcia pewne przysłowie.

— Cóż to za przysłowie? — zapytał Mazarini.

— Brzmi ono, monsignore, tak: “Jaki pan...”

— Znam je: “taki kram”.

— Nie, “taki sługa”. Tę małą zmianę wprowadzili dla własnej satysfakcji ludzie oddani, o których co dopiero mówiłem.

— A cóż ma znaczyć to przysłowie?

— Znaczy ono, że pan de Richelieu umiał doskonale wynajdywać oddanych sobie ludzi, i to całymi tuzinami.

— On, który był celem wszystkich sztyletów?! On, który spędził życie na odparowywaniu wszelakich zadawanych mu ciosów?!

— Aleje przecież odparowywał, choć były to ciosy nie byle jakie. Jeśli miał bowiem zajadłych wrogów, to miał i równie wiernych przyjaciół.

— Przecież chodzi mi tylko o to!

— Znałem ludzi — ciągnął Rochefort, uważając, że nadszedł moment, by dotrzymać słowa d’Artagnanowi — znałem ludzi, którzy swą zręcznością sto razy wyprowadzili w pole przenikliwość kardynała, brawurą swą pokonywali strażę i szpiegów, ludzi, którzy bez pieniędzy, bez oparcia, bez autorytetu zachowali koronę na jednej z ukoronowanych głów i zmusili kardynała, by prosił o łaskę.

— Ależ ludzie, o których pan mówi — rzekł Mazarini uśmiechając się z zadowolenia, że Rochefort trafił tam, dokąd właśnie chciał go zaprowadzić — ludzie ci nie byli przecież oddani kardynałowi, skoro walczyli przeciw niemu.

— Nie dlatego jednak, że byli lepiej wynagradzani. Lecz na swoje nieszczęście oddani byli tej samej królowej, dla której teraz jego eminencja poszukuje oddanych sobie ludzi.

— A skądże pan wie o tym wszystkim?

— Znam te sprawy, bo ludzie ci byli wtedy moimi wrogami, walczyli ze mną, ja zaś wyrządziłem im tyle zła, ile tylko mogłem; oddawali mi go tyle, ile tylko było w ich mocy. Jeden z nich, z którym miałem bardziej osobistą sprawę, zadał mi pchnięcie szpadą prawie siedem lat temu; był to trzeci cios otrzymany z tej samej ręki... finał starych porachunków.

— Ach! — wykrzyknął Mazarini z podziwu godną dobroduszością — ach, gdybym znał podobnych ludzi!

— O monsignore, masz pan jednego z nich za drzwiami od przeszło sześciu lat i przez te sześć lat nie zauważyłeś pan, że jest on do czegokolwiek zdolny.

— Któż to taki?

— Pan d'Artagnan.

— Ten Gaskończyk!? — wykrzyknął Mazarini z doskonale udanym zdziwieniem.

— Gaskończyk ten uratował królową i zmusił pana de Richelieu do przyznania, iż pod względem biegłości, zręczności i gry politycznej mógłby być jego uczniem.

— Doprawdy?

— Ściśle tak, jak to miałem honor powiedzieć jego eminencji.

— Opowiedz mi coś o tym, drogi panie de Rochefort.

— To dość trudne, monsignore — odrzekł szlachcic uśmiechając się.

— W takim razie on sam mi opowie.

— Wątpię, monsignore.

— A dlaczegoż to?

— Gdyż sekret ten nie należy do niego; jak to już powiedziałem, sekret ten należy do pewnej wielkiej królowej.

— A czy dokonał on tego zupełnie sam?

— Nie, monsignore, miał trzech przyjaciół, trzech dzielnych ludzi, którzy go wspomagali, takich, jakich monsignore przed chwilą poszukiwał.

— I twierdzi pan, że ci czterej ludzie trzymali się razem?

— Jakby byli jednym człowiekiem, jakby te cztery serca były w jednej piersi. Czegóż to oni we czwórkę nie dokonali!

— Mój drogi panie de Rochefort, doprawdy trudno mi wyrazić, do jakiego stopnia podnieca pan moją ciekawość. Nie mógłby mi pan opowiedzieć tej

historii?

— Nie, lecz mogę opowiedzieć coś innego, prawdziwą bajkę, ręczę za to, monsignore.

— O, niech pan opowie, panie de Rochefort. Ogromnie lubię bajki.

— Więc monsignore życzy sobie tego? — rzekł Rochefort, próbując odczytać intencje kardynała z wyrazu jego przebiegłej, wręcz szczwanej twarzy.

— Tak.

— A więc proszę posłuchać. Była raz pewna królowa... ale to potężna królowa, królowa jednego z największych królestw świata, której pewien wielki minister życzył wiele zła dlatego, że poprzednio pragnął za wiele dobra. Proszę nie szukać, monsignore! Nie jest pan w stanie odgadnąć, o kim mowa. Wszystko to wydarzyło się dużo wcześniej, zanim pan zawitał do królestwa, gdzie panowała owa królowa. Otóż na dwór przybył pewien ambasador tak mężny, bogaty i wytworny, że wszystkie kobiety oszalały. Nawet sama królowa, pomna bez wątpienia na jego stosunek do spraw państwa, miała nieostrożność dać mu pewien klejnot tak znaczny, że nie można go było zastąpić innym. Ponieważ klejnot pochodził od króla, minister nakłonił go do zażądania od królowej, ażeby klejnot ten ozdobił jej strój na najbliższym balu. Nie potrzebuję pana objaśniać, monsignore, że minister wiedział z całą pewnością, iż klejnot ten pojechał wraz z ambasadorem, który to ambasador znajdował się bardzo daleko, gdzieś za morzami. Wielka królowa była zgubiona! Zgubiona jak ostatnia z jej poddanych, gdyż spadała ze szczytu całej swej wielkości.

— Doprawdy? — rzekł Mazarini.

— A więc czterech ludzi, monsignore, postanowiło ją ocalić. Ci czterej nie byli to książęta, nie byli to diukowie, nie byli to ludzie potężni, nie byli nawet bogaci: byli to czterej żołnierze o wielkim sercu, dzielnym ramieniu, szczerze oddanej szpadzie. Pojechali. Minister wiedział o ich wyjeździe i rozstawił na drodze ludzi, którzy mieli im przeszkodzić w osiągnięciu celu. Trzej z nich zostali wyeliminowani przez licznych napastników, lecz czwarty dotarł do portu,



zabił bądź zranił tych wszystkich, którzy chcieli go zatrzymać, przebył morze i odniósł klejnot wielkiej królowej, tak że w oznaczonym dniu mogła go przypiąć na ramieniu. Mało brakło, by minister został potępiony. I co pan, monsignore, myśli o tym wszystkim?

— To wspaniale! — wyrzekł Mazarini rozmarzony.

— A więc znam dziesięciu podobnych.

Mazarini nie odzywał się — rozmyślał.

Upłynęło pięć czy sześć minut.

— Czy nie żąda pan ode mnie, monsignore, niczego więcej? — zapytał Rochefort.

— Owszem. I powiada pan, że pan d'Artagnan był jednym z owych czterech ludzi?

— To on właśnie kierował całym przedsięwzięciem.

— A tamci? Kto byli tamci?

— Monsignore, proszę pozwolić, że pozostawię panu d'Artagnan trud wymienienia ich nazwisk. Byli to jego przyjaciele, a nie moi. On jeden może mieć na nich jakiś wpływ, ja zaś nie znam nawet dokładnie ich prawdziwych nazwisk.

— Pan mi nie ufa, panie de Rochefort. Pragnę być szczery aż do końca; potrzebny mi pan jesteś, potrzebny on, potrzebni wszyscy.

— Rozpocznijmy ode mnie, monsignore, ponieważ kazał mnie pan sprowadzić i jestem tutaj; później zajmie się pan nimi. Nie zdziwi pana moja ciekawość. Gdy się siedziało w więzieniu pięć lat, rad by człowiek wiedzieć, dokąd go odeślą.

— Pan, panie de Rochefort, otrzymasz stanowisko dowodzące wielkiego zaufania; pojedzie pan do Vincennes, gdzie uwięziony jest pan de Beaufort, i będzie go pan miał na oku. No, cóż się panu stało?

— Stało się to, że proponujesz mi pan rzecz niemożliwą — odparł Rochefort potrząsając głową z wyrazem rozczarowania.

— Jak to niemożliwą? Dlaczegoż niemożliwą?

— Gdyż ksiązę de Beaufort jest jednym z moich przyjaciół, a raczej ja jestem jednym z jego przyjaciół. Zapomniał pan, monsignore, że to on ręczył za mnie wobec królowej.

— Od tego czasu ksiązę de Beaufort stał się wrogiem państwa.

— Tak, monsignore, to możliwe. Ale ponieważ nie jestem ani królem, ani królową, ani ministrem, nie jest on moim wrogiem, a zatem nie mogę się zgodzić na pańską propozycję.

— I to nazywa pan oddaniem? Gratuluję panu! Pańskie oddanie nie zobowiązuje pana zbyt, panie de Rochefort.

— A poza tym — ciągnął Rochefort — rozumie pan, monsignore, że wyjść z Bastylii po to, by wejść do Vincennes, nie jest niczym innym, jak tylko zmianą więzienia.

— Powiedz pan lepiej od razu, że należy pan do stronnictwa księcia de Beaufort. Będzie to z pańskiej strony bardziej szczerze.

— Siedziałem, monsignore, tak długo w zamknięciu, że należę tylko do jednego stronnictwa: stronnictwa świeżego powietrza. Proszę mnie zatrudnić we wszelki inny sposób; wysłać z misją, dać coś do roboty, lecz na szerokiej arenie, o ile to możliwe.

— Mój drogi panie de Rochefort — rzekł Mazarini szyderczo — gorliwość ponosi pana. Uważa się pan wciąż jeszcze za człowieka młodego, gdyż pańskie serce jest jeszcze wciąż młode, lecz brakłoby panu sił. Proszę mi wierzyć: obecnie potrzebny jest panu wypoczynek. Hej! Jest tam który?!

— Więc nie postanawia pan nic w stosunku do mnie, monsignore?

— Przeciwnie, postanowiłem.

Wszedł Bernouin.

— Proszę przywołać odźwiernego — rzekł doń kardynał i dodał po cichu: — Pozostań przy mnie.

Wszedł odźwierny. Mazarini skreślił kilka słów, oddał mu je, po czym

skinał głową.

— Żegnam, panie de Rochefort — wyrzekł.

Rochefort skłonił się z szacunkiem.

— Widzę, monsignore — powiedział — że prowadzą mnie z powrotem do Bastylii...

— Jesteś pan bystry.

— Zatem powracam tam, monsignore, lecz powtarzam panu, że popełnia pan błąd nie umiejąc mnie wykorzystać.

— Pana, który jesteś przyjacielem moich wrogów!

— Cóż robić, należało postarać się, abym się stał wrogiem pańskich wrogów.

— Sądzi pan, że jesteś jedyny, panie de Rochefort? Wierz mi, że znajdę niejednego, który panu dorówna.

— Życzę panu tego, monsignore.

— Dobrze, idź pan, idź pan już! Ale, ale, proszę, nie trudź się pan więcej pisaniem do mnie, panie de Rochefort, gdyż listy pana będą należały do rzędu listów zaginionych.

— Zostałem użyty po prostu do wyciągnięcia kasztanów z ognia — mruknął Rochefort wychodząc. — Jeśli d'Artagnan nie będzie zadowolony, kiedy powtórzę mu pochwały, jakie wygłosiłem na jego cześć, to trudno. Ale gdzież mnie, u diabła, prowadzą?

W samej rzeczy Rocheforta prowadzono małymi schodami, zamiast przez przedpokój, gdzie oczekiwał d'Artagnan. Na podwórku zastał karetę i czterech ludzi eskorty, daremnie jednak szukał przyjaciela.

— Ho, ho! — rzekł do siebie Rochefort — to zupełnie zmienia postać rzeczy! Jeśli na ulicach znajduje się wciąż jeszcze tak wiele pospólstwa, postaramy się dowieść Mazariniemu, że Bogu dzięki jesteśmy jeszcze zdolni do czegoś lepszego aniżeli do pilnowania więźnia.

I wskoczył do karety tak lekko, jakby miał najwyżej dwadzieścia pięć lat.

## 4. Anna Austriaczka w wieku czterdziestu sześciu lat

Pozostawszy sam z Bernouinem, Mazarini siedział przez chwilę zamyślony. Wiedział już o tej sprawie wiele, jednakże nie wiedział jeszcze wszystkiego. Mazarini w grze był szachrajem; jest to jeden ze szczegółów zachowanych przez Brienne'a; nazywał to rozgrywaniem partii. Postanowił nie przystępować do rozgrywki z d'Artagnanem, dopóki nie zapozna się ze wszystkimi kartami przeciwnika.

— Czy monsignore ma mi coś do rozkazania? — zapytał Bernouin.

— Owszem — odparł Mazarini — poświecisz mi, idę do królowej.

Bernouin wziął lichtarz i ruszył pierwszy. Między apartamentami i gabinetem Mazariniego a apartamentami królowej znajdowało się tajemne przejście. Przez ten właśnie korytarz przechodził kardynał udając się o każdej porze dnia i nocy do Anny Austriaczki.

Dotarłszy do sypialni królowej, gdzie był wylot owego przejścia, Bernouin natknął się na panią Beauvais. Pani Beauvais i Bernouin byli zaufanymi powiernikami tych przejrzałych miłostek; pani Beauvais podjęła się teraz zaanonsować kardynała Annie Austriaczce, bawiącej w domowej kaplicy z młodym Ludwikiem XIV.

Anna Austriaczka siedząc w wielkim fotelu, z łokciem wspartym o stół, a głową na ręce, spoglądała na królewskie dziecko, które leżąc na dywanie kartkowało wielką księgę o wojnach. Anna Austriaczka była królową, która znakomicie umiała się nudzić zachowując majestat; pozostawała niekiedy całymi godzinami ukryta w swym pokoju czy kaplicy domowej, ani czytając, ani się modląc.

Książka, którą bawił się król, była dziełem Quintusa Curtiusa<sup>13</sup>, bogato

---

13 Quintus Curtius — historyk rzymski, autor Historii Aleksandra Wielkiego.

ozdobionym sztychami przedstawiającymi wspaniałe czyny Aleksandra.

Pani Beauvais ukazała się w drzwiach kaplicy i zaanonsowała kardynała Mazariniego.

Dziecko podniosło się na jedno kolano, zmarszczyło brew i patrząc na matkę powiedziało:

— Dlaczegoż to wchodzi on nie prosząc o audiencję?

Anna lekko poczerwieniała.

— W czasach, w jakich żyjemy, jest rzeczą konieczną — odrzekła — aby pierwszy minister mógł o każdej porze zdać królowej sprawę z tego, co się dzieje, nie budząc zaciekawienia czy komentarzy całego dworu.

— Zdaje mi się jednak, że pan de Richelieu nie wchodził w ten sposób — odrzekło nieubłaganie dziecko.

— Jakże możesz pamiętać, co robił pan de Richelieu? Nie masz o tym pojęcia, byłś zbyt mały.

— Ja tego nie pamiętam; zapytałem o to i powiedziano mi.

— A któż ci o tym powiedział? — zapytała Anna Austriaczka z odruchem źle skrywanego niezadowolenia.

— Wiem dobrze, że nie powinienem nigdy wymieniać osób, które odpowiadają mi na stawiane pytania — odparło dziecko — gdyż inaczej nigdy bym się już niczego więcej nie dowiedział.

W tejże chwili wszedł Mazarini. Na to król poderwał się, wziął książkę, zamknął ją i położył na stole, przy którym stanął, by zmusić Mazariniego do pozostawania również w pozycji stojącej.

Mazarini bystro obserwował całą tę scenę, szukając w niej wytłumaczenia tego, co ją poprzedziło. Skłonił się z szacunkiem przed królową i złożył głęboki ukłon królowi, który odpowiedział mu skinieniem głowy dość wyniosłym. Lecz spojrzenie matki wytknęło mu to poddawanie się uczuciom nienawiści, jakie od dzieciństwa żywił Ludwik XIV w stosunku do kardynała, wobec czego przyjął pozdrowienie ministra z uśmiechem na ustach.

Anna Austriaczka z wyrazu twarzy Mazariniego usiłowała odgadnąć przyczynę tej nieprzewidzianej wizyty; zazwyczaj kardynał przychodził wówczas, gdy już wszyscy się byli oddalili.

Minister skinął ledwie dostrzegalnie głową, na co królowa zwróciła się do pani Beauvais:

— Czas już, żeby król się położył; proszę przywołać Laporte'a. Królowa mówiła młodemu Ludwikowi już dwa czy trzy razy, ażeby odszedł, ale za każdym razem dziecko tkliwie prosiło, że chce jeszcze pozostać. Obecnie jednak młody król nie pozwolił sobie na żadną uwagę, tylko zagryzł wargi i przybladł.

W chwilę później wszedł Laporte.

Chłopiec skierował się wprost do niego, nie uściskawszy matki.

— Cóż to, Ludwiku — spytała Anna — dlaczego nie uściskałeś mnie wcale?

— Wydawało mi się, że gniewasz się na mnie, pani. Wyrzucasz mnie stąd.

— Nie wyrzucam cię, lecz przeszedłeś właśnie wietrzną ospę, jesteś jeszcze cierpiący i obawiam się, by dłuższe czuwanie nie zmęczyło cię.

— Nie żywiłaś tych obaw, kiedy kazałaś mi dzisiaj udać się do Palais celem wydania tych niegodziwych ustaw, co tak wzburzyły lud.

— Sire — odezwał się Laporte, by odwrócić uwagę króla — komu wasza królewska mość życzy sobie, bym oddał świecznik?

— Komu chcesz, Laporte — odrzekło dziecko i podnosząc głos dodało: — byleby tylko nie Manciniemu.

Pan Mancini był siostrzeńcem kardynała, Mazarini ulokował go przy królu w charakterze pazia, na którego Ludwik XIV przelał część nienawiści, jaką żywił do kardynała.

Po czym król wyszedł nie uściskawszy matki i nie skłoniwszy się kardynałowi.

— To mi się podoba! — rzekł Mazarini. — Z przyjemnością patrzę, jak jego królewska mość wychowuje się w odrazie do udawania.

— Dlaczegoż to? — zapytała królowa z pewną nieśmiałością.

— Zdaje mi się, że odejście króla mówi samo za siebie. Jego królewska mość nie zadaje sobie trudu, by ukrywać brak życzliwości w stosunku do mnie, co zresztą nie przeszkadza mi być całkowicie oddanym jego sługą, podobnie jak i waszej królewskiej mości.

— Proszę mu wybaczyć, eminencjo — rzekła królowa — dziecko to nie jest jeszcze w stanie pojąć, jak wiele ma panu do zawdzięczenia.

Kardynał uśmiechnął się.

— Ale zapewne — ciągnęła dalej królowa — przyszedł pan w jakiejś ważnej sprawie. Co zaszło?

Mazarini usiadł, a raczej rozparł się w szerokim fotelu i powiedział melancholijnie:

— Zaszło to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będziemy zmuszeni wkrótce się rozstać, chyba że pani posunie swe przywiązanie aż tak daleko, by mi towarzyszyć do Italii.

— A to dlaczego?

— Dlatego — odrzekł Mazarini — że podobnie jak w operze Thisbe:

*Świat cały się sprzyściągł żar uczuć naszych rozdzielić...*

— Pan żartujesz — powiedziała królowa, usiłując choć w części odzyskać swą dawną postawę pełną godności.

— Niestety, pani — odparł Mazarini. — Daleki jestem od żartów. Proszę mi wierzyć, że bliższy raczej płaczu; istnieje po temu powód, gdyż proszę zwrócić uwagę na to, co powiedziałem:

*Świat cały się sprzyściągł żar uczuć naszych rozdzielić...*

A ponieważ pani stanowi część całego świata, chcę przez to powiedzieć, że

i pani mnie opuszcza.

— Kardynale!

— Ach, mój Boże, czyż nie widziałem, jak uśmiechała się pani kiedyś przyjemnie do pana diuka Orleańskiego, a raczej do słów, jakie pani mówił?

— I cóż takiego mi mówił?

— Mówił pani: Mazarini jest zawadą; niech sobie odejdzie, a wszystko ułoży się dobrze.

— Więc cóż by pan chciał, bym zrobiła?

— Och, pani! Jesteś królową, jak mi się wydaje!

— Piękna mi królowa, zależna od pierwszego lepszego pisarzyny z Palais-Royal czy pierwszego lepszego szlachetki w królestwie!

— Jednak posiada pani dość władzy, aby oddalić ludzi, którzy się pani nie podobają.

— To jest tych, którzy nie podobają się panu — odpowiedziała królowa.

— Mnie?!

— Bez wątplenia. Kto odprawił panią de Chevreuse, prześladowaną w ciągu dwunastu lat za poprzednich rządów?

— Podła intrygantka, która intrygi rozpoczęte przeciwko panu de Richelieu chciała prowadzić dalej przeciwko mnie.

— Kto odprawił panią de Hautefort, tę tak oddaną przyjaciółkę, która odrzuciła łaski króla dla zachowania moich?

— Skromnisia, rozbierając panią co wieczór, mówiła, że zgubi pani swą duszę kochając się z księdzem, jak gdyby ktoś był księdzem dlatego, że jest kardynałem!

— Kto kazał aresztować pana de Beaufort?

— Warchoł, który nie rozprawiał o niczym innym, tylko o zgładzeniu mnie!

— Widzisz więc, kardynale, że twoi wrogowie są i moimi wrogami.

— To mało, pani, trzeba jeszcze, aby twoi przyjaciele stali się również



moimi przyjaciółmi.

— Moi przyjaciele?... — Królowa potrząsnęła głową. — Niestety! Nie mam ich już wcale.

— Jakże to możliwe, byś nie posiadała, pani, przyjaciół w szczęściu skoro miałaś ich tylu w okresie niepowodzeń?

— Ponieważ w szczęściu zapomniałam o tych przyjaciółach. Ponieważ postąpiłam podobnie jak królowa Maria de Medici, która po powrocie ze swego pierwszego wygnania pogardziła tymi wszystkimi, co dla niej cierpieli, i która, wygnana po raz drugi, zmarła w Kolonii opuszczona przez wszystkich, nawet przez rodzzonego syna, gdyż teraz z kolei nią wszyscy wzgardzili.

— No więc — rzekł Mazarini — czyż nie można jeszcze naprawić tego zła? Poszukaj, pani, wśród swoich przyjaciół tych najdawniejszych.

— Co chcesz pan przez to powiedzieć?

— Nic innego, tylko to, co powiedziałem: poszukaj, pani.

— Niestety! Mimo iż rozglądam się wkoło, nie widzę, na kogo mogłabym mieć jakiś wpływ. Jego książęca wysokość ulega, jak zwykle, wpływom swoich faworytów. Wczoraj był to Choisy, dziś Lariviere, jutro będzie jeszcze kto inny. Księciem rządzi pani de Longueville, nią zaś samą księżę de Marsillac, jej kochanek. Panem de Conti włada koadiutor, którego znów wodzi za nos pani de Guemenee.

— Toteż nie radzę pani poszukiwać wśród jej dzisiejszych przyjaciół, ale pośród tych dawniejszych.

— Pośród moich dawniejszych przyjaciół? — zapytała królowa.

— Tak, pomiędzy pani dawniejszymi przyjaciółmi, tymi, którzy dopomogli pani w walce z księciem de Richelieu, a nawet w pokonaniu go.

— Do czego on zmierza? — szepnęła królowa spoglądając na kardynała z niepokojem.

— Tak — ciągnął Mazarini — potęgą i lotnością, tak charakterystycznymi dla umysłu waszej królewskiej mości, potrafiłaś pani w pewnych

okolicznościach odeprzeć z pomocą tych przyjaciół ataki swego przeciwnika.

— Ja? — wyrzekła królowa. — Ja cierpiałam, oto wszystko.

— Tak — odparł kardynał — cierpiała pani podobnie jak wszystkie kobiety: mszcząc się. A więc do rzeczy! Czy znany jest pani pan de Rochefort?

— Pan de Rochefort nie był nigdy moim przyjacielem, wprost przeciwnie: jednym z moich najbardziej zażartych wrogów — rzekła królowa. — Był on jednym z najwierniejszych sług pana kardynała. Myślałam, że pan o tym wie.

— Wiem o tym tak dobrze — odparł Mazarini — żeśmy kazali go zamknąć w Bastylii.

— Czy może wyszedł stamtąd? — spytała królowa.

— Nie, bądź pani spokojna, proszę: przebywa tam nadal. Wspominam o nim jedynie po to, by dojść do innej osoby. Czy zna pani pana d'Artagnan? — ciągnął Mazarini patrząc królowej prosto w oczy.

Cios ten ugodził ją w samo serce.

— Czyżby Gaskończyk okazał się niedyskretny? — szepnęła.

Po czym odezwała się głośno:

— D'Artagnan? Zaraz, ależ tak, oczywiście, nazwisko to jest mi znane. D'Artagnan, muszkieter, który kochał się w jednej z moich dam, w biednym małym stworzeniu, otrutym z mojej przyczyny.

— Czy to wszystko? — spytał Mazarini.

Królowa spojrzała na kardynała ze zdumieniem.

— Ależ, panie, wydaje mi się, że jestem po prostu przesłuchiwana.

— Mimo to odpowiada pani powodując się jedynie własną fantazją — odrzekł Mazarini swym słodkim jak zawsze głosem i ze swym wiecznym uśmiechem.

— Proszę, by pan jasno wyłożył mi swoje życzenia, a wówczas dam równie jasną odpowiedź — rzekła królowa zaczynając się niecierpliwić.

— A więc, pani — rzekł skłoniwszy się Mazarini — pragnę, abys zezwoliła korzystać mi z usług swoich przyjaciół, podobnie jak sama korzystasz

z tej odrobiny mej zręczności i talentu, którymi obdarzyły mnie nieba.

Okoliczności są poważne i trzeba będzie działać energicznie.

— Co jeszcze? — powiedziała królowa. — Myślałam, że rozwiązaliśmy sprawę kończąc na panu de Beaufort.

— Tak! Widziała pani jedynie strumień, który chciał wszystko wywrócić, a nie zwróciłaś pani uwagi na cichą wodę. A tymczasem istnieje we Francji znane przysłowie o cichej wodzie.

— Dokończ pan — rzekła królowa.

— A więc — ciągnął Mazarini — znoszę codziennie zniewagi od pani książąt i utytułowanych pachołków. Wszystko to marionetki. Nie widzą, że trzymam ich nici w rękę. Pod moją maską cierpliwej powagi nie potrafią odgadnąć śmiechu człowieka zirytowanego, który przysiągł sobie stać się pewnego dnia silniejszym od nich. Zaareztowaliśmy pana de Beaufort, to prawda, jednak jest on najmniej niebezpieczny ze wszystkich. Jest jeszcze jego książęca wysokość.

— Zwycięzca spod Rocroi! O czym pan myślisz?

— Tak, pani, myślę, i nawet bardzo często, ale *patienza*<sup>14</sup>, jak powiadamy my, Włosi. A następnie, po panu de Conde jest jeszcze diuk Orleański.

— Co też pan mówi? Pierwszy książę krwi, stryj króla!

— Nie. Ani pierwszy książę krwi, ani stryj króla, lecz podły spiskowiec, który za poprzednich rządów, ulegając swemu kapryśnemu i dziwacznemu charakterowi, trapiiony nędznymi kłopotami, pożerany niską ambicją, zazdrosny o wszystkich przewyższających go w prawości i odwadze, podrażniony swoją nicością, płynącą z nieudolności, stał się echem wszelkich niecných wieści, stał się duszą wszelkich intryg, dał hasło ruszenia naprzód tym wszystkim dzielnym ludziom, którzy byli na tyle głupi, by zawierzyć słowu człowieka królewskiej krwi, człowieka, który zaparł się ich, kiedy wstępowali na szafot! Nie! Ani książę krwi, ani stryj króla, powtarzam, ale morderca de Chalais, de

---

<sup>14</sup> *Patienza* (wł.) — cierpliwość.

Montmorency i Cinq-Marsa<sup>15</sup>, który próbuje dziś prowadzić taką samą grę i który wyobraża sobie, że wygra partię, ponieważ zmienił przeciwnika i zamiast człowieka, który groził, ma przed sobą kogoś, kto się uśmiecha. Ale myli się, przegra, jak przegrał z panem de Richelieu. Nie widzę powodu, by wokół królowej trwał ów ferment niezgody, którym zmarły pan kardynał przez dwadzieścia lat burzył zółć królowi.

Anna Austriaczka zaczerwieniła się i ukryła twarz w dłoniach.

— Nie chcę bynajmniej upokarzać waszej królewskiej mości — ciągnął Mazarini tonem już wprawdzie dużo spokojniejszym, ale równocześnie dziwnie twardym. — Żądam poszanowania królowej i jej ministra. W oczach ogółu bowiem nie jestem niczym więcej. Waszej królewskiej mości wiadomo dobrze, że nie jestem, jak to się wielu ludziom wydaje, jakimś pajacem przybyłym z Italii. I wszyscy to winni rozumieć tak, jak wasza królewska mość.

— Cóż więc należy mi czynić? — wyrzekła Anna Austriaczka, ulegając sile tego władczego głosu.

— Odszukaj pani w swej pamięci imiona tych wiernych i oddanych ludzi, którzy wbrew panu kardynałowi de Richelieu przebyli morze, znacząc całą drogę śladami przelanej krwi, ażeby zwrócić waszej królewskiej mości pewien klejnot, ofiarowany przez nią panu de Buckingham.

Anna, podrażniona i pełna majestatu, poderwała się, jakby uniesiona stalową sprężyną. Spoglądając na kardynała wyniośle i z godnością, co czyniło ją tak potężną w dniach młodości, wyrzekła:

— Pan mnie znieważasz.

— Pragnę wreszcie — mówił Mazarini ciągnąc myśl przerwana porywem królowej — pragnę, byś pani dziś uczyniła dla swego małżonka to, co niegdyś uczyniłaś była dla kochanka.

— I znowu ta potwarz! — wykrzyknęła królowa. — Sądziłam, że cała sprawa dawno już pogrzebana i zatuszowana, gdyż dotychczas oszczędzałeś mi

---

15 Patrz obj. na str. 17

jej pan. Lecz oto znów do niej wracasz. Tym lepiej! Teraz załatwimy ją między nami i wszystko będzie skończone. Rozumiesz pan?

— Ależ, pani — rzekł Mazarini zdziwiony tym nawrotem siły — wcale nie wymagam, byś mi pani powiedziała wszystko.

— Lecz ja życzę sobie powiedzieć panu wszystko — odparła Anna Austriaczka. — Proszę więc słuchać. Chcę panu powiedzieć, iż w owym czasie istotnie miałam cztery serca oddane, cztery szczere dusze, cztery wierne szpady, które ocaliły mi coś więcej niż życie, mój panie, ocaliły mi honor.

— A więc przyznajesz to, pani — rzekł Mazarini.

— A czyż każdy, o czyj honor idzie gra, musi być winny? Czy nie można zniesławić człowieka, zwłaszcza kobiety, na podstawie pozorów? Tak, pozory były przeciwko mnie i mało brakowało, a zostałabym zniesławiona. Przysięgam jednak, że byłam niewinna. Przysięgam...

Królowa poszukała jakiegoś przedmiotu poświęcanego, na który mogłaby przysiąc; wyjmując z ukrytej w obiciu szafy małą szkatułkę z różanego drzewa, inkrustowaną srebrem, i kładąc ją na ołtarzu, znów zabrała głos:

— Przysięgam na te święte relikwie, że choć kochałam pana de Buckingham, nie był on moim kochankiem.

— A cóż to za relikwie, na które pani przysięgasz — rzekł uśmiechając się Mazarini. — Ostrzegam panią, że będąc Rzymianinem, jestem niedowiarkiem. Istnieją relikwie i relikwie.

Królowa zdjęła z szyi mały złoty kluczyk i podała go kardynałowi.

— Proszę, otwórz pan — rzekła — a sam się przekonasz.

Mazarini, zdziwiony, wziął kluczyk i otworzył szkatułkę, w której znalazł jedynie sztylet zżarty przez rdzę i dwa listy, w tym jeden poplamiony krwią.

— Cóż to takiego? — zapytał.

— Co to takiego? — rzekła Anna Austriaczka wyciągając z królewskim gestem nad otwartą szkatułką ramię, które mimo lat pozostało doskonale piękne. — Zaraz to panu wyjaśnię: Te dwa listy są jedynymi listami, jakie do niego

kiedykolwiek napisałam. Ten sztylet, to sztylet, którym ugodził go Felton. Przeczytaj pan listy, a przekonasz się, czy skłamałam.

Wiedziony naturalnym uczuciem, Mazarini, mimo danego mu zezwolenia, zamiast przeczytać listy wziął sztylet, który umierający Buckingham wyrwał z rany i przesłał królowej przez Laporte'a. Ostrze było całkowicie zżarte rdzą, krew bowiem zamieniła się w rdzę. Po chwili, w czasie której królowa zbladła stając się biała jak obrus ołtarza, o który była wsparta, kardynał, obejrzawszy sztylet, włożył go na powrót do inkrustowanej szkatułki, wstrząśnięty mimowolnym dreszczem.

— Dobrze, pani, ufam pani przysiędze.

— Nie, nie! Proszę, przeczytaj pan — rzekła królowa marszcząc brwi. — Proszę, przeczytaj, żądam tego, rozkazuję, ażeby jak postanowiłam, zakończyć raz to wszystko i nigdy już nie wracać do tego tematu. Czy przypuszczasz pan — dorzuciła ze straszliwym uśmiechem — że będę skłonna do otwierania tej szkatułki za każdym razem, kiedy zechce mnie pan oskarżać?

Mazarini, ulegając tej presji, posłuchał prawie machinalnie i przeczytał oba listy. W jednym z nich królowa prosiła Buckinghama o zwrot klejnotów; był to list zawieszony przez d'Artagnana, list, który przybył w porę. W drugim, wręczonym przez Laporte'a, królowa przestrzegała diuka, że zostanie zamordowany. List ten przybył za późno.

— Tak, pani — ozwał się Mazarini — nie ma tu już nic więcej do powiedzenia.

— Owszem, panie — rzekła królowa zamykając szkatułkę i opierając na niej dłoń. — Owszem, jest tu jeszcze coś do powiedzenia: a mianowicie, że do tej pory nie okazałam wdzięczności ludziom, którzy mnie uratowali i którzy zrobili wszystko, co było w ich mocy, aby uratować i jego; to znaczy, że temu dzielnemu d'Artagnanowi, o którym mi pan przed chwilą mówił, nie dałam nic, prócz ręki do pocałowania i tego oto diamentu.

Królowa wyciągnęła do kardynała swą piękną dłoń i pokazała mu cudowny

kamień, co lśnił na jej palcu.

— Sprzedał go, jak się zdaje — ciągnęła dalej — sprzedał go, aby mnie ocalić po raz drugi, trzeba bowiem było wyprawić posłańca do diuka, by go uprzedzić o przygotowywanym nań zamachu.

— Więc d'Artagnan wiedział o tym?

— Wiedział wszystko. W jaki sposób to zrobił, nie mam pojęcia. Jednym słowem, sprzedał kamień panu des Essarts, na którego palcu ujrzałam ów pierścień i od którego odkupiłam go. Ale diament ten należy do d'Artagnana... Proszę, by pan mu go oddał ode mnie, a ponieważ będzie pan miał szczęście mieć obok siebie takiego człowieka, proszę się starać mądrze nim posłużyć.

— Dziękuję pani — rzekł kardynał — skorzystam z pani rady.

— A teraz — podjęła królowa jakby załamana wzruszeniem — czy ma pan jeszcze jakieś inne sprawy?

— Nie pozostało mi nic, pani — odrzekł kardynał głosem najbardziej pieśczośliwym — jak tylko błagać o wybaczenie mych niesłusznych podejrzeń. Ale kocham panią tak bardzo, że nic dziwnego, iż jestem zazdrosny nawet o przeszłość.

Po wargach królowej przemknął uśmiech o nieokreślonym wyrazie.

— A więc — powiedziała — jeśli pan nie masz żadnych spraw do mnie, proszę mnie opuścić... Winien pan zrozumieć, że po takiej scenie pragnę pozostać sama.

Mazarini skłonił się.

— Odchodzę, pani — rzekł — czy będzie mi dozwolone powrócić?

— Tak, ale dopiero jutro. To wcale nie za dużo czasu, aby przyjść do siebie.

Kardynał ujął rękę królowej i ucałował ją z galanterią, po czym oddalił się. Zaledwie wyszedł, królowa udała się do apartamentu syna i zapytała Laporte'a, czy król już się położył. Laporte wskazał ręką na śpiące dziecko.

Anna Austriaczka wstąpiła na stopnie łóżka, przybliżyła usta do

zmarszczonego czoła synka i złożyła delikatny pocałunek. Potem oddaliła się równie cicho, jak była weszła, poprzestając na zwróceniu się do pokojowca:

— Postaraj się, mój drogi Laporte, żeby król łaskawiej przyjmował kardynała, wobec którego zarówno on sam, jak i ja mamy tak wielkie zobowiązania.



## 5. Gaskończyk i Włoch

Tymczasem kardynał powrócił do swego gabinetu, przy którego drzwiach czuwał Bernouin. Zapytał, czy nie zaszło nic nowego i czy nie było żadnych wiadomości z zewnątrz. Na przeczącą odpowiedź dał mu znak, by się oddalił.

Pozostawszy sam, poszedł otworzyć drzwi na korytarz, a następnie drzwi wiodące do przedpokoju. D'Artagnan, zmęczony, spał na ławie.

— Panie d'Artagnan — ozwał się kardynał cichym głosem. D'Artagnan ani drgnął.

— Panie d'Artagnan! — rzekł kardynał głośniej.

D'Artagnan spał dalej. Kardynał zbliżył się i końcami palców dotknął jego ramienia. Tym razem d'Artagnan drgnął, obudził się, a budząc się stanął na równe nogi jak żołnierz pod bronią.

— Jestem — wyrzekł. — Kto mnie woła?

— To ja — odezwał się kardynał, uśmiechając się jak najmilej.

— Proszę mi wybaczyć, wasza eminencjo, lecz byłem tak zmęczony...

— Nie proś mnie pan o przebaczenie — odparł Mazarini — gdyż zmęczyłeś się na mojej służbie.

D'Artagnan był pełen podziwu dla wielkiej łaskawości ministra. Cóż u diabła? — rzekł w duchu. — Czyżby przysłowie, że dobro spływa w czasie snu, było prawdziwe?

— Proszę za mną, panie d'Artagnan! — powiedział Mazarini.

— Tak, tak — zamruczał d'Artagnan. — Rochefort dotrzymał słów a. Ale którądy, u diabła, on przeszedł?

I obrzucił wzrokiem najciemniejsze zakątki gabinetu, lecz Rocheforta tam nie było.

— Panie d'Artagnan — rozpoczął Mazarini siadając i rozpierając się w

fotelu — wydawał mi się pan zawsze dzielny i zacnym człowiekiem.

Być może, aleś się długo namyślał, żeby mi to powiedzieć, pomyślał d'Artagnan, co nie przeszkodziło mu pokłonić się Mazariniemu w pas na jego komplement.

— A więc — ciągnął Mazarini — nadeszła sposobna chwila, by zużytkować pańskie talenty i pańską waleczność.

W oczach oficera zalśniła niby błyskawica radość, która zaraz zagasła, gdyż nie wiedział, do czego Mazarini zmierza.

— Proszę rozkazywać, monsignore — wyrzekł. — Jestem do usług waszej eminencji.

— Panie d'Artagnan — ciągnął Mazarini — pod rządami poprzedniego króla dokonał pan niejednego bohaterskiego czynu...

— Wasza eminencja jest nazbyt łaskawy wspominając o tym... To prawda, wojowałem dość pomyślnie.

— Nie mówię o pana czynach wojennych — przerwał Mazarini — gdyż jakkolwiek było o nich dość głośno, przewyższają je inne pańskie czyny.

D'Artagnan wyraził zdziwienie.

— No cóż — mówił Mazarini — nie odpowiada pan?

— Oczekuję — odparł d'Artagnan — by monsignore powiedział mi, które z tych czynów ma na myśli.

— Mówię o przygodzie... Ech, pan dobrze wie, co chcę powiedzieć.

— Niestety, nie wiem, monsignore — odrzekł d'Artagnan bardzo zdziwiony.

— Jest pan dyskretny, tym lepiej. Pragnę mówić o przygodzie królowej, o tych klejnotach, o podróży, jaką pan przedsięwziął wraz z trzema swymi przyjaciółmi.

He, he! — pomyślał Gaskończyk — czyżby to pułapka? Trzymajmy się ostro.

I rysom twarzy przydał wyraz takiego zdumienia, że mogliby mu

pozazdrościć Mondori czy Bellerose, dwaj najlepsi aktorzy tej epoki.

— Znakomicie! — rzekł Mazarini śmiejąc się. — Brawo! Słusznie mi powiedziano, że jesteś pan człowiekiem, jakiego mi potrzeba. Zobaczymy więc, co mógłby pan zrobić dla mnie.

— Wszystko, co wasza eminencja rozkaże — odpowiedział d'Artagnan.

— Czy zrobiłby pan dla mnie to, co niegdyś dla królowej?

Na pewno — rzekł do siebie d'Artagnan — chodzi o to, żebym się wygadał. Zobaczymy, do czego on zmierza. Nie jest sprytniejszy od Richelieugo, u diabła!... — A zwracając się do kardynała, dodał:

— Dla królowej, monsignore? Nie rozumiem...

— Nie rozumiesz pan, że jesteś mi potrzebny, pan i pańscy trzej przyjaciele?

— Przyjaciele? Jacy?

— Trzej dawni pana przyjaciele.

— Ongiś, monsignore — odparł d'Artagnan — miałem nie trzech przyjaciół, miałem ich pięćdziesięciu. W wieku lat dwudziestu wszystkich nazywa się przyjaciółmi.

— Dobrze, dobrze, panie oficerze! — mówił Mazarini. — Dyskrecja jest piękną rzeczą, lecz dziś mógłby pan pożałować swojej zbytnej dyskrecji.

— Monsignore, Pitagoras zalecał uczniom milczeć przez pięć lat, by ich nauczyć tej sztuki.

— A pan milczałeś przez dwadzieścia. To znaczy o piętnaście lat dłużej niż jakiś tam filozof pitagorejski, co wydaje mi się rozsądne. Dzisiaj proszę mówić, gdyż sama królowa zwalnia pana z przysięgi.

— Królowa! — wykrzyknął d'Artagnan ze zdziwieniem, które tym razem nie było udane.

— Tak jest, królowa! I na dowód, że mówię w jej imieniu, poleciła mi pokazać panu ten diament, który, jak twierdzi, jest mu znany, a który odkupiła była od pana des Essarts.

I Mazarini wyciągnął dłoń ku oficerowi, który westchnął rozpoznając pierścień ofiarowany mu przez królową w ów balowy wieczór na Ratuszu.

— Istotnie — rzekł d'Artagnan — rozpoznaję ten diament. Należał on do królowej.

— Widzisz pan zatem, że mówię w jej imieniu. Proszę mi więc odpowiadać bez dalszych komedii. Powiedziałem już panu i powtarzam jeszcze raz, że chodzi o pańską fortunę.

— Na honor, monsignore! Potrzebny mi bardzo uśmiech fortuny. Wasza eminencja tak długo zapominał o mnie.

— Da się to naprawić w osiem dni. Więc pan jesteś już tutaj, ale gdzie są pańscy przyjaciele?

— Nic o nich nie wiem, monsignore.

— Jak to, nic pan o nich nie wiesz?

— Nie wiem; rozłączyliśmy się już dawno, gdyż wszyscy trzej porzucili służbę.

— W takim razie gdzie ich pan odnajdziesz?

— Gdziekolwiek by się znajdowali. To już moja rzecz.

— Dobrze. Pańskie warunki?

— Potrzebuję pieniędzy, monsignore. Tyle pieniędzy, ile ich nasze przedsięwzięcia będą wymagały. Przypominam sobie nazbyt dobrze, ile to razy brak pieniędzy stawał nam na przeszkodzie i jak bylibyśmy utknęli w połowie drogi bez tego diamentu, który zmuszony byłem sprzedać.

— Do diabła! Pieniądzy, i to dużo pieniędzy! — rzekł Mazarini. — Jak panu pilno do nich, panie oficerze! Czyż pan nie wiesz, że szkatuły królewskie są puste?

— Uczyń, monsignore. jak ja i sprzedaj diamenty z korony. Proszę mi wierzyć, że nie warto się targować. Wielkich celów nie osiąga się małymi środkami.

— A więc — rzekł Mazarini — postaramy się pana zadowolić.

Richelieu — pomyślał d'Artagnan — byłby mi już wypłacił pięćset pistoli zadatku.

— Czy mogę więc liczyć na pana? — zapytał kardynał.

— Tak, o ile zgodzą się moi przyjaciele.

— A w razie ich odmowy, czy mógłbym liczyć na pana?

— Nigdy nie udało mi się zrobić coś samemu — rzekł d'Artagnan potrząsając głową.

— A więc proszę ich odnaleźć.

— Cóż mam im powiedzieć, aby ich nakłonić do wstąpienia w służbę waszej eminencji?

— Znasz ich pan lepiej ode mnie. Poczyni im pan obietnice zgodne z ich charakterami.

— Co mam im obiecać?

— Niechaj mi służą, jak służyli królowej, a odwdzięczę się im wspaniale.

— A co mamy robić?

— Wszystko, gdyż wydaje się, że potraficie wszystko.

— Monsignore, jeśli się żywi zaufanie do ludzi i pragnie, aby i oni mieli je do nas, wyjaśnia się zadanie dokładniej, niżli to czyni wasza eminencja.

— Bądź pan spokojny, panie d'Artagnan — odrzekł Mazarini. — nadejdzie chwila działania, dowie się pan, co zamierzam.

— A do tej pory?

— Proszę czekać i szukać swych przyjaciół.

— Być może, monsignore, że nie ma ich w Paryżu, jest to nawet zupełnie prawdopodobne. Trzeba będzie zatem podróżować. Jestem tylko porucznikiem muszkietarów, i to bardzo ubogim, a podróże kosztują.

— Nie leży w moich planach — powiedział Mazarini — aby występował pan zbyt okazale; projekty moje wymagają dyskrecji i ucierpiałyby z racji zbyt wielkiego orszaku.

— Jeszcze jedno, monsignore, nie mogę podróżować łożąc ze swego żołądu,

gdyż zalegają z jego wypłatą już trzy miesiące. Nie mogę też podróżować za swe oszczędności, zważywszy, że w ciągu dwudziestu dwu lat mej służby dorobiłem się jedynie długów.

Mazarini zamyślił się chwilę, jak gdyby staczając ciężką walkę wewnętrzną. Następnie podszedł do zamkniętej na potrójny zamek szafy, wyjął z niej woreczek i zważył go dwa czy trzy razy w ręku, zanim wręczył go d'Artagnanowi.

— Weź to pan na podróż — rzekł wzdychając.

Jeśli to są dublony hiszpańskie czy nawet złote talary — pomyślał d'Artagnan, to będziemy mogli razem coś niecoś przedsięwziąć.

Skłonił się kardynałowi, a obszerna jego kieszeń pochłonęła podany woreczek.

— A więc umówione — rzekł kardynał. — Uda się pan w podróż...

— Tak, monsignore.

— Proszę pisywać do mnie co dzień, abym wiedział, jak postępują pańskie układy.

— Nie omieszkam, monsignore.

— Doskonale. Aha, a jak brzmią nazwiska pańskich przyjaciół?

— Nazwiska moich przyjaciół? — powtórzył d'Artagnan jeszcze trochę zaniepokojony.

— Tak, podczas gdy pan będziesz ich szukał na swoją rękę, ja ze swej strony będę się także rozpytywał i może uda mi się czegoś dowiedzieć.

— Pan hrabia de La Fere, inaczej Atos; pan du Vallon, inaczej Portos; i kawaler d'Herblay, dziś ksiądz d'Herblay, inaczej Aramis.

Kardynał uśmiechnął się.

— Kadeci — rzekł — którzy zaciągnęli się do muszkietarów pod fałszywymi nazwiskami, ażeby nie skompromitować swoich nazwisk rodowych. Długie rapiery, lekkie trzosi, znana rzecz.

— Jeśli Bóg pozwoli, by rapiery te przeszły na służbę waszej eminencji —

rzekł d'Artagnan — to ośmielę się wyrazić życzenie, aby z kolei pański trzos, monsignore, stał się lekki, a ich przybrał na wadze. Jeśli waszej eminencji to odpowiada, wstrząśnie wasza eminencja z tymi trzema ludźmi i ze mną całą Francją, a nawet całą Europą.

— Ach, ci Gaskończycy — rzekł śmiejąc się Mazarini. — W przechwałkach dorównują prawie Włochom.

— A w każdym razie — odrzekł d'Artagnan uśmiechając się podobnie jak kardynał — przewyższają ich w szpadzie.

I wyszedł, poprosiwszy uprzednio o udzielenie mu urlopu, na co Mazarini natychmiast wyraził zgodę i dał swój podpis.

Zaledwie znalazł się na dworze, podszedł do latarni na dziedzińcu i pośpiesznie zajrzał do woreczka.

— Srebrne talary! — wykrzyknął z pogardą. — Domyślałem się tego. Ach, Mazarini, Mazarini! Więc nie masz do mnie zaufania. Tym gorzej, przyniesie ci to nieszczęście!

W tym samym czasie kardynał zacierał ręce.

— Sto pistoli — mrucał — sto pistoli! Za sto pistoli zdobyłem sekret, za który pan de Richelieu zapłaciłby dwadzieścia tysięcy talarów. Nie licząc tego diamentu — dodał i spojrzał z lubością na pierścień, który zamiast zwrócić d'Artagnanowi, zachował był sobie — nie licząc tego diamentu, który jest wart co najmniej dziesięć tysięcy liwrów.

I kardynał powrócił do swego pokoju, niezmiernie rad z tego wieczoru, który mu przyniósł tak piękny zysk. Włożył pierścień do szkatułki pełnej wszelkiego rodzaju brylantów, lubował się bowiem w drogich kamieniach. Zawezwał Bernouina, aby go rozdział z szat. Nie troszczył się już wcale o zgiełk, jaki ciągle uderzał falami o szyby, ani też o odgłosy strzałów rozbrzmiewające jeszcze na ulicach Paryża, mimo iż było już po jedenastej wieczór.

W tym samym czasie d'Artagnan szedł w kierunku ulicy Tiquetonne, gdzie

mieszkał w gospodzie „Pod Kózką”.

Opowiedzmy w kilku słowach, jak to się stało, że d'Artagnan tam zamieszkał.



## 6. D'Artagnan w wieku lat czterdziestu

Niestety! Od czasu gdy w powieści naszej Trzej Muszkieterowie rozstaliśmy się z d'Artagnanem przy ulicy des Fossoyeurs 12, przeminęło wiele wydarzeń, a nade wszystko wiele lat.

D'Artagnan sprostał okolicznościom, ale okoliczności zawiodły d'Artagnana. Jak długo otaczali go przyjaciele, d'Artagnan był pełen młodości i poezji. Należał do jednej z tych natur subtelnych i pomysłowych, które przyswajają sobie łatwo przymioty otoczenia. Od Atosa nabierał wzniosłości, od Portosa werwy, od Aramisa — wytworności. Gdyby d'Artagnan przebywał nadal z tymi trzema ludźmi, zostałby człowiekiem naprawdę znakomitym. Pierwszy opuścił go Atos, by osiąść w zaciszu na małym kawałku ziemi, który odziedziczył w stronach Blois; drugi uczynił to Portos, aby poślubić swoją prokuratorową; wreszcie trzeci — Aramis, by ostatecznie wstąpić do zakonu i zostać księdzem. Od tej chwili począwszy d'Artagnan, który zdawał się wiązać swą przyszłość z przyszłością swoich trzech przyjaciół, poczuł się samotny i słaby, pozbawiony przedsiębiorczości. Czuł, że mógłby dojść do czegoś jedynie pod warunkiem, by każdy z jego przyjaciół przelał nań część, jeśli się tak można wyrazić, fluidu elektrycznego, jaki otrzymał był od niebios.

Więc jakkolwiek został porucznikiem muszkieterów, d'Artagnan czuł się jeszcze bardziej osamotniony. Nie pochodził z tak dobrego rodu jak Atos, by wielkie domy otwierały przed nim swoje podwoje; nie był tak próżny jak Portos, aby się popisywać obracaniem w wyższych sferach; nie był tak szlachetnie urodzony jak Aramis, by zachować naturalną wytworność, którą ten miał już sobie wrodzoną. Przez pewien czas urocze wspomnienie pani Bonacieux podsycalo w umyśle młodego porucznika wydzźwięk pewnej poezji. Lecz podobnie jak wszystkie rzeczy na tym świecie, tak i to przemijające

wspomnienie powoli zatarło się w pamięci. Życie garnizonowe jest zabójcze nawet dla usposobień arystokratycznych. Z dwóch przeciwstawnych natur, z jakich składała się osobowość d'Artagnana, natura przyziemna powoli brała górę i nieznacznie, niepostrzeżenie dla samego siebie d'Artagnan — stale w polu, stale w garnizonie, stale na koniu — został tylko tym (nie wiem, jak nazywano to wówczas), kogo nazywamy dziś “szczerym wojakiem”.

Nie znaczy to, by d'Artagnan utracił pierwotną bystrość umysłu, nic podobnego. Przeciwnie, bystrość ta pogłębiła się, być może, albo przynajmniej wydawała się tym bardziej godna uwagi, że kryła się pod powłoką pewnego prostactwa. Lecz bystrości tej używał raczej w drobnych aniżeli w wielkich sprawach życia, używał jej, gdy chodziło o dobrobyt, dobrobyt rozumieniu żołnierskim: dobry nocleg, dobry wikt, dobra gospodyni.

I d'Artagnan znajdował to wszystko od sześciu lat przy ulicy Tiquetonne, gdzie widniał szyld “Pod Kózką”.

W początkach jego tam pobytu gospodyni domu, piękna i świeża Flamandka w wieku dwudziestu pięciu, sześciu lat, zapalała doń gorącym afektem. Po pewnym czasie trwania tych amorów, którym przeszkadzał przykry małzonek, tak że d'Artagnan z dziesięć razy udawał, iż chce go przeszyć szpadą na wylot, pewnego pięknego poranku małzonek ów zniknął. Zbiegł na dobre, sprzedawszy przedtem ukradkiem kilka baryłek wina i zabrawszy pieniądze oraz klejnoty. Miano go za zmarłego. Zwłaszcza żona, która pieściła tę słodką myśl, iż została wdową, utrzymywała śmiało, że zmarł z całą pewnością. Wreszcie po trzech latach tego związku, którego d'Artagnan starał się nie zrywać, uważając swoje mieszkanie i swoją kochankę z każdym rokiem za coraz przyjemniejsze, zwłaszcza że jedno szło w parze z drugim, kobieta wystąpiła z wygórowaną pretensją: zaproponowała d'Artagnanowi wprost, aby ją zaślubił.

— A fe! — odpowiedział na to d'Artagnan — toż to bigamia, moja droga! Cóż znowu! Nawet o tym nie myśl.

— Ależ on umarł, jestem tego pewna.

— Był to zuch nader przekorny, powróciłby, żeby nas kazać powiesić.

— Jeżeli powróci, to go zabijesz. Jesteś taki dzielny, taki zręczny!

— Do kroćset, moja miła! Jeszcze jeden powód, ażeby zostać powieszonym.

— Więc odrzucasz moją prośbę?

— Jak najgoręcej!

Piękna właścicielka gospody była zrozpaczona. Chętnie widziałyby w panu d'Artagnan nie tylko męża, ale i swego Boga; był to tak piękny mężczyzna i miał tak wspaniały wąs!

Mniej więcej w czwartym roku tego związku szykowała się wyprawa do Franche-Comte. D'Artagnan miał w niej wziąć udział, przygotowywał się więc do wyjazdu. Nastaly czasy wielkiego cierpienia, łez wylewanych bez końca, solennych obietnic wierności, wszystko to ze strony gospodyni oczywiście. D'Artagnan był nazbyt wielkim panem, by cokolwiek obiecywać, toteż przyrzekł jedynie, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby swe imię okryć jeszcze większą chwałą.

Pod tym względem odwaga d'Artagnana jest znana; szafował swą osobą z niczym się nie licząc. Atakując na czele kompanii, został trafiony kulą, która przeszła mu pierś na wylot; legł więc jak długi na polu bitwy. Widziano go, jak spadał z konia, nie widziano jednak, by się podnosił. Sądzone, że został zabity, wszyscy więc, którzy mieli nadzieję odziedziczyć po nim stopień, mówili na wszelki wypadek, że zginął. Wierzy się łatwo w to, czego się pragnie; otóż w wojsku, poczynając od generałów dywizji, którzy pragną śmierci generała głównodowodzącego, a kończąc na żołnierzach, którzy pragną śmierci kaprali, każdy pragnie czyjejs śmierci.

Lecz d'Artagnan nie był człowiekiem, który by się pozwolił w ten sposób zabić. Po upalnym dniu, kiedy to leżał bez czucia na polu bitwy, chłód nocy ocucił go. Dowłókł się do wsi, zapukał do drzwi najokazalszego domu, gdzie został przyjęty tak, jak wszędzie i zawsze przyjmowani są Francuzi, choćby byli

ranni. Cackano się z nim, pielęgnowano, leczono, aż pewnego ranka, zdrowszy niż kiedykolwiek, wyruszył w drogę do Francji. A znalazłszy się już we Francji, skierował się do Paryża, będąc zaś już raz w Paryżu, podążył w kierunku ulicy Tiquetonne.

Tutaj znalazł w swoim pokoju pod ścianą tłumok, zawierający całkowity męski ekwipunek z wyjątkiem szpady.

— Widocznie powrócił — rzekł d'Artagnan — tym gorzej i tym lepiej. Ma się rozumieć, miał ciągle na myśli męża.

Zasięgnął wiadomości: nowy chłopiec, nowa służąca; pani wyszła na spacer.

— Sama? — zapytał d'Artagnan.

— Z panem.

— Więc pan powrócił?

— Niewątpliwie — odparła naiwnie służąca.

— Gdybym miał pieniądze — rzekł do siebie d'Artagnan — poszedłbym precz. Ale że ich nie posiadam, a trzeba gdzieś mieszkać, muszę być posłuszny radom mojej gosposi i pokrzyżować plany małżeńskie tego natrętnego upiora.

Kończył właśnie monolog, co jest dowodem, że w ważnych okolicznościach nie ma nic bardziej naturalnego niż monolog, kiedy służąca, czatująca w drzwiach, wykrzyknęła:

— Ach, patrz pan, właśnie pani z panem powracają! D'Artagnan rzucił okiem w głąb ulicy i rzeczywiście na zakręcie Montmartre zobaczył powracającą gospodynię, uwieszoną u ramienia olbrzymiego Szwajcara, który idąc kołysał się, a wyglądem w miły sposób przypominał dawnego przyjaciela d'Artagnana — Portosa.

— Więc to jest ten pan? — rzekł do siebie. — Ho, ho! wydaje mi się, że coś bardzo wyrósł!

I rozsiadł się na sali w miejscu doskonale widocznym.

Gospodyni wchodząc od razu dojrzała d'Artagnana i wydała lekki

okrzyk.

Na ten okrzyk d'Artagnan, sądząc, że nadal jest w łaskach, wstał, podbiegł do niej i czule uściskał.

Szwajcar patrzył zdumiony na gospodynię, która bardzo pobladła.

— Ach, to pan! Czegóż pan chce ode mnie? — zapytała w najwyższym zmieszaniu.

— Czy pan jest kuzynem pani? Czy pan jest bratem pani? — dopytywał się d'Artagnan, nie dając się niczym wytrącić z roli, jaką odgrywał.

I nie czekając na odpowiedź, rzucił się w objęcia Szwajcara, który przyjął to bardzo ozięble.

— Kim jest ten szlowiek? — zapytał.

Za całą odpowiedź gospodyni jęła ciężko dyszeć.

— Kim jest ten Szwajcar? — zapytał d'Artagnan.

— Ten pan mnie poślubi — odrzekła gospodyni między dwoma spazmatycznymi oddechami.

— Więc mąż pani wreszcie umarł?

— Czo pana to opchodzi? — wtrącił się Szwajcar.

— Opchodzi mnie to barzo — odrzekł d'Artagnan — ze względu na to, że pan nie może poślubić pani bez mojej zgody i że...

— I sze?...

— I sze... że jej nie wyrażam — rzekł muszkieter.

Szwajcar spurpurowiał jak piwonia. Odziany był w piękny uniform szamerowany złotem, d'Artagnan zaś okryty był czymś w rodzaju szarego płaszcza. Szwajcar miał sześć stóp wzrostu, d'Artagnan nie więcej niż pięć. Szwajcar czuł się tu jak u siebie, d'Artagnan wydał mu się intruzem.

— Czy pan sze stąd wyniesze? — zapytał Szwajcar tupiąc gwałtownie nogą jak człowiek, który zaczyna być naprawdę zły.

— Ani myślę! — odparł d'Artagnan.

— Nie ma innej rady, jak pójść i sprowadzić pomoc — rzekł chłopak, który

nie mógł zrozumieć, że ten mały człowiek nie chce ustąpić miejsca człowiekowi tak okazałemu.

— Ty durniu — ozwał się d'Artagnan, którego począł ogarniać gniew, więc chwycił chłopca za ucho — ty zacznij od tego. że masz stać w miejscu i nie ruszać się, bo inaczej urwę to, co trzymam w ręku. A co się tyczy pana, znakomity potomku Wilhelma Tella<sup>16</sup>, to pójdziesz pan zapakować swoje ubranie, które znajduje się w moim pokoju i które mi zawadza, i szybko wyniesiesz się pan poszukać sobie innego zajazdu. Szwajcar zaczął się głośno śmiać.

— Ja wyjechacz! — rzekł — a dlaczego?

— Ach, doskonale! — odpowiedział mu d'Artagnan — widzę, że rozumie pan po francusku. Proszę więc, wyjdź pan ze mną pospacerować, a wytłumaczę panu resztę.

Gospodyni, która знаła d'Artagnana jako doskonałego szermierza, zaczęła płakać i wrywać sobie włosy.

D'Artagnan odwrócił się w stronę zapłakanej piękności.

— Więc niech go pani wyrzuci.

— Ba — odpowiedział Szwajcar, który potrzebował pewnego czasu do zrozumienia, co oznacza propozycja d'Artagnana — ba, ale przede wszystkim, kim pan jesteś, żebyś mi proponował pójszcie z panem na przechadzkę?

— Jestem porucznikiem muszkietarów jego królewskiej mości — powiedział d'Artagnan — a co za tym idzie, pańskim przełożonym we wszystkich sprawach, ale ponieważ chodzi tu nie o stopień, ale o kartę kwaterunkową, znany panu jest przepis. Niech pan przyniesie swoją: który z nas powróci tu pierwszy, ten zajmie swój pokój.

I d'Artagnan wyprowadził Szwajcara mimo lamentów oberżystki, która w głębi duszy czuła, że serce jej skłania się do dawnej miłości, nie miała jednak nic przeciw temu, ażeby dać nauczkę wyniosłemu muszkieterowi, który obraził

---

16 Wilhelm Tell — legendarny szwajcarski bohater narodowy (XIV w.).

ją odrzucając jej rękę.

Dwaj przeciwnicy udali się wprost do fosy Montmartre. Była już noc, gdy tam przybyli. D'Artagnan poprosił uprzejmie Szwajcara, by mu odstąpił swój pokój i więcej doń nie powracał. Tamten pokręcił głową na znak odmowy i wyciągnął szpadę.

— A więc będzie pan nocował tutaj — rzekł d'Artagnan — podły to nocleg, ale to nie moja wina. Sam pan tego chciałeś.

To mówiąc i on wyciągnął broń i skrzyżował szpadę z przeciwnikiem.

Miał do czynienia z ciężką ręką, lecz jego zwinność górowała nad wszelką siłą. Rapier Niemca nie spotkał się ani razu ze szpadą muszkietera. Szwajcar otrzymał dwa pchnięcia, nie zauważywszy tego z powodu zimna, dopiero utrata krwi i spowodowane tym osłabienie zmusiły go, by usiadł.

— No i co — rzekł d'Artagnan — nie przepowiadałem panu tego? Ładnie pan wyglądasz, uparciuchu jeden! Całe szczęście, że nie potrwa to dłużej niż piętnaście dni. Niech pan tu zostanie, a ja przyślę pańskie odzienie przez chłopca. Do widzenia. Ale, ale, niech pan zamieszka przy ulicy Montorgueil w gospodzie "Pod Kotem Zwiniętym w Kłębek". Karmią tam świetnie, o ile jest tam jeszcze ta sama oberżystka. Do widzenia!

Po czym bardzo wesół powrócił do mieszkania. W samej rzeczy manatki odesłał Szwajcarowi, którego chłopak zastał siedzącego w tym samym miejscu, gdzie go był pozostawił d'Artagnan; siedział wciąż jeszcze osłupiały pewnością siebie przeciwnika.

Chłopak, gospodyni i cały dom okazywali d'Artagnanowi względy, jakie okazywaliby Herkulesowi<sup>17</sup>, gdyby ten powrócił na ziemię podjąć na nowo swoje dwanaście prac.

Kiedy jednak d'Artagnan znalazł się sam na sam z gospodynią powiedział:

— Teraz, piękna Magdaleno, poznałaś różnicę między Szwajcarem a

---

<sup>17</sup> H e r k u l e s (łac. gr. Herakles) — mityczny bohater grecki, sławny m. in. ze swych dwunastu prac, które musiał wykonać na rozkaz swego brata Eurysteusza.

szlachcicem; pani natomiast zachowała się jak szynkarka. Tym gorzej dla pani, gdyż na skutek tego zachowania traci pani mój szacunek i klienta. Wypędziłem Szwajcara, ażeby panią upokorzyć, ale nie będę tu mieszkał; nie mogę mieszkać w miejscu, którym pogardzam. Hola, chłopcze! Niech zanoszą moją torbę podróżną do “Gniazdka Miłości” przy ulicy des Bourdonnais. Żegnam panią.

D’Artagnan wymawiając te słowa był, jak się zdawało, jednocześnie majestatyczny i wzruszający. Gospodyni rzuciła mu się do stóp, przeprosiła go i zatrzymała uciekając się do słodkiej przemocy. Cóż tu więcej powiedzieć? Rożen się obracał, piec huczał, piękna Magdalena płakała. D’Artagnan poczuł powracające naraz: głód, chłód i uczucie miłości. Przebaczył, a przebaczywszy pozostał.

Oto jak d’Artagnan zamieszkał przy ulicy Tiquetonne, w gospodzie “Pod Kózką”.



## 7. D'Artagnan popada w tarapaty, lecz jeden z naszych starych znajomych przychodzi mu z pomocą

D'Artagnan powracał tedy od kardynała głęboko zamyślony, odczuwając żywą przyjemność w tym, że dźwiga sakiewkę Mazariniego, i marzył o pięknym diamencie, który należał kiedyś do niego, a którego błysk widział był przez chwilę na palcu pierwszego ministra.

— Gdyby ten diament w padł mi w ręce, sprzedałbym go natychmiast i kupiłbym kawał ziemi wokół zamku mego ojca. Zamek ten jest wprawdzie piękną posiadłością, lecz całe jego otoczenie to ogród nie większy od cmentarza des Innocents. Na zamku tym oczekiwałbym w całym majestacie, aby jakaś bogata dziedziczka, ujęta moją miłą powierzchownością, zechciała mnie zaślubić. Potem miałbym trzech synów. Jednego zrobiłbym wielkim panem jak Atos, drugiego doskonałym żołnierzem, jakim jest Portos, a trzeciego milusim księdzem jak Aramis. Słowo daję! Byłoby to życie nieskończenie lepsze od tego, jakie prowadzę, ale na nieszczęście pan Mazarini jest łajdakiem, który nie wypuści z rąk diamentu, by mi okazać swą łaskę.

A cóż by dopiero rzekł, gdyby wiedział, że diament ten królowa powierzyła Mazariniemu, by zwrócił go jemu, d'Artagnanowi?

Wchodząc w ulicę Tiquetonne zauważył, że powstał tam jakiś wielki zgiełk; w okolicach jego mieszkania było znaczne zbiegowisko.

— Ho, ho! — rzekł — czyżby to pożar w gospodzie “Pod Kózką”, a może wreszcie powrócił mąż pięknej Magdaleny?

Ale nie było to ani jedno, ani drugie. Zbliżywszy się, d'Artagnan ujrzał, że zbiegowisko skupiło się nie przed gospodą, lecz przed sąsiednim domem. Padały głośne okrzyki, biegano z pochodniami, a w ich świetle d'Artagnan

dostrzegł mundury.

Zapytał, co się tu stało.

Odpowiedziano mu, że chodzi o mieszczanina, który z dwudziestoma swymi przyjaciółmi uderzył na karetę eskortowaną przez straż pana kardynała, lecz z chwilą nadejścia posiłków mieszczanie zostali zmuszeni do ucieczki. Sprawca zbiegowiska schronił się do domu sąsiadującego z gospodą i właśnie przeszukiwano ten dom.

W czasach swej młodości d'Artagnan byłby pobiegł tam, gdzie dojrzał mundury, aby wesprzeć żołnierzy przeciw mieszczanom. Lecz ochłonął już był z tego zapалу, poza tym miał w kieszeni sto pistoletów kardynała i nie chciał ich narażać w tłoku.

Wszedł do oberży nie dopytując się o nic więcej.

Niegdyś d'Artagnan chciał zawsze wszystko wiedzieć, teraz zaś kontentował się tym, co wiedział.

Piękna Magdalena nie oczekiwała go, przypuszczając, że jak to był jej powiedział, spędzi noc w Luwrze. Wyraziła mu swą ogromną radość z nieoczekiwanego powrotu, który tym razem był jej o tyle miłszy, że przeżywała wiele strachu z powodu zejść na ulicy, a nie miała pod ręką żadnego Szwajcara, który by ją strzegł.

Chciała wszcząć z nim rozmowę i opowiedzieć, co zaszło, lecz d'Artagnan kazał sobie przynieść kolację do swego pokoju na górę wraz z butelką starego burgunda.

Piękna Magdalena była wdrożona do wojskowego posłuszeństwa, to znaczy, wystarczało jej skinienie. Tym razem d'Artagnan raczył przemówić, trzeba więc było być tym bardziej posłuszną.

D'Artagnan wziął lichtarz oraz klucz i udał się na górę. Zadowalał się kwaterą na czwartym piętrze, nie chcąc zajmować gospodyni gościnnego pokoju. Szacunek, jaki żywimy dla prawdy, zmusza nas do powiedzenia, że pokój jego znajdował się bezpośrednio pod rynną na poddaszu.

Był to jego namiot Achillesa. D'Artagnan zamykał się w tym pokoju, kiedy nieobecnością swoją chciał ukarać piękną Magdalene<sup>18</sup>.

Najpierw zatroszczył się o to, by schować do starej sekretery z nowym zamkiem sakiewkę, której zawartości nie potrzebował już przeliczać, by wiedzieć, jaką kwotę zawierała. Gdy w chwilę później podano mu kolację i przyniesiono zamówioną butelkę wina, odprawił służącego, zamknął drzwi i siadł do stołu.

Nie uczynił tego, jak można by się spodziewać, celem rozmyślań. Uważał, że nie można dobrze załatwiać spraw, jeśli się ich nie załatwia po kolei. Był głodny, więc zjadł kolację, a po kolacji położył się spać. Nie należał też do rzędu ludzi, którzy są zdania, że noc przynosi dobrą radę; w nocy d'Artagnan spał. Za to rankiem, świeży, pełen roztropności, znajdował najlepsze pomysły. Od dłuższego już czasu nie miał sposobności porozmyślać rankiem, jednakże — noce zawsze przesypiał.

Obudził się o świcie. Sprężyście, jak przystało na wojskowego, zeskoczył z łóżka i jął rozmyślać krążąc po pokoju.

W czterdziestym trzecim roku — przypominał sobie — prawie na sześć miesięcy przed śmiercią nieboszczyka kardynała, dostałem list od Atosa. Gdzież to było? Zaraz... Aha, tak, było to w czasie oblężenia Besancon... siedziałem w okopach. Co on takiego pisał? Że żyje na małym kawałku ziemi, tak, to się zgadza, na małym kawałku ziemi, ale gdzie? Napisał gdzie, lecz powiew wiatru porwał mi list. Kiedy indziej byłbym za nim pobiegł, mimo że wiatr zaniósł go w miejsce zupełnie odkryte. Brak młodości odczuwa się dotkliwie, kiedy się już nie jest młodym. Pozwoliłem, aby wiatr poniósł adres Atosa Hiszpanom, którym był niepotrzebny i którzy mogli mi go z powodzeniem odesłać. Nie ma więc co myśleć o Atosie. No cóż Portos...

Otrzymałem list i od niego: zapraszał mnie na wielkie polowanie w swych

---

<sup>18</sup> Achilles — jeden z bohaterów greckich z czasów legendarnej wojny trojańskiej. Obrażony przez wodza naczelnego Agamemnona, wycofał się z walk i zamknął w swoim namiocie, by zemścić się w ten sposób na ziomkach.

posiadłościach we wrześniu 1646 roku. Na nieszczęście bawiłem w tym okresie w Bearn z powodu śmierci mego ojca. List powędrował za mną. Wyjechałem, kiedy tam nadszedł. Jednak zaczął mnie ścigać dalej i trafił do Montmedy w kilka dni po moim wyjeździe z miasta. W końcu dogonił mnie, tylko że kiedy mnie dopadł, był kwiecień 1647 roku, a zaproszenie mówiło o wrześniu 46 roku, więc nie mogłem już zeń skorzystać. Zobaczmy, szukajmy tego listu — powinien gdzieś leżeć wśród moich akt majątkowych.

D'Artagnan otworzył starą kasetkę znajdującą się w kącie pokoju, pełną pergaminów dotyczących jego ziem, które już od dwustu lat nie były w posiadaniu jego rodziny, i wydał okrzyk radości: rozpoznał zamaszyste pismo Portosa, a u dołu kilkuwierszowy dopisek, nabazgrany niby kura pazurem chudą ręką jego godnej małżonki.

D'Artagnan nie bawił się w odczytywanie listu; wiedział, co zawiera; szukał adresu.

Adres brzmiał: na zamku du Vallon.

Portos zapomniał był o wszelkich innych informacjach. Zaślepiiony pychą uważał, że wszyscy winni znać zamek, któremu nadał swe imię.

— Do diabła z pyszałkiem! — rzekł d'Artagnan — zawsze ten sam! A tymczasem wygodnie byłoby mi zaczynać od niego, zważywszy, że nie potrzebuje pieniędzy, on, który odziedziczył po panu Coquenard osiemset tysięcy liwrów. Tak więc chybił mi najlepszy. Atos pewnie zgłupiał od pijaństwa. A co do Aramisa, to zapewne utonął w praktykach religijnych.

D'Artagnan jeszcze raz rzucił okiem na list Portosa. Widniało tam postscriptum, a postscriptum to zawierało następujące zdanie:

*Przez tegoż posłańca piszę też do naszego czcigodnego przyjaciela Aramisa do jego klasztoru.*

— Do jego klasztoru! Tak, ale jakiego klasztoru? Jest ich w Paryżu

dwieście, a we Francji trzy tysiące. I być może, wstępując do klasztoru zmienił po raz trzeci nazwisko. Ach, gdybym był uczony w teologii lub gdybym przynajmniej pamiętał przedmiot tez, na temat których Aramis dyskutował tak żywo w Crevecoeur z proboszczem z Montdidier i przełożonym jezuitów, zobaczyłbym, w jakiej doktrynie ma upodobanie, i mógłbym stąd wywnioskować, jakiemu świętemu się oddał. Hm, a gdybym tak udał się do kardynała i poprosił o glejt otwierający mi bramy do wszystkich możliwych klasztorów, nawet tam, gdzie są zakonnice? Byłoby to wyjście — być może — znalazłbym go tam podobnie jak Odys Achillesa<sup>19</sup>. Tak, ale to by znaczyło przyznać się z miejsca do bezsilności. Od razu byłbym zgubiony w pojęciu kardynała. Wielcy tego świata wdzięczni są tylko wtedy, kiedy się robi dla nich rzeczy niemożliwe do spełnienia. “Gdyby to było możliwe, powiadają, zrobiłbym to sam”. I mają rację. Ale zaczekajmy trochę, a zobaczymy. Otrzymałem przecież także list i od niego, drogiego przyjaciela, a mianowicie prosił mnie o małą przysługę, którą mu wyświadczyłem. Ach, tak. Tylko gdzież ja mam ten list?

D’Artagnan zastanawiał się przez chwilę, po czym zbliżył się do wieszadła, gdzie były jego stare ubrania. Poszukał tam kaftanu z roku 1648, a ponieważ był człowiekiem lubiącym porządek, więc znalazł kaftan zawieszony na tym samym gwoździu, co zawsze. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej papier. Był to właśnie list Aramisa.

*Panie d’Artagnan — pisał — zawiadamiam pana, że miałem spór z pewnym szlachcicem, który naznaczył mi spotkanie na dziś wieczór na placu Królewskim. Ponieważ jestem duchownym i sprawa ta mogłaby mi zaszkodzić, gdybym się udał do przyjaciela mniej pewnego niż pan, przeto piszę z prośbą, by pan był moim sekundantem.*

---

<sup>19</sup> Przed wyprawą trojańską matka Achillesa, Tetyda, nie chcąc, by szedł na wojnę, ukryła go wśród dziewcząt.

*Wejdiesz pan przez ulicę Neuve-Sainte-Catherine, pod drugą latarnią na prawo spotkasz pan swego przeciwnika. Ja z moim będę pod trzecią.*

*Oddany panu  
Aramis*

Tym razem nie było nawet pozdrowień. D'Artagnan usiłował przywołać wspomnienie: poszedł na umówione miejsce, spotkał tam wskazanego przeciwnika, którego nazwiska nawet nie znał, zadał mu dobre pchnięcie szpadą w ramię, następnie jął iść w kierunku Aramisa, który już szedł mu naprzeciw, skończywszy swoje zadanie.

— Załatwione — powiedział Aramis. — Myślę, że zabiłem zuchwalca. Gdybyś zaś, drogi przyjacielu, potrzebował czego ode mnie, wiesz, jak ci jestem oddany.

Po czym Aramis uścisnął mu rękę i zniknął pod arkadami.

D'Artagnan nie wiedział więc w dalszym ciągu, ani gdzie się znajduje Aramis, ani gdzie podziewają się Atos i Portos. Sprawa zaczynała być kłopotliwa, gdy wtem wydało mu się, że usłyszał hałas wybijanej w jego pokoju szyby. Natychmiast pomyślał o sakiewce znajdującej się w sekreterze i wyskoczył z gabinetu. Nie pomylił się: w chwili kiedy wchodził przez drzwi, jednocześnie człowiek jakiś wchodził przez okno.

— Ach, nędzniku! — wykrzyknął d'Artagnan, biorąc owego człowieka za złodziejaszka i chwytając szpadę do ręki.

— Panie! — wykrzyknął tamten — na miłość boską, włóż pan szpadę do pochwy i nie zabijaj mnie nie wysłuchawszy uprzednio! Nie jestem złodziejem, daleko mi do tego. Jestem uczciwym mieszczaninem, dobrze sytuowanym, posiadającym własny dom. Nazywam się... Ech! Przecież się nie mylę, pan jesteś panem d'Artagnan!

— A ty jesteś Wiórek! — wykrzyknął porucznik.

— Do usług, panie — rzekł Wiórek zachwycony — o ile to będzie w mojej mocy.

— Zobaczmy — odparł d'Artagnan. — Lecz co, u diabła, zmusiło cię uganiać po dachach w styczniu o siódmej rano?

— Panie — rzekł Wiórek — trzeba panu wiedzieć... Ale właściwie może nie powinien pan o tym wiedzieć.

— Gadaj, o co chodzi — przerwał mu d'Artagnan. — Tylko najpierw załóż szybę serwetką i zasuń firanki.

Wiórek spełnił rozkaz, a kiedy skończył, d'Artagnan rzucił:

— A więc?

— Przede wszystkim — rzekł roztropny Wiórek — jaki jest pański stosunek do pana de Rochefort?

— Jak najlepszy. Jakież by mógł być? Przecież wiesz dobrze, że Rochefort jest teraz jednym z mych najlepszych przyjaciół.

— Ach, tym lepiej.

— Ale jaki związek ma Rochefort ze sposobem, w jaki wszedłeś do mego pokoju?

— Otóż właśnie! Najpierw muszę panu powiedzieć, że pan de Rochefort jest...

Wiórek zawahał się.

— Dalibóg — rzekł d'Artagnan — wiem dobrze, że jest w Bastylii.

— To znaczy, że tam był — odrzekł Wiórek.

— Jak to był?! — wykrzyknął d'Artagnan — czyżby miał szczęście uciec?

— Ach, panie! — wykrzyknął z kolei Wiórek — jeśli pan nazywasz to szczęściem, to wszystko w porządku. Zatem muszę panu powiedzieć, że jak się zdaje, wczoraj posłano po pana de Rochefort do Bastylii.

— W samej rzeczy! Wiem o tym doskonale, gdyż to ja właśnie jeździłem tam po niego.

— Lecz na jego szczęście nie pan go tam odwoziłeś. Gdybym bowiem

rozpoznał był pana wśród eskorty, to niech mi pan wierzy, że w dalszym ciągu mam zbyt wiele szacunku dla pana...

— Gadajże, do diabła, jak to było!

— A więc było tak: kiedy na środku ulicy de la Ferronnerie karoca pana de Rochefort mijala jakąś grupę, a ludzie z eskorty łajali mieszczan, podniosły się pomrukiwania. Więzień uważał to za świetną okazję, — wyznał, kim jest i wezwał pomocy. Będąc w pobliżu, rozpoznałem nazwisko hrabiego de Rochefort. Przypomniało mi się, że to on mianował mnie sierżantem w regimencie piemonckim. Powiedziałem bardzo głośno, że to więzień będący przyjacielem diuka de Beaufort. Powstał rozruch, zatrzymano konie, rozgromiono eskortę. Ja tymczasem otworzyłem drzwiczki karocy, pan de Rochefort wyskoczył na ziemię i przepadł w tłumie. Na nieszczęście w tej chwili przechodził patrol, dołączył do straży i zaatakował nas. Cofałem się w stronę ulicy Tiquetonne, ścigano mnie, schroniłem się do domu tuż obok, otoczono go, przeszukano, ale na próżno. Znalazłem na piątym piętrze współczującą osobę, która ukryła mnie pomiędzy dwoma materacami. Pozostawałem w tej kryjówce albo w pobliżu aż do rana, lecz uważając, że wieczorem mogą na nowo rozpocząć poszukiwania, zaryzykowałem spuścić się po rynnach i poszukać najpierw wejścia, a potem wyjścia do któregoś z domów, byleby tylko nie był on strzeżony. Tak wygląda moja historia i na honor, panie, byłbym niepokieszony, gdyby się panu nie spodobała.

— Cóż znowu — odrzekł d'Artagnan — przeciwnie. Na honor, ja też jestem zadowolony, że pan de Rochefort jest wolny. Lecz chyba zdajesz sobie sprawę, że gdybyś wpadł w ręce królewskich ludzi, byłbyś powieszony bez miłosierdzia?

— A jakżeby, zdaję sobie sprawę! — rzekł Wiórek — i to właśnie mnie trapi. Z tego też powodu taki rad jestem, zem pana odnalazł. Bo jeśli pan zechce mnie ukryć, nikt tego lepiej od pana nie potrafi.

— Bardzo chętnie — odrzekł d'Artagnan — chociaż ryzykuję ni mniej, ni



więcej, tylko swój stopień oficerski, gdyby się dowiedziano, że udzielam schronienia buntownikowi.

— Ach, panie, wiesz pan dobrze, że dałbym głowę za pana.

— Mógłbyś nawet dodać, żeś już ją nadstawił. Zapominam tylko to, co winienem zapomnieć, a co się tyczy twojej sprawy, to pragnę ją sobie przypomnieć. Siadaj tam i jedz spokojnie, gdyż zauważyłem, że zbyt wymownie patrzysz na resztki mej kolacji.

— Tak, proszę pana. Spiżarnia sąsiadki była słabo wyposażona w rzeczy pożywne — od wczorajszego południa zjadłem tylko kawałek chleba i konfitury. Chociaż nie pogardzam słodyczami, o ile pojawiają się w odpowiedniej porze i miejscu, to przecież uznałem tę kolację za zbyt lekką.

— Biedny chłopcze — powiedział d'Artagnan — ano cóż! zobaczymy, posil się.

— Ach, panie, ocala mi pan życie podwójnie — odrzekł Wiórek.

I zasiadł do stołu, gdzie zaczął wszystko pochłaniać jak za pięknych dni przy ulicy des Fossoyeurs.

D'Artagnan w dalszym ciągu przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju. Zastanawiał się, jakie korzyści mógłby w tych okolicznościach wyciągnąć z Wiórka.

A tymczasem Wiórek pracował usilnie, by nadrobić stracony czas. Na koniec westchnął z zadowoleniem człowieka wygłodniałego, świadczącym, iż po pobraniu pierwszej należytej zaliczki trzeba zrobić małą przerwę.

— No i cóż — odezwał się d'Artagnan, który uznał, że nadeszła właśnie sposobna chwila do indagacji — a zatem po kolei: gdzie znajduje się Atos?

— Nie wiem, panie — odparł Wiórek.

— Do czarta! A wiesz, gdzie przebywa Portos?

— Też nie wiem.

— Do czarta! A Aramis?

— I tego nie wiem.

— Do kroćset diabłów!

— Ale wiem za to — wtrącił Wiórek filuternie — gdzie znajduje się Gryzipiórek?

— Co?! Wiesz, gdzie jest Gryzipiórek?

— Tak panie.

— Gdzież on jest?

— W katedrze Notre-Dame.

— Jest kościelnym.

— Gryzipiórek kościelnym w Notre-Dame? Jesteś tego pewny?

— Jak najpewniejszy; widziałem go, rozmawiałem z nim.

— Powinien wiedzieć, gdzie przebywa jego pan?

— Bez wątpienia.

D'Artagnan zastanowił się chwilę, po czym wziął płaszcz i szpadę; zabierał się do wyjścia.

— Panie — przemówił żałośnie Wiórek — więc porzucasz mnie pan?

Niechże pan pomyśli, że cała moja nadzieja jedynie w panu!

— Ależ tu nie przyjdą cię szukać — rzekł d'Artagnan.

— Zresztą gdyby przyszli — odparł przemyślny Wiórek — to dla domowników, którzy nie widzieli mnie tu wchodzącego, będę jedynie złodziejem.

— To racja — rzucił d'Artagnan. — Hm, znasz jakąś gwarę?

— Znam coś lepszego od gwary, proszę pana — odpowiedział Wiórek. — Znam język: mówię po flamandzku.

— A gdzieś się go, u diabła, nauczył?

— W Artois, gdzie wojowałem przez dwa lata. Proszę posłuchać: Goeden Morgen, mynheer ith ben begeeray te weeten the ge sond hects omstand.

— Cóż to znaczy?

— Dzień dobry panu! Śpieszę dowiedzieć się o stanie pańskiego zdrowia.

— I to nazywasz językiem! — rzekł d'Artagnan. — Nieważne zresztą,

wszystko składa się cudownie.

D'Artagnan podszedł do drzwi, przywołał służącego i kazał powiedzieć pięknej Magdalenie, ażeby przyszła na górę.

— Co pan robisz, panie! — wykrzyknął Wiórek. — Chcesz pan zawierzyć nasz sekret kobiecie?

— Bądź spokojny — rzucił d'Artagnan — nie puści pary z ust.

W tej samej chwili weszła gospodyni. Wbiegła roześmiana, spodziewając się zastać d'Artagnana samego. Zauważywszy Wiórka zatrzymała się zdziwiona.

— Moja droga gosposiu — przemówił d'Artagnan. — Przedstawiam ci twego brata, który przybył z Flandrii i którego przyjmuję do posług na kilka dni.

— Mego brata? — zapytała gospodyni coraz bardziej zdziwiona.

— Powiedzże, master Peter, swojej siostrze dzień dobry.

— Vilkom, zuster! — odezwał się Wiórek.

— Goeden day, bróer! — odparła zdumiona oberżystka.

— Rzecz polega na tym — wtrącił d'Artagnan: — ten pan jest twoim bratem, którego być może nie znasz, ale za to ja go znam. Przybył z Amsterdamu. W czasie mej nieobecności odziejesz go; za moim powrotem, to znaczy za godzinę, przedstawisz mi go i na twoje polecenie, z uwagi, że nie jestem w stanie niczego ci odmówić, przyjmę go na służbę, choć nie umie on ani słowa po francusku. Rozumiesz?

— Raczej zgaduję, czego pan sobie życzy, i już wiem, o co chodzi — odrzekła Magdalena.

— Jesteś wspaniałą kobietą, moja piękna gosposiu, i całkowicie na tobie polegam.

Po czym, dając porozumiewawczy znak Wiórkowi, D'Artagnan wyszedł, by udać się do katedry Notre-Dame.

## 8. O różnicy wpływu, jaki może wyrzucić pół pistola na kościelnego i na ministranta

D'Artagnan skierował się ku mostowi Pont-Neuf, uszczęśliwiony z odnalezienia Wiórka, bo jakkolwiek mogło się zdawać, że to on oddał przysługę zacnemu chłopcu, to po prawdzie Wiórek wyświadczył ją muszkieterowi. Istotnie, w momencie tym nic go nie mogło bardziej uradować niż dzielny i inteligentny służący. Oczywiście Wiórek, według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie będzie mógł pozostawać na jego służbie przez czas dłuższy, lecz Wiórek, powracający na swoją pozycję społeczną przy ulicy des Lombards, zaciągał dług wobec d'Artagnana, który, ukrywając go u siebie, uratował czy też prawie że uratował mu życie. D'Artagnan zaś nie miał nic przeciwko temu, aby mieć stosunki wśród mieszczaństwa w chwili, gdy przygotowywało się ono do wypowiedzenia wojny dworowi. Była to tajemna więź z kimś z obozu nieprzyjacielskiego, a dla człowieka tak sprytnego jak d'Artagnan z najmniejszych rzeczy mogły wyrósć wielkie.

W takim to stanie umysłu d'Artagnan, dosyć zadowolony z siebie i z przypadku, dotarł do katedry Notre-Dame. Wszedł po schodach do podcienia, a następnie do kościoła. Tu zwrócił się do zakrystiana zamiatającego kaplicę i zapytał go, czy nie zna pana Gryzipiórka.

— Pan Gryzipiórek, kościelny?

— Ten sam.

— Właśnie służy do mszy, tam, w kaplicy Panny Marii. D'Artagnan zdrzał z radości, gdyż wydawało mu się, że mimo tego, co mu powiedział Wiórek, nigdy nie odnajdzie Gryzipiórka. Obecnie jednak mając w ręku jeden koniec nici, był pewny, że dotrze do drugiego.

Uklęknął na wprost kaplicy, by nie stracić z oczu poszukiwanego człowieka. Na szczęście była to cicha msza i miała się niebawem skończyć. D'Artagnan, który zapomniał modlitw, a zaniedbał wziąć książkę do nabożeństwa, poświęcił wolny czas na uważne obejrzenie Gryzipiórka.

Gryzipiórek nosił swój strój, można by powiedzieć, z równą dozą majestatu co i niebiańskiej rozkoszy. Było jasne, że doszedł prawie do szczytu swych ambicji i że zdobna w srebro laska kościelnego, którą dzierżył w dłoni, wydawała mu się czymś równie zaszczytnym jak buława głównodowodzącego, którą książę de Conde rzucił czy też nie rzucił w szeregi nieprzyjaciół w bitwie pod Fryburgiem. Powierzchność jego uległa zmianie, jeśli się tak można wyrazić, równie doskonale jak i strój. Cała jego figura zaokrągliła się i jakby upodobniła do figury kanonika. Co się tyczy twarzy, to jej części wystające jak gdyby się zatarły. Miał jeszcze nos, lecz policzki, zaokrąglając się, wchłonęły każdy jedną część nosa, broda uciekła pod gardło; oczy więzły już nie w tłuszczu, ale w jakiejś obrzmiałości; co się tyczy czoła, to włosy, przycięte prostokątnie i świątobliwie, przykrywały je aż do linii brwi. Pośpieszmy wyjaśnić, że czoło Gryzipiórka nie było nigdy wyższe niż półtora cala, nawet w okresie, kiedy było najbardziej odsłonięte.

Wikariusz skończył mszę w tym samym czasie co d'Artagnan swoje obserwacje. Wymówił sakramentalne słowa i oddalił się rozdając błogosławieństwa, które ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana przyjmowano na klęczkach. Ale zdziwienie d'Artagnana ustąpiło, kiedy rozpoznał w osobie księdza odprawiającego mszę samego koadiutora, to znaczy sławnego Jana Franciszka de Gondy, który w tym okresie, w przecuciu roli, jaką miał odegrać, rozpoczął zabiegać o dużą popularność za pomocą jałmużny. W tym właśnie celu odprawiał od czasu do czasu wczesną mszę poranną, w której zazwyczaj uczestniczy tylko lud.

D'Artagnan podobnie jak inni ukląkł, otrzymał swoją część błogosławieństwa, przeżegnał się, lecz w chwili gdy Gryzipiórek mijał go z

oczyma wzniesionymi ku niebu, krocząc pokornie na końcu, d'Artagnan pociągnął go za połę. Gryzipiórek spuścił oczy i uskoczył w tył, jakby dostrzegł węża.

— Pan d'Artagnan! — wykrzyknął. — Vade retro, satanas...<sup>20</sup>

— Ach, więc to tak, drogi Gryzipiórku — powiedział śmiejąc się oficer — tak przyjmujesz starego przyjaciela!

— Panie — odparł Gryzipiórek — prawdziwymi przyjaciółmi chrześcijanina są ci, którzy pomagają mu osiągnąć zbawienie, a nie ci, którzy go od tego odwodzą.

— Nie rozumiem cię, Gryzipiórku — rzekł d'Artagnan. — Nie widzę, dlaczego miałbym być zawadą w twoim zbawieniu.

— Zapominacie, panie — odrzekł Gryzipiórek — że o mało nie zniweczyliście na zawsze zbawienia mego biednego pana i z waszej to przyczyny nie skazał się on na wieczne potępienie pozostając muszkietierem, kiedy powołanie pociągało go żarliwie w stronę Kościoła.

— Mój drogi Gryzipiórku — podjął d'Artagnan — powinieś był spostrzec, biorąc pod uwagę miejsce, gdzie mnie spotykasz, że ja też bardzo się zmieniłem. Z wiekiem człowiek nabywa rozumu, a ponieważ nie wątpię, że twój pan znajduje się na drodze do zbawienia, przychodzę cię zapytać, gdzie on przebywa, aby swymi radami dopomógł i mnie uzyskać zbawienie.

— Lepiej powiedzcie, panie, że chcecie go uprowadzić ze sobą z powrotem do świata. Na szczęście — dorzucił Gryzipiórek — nie wiem, gdzie on się znajduje, a rozumiecie, że nie ośmieliłbym się kłamać, jako że jesteśmy w miejscu świętym.

— Co?! — wykrzyknął rozczarowany w najwyższym stopniu d'Artagnan — nie wiesz, gdzie jest Aramis?

— Przede wszystkim — rzekł Gryzipiórek — Aramis jest to jego imię potępione. Aramis kryje w sobie Simara, który jest imieniem demona, i na

---

<sup>20</sup> Vade retro, satanas! (łac.) — idź precz, szatanie! (słowa z Ewangelii).

szczęście pan mój porzucił to imię na zawsze.

— Toteż — powiedział d'Artagnan, postanowiwszy być cierpliwym aż do końca — nie szukam wcale Aramisa, jeno księdza d'Herblay. A więc, drogi Gryzipiórku, powiedz mi, gdzie on jest.

— Czy nie słuchał pan, panie d'Artagnan, jak panu mówiłem, że nie wiem?

— Tak, bez wątpienia, ale na to odpowiadam ci ja, d'Artagnan, że to niemożliwe.

— A jednak to prawda, najczystsza prawda, boża prawda.

D'Artagnan widział doskonale, że nie wyciągnie od Gryzipiórka nic.

Było jasne, że Gryzipiórek kłamie, lecz kłamał tak żarliwie i tak stanowczo, iż łatwo było odgadnąć, że nie wycofa się z drogi kłamstwa.

— A więc dobrze, Gryzipiórku — ozwał się d'Artagnan — skoro nie wiesz, gdzie mieszka twój pan, nie mówmy o tym więcej. Rozstańmy się jako dobrzy przyjaciele i przyjmij pół pistola, żebyś mógł wypić za moje zdrowie.

— Nie piję, panie — wyrzekł Gryzipiórek, odtrącając majestatycznie rękę oficera — to dobre dla laików.

— Nieprzekupny! — zamruczał d'Artagnan. — Mam pecha. Kiedy zaś zajęty swymi myślami, wypuścił z rąk szatę Gryzipiórka, ów skorzystał z wolności, by wycofać się co żywo do zakrystii, gdzie nie czuł się bezpieczny tak długo, póki nie zoczył zamkniętych za sobą drzwi.

D'Artagnan pozostał w miejscu, zamyślony, z oczami utkwionymi w drzwi, które stanowiły zaporę między nim a Gryzipiórkiem, gdy nagle poczuł delikatne dotknięcie końcem palca w ramię.

Odwrócił się i wydał okrzyk zdziwienia. Tymczasem człowiek, który go był dotknął, położył teraz palec na wargach, dając znak, by milczał.

— Ty tutaj, mój drogi Rochefort? — wyrzekł oficer półgłosem.

— Cyt! — odpowiedział Rochefort. — Wiedziałeś, że jestem wolny?

— Wiedziałem o tym z pierwszej ręki.

— Od kogóż to?

— Od Wiórka.

— Jak to od Wiórka?

— Z całą pewnością, przecież to on ciebie ocalił.

— Wiórek!... W istocie, miałem nadzieję go spotkać. Świadczy to, mój drogi, że dobry uczynek nie idzie na marne.

— A co tu robisz?

— Przychodzę podziękować Bogu za szczęśliwe uwolnienie — powiedział Rochefort.

— I co jeszcze? Sądzę, że to nie wszystko.

— A poza tym po rozkazy do koadiutora, chcąc przekonać się, czy nie dałoby się choć trochę rozwścieczyć Mazariniego.

— Szalona głowo! Chcesz jeszcze raz wpakować się do Bastylii?

— Och, jeżeli chodzi o to, zapewniam cię, że będę czujny! Świeże powietrze to znakomita rzecz! Pragnę też — ciągnął Rochefort oddychając pełną piersią — przespacerować się na wieś, pojeździć po prowincjach.

— Proszę! — rzucił d'Artagnan — i ja również!

— A czy nie będzie niedyskrecją zapytać cię, dokąd się wybierasz?

— Na poszukiwanie moich przyjaciół.

— Jakich przyjaciół?

— Tych samych, o których zapytywałeś mnie wczoraj.

— Atosa, Portosa i Aramisa? Więc szukasz ich?

— Tak.

— Pod słowem honoru?

— Cóż w tym dziwnego?

— Nic. Zabawne. A dla kogo ich szukasz?

— Miarkujesz chyba.

— Zapewne.

— Na nieszczęście nie wiem, gdzie się obracają.

— I nie masz żadnego sposobu, by dowiedzieć się o nich? Proszę, zaczekaj



osiem dni, a ja dostarczę ci wiadomości.

— Osiem dni to zbyt długo; muszę ich odnaleźć przed upływem trzech.

— Trzy dni to mało — powiedział Rochefort — Francja jest wielka.

— Mniejsza o to, znane ci jest słówko: trzeba; ze słówkiem tym można dokonać wielkich rzeczy.

— A kiedy zabierasz się do poszukiwań?

— Właśnie je prowadzę.

— Życzę szczęścia.

— A ja tobie pomyślnej podróży.

— Może spotkamy się gdzieś w drodze.

— To mało prawdopodobne.

— Kto wie? Przypadek bywa kapryśny.

— Żegnam.

— Do widzenia. Ale, ale, gdyby Mazarini rozmawiał z tobą o mnie, powiedz mu, że cię prosiłem o uwiadomienie go, iż wkrótce przekona się, czy jestem za stary do działania, jak mi to był powiedział.

I Rochefort oddalił się z owym diabolicznym uśmiechem na ustach, który niegdyś tak często przejmował d'Artagnana dreszczem. Teraz jednak patrzył nań bez trwogi i również się uśmiechał, z tym odcieniem melancholii, jaki mogło przydać jego twarzy jedyne, być może wspomnienie.

— Idź, diable — rzekł — i rób, co chcesz, mało mnie to obchodzi; nie masz drugiej Konstancji na świecie!

D'Artagnan odwrócił się i ujrzał Gryzypiórka, jak zdjawszy szaty kościelne, rozmawiał z zakrystianem, tym samym, z którym d'Artagnan wdał się w rozmowę wchodząc do kościoła. Gryzypiórek wydawał się bardzo poruszony i gestykulował żywo swymi grubymi, krótkimi i małymi rękami. D'Artagnan domyślił się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa Gryzypiórek zalecał zakrystianowi największą dyskrecję co do swojej osoby.

Korzystając z faktu, że obaj kościelni zaprzątnięci byli rozmową,

d'Artagnan wyśliznął się poza katedrę i zaczął na rogu ulicy des Canettes. Gryzipiórek nie mógł wyjść nie zauważony z miejsca, gdzie ukrył się d'Artagnan.

W pięć minut po zajęciu punktu obserwacyjnego przez muszkietera Gryzipiórek ukazał się przed kościołem. Obejrzał się na wszystkie strony, chcąc się upewnić, że nie jest obserwowany, ale nie był w stanie zauważyć naszego oficera, któremu tylko głowa wystawała zza rogu jednego z domów w odległości pięćdziesięciu kroków. Gryzipiórek, uspokojony, udał się w kierunku ulicy Notre-Dame. D'Artagnan ruszył ze swej kryjówki i przybył w samą porę, by go zobaczyć, jak skręcał z ulicy de la Juiverie i wchodził do jednego z domów o przyzwoitym wyglądzie przy ulicy de la Calandre. Oficer nasz nie wątpił ani przez chwilę, że w tym właśnie domu mieszka dostojny kościelny. Nie uważał jednak za stosowne iść tam po informacje, gdyż odźwierny, o ile jaki tam był, na pewno został uprzedzony. A jeśli nie było go wcale, to do kogoż miał się zwrócić?

Wszedł do małego szynku, znajdującego się na rogu ulic Saint-Eloi i de la Calandre; poprosił o szklankę hipokrasu. Przygotowanie tego napoju wymagało dobre pół godziny, d'Artagnan miał więc wolny czas, by śledzić Gryzipiórka nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

W szynku spostrzegł dwunasto- czy piętnastoletniego urwisa o żywym spojrzeniu. Wydało mu się, że widział go dwadzieścia minut temu w stroju ministranta. Zaczął go wypytywać, a ponieważ praktykant na subdiakona nie potrzebował nic zatajać, d'Artagnan dowiedział się odeń, że od godziny szóstej do dziewiątej rana terminuje w zawodzie ministranta, a od dziewiątej wieczorem do północy w zawodzie chłopca posługującego w szynku.

Podczas gdy z nim rozmawiał, wyprowadzono konia z bramy domu Gryzipiórka. Koń był osiodłany i okiełznany. W chwilę później wyszedł sam Gryzipiórek.

— Patrzcie no — rzekł chłopiec — nasz kościelny wyrusza w drogę.

— Ach, tak. A dokądże on się wybiera? — dopytywał się d'Artagnan.

— A bo ja wiem.

— Pół pistola, jeśli się będziesz mógł dowiedzieć.

— Dla mnie? — wykrzyknął chłopiec z oczyma błyszczącymi radością. — Jeśli się dowiem, dokąd jedzie Gryzipiórek? To nietrudne. Czy pan nie kpi sobie ze mnie?

— Nie, słowo oficera. Patrz, tu jest pół pistola.

I ukazał mu łąpówkę, nie kwapiąc się jednak z daniem. — Pójdę go zapytać.

— Akurat najlepszy sposób, ażeby się niczego nie dowiedzieć — rzekł d'Artagnan. — Poczekaj, aż odjedzie, i dopiero potem pytaj, badaj, dowiaduj się. To twoja rzecz, tu jest pół pistola. — I schował pieniądz do kieszeni.

— Rozumiem — odpowiedział chłopiec z filuternym uśmiechem, właściwym tylko paryskim urwisom. — Dobra! Zaczekamy.

Nie trzeba było długo czekać. W pięć minut później Gryzipiórek odjechał drobnym truchtem, popędzając konia parasolem. Gryzipiórek miał zwyczaj nosić zawsze parasol zamiast szpicruty.

Gdy tylko skręcił za róg ulicy de la Juiverie, chłopiec jak ogar puścił się jego śladem.

D'Artagnan znów zajął miejsce przy stole, gdzie siedział był poprzednio, pewny zupełnie, że za dziesięć minut będzie wiedział wszystko, czego pragnął się dowiedzieć.

Rzeczywiście, nie upłynęło jeszcze dziesięć minut, jak chłopiec powrócił.

— No? — zapytał d'Artagnan.

— No — rzucił chłopiec — wszystko jasne.

— Dokąd pojechał?

— A czy dostanę pół pistola?

— Oczywiście! Mów.

— Chciałbym zobaczyć. Pozwólcie, panie, niech się przekonam, czy nie

falszywy.

— Masz.

— Słuchajcie no, gospodarzu — rzekł chłopiec — pan chciałby mieć drobne.

Gospodarz za kontuarem rozmienił pół pistola na drobne. Chłopiec schował drobne do kieszeni.

— A teraz, dokąd pojechał? — odezwał się d'Artagnan, który przyglądał się z uśmiechem, jak mały wyczynia swoje sztuczki.

— Udał się do Noisy.

— Skąd wiesz?

— Ach, do diaska! Na to nie trzeba było być bardzo szczwanym.

Rozpoznałem konia. Należy do rzeźnika; ten wynajmuje go od czasu do czasu panu Gryzipiórkowi. Pomyślałem sobie: rzeźnik nie wynajmuje swego konia bez tego, żeby nie wiedzieć, dokąd pójdzie, chociaż nie wydaje mi się, żeby pan Gryzipiórek potrafił uprowadzić konia.

— I rzeźnik odpowiedział ci, że pan Gryzipiórek...

— Pojechał do Noisy. Zresztą, zdaje się, że ma on już taki zwyczaj, gdyż jeździ tam dwa, trzy razy w tygodniu.

— A ty znasz Noisy?

— Oczywiście. Stamtąd miałem karmicielkę.

— Czy w Noisy jest jakiś klasztor?

— Jest, i to jeszcze jaki! Klasztor jezuitów!

Doskonale — myślał d'Artagnan. — Nie ma wątpliwości.

— No, zadowolony pan?

— Tak. A jak się nazywasz?

— Friquet.

D'Artagnan wyjął notatnik i zapisał nazwisko chłopca oraz adres szynku.

— Niechże pan powie, panie oficerze, uda się jeszcze kiedy zarobić drugie pół pistola?

— Możliwe — odrzekł d'Artagnan.

A ponieważ dowiedział się, czego chciał, zapłacił za miarkę hipokrasu, którego nawet nie tknął, i żywo ruszył z powrotem na ulicę Tiquetonne.

## 9. W którym d'Artagnan, szukając Aramis'a bardzo daleko, ujrzał go siedzącego na koniu z tyłu za Wiórkiem

Powróciwszy do domu d'Artagnan ujrzał jakiegoś człowieka siedzącego przy kominku. Był to Wiórek, lecz tak świetnie odmieniony w starym ubraniu pozostawionym przez zbiegłego małżonka gospodyni, że nawet sam d'Artagnan z trudnością go rozpoznał. Magdalena w obecności całej służby przedstawiła mu Wiórka, który zwrócił się do oficera piękną frazą flamandzką. Oficer odpowiedział mu kilku słowami nie należącymi do żadnego języka i ubito targu. Brat Magdaleny wstąpił na służbę do d'Artagnana.

Plan d'Artagnana obmyślony był znakomicie: nie chciał on przybywać do Noisy w dzień, obawiając się, że zostanie rozpoznany. Czasu więc miał przed sobą dosyć. Noisy leżało zaledwie trzy czy cztery mile od Paryża na drodze do Meaux. Rozpoczął od posilnego śniadania, co byłoby złym wstępem, gdyby miała działać głowa, ale było wielce przezorne, jeśli miały działać mięśnie. Następnie zmienił strój, obawiając się, że opończa porucznika muszkietarów może wzbudzić nieufność; wybrał najmocniejszą i najsolidniejszą ze swych trzech szpad, której używał jedynie w dni uroczyste, po czym około godziny drugiej kazał osiodłać dwa konie i w towarzystwie Wiórka wyruszył przez roгатkę de la Villette: W domu sąsiadującym z zajazdem "Pod Kózką" wciąż jeszcze zawzięcie poszukiwano Wiórka.

Półtorej mili od Paryża d'Artagnan, widząc, że skutkiem zniecierpliwienia wyjechał zbyt wcześnie, zatrzymał się, aby dać wytchnąć koniom. Karczma pełna była ludzi, którym niedobrze patrzyło z oczu. Wyglądało, że szykowali się do jakiejś nocnej wyprawy. Jeden z nich, owinięty w płaszcz, ukazał się we

drzwiach, lecz ujrzawszy obcego dał znak ręką i dwaj opoje wyszli z karczmy, aby z nim porozmawiać.

D'Artagnan beztrąsko zbliżył się do oberżystki, pochwalił wino, okropne wino z Montreuil, zadał jej kilka pytań dotyczących Noisy i dowiedział się, że w miasteczku znajdowały się tylko dwa okazałe budynki; jeden należący do arcybiskupa Paryża (mieszkała w nim właśnie jego siostrzenica, księżna de Longueville), drugi — to klasztor jezuitów, stanowiący własność tych czcigodnych ojców. Nie można się więc było omylić.

O czwartej d'Artagnan wyruszył w dalszą drogę, jadąc stępą, gdyż chciał przybyć na miejsce po zapadnięciu nocy. Otóż kiedy się tak jedzie stępą w zimowy dzień, o szarej godzinie, wśród krajobrazu pozbawionego jakichkolwiek nierówności, nie ma nic lepszego do roboty niż to, co robił Lafontainowski<sup>21</sup> zając w norze: rozmyślać. D'Artagnan tedy rozmyślał, Wiórek również. Tylko, jak się o tym przekonamy, myśli ich były różne.

Myślom d'Artagnana nadało szczególny kierunek jedno słówko oberżystki; słówkiem tym było nazwisko pani de Longueville.

Pani de Longueville posiadała rzeczywiście wszystkie dane, aby snuć o niej rozmyślenia: była jedną z największych dam królestwa, jedną z najpiękniejszych kobiet na dworze. Zaślubiona staremu diukowi de Longueville, którego wcale nie kochała, została najpierw kochanką de Coligny'ego, który w pojedynku na placu Królewskim dał się dla niej zabić diukowi de Guise. Później opowiadano sobie o nazbyt czułej przyjaźni, jaką żywiła do księcia de Conde, swego brata, co wywoływało zgorszenie u bogobojnych dusz na dworze. Jeszcze później mówiono, że przyjaźń ta zmieniła się w prawdziwie głęboką nienawiść, a w tej chwili powtarzano sobie, iż księżnę de Longueville łączył związek natury politycznej ze starszym synem sędziwego diuka de la Rochefoucault, księciem de Marsillac; właśnie w tym czasie nastawiała go wrogo do swego brata, księcia de Conde.

---

21 Jean de la Fontaine (1621—1695) — słynny bajkopisarz francuski.

Myśl d'Artagnana krążyła wokół tych wszystkich spraw. Wspominał, że kiedy był w Luwrze, widział częstokroć przechodzącą przed nim, promienną i olśniewającą, piękną panią de Longueville. Rozmyślał o Aramisie, co nie stojąc wyżej od niego, był niegdyś kochankiem pani de Chevreuse, która na innym dworze była tym, czym pani de Longueville w Luwrze. I zastanawiał się, dlaczego są na świecie ludzie, którzy osiągają wszystko, czego pragną; jedni w dziedzinie swych ambicji, inni w miłości, natomiast inni, przez przypadek, zły los bądź skutkiem pewnych wewnętrznych zahamowań, którymi obciążyla ich natura, pozostają w połowie drogi wszystkich swoich nadziei.

Musiał przyznać, że pomimo całego sprytu, całej zręczności przypisana mu została prawdopodobnie ta właśnie kolej rzeczy. W tym momencie zbliżył się Wiórek i powiedział:

— Założę się, że myślisz pan o tym samym co i ja.

— Wątpię, Wiórku — odrzekł d'Artagnan uśmiechając się. — A o czymże ty myślisz?

— Myślę, panie, o tych podejrzanych ludziach, którzy popijali tam w oberży, gdzieśmy się zatrzymali.

— Zawsze jesteś przezorny, Wiórku.

— To instynkt, panie.

— Dobrze, cóż więc mówi twój instynkt w tej okoliczności?

— Instynkt, panie, powiada mi, że ci ludzie tam zebrali się w oberży w złych zamiarach, i zastanawiałem się nad tym, co mi powiedział instynkt w najciemniejszym kącie stajni, kiedy do stajni wszedł człowiek okryty płaszczem, a za nim dwóch innych mężczyzn.

— Aha — rzekł d'Artagnan; opowiadanie Wiórka pokrywało się z jego poprzednimi spostrzeżeniami. — Więc cóż?

Jeden z tych ludzi powiedział:

— Na pewno powinien być w Noisy lub też przybędzie tam wieczorem; poznałem jego służącego.



— Jesteś tego pewien? — odezwał się człowiek w płaszczu.

— Tak. Książę.

— Książę? — przerwał d'Artagnan.

— Tak. Książę. Niech pan słucha, co dalej.

— Jeśli tam jest, musimy postanowić, co z nim zrobić — odezwał się drugi opój.

— Co z nim zrobić? — rzeki książę.

— Tak. Nie jest to człowiek, który da się ująć tak łatwo; puści w ruch szpadę.

— No cóż, trzeba będzie zrobić to samo co on. Jednak należałoby dostać go żywym. Macie powrozy i knebel?

— Mamy wszystko.

— Musicie uważać, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie przebrany za kawalerzystę.

— Tak, tak, wasza wysokość, proszę być spokojnym.

— Zresztą ja tam będę i poprowadzę was osobiście.

— Wasza wysokość będzie odpowiadał, jeśliby sprawiedliwość?...

— Będę odpowiadał za wszystko — odparł książę.

— A więc dobrze, zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

I z tymi słowy wyszli ze stajni.

— No dobrze — rzekł d'Artagnan — ale co to ma do nas? Jest to jedno z przedsięwzięć, jakie mają miejsce codziennie.

— Czy jest pan pewny, że to nie przeciwko nam?

— Przeciw nam? A czemuż to?

— Proszę sobie tylko przypomnieć ich słowa: “Poznałem jego służącego” — powiedział jeden z nich, co mogłoby się doskonale odnosić do mnie.

— I co dalej?

— “Powinien być w Noisy lub przybędzie tam dziś wieczorem” — rzekł drugi, co mogłoby się odnosić do pana.

— Dalej?

— Dalej książę powiedział: “Musicie uważać, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie przebrany za kawalerzystę”, co wydaje mi się nie budzić żadnych wątpliwości, gdyż pan jesteście w stroju kawalerzysty, a nie oficera muszkietierów. No i cóż pan na to?

— Niestety, mój drogi Wiórku! — powiedział d’Artagnan wzdychając. — Mógłbym rzec: na nieszczęście nie żyję już w czasach, kiedy to chcieli mnie zgładzać książęta. Ach, były to dobre czasy! Możesz być spokojny, ludzie ci nie do nas nie mają.

— Jest pan tego pewien?

— Ręczę za to.

— Więc dobrze, nie mówmy już o tym.

I Wiórek, z tym wielkim zaufaniem jakie żywił zawsze do swego pana, zaufaniem nie osłabionym piętnastoma latami rozłąki, powrócił na swoje miejsce za d’Artagnanem.

Przejechali tak około mili. Pod koniec tej mili Wiórek znów zbliżył się do oficera.

— Panie — rzekł.

— Co tam? — rzucił tamten.

— Zatrzymajcie się, panie, spójrzcie w tę stronę — prosił Wiórek. — Czy nie zdaje wam się, że wśród nocy snują się jakby cienie? Posłuchajcie, coś jakby tętent koni.

— Niemożliwe — odparł d’Artagnan. — Ziemia rozmiękła od deszczów. Ale kiedy mi o tym powiedziałaś, zdaje się, że coś widzę.

I zatrzymał się, aby popatrzeć i posłuchać.

— Jeśli nie słychać wyraźnie tętentu koni, to w każdym razie słychać ich rżenie. O!

I rzeczywiście, przenikając mroczną przestrzeń dobiegło rżenie konia i odbiło się o ucho d’Artagnana.

— To ci ludzie z oberży udają się na wyprawę — rzekł. — Ale nas to nie dotyczy. Jedźmy dalej.

I puścili się w drogę.

W pół godziny później dotarli do pierwszych domów Noisy. Mogło być między wpół do dziewiątej a dziewiątą wieczorem.

Wedle zwyczajów wiejskich wszyscy spali i w całej wsi nie błyszczało ani jedno światelko.

D'Artagnan i Wiórek jechali dalej.

Z prawa i z lewa na posępnej szarości nieba jeszcze posępniej odcinały się zębate gzymsy domów. Od czasu do czasu ujadał za bramą jakiś obudzony pies. Przerażony kot opuszczał pośpiesznie środek jezdni, by schronić się w stosie chrustu, gdzie widać było jego przestraszone oczy, błyszczące jak granaty. Zdawało się, że to jedyne istoty żywe zamieszkujące tę miejscowość.

Prawie pośrodku, odosobniona, między dwiema uliczkami, wznosiła się górująca nad głównym placem bezkształtna, posępna masa. Na tle jej fasady olbrzymie lipy rozpościerały swe nagie konary. D'Artagnan uważnie obejrzał budowlę.

— Jak się zdaje — zwrócił się do Wiórka — jest to zamek arcybiskupa, siedziba pięknej pani de Longueville. Ale gdzie może być klasztor.

— Klasztor znajduje się przy końcu wsi — odrzekł Wiórek. — Znam go.

— Doskonale — rzekł d'Artagnan — ja ściągnę popręg memu koniowi, a ty skoczysz tam galopem i wrócisz mi powiedzieć, czy nie oświetlone jest któreś z okien u jezuitów.

Wiórek, posłuszny rozkazowi, oddalił się w ciemnościach, a d'Artagnan, spuściwszy nogi na ziemię, poprawił, jak to był powiedział, popręgi swemu wierzchowcowi.

Po pięciu minutach Wiórek powrócił.

— Panie — wyrzekł — oświetlone jest jedyne okno od strony pola.

— Hm — rozmyślał głośno d'Artagnan — gdybym był frondystą,

zapukałbym tutaj i na pewno dostałbym doskonały nocleg. Gdybym był mnichem, zastukałbym tam i na pewno dostałbym dobrą kolację. Ponieważ jednak jest inaczej, możliwe, że będziemy nocowali pod gołym niebem, między zamkiem i klasztorem, konając z pragnienia i głodu.

— A jakże — dorzucił Wiórek — tak jak sławny osioł Buridana<sup>22</sup>. A tymczasem może życzyć sobie, panie, abym tu zapukał.

— Tsss! — szepnął d'Artagnan — jedyne oświetlone okno właśnie zgasło.

— Słyszycie, panie? — odezwał się Wiórek.

— Rzeczywiście, cóż to za hałas?

Był to odgłos jakby zbliżającej się burzy. W tejże chwili dwie grupy jeźdźców, każda około dziesięciu ludzi, wpadły przez obie uliczki biegnące wzdłuż domu i zamykając wyjście, okrążyły d'Artagnana i Wiórka.

— Ejże! — zawołał d'Artagnan wyciągając szpadę i zastawiając się koniem; jednocześnie Wiórek wykonywał ten sam manewr — czyżbyś się słusznie domyślał i naprawdę mieliby się nas czepiać?

— Jest tu, mamy go! — wykrzyknęli jeźdźcy rzucając się na d'Artagnana z obnażoną bronią.

— Nie pozwólcie mu ujść! — rzucił ktoś podniesionym głosem.

— Nie, wasza wysokość, proszę być spokojnym.

D'Artagnan ocenił, że nadeszła sposobna chwila, by wmieszać się do rozmowy.

— Hola, panowie! — zaczął swym gaskońskim akcentem. — Czego chcecie, o co wam chodzi?

— Przekonasz się! — ryknął chór jeźdźców.

— Stać! Stać! — wykrzyknął ów, którego zwali jego wysokością. — Zaklinam, stać! To nie jego głos.

---

<sup>22</sup> Jean Buridan — scholastyk średniowieczny (1300—1358). Przypisuje mu się opowieść o osiołku, który padł z głodu i pragnienia między wiązką siana a wiadrem wody, nie mogąc się zdecydować, do czego wpierw się zabrać.

— Ach, to tak, panowie — przemówił d'Artagnan. — Czyżby w Noisy panowała przypadkiem wścieklizna? No to proszę uważać, bo uprzedzam: pierwszy, kto zbliży się na długość mojej szpady, a szpada moja jest długa, zostanie wypatroszony.

Zbliżył się dowódca.

— Co tutaj robicie? — wyrzekł podniesionym głosem, jak człowiek nawykły do komenderowania.

— A co wy tutaj robicie? — odparował d'Artagnan.

— Tylko grzecznie, bo możesz pan oberwać w skórę. Jakkolwiek ktoś może nie chcieć wyjawić swego nazwiska, to jednak żąda szacunku stosownie do swej rangi.

— Nie chcesz pan podać swego nazwiska, gdyż dowodzisz zasadzką — odrzekł d'Artagnan. — Ale ja, spokojny podróżny wraz ze swoim służącym, nie mam powodu zatajać przed panem swojego.

— Dostyc! Basta! Nazwisko?

— Wymienię je, żebyś pan wiedział, gdzie mnie odnaleźć, panie, wasza wysokość czy mości księżę, jak tam wolisz, żeby pana wołać — odpowiedział nonszalancko Gaskończyk, nie chcąc, aby wyglądało, że ulega pogrożkom. — Zna pan d'Artagnana?

— Porucznika muszkietierów królewskich? — zapytał głos.

— Tego samego.

— Oczywiście.

— To musiał pan też słyszeć — ciągnął dalej Gaskończyk — że ma on tęgie ramię i ostrą szpadę?

— To pan jesteś d'Artagnan?

— Ja, we własnej osobie.

— A więc przybyłeś, żeby go bronić?

— Go? Jakiego go?

— No tego, którego szukamy.

— Wydaje mi się — ciągnął d'Artagnan — że przybywając do Noisy natrafiłem, nie spodziewając się tego, na królestwo zagadek.

— Odpowiadaj pan! — mówił ten sam wyniosły głos. — Czekasz nań pod tymi oknami? Przybył pan do Noisy, aby go bronić?

— Nie czekam na nikogo — odrzekł zniecierpliwiony już d'Artagnan. — Nie myślę bronić nikogo prócz siebie, ale uprzedzam, że siebie będę bronił tego!

— Doskonale! — mówił głos. — Zatem jedź pan stąd i zostaw nas samych.

— Jechać stąd? — odparł d'Artagnan, któremu rozkaz ten mieszał szyki. — To niełatwo, zważywszy, że upadam ze znużenia podobnie jak i mój koń. Chyba że gotów pan jesteś zaofiarować mi wieczerzę i nocleg w okolicy.

— Łajdak!

— Ejże, panie! — uniósł się d'Artagnan. — Trzymaj pan, proszę, język za zębami. Jeszcze jedno takie słowo, to kim byś nie był, markizem, diukiem, księciem czy królem, w brzuch je panu z powrotem wpakuję! Zrozumiano?

— Jedźmy, jedźmy — powiedział dowódca. — Pomyłka wykluczona. Tak przemawia na pewno tylko Gaskończyk, a co za tym idzie, nie ten, którego szukamy. Chybiliśmy tego wieczoru, wycofajmy się. A my, panie d'Artagnan, spotkamy się jeszcze! — dodał podniesionym głosem.

— Zapewne, ale już nigdy w takiej przewadze — zaczął Gaskończyk drwiąco. — Bo jeśli mnie pan odnajdziesz, będzie może dzień i będziesz pan sam.

— Dobrze, dobrze — mówił głos. — W drogę, panowie!

Z pomrukiem i złorzeczeniami oddział zniknął w ciemnościach, kierując się z powrotem w stronę Paryża.

D'Artagnan i Wiórek pozostawali jeszcze przez chwilę w postawie obronnej, ponieważ jednak tętent wciąż się oddalał, schowali szpady do pochew.

— Widzisz, głupcze — zwrócił się d'Artagnan do Wiórka — że nie chodziło im o nas.

— O kogóż zatem? — dopytywał się Wiórek.

— Na honor, nie mam pojęcia i mało mnie to obchodzi. Jedyne, która mnie obchodzi, to jak dostać się do klasztoru jezuitów. A więc na koń! I będziemy tam kołatać. Niech się dzieje, co chce, nie zjedzą nas przecież, u diabła!

I d'Artagnan ponownie dosiadł konia.

Wiórek usiłował zrobić to samo, kiedy nagle niespodziewany ciężar spadł na tył jego wierzchowca, aż ten się ugiął.

— Panie! — wrzasnął Wiórek. — Ktoś siedzi za mną na koniu! D'Artagnan odwrócił się i w samej rzeczy, ujrzał dwa kształty ludzkie na koniu Wiórka.

— Cóż za diabeł nas prześladowuje! — wykrzyknął, wyciągając znów szpadę i szykując się do natarcia na nowego przybysza.

— Nie, mój drogi d'Artagnan — ozwał się tamten. — To nie żaden diabeł. To ja, Aramis. Galopem, Wiórku, przy końcu wsi w lewo.

Wiórek, unosząc za sobą Aramisa, ruszył galopem. Za nim jechał d'Artagnan, który zaczynał przypuszczać, że śni jakiś fantastyczny, bezsensowny sen.

## 10. Ksiądz d'Herblay

Przy końcu wioski Wiórek skręcił w lewo, jak mu rozkazał Aramis, i zatrzymał się pod oświetlonym oknem. Aramis zeskoczył na ziemię i klasnął trzy razy w ręce. Okno natychmiast się otworzyło i w dół zsunęła się sznurowana drabinka.

— Mój drogi — powiedział Aramis — jeśli zechcesz wejść na górę, będę zachwycony mogąc cię ugościć.

— Ach, tutaj — rzekł d'Artagnan — więc w ten sposób wchodzi się do ciebie?

— Do diabła, po dziewiątej wieczorem trzeba wchodzić tędy — odrzekł Aramis. — Reguła zakonu należy do najostrzejszych.

— Przepraszam cię, drogi przyjacielu — wtrącił d'Artagnan — zdaje mi się, że użyłeś zwrotu “do diabła”!

— Myślisz? — rzekł śmiejąc się Aramis. — Możliwe; nie wyobrażasz sobie, mój drogi, ile złych nałogów nabiera człowiek w tych przeklętych klasztorach i jak liche maniery posiadają te wszystkie osoby duchowne, z którymi zmuszony jestem współżyć! No co, nie wchodzisz?

— Prowadź, pójdę za tobą.

— A zatem, jak mawiał nieboszczyk kardynał do nieboszczyka króla: “Aby wam wskazać drogę, sire”.

I Aramis jął zwinnie wspinać się po drabince; w jednej chwili dosięgnął okna.

D'Artagnan wstępował za nim, nieco jednak ostrożniej. Widać było, że był mniej oswojony z tego rodzaju drogą niż jego przyjaciel.

— Przepraszam cię, gdybym wiedział, że będę miał zaszczyt cię gościć, kazałbym przynieść drabinę ogrodnika. Dla mnie osobiście ta zupełnie



wystarcza.

— Panie — odezwał się Wiórek widząc d'Artagnana już na szczycie — to dobre dla pana Aramisa, ujdzie jeszcze dla was, panie, ostatecznie nawet i dla mnie, ale nasze dwa konie nie poradzą wejść po drabinie.

— Odprowadź je do tej szopy, przyjacielu — rzekł Aramis wskazując Wiórkowi coś w rodzaju zabudowań klasztornych wznoszących się na równinie.  
— Znajdziesz tam dla nich słomę i owies.

— A dla siebie? — zapytał Wiórek.

— Powrócisz pod to okno, klaśniesz trzy razy, a podamy ci żywność. Bądź spokojny, do licha, tu nie umiera się z głodu. No, zmykaj!

Aramis wciągnął drabinę i zamknął okno.

D'Artagnan lustrował pokój.

Nigdy nie widział apartamentu, który by był jednocześnie tak elegancki i posiadał tak wiele akcesoriów bojowych. W każdym kącie wisiały trofea wojenne, rzucały się w oczy i wciskały w ręce szpady wszelkiego rodzaju, a cztery wielkie obrazy przedstawiały w rynsztunku bojowym kardynała de Lorraine, kardynała de Richelieu, kardynała de Lavalette i arcybiskupa Bordeaux. Poza tym nic nie wskazywało, że jest to mieszkanie duchownego. Były tam tapety adamaszkowe, kobierce z Alencon, a przede wszystkim łoże, przybrane koronkami i kapą, przypominające raczej łoże modnisi aniżeli człowieka, który ślubował osiągnąć niebo przez wstrzemięźliwość i umartwienia.

— Patrzysz na moją alkowę? — rzekł Aramis. — Ach, mój drogi! Wybacz mi. Cóż byś chciał, przecież mieszkam jak zakonnik. Ale czego tak wypatrujesz?

— Szukam tego, kto ci rzucił drabinę. Nie widzę nikogo, a przecież drabinka nie mogła spaść sama.

— Rzucił ją Gryzipiórek.

— Ach, tak — powiedział d'Artagnan.

— Tak — ciągnął Aramis — mój Gryzipiórek to dobrze wymusztrowany służący; widząc, że nie wchodzę sam, dyskretnie się oddalił. Siadaj, mój drogi, i porozmawiajmy.

I Aramis podsunął d'Artagnanowi wygodny fotel, w którym ten się wyciągnął wspierając na łokciach.

— Przede wszystkim zjemy razem kolację, nieprawdaż? — zapytał Aramis.

— Oczywiście, jeśli sobie tego życzysz. A muszę wyznać, że uczynię to nawet z wielką przyjemnością. Droga diabelnie wzmogła mój apetyt.

— Ach, biedny mój przyjacielu! — odrzekł Aramis. — Otrzymasz posiłek skromny; nie spodziewałem się ciebie.

— Czyżby mi groził omlet z Crevecoeur i jakaś zielenina? Czy nie tak nazywałaś ongiś szpinak?

— Och, miejmy nadzieję, że z pomocą bożą i Gryzipiórka znajdziemy coś lepszego w spiżarni czcigodnych ojców jezuitów. Gryzipiórek, przyjacielu — zawołał Aramis — Gryzipiórek, chodź no tutaj!

Drzwi otwarły się i stanął w nich Gryzipiórek. Na widok d'Artagnana wydał okrzyk przypominający krzyk rozpaczny.

— Drogi Gryzipiórku — zwrócił się do niego d'Artagnan — rad widzę, z jakim to podziwu godnym tupetem kłamiesz nawet w kościele.

— Mój panie — odparł Gryzipiórek — czcigodni ojcowie jezuici uczyli mnie, że kłamstwo jest dozwolone, o ile się kłamie w dobrej intencji.

— Dobrze, dobrze, Gryzipiórku — wmieszał się Aramis. — D'Artagnan umiera z głodu i ja też. Podaj nam jak najlepszą kolację, a nade wszystko przynieś dobrego wina.

Gryzipiórek skłonił się posłusznie, głęboko westchnął i wyszedł.

— A teraz, gdy jesteśmy sami, mój drogi Aramisie — rzekł d'Artagnan przenosząc wzrok z apartamentu na właściciela i na jego ubranie i kończąc oględziny, które rozpoczął od mebli — powiedz mi, skąd, u diabła, spadłeś na

konia z tyłu za Wiórkiem.

— Ech, do kroćset! — odparł Aramis — widziałeś przecie, że z nieba!

— Z nieba? — potrząsnął głową d'Artagnan. — Nie wyglądasz mi ani na takiego, co by stamtąd powracał, ani na takiego, co by tam chadzał.

— Drogi przyjacielu — rzekł Aramis robiąc minę tak zarozumiałą, jakiej d'Artagnan nie widział u niego nigdy od czasu służby w muszkietierach — widzisz, jeżeli nie przybyłem z nieba, to wyszedłem co najmniej z rajcu, co jedno drugiemu jest bardzo bliskie.

— A zatem uczeni nareszcie to ustalili — odrzekł d'Artagnan. — Po dziś dzień nie mogli pogodzić się na temat właściwego usytuowania rajcu: jedni umieszczali go na górze Ararat, inni między Tygrysem a Eufratem. Wydaje mi się, że szukali go bardzo daleko, podczas gdy był bardzo blisko. Raj znajduje się w Noisy-le-Sec, w obrębie zamku arcybiskupa Paryża. Nie wychodzi się z niego drzwiami, lecz oknem; nie schodzi się po marmurowych schodach do przedsionka, lecz po konarach lipy, strzegący zaś go anioł z ognistym mieczem zmienił swe niebiańskie imię Gabriela, jak mi się zdaje, na bardziej ziemskie: księcia de Marsillac.

Aramis roześmiał się na całe gardło i powiedział:

— Jesteś zawsze wesołym druhem, mój drogi, i nie opuścił cię twój gaskoński humor, tak pełen polotu. W tym, coś mi rzekł, jest zapewne nieco prawdy. Tylko niech ci czasem nie strzeli do głowy, że osoba, w której siękocham, to pani de Longueville.

— Niech to diabli, daleki jestem od tego — rzucił d'Artagnan. — Po tak długotrwałej miłości, jaką żywiłeś dla pani de Chevreuse, nie mógłbyś przecie oddać serca jej śmiertelnemu wrogowi.

— To prawda — rzekł Aramis obojętnie — tak, kochałem niegdyś bardzo tę biedną księżnę i trzeba jej oddać sprawiedliwość, była nam bardzo pomocna, ale cóż chcesz, musiała opuścić Francję. Ten przeklęty kardynał był przeciwnikiem tak niebezpiecznym — ciągnął Aramis rzucając okiem na portret

poprzedniego ministra. — Wydał on rozkaz aresztowania jej i osadzenia na zamku de Loches. Byłby jej kazał ściąć głowę, dając słowo, podobnie jak to się stało z Chalais, Montmorency i Cinq-Marsem. Ocalała się przebrana za mężczyznę wraz ze swą pokojową, tą biedną Ketty. Jej to przydarzyła się, jak słyszałem, owa dziwaczna przygoda w jakiejś tam wiosce, nie pamiętam już, z którym proboszczem. Poprosiła go była o gościnę, a on, mając do dyspozycji tylko jeden pokój, zaproponował, biorąc ją za kawalera, by zamieszkała w pokoju wraz z nim. Stało się tak dlatego, że ta droga Maria nosiła strój męski z nieprawdopodobnym fasonem. Nie znałem kobiety, która by lepiej od niej wyglądała w stroju męskim. Toteż ułożono na nią kuplet:

*Laboissiere, powiedziec zechciej...*

Znasz go?

— Nie, zaśpiewaj, mój drogi.

Tedy Aramis jął śpiewać z isticie kawalerską fantazją:

*Laboissiere, powiedziec zechciej...*

*Czy mi pasuje męski strój.*

*— Pani, ty konno jeździsz lepiej*

*Niż wielbicieli twoich rój!*

*Ach, ta kobieta*

*W gwardii regimencie,*

*W halabard szczęku i zamecie*

*Służy za kadeta.*

— Brawo! — wykrzyknął zachwycony d'Artagnan. — Śpiewasz, drogi Aramisie, zawsze cudownie. Widzę, że odprawianie mszy nie popsło ci głosu.

— Widzisz, drogi... — odrzekł Aramis. — Kiedy służyłem w

muszkietierach, pełniłem straż, jak się tylko dało najrzadziej, teraz gdy jestem księdzem, odprowadzam mszę też jak najrzadziej. Wróćmy jednak do tej biednej księżnej.

— Do której? Do księżnej de Chevreuse czy do księżnej de Longueville?

— Mówiłem ci już, drogi, że nie łączyło mnie nic z księżną de Longueville, może nieco kokieterii i na tym koniec. Nie, miałem na myśli księżnę de Chevreuse. Czy widziałeś ją, kiedy po śmierci króla powróciła do Brukseli?

— Tak, ma się rozumieć, była wówczas jeszcze bardzo piękna.

— Tak — potaknął Aramis. — I ja widywałem ją znowu po trosze w tym okresie. Dawałem jej znakomite rady, z których absolutnie nie korzystała. Posunąłem się nawet do powiadomienia jej, że Mazarini jest kochankiem królowej. Nie chciała mi wierzyć, utrzymując, że zna Annę Austriaczkę i że jest ona zbyt dumna, by kochać podobnego bałwana. Nieco później zwarła się z kliką diuka de Beaufort, którego bałwan kazał zaaresztować, zaś panią de Chevreuse wygnał.

— Czy wiesz, że uzyskała pozwolenie powrotu?

— Tak, a nawet, że powróciła... Pewnie znów popełni jakieś głupstwo.

— Może tym razem posłucha twoich rad.

— Och, tym razem! — przerwał Aramis. — Nie widziałem jej jeszcze, i pewnie bardzo się zmieniła.

— Nie tak jak ty, drogi Aramisie, ty wciąż jesteś ten sam, zawsze masz piękne czarne włosy, zawsze zgrabną figurę, wciąż te same kobiece ręce, które stały się teraz cudownymi rękami prałata.

— Tak, to prawda — odrzekł Aramis. — Dbam o siebie bardzo. Wiesz, mój drogi, zaczynam się starzeć, skończę niebawem trzydzieści siedem lat.

— Posłuchaj no, przyjacielu — powiedział uśmiechając się d'Artagnan — skoro doszło do tego, żeśmy się spotkali, to ustalmy jedną rzecz: mianowicie, ile będziemy mieli lat na przyszłość.

— Jak to? — zapytał Aramis.

— Ano tak — odparł d'Artagnan — dawniej ja byłem młodszy od ciebie o jakieś dwa, trzy lata, a jeśli się nie mylę, stuknęła mi już czterdziestka.

— Istotnie! — zgodził się Aramis. — Zatem pomyliłem się ja, gdyż ty, drogi przyjacielu, byłeś zawsze podziwu godnym matematykiem. Według twego rachunku miałbym jakieś czterdzieści trzy lata! Do czarta! Drogi mój, nie zdradź tego w pałacu Rambouillet, byłoby mi to nie na rękę.

— Bądź spokojny — rzucił d'Artagnan. — Nie bywam tam.

— Ach, ale co też porabia to zwierzę Gryzipiórek?! — wykrzyknął Aramis. — Gryzipiórek! Pośpiesz no się, panie hultaju! Wściekam się tu z pragnienia i głodu!

Gryzipiórek, który wszedł właśnie w tej chwili, wznosił do nieba ręce niosąc w każdej butelkę.

— Nareszcie — zwrócił się do niego Aramis. — Jesteś gotów, co?

— Tak, panie, w tej chwili — odpowiedział Gryzipiórek. — Potrzebowałem przecież trochę czasu, ażeby wnieść te...

— Bo ty wciąż myślisz tylko o swych szatach kościelnego na grzbiecie — przerwał Aramis — i cały czas spędzasz na odczytywaniu brewiarza. Ale uprzedzam cię, jeśli będziesz polerował wszystkie przedmioty w kaplicy, a zapomnisz oczyścić moją szpadę, rozpalę olbrzymi ogień ze wszystkich twoich świętych obrazów i upiekę cię.

Zgorszony Gryzipiórek przeżegnał się butelką, którą trzymał w ręce. D'Artagnan zaś, zdziwiony bardzo tonem i manierami księdza d'Herblay, tak odmiennymi od manier muszkietera Aramisa, spoglądał ze zdumieniem na przyjaciela.

Gryzipiórek żywo nakrył stół adamaszkowym obrusem, a na obrusie nastawiał tyle rzeczy rumianych, pachnących, smakowitych, że d'Artagnan stanął osłupiały.

— Musiałeś kogoś oczekiwać — zwrócił się do Aramisa.

— Och, cóż, jestem zawsze w pogotowiu. Poza tym wiedziałem, że mnie

szukasz.

— Od kogo?

— No, od mistrza Gryzipiórka, który wziął cię, mój drogi, za diabła i przybiegł tu, by mnie przestrzec o niebezpieczeństwie zagrażającym mej duszy, gdybym znów popadł w tak złe towarzystwo, jakim jest towarzystwo oficera muszkietierów.

— Och, panie!... — zaczął Gryzipiórek składając ręce i robiąc błagalną minę.

— Tylko bez hipokryzji! Wiesz, że tego nie lubię. Otwórz lepiej okno i spuść chleb, kurczę i butelkę wina swemu przyjacielowi Wiórkowi, który morduje się od godziny klaszcząc w ręce.

Rzeczywiście, Wiórek, dawszy koniom słomy i owsa, przybył pod okno i ponawiał dwa, trzy razy umówiony sygnał.

Gryzipiórek, posłuszny rozkazowi, przywiązał do sznura trzy wymienione rzeczy i spuścił je Wiórkowi, który zaspokojony całkowicie, oddalił się natychmiast do szopy.

— Zatem siadajmy wiesz, — zapraszał Aramis.

Dwaj przyjaciele zasiedli do stołu i Aramis jął kroić kury, kuropatwy i szynki ze zręcznością prawdziwego smakosza.

— Do kroćset! — rzekł d'Artagnan — ależ ty się tu odżywasz!

— Owszem, niczego. Na dni postne mam dyspensę z Rzymu, którą wyrobił mi koadiutor, powodowany troską o moje zdrowie. Poza tym przyjąłem do służby eks-kucharza pana de Lafollone, wiesz, dawnego przyjaciela kardynała, tego sławnego smakosza. Całą jego modlitwą po obiedzie były słowa: "Panie Boże, dozwól mi w łaskawości swojej, bym dobrze strawił to wszystko, co zjadłem był z takim apetytem".

— I co nie przeszkodziło mu umrzeć na niestrawność — rzekł śmiejąc się d'Artagnan.

— Cóż chcesz, drogi — odrzekł Aramis z wyrazem rezygnacji — nie

można ujść swemu przeznaczeniu!

— Wybacz mi, przyjacielu, że postawię ci jedno pytanie — przerwał d'Artagnan.

— Proszę cię, pytaj. Wiesz dobrze, że między nami nie powinno być żadnych tajemnic.

— Czy wzbogaciłeś się?

— Och, mój Boże, nic podobnego! Zarabiam tylko dwanaście tysięcy liwrów rocznie, nie licząc małego beneficjum ofiarowanego mi przez księcia a przynoszącego około tysiąca talarów rocznego dochodu.

— W jaki sposób zarabiasz te dwanaście tysięcy liwrów rocznie? — dopytywał się d'Artagnan — czy pisząc poematy?

— Nie, zarzuciłem poezję. Od czasu do czasu tylko tworzę kilka lekkich piosenek, kilka wytwornych sonetów czy niewinnych epigramów. Pisuję kazania, mój drogi.

— Co, kazania?

— Tak, i to fenomenalne kazania! A przynajmniej uchodzą za takie.

— I sam je wygłaszasz?

— Nie, sprzedaję je.

— Komu?

— No, tym z moich współkolegów, którzy pragną być wielkimi kaznodziejami.

— Ach, doprawdy? — A nie usiłowałeś sięgnąć po sławę dla siebie?

— Oczywiście, mój drogi, tylko natura bierze górę. Kiedy znajduję się na ambonie, a przypadkiem patrzy na mnie piękna kobieta, zaraz i ja patrzę na nią. Jeśli się uśmiecha, uśmiecham się i ja. I zaczynam wtedy pleść głupstwa, zamiast mówić o mękach piekielnych, mówię o niebiańskich uciechach. Oto, co wydarzyło mi się jednego dnia w kościele Świętego Ludwika w Marais... Pewien kawaler roześmiał mi się w nos. Przerwałem, żeby mu powiedzieć, iż jest głupcem. Ludzie wyszli nazbierać kamieni, lecz tymczasem udało mi się tak



pokierować umysłami obecnych, że obrzucono kamieniami owego kawalera. Co prawda następnego dnia pojawił się u mnie, sądząc, że ma do czynienia z księdzem podobnym do innych księży.

— I jakiż był rezultat tych odwiedzin? — dopytywał się d'Artagnan rycząc ze śmiechu.

— Umówiliśmy spotkanie na placu Królewskim na następny wieczór. Ach, prawda, znasz przecież tę sprawę.

— Czyżby to przypadkiem była sprawa z tym grubianinem, kiedy to służyłem ci za sekundanta? — pytał d'Artagnan.

— O, właśnie. Widziałeś, jak go urządziłem.

— I co, zmarł?

— Nie mam pojęcia. W każdym razie dałem mu rozgrzeszenie *in articulo mortis*<sup>23</sup>. Wystarczy zabić ciało nie zabijając ducha.

Gryzipiórek wykonał gest rozpaczony, którym chciał dać do zrozumienia, że chociaż aprobuje sam morał, to przecież oburzony jest do żywego tonem, jakim został wypowiedziany.

— Gryzipiórku, przyjacielu, nie zauważyłeś, że widzę cię w lustrze, i zapominasz, że raz na zawsze zabroniłem ci wszelkich oznak aprobaty czy nagany. Będziesz uprzejmy podać nam wino hiszpańskie i oddalić się stąd. Pan d'Artagnan, mój przyjaciel, pragnie mi zwierzyć pewną tajemnicę. Nieprawdaż, d'Artagnan?

D'Artagnan potwierdził skinieniem głowy i Gryzipiórek oddalił się, postawiwszy wino hiszpańskie na stole.

Dwaj przyjaciele gdy zostali sami, siedzieli przez chwilę w milczeniu, jeden naprzeciw drugiego. Aramis zdawał się oczekiwać na błogie trawienie. D'Artagnan przygotowywał wstęp. Nie patrząc na siebie obrzucali się ukradkiem spojrzeniami.

Pierwszy przerwał milczenie Aramis.

---

<sup>23</sup> *In articulo mortis* (łac.) — wobec grożącej śmierci.

## 11. Dwaj cwaniacy

— O czym tak rozmyślasz, d'Artagnanie? — zapytał. — Do której ze swych myśli tak się uśmiechasz?

— Myślę nad tym, mój drogi, że jak długo byłeś muszkietierem, odstawiałeś bezustannie księdza, a dziś, kiedy jesteś księdzem, wydajesz się na całego odstawiać muszkietera.

— To prawda — odrzekł śmiejąc się Aramis. — Widzisz, drogi d'Artagnan, człowiek to dziwny stwór, cały złożony jest z przeciwieństw. Odkąd jestem księdzem, śnię tylko o bitwach.

— Widać to po twoim umeblowaniu: masz u siebie rapiery wszelkiego rodzaju, najbardziej wyszukane. Czy fechtunek idzie ci wciąż jeszcze dobrze?

— Tak jak tobie ongiś, a może i lepiej. Ćwiczę całymi dniami.

— A z kimże to?

— Ze znakomitym mistrzem szpady, którego tu mamy.

— Co, tutaj?

— Tak, tutaj, w tym klasztorze, mój drogi. W klasztorze jezuitów znajdziesz wszystko.

— Więc gdyby pan de Marsillac napadł cię sam, a nie na czele dwudziestu ludzi, zabiłbyś go?

— Na pewno — rzekł Aramis — nawet na czele dwudziestu ludzi, gdybym tylko mógł być dobyć szpady z pochwy nie będąc poznanym.

— Boże, odpuść! — szepnął d'Artagnan — zdaje się, jeszcze większy z niego Gaskończyk niż ze mnie.

A głośno dodał:

— Więc, drogi Aramisie, pytałeś, w jakim celu cię poszukiwałem.

— Nie, nie pytałem cię o to — odparł Aramis ze szczwaną miną. —

Czekałem, aż mi sam powiesz.

— Ach, więc poszukiwałem cię, aby zaproponować ni mniej ni więcej, tylko sposób zgładzenia pana de Marsillac w całej jego książęcej okazałości, gdyby ci to miało sprawić przyjemność.

— He, he! — wyrzekł Aramis — to jest myśl!

— Chciałbym abyś z niej skorzystał, mój drogi. Alboż to tysiąc talarów z opactwa i dwanaście tysięcy liwrów, jakie osiągasz ze sprzedaży kazań, czynią cię bogatym? Odpowiedz no szczerze.

— Jestem biedny jak mysz kościelna. Gdybyś przetrząsnął moje kieszenie i kufry, nie wiem, czybyś znalazł sto pistolów.

Diabli, sto pistolów! — pomyślał d'Artagnan. — I on twierdził, że jest biedny jak mysz kościelna. Gdybym zawsze miał tyle przy sobie, czułbym się bogaty jak Krezus<sup>24</sup>.

Po chwili powiedział:

— Czy jesteś ambitny?

— Jak tytan Enceladon<sup>25</sup>.

— A więc, przyjacielu, przynoszę ci środek, który ci pozwoli stać się bogatym, potężnym i władnym czynić wszystko, co ci się podoba.

Po czole Aramisa przemknął cień równie szybki jak cień sunący w sierpniu po zbożach. Mimo to jednak nie uszedł uwagi d'Artagnana.

— Mów!

— Wpierw jeszcze jedno pytanie. Czy zajmujesz się polityką?

W oczach Aramisa zaświeciła błyskawica, równie nagła jak cień, który przemknął przez jego czoło, lecz na tyle szybka, by jej d'Artagnan nie zauważył.

— Nie — odpowiedział Aramis.

— Wszystkie zatem propozycje będą ci odpowiadały, gdyż w danej chwili nie masz nad sobą żadnego pana prócz Boga — mówił śmiejąc się Gaskończyk.

— Być może.

---

24 Krezus (VI w. p.n.e.) — król Lidii, w Azji Mniejszej, znany ze swoich bogactw.

25 Enceladon — wg mitologii greckiej jeden z Tytanów walczących z Ojcem Bogów i Ludzi, Zeusem.

— Czy myślałeś czasami, drogi Aramisie, o tych pięknych dniach naszej młodości, które spędzaliśmy śmiejąc się, pijąc bądź walcząc?

— Zapewne, tak. I niejednokrotnie ich żałowałem. Były to piękne czasy! Delectabile tempus!

— A więc, mój drogi, te piękne dni mogą się odrodzić, mogą powrócić te szczęśliwe czasy! Otrzymałem polecenie, abym odszukał moich towarzyszy. Chciałem zacząć od ciebie, który byłeś duszą naszego związku.

Aramis skłonił się, uprzejmy raczej aniżeli poruszony.

— Ja miałbym się znów mieszać do polityki — wyrzekł omdlewającym tonem, poprawiając się w fotelu. — Ach, drogi d'Artagnan, sam widzisz, jak sobie tu żyję statecznie i wygodnie. Sam wiesz dobrze, że ze strony możnych tego świata spotkała nas niewdzięczność.

— To prawda — zgodził się d'Artagnan — ale może żałują swej niewdzięczności.

— W takim razie — rzucił Aramis — to zupełnie inna sprawa. Cóż, miłosierdzie zmazuje każdy grzech. Zresztą masz rację co do jednego, gdyby nam przyszło znów mieszać się do spraw państwa, sądzę, że moment byłby po temu odpowiedni.

— Skąd o tym wiesz, skoro nie zajmujesz się polityką?

— Och, mój Boże, osobiście się nie zajmuję, ale żyję tu wśród ludzi, którzy się nią zajmują. Pochłonięty całkowicie uprawianiem poezji, oddany sprawom miłosnym, nawiązałem stosunki z panem Sarrazin, który oddany jest panu de Conti, z panem Voiture, który trzyma z koadiutorem, i z panem de Bois-Robert, który od czasu gdy przestał trzymać z kardynałem de Richelieu, nie trzyma z nikim lub jeśli wolisz, ze wszystkimi. W ten sposób życie polityczne nie uszło całkowicie mojej uwagi.

— Nie wątpię o tym — wyrzekł d'Artagnan.

— Zresztą, mój drogi, to wszystko, co ci powiem, musisz brać tylko za słowa mnicha, człowieka, który mówi jak echo, powtarzając po prostu to, co

usłyszał. A słyszałem, że właśnie w tej chwili kardynał Mazarini jest bardzo zaniepokojony biegiem spraw. Zdaje się, że jego rozkazy nie znajdują takiego posłuchu jak niegdyś rozkazy naszego straszzydła, nieboszczyka kardynała, którego portret tu widzisz; cokolwiek da się o nim powiedzieć, trzeba przyznać, mój drogi, że był to wielki człowiek.

— Trudno mi zaprzeczyć, drogi Aramisie, on to przecież zrobił mnie porucznikiem.

— Początkowo byłem całkowicie po stronie kardynała — ciągnął Aramis. — Mówiłem sobie, że minister nigdy nie jest lubiany, on jednak z pomocą geniuszu, który mu przypisują, zatriumfuje w końcu nad nieprzyjaciółmi i będzie budził postrach, co, moim zdaniem, jest znacznie więcej warte, aniżeli gdyby budził miłość.

D'Artagnan skinął głową na znak, że aprobuje całkowicie tę wątpliwą maksymę.

— Tak sądziłem początkowo — ciągnął Aramis — ponieważ jestem jednak całkowicie nieświadomy w sprawach tego rodzaju, a pokora, którą wyznaję, nakazuje mi nie polegać na własnych sądach, zasięgnąłem języka. I oto, drogi przyjacielu...

Aramis urwał.

— I oto cóż — dopytywał się d'Artagnan.

— I oto zmuszony jestem ugiąć swą dumę, ukorzyć się i przyznać, że się pomyliłem.

— Doprawdy?

— Tak. Jak ci już mówiłem, zasięgnąłem języka i odpowiedź ludzi o zupełnie różnych poglądach i upodobaniach brzmiała: pan Mazarini nie jest wcale człowiekiem genialnym, za jakiego go miałem.

— Ba! — wyrzekł d'Artagnan.

— Nie. To człowiek niskiego pochodzenia; był służącym kardynała Bentivoglio. Wyrósł na intrydze, parweniusz, człowiek bez nazwiska, który we

Francji będzie uprawiał łupiestwo. Będzie zbijał kiesę, będzie trwonił królewskie dochody, pobierał dla siebie wszystkie pensje, które nieboszczyk kardynał wypłacał ongiś ludziom. Ale w rządach nie będzie się kierował nigdy prawem silniejszego, większego czy bardziej czcigodnego. Poza tym, jak się zdaje, minister ten nie jest szlachcicem także i w swoich manierach czy odwadze, jest natomiast czymś w rodzaju błazna, Poliszynela, Pantalona<sup>26</sup>.  
Znasz go? Ja bo nie znam go wcale.

— Niestety! — rzekł z westchnieniem d'Artagnan — jest nieco prawdy w tym, co mówisz.

— Napelniasz mnie dumą, mój drogi, skoro ja, zdolny do pewnych pospolitych dociekań, mogłem dojść do tych samych wniosków, co i ty, który żyjesz na dworze.

— Ale mówiłeś dotychczas o nim, a nie o jego stronnictwie i środkach.

— To prawda, ma za sobą królową.

— O ile mi się wydaje, ma to pewne znaczenie.

— Lecz nie ma za sobą króla.

— Dzieciak!

— Dzieciak, który będzie pełnoletni za cztery lata.

— Ale tu chodzi o dziś.

— Tak, tylko że to na bliską metę. W dodatku dzisiaj Mazarini nie ma za sobą ani parlamentu, ani ludu, to znaczy pieniędzy, nie ma za sobą ani szlachty, ani książąt, to znaczy szpady.

D'Artagnan podrapał się w ucho. Musiał przyznać w duchu, że rozumowanie Aramisa nie pozbawione jest zarówno rozmachu, jak i słuszności.

— Tak, biedny przyjacielu, byleby tylko nie zawiodła moja zwykła przenikliwość. Muszę ci wyznać, iż, być może, postąpiłem źle rozmawiając z tobą tak otwarcie, gdyż jak mi się wydaje, skłaniasz się ku Mazariniemu.

— Ja! — wykrzyknął d'Artagnan. — Ja? Ani trochę!

---

26 Poliszynel, Pantalón — postaci z ówczesnych komedii włoskich.

— Mówiłeś o misji.

— Ja mówiłem o misji? Plotłem głupstwa. Nie, powiedziałem sobie podobnie jak ty: sprawy się wikłają. Rzucajmy więc pióro na wiatr, pójdźmy w stronę, dokąd je wiatr uniesie, i rozpocznijmy na nowo życie pełne przygód. Było nas czterech mężczyzn, rycerzy, cztery serca czule ze sobą związane. Połączymy na nowo nie nasze serca, które nie były nigdy rozdzielone, ale nasze losy i odwagę. Nadarza się sposobność, by zdobyć coś więcej niż diament.

— Masz rację, d'Artagnan. Rację jak zwykle — ciągnął Aramis. — Najlepszym tego dowodem, że myślałem o tym samym, co ty. Tylko że mnie, pozbawionemu twojej żywej i płodnej wyobraźni, myśl tę podsunęto. W dzisiejszych czasach wszyscy potrzebują sojuszników; czyniono mi propozycje, odsłonięto to i owo z naszych dawnych, okrytych sławą czynów bohaterskich i muszę ci wyznać otwarcie, że mówił to koadiutor.

— Pan de Gondy, wróg kardynała?! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Nie, przyjaciel króla — odparł Aramis. — Zrozum przyjaciel króla. Więc chodziło o to, by służyć królowi, co jest obowiązkiem szlachcica.

— Przecież król trzyma z Mazarinim, mój drogi!

— Siłą faktu, a nie z własnej woli; z pozoru, a nie z serca. I to właśnie są owe sidła, które wrogowie króla zastawiają na biedne dziecko.

— Ach, to tak! Ależ to, co mi proponujesz, drogi Aramisie, to po prostu wojna domowa.

— Wojna za króla.

— Ale król stanie na czele armii, po stronie Mazariniego.

— Lecz sercem będzie z armią dowodzoną przez pana de Beaufort.

— Pana de Beaufort? Przecież on siedzi w Vincennes.

— Powiedziałem: pan de Beaufort? — zdziwił się Aramis. — Pan de Beaufort czy ktokolwiek inny, pan de Beaufort bądź brat królewski.

— Ależ brat królewski ma iść z armią. Jest on całkowicie oddany kardynałowi.

— He, he! — ciągnął uśmiechając się Aramis — właśnie w tej chwili toczą się między nimi pewne spory. Zresztą, jeśli nie brat królewski, to pan de Gondy...

— Ależ pan Gondy ma zostać kardynałem, żądają dla niego kapelusza.

— Alboż to nie ma kardynałów dobrych wojowników? — oponował Aramis. Spójrz tylko, masz tu wokół siebie czterech kardynałów, którzy stojąc na czele armii byli więcej warci od pana de Guebriant i pana Gassion.

— Ale generał garbaty?!

— Pod pancerzem nie będzie widać garbu. Zresztą przypomnij sobie: Aleksander Wielki kulał, Hannibal zaś był jednooki.

— Czy dopatrujesz się w tym stronnictwie wielkich korzyści? — rzucił zapytanie d'Artagnan.

— Widzę tam poparcie możnych książąt.

— Wraz z wygnaniem przez rząd!

— Unieważnionym przez parlament i rozruchy.

— Wszystko to byłoby możliwe, gdyby się udało rozłączyć króla z matką.

— Być może dojdzie do tego.

— Przenigdy! — wykrzyknął d'Artagnan, powracając tym razem do swoich przekonań. — Odwołuję się, Aramisie, do ciebie, który znasz Annę Austriaczkę równie dobrze jak ja. Czy sądzisz, że mogłaby ona zapomnieć kiedykolwiek, że jej syn jest jej bezpieczeństwem, palladium<sup>27</sup>, rękojmią jej poważania, jej fortuny i życia? Musiałaby przejść wraz z nim na stronę książąt porzucając Mazariniego. Wiesz jednak lepiej niż ktokolwiek inny, że istnieją ważne powody, aby nie opuściła go nigdy.

— Może i masz rację — rzekł zamyślony Aramis. — Dlatego też nie będę się wiązał.

— Z nimi nie — wtrącił d'Artagnan. — Ale ze mną?

---

<sup>27</sup> Palladium — wg mitologii greckiej posążek Pallas Ateny. Wykradzenie go z Troi przez Greków przesądziło losy wojny trojańskiej, zwycięzcą bowiem miał być ten, w którym ręku posążek ów się znajdował.



— Z nikim. Jestem księdzem, co mnie obchodzi polityka? Żadnych brewiarzy nie czytuję, mam małe grono: kilku dowcipnych księży łajdaków i kilka uroczych kobiet. Im większe będzie zamieszanie, tym mniej będzie wiadomo o moich eskapadach. Wszystko układa się cudownie bez mego udziału i stanowczo, mój drogi, zakarbujuj to sobie, nie będę się mieszał do niczego.

— Na honor, drogi przyjacielu — ozwał się d'Artagnan — twoja filozofia mnie podbiła, sam nie wiem, co za giez ambicji mnie ukąsił. Mam stanowisko, które zapewnia mi utrzymanie. Po śmierci tego biednego, starzejącego się pana de Treville mogę dochrapać się rangi kapitana. Jest to wcale piękna buława marszałkowska dla gaskońskiego kadeta i czuję, że przywyknę do uroków chleba skromnego wprawdzie, ale codziennego. Zamiast uganiać się za przygodami, przyjmę raczej zaproszenie Portosa i wybiorę się na polowanie w jego majątkach. Wiesz, że Portos ma majątek?

— A jakże, wiem doskonale! Dziesięć mil lasów, moczarów i łąk. Jest on panem gór i nizin, procesuje się o prawa feudalne z biskupem de Noyon.

Świetnie — pomyślał d'Artagnan — tylko tego pragnąłem się dowiedzieć: Portos jest w Pikardii. A głośno rzekł:

— A czy powrócił do swego dawnego nazwiska du Vallon?

— O, i dodał do niego jeszcze de Bracieux, imię włości, które były baronią!

— A więc będziemy mieli Portosa baronem.

— Niewątpliwie. Lecz nade wszystko podziwu godną osobą jest baronowa Portos.

Obydwaj przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

— A więc — nawrócił znów d'Artagnan — nie chcesz przejść na stronę Mazariniego?

— Ani ty na stronę książąt?

— Nie. Nie przechodzimy więc na niczyją stronę i pozostajemy przyjaciółmi. Nie będziemy ani zwolennikami kardynała, ani frondystami.

— Zgoda — rzekł Aramis — bądźmy muszkietierami.  
— Nawet z małą tonsurką — odparował d'Artagnan.  
— Zwłaszcza z małą tonsurką! — wykrzyknął Aramis. — To przydaje  
wdzięk.

— W takim razie, żegnaj! — wyrzekł d'Artagnan.  
— Nie zatrzymuję cię, mój drogi, gdyż nie mam cię gdzie położyć na noc,  
a byłoby nieprzyzwoitością z mej strony zaproponować ci połowę szopy  
Wiórka.

— Przecież jestem zaledwie trzy mile od Paryża. Konie wypoczęte, za  
niecałą godzinę będę z powrotem.

I d'Artagnan napełnił ostatnią szklanekę wina.

— Za to, co było — rzekł.

— Tak — odrzekł Aramis — jest to, niestety, czas przeszły... fugit  
irreparabile tempus<sup>28</sup>...

— Ba! — rzucił d'Artagnan — może jeszcze powróci. W każdym razie,  
gdybym ci był potrzebny, mieszkam: ulica Tiquetonne, zajazd "Pod Kózką".

— Ja zaś klasztor jezuitów, od szóstej rano do ósmej wieczorem wejście  
przez drzwi, od ósmej wieczór do szóstej rano — przez okno.

— Żegnaj, drogi.

— Och! Nie puszczę cię tak, pozwól sobie towarzyszyć.

Mówiąc to Aramis wziął szpadę i płaszcz.

Chce się upewnić, że odjeżdżam — pomyślał d'Artagnan.

Aramis zagwizdał na Gryzipiórka, lecz ten spał w przedpokoju nad  
resztkami wieczerzy, i Aramis, chcąc go obudzić, zmuszony był pociągnąć go za  
ucho. Gryzipiórek przeciągnął się, przetarł oczy i próbował na nowo zasnąć.

— Hej, panie śpiochu, prędko drabinę!

— Ależ — odrzekł Gryzipiórek, ziewając tak, że mało mu szczeka nie  
wyleciała z zawiasów — ależ drabina została na oknie.

---

<sup>28</sup> Fugit irreparabile, tempus (łac.) — czas ucieka bezpowrotnie.

— Chodzi o tę drugą, ogrodnika. Nie widziałeś, że d'Artagnan wchodził tu z trudem, o ile więc trudniej będzie mu zejść?

D'Artagnan chciał zapewnić Aramisa, że zejdzie doskonale, gdy nagle przyszła mu pewna myśl. Myśl ta kazała mu zamilknąć.

Gryzipiórek, głęboko wzdychając, udał się na poszukiwanie drabiny. W chwilę później stanęła przy oknie mocna i solidna drewniana drabina. — Ho, ho! — rzekł d'Artagnan — to dopiero środek komunikacji! Po takiej drabinie mogłaby wejść nawet kobieta.

Przeszywające spojrzenie Aramisa zdało się przenikać myśl przyjaciela, lecz d'Artagnan wytrzymał to spojrzenie z miną świętej naiwności. W tej zresztą chwili stawiał stopę na pierwszym szczeblu drabiny i zaczynał schodzić w dół. Wkrótce był już na ziemi. Gryzipiórek stał w oknie.

— Zostań tam — zwrócił się do niego Aramis — ja zaraz powrócę. Obaj przyjaciele poszli w stronę szopy. Na spotkanie wyszedł Wiórek, trzymając konie za uzdy.

— W samą porę — rzekł Aramis. — Co znaczy czujny i pilny służący. Nie to, co ten leń Gryzipiórek, który niezdolny jest do niczego, odkąd został kościelnym. Idź za nami, Wiórku, pójdziemy, rozmawiając, aż do końca wsi.

Rzeczywiście obaj przyjaciele przeszli przez całą wieś, rozmawiając o rzeczach zupełnie obojętnych. Przy ostatnim domu Aramis powiedział:

— Idź więc, drogi przyjacielu, podążaj za głosem kariery. Fortuna uśmiecha się do ciebie, nie pozwól jej umknąć. Pamiętaj, że jest ona kurtyzaną, i musisz ją odpowiednio traktować. A co do mnie, pozostanę pokorny i leniwy. Żegnaj!

— Więc to decyzja ostateczna? — zapytał d'Artagnan. — Nie odpowiada ci moja propozycja?

— Przeciwnie, odpowiadałaby mi bardzo — odrzekł Aramis — gdybym był podobny do innych ludzi, lecz powtarzam ci, jestem człowiekiem pełnym sprzeczności: to, czego dziś nienawidzę, jutro uwielbiam i na odwrót. Widzisz

więc jasno, że nie mogę się angażować, jak czynisz to ty, na przykład, który masz poglądy tak ustalone.

Kłamiesz, podstępny człowieku — pomyślał sobie d'Artagnan. — Jest zupełnie przeciwnie, to ty umiesz sobie wytknąć cel i dążyć doń skrycie.

— Żegnaj mi, drogi — ciągnął Aramis — i dzięki ci za dobre chęci, a przede wszystkim za miłe wspomnienia, jakie wzbudziła we mnie twoja obecność.

Uściskali się. Wiórek był już na koniu. Z kolei d'Artagnan wskoczył na siodło, po czym jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie. Jeźdźcy dali koniom ostrogę i podążyli w kierunku Paryża.

Aramis stał nieporuszony pośrodku gościńca, dopóki nie stracił ich z oczu.

Zaledwie ujechali dwieście kroków, d'Artagnan nagle się zatrzymał, zeskoczył na ziemię, rzucił cugle Wiórkowi i wyciągnąwszy z olster pistolety, założył je za pas.

— Co się stało, panie? — zapytał przerażony Wiórek.

— Stało się — odrzekł d'Artagnan — że mimo całej swej przebiegłości nie będzie mógł mówić, że wystrychnął mnie na dudka. Pozostań tu i nie ruszaj się. Połóż się gdzieś w okolicy traktu i oczekuj mnie.

Po tych słowach d'Artagnan przeskoczył rów ciągnący się wzdłuż drogi i puścił się na przełaj przez pole, by w ten sposób okrążyć wieś. Między domem zamieszkiwanym przez panią de Longueville a klasztorem jezuitów zauważył był pustą przestrzeń, ogrodzoną jedynie płotem.

Godzinę temu byłoby może trudno odnaleźć ów płot, lecz teraz wschodził księżyc i chociaż od czasu do czasu zakrywały go chmury, było widno. Nawet gdy się ściemniało, to nie na tyle, by nie można odnaleźć drogi.

D'Artagnan dopadł płotu i ukrył się za nim. Przechodząc przed domem, gdzie rozegrała się opowiedziana przez nas scena, dostrzegł, że to samo okno jest znowu oświetlone. Był wtedy przekonany, że Aramis nie powrócił jeszcze do siebie i że nie będzie tam powracał sam.

Rzeczywiście po upływie chwili posłyszał zbliżające się kroki i jakby odgłosy szeptów.

W miejscu, gdzie zaczynał się płot, kroki zatrzymały się.

D'Artagnan ukląkł na ziemi, poszukując miejsca, gdzie płot był bardziej zwarty, by się tam ukryć.

W tym momencie, ku wielkiemu jego zdziwieniu, ukazali się dwaj mężczyźni. Zdziwienie to jednak natychmiast prysło, jego ucha bowiem doszedł dźwięk głosu harmonijnego i pełnego słodyczy: jeden z dwu mężczyzn był kobietą przebraną za kawalera.

— Uspokój się, drogi Rene — mówił miękki głos. — Rzecz ta nie powtórzy się więcej. Odkryłam coś w rodzaju podziemnego korytarza przechodzącego pod drogą i trzeba będzie tylko unieść jedną z płyt kamiennych przed bramą, by otworzyć ci wejście.

— Och! — rzekł drugi głos, po którym d'Artagnan rozpoznał Aramisa — przysięgam ci, księżno, że gdyby ostrożności te nie miały na celu zabezpieczenia waszej dobrej sławy, gdybym ryzykował tylko swoje życie...

— Tak, tak, wiem, że jesteś mężny i lubisz ryzykować jako człowiek światowy, ale życie twoje należy nie tylko do mnie, należy także do naszego stronnictwa. Bądź więc ostrożny, bądź roztropny!

— Jestem zawsze posłuszny, o pani — odrzekł Aramis — jeśli rozkaz wydawany jest głosem tak pełnym słodyczy.

I czule ucałował jej rękę.

— Ach! — wykrzyknął kawaler głosem kobiecym.

— Co takiego? — zapytał Aramis.

— Czyż nie widzisz, że wiatr zerwał mi kapelusz?

I Aramis pobiegł za ulatującym kapeluszem, d'Artagnan zaś skorzystał z tego, by znaleźć w płocie miejsce mniej gęste, które pozwoliłoby mu swobodnie rzucić okiem na rzekomego kawalera. W tej samej chwili księżyc — może równie ciekawy jak oficer — wyszedł zza chmur i w niedyskretnym jego świetle

d'Artagnan rozpoznał wielkie, niebieskie oczy, złociste włosy i szlachetną głowę księżnej de Longueville.

Aramis, roześmiany, powrócił w jednym kapeluszu na głowie, a z drugim w rękę i oboje udali się w dalszą drogę ku klasztorowi jezuitów.

— Dobra! — rzekł d'Artagnan podnosząc się i otrzepując kolano — teraz cię mam: jesteś frondystą i kochankiem pani de Longueville.

## 12. Portos du Vallon de Bracieux de Pierrefonds

Dzięki informacjom zasięgniętych u Aramisa, d'Artagnan, któremu było wiadomo już dawniej, że rodowe nazwisko Portosa brzmiało du Vallon, dowiedział się teraz, iż przyjaciel nosił drugie nazwisko de Bracieux, od nazwy swych włości, i że właśnie o te włości procesuje się z biskupem z Noyon.

Należało więc szukać tych włości w okolicach Noyon, to znaczy na granicy Ue-de-France i Pikardii.

Niezwłocznie ułożył marszrutę: uda się do Dammartin, gdzie rozchodzą się dwie drogi: jedna prowadzi do Soissons, druga do Compiègne. Tam zasięgnie języka o włościach de Bracieux i zależnie od odpowiedzi, będzie się kierował prosto bądź skręci na lewo.

Wiórek, który nie znał jeszcze kierunku wyprawy, oświadczył, że będzie towarzyszył d'Artagnanowi choćby na koniec świata, obojętne, czy to prosto, czy w lewo. Błagał tylko swego dawnego pana, ażeby podróżowali nocą, gdyż ciemności lepiej zabezpieczają. D'Artagnan zaproponował mu wówczas, ażeby dał znać żonie i przynajmniej uspokoił ją co do swoich losów. Jednakże Wiórek odpowiedział żwawo, że jest najzupełniej pewny, iż jego żona nie umrze z niepokoju, jeśli nie będzie wiedziała, gdzie on się obraca; natomiast on, Wiórek, znając niepohamowany język żony, umierałby ze strachu, gdyby wiedziała o miejscu jego pobytu.

Powody te wydały się d'Artagnanowi tak słuszne, że więcej nie nalegał i około godziny ósmej wieczorem, w momencie gdy mrok zaczął spowijać ulice, opuścił zajazd "Pod Kózką" wraz z Wiórkiem. Ze stolicy wyjechali przez bramę Saint-Denis.

O północy obydwaj podróżni znaleźli się w Dammartin.

Było za późno, by zasięgnąć jakichś wiadomości. Gospodarz oberży "Pod

Łabędziem” już spał. D’Artagnan odłożył więc całą rzecz do następnego dnia.

Rano przywołał gospodarza. Był to jeden z tych szczwanych Normandczyków, co to nie mówią ani tak, ani nie i zawsze myślą, że narażają się odpowiadając wprost na postawione pytania. Domyśliwszy się ledwie, że winien jechać dalej prosto, d’Artagnan udał się w drogę, kierując się dość dwuznaczną informacją. O dziewiątej z rana był w Nanteuil i zatrzymał się na śniadanie.

Tym razem gospodarz był szczerym i poczciwym Pikardczykiem, który, rozpoznawszy w Wiórku krajana, nie czynił żadnych trudności i udzielił im wszelkich wyjaśnień, jakich żądali. Włości de Bracieux oddalone były o kilka mil od Villers-Cotterets.

D’Artagnan znał Villers-Cotterets, towarzyszył tam dwa czy trzy razy dworowi, gdyż w owym okresie Villers-Cotterets było rezydencją królewską. Udał się więc w kierunku tego miasta i stanął tam w znajomej sobie oberży “Pod Złotym Delfinem”.

Tutaj informacje były jak najbardziej zadowalające. D’Artagnan dowiedział się, że włości de Bracieux położone są o cztery mile od miasta, ale nie tam należało szukać Portosa. Miał on rzeczywiście zatarg z biskupem Noyon o włości de Pierrefonds, graniczące z jego ziemiami, lecz znudzony powikłaniami prawnymi, których nie mógł w żaden sposób zrozumieć, chcąc je przeciąć, zakupił Pierrefonds, wskutek czego musiał dobrać nowe nazwisko do swoich dawniejszych. Nazywał się obecnie panem du Vallon de Bracieux de Pierrefonds i zamieszkiwał w swej nowej posiadłości. W braku innych dostojeństw Portos dążył wyraźnie do tego, by zostać markizem de Carabas<sup>29</sup>.

Trzeba było zaczekać jeszcze do następnego ranka, gdyż konie zrobiły w ciągu dnia dziesięć mil i były pomęczone. Co prawda mogli wziąć inne konie, lecz mieli do przebycia duży las, a jak sobie przypominamy, Wiórek nie lubił lasu nocą.

---

<sup>29</sup> Markiz de Carabas — postać z bajki “Kot w butach”. Markiz stał się bardzo bogaty dzięki zmyślności swego kota. W przenośni — posiadacz wielu majątków.



Była jeszcze jedna rzecz, której Wiórek nie lubił, a mianowicie: ruszać w drogę na czczo. Dlatego to d'Artagnan, obudziwszy się, zastał przygotowane już dla siebie śniadanie. Nie miał powodu skarżyć się na podobną troskliwość. Zasiadł więc do stołu. Rozumie, się samo przez się, że Wiórek, objawszy swe dawne funkcje, przybrał również swą dawną pełną pokory postawę i nie wstydził się jeść resztek po d'Artagnanie, podobnie jak panie de Motteville i de Fargis jadły po Annie Austriaczce.

Nie dało się więc wyjechać wcześniej niż koło ósmej rano. Trudno było zabłądzić; należało tylko posuwać się drogą prowadzącą z Villers-Cotterets do Compiègne, a po wyjściu z lasu kierować się na prawo.

Był piękny wiosenny poranek, pośród ogromnych drzew rozbrzmiewał śpiew ptaków, szerokie promienie słoneczne przebijały się przez miejsca bardziej przerzedzone i wydawały się być firankami ze złotej gazy. W innych miejscach światło przedzierało się z trudem przez gąszcz liściastego sklepienia; zanurzone w cieniu stały pnie starych dębów, na które, zoczywszy podróżnych, spiesznie umykały zwinne wiewiórki. Z tego porannego świata natury buchała woń traw, kwiatów i liści, napełniając serce radością. D'Artagnan, sprzykrzywszy sobie smrody Paryża, myślał, że kiedy człowiek nosi nazwiska trzech włości ziemskich, nadziane jakby na rożen, powinien czuć się szczęśliwy w takim raju. Następnie pokręcił głową, myśląc: Gdybym był Portosem, a d'Artagnan przyszedł do mnie z propozycjami, które zamierzam przedstawić Portosowi, wiedziałbym doskonale, co odpowiedzieć takiemu d'Artagnanowi.

Co się tyczy osoby Wiórka, to nie myślał on o niczym; po prostu trawił.

Na skraju lasu d'Artagnan spostrzegł wskazaną drogę, a przy końcu tej drogi baszty olbrzymiego feudalnego zamczyska.

— Ho, ho! — zamruczał. — Zdawało mi się, że zamek ten należał do starej linii Orleanów. Czyżby Portos ułożył się o niego z diukiem de Longueville?

— Na honor, panie — rzekł Wiórek — to mi pięknie utrzymane włości. Jeśli należą do pana Portosa, złożę mu swoje gratulacje.

— Do diabła! — rzucił d'Artagnan — nie można go nazywać Portosem ani nawet du Vallon. Nazywaj go de Bracieux albo de Pierrefonds. Zepsujesz mi inaczej całe poselstwo.

W miarę jak się zbliżali do zamczyska, które przykuło od razu ich wzrok, d'Artagnan pojął, że tam nie może zamieszkiwać jego przyjaciel: wieżyce, chociaż potężne i jakby wczoraj zbudowane, stały otworem, ziejąc pustką. Można by rzec: jakiś olbrzym rozciął je uderzeniami topora.

Dotarłszy do krańca drogi, d'Artagnan znalazł się nad wspaniałą doliną, w głębi której u stóp kilku rozrzuconych tu i ówdzie domów widać było drzemiące urocze jezioro. Domki skromne, jedne pokryte dachówką, inne słomą, zdawały się uznawać za swego suwerena piękny zameczek, wzniesiony gdzieś w początkach panowania Henryka IV, ozdobiony na szczycie chorągiewkami lennego pana. Teraz d'Artagnan nie wątpił już, że znajduje się przed siedzibą Portosa.

Droga prowadziła wprost do tego pięknego zamku, który wobec swojego przodka, zamczyska na górze, był tym, czym modniś z koterii jaśnie oświeconego diuka d'Enghien wobec zakutego w żelazo rycerza z czasów Karola VII. D'Artagnan puścił konia kłusem, Wiórek poszedł za przykładem swego pana.

Po dziesięciu minutach d'Artagnan znalazł się na krańcu alei obsadzonej w równych odstępach topolami. Zamykała ją żelazna krata o złoconych grotach i poprzecznych listwach. Pośrodku tej alei, na wypasionym przysadzistym ogierze, siedział ktoś niby pan w zielonym stroju, wyzłoconym podobnie jak krata. Po obu jego stronach znajdowali się dwaj lokaje wygalowani od stóp do głów; gromadka zebranych chłopów biła niskie, pełne czci pokłony.

— Och! — rzekł do siebie d'Artagnan — czyżby to był pan du Vallon de Bracieux de Pierrefonds? Mój Boże, jakże on się skurczył, odkąd się nie nazywa Portos.

— Chyba to nie on — rzekł Wiórek, odpowiadając na to, co d'Artagnan

wyrzekł był do siebie. — Pan Portos miał prawie sześć stóp wysokości, a ten ma najwyżej pięć.

— Jednakże — podjął oficer — coś bardzo nisko kłaniają się temu panu.

Z tymi słowy ruszył ostro w stronę przysadzistego ogiera, znacznego jeźdźca i lokai. W miarę jak się zbliżał, zdawało mu się, iż rozpoznaje rysy owej osobistości.

— O mój Jezusie! Proszę pana — wołał Wiórek, który zdawał się również ją poznawać. — Czyż możliwe, żeby to był on?

Na ten okrzyk człowiek siedzący na koniu odwrócił się z wolna, pełen majestatu, i dwaj podróżni mogli teraz zobaczyć wielkie oczy w całym ich blasku, czerwoną gębę i tak wiele mówiący uśmiech Muszkiet.

Rzeczywiście, był to Muszkiet. Muszkiet bardzo tłusty, tryskający zdrowiem, napęczniały dobrobytem. Poznawszy d'Artagnana, zachował się zupełnie inaczej niż ten hipokryta Gryzypiórek. Zsunął się z konia na ziemię i zdjawszy kapelusz, podszedł do oficera. W ten sposób hołdy zebranych zwróciły się wraz z nim ku nowemu słońcu, które zaćmiło stare.

— Pan d'Artagnan! Pan d'Artagnan — bulgotało w olbrzymich policzkach Muszkiet, ociekającego potem z wielkiej radości. — Pan d'Artagnan! Och, co za radość dla mojego pana i władcy, pana du Vallon de Bracieux de Pierrefonds!

— Ach, poczciwy Muszkiet! Więc twój pan znajduje się tutaj?

— Jesteście, panie, w jego włościach.

— Ależeś piękny, tłusty, kwitnący! — ciągnął d'Artagnan, niezmordowanie wyliczając zmiany, jakie łaskawy los przyniósł w darze dawnemu głodomorowi.

— Ech, dziękować Bogu, panie — odrzekł Muszkiet — mieszkam się dość dobrze.

— Ależ czemuż to nie przemówisz do swego przyjaciela Wiórka?

— Do mego przyjaciela Wiórka! Czyżbyś to był ty, Wiórek?! — wykrzyknął Muszkiet otwierając ramiona, ze łzami w oczach.

— Ja, we własnej osobie — odrzekł jak zawsze ostrożny Wiórek. —  
Chciałem się tylko przekonać, czy nie rozpiera cię duma.

— Mnie ma rozpierać duma wobec starego przyjaciela! Przenigdy, drogi Wiórku. Nie mogłeś tak myśleć, albo też nie znałeś Muszkiet.

— Mniejsza z tym! — rzekł Wiórek zsiadając z rumaka i biorąc Muszkietą w objęcia. — Tyś nie taki, jak ten łajdak Gryzipiórek, który zostawił mnie samego w szopie przez dwie godziny i nawet nie usiłował udawać, że mnie poznaje.

I Wiórek z Muszkietem uściskali się tak wylewnie, że wzruszyło to bardzo wszystkich obecnych. Sądziło, że Wiórek musi być jakimś przebrany wielkim panem, gdyż ogromnie wysoko oceniali pozycję Muszkiet.

— A teraz, panie — rzekł Muszkiet, uwolniwszy się z objęć Wiórka, który bezskutecznie usiłował połączyć swe ręce w uścisku na plecach przyjaciela — teraz pozwólcie, panie, że was opuszczę, gdyż nie chcę, by mój pan dowiedział się o waszym przybyciu od kogoś innego, a nie ode mnie. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym się dał komu w tym ubiec.

— Drogi przyjaciel — powiedział d'Artagnan, nie chcąc nazwać Portosa ani jego dawnym, ani nowym nazwiskiem — nie zapomniał mnie więc.

— On by zapomniał! — zawołał Muszkiet. — Trzeba panu wiedzieć, że nie było dnia, byśmy nie oczekiwali wiadomości, że zostałeś pan marszałkiem w miejsce pana de Gassin bądź pana de Bassompierre.

Na ustach d'Artagnana zabłąkał się jeden z tych rzadkich uśmiechów pełnych melancholii, który w najgłębszych zakątkach jego serca przetrwał, rozczarowania młodych lat.

— A wy, chamy — zwrócił się Muszkiet do zebranych — zostań tu przy panu hrabim d'Artagnan i z należytych do niego szacunkiem. Ja tymczasem udaję się uprzedzić jego wysokość o przybyciu gościa.

I wspomagany przez dwie miłosierne dusze wsiadł na tęgiego rumaka, podczas gdy żwawszy Wiórek dosiadł wierzchowca bez niczyjej pomocy.

Muskiet puścił się krótkim galopem po murawie alei, uwydatniając jeszcze korzystniej wspaniałe lędźwie i golenie czworonoga.

— O, tutaj zapowiada się wszystko dobrze! — powiedział d'Artagnan. — Nie masz tu żadnych tajemnic, żadnych udawań, żadnej polityki. Ludziska śmieją się całą gębą, płaczą z radości, pyski jak donice. Doprawdy, zdaje mi się, że nawet natura jest tu odświętna, a drzewa w miejsce liści i kwiatów pokrywają zielone i różowe wstążeczki.

— Mnie zaś wydaje się — ozwał się Wiórek — że aż tu dolatuje smakowity zapach pieczystego, że widzę kuchcików ustawiających się szeregiem, by oglądać nas w przejeździe. Ach, mój panie, jakiegoż kucharza musi mieć pan de Pierrefonds, skoro lubił tak wiele i dobrze jadać, jeszcze kiedy był panem Portosem!

— Dość! — wyrzekł d'Artagnan. — Napędzasz mi stracha. Jeżeli rzeczywistość odpowiada pozorom, to jestem zgubiony. Człowiek tak szczęśliwy nie porzuci nigdy swego szczęścia i nie uda mi się tu podobnie, jak nie udało się z Aramisem.

### 13. W którym d'Artagnan odnalazłszy Portosa zmiarkował, że fortuna nie czyni człowieka szczęśliwym

D'Artagnan przekroczył ogrodzenie i znalazł się przed zamkiem. Spuszczał właśnie nogi na ziemię, kiedy na ganku ukazała się jakaś olbrzymia postać. Musimy tu oddać sprawiedliwość d'Artagnanowi, że mimo całego egoizmu serce jęło mu walić z radości na widok tej wysokiej, marsowej postaci, przywodzącej na myśl człowieka mężnego i zacnego.

Podbiegł ku Portosowi i rzucił się w jego objęcia. Cała czeladź dworska, stojąca kołem w przyzwoitej odległości, patrzyła na to z unizonym zaciekawieniem. Muszkiet w pierwszym szeregu wycierał oczy; biedne chłopisko nie mogło powstrzymać łez radości, odkąd ujrzało d'Artagnana i Wiórka.

Portos wziął przyjaciela pod ramię.

— Ach, jakże się cieszę widząc cię znowu, kochany d'Artagnan! — wykrzyknął głosem przechodzącym z barytonu w bas. — Nie zapomniałeś więc o mnie, drogi!

— Miałbym zapomnieć o tobie! Ach, drogi du Vallon, czyż można zapomnieć najpiękniejsze dni swojej młodości, oddanych przyjacioł i niebezpieczeństwa, którym wspólnie stawialiśmy czoło? Przecież kiedy cię znowu widzę, każda chwila naszej dawnej przyjaźni staje mi żywo w myśli.

— Tak, tak — rzekł Portos podkreślając węża, by mu przywrócić dawną zalotność, którą zatracił był w samotności. — Tak, przeżywaliśmy piękne dni w owych czasach i zabiliśmy dobrego ćwieka temu biednemu kardynałowi.

Po tych słowach głęboko westchnął. D'Artagnan przyjrzał mu się bacznie.

— Witaj mi, drogi przyjacielu — ciągnął rozmarzony Portos — dopomożesz mi odnaleźć dawną moją radość. Zapolujemy jutro na zające na mojej wspaniałej równinie albo też na sarny w moich przepięknych lasach. Mam cztery charty, które uchodzą za najbardziej gonne w całej prowincji, i sfore, która nie ma sobie równej w obrębie dwudziestu mil.

Tu Portos westchnął po raz drugi.

Ho, ho! — mruknął do siebie d'Artagnan — czyżby nasz zuch nie był tak szczęśliwy, na jakiego wygląda. A później głośno:

— Przede wszystkim przedstawiś mnie pani du Vallon, gdyż przypominam sobie, że w liście, który byłeś łaskaw napisać do mnie z zaproszeniem, skreśliła ona własnoręcznie kilka słów u dołu.

Portos westchnął po raz trzeci.

— Dwa lata temu straciłem panią du Vallon — rzekł — i jak widzisz, jestem tym zasmucony głęboko jeszcze do tej pory. Dla tego to powodu opuściłem zamek du Vallon, leżący koło Corbeil, aby osiąść w swych włościach de Bracieux. Zmiana ta pociągnęła za sobą kupno tych oto ziem. Biedna pani du Vallon — ciągnął Portos z wyrazem smutku na twarzy — oczywiście nie była kobietą o charakterze zbyt równym, ale ostatecznie przystosowała się do moich manier i pogodziła z moimi drobnymi kapryсами.

— Jesteś więc bogaty i wolny — stwierdził d'Artagnan.

— Niestety! — odpowiedział Portos — jestem wdowcem i posiadam czterdzieści tysięcy liwrów renty. Ale zasiądźmy do śniadania, jeśli masz ochotę.

— Z wielką chęcią, poranne powietrze wzmogło mój apetyt.

— Tak — rzekł Portos — powietrze tutaj u mnie jest doskonałe. Weszli do zamku. Od góry do dołu wszystko było złocone, złocone wszystkie gzymsy, złocone drzewo foteli. Czekał na nich zastawiony stół.

— Spójrz — rzucił Portos — to mój codzienny posiłek.

— Do licha! — odparł d'Artagnan — gratuluję ci, sam król nie jada lepiej.

— A jakże, słyszałem, że pan Mazarini karmi króla dosyć kiepsko.

Pokosztuj no tych kotletów, drogi d'Artagnan, to z moich baranów.

— Bardzo kruche te twoje barany, winszuję ci ich — odparł d'Artagnan.

— Tak, pasą się na moich łąkach, które są wyśmienite.

— Pozwól, że dobiore jeszcze jednego.

— Nie, najpierw musisz skosztować tego kota, którego ubiłem wczoraj w jednej z moich królikami.

— Do licha! Co za cudowny smak! — rzekł d'Artagnan. — Ach, wiem już, karmisz swoje zające samą macierzanką?

— A co powiesz o moim winie? — przerwał mu Portos. — Przyjemne, co?

— Zachwycające!

— A to tylko wino miejscowe.

— Doprawdy?

— Tak, mały stok z południową wystawą. O tam, na zboczu mojej góry; dostarcza dwadzieścia beczulek.

— Ależ to prawdziwe winobranie.

Portos westchnął po raz piąty. D'Artagnan liczył jego westchnienia.

— Ale, ale — rzekł zaciekawiony d'Artagnan pragnąc zgłębić zagadnienie — mówiono mi, drogi przyjacielu, że trapisz się czymś. Czy przypadkiem nie jesteś cierpiący?... I czy stan twego zdrowia...

— Wyśmienity, kolego, lepszy niż zwykle. Mógłbym pięścią zabić wołu.

— Więc może jakieś strapienie rodzinne?

— Rodzinne?! Na szczęście jestem sam na świecie.

— Więc dlaczegóż tak wciąż wzdychasz?

— Mój drogi — wyrzekł Portos — będę z tobą szczery: nie jestem szczęśliwy.

— Ty, Portosie, nie jesteś szczęśliwy?! Ty, który posiadasz zamek, pastwiska, góry, lasy, który masz w dodatku czterdzieści tysięcy liwrów rocznej renty, ty nie jesteś szczęśliwy?



— Tak, mój drogi, prawda, posiadam to wszystko, lecz pośród tego wszystkiego jestem zupełnie sam.

— Ach, rozumiem, otoczony jesteś hołyszami, z którymi nie możesz obcować bez ujmy dla siebie.

Portos lekko przybladł i opróżnił olbrzymią szklanicę cienkusza ze stoku swojej góry.

— Nic podobnego — powiedział — wprost przeciwnie. Wyobraź sobie, że są to wszystko hreczkosieje posiadający jakieś tam tytuły i usiłujący wywodzić swoje rody od Faramonda, Karola Wielkiego lub co najmniej od Hugona Kapeta<sup>30</sup>. Z początku, jako świeży przybysz, zmuszony byłem robić im awanse i robiłem. Ale wiesz, mój drogi, że pani du Vallon...

Przy tych słowach Portos zdawał się z trudem łykać ślinę.

— Pani du Vallon — ciągnął — była wątpliwą szlachcianką. Pierwszy jej małżonek (sądzę, że dla ciebie to nie nowina) był prokuratorem. Uznali to za wstrętne. Powiedzieli, że to nikczemne. Pojmujesz, że za to słowo można by zabić trzydzieści tysięcy ludzi. Zabiłem dwóch. Zmusiło to pozostałych do zamilknięcia, ale nie przysporzyło mi przyjaciół. Z tego oto powodu nie mam towarzystwa, żyję zupełnie sam, nudzę się, zadreczam.

D'Artagnan uśmiechnął się. Dojrzał słabe miejsce w pancerzu i przygotowywał cios.

— Ostatecznie jednak pozostałeś sam i twoja żona nie może ci już więcej szkodzić — powiedział.

— Oczywiście, ale zrozum, że nie pochodząc ze szlachty historycznej, jak ci Coucy, którym wystarczał tytuł sire, czy owi Rohan, którzy nie chcieli przyjąć tytułu diuka, i jak ci wszyscy wicehrabiowie i hrabiowie, muszę im oddawać pierwszeństwo w kościele, podczas uroczystości, w ogóle wszędzie i nie mam tu nic do gadania. Ach! gdybym był chociaż...

---

30 Faramond — legendarny król frankoński, założyciel dynastii Merowingów (V w.). Karol Wielki — król Franków od 768 do 824 r. Jeden z największych władców średniowiecza. Hugo Kapet — król francuski (987—996), założyciel dynastii Kapetyngów.

— Baronem. Nieprawdaż? — wtrącił d'Artagnan kończąc myśl przyjaciela.

— Ach! — wykrzyknął Portos, a rysy jego wypogodziły się. — Ach, tak!

Gdybym był baronem!

Doskonale — pomyślał d'Artagnan — tutaj uda mi się na pewno.

I przemówił:

— No cóż, kochany przyjacielu, przybyłem tu dzisiaj, ażeby ci przynieść ten upragniony tytuł.

Portos wykonał skok, który wstrząsnął całą salą. Dwie czy trzy butelki straciły równowagę i stoczyły się na podłogę, gdzie uległy strzaskaniu. Na ten hałas wbiegł Muszkiet, a w oddali można było dostrzec Wiórka z pełną gębą i serwetą w ręku.

— Czy wasza wysokość mnie wzywał? — dopytywał się Muszkiet.

Portos dał mu ręką znak, by uprzątnięto potłuczone butelki.

— Widzę z przyjemnością — ozwał się d'Artagnan — że zatrzymałeś przy sobie tego dzielnego chłopca.

— Jest moim intendentem — odrzekł Portos. I podnosząc głos dodał: — Dorobił się hultaj, widać to po nim. Jest jednak — ciągnął już ciszej — bardzo przywiązany do mnie; nie porzuciłby mnie za nic w świecie.

I tytułuje go wasza wysokość — pomyślał d'Artagnan.

— Musz!<sup>31</sup> Zostaw nas samych — rzekł Portos.

— Powiadasz: Musz? Ach, tak, dla skrócenia. Muszkiet to zbyt długie słowo.

— Oczywiście — odrzekł Portos — a poza tym czuć w tym wachmistrza na milę. Ale, ale, hultaj ten wszedł, kiedy rozmawialiśmy o ważnych sprawach.

— A jakże — przemówił d'Artagnan. — Odłóżmy jednak naszą rozmowę na później. Twój ludzie mogliby snuć jakieś podejrzenia; być może są nawet szpiedzy w okolicy. Domyślasz się, Portosie, że idzie o sprawy poważne.

— Tam do licha! — wykrzyknął Portos. — A więc dla lepszego trawienia

---

<sup>31</sup> Musz — franc: Mouston — skrót od Mousqueton. Nieprzetłumaczalna gra słów; wymawiane tak samo słowo mouton znaczy: baran.

przejdźmy się po moim parku.

— Bardzo chętnie!

A że obaj dostatecznie podjedli, jęli spacerować po wspaniałym ogrodzie. Aleje kasztanowe i lipowe otaczały obszar co najmniej trzydziestomorgowy. Przy końcu każdej szachownicy drzew, gęsto podszytych krzewami i drzewkami, widziało się przemykające króliki, które znikały pośród kopców zebranych żołądzi i swawoliły wśród wysokich traw.

— Na honor! — rzekł d'Artagnan — twój park odpowiada wspaniałością całej reszcie, a jeśli w stawach masz tyle ryb, co królików w królikarniach, to doprawdy, drogi Portosie, jesteś szczęśliwym człowiekiem. Oczywiście pod warunkiem, że zachowałeś swą namiętność do polowania i zyskałeś nową do rybołówstwa.

— Ach, przyjacielu — odrzekł Portos — rybołówstwo pozostawiam Muszkietowi; to zabawa dla pospólstwa. Za to poluję czasami, to znaczy, kiedy się nudzę, siadam na jednej z tych marmurowych ławek, każę przynieść sobie strzelbę, przyprowadzić Gredineta, mego ulubionego psa, i strzelam króliki.

— To bardzo zabawne — rzekł d'Artagnan.

— A jakże — odparł Portos z westchnieniem — to bardzo zabawne.

D'Artagnan przestał już liczyć westchnienia.

— Po czym — dorzucił Portos — Gredinet je odszukuje i sam zanosz do kuchni; tak go wytresowano.

— Ach, cóż za urocza bestyjka! — rzekł d'Artagnan.

— Ale pozostawmy Gredineta — podjął Portos — dam ci go, jeśli masz chęć, bo mnie zaczyna już nudzić, i powróćmy do naszych spraw.

— Z miłą chęcią — zgodził się d'Artagnan — tylko muszę cię, drogi przyjacielu, uprzedzić, byś nie mówił potem, że wprowadziłem cię w błąd. Będziesz musiał zupełnie odmienić tryb życia.

— Jakżeż to?

— Przywdziać zbroję, przypasać szpadę, szukać przygód, jak to bywało

nieraz, uronić na traktach parę kropel krwi. Wreszcie, wiesz już, jak to bywało tamtymi czasy...

— Ach, do diabła!

— Zapewne, rozumiem, jesteś rozpieszczony, drogi przyjacielu. Dostałeś brzucha i nie masz już w ręku tej elastyczności, której tyle dowodów mieli gwardziści nieboszczyka pana kardynała.

— Och, rękę mam jeszcze dobrą, zapewniam cię — rzekł Portos rozwierając dłoń podobną do łopatki barana.

— Tym lepiej.

— A więc mamy wojować?

— Ech, mój Boże, oczywiście.

— A przeciw komu?

— Interesowałeś się polityką?

— Ja?! Ani mi się śniło!

— A zatem jesteś za Mazarinim czy też za książętami?

— Ja? Za nikim.

— To znaczy, że jesteś z nami. Tym lepiej. Portosie, masz szansę załatwić swoje sprawy. Otóż, drogi, muszę ci wyznać, że przychodzę od kardynała.

Słowo to wywarło na Portosie takie wrażenie, jakby był jeszcze rok 1640 i jakby chodziło o prawdziwego kardynała.

— Ho, ho! — wyrzekł — a czegoż jego eminencja życzy sobie ode mnie?

— Jego eminencja pragnie cię widzieć w swojej służbie.

— A któż mu o mnie mówił?

— Rochefort. Przypominasz go sobie?

— Tam do licha, pewnie. To ten, który swego czasu naraził nas na takie przykrości, przez którego tyleśmy się najeździli, ten sam, któregoś trzy razy zmacał szpadą, na co sobie zresztą zasłużył.

— A wiesz, że on został naszym przyjacielem? — rzekł d'Artagnan.

— Nie, o tym nic nie wiedziałem. Ach, więc nie żywi żadnej urazy?!

— Mylisz się, Portosie — odezwał się d'Artagnan. — To ja nie żywię urazy.

Portos nie dorozumiał się, o co chodzi. Bo też, jak sobie przypominamy, nie odznaczał się zbytnią lotnością umysłu.

— Utrzymujesz więc — ciągnął swoje — że hrabia de Rochefort przemawiał za mną do kardynała?

— Tak, a następnie królowa.

— Jak to królowa?

— Ażeby wzbudzić w nas zaufanie, oddała mu nawet sławny diament, wiesz, ów diament, który sprzedałem był panu des Essarts, a który, nie wiem w jaki sposób, powrócił w jej posiadanie.

— Wydaje mi się jednak — rzekł Portos zgodnie ze swym zdrowym chłopskim rozsądkiem — że raczej winna go była oddać tobie.

— Takie jest i moje zdanie — odrzekł d'Artagnan — ale cóż chcesz, królowie i królowe miewają nieraz osobliwe kaprysy. Oni to jednak dzierżą w swym ręku bogactwa i zaszczyty, oni rozdają pieniądze i tytuły, im przeto w ostatecznym rachunku człowiek jest oddany.

— Tak, im człowiek jest oddany — wyrzekł Portos. — A więc w tej chwili oddany jesteś?...

— Królowi, królowej i kardynałowi, a co więcej zaręczyłem i za twoje oddanie.

— I powiadasz, żeś postawił w moim imieniu pewne warunki?

— Wspaniale, mój drogi, wspaniale! Co się tyczy pieniędzy, to je posiadasz, nieprawdaż? Mówiłeś mi o czterdziestu tysiącach liwów renty.

Portosa ogarnęła nieufność.

— Ech, przyjacielu — powiedział — pieniędzy nie ma się nigdy za wiele. Pani du Vallon pozostawiła spadek nie uporządkowany. Nie wyznaję się zbytnio na tych sprawach i przez to żyję raczej z dnia na dzień.

D'Artagnan domyślił się: obawia się, że przyszedłem pożyczyć pieniędzy.

Powiedział więc:

— Ach, przyjacielu, znajdujesz się w tarapatach, tym lepiej.

— Jak to tym lepiej? — zapytał Portos.

— Oczywiście, jego eminencja da ci wszystko, czego zapragniesz: ziemię, pieniądze, tytuły.

— Ach! ach! ach! — wykrzyknął Portos, a oczy jego rozbłyły przy tym ostatnim słowie.

— Za poprzedniego kardynała — mówił d'Artagnan — nie umieliśmy skorzystać z przychylnego losu, a przecież była okazja. Nie mam tu na myśli ciebie, gdyż miałeś na widoku twoje czterdzieści tysięcy liwrów i wydajesz mi się najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Portos westchnął.

— W każdym razie — ciągnął dalej d'Artagnan — pomimo czterdziestu tysięcy liwrów czy też właśnie w związku z nimi wydaje mi się, że mała mitra wyglądałaby nieźle na twojej karecie. Ha, ha!

— Oczywiście — rzekł Portos.

— A więc sięgaj po nią, masz ją na ostrzu swej szpady. Nie wejdziemy sobie w drogę. Twój cel to tytuł; mój — pieniądze. Chcę ich zdobyć tyle, aby odbudować d'Artagnan, które przodkowie moi, zubożali w czasie wojen krzyżowych, doprowadzili do ruiny, oraz by dokupić ze trzydzieści mórg ziemi obok. To wszystko, czego mi trzeba; usuwam się i spokojnie tam umrę.

— Ja zaś — ozwał się Portos — pragnę zostać baronem.

— Zostaniesz nim.

— A więc pomyślałeś o pozostałych przyjaciółach? — dopytywał się Portos.

— Ma się rozumieć, widziałem się już z Aramisem.

— A czegoż on sobie życzy? Biskupa?

— Aramis, hm, wyobraź sobie, mój drogi — odrzekł d'Artagnan nie chcąc rozczarowywać Portosa — Aramis został mnichem i jezuitą, żyje jak niedźwiedź, wyrzeka się wszystkiego i myśli tylko o swoim zbawieniu. Nie

mogłem go nakłonić, żeby przystał do nas.

— Szkoda — rzekł Portos. — To była głowa! A co z Atosem?

— Nie widziałem się z nim jeszcze, lecz po wyjeździe od ciebie postaram się z nim zobaczyć. Nie wiesz, gdzie przebywa?

— Gdzieś pod Blois, w małej posiadłości, którą odziedziczył po jakichś tam krewnych.

— A jak się nazywa?

— Bragelonne. Rozumiesz, mój drogi? Atos, szlachetny jak jaki cesarz, dziedziczy ziemię z przywiązaniem do niej tytułem hrabiowskim! Co on pocnie z tyloma hrabstwami? Hrabstwo de La Fere, hrabstwo de Bragelonne?

— W dodatku nie ma dzieci — rzekł d'Artagnan.

— Ech! Słyszałem — ciągnął Portos — że zaadoptował chłopca, ponoć bardzo podobnego do siebie.

— Co, Atos? Nasz Atos, cnotliwy jak Scypion?<sup>32</sup> Widziałeś się z nim?

— Nie.

— No, to jutro wybiorę się do niego i przekażę mu od ciebie wiadomości. Mówiąc między nami, boję się, czy wskutek swej skłonności do wina nie postarzał i nie zmarniał.

— Tak, to prawda — rzekł Portos — pił on wiele.

— Poza tym był starszy od nas wszystkich.

— Tylko o kilka lat — odparł Portos. — Postarzał go bardzo jego poważny wygląd.

— Masz rację. Jeżeli zatem Atos będzie z nami, tym lepiej, jeśli zaś nie, cóż, obejdziemy się bez niego. We dwóch staniemy za dobrych dwunastu.

— Pewnie — rzekł Portos uśmiechając się na wspomnienie dawnych czynów — ale gdyby nas było czterech, stanęlibyśmy za trzydziestu sześciu, zwłaszcza że zadanie nasze, jak powiadasz, będzie ciężkie.

— Ciężkie dla początkujących, ale nie dla nas.

---

32 Publiusz Korneliusz Scypion (235—183p.n.e.) — wódz rzymski, znany ze swej prawości.

— Czy to na długo?

— Cóż! Może na trzy, cztery lata.

— Będziemy się dużo bili?

— Mam nadzieję!

— Tym lepiej, w gruncie rzeczy tym lepiej! — wykrzyknął Portos. — Nie masz pojęcia, kochany, jak często trzeszczy mi w kościach, od czasu gdy tu siedzę! Nieraz w niedzielę po mszy dosiadam konia i jeżdżę po polach sąsiadów, szukając choćby drobnej zwady, tak mocno odczuwam jej potrzebę. Ale nic z tego, mój drogi. Czy to szanują mnie, czy boją się, co jest prawdopodobniejsze, dość że tratuję psami lucernę, jeżdżę po wszystkim naokoło i... powracam do domu jeszcze bardziej znudzony. I to wszystko. Powiedz no, czy przynajmniej w Paryżu łatwiej o jakąś bójkę?

— Pod tym względem jest cudownie: żadnych zakazów, żadnych straży kardynała, żadnych Jussaków ani innych szpiclów. Mój Boże, czy to pod latarnią, czy w oberży, gdziekolwiek, czy jesteś za Mazarinim, czy frondystą, wyciągasz pałasz i po wszystkim. Pan de Guise zabił pana de Coligny na środku placu Królewskiego i nic mu nie zrobiono.

— Ach, w to mi graj! — rzekł Portos.

— Oprócz tego — ciągnął d'Artagnan — będziemy też mieli regularne bitwy z moździerzami, z pożarami. Będą różności.

— W takim razie decyduję się.

— Mam więc twoje słowo?

— Tak, bez wątpienia. Będę kłuł i rąbał za Mazariniego. Tylko...

— Tylko?

— Tylko musi mnie zrobić baronem.

— Ech! To załatwione z góry, mówiłem ci to już i powtarzam jeszcze raz: odpowiadam za twoją baronię.

Uspokojony tą obietnicą, Portos, który ufał zawsze słowu przyjaciela, zawrócił z nim na drogę wiodącą do zamku.



14. Z którego wynika, że o ile Portos był niezadowolony ze swego losu, o tyle Muszkiet był bardzo rad ze swojego

Wracając do zamku Portos upajał się w marzeniach baronią, d'Artagnan zaś rozmyślał nad tym, jak nędzna jest natura ludzka, zawsze niezadowolona z tego, co ma, i zawsze pragnąca tego, czego nie ma. On na miejscu Portosa czułby się najszcześniejszym człowiekiem na ziemi, bo czegoż to brakowało Portosowi? Pięciu literek przed wszystkimi jego nazwiskami i małej mitry wymalowanej na drzwiczkach pojazdu.

Przez całe życie — mówił sobie d'Artagnan — rozglądałem się na prawo i lewo i nigdy nie widziałem twarzy człowieka całkowicie szczęśliwego.

Snuł był właśnie tego rodzaju filozoficzne rozważania, gdy wtem sama Opatrzność zdała się mu zaprzeczyć. W chwili kiedy Portos go opuścił, by wydać jakieś rozkazy kucharzowi, d'Artagnan ujrzał zbliżającego się Muszkietę. Postać poczciwego służącego wydawała się postacią człowieka doskonale szczęśliwego, pominąwszy lekki niepokój, który niby letnia chmura przesłaniał raczej, aniżeli zakrywał jego oblicze.

Oto czego szukałem — rzekł do siebie d'Artagnan — lecz niestety, biedny chłopiec nie wie, po co tu przybyłem.

Muszkiet trzymał się w pewnej odległości. D'Artagnan usiadł na ławce i dał mu znak, by się zbliżył.

— Panie — rzekł Muszkiet korzystając z zezwolenia — chcę pana prosić o jedną łaskę.

— Mów, przyjacielu — zachęcał d'Artagnan.

— Kiedy nie śmiem, panie, boję się, byś pan nie pomyślał sobie, że

dobrobyt mnie zgubił.

— Jesteś tedy szczęśliwy, przyjacielu? — pytał d'Artagnan.

— Szczęśliwy, jak tylko można być szczęśliwym, ale pan możesz mnie uczynić jeszcze szczęśliwszym.

— No więc mów! Jeżeli to zależy ode mnie, będzie załatwione.

— O, panie! To zależy tylko od pana.

— Słucham.

— Panie, dopraszam się, żebyście mnie już nie zwali Muszkietem, ale krótko — Muszem. Odkąd mam zaszczyt być intendentem u jego wysokości, przybrałem sobie to nazwisko. Jest ono dostojniejsze i budzi większe poszanowanie wśród moich podwładnych. Rozumie pan, jak konieczna jest subordynacja pośród czeladzi dworskiej.

D'Artagnan uśmiechnął się: Portos wydłużał swe nazwisko, a Muszkiet swoje skracał.

— Więc jak będzie, panie? — zapytał Muszkiet cały drżący.

— No cóż, zgoda, drogi Musz — odrzekł d'Artagnan — bądź spokojny, będę pamiętał o twojej prośbie, a jeśli ci to sprawi przyjemność, mogę cię w ogóle nie tykać.

— Och! — wykrzyknął Muszkiet czerwieniąc się z radości — jeżeli mi pan uczynisz podobny honor, będę panu za to wdzięczny przez całe moje życie. Ale może proszę o zbyt wiele.

Niestety — powiedział sobie d'Artagnan — to zbyt mało w zamian za nieoczekiwane utrapienia, jakie przynoszę temu biedakowi, który przyjął mnie tak gościnnie.

— A czy pan długo pozostaniesz z nami? — zapytał Muszkiet, którego twarz, odzyskawszy całą swą pogodę, rozkwitła jak piwonia.

— Jutro wyjeżdżam, przyjacielu — odrzekł d'Artagnan.

— Ach, zatem przyjechałeś pan, ażeby pograżyć nas w smutku?

— Obawiam się, że masz rację — powiedział d'Artagnan tak cicho, iż

oddalający się w pokłonach Muszkiet nie mógł tego dosłyszeć.

Jakkolwiek d'Artagnan był teraz człowiekiem o wiele twardszego serca, to przecież poczuł wyrzuty sumienia. Nie żałował wcale, że wciągał Portosa w przygody, gdzie było narażone jego życie i fortuna, Portos bowiem chętnie podejmował to ryzyko za cenę tak bardzo pożądanego przezeń od piętnastu lat tytułu barona. Ale czyż nie było okrucieństwem wrywać z rozkosznego życia przy magazynie zbożowym Muszkiet, który miał jedno tylko pragnienie: aby wołano nań Musz? Myśl ta całkowicie ośwładnęła d'Artagnanem, gdy pojawił się znów Portos.

— Zapraszam do stołu! — rzekł.

— Jak to do stołu? — zapytał d'Artagnan. — Któraż to godzina?

— Ech, mój drogi, minęła już pierwsza.

— Twoja posiadłość jest rajem, Portosie, zapomina się tutaj o istnieniu czasu. Będę ci towarzyszył, lecz nie jestem wcale głodny.

— Chodźmy, wprawdzie nie zawsze można jeść, ale zawsze można pić; jest to jedna z maksym biednego Atosa, a wartość jej poznałem dopiero, odkąd się nudzę.

D'Artagnan, którego gaskońska natura zawsze czyniła powściągliwym, nie zdawał się tak bardzo przekonany, jak jego przyjaciel, o słuszności pewnika Atosa, niemniej robił, co mógł, aby dotrzymać kroku gospodarzowi.

Jednakże patrząc na zajadającego Portosa, a i sam nieźle popijając, d'Artagnan wciąż powracał myślą do sprawy Muszkiet. Trapiło go to tym mocniej, że Muszkiet, choć sam nie usługiwał przy stole, co byłoby rzeczą niegodną jego nowej pozycji, to jednak od czasu do czasu pojawiał się we drzwiach i zdradzał swą wdzięczność dla d'Artagnana każąc podawać wina doborowe zarówno wiekiem, jak i smakiem.

Podczas deseru Portos, na znak d'Artagnana, odprawił lokai; a gdy przyjaciele znaleźli się sami, d'Artagnan podjął:

— Powiedz mi, Portosie, kto będzie ci towarzyszył w wyprawie?

— Ależ oczywiście Musz — odparł po prostu Portos.

Był to cios dla d'Artagnana. Już widział, jak dobroduszny uśmiech intendenta zamienia się w grymas cierpienia.

— Mój drogi, przecież Musz nie jest już pierwszej młodości — ciągnął. — Co więcej utył zanadto i odwykł, być może, od czynnej służby.

— Wiem o tym — odparł Portos — ale przywykłem do niego, poza tym on nie zgodziłby się mnie opuścić; nazbyt mnie miłuje.

O, zaślepiona miłości własna — pomyślał d'Artagnan.

— A czyż ty nie trzymasz na służbie wciąż tego samego lokaja, no, tego poczciwego, dzielnego, sprytnego... Jakże mu tam? — dopytywał się Portos.

— Wiórka. Tak, odnalazłem go, ale nie jest on już moim lokajem.

— Kimże więc?

— No, cóż, za swoje tysiąc sześćset liwrów, wiesz, te tysiąc sześćset liwrów, co je zarobił w czasie oblężenia la Rochelle zanosząc list do lorda de Winter, otworzył mały sklepik przy ulicy des Lombards i jest cukiernikiem.

— Ach, jest cukiernikiem przy ulicy des Lombards! Więc jakim cudem jest u ciebie na służbie?

— Dopuścił się pewnych wybryków — odrzekł d'Artagnan — i obawia się, że może być niepokojony.

Tu nasz muszkieter opowiedział przyjacielowi, w jakich okolicznościach odnalazł Wiórka.

— Czybyś uwierzył, gdyby ci ktoś pewnego dnia powiedział, mój drogi — ozwał się na to Portos — że Wiórek ocali Rocheforta, a ty w zamian będziesz go ukrywał?

— Nigdy bym w to nie uwierzył. Ale cóż chcesz? Okoliczności zmieniają ludzi.

— Szczera prawda — rzekł Portos. — Jedyne, która się nie zmienia albo zmienia się na lepsze, to wino. Pokosztuj no tego — wino hiszpańskie, które tak wysoko cenił nasz przyjaciel Atos: jest to Xeres.

W tej chwili wszedł intendent, by zapytać swego pana o jutrzejsze menu, a także o projektowane polowanie.

— Powiedz no, Musz — rzekł Portos — jak tam moja broń, w porządku?

D'Artagnan, pragnąc ukryć zakłopotanie, zaczął bębnić palcami po stole.

— Pańska broń, wasza wysokość? — pytał Muszkiet. — Jaka broń?

— Tam do licha! Moja zbroja!

— Jaka zbroja?

— Moja zbroja wojenna.

— Ależ tak, wasza wysokość, przynajmniej tak sędzę...

— Sprawdzisz to jutro i jeśli potrzeba, każesz ją oczyścić. Który z moich koni najlepszy do biegu?

— Wulkan

— A z jucznych?

— Bayard.

— A ty którego konia lubisz?

— Rustauda, wasza wysokość, to poczciwe bydlę, cudownie się z nim rozumiemy.

— Silny, co?

— Normand skrzyżowany z meklemburczykiem, może iść dzień i noc.

— Zatem każesz opatrzyć wszystkie trzy zwierzaki, wyczyścisz albo każesz wyczyścić moją broń oraz pistolety i kordelas dla siebie.

— To udajemy się w podróż, wasza wysokość? — powiedział zaniepokojony już Muszkiet.

D'Artagnan, który dotąd bębnił palcami od niechcienia, teraz jął wybijać marsza.

— Coś lepszego, Musz — odparł Portos.

— Idziemy na wyprawę, panie? — dopytywał się intendent, a róże na jego obliczu poczęły się zmieniać w lilie.

— Wracamy do służby, Musz — odrzekł Portos, wciąż usiłując przywrócić

swym wąsom ów marsowy skręt, który utraciły.

Zaledwie wyrzekł te słowa, gdy Musz jął się trząść tak, że drgawki objęły jego tłuste, pożyłkowane policzki. Spojrzał na d'Artagnana z wyrazem niewypowiedzianie tkliwego wyrzutu, którego oficer nie mógł znieść bez wzruszenia. Po czym Musz zachwiał się i wyrzekł zdławionym głosem:

— Do służby! Do służby w szeregach królewskich?

— Tak i nie. Wyruszymy znów w pole, będziemy poszukiwać przygód wszelkiego rodzaju, zaczniemy na koniec żyć jak dawniej.

Te ostatnie słowa spadły na Muszkietę jak piorun z jasnego nieba. To dawne było tak straszliwe, że czyniło z teraźniejszości samą słodycz.

— O mój Boże, cóż ja słyszę? — jęknął Muszkiet, spozierając na d'Artagnana z jeszcze większym wyrzutem aniżeli za pierwszym razem.

— Cóż pan chcesz, mój biedny Musz — ozwał się d'Artagnan — tak się nieszczęśliwie złożyło...

Ostrożność, jaką przedsięwziął d'Artagnan, aby nie tykać Muszkietę i nadać jego nazwisku znaczenie zaspokajające ambicję intendenta, nie osłabiła bynajmniej ciosu, który był tak straszliwy, że Muszkiet wyszedł z sali do głębi wzburzony, zapominając nawet zamknąć drzwi.

— Ten poczciwy Musz nie posiada się z radości — rzekł Portos tonem, jakiego zapewne musiał użyć Don Kichot, aby zachęcić Sancza do osiodłania kłapoucha na ostatnią wyprawę.

Przyjaciele, pozostawszy sami, jeśli rozprawiać o przyszłości i budować tysiące zamków na lodzie. Wyborne wino, którym ich uraczył Muszkiet, odsłoniło przed d'Artagnanem olśniewającą perspektywę podwójnych i zwykłych pistoli, a Portosowi ukazało niebieską wstęgę orderową i płaszcz diuka. Faktem jest, że obaj spali na stole, kiedy poproszono ich, by się udali na spoczynek.

Jednakże już nazajutrz Muszkiet został trochę pocieszony przez d'Artagnana, który oznajmił mu, że cała wojna rozegra się prawdopodobnie w

samym sercu Paryża i opodal zamku du Vallon w okolicy Corbeil, opodal de Bracieux około Melum i de Pierrefonds pomiędzy Compiègne i Villers-Cotterets.

— Ale zdaje mi się, że dawniej... — wtrącił nieśmiało Muszkiet.

— Och — przerwał mu d'Artagnan — teraz nie prowadzi się wojny na stary sposób. Dzisiaj działa się dyplomatycznie. Zapytaj Wiórka.

Muszkiet udał się do swego starego przyjaciela prosząc o wyjaśnienie tej kwestii. Ów potwierdził we wszystkich szczegółach to, co rzekł d'Artagnan. Dorzucił tylko, że w tej wojnie jeńcy ryzykują, iż mogą zostać powieszeni.

— Do kroćset! — zaklął Muszkiet. — To już wolę oblężenie la Rochelle.

Tymczasem Portos, ubiwszy dla gościa sarnę, wodził go od swoich lasów do swojej góry, od góry aż do stawów, pokazał mu swoje charty, psie sfory i swego Gredineta, wreszcie wszystko, cokolwiek posiadał. Kazał mu się pokrzepić jeszcze trzema wspaniałymi ucztami, po czym zwrócił się doń o ostateczne instrukcje, d'Artagnan bowiem, udając się w dalszą drogę, zmuszony był go opuścić.

— Otóż, drogi przyjacielu — odparł mu wysłannik — potrzeba mi czterech dni, aby dostać się stąd do Blois, jeden dzień na pobyt tam, trzy do czterech na powrót do Paryża. Wyruszysz zatem ze swą drużyną za jakiś tydzień. Zajedziesz na ulicę Tiquetonne do oberży "Pod Kózką" i tam zaczekasz na mój powrót.

— Załatwione — odpowiedział Portos.

— Ja zaś — rzekł d'Artagnan — nie żywiąc żadnej nadziei, pojedę jednak do Atosa, gdyż mimo przekonania, iż stał się niezdolny do czegokolwiek, trzeba być z przyjaciółmi w porządku.

— Gdybym się tak wybrał z tobą — wtrącił Portos — może bym się trochę rozruszał.

— Możliwe — odrzekł d'Artagnan — i mnie także byłoby różniej, ale nie starczyłoby ci czasu na przygotowania.

— To prawda — potwierdził Portos. — A więc jedź i powodzenia! Co do

mnie, jestem pełen zapału.

— Cudownie! — dorzucił d'Artagnan.

I rozstali się na granicy ziem de Pierrefonds, dokąd Portos miał ochotę odprowadzić przyjaciela.

Przynajmniej — mówił do siebie d'Artagnan kierując się ku Villers-Cotterets — przynajmniej nie będę sam. Ten czort Portos ma jeszcze piekielną krzepę. Jeśli doszedłby Atos, ho, ho! będziemy mogli we trzech kpić sobie z Aramisa, tego klechy, co cieszy się powodzeniem u kobietek.

Z Villers-Cotterets napisał do kardynała:

*Monsignore, mam już jednego na usługi waszej eminencji; wart on dwudziestu. Udaję się do Blois, do hrabiego de La Fere, mieszka on w zamku Bragelonne w okolicach tego miasta.*

Po czym ruszył w drogę do Blois, gawędząc z Wiórkiem, którego towarzystwo było dlań w ciągu tej długiej podróży dużą rozrywką.



## 15. Dwie anielskie głowy

Droga była daleka, lecz d'Artagnan nie suszył sobie tym głowy. Wiedział, że konie dobrze się odpały w obfitych żłobach pana de Bracieux. Puścił się więc z ufnością w ową cztero- czy pięciodniową drogę, jaką miał do przebycia, w towarzystwie wiernego Wiórka.

Jak już powiedzieliśmy, obaj ci ludzie, dla zabicia nudy podróży, jechali obok siebie i wiedli nieustanne rozmowy. D'Artagnan powoli zrzucił z siebie skórę pana, Wiórek zaś zupełnie powłokę lokaja. Był on w gruncie rzeczy kuty na cztery nogi i często, od czasu swego przedzierzgnięcia się w mieszczanina, żałował bezpłatnych wyżerek na traktach, podobnie jak rozmów i świetnego towarzystwa szlachty. Czując zaś pewne osobiste walory, bolał nad tym, że rozmienia się na drobne przez ustawiczne stykanie się z ludźmi o przyziemnym sposobie myślenia.

Wkrótce więc stał się zaufanym owego człowieka, którego wciąż jeszcze nazywał swoim panem. D'Artagnan od wielu lat nie wywnętrzał się. I tak się zdarzyło, że ci dwaj mężczyźni, odnalazłszy się, doszli do całkowitego porozumienia.

Zresztą Wiórek nie był pospolitym towarzyszem przygód. Posiadał zdrowy rozsądek; nie szukając niebezpieczeństwa, nie uchylał się od ciosów, jak d'Artagnan miał sposobność zauważyć to po wielokroć. Wreszcie był żołnierzem, a broń uszlachetnia. Przede wszystkim zaś, jeśli Wiórek potrzebował d'Artagnana, to i sam był dlań nie mniej pożyteczny. Tak więc d'Artagnan i Wiórek dotarli do Blaisois nieomal jako dwaj dobrzy przyjaciele.

W czasie drogi d'Artagnan, potrząsając głową, wracał do trapiącej go bezustannie myśli i mówił:

— Jestem przekonany, że moje zabiegi u Atosa okażą się bezużyteczne i

nie mają sensu, ale winienem tak postąpić wobec starego przyjaciela, który miał w sobie zadatki na człowieka najbardziej szlachetnego i zacnego ze wszystkich ludzi.

— O, z pana Atosa to tęgi szlachcic — rzekł Wiórek.

— Nieprawdaż? — podjął d'Artagnan.

— Sieje pieniędzmi jak niebo gradem — ciągnął Wiórek — władza szpada jak sam król! Czy pan sobie przypomina pojedynek z Anglikami koło Karmelitów? Jakże piękny i wspaniały był naówczas pan Atos, kiedy mówił do swego przeciwnika: "Pan się domagałeś, abym powiedział swoje nazwisko; tym gorzej dla pana, gdyż będę zmuszony go zabić". Byłem tuż przy nim i słyszałem to. Słowo w słowo jego własne zdanie. I to spojrzenie, panie, kiedy pchnął swego przeciwnika, jak to był zapowiedział, a tamten upadł nie wyrzekłszy nawet "uf". Powtarzam, panie, był to tęgi szlachcic!

— Tak — odezwał się d'Artagnan — wszystko to prawda jak w Ewangelii, ale gotów stracić te zalety z powodu jednej przywary.

— Wiem, wiem — rzekł Wiórek — lubił popijać albo raczej po prostu pił. Ale nie czynił tego jak inni. Kiedy niósł kielich do ust, oczy jego nie mówiły nic. W samej rzeczy nigdy milczenie nie było tak wymowne. Zdaje mi się, jakbym go słyszał pomrukującego: "Wejdz, likworze, i przepędź moje smutki". A jak potrafił miażdżyć stopę kielicha albo szyjkę butelki! Był do tego jedyny.

— A dziś — podjął d'Artagnan — jakież smutny widok może nas oczekiwać. Ten szlachcic pełen cnót, o dumnym oku, ten piękny rycerz, tak świetny w zbroi, że zawsze dziwiono się, czemu dzierży w dłoni zwykłą szpadę zamiast buławy głównodowodzącego, mógł się przeobrazić w zgarbionego starca z czerwonym nosem i załzawionymi oczami. Może znajdziemy go śpiącego gdzieś na trawniku. Spojrzy na nas zamglonym okiem i, być może, nawet nas nie pozna. Bóg mi świadkiem, Wiórku — ciągnął d'Artagnan — że na taki smutny widok uciekłbym, gdybym nie uważał, że należy okazać szacunek znakomitemu cieniowi sławnego hrabiego de La Fere, któregośmy

wszyscy tak kochali.

Wiórek pokiwał głową i nie rzekł słowa; łatwo było dostrzec, że podzielał obawy swego pana.

— A przy tym zgrzybiałość — podjął d'Artagnan. — Atos bowiem jest już dziś stary i zapewne w biedzie, gdyż zaniedbywał te trochę dobra, jakie posiadał. A do tego ten brudas Milczek, bardziej milczący aniżeli kiedykolwiek i bardziej pijany od swego pana. Tak, Wiórku, od tego wszystkiego pęka mi serce.

— Wydaje mi się, jakbym już tam był i widział, jak się jąka i siania na nogach — rzekł Wiórek żalonym tonem.

— Obawiam się tylko — podjął d'Artagnan — by Atos w przypiwku pijackiej wojowniczości nie zgodził się na moje propozycje. Byłoby to dla Portosa i dla mnie wielkim nieszczęściem, a nade wszystko prawdziwym kłopotem. Ale zaraz przy pierwszej pijatyce opuścimy go, ot co. Jak przyjdzie do siebie, zrozumie wszystko.

— W każdym razie, panie — dodał Wiórek — niebawem sprawa się wyjaśni, gdyż sędzę, że te wysokie mury, co czerwienią się w świetle zachodzącego słońca, to mury Blois.

— Prawdopodobnie — odrzekł d'Artagnan — a te tam spiczaste i rzeźbione wieżyczki, które widać niewyraźnie na lewo w lesie, przypominają, co słyszałem o Chambord.

— Wjedziemy do miasta?

— Oczywiście, trzeba zasięgnąć języka.

— Jeśli tam wstąpimy, to radziłbym, panie, skosztować tamtejszych kremówek. Wiele o nich słyszałem, a na nieszczęście nie można ich sprowadzić do Paryża, bo trzeba je zjadać na miejscu.

— Zgoda skosztujemy ich, bądź spokojny — odpowiedział d'Artagnan.

W tejże chwili na trakcie, którym posuwali się dwaj jeźdźcy, wyłonił się z bocznej drogi pełnej kolein ciężki wóz zaprzężony w woły, jeden z tych, co

wożą aż do portów Loary drzewa ścięte w pięknych lasach tej krainy. Towarzyszył mu człowiek niosący długi kij uzbrojony w gwóźdź, którym poganiał swój powolny zaprzęg.

— Hej, przyjacielu! — krzyknął Wiórek na wolarza.

— Co rozkażecie, panowie? — ozwał się wieśniak nieskazitelnym narzeczem tych stron, przynoszącym wstyd mieszcuchom-purystom z placu Sorbony i ulicy Uniwersyteckiej.

— Poszukujemy domu pana hrabiego de La Fere — rzekł d'Artagnan. — Czy znane jest wam to nazwisko wśród okolicznej szlachty?

Na dźwięk tego nazwiska wieśniak zdjął kapelusz i odpowiedział:

— Drzewo, co je właśnie tu wiozę, należy do niego; wyciąłem je w lesie jego wysokości, pana hrabiego de La Fere, i zwożę na zamek.

D'Artagnan nie chciał więcej wypytywać tego człowieka; mierzła go myśl, że usłyszy od kogoś innego, co sam mówił do Wiórka.

Zamek! — myślał. — Zamek! Ach, rozumiem! Atos jest dość krewki i pewnie zmusza swych chłopów, podobnie jak Portos, by zwracali się doń "jego wysokość", a jego chałupę zwali zamkiem. Kochany Atos miał ciężką rękę, zwłaszcza gdy sobie podpiał.

Woły posuwały się wolno. D'Artagnan i Wiórek ciągnęli za wozem, ale w końcu ich to zniecierpliviło.

— Więc to ta droga? — zapytał d'Artagnan wolarza — i możemy nią jechać bez obawy zbłądzenia?

— O mój Boże! Tak, panie — odrzekł człowiek. — Możecie nią jechać zamiast się nudzić w towarzystwie tak powolnych zwierząt. Jeszcze tylko pół mili, a zobaczycie zamek na prawo; nie widać stąd, bo kryje go rząd topoli. To zamek la Valliere, a nie Bragelonne. Pojedziecie mimo. Ale o trzy strzelania z muszkietu dalej zobaczycie wielki biały dom; ma dachy z łupku, wznosi się na pagórku ocienionym olbrzymimi sykomorami. To zamek jego wysokości, pana hrabiego de La Fere.

— A te pół mili to bardzo długie? — spytał d'Artagnan — bo w naszej pięknej Francji są mile i mile.

— Dziesięć minut drogi, panie, dla kształtnych nówek konia waszej wielmożności.

D'Artagnan podziękował wolarzowi i natychmiast dał koniowi ostrogę. Później, mimo woli poruszony myślą, że ponownie ujrzy niezwykłego człowieka, który go tak kochał, który tyle przyczynił się radami i przykładem do wychowania go na dobrego szlachcica — począł zwalniać nieznacznie krok wierzchowca i dalej jechał już z pochyloną głową, w zamyśleniu.

Dla Wiórka spotkanie z wieśniakiem i jego postawa stały się również tematem poważnych rozmyślań. Nigdzie, ani w Normandii, ani we Franche-Comte, w Artois czy w Pikardii — w krainach, gdzie sam zamieszkiwał — nie napotkał u wiejskich ludzi tak swobodnego zachowania, podobnej ogłady, mowy wolnej od naleciałości. Gotów był uwierzyć, że spotkał jakiegoś szlachcica, frondystę jak on sam, który z przyczyn politycznych zmuszony był również używać przebrania.

Jak to był wolarz powiedział, wkrótce za zakrętem, ukazał się oczom podróżnych zamek La Valliere. Jakieś ćwierć mili dalej biały dom w oprawie sykomorów zarysował się na tle gęstej masy drzew, które wiosną osypała śnieżnobiałym kwieciami.

Na ten widok d'Artagnan, który zazwyczaj mało się wzruszał, poczuł dziwny dreszcz, przenikający go aż do głębi serca; tak potężnie oddziałują przez całe życie wspomnienia młodości. Wiórek, który nie doznawał podobnych wrażeń i zdziwił się widząc swego pana tak poruszonego, patrzył to na d'Artagnana, to na dom.

Muszkietier zrobił wreszcie kilka kroków w przód i znalazł się przed kratą, wykutą ze smakiem, ozdobioną odlewami z epoki.

Przez kratę widać było starannie utrzymany ogród warzywny, dosyć obszerny dziedziniec, po którym krążyło kilka koni wierzchowych trzymany

przez służących w rozmaitych-liberiach, i karete zaprzężoną w dwa miejscowego chowu konie.

— Zmyliliśmy drogę albo ten człowiek wprowadził nas w błąd — rzekł d'Artagnan — niemożliwe, żeby tu mieszkał Atos. Boże! Czyżby umarł i posiadłość ta należy do kogoś jego nazwiska? Zsiądź z konia, Wiórku, i zapytaj. Wyznaję, że ja sam nie mam odwagi.

Wiórek zeskoczył z konia.

— Powiesz, że pewien przejeżdżający szlachcic pragnąłby powitać hrabiego de La Fere, i jeśli informacje cię zadowolą, podasz nazwisko.

Wiórek, prowadząc konia za uzdę, zbliżył się do bramy, po czym uderzył w dzwon przy kracie. Zaraz pojawił się służący o białych włosach i wyprostowanej mimo wieku postawie i podszedł do Wiórka.

— Czy to tutaj zamieszkuje pan hrabia de La Fere? — zapytał Wiórek.

— Tak, panie, tutaj — odparł służący Wiórkowi, który nie nosił liberii.

— Pewien pan hrabia, który wystąpił ze służby, nieprawdaż?

— Owszem, zgadza się.

— Miał służącego nazwiskiem Milczek — podjął Wiórek, który ze zwykłą sobie roztropnością sądził, że wiadomości nigdy nie może być za dużo.

— Pan Milczek jest w tej chwili nieobecny na zamku — odparł służący. Nie będąc przyzwyczajony do podobnych pytań, zaczął mierzyć Wiórka od stóp do głów.

— A więc — wykrzyknął rozpromieniony Wiórek — widzę, że to ten sam hrabia de La Fere, którego poszukujemy. Otwórzcie, proszę, chciałbym bowiem oznajmić panu hrabiemu, że mój pan, szlachcic należący do grona jego przyjaciół, jest tutaj i pragnie go powitać.

— Czemu nie powiedziałaś tego wcześniej — rzekł służący otwierając kratę. — A gdzie twój pan?

— Z tyłu, jedzie za mną.

Służący otworzył bramę i poszedł przodem. Wiórek dał znak

d'Artagnanowi, który z bijącym jak nigdy sercem wjechał konno na podwórzec.

Gdy Wiórek znalazł się przy schodach, doszedł go głos z parterowej sali:

— A więc gdzież ten szlachcic i dlaczego nie został tu wprowadzony?

Głos ów doszedł aż do uszu d'Artagnana i obudził w jego sercu tysiące wspomnień, które uleciały mu z pamięci. Zeskoczył gwałtownie z konia, podczas gdy Wiórek z uśmiechem na ustach zbliżał się do pana domu.

— Ależ ja znam tego chłopca! — rzekł Atos pojawiając się na progu.

— O tak, panie hrabio, pan mnie znasz i ja pana znam także doskonale. Jestem Wiórek, panie hrabio, Wiórek, pan wiesz dobrze...

Ale zacny sługa nie mógł powiedzieć już nic więcej, do tego stopnia zdumiał go niespodziewany wygląd szlachcica.

— Co tam, Wiórek?! — wykrzyknął Atos. — Czyżby tu był i pan d'Artagnan?

— Tak, to ja, przyjacielu, to ja, drogi Atosie! — zabełkotał d'Artagnan chwiejąc się niemal na nogach.

Na te słowa, na pięknej twarzy i spokojnych rysach Atosa odmalowało się wyraźne wzruszenie. Postąpił gwałtownie dwa kroki ku d'Artagnanowi nie spuszczać zeń wzroku i czule uściskał.

D'Artagnan, znowu ogarnięty wzruszeniem, uściskał go z kolei z serdecznością, która rozbłysła w jego oczach łzami.

Wówczas Atos ujął dłoń d'Artagnana ściskając w swoich dwóch i zaprowadził do salonu, gdzie było zgromadzonych kilka osób. Wszyscy powstali.

— Przedstawiam kawalera d'Artagnan — rzekł — porucznika muszkietarów jego królewskiej mości, oddanego przyjaciela, jednego z najdzielniejszych i najmilszych szlachciców, jakich kiedykolwiek znałem.

D'Artagnan przyjął wedle zwyczaju komplementy obecnych, jak mógł najlepiej, wyraził w zamian swoje i zajął miejsce pośród zebranych. A kiedy przerwana na chwilę rozmowa znów stała się ogólną, począł się przyglądać

Atosowi.

Dziwna rzecz, Atos niewiele się postarzał. Jego piękne oczy, pozbawione owej ciemnobrunatnej obwódki zarysowującej się zazwyczaj u ludzi, którzy spędzają czas na czuwaniu i hulankach, zdawały się być większe, wypełnione bardziej przejrzystym fluidem niż zazwyczaj. Oblicze, nieco wydłużone, zyskało na majestacie, znikł zeń wyraz gorączkowego niepokoju. Jego ręka, zawsze cudownie piękna i nerwowa mimo całej giętkości, jaśniała spod koronkowego mankieta jak niektóre ręce pędzla Tycjana czy Van Dycka<sup>33</sup>. Był smuklejszy aniżeli ongiś, barczyste jego ramiona świadczyły o niecodziennej sile. Długie, czarne włosy, przetkane zaledwie kilkoma siwymi nitkami, spadały wytwornie na ramiona niby naturalnie sfalowane. Głos zachował świeżość, jakby Atos miał wciąż dwadzieścia pięć lat, a wspaniałe zęby, białe i pięknie utrzymane, przydawały jego uśmiechowi niewypowiedzianego uroku.

Tymczasem, goście hrabiego domyślając się z nieuchwytnego wygasania rozmowy, że dwaj przyjaciele pragną pozostać sam na sam, zaczęli przygotowywać się z całym znanstwem i dwornością dawnych czasów do odjazdu, tej poważnej czynności ludzi światowych, kiedy istnieli jeszcze naprawdę ludzie światowi. W tej właśnie chwili rozległo się hałaśliwe naszczekiwanie psów na dziedzińcu i kilka osób jednocześnie wykrzyknęło:

— Raul powraca!

Atos na dźwięk tego imienia rzucił spojrzenie na d'Artagnana i zdawał się śledzić wyraz ciekawości, jaki winien się zrodzić na twarzy przyjaciela. Ale d'Artagnan nic nie rozumiał, nie ochłonął bowiem jeszcze ze swego olśnienia. Obrócił się więc prawie machinalnie, kiedy do salonu wszedł piękny młodzieniec lat piętnastu, odziany skromnie, lecz z wielkim smakiem, i uchylił z wdziękiem pilśniowego kapelusza, zdobnego długimi, czerwonymi piórami.

Ta nowa osoba, tak zupełnie nieoczekiwana, przykuła jego uwagę. Do głowy napłynęła fala innych myśli, tłumacząc wszelkimi dostępnymi jego

33 T y c j a n (1477— 1576) — słynny malarz włoski; V a n D y c k (1599— 1641) — znakomity malarz niderlandzki.



inteligencji sposobami przemianę, jakiej uległ Atos, który jak dotąd, wydawał mu się nieprzenikniony. Niezwykłe podobieństwo pomiędzy szlachcicem a młodym chłopcem wyjaśniło mu tajemnicę tego życia pełnego nowych sił. Czekał patrząc i słuchając.

— Powróciłeś już, Raulu? — zagadnął hrabia.

— Tak, panie — odpowiedział młodzieniec z szacunkiem — i dopełniłem polecenia, któreście mi dali.

— Ale co tobie, Raulu? — zapytał z troską Atos. — Pobladłeś i zdajesz się sobie być czymś poruszony?

— Przydarzyło się nieszczęście naszej małej sąsiadce.

— Pannie de la Valliere? — zapytał żywo Atos.

— Co takiego? — odezwało się kilka głosów.

— Kiedy przejeżdżałem konno, przechadzała się ze swą opiekunką Marceliną po ogrodzonym placu, gdzie drwale ociosują pnie. Spostrzegłem ją i zatrzymałem się. Ona mnie też dostrzegła i chcąc zeskoczyć ze stosu drzewa, na który była weszła, biedne dziecko, spadła nieszczęśliwie i nie mogła się podnieść. Myślę, że musiała sobie zwichnąć nogę w kostce.

— O mój Boże — westchnął Atos — a czy jej matka, pani de Saint-Remy, została powiadomiona?

— Nie, panie. Pani de Saint-Remy znajduje się w Blois, przy jej wysokości księżnie Orleańskiej. Obawiając się, żeby pierwsza pomoc nie była udzielona niezręcznie, przybiegłem tu prosić o radę.

— Natychmiast, Raulu, poślij kogoś do Blois! Albo raczej siadaj na konia i pędź tam sam.

Raul skłonił się.

— A gdzie jest Luiza? — pytał dalej Atos.

— Przywiozłem ją tutaj, panie, i pozostawiłem u żony Charlota, która na razie włożyła jej stopę do wody z lodem.

Po tym wyjaśnieniu, dającym pretekst do powstania z miejsc, goście Atosa

pożegnali się. Stary diuk de Barbe, jedyny, który zachowywał się jak ktoś bliski, łączyła go bowiem dwudziestoletnia przyjaźń z domem de la Valliere, udał się do małej Luizy. Płakała, ale zobaczywszy Raula otworzyła piękne oczy i natychmiast się uśmiechnęła.

Diuk de Barbe zaproponował odwiezienie małej Luizy do Blois swoją kareta.

— Masz pan rację — rzekł Atos — będzie prędzej u matki. A co się tyczy ciebie, Raulu, to jestem pewny, że działałeś nierozważnie i że stało się to z twojej winy.

— Ależ nie, panie, przysięgam, że nie! — wykrzyknęła dziewczynka, podczas gdy młodzieniec zbladł na myśl, że, być może, jest przyczyną tego wypadku.

— Ależ, panie, zapewniam... — wyszeptał Raul.

— Niemniej jednak pojedziesz do Blois — ciągnął hrabia tonem pełnym dobroci — i usprawiedliwisz siebie, a także i mnie przed panią de Saint-Remy. Potem powrócisz do domu.

Na obliczu młodzieńca pojawiły się rumieńce. Naradziwszy się wzrokiem z hrabią, wziął w mocne już ramiona dziewczynkę, której piękna główka, zdjęta bólem, a jednocześnie pełna uśmiechu, opadła na jego bark, i delikatnie ułożył ją w karocy. Następnie elegancko, ze zwinnością doskonałego wołyżera skoczył na konia, złożył ukłon Atosowi i d'Artagnanowi i szybko oddalił się, jadąc tuż przy drzwiczkach pojazdu ze wzrokiem wlepionym bez przerwy w jego wnętrze.

## 16. Zamek Bragelonne

Podczas całej tej sceny d'Artagnan stał zmieszany, z otwartymi ustami. Wszystko było tu tak niezgodne z jego przewidywaniami, że wprost zgłupiał ze zdziwienia.

Atos ujął go za ramię i powiódł do ogrodu.

— Zanim nam przygotują posiłek — rzekł uśmiechając się — nie będziesz krzyw, mój przyjacielu, że uchylę ci rąbka tajemnicy, która sprawia na tobie wrażenie snu?

— To prawda, panie hrabio — rzekł d'Artagnan, czując, że Atos powoli odzyskuje nad nim tę przemożną wyższość arystokraty, jaką zawsze miał.

Atos popatrzył nań ze swoim miłym uśmiechem.

— Przede wszystkim, drogi d'Artagnan, nie ma tutaj żadnego pana hrabiego. Jeśli nazwałem cię kawalerem, to dlatego, że chciałem cię przedstawić moim gościom, by wiedzieli, ktoś zacz; lecz żywię nadzieję, że dla ciebie jestem zawsze Atosem, twoim towarzyszem, twoim przyjacielem. Czy może już mniej mnie lubisz i dlatego wolisz ceregiele?

— Ależ broń Boże! — wykrzyknął Gaskończyk wiedziony jednym z tych lojalnych porywów młodości, które tak rzadko odnajduje się w wieku dojrzałym.

— A więc wracajmy do naszych obyczajów, a przede wszystkim bądźmy szczerzy. Jesteś tu wszystkim zdziwiony, nieprawdaż?

— Niezmiernie.

— W największe zdumienie jednak wprawia cię moja osoba? Przyznaj to — rzekł Atos uśmiechając się.

— Tak, przyznaję.

— Dziwi cię, iż mimo moich czterdziestu dziewięciu lat jestem jeszcze

młody? I że łatwo mnie jeszcze rozpoznać?

— Wprost przeciwnie — odparł d'Artagnan, gotów posunąć zaleconą mu przez Atosa szczerą do ostatecznych granic — wprost przeciwnie, jesteś zupełnie nie ten sam.

— Ach, rozumiem — rzekł Atos lekko się zarumieniwszy — wszystko ma swój kres, przyjacielu, szaleństwo także.

— Poza tym, zdaje mi się, zaszła zmiana w twoim losie. Wspaniale mieszkasz; suponuję, że to twój dom.

— Tak, jest to właśnie ta mała majątność, drogi przyjacielu, o której wspominałem, że przypadła mi w dziedzictwie, kiedym opuszczał służbę.

— Park, konie, pojazdy.

Atos uśmiechnął się.

— Park ma dwadzieścia morgów, mój drogi, dwadzieścia morgów, na których mieści się ogród warzywny i budynki dla czeladzi. Mam dwa wierzchowce, oczywiście nie licząc chabety służącego. Psiarnia składa się z czterech ogarów, dwóch chartów i jednego wyzła. W dodatku trzymam tę luksusową sforę nie dla siebie — dorzucił Atos znowu się uśmiechając.

— Rozumiem, to dla młodego człowieka, dla Raula.

I d'Artagnan spojrzał na Atosa z mimowolnym uśmiechem.

— Zgadłeś, przyjacielu!

— Ów młodzieniec to twój współbiedak, chrześniak czy krewny? Ach, jakżeś się zmienił, drogi Atosie!

— Ten młody człowiek — odpowiedział spokojnie Atos — jest sierotą, którego matka pozostawiła u pewnego ubogiego wiejskiego proboszcza; żywiłem go, wychowałem.

— Z pewnością przywiązany do ciebie?

— Myślę, że kocha mnie jak rodzony ojca.

— Przede wszystkim czy wdzięczny?

— Och, wdzięczność nasza jest wzajemna; tyłem mu winien, ile on mnie.

A nawet pozostaję jeszcze jego dłużnikiem, ale tego mu nie mówię, tylko tobie, drogi d'Artagnan.

— Jak to? — zdumiał się muszkieter.

— Ach, mój Boże! Przecież to on sprawił we mnie tę zmianę, którą widzisz. Usychałem jak biedne podcięte drzewo, nie związane niczym z ziemią. Tylko głębokie uczucie mogło mnie na powrót związać z życiem. Kochanka? Byłem za stary. Przyjaciele? Już was tu nie miałem. Więc to dziecko pozwoliło mi odnaleźć wszystko, com utracił. Nie miałem już odwagi żyć dla siebie, żyłem więc dla niego. Nauka dla dziecka to wiele, ale przykład to jeszcze więcej. Stałem mu się przykładem, d'Artagnanie. Wyzbyłem się ułomności, jakie posiadałem, udawałem cnoty, których mi brakło. Toteż chyba nie oszukuję się, d'Artagnanie, sądząc, iż przeznaczeniem Raula jest być szlachcicem tak doskonałym, ile to tylko możliwe w naszej podupadłej epoce.

D'Artagnan patrzył na Atosa z rosnącym podziwem. Przechadzali się chłodną i cienistą aleją, wysadzaną drzewami, poprzez które przenikało ukośnie kilka promieni zachodzącego słońca. Jeden z tych złocistych promieni oświecał twarz Atosa i oczy jego zdawały się odbijać z kolei ów ciepły i spokojny blask wieczorny.

D'Artagnanowi przyszła na myśl Milady.

— Czujesz się szczęśliwy? — zapytał przyjaciela.

Czujne oko Atosa przeniknęło do głębi serca d'Artagnana i zdawało się tam czytać jego myśli.

— Tak szczęśliwy, jak boże stworzenie może być szczęśliwe na ziemi. Ale dokończ swą myśl, d'Artagnanie, bo nie powiedziałeś mi jej całej.

— Straszny jesteś, Atosie, i nic się przed tobą nie ukryje. A więc tak, chciałem cię zapytać, czy nie odczuwasz czasami niespodziewanych odruchów strachu, podobnych do...

— Wyrzutów? — dodał Atos. — Dokończę twoją myśl, przyjacielu. I tak, i nie: nie mam wyrzutów, ponieważ sądzę, że ta kobieta zasługiwała na karę, jaką

poniosła. Nie mam wyrzutów, ponieważ gdybyśmy ją pozostawili żywą, prowadziłaby dalej, bez żadnej wątpliwości, swoje dzieło zniszczenia. Ale to nie znaczy, przyjacielu, że jestem przeświadczony, iż byliśmy w prawie uczynić to, cośmy uczynili. Być może, każda przelana krew domaga się pokuty. Ona odpokutowała swoje, może teraz na nas kolej.

— Myślałem o tym nieraz podobnie jak ty, Atosie — rzekł d'Artagnan.

— Ta kobieta miała syna?

— Tak jest.

— Czyś kiedy o nim słyszał?

— Nigdy.

— Powinien mieć dwadzieścia trzy lata — wyszeptał Atos — często myślę, drogi d'Artagnan, o tym młodzieńcu.

— To dziwne. Ja zupełnie o nim zapomniałem.

Atos uśmiechnął się melancholijnie.

-A o lordzie Winterze masz jakie wiadomości?

— Wiem, że był faworytem Karola I.

— Podzieli jego los, który w tej chwili nie przedstawia się korzystnie.

Pomyśl, d'Artagnan — ciągnął Atos — wracamy do tego, co ci powiedziałem przed chwilą. Przelał on krew Strafforda, krew woła o krew. A królowa?

— Jaka królowa?

— Henrieta Angielska, córka Henryka IV.

— Jak wiesz, mieszka w Luwrze.

— Tam gdzie jej wszystkiego niedostaje, nieprawdaż? W czasie wielkich mrozów tej zimy, jak mi mówiono, jej chora córka zmuszona była, z braku opału, pozostawać w łóżku. Czy wyobrażasz to sobie? — rzekł Atos wzruszając ramionami. — Córka Henryka IV dzwoniąca zębami z braku wiązki chrustu! Czemuż nie zwróciła się o gościnę do pierwszego lepszego z nas, miast prosić Mazariniego. Niczego by jej nie zbrakło.

— Znasz ją może?

— Nie, ale moja matka widziała ją dzieckiem. Czy wspominałem ci kiedy, że moja matka była damą dworu Marii Medycejskiej?

— Nigdy. O takich rzeczach nigdy nie rozmawiasz, Atosie.

— Ach, mój Boże, owszem, jak sam widzisz — odrzekł Atos — musi być po temu jakaś okazja.

— Portos nie czekałby tak cierpliwie — zaśmiał się d'Artagnan.

— Każdy ma inne usposobienie, drogi d'Artagnan. Portos, mimo pewnej próżności, ma wybitne zalety. Widziałeś go teraz może?

— Rozstałem się z nim pięć dni temu.

I z właściwą sobie swadą gaskońską opowiedział o wszystkich wspaniałościach Portosa na jego zamku w Pierrefonds. Badając ciągle przyjaciela, wypuścił dwie, trzy strzały pod adresem świętego pana Musza.

— Jestem pełen podziwu — odpowiedział Atos z uśmiechem promieniającym tą radością, która przypominała ich piękne dni — żeśmy ongiś przypadkowo stworzyli grupę ludzi tak sobie bliskich mimo dwudziestoletniej rozłąki. Przyjaźń, d'Artagnan, zapuszcza korzenie głęboko w szlachetne serca. Wierz mi, tylko źli ludzie przeczą przyjaźni, ponieważ jej nie rozumieją. A co z Aramisem?

— Widziałem się z nim również, ale wydał mi się oziębły.

— Ach, tak, widziałeś Aramisa — podjął Atos patrząc badawczo na d'Artagnana. — Ależ to istna pielgrzymka do świątyni przyjaźni, jakby powiedzieli poeci.

— Tak to wygląda — odrzekł zafrasowany d'Artagnan.

— Jak ci wiadomo, Aramis jest z natury oziębły — ciągnął Atos — a poza tym wciąż uwikłany w kobiece intrygi.

— Sądzę, że obecnie jest to coś bardzo zawilego.

Atos nie odpowiedział.

Widać nie ciekawi go to — pomyślał d'Artagnan.

Atos nie tylko nie odpowiedział, ale zmienił temat rozmowy.

— Widzisz — rzekł zwracając uwagę d'Artagnana, że powrócili już pod pałac — w ciągu godzinnej przechadzki obeszliliśmy całe me włości.

— Wszystko tu takie urocze, a nade wszystko wszędzie czuje się osobę władającego tu pana — odrzekł d'Artagnan.

W tejże chwili rozległ się tętent konia.

— To powraca Raul — rzekł Atos — będziemy mieli wiadomości o biednej małej.

Istotnie, u kraty pojawił się młody człowiek cały okryty kurzem i wjechał na dziedziniec. Zeskoczywszy z konia, oddał go w ręce masztalerza, powitał hrabiego i d'Artagnana.

— Ten pan — rzekł Atos kładąc rękę na ramieniu d'Artagnana — ten pan jest kawalerem d'Artagnan, o którym często słyszałeś z mych ust, Raulu.

— Panie — odezwał się młodzieniec, składając ponowny ukłon, jeszcze głębszy — pan hrabia zawsze wymawiał w mojej obecności pańskie imię jako przykład, ilekroć zamierzał przytoczyć imię szlachcica nieustraszonego i szlachetnego.

Ten niewyszukany komplement wzruszył d'Artagnana, który się poczuł mile pochlebiony. Wyciągnął więc do Raula rękę mówiąc:

— Mój młody przyjacielu, wszystkie pochwały, jakimi mnie ktokolwiek obdarza, należą się panu hrabiemu: on to bowiem kierował moją edukacją w każdym względzie i nie jego wina, że uczeń skorzystał tak niewiele. Ale powetuje to na tobie, jestem tego pewien. Podoba mi się twoja postawa, Raulu, a ogłada twoja wzruszyła mnie.

Trudno by było wyrazić zachwyt Atosa. Spoglądał z wdzięcznością na d'Artagnana, następnie utkwiał wzrok w Raulu. Twarz ozdobił mu jeden z tych dziwnych uśmiechów, z których dzieci, jeśli je spostrzegą, są dumne.

Teraz — rzekł do siebie d'Artagnan, którego uwagi nie uszła ta niema gra twarzy — jestem już tego pewien.

— A więc — odezwał się Atos — mam nadzieję, że wypadek nie będzie



miał złych następstw.

— Jeszcze nic nie wiadomo, panie, lekarz nie mógł nic orzec z powodu opuchnięcia. Obawia się jednak, czy nie jest uszkodzony jakiś nerw.

— Dlaczego nie zostałeś dłużej u pani de Saint-Remy?

— Obawiałem się, że nie zdążę na obiad — odrzekł Raul — i co za tym idzie, że będzie pan zmuszony czekać na mnie.

W tejże chwili młody chłopiec, na wpół wiejskie dziecko, na wpół służący, przyszedł oznajmić, że obiad na stole.

Atos zaprowadził gościa do sali jadalnej urządzonej z wielką prostotą; okna jadalni wychodziły z jednej strony na ogród, z drugiej na cieplarnię, gdzie kwitły wspaniałe kwiaty.

D'Artagnan rzucił okiem na nakrycie: zastawa stołowa była wspaniała; od razu widać było, że to stare, rodowe srebra. Na kredensiku stał okazały srebrny dzbanek. D'Artagnan zatrzymał się, aby nań popatrzeć.

— Cóż to za boska robota — rzekł.

— Tak — odparł Atos — to arcydzieło wielkiego florenckiego artysty nazwiskiem Benvenuto Cellini<sup>34</sup>.

— A co za bitwa na nim?

— Pod Marignano. Jest to moment, kiedy jeden z moich przodków podaje swoją broń Franciszkowi I, któremu pęka szpada. Przy tej sposobności dziad mój, Enguerrand de La Fere, został kawalerem de Saint-Michel. Poza tym w piętnaście lat później król, który nie zapomniał był, że trzy godziny jeszcze walczył szpadą swego przyjaciela Enguerranda, zanim się złamała, podarował mu ten dzbanek i szpadę; zapewne widziałeś ją ongiś u mnie — jest to również piękny okaz sztuki zdobniczej. Były to czasy olbrzymów — dodał Atos. — My jesteśmy karłami w porównaniu z owymi ludźmi. Siadajmy, d'Artagnan, i jedzmy. Ale, ale — zwrócił się do małego służącego, który właśnie podał zupę — zawołaj no Charlota.

---

<sup>34</sup>Benvenuto Cellini (1500—1571) — słynny złotnik i snycerz florencki.

Chłopię wyszło, a w chwilę później wszedł służący, ten sam, do którego zwrócili się po przyjeździe nasi podróżni.

— Drogi Charlot — rzekł Atos — polecam twojej szczególnej opiece, na cały czas pobytu, Wiórka, służącego pana d'Artagnana. Lubi on dobre wino, a ty masz klucze od piwnic. Długo legiwał na twardym posłaniu i nie powinien mierzić sobie wygodnego łóżka... Proszę cię, miej to na uwadze.

Charlot skłonił się i wyszedł.

— Charlot to również dzielny człowiek — ozwał się hrabia — już osiemnaście lat u mnie służy.

— O wszystkim pamiętasz — rzekł d'Artagnan — dziękuję ci za Wiórka, mój drogi Atosie.

Młodzieniec, usłyszawszy to imię, zdumiał się i spojrzał na d'Artagnana, czy rzeczywiście mówi on do hrabiego.

— Imię to wydaje ci się dziwaczne, co? — Atos się uśmiechnął. — To moje imię bojowe, z czasów, kiedy pan d'Artagnan, dwaj waleczni przyjaciele i ja dokonywaliśmy bohaterskich czynów w La Rochelle pod nieboszczykiem kardynałem i panem de Bassompierre, który również już zmarł. Pan d'Artagnan raczy zachowywać to przyjacielskie imię; za każdym razem, kiedy je słyszę, serce moje napęłnia radość.

— Było to sławne imię — rzekł d'Artagnan — i pewnego dnia dostąpiło zaszczytnego triumfu.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał Raul wiedziony młodzieńczą ciekawością.

— Dalibóg, nic o tym nie wiem — dziwił się Atos.

— Zapomniałeś o bastionie Saint-Gervais, Atosie, i o tej serwecie, z której trzy kule uczyniły sztandar? Mam lepszą pamięć od ciebie; pamiętam to i opowiem ci, młodzieńcze.

I rzeczywiście opowiedział Raulowi całą historię bastionu, podobnie jak Atos opowiedział był d'Artagnanowi historię swego przodka.

Pod wpływem tego opowiadania młodzieńcowi zdało się, że widzi, jak rozgrywa się jedno z tych zbrojnych spotkań opisywanych przez Tassa czy Ariosta<sup>35</sup>, a które należą już do baśniowej epoki rycerstwa.

— Ale d'Artagnan nie powiedział ci, Raulu — podjął z kolei Atos — że był jednym z najlepszych szermierzy swego czasu. Nogi z żelaza, przegub ze stali, błyskawiczne i pewne oko, wzrok palący — oto co miał w pogotowiu dla przeciwnika. Liczył sobie osiemnaście lat, a więc o trzy lata więcej od ciebie, Raulu, kiedy ujrzałem go w akcji po raz pierwszy, i to przeciwko wypróbowanym ludziom.

— I pan d'Artagnan zwyciężył? — zapytał młodzieniec, którego oczy w czasie całej tej rozmowy płonęły i zdawały się błagać o szczegóły.

— Wydaje mi się, że jednego z nich zabiłem — rzekł d'Artagnan pytając wzrokiem Atosa. — Drugiego rozbroiłem czy zraniłem, już sobie nie przypominam.

— Tak, zraniłeś go. O, srogi był z ciebie zapaśnik!

— Jeszcze zbyt wiele z tego nie stracił — podjął d'Artagnan ze swoim gaskońskim śmieszkiem, wielce rad z siebie. — A ostatnio nawet...

Jedno spojrzenie Atosa zamknęło mu usta.

— Uważasz się za przednią szpadę, Raulu — podjął gospodarz — i próżność twoja mogłaby pewnego dnia doznać srogiego rozczarowania, chcę więc, żebyś wiedział, jak niebezpieczny jest człowiek, który łączy zimną krew ze zręcznością. Nigdy nie mógłbym wskazać ci lepszego przykładu; poproś więc jutro pana d'Artagnan, o ile nie jest zbyt zmęczony, aby zechciał ci udzielić lekcji.

— Do kroćset! Drogi Atosie, przecież ty jesteś równie wielkim mistrzem, zwłaszcza jeśli chodzi o zalety, jakie chwalisz u mnie. Wiesz, jeszcze dziś Wiórek wspominał ów słynny pojedynek w ogrodzeniu Karmelitów z lordem

---

35 Torquato Tasso (1544—1595) — poeta włoski, autor poematu Jerozolima wyzwolona. Lodovico Ariosto (1474—1533) — również poeta włoski, napisał poemat Orland szalony. Oba poematy z życia rycerstwa średniowiecznego.

Winterem i jego towarzyszami. Ach, młodzieńcze — ciągnął d'Artagnan — powinna się tu gdzieś znajdować szpada, którą częstokroć nazywałem pierwszą w królestwie.

— Och, popsułbym sobie z tym dzieciuchem rękę.

— Są ręce, które nie psują się nigdy, drogi Atosie — rzekł d'Artagnan. — Za to psują wiele innych.

Młodzieniec chciałby przeciągnąć tę rozmowę na całą noc, ale Atos zwrócił mu uwagę, że gość pewnie jest zmęczony i potrzebuje odpoczynku. D'Artagnan bronił się przez grzeczność, lecz Atos nalegał, ażeby udał się do swego pokoju. Raul więc zaprowadził tam gościa, a ponieważ Atos domyślił się, że młodzieniec zechce zostać jak najdłużej z d'Artagnanem, by mu opowiedzieć o wszystkich przewagach młodości, więc w chwilę potem nadszedł sam i zakończył ten piękny wieczór przyjacielskim uściskiem dłoni i życzeniem muszkieterowi dobrej nocy.

## 17. Dyplomacja Atosa

D'Artagnan położył się do łóżka nie tyle, aby spać, ale raczej aby w samotności przemyśleć to wszystko, co widział i słyszał tego wieczoru.

Ponieważ z natury był człowiekiem dobrym, a w stosunku do Atosa odczuwał przede wszystkim instynktowną skłonność, która przerodziła się w serdeczną przyjaźń, więc kiedy zamiast otępiatego pijaka, trzeźwiejącego na kupie gnoju, jakiego spodziewał się odnaleźć, ujrzał człowieka o wspaniałej inteligencji i sile, popadł w zachwyt. Niemal bez buntu uznał ową niewątpliwą wyższość Atosa nad sobą. Zamiast zazdrości i rozczarowania, które naturę mniej szlachetną mogłyby pogłężyć w smutku, doznał w sumie szczerej radości, pozwalającej żywić najlepszą nadzieję co do rokowań.

Wydawało mu się tylko, że Atos nie we wszystkim jest szczery. Kimże był ów młodzieniec, tak do niego podobny, o którym mówił, że go adoptował? Co oznacza ten powrót do życia światowego i przesadna powściągliwość, jaką d'Artagnan zauważył przy stole? A taka rzecz na pozór bez znaczenia, jak nieobecność Milczka, z którym Atos dawniej nie mógł się nigdy rozstać, a którego nazwisko nie zostało nawet wspomniane mimo napomnień na ten temat? Wszystko to niepokoiło d'Artagnana. Nie cieszył się więc już zaufaniem swego przyjaciela albo raczej Atos skrepowany był jakimiś niewidzialnymi więzami bądź wreszcie nastawiony został z góry przeciw jego odwiedzinom.

Nie mógł się opędzić myśli o panu de Rochefort i o tym, co mu powiedział w kościele Notre-Dame. Czyżby Rochefort był u Atosa przed d'Artagnanem?

D'Artagnan miał za mało czasu, by tracić go na zbyt długie rozważania. Dlatego też postanowił już nazajutrz przejść do wyjaśnień. Szczupłość majątku Atosa, tak zręcznie maskowana, wskazywała na chęć błyszczenia w świecie i

zdradzała resztki ambicji łatwej do obudzenia. Siła umysłu i jasny pogład Atosa czyniły zeń człowieka bardziej od innych skorego do zrywu. Przystalby do planów ministra z tym większym zapalem, że przyrodzoną mu aktywność powiększały w pewnym stopniu konieczność.

Podobne myśli nie pozwalały d'Artagnanowi zasnąć pomimo zmęczenia. Obmyślał plany ataku i choć wiedział, że Atos jest twardym przeciwnikiem, ustalił moment przystąpienia do akcji na dzień jutrzejszy zaraz po śniadaniu.

Z drugiej jednak strony mówił sobie, że na tak nieznanym terenie należy postępować z rozwagą: poznawać przez kilka dni znajomych Atosa, śledzić jego nowe obyczaje i zdać sobie z nich sprawę; próbować wyciągnąć z młodego, naiwnego człowieka, czy to fechtując się z nim, czy goniąc za zwierzem, ogniwa pośrednie, których mu brakowało, aby powiązać Atosa dawniejszego z dzisiejszym. To ostatnie nie powinno sprawić trudności, ponieważ wychowawca może mieć wpływ na serce i umysł swego ucznia. Lecz d'Artagnan, który sam był człowiekiem dużej bystrości, schwycił w lot, jakie mogłyby wyniknąć dla niego przykrości, gdyby doświadczone oko Atosa w razie niedyskrecji czy niezręczności odkryło jego zabiegi.

Poza tym trzeba przyznać, d'Artagnan, gotowy posłużyć się chytrą w obec przebiegłości Aramisa czy próżności Portosa, doznawał uczucia zawstydzenia przed użyciem podobnych wybiegów wobec Atosa, człowieka o szczerem sercu. Wydawało mu się, że Aramis i Portos, poznawszy w nim mistrza dyplomacji, ceniliby go tym więcej, natomiast Atos, przeciwnie, ceniliby go mniej.

— Ach, czemuż nie ma tutaj Milczka! — mówił do siebie d'Artagnan — jego milczenie kryło tyle rzeczy, które bym zrozumiał; milczenie Milczka było tak pełne wymowy!

Tymczasem w domu ucichały stopniowo wszystkie hałasy. D'Artagnan słyszał, jak zamykano drzwi i okiennice; potem pomilkły na wsi psy obszczekujące się nawzajem; na koniec zagubiony w gęstwinie drzew słowik

jeszcze jakiś czas rozsypywał wśród nocy harmonię gam, póki wreszcie i on nie usnął. W zamku dawał się słyszeć już tylko odgłos równych, monottonnych kroków w pokoju na górze. Muszkieter przypuszczał, że był to pokój Atosa.

Przechadza się i rozmyśla — snuł d'Artagnan — ale o czym? Niepodobna wiedzieć. Wszystko inne można odgadnąć, ale tego nie.

Wreszcie Atos musiał się niewątpliwie położyć, bo i ten ostatni odgłos zamarł.

Cisza i zmęczenie pospołu pokonały d'Artagnana; i on z kolei zamknął oczy, niemal natychmiast zapadając w sen.

D'Artagnan nie był śpiochem. Zaledwie świt ozłocił zasłony, zerwał się z łóżka i otworzył okna. Miał wrażenie, że przez żaluzje dojrzał kogoś, kto krążył po dziedzińcu, starając się nie hałasować. Zgodnie ze swoim zwyczajem niepomijania niczego, z czym się spotkał, bez upewnienia się, co to takiego może być, d'Artagnan, unikając hałasu, jął się uważnie przyglądać. Rozpoznał wiśniowy, obcisły kaftan Raula i jego ciemne włosy.

Młody człowiek, on to był bowiem, otworzył drzwi do stajni, wyprowadził stamtąd gniadosza, którego był dosiadał wczoraj, sam go osiodłał i okiełznał szybko i zręcznie jak najbieglejszy masztalerz; następnie wyprowadził konia prawą alejką warzywnego ogrodu, otworzył boczną furtkę prowadzącą na ścieżkę, przeciągnął konia na zewnątrz i zamknął furtkę za sobą. Po czym d'Artagnan widział go jeszcze za murem, jak mknął niby strzała, schylając się pod zwisającymi gałęziami klonów i kwitnących akacji.

Wczoraj d'Artagnan zauważył, że ścieżka winna prowadzić do Blois.

— To mi zuch, który pilnuje swego — rzekł Gaskończyk. — Wydaje mi się, że nie podziela on z Atosem nienawiści do płci nadobnej. Nie jedzie na polowanie, bo nie ma ani broni, ani psów. Nie jedzie z jakimś poleceniem, bo robi to po kryjomu. Przed kim tak się ukrywa? Przede mną czy przed ojcem? Jestem przecież pewien, że hrabia jest jego ojcem. Do licha! Dowiem się tego, bo w tej materii będę rozmawiał z Atosem otwarcie.

Wstawał dzień. I wszystkie odgłosy, które d'Artagnan słyszał ucichające stopniowo poprzedniego dnia, teraz jedne po drugich dawały się słyszeć na nowo: ptak wśród gałęzi, pies w stajni, owce w polu. Nawet przycumowane na Loarze statki wydawały się ożywać, odrywając od wybrzeża i pozwalając się unosić z prądem rzeki. D'Artagnan pozostawał przy oknie, ażeby nie budzić nikogo. Dopiero kiedy usłyszał otwieranie drzwi i okiennic zamku, jeszcze raz przyczesał włosy, podkreślił wąsa, wytarł z przyzwyczajenia obrzeże swego kapelusza mankietem kaftana i zeszedł na dół. Ledwie zstąpił z ostatniego stopnia ganku, kiedy spostrzegł Atosa nisko pochylonego nad ziemią, w postawie człowieka, który szuka w piasku talara.

— Dzień dobry, drogi gospodarzu — powiedział d'Artagnan.

— Dzień dobry, drogi przyjacielu. Czy dobrze spędziłeś noc?

— Wyśmienicie, Atosie. Łóżko było równie wyśmienite, jak i wczorajsza wieczerza, która miała mnie przywieść do snu, jak twoje przyjęcie, kiedy mnie znów zobaczyłeś. Ale czemu przyglądasz się tak uważnie? Czy może stałeś się miłośnikiem tulipanów?

— To nie powód, by się prześmiewać ze mnie, drogi przyjacielu. Na wsi zamiłowania bardzo się zmieniają i niepostrzeżenie zaczyna się lubić wszystkie te rzeczy, które Bóg swym spojrzeniem wyprowadził z głębi ziemi, a którymi w miastach tak się gardzi. Po prostu oglądałem irysy, które zasadziłem koło tego zbiornika; zostały one dziś rano pogniecione. Ogrodnicy to najniezręczniejsi ludzie w świecie. Odprowadzając konia, który wyciągał wodę, dopuścili, że szedł przez grządkę.

D'Artagnan jął się uśmiechać.

— Tak myślisz?

I poprowadził przyjaciela aleją, gdzie odcisnięta była wielka ilość śladów, podobnych jak na pogniecionych irysach.

— O, i jeszcze tutaj, jak mi się zdaje; patrz, Atosie — rzekł obojętnie.

— Ależ oczywiście, i to zupełnie świeże.



— Zupełnie świeże — potwierdził d'Artagnan.

— Któż by to dziś rano wychodził tędy? — zapytywał zaniepokojony Atos.  
— Czyżby koń uciekł ze stajni?

— To nieprawdopodobne — rzekł d'Artagnan — gdyż kroki są równe i stawiane spokojnie.

— A gdzie Raul? — wykrzyknął Atos. — Jak to się stało, że go dotąd nie widział?

— Tsss — rzekł d'Artagnan z uśmiechem, kładąc palec na ustach.

— Co takiego? — zapytał Atos.

D'Artagnan, obserwując oblicze gospodarza, opowiedział mu, co był zauważył.

— Teraz wszystko jasne — rzekł Atos wzruszając lekko ramionami — biedny chłopiec pojechał do Blois.

— Po co?

— Och, mój Boże, żeby zasięgnąć nowin o małej de la Valliere. Wiesz, o tym dziecku, które sobie zwichnęło wczoraj nogę.

— Tak sądzisz? — zapytał niedowierzająco d'Artagnan.

— Nie tylko sądzę, ale jestem tego pewien. Czyś nie zauważył, że Raul jest zakochany?

— Pięknie. W kim? W tym siedmioletnim dziecku?

— Mój drogi, w wieku Raula serce jest tak wypełnione, że trzeba je gdzieś wyładować, czy to w marzeniu, czy w realiach. A jego miłość jest dlań w połowie jednym i drugim.

— Kpisz! Co, ta dziewczynka?

— Nie zaobserwowałaś? Toż to najpiękniejsze stworzonko, jakie świat widział: włosy srebrnoblond, oczy błękitne, już przekorne, a jednocześnie rozmarzone.

— I cóż ty na tę miłość?

— Ja? Nic, śmieję się i pokpiwam z Raula. Ale te pierwsze potrzeby serca

są tak władcze, te wylewy miłosnej melancholii u młodych ludzi tak pełne słodyczy i goryczy zarazem, że często zdaje się to mieć wszelkie cechy namiętności. Przypominam sobie, jak w wieku Raula zakochałem się w posagu greckim ofiarowanym memu ojcu przez dobrego króla Henryka IV i wydawało się, że oszaleję z bólu, kiedy mi powiedziano, że historia Pygmaliona jest tylko baśnią.

— To wszystko z beczynności. Nie dajesz Raulowi żadnego zajęcia, więc wyszukuje je sobie sam.

— O, to właśnie. Myślę też wyprawić go stąd.

— I postąpisz słusznie.

— Bez wątpienia. Ale złamie mu to serce, będzie cierpiał, jakby to była prawdziwa miłość. Od trzech czy czterech lat, sam jeszcze był dzieckiem w tym czasie, przywykł idealizować i podziwiać to małe bóstwo; gdyby tu nadal pozostał, skończyłoby się pewnego dnia na uwielbieniu. Dzieci te co dzień oddają się marzeniom i rozprawiają o tysiącu rzeczy serio, jak prawdziwi kochankowie, którzy mają po dwadzieścia lat. Przez długi czas wywoływało to uśmiech rodziców małej de la Valliere, lecz sądzę, że obecnie zaczynają się krzywić.

— Dzieciństwo! Raula trzeba oderwać. Jak najszybciej go stąd zabrać, bo, do licha! nigdy nie będziesz miał z niego mężczyzny.

— Zamyślam wysłać go do Paryża.

— Och! — rzucił d'Artagnan.

I osądził, że nadszedł sposobny czas, by przypuścić atak.

— Jeśli sobie życzysz, możemy młodzieńcowi zapewnić los.

— Och! — rzucił z kolei Atos.

— Chcę się nawet z tobą naradzić w pewnej sprawie, która mi przyszła do głowy.

— Mów.

— Czy nie sądzisz, że nadszedł czas, by wstąpić na służbę?

— A czy ty, d'Artagnan, nie jesteś ciągle w służbie?

— Oczywiście, w służbie czynnej. Czy nie ciągnie cię nic do dawnego życia i jeśliby oczekiwały cię realne korzyści, nie byłbyś skłonny podjąć na nowo w towarzystwie moim i przyjaciela Portosa wielkich dzieł naszej młodości?

— Czy to ma być propozycja?

— Jasna i szczerza.

— Ażeby znów wyruszyć w pole?

— Tak jest.

— Z kim i przeciw komu? — rzucił nagle pytanie Atos wlepiając w Gaskończyka oczy jasne i życzliwe.

— Do diabła, ależ z ciebie raptus!

— Przede wszystkim jestem dokładny. Posłuchaj no, d'Artagnanie. Istnieje tylko jedna osoba albo raczej jedna sprawa, której człowiek taki jak ja może być pożyteczny: to sprawa króla.

— O nią właśnie chodzi — rzekł muszkieter.

— Tak, ale słuchaj — podjął poważnie Atos. — Jeśli przez sprawę króla rozumiesz sprawę Mazariniego, to przestajemy się rozumieć.

— Tego tak nie stawiam — odparł zafrasowany Gaskończyk.

— Słuchaj, d'Artagnanie — rzekł Atos — nie starajmy się przechytrzyć jeden drugiego; twoje wahanie, twoje wybiegi mówią mi jasno, od kogo przybyłeś. Istotnie, sprawy tej nie śmie nikt głosić jawnie, a kiedy się do niej werbuje, to na ucho i z zakłopotaniem w głosie.

— Ach, drogi Atosie! — wtrącił d'Artagnan.

— Wiesz dobrze — ciągnął Atos — że nie mówię o tobie, który jesteś perłą wśród ludzi dzielnych i śmiałych, ale o tym Włochu, marnocie i intrygancie, chamie, który usiłuje sobie włożyć na głowę koronę ukradzioną spod poduszki, o tym bałwanie, który swój obóz nazywa obozem króla i który ośmiela się wtrącać do więzienia książąt krwi, nie waząc się ich zabić, jak to

czynił nasz kardynał, wielki kardynał; skąpiec ważący swoje złote talary i chowający obcięte kupony, w obawie, że choć poszachrował, może je utracić w jutrzejszej grze; wreszcie łajdak maltretujący królową, jak twierdzą pewni ludzie. Zresztą tym gorzej dla niej! Za trzy miesiące rozpocznie z nami wojnę domową, byleby tylko utrzymać swoje dochody. I to ma być pan, którego mi proponujesz ty, d'Artagnan? Bardzo dziękuję!

— Na miły Bóg, jesteś bardziej porywczy niż dawniej i lata rozpały jeszcze twą krew miast ją ostudzić. Któż ci powiedział, że to mój pan i że chcę ci go narzucić? — odparował d'Artagnan. A do siebie dodał: “Uf, do diabła, nie odkrywajmy kart przed kimś tak źle usposobionym”.

— A więc, drogi przyjacielu — podjął Atos — co znaczą te propozycje?

— Ach, mój Boże, nic prostszego: żyjesz w swoim majątku i wydaje się, że jesteś szczęśliwy w tej swojej pozłacanej przeciętności. Portos ma, być może, jakieś pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy liwrów dochodu, Aramis stale z piętnaście księżniczek, które dobijają się o prałata, jak dobijały się o muszkietera; to jeszcze wciąż dziecię pieszczone przez los. Ale ja, cóż ja robię na tym świecie? Od dwudziestu lat dźwigam na sobie pancerz i kaftan bawoli, przykuty do mej niskiej rangi, nie awansując, nie cofając się, nie żyjąc. Jednym słowem — trup! A kiedy chodzi o przywrócenie mnie choć w części do życia, powiadacie mi wszyscy: “To bałwan! To łajdak! Cham! Zły pan!” Dalibóg, jestem tego samego zdania, ale znajdźcie mi lepszego albo wyznaczcie mi rentę.

Atos pomyślał parę sekund i w czasie tych paru sekund zrozumiał podstęp d'Artagnana, który na początku zbyt się zagalopował, a teraz, chcąc ukryć swą grę, wycofywał się. Widział jasno, że postawione mu propozycje były realne i zostałyby w pełni rozwinięte, gdyby ich tylko zechciał posłuchać.

Tak — powiedział sobie w duchu — d'Artagnan jest człowiekiem Mazariniego.

I od tej chwili pilnował się na każdym kroku.

D'Artagnan zaś grał ostrożniej niż zazwyczaj.

— Ale ostatecznie posiadasz przecież jakiś pogląd? — ciągnął Atos.

— Oczywiście. Pragnąłem zasięgnąć rady u was wszystkich i obmyślić sposób, aby czegoś dokonać, gdyż jedni bez drugich będziemy zawsze tylko częścią całości.

— To prawda. Wspominałeś Portosa. Nakłoniłeś go więc do szukania fortuny? Przecież ją posiada.

— Niewątpliwie, lecz człowiek jest już taki, że zawsze czegoś pragnie.

— A czegoż to pragnie Portos?

— Zostać baronem.

— Ach, prawda, zapomniałem — i Atos roześmiał się.

Prawda? — myślał d'Artagnan. — Skąd on się o tym dowiedział? Czyżby się porozumiewał z Aramisem? Ach! Żebym to mógł wiedzieć, wiedziałbym wszystko.

Na tym skończyła się rozmowa, ponieważ w tejże właśnie chwili wszedł Raul. Atos chciał go łagodnie złać, ale młodzieniec był tak przybity, że nie miał odwagi tego uczynić; powstrzymał się więc, by zapytać o nowiny.

— Czyżby nasza mała sąsiadka czuła się gorzej? — zagadnął d'Artagnan.

— Ach, panie — podjął Raul prawie dławiąc się bólem — to ciężki upadek i mimo że nie ma widocznego zniekształcenia, lekarz obawia się, że pozostanie chroma na całe życie.

— To byłoby straszne — rzekł Atos.

— D'Artagnan miał już na ustach jakiś żart, lecz widząc przejęcie Atosa, powstrzymał się.

— A do najgorszej rozpaczy, panie — podjął Raul — doprowadza mnie to, że ja jestem sprawcą tego nieszczęścia.

— W jakim sposobie, Raulu? — spytał Atos.

— Ależ niewątpliwie. Czyż nie skoczyła z tego stosu drzewa, aby podbiec do mnie?

— Jedyne wyjście, jakie ci pozostaje, mój drogi Raulu, to za pokutę

poślubić ją — rzekł d'Artagnan.

— Ach, panie, stroi pan sobie żarty z prawdziwego bólu. To nieładnie tak.

I Raul, który odczuwał potrzebę samotności, aby się do woli wypłakać, udał się do swego pokoju, skąd wyszedł dopiero na śniadanie.

Poranny spór nie zakłócił harmonii, w jakiej żyli dwaj przyjaciele. Śniadali więc z najlepszym apetytem, spoglądając od czasu do czasu np. biednego Raula, który strapiony, z oczami we łzach, ledwie co jadł.

Pod koniec śniadania nadeszły dwa listy, które Atos przeczytał z najwyższą uwagą i mimo woli kilka razy zadrzał. D'Artagnan, który z drugiego końca stołu obserwował go czytającego, a wzrok posiadał doskonały, przysięgłby, że rozpoznaje z całą pewnością drobne pismo Aramisa. Co się tyczy drugiego listu, było to pismo kobiece, rozwlekłe i niewyraźne.

— Chodźmy — rzekł d'Artagnan do Raula, widząc, że Atos pragnie pozostać sam, bądź by odpowiedzieć na owe listy, bądź też zastanowić się nad nimi — chodźmy na jedną turę do sali szermierczej, to cię rozerwie.

Młodzieniec spojrział na Atosa, który odpowiedział mu przyzwalającym skinieniem.

Przeszli więc obaj do niskiej sali, gdzie wisały florety, maski, rękawice, plastrony i wszelki sprzęt do szermierki.

— No i jak? — zapytał Atos przybywając w kwadrans później.

— To już całkiem twoja ręka, drogi Atosie — odrzekł d'Artagnan — i gdyby miał jeszcze twoją zimną krew, nie pozostałoby mi nic innego, jak tylko mu wieszować...

Młodzieniec był nieco zawstydzony. Na jedno jego trafienie w ramię bądź w udo, d'Artagnan trafiał go ze dwadzieścia razy w sam tułów.

W tejże chwili wszedł Charlot z pilnym pismem przyniesionym właśnie przez posłańca dla d'Artagnana.

Teraz z kolei Atos spoglądał ukradkiem.

D'Artagnan przeczytał list bez jakiegokolwiek widocznego wzruszenia, a

po przeczytaniu ozwał się, lekko potrząsając głową:

— Widzisz, drogi przyjacielu, co to jest służba: masz, na honor, dużo racji nie chcąc do niej powrócić. Pan de Treville zachorował i kompania nie może się obyć beze mnie. Tak oto przepadł mój urlop.

— Powracasz do Paryża? — zapytał żywo Atos.

— No oczywiście — odrzekł d'Artagnan. — A ty nie udajesz się tam przypadkiem?

Atos zarumienił się z lekka i odparł:

— Jeśli się tam udam, rad byłbym zobaczyć się z tobą.

— Hej, Wiórku! — zakrzyknął d'Artagnan od drzwi. — Wyruszamy za dziesięć minut; podrzuć koniom owsa.

Po czym dodał zwracając się do Atosa:

— Zdaje się, że mi czegoś tu brak, i jestem naprawdę zrozpaczony, że opuszczam was nie zobaczywszy się z tym poczciwiną Milczkiem.

— Milczek! — odparł Atos. — Ach, doprawdy? Ja także dziwiłem się, że nie zapytujesz, co z nim słyhać. Użyczyłem go jednemu z moich przyjaciół.

— A czy zrozumie on wymowę jego gestów? — spytał d'Artagnan.

— Mam nadzieję.

Dwaj przyjaciele serdecznie się ucałowali. D'Artagnan uścisnął dłoń Raula, wymógł na Atosie obietnicę, że go odwiedzi, jeśli przybędzie do Paryża, bądź że napisze, o ile by nie przyjechał; po czym dosiadł konia. Wiórek, zawsze w pogotowiu, był już na siodle.

D'Artagnan z uśmiechem zwrócił się do Raula:

— Nie wybierzesz się ze mną, przejeżdżam przez Blois?

Raul spojrzał na Atosa, który powstrzymał go niedostrzegalnym znakiem.

— Nie, panie — odrzekł młodzieniec — pozostanę przy panu hrabim.

— W takim razie żegnajcie mi, drodzy przyjaciele — rzekł d'Artagnan ściskając po raz ostatni ich dłonie — i niech was Bóg zachowa, jak to mówiliśmy sobie zawsze, kiedyśmy się rozstawali za czasów nieboszczyka

kardynała.

Atos skinął mu ręką, Raul skłonił się i d'Artagnan z Wiórkiem odjechali.

Hrabia odprowadził ich oczami, wsparłszy rękę na ramieniu młodzieńca, który wzrostem mu prawie dorównywał. Kiedy tylko znikli za murem, hrabia odezwał się:

— Raulu, dziś wieczór wyjeżdżamy do Paryża.

— Jak to? — spytał młody człowiek blednąc.

— Możesz pójść i pożegnać panią de Saint-Remy w moim i swoim imieniu. Będę cię oczekiwać o siódmej.

Młodzieniec skłonił się z wyrazem bólu pomieszanego z wdzięcznością i oddalił się siodłać konia.

D'Artagnan zaś, ledwie im zniknął z oczu, wydobyl z kieszeni list i odczytał go ponownie:

*Proszę natychmiast wracać do Paryża.*

*J.M.*

— Co za oschły list — zamruczał d'Artagnan — i gdyby nie było postscriptum, nic bym nie rozumiał. Ale na szczęście jest dopisek.

I przeczytał owe niezwykle postscriptum, które pozwoliło mu przejść do porządku dziennego nad oschłością listu.

*PS Proszę udać się do królewskiego podskarbiego w Blois, wyjawić mu swe nazwisko i pokazać ten list. Otrzyma pan dwieście pistoli.*

— Podoba mi się ta proza, nie ma co — rzekł d'Artagnan. — Kardynał pisze lepiej, niż przypuszczałem. Jedźmy, Wiórku, jedźmy złożyć wizytę podskarbiemu królewskiemu, a potem dalej.



— Do Paryża, panie?

— Do Paryża.

I puścili wierzchowce tęgim kłusem.

## 18. Książę de Beaufort

A oto, co zaszło i jakie przyczyny spowodowały konieczność powrotu d'Artagnana do Paryża.

Pewnego wieczoru, kiedy Mazarini jak zwykle udawał się do królowej, w porze, gdy wszyscy opuszczali jej komnaty, i kiedy przechodził obok sali straży, skąd drzwi prowadziły na jego przedpokoje, usłyszał stamtąd głośną rozmowę. Pragnąc dowiedzieć się, o czym żołnierze dysputują, podszedł cichaczem, jak to miał we zwyczaju, pchnął drzwi i przez szparę wetknął głowę.

Żołnierze zajęci byli ożywioną rozmową.

— A ja ci powiadam — powiedział jeden z nich — że jeśli Coysel to przepowiedział, rzecz jest tak pewna, jakby się już wydarzyła. Nie znam go, ale słyszałem, że to nie tylko astrolog, ale i czarnoksiężnik.

— Do kroćset, jeśli to twój przyjaciel, miej się na baczności! Oddajesz mu złą przysługę.

— Dlaczegoż to?

— Bo mogliby mu jak nic wytoczyć proces.

— E, gadasz, dziś nie palą już czarowników.

— O nie. Przecież nie tak dawno, jak mi się zdaje, nieboszczyk kardynał kazał spalić Urbana Grandier. Wiem coś o tym. Trzymałem straż przy stosie i widziałem, jak się piekł.

— Mój drogi, Urban Grandier nie był czarownikiem, był to uczony, a to już całkiem inna sprawa. Urban Grandier nie przepowiadał przyszłości. On znał przeszłość, co jest nieraz o wiele gorsze.

Mazarini skinął głową na znak, że podziela to zdanie; pragnąc jednak poznać przepowiednię, o której rozprawiano, pozostał na swoim miejscu.

— Ja tam nie twierdzę — podjął żołnierz — że Coysel nie jest

czarownikiem, ale powiadam, że jeśli ogłasza on swoją przepowiednię zawczasu, to już wystarczy, żeby się nie spełniła.

— A dlaczegoż to?

— No pewnie. Bo jeśli ze sobą walczymy i ja ci powiem: “Teraz zadam sztych albo sekundę”, to oczywista cios ten odparujesz. Więc jeżeli ten Coysel powiada na cały głos, żeby go kardynał mógł usłyszeć: “Nim taki to a taki dzień upłynie, więzień ucieknie”, to jasne, że kardynał przedsięweźmie takie środki ostrożności, że więzień nie ucieknie.

— Ech, mój Boże — wtrącił inny, który zdawał się spać na ławce, a mimo to nie stracił ani jednego słowa z rozmowy — ech, czy sądzicie, że ludzie mogą ująć swemu przeznaczeniu? Jeśli zapisane jest w górze, że diuk de Beaufort ma uciec, wszystkie ostrożności kardynała nie zdadzą się na nic.

Mazariniego przeszły ciarki. Był Włochem, to znaczy był przesądny. Błyskawicznie znalazł się pośrodku żołnierzy, którzy zoczywszy go, przzerwali rozmowę.

— O czym to rozprawialiście, panowie? — ozwał się swym przymilnym tonem. — Jak mi się zdaje, była mowa o ucieczce księcia de Beaufort?

— Ależ nie, wasza eminencjo — odezwał się żołnierz niedowiarek. — Na razie ani się śni. Powiadali tylko, że ma dopiero uciec.

— A któż to mówił?

— Powtórz no tę twoją historię, Saint-Laurent — rzekł żołnierz zwracając się do tego, który wpierw opowiadał.

— Wasza eminencjo, opowiadałem tu po prostu, co sam słyszałem o przepowiedni niejakiego Coysel, który utrzymuje, że chociaż pan de Beaufort jest dobrze strzeżony, to i tak ucieknie przed Zielonymi Świątkami.

— A ten Coysel to jakiś marzyciel czy szalony? — podjął kardynał ciągle się uśmiechając.

— Wcale nie — odparł uparcie łatwowierny żołnierz — przepowiedział on wiele rzeczy, które się sprawdziły: na przykład, że królowa powije syna, że pan

de Coligny zostanie zabity w pojedynku z diukiem de Guise, wreszcie że koadiutor zostanie mianowany kardynałem. No i królowa powiła nie jednego syna, ale po dwóch latach jeszcze drugiego, a pan de Coligny został zabity.

— Tak — odezwał się Mazarini — ale koadiutor nie został jeszcze kardynałem.

— Nie, wasza eminencjo, ale zostanie.

Mazarini się skrzywił, co miało znaczyć: “Nie mów hop, póki nie przeskoczysz”. Następnie dorzucił:

— Zatem, przyjacielu, jesteś zdania, że pan de Beaufort ucieknie na pewno?

— Jestem o tym tak przekonany, monsignore — odparł żołnierz — że gdyby mi wasza eminencja ofiarował w tej chwili miejsce pana de Chavigny, to znaczy miejsce gubernatora zamku Vincennes, nie przyjąłbym go. Co innego nazajutrz po Zielonych Świątkach.

Nic bardziej przekonywającego nad silne przekonanie — ma ono wpływ nawet na niedowiarków; Mazarini zaś, daleki od niedowiarstwa, jak to już powiedzieliśmy, był przesądny. Odszedł głęboko zamyślony.

— Sknera! — rzucił żołnierz wsparty o ścianę. — Widziałeś, Saint-Laurent, jak udawał, że nie wierzy w twego czarnoksiężnika, byleby ci tylko nic nie dać; ale nie będzie miał spokoju, póki nie wyciągnie jakiegoś profitu z twojej przepowiedni.

Istotnie, Mazarini zamiast iść dalej na pokoje królowej zawrócił do swego gabinetu, wezwał Bernouina i wydał polecenie, aby nazajutrz skoro świt posłać po chorążego, którego był przydzielił do osoby księcia de Beaufort, i aby go natychmiast obudzono, gdy wezwany przybędzie.

Żołnierz, nie domyślając się nawet, dotknął najboleśniej rany kardynała. Od pięciu lat, odkąd książę de Beaufort znajdował się w zamknięciu, nie było dnia, by Mazarini nie pomyślał, że wcześniej czy później więzień wyjdzie na wolność. Nie można było przecież trzymać wnuka Henryka IV przez

całe życie w więzieniu, tym bardziej że ów wnuk miał zaledwie trzydzieści lat. A w jakikolwiek sposób wyjdzie on z więzienia, ileż nienawiści musiało się w nim w czasie zamknięcia nagromadzić przeciw temu, z przyczyny którego tam się dostał. Mazarini uwięził go jako człowieka bogatego, dzielnego, sławnego, kochanka kobiet, postrach mężczyzn, żeby wymazać z jego życia najpiękniejsze lata; przebywanie bowiem w więzieniu to nie życie! Tymczasem więc Mazarini podwajał czujność w stosunku do księcia. Tylko że był w tym podobny do skapca z bajki, który nie mógł usnąć przy swoim skarbie. Wieleż to razy zrywał się, śniąc, że mu wykradzono księcia de Beaufort. Zasięgał więc o nim informacji i za każdym razem, kiedy to czynił, słyszał z bólem, że więzień gra, pije, śpiewa, co było czymś niezwykłym; ale zawsze, ilekroć gra, pije czy śpiewa, przerywa nagle zabawę i zaklina się, że Mazarini drogo zapłaci mu za te wszystkie przyjemności, które musi urządzać sobie w Vincennes.

Podobne myśli bardzo trapiły ministra w czasie snu. Toteż kiedy o siódmej rano do pokoju wszedł Bernouin budzić go, pierwszym słowem kardynała było:

— I cóż tam? Czy może książe de Beaufort uciekł z Vincennes?

— Nie sędzę, monsignore — odrzekł Bernouin, którego nigdy nie opuszczał urzędowy spokój. — W każdym razie wasza eminencja będzie miał wiadomości, ponieważ chorąży La Ramee, po którego dziś rano posyłano do Vincennes, jest tutaj i oczekuje na rozkazy.

— Niech wejdzie! — I Mazarini jął gładzić poduszki, aby móc przyjąć przybyłego siedząc w łóżku.

Oficer wszedł. Był to wysoki i gruby mężczyzna, pucołowaty, o przyjemnej powierzchowności. Postawa jego wyrażała spokój, co zaniepokoiło Mazariniego.

— Ten hultaj wygląda na zupełnie głupiego — zamruczał do siebie. Chorąży stał w milczeniu przy drzwiach.

— Proszę bliżej — odezwał się Mazarini.

Chorąży wykonał rozkaz.

— Czy pan wie, co tu opowiadają? — ciągnął kardynał.

— Nie, eminencjo.

— A więc mówią, że książe de Beaufort ma uciec z więzienia, o ile już tego nie uczynił.

Na twarzy oficera odbił się wyraz najgłębszego zdumienia. Otworzył jednocześnie małe oczki i wielkie usta, aby łatwiej przełknąć dowcip; którym zaszczyił go jego eminencja. Po czym, nie mogąc dłużej zachować powagi na samą myśl o czymś podobnym, wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak serdecznie, że jego grube członki wstrząsał jakiś paroksyzm wesołości niby gwałtowna gorączka.

Mazarini zachwycony był tym nieopanowanym wybuchem, jednakże nadal zachowywał powagę.

Kiedy La Ramee wyśmiał się już do woli i otarł sobie oczy, uznał, że nadszedł moment, aby przemówić i wytłumaczyć całą niestosowność swej wesołości.

— Uciec, monsignore — powiedział — uciec. Czyżby wasza eminencja nie zdawał sobie sprawy, gdzie książe de Beaufort się znajduje?

— Ma się rozumieć, panie oficerze, wiem: w wieży zamku Vincennes.

— Tak, monsignore, w izbie, gdzie mury mają siedem stóp grubości, a okna kratę, której każdy pręt jest jak ramię.

— Panie oficerze, cierpliwością przebija się wszelakie mury, a sprężyną zegarka przepiłowuje sztaby żelazne.

— Lecz wasza eminencja nie wie, że ma on przy sobie ośmiu strażników: czterech w przedpokoju i czterech w izbie, i że strażnicy ci nie opuszczają go ani na chwilę.

— Jednak wychodzi on ze swej izby, gra w kręgle i w piłkę.

— Są to, monsignore, rozrywki dozwolone więźniom. Ale jeśli wasza eminencja życzy sobie, możemy je skasować.

— O nie, nie! — Mazarini żywił obawy, żeby jego więzień, pozbawiony

tych przyjemności, nie wyszedł, po zwolnieniu go z Vincennes, jeszcze bardziej rozjątrzony przeciw niemu. — Pytam tylko, z kim grywa.

— Gra z oficerem straży albo ze mną, bądź też z innymi więźniami.

— A czy w czasie gry nie zbliża się nazbyt do murów?

— Monsignore, czyż wasza eminencja nie zna wcale tych murów? Toż liczą one pięćdziesiąt stóp wysokości i wątpię, aby książę de Beaufort był już tak zmęczony życiem, by ryzykować złamanie karku skacząc ze szczytu w dół.

— Hm. — Kardynał zaczął się uspokajać. — Tak więc powiadasz, panie La Ramee...

— Jeśli książę de Beaufort nie znajdzie sposobu, ażeby zamienić się w ptaka, to ja odpowiadam za niego.

— Ostrożnie, ostrożnie, zbyt waść galopujesz — podjął Mazarini. — Pan de Beaufort powiedział kiedyś eskortującym go do Vincennes żołnierzom, że często rozmyślał o ewentualnym uwięzieniu go i że w takim wypadku znajdzie czterdzieści sposobów wydostania się z więzienia.

— Monsignore, gdyby wśród owych czterdziestu sposobów miał choć jeden do rzeczy — odparł La Ramee — byłby już od dawna poza więzieniem.

— No, no — zamruczał Mazarini — nie taki on głupi, jak myślałem.

— Zresztą jego eminencja zapomina, że pan de Chavigny jest gubernatorem Vincennes — ciągnął La Ramee — oraz że pan de Chavigny nie należy do przyjaciół księcia de Beaufort.

— Tak, tak, ale pan de Chavigny wyjeżdża czasami.

— Kiedy on wyjeżdża, pozostaję tam ja.

— A kiedy waść wyjeżdżasz?

— O, kiedy ja wyjeżdżam, zastępuje mnie pewien zuch, który ma chęć zostać chorążym jego królewskiej mości i który, zapewniam waszą eminencję, dobrze więźnia pilnuje. W ciągu trzech tygodni, odkąd go przyjąłem na służbę, jedyne, co miałem mu do zarzucenia, to tylko to, że był zbyt twardy dla uwięzionego.

— A któż to jest ten cerber? — zapytał kardynał.

— Niejaki pan Milczek, monsignore.

— A co on robił przedtem, zanim przyszedł do was, do Vincennes?

— Żył sobie poza Paryżem, jak mi powiedział, ten który go polecał. Na skutek swej zapalczywości dopuścił się tam jakiejś, nie mam pojęcia jakiej, paskudnej rzeczy. Ale sądzę, że nie pogniewałby się, gdyby mundur królewski zapewnił mu bezkarność.

— A któż to taki wam go polecił?

— Intendent diuka de Grammont.

— I, pańskim zdaniem, można mu zaufać?

— Jak mnie samemu.

— Czy nie gada za wiele?

— Jezu Chryste! monsignore, przez dłuższy czas sądziłem, że to niemowa, albowiem mówi i odpowiada tylko gestami. Zdaje się, że tak go wymusztrował jego dawny pan.

— Dobrze, powiedz mu więc, drogi panie La Ramee — podjął kardynał — że jeśli będzie pełnił straż dobrze i wiernie, przymkniemy oko na jego wybryki na prowincji, włożymy mu na grzbiet mundur, który będzie budził dlań respekt, a w kieszeń kilka pistoletów, ażeby wypił za zdrowie króla.

Mazarini był bardzo hojny w obietnicach; stanowił kontrast z owym poczciwym Milczkiem, którego tak wychwalał La Ramee: tamten mówił mało, za to działał wiele.

Kardynał zasypał jeszcze pana La Ramee mnóstwem pytań na temat więźnia: jak jest żywiony, jak mieszka, jak sypia. La Ramee odpowiedział na wszystko w sposób tak zadowalający, że Mazarini odprawił go niemal zupełnie uspokojony.

Po czym, ponieważ była już dziewiąta rano, wstał, uperfumował się, ubrał i udał do królowej, aby ją objaśnić o przyczynach, które go zatrzymały. Królowa, która nie mniej od kardynała bała się księcia de Beaufort i była niemal tak samo



zabobonna, kazała sobie powtarzać słowo w słowo wszystkie obietnice La Ramee i wszystkie pochwały, jakimi obsypał swego zastępcę. A kiedy kardynał skończył, rzekła półgłosem:

— Szkoda, panie, że nie mamy takiego Milczka przy każdym księciu.

— Cierpliwości — odparł Mazarini ze swym włoskim uśmiechem — może pewnego dnia dojdzie i do tego. Na razie jednak...

— Co na razie?

— Powezmę jeszcze pewne środki ostrożności.

I dlatego napisał do d'Artagnana, aby powracał co rychlej.

## 19. Który opowiada, czym zabawiał się książę de Beaufort w więzicy zamku Vincennes

Więzień, który napędzał tyle strachu kardynałowi i którego czterdzieści sposobów ucieczki mąciło spokój całego dworu, nie spodziewał się nawet, że z jego przyczyny odczuwano taką trwogę w Palais-Royal.

Uważał, że jest strzeżony tak wspaniale, iż wszelkie tego rodzaju usiłowania są bezpożyteczne; cała jego zemsta sprowadzała się do rzucania pewnej liczby złorzeczeń i obelg pod adresem Mazariniego. Próbował nawet układać kuplety, ale szybko tego poniechał. Książę de Beaufort bowiem nie tylko nie otrzymał od niebios daru układania wierszy, ale i w prozie wypowiadał się zazwyczaj z najwyższą trudnością. Blot, piosenkarz owych czasów, tak o nim pisał:

*W bitwie podobien srogiej burzy,  
Więc słusznie wszyscy go się boją.  
Lecz gdy konceptem tylko ruszy,  
Wszyscy zeń dudka sobie stroją.*

*Gaston, chcąc palnąć jakąś mowę.  
Nawet nie myślał, co to trema.  
Czemuż Beaufort ubogi słowem,  
A krzepy w ręku Gaston nie ma?*

Teraz już jasne dla każdego, że uwięziony ograniczał się do obelg i złorzeczeń.

Książę de Beaufort był wnukiem Henryka IV i Gabrieli d'Estrees. Był on równie dobry, równie dzielny, równie dumny, a nade wszystko równie gaskoński jak jego przodek, tylko że o wiele mniej wykształcony. W okresie kiedy umierał Ludwik XIII, był faworytem, człowiekiem zaufanym, wreszcie pierwszym na dworze, jednak pewnego dnia musiał ustąpić miejsca Mazariniemu i zejść na drugi plan. A nazajutrz, jako że miał nieszczęście oburzać się na ową zmianę i nierozważnie wyrażać swe uczucia na głos, królowa kazała go aresztować i odprowadzić do Vincennes panu Guitaut, temu samemu, którego spotkaliśmy na początku naszej historii i z którym będziemy mieli sposobność zetknąć się jeszcze później. Oczywiście, kiedy się mówi: królowa, rozumie się: Mazarini. W ten sposób pozbyto się osoby księcia de Beaufort i jego pretensji, a nawet przestano się już z nim liczyć mimo jego popularności. Zamieszkiwał on od pięciu lat nie bardzo królewską izbę w wieżycy zamku Vincennes.

Cały ten okres, który pozwoliłby ustalić się zapatrywaniom każdego prócz księcia de Beaufort, przetoczył się nad jego głową nie dokonując w niej żadnej zmiany. Każdy inny rozważyłby w rezultacie, że gdyby nie stawił czoła kardynałowi, gdyby nie pogardzał był książętami i nie szedł sam, bez innych towarzyszy prócz kilku melancholików o wyglądzie marzycieli, jak mawiał o nich kardynał de Retz, to byłby w ciągu pięciu lat odzyskał wolność albo też znalazł obrońców. Rozważania tego rodzaju prawdopodobnie nie zaświtały nawet w umyśle księcia, natomiast długoletnie zamknięcie w więzieniu utwierdzało go dalej w buncie. Toteż kardynał codziennie otrzymywał o nim wiadomości w najwyższym stopniu nieprzyjemne dla siebie.

Książę de Beaufort, doznawszy niepowodzeń w poezji, próbował malarstwa. Kreślił węglem rysy twarzy kardynała, a kiedy jego dość mierne zdolności w tym kunszcie nie pozwalały mu osiągnąć wielkiego podobieństwa, dla rozproszenia wątpliwości co do portretowanego pierwowzoru podpisywał

pod spodem: *Ritratto dell' illustrissimo facchino Mazarini*<sup>36</sup>. Pan de Chavigny, zawiadomiony o tym, złożył księciu wizytę i prosił, aby oddawał się innym rozrywkom lub przynajmniej robił portrety bez podpisów. Nazajutrz izba zapełniła się podpisami i portretami. Książę de Beaufort, podobnie zresztą jak wszyscy więźniowie, przypominał dziecko, które upiera się przy tym, co jest mu wzbronione.

Pan de Chavigny powiadomiony został, że ilość profili wzrosła. Książę de Beaufort bowiem, niezbyt pewny swych umiejętności, nie ryzykował malowania głowy en face, tylko z profilu. Uczynił ze swej izby prawdziwą wystawę. Tym razem gubernator nie zareagował. Lecz pewnego dnia, kiedy książę grał w piłkę, kazał zmyć gąbką wszystkie rysunki i pomalować izbę wodną farbą.

Książę podziękował panu de Chavigny, że był tak łaskaw odnowić jego kartony. Teraz podzielił ściany izby na osobne pola i każde z nich poświęcił jednemu charakterystycznemu wydarzeniu z życia kardynała Mazariniego.

Pierwsze miało przedstawiać jaśnie, oświeconego łotra Mazariniego otrzymującego porcję kijów od kardynała Bentivoglio, u którego był służącym.

Drugie — jaśnie oświeconego łotra Mazariniego grającego tytułową rolę w tragedii Ignacy Loyola.

Trzecie — jaśnie oświeconego łotra Mazariniego, jak kradnie tekę pierwszego ministra panu de Chavigny, który uważał, że już ją ma w garści.

Wreszcie czwarte — jaśnie oświeconego łotra Mazariniego, który odmawia lokajowi Ludwika XIV, Laportowi, prześcieradeł, mówiąc, że wystarczy je zmieniać królowi Francji raz na kwartał.

Miały to być wielkie kompozycje, które na pewno przekraczały skalę talentu więźnia. Toteż zadowolili się on naszkicowaniem ram i położeniem napisów.

Lecz ramy i napisy wystarczyły, aby wprowadzić pana de Chavigny w stan rozdrażnienia. Kazał więc uprzedzić księcia, że jeśli nie wyrzeknie się

---

36 *Ritratto dell' illustrissimo facchino Mazarini* (wł.) — portret jaśnie oświeconego łotra Mazariniego.

zaprojektowanych obrazów, odbierze mu wszystko potrzebne do ich wykonania. Książę odparł, że ponieważ odjęto mu szansę zdobycia sobie imienia w wojsku, chce to powetować, i nie mogąc być Bayardem czy Triwulcuszem, pragnie zostać Michałem Aniołem bądź Rafaelem<sup>37</sup>.

Pewnego dnia, kiedy książę de Beaufort przechadzał się po dziedzińcu, wyniesiono z jego izby ogień, z ogniem zaś węgiel, z węglem popiół, tak że po powrocie nie znalazł nic, z czego mógłby sobie sporządzić ołówek.

Książę klął, wrzeszczał, ryczał, mówił, że chcą, by umarł z zimna i wilgoci, jak to się stało z Puylaurenssem, marszałkiem Ornano oraz wielkim opatem de Vendôme. Na to pan de Chavigny odparł, że jeśli książę da słowo, iż wyrzeka się rysowania, i obieca nie robić więcej obrazów historycznych, drzewo i wszystko potrzebne do rozpalenia ognia zostanie mu zwrócone. Książę de Beaufort odmówił i pozostał przez całą resztę zimy bez ognia.

Co więcej, gdy pewnego razu więzień wyszedł, wydrapano napisy. Izba była znów biała i goła, bez najmniejszego śladu fresku.

Wówczas książę zakupił od jednego ze swych dozorców psa imieniem Pistache, ponieważ żadne przepisy nie zabraniały tego więźniowi. Odtąd całymi godzinami pozostawał w zamknięciu ze swym psem. Trafnie domyślano się, że więzień zajmował się w tym czasie tresurą Pistache'a, nie wiedziano tylko, czego go uczy. Pewnego dnia, kiedy Pistache był już dostatecznie wytresowany, książę de Beaufort zaprosił pana de Chavigny i oficerów Vincennes na wielki pokaz w swojej izbie. Zaproszeni przybyli. Izbę oświetlało tyle świec, w ile tylko książę mógł się zaopatrzyć. Rozpoczął się pokaz.

Więzień za pomocą kawałka gipsu wydłubanego ze ściany nakreślił przez środek izby długą białą linię przedstawiającą sznur. Pistache na pierwszy rozkaz swego pana znalazł się na tej linii, stanął na tylnych łapach, w przednich trzymając pałeczkę do trzepania ubrań, i jął posuwać się wzdłuż, gnąc się i

---

<sup>37</sup> Piotr Bayard (1473—1524) słynny z męstwa i prawego charakteru rycerz francuski. Jan Jakub Triwulcusz (właśc. Trivulzio — 1441—1518) — Włoch z pochodzenia, marszałek Francji. Michał Anioł Buonarroti (1475—1564) i Rafael Santi (1483—1520) — wielcy malarze włoscy.

chwiejąc jak prawdziwy linoskoczek. Następnie, przebywszy całą długość linii dwa lub trzy razy tam i z powrotem, oddał pałeczkę panu de Beaufort i rozpoczął na nowo te same ewolucje już bez balansu.

Inteligentne zwierzę obdarzono burzą oklasków.

Widowisko podzielone było na trzy części; po ukończeniu pierwszej rozpoczęła się druga.

Najpierw pies miał odpowiedzieć na pytanie, która godzina. Pan de Chavigny pokazał Pistache'owi swój zegarek. Było wpół do siódmej. Pistache podniósł łapę i opuścił ją sześć razy, a za siódmym łapa zawisła w powietrzu. Trudno było o wyraźniejszą odpowiedź, nawet zegar słoneczny nie odpowiedziałby lepiej. Jak wiadomo, zegar słoneczny ma tę słabą stronę, że określa godziny tylko wówczas, kiedy świeci słońce.

W następnym numerze chodziło o rozpoznanie wśród zebranych najlepszego dozorca więziennego całej Francji.

Pies obszedł trzy razy wokoło i położył się u stóp pana de Chavigny z oznakami najgłębszej czci.

Pan de Chavigny udawał, że żart ten jest zachwycający, i uśmiechnął się półgębkiem. Kiedy przestał się uśmiechać, zagryzł wargę i zmarszczył brew.

Wreszcie książę de Beaufort postawił Pistache'owi pytanie trudne do rozwiązania: kogo uważa za największego w świecie złodzieja?

Tymczasem Pistache zatoczył koło po izbie i nie zatrzymując się przed nikim, podbiegł do drzwi drapiąc w nie i skomlać.

— Patrzcie, panowie — rzekł książę — co za interesujące stworzenie. Nie znalazłszy tutaj tego, o kogo zapytywałem, idzie go szukać na zewnątrz. Ale bądźcie spokojni, pytanie nie pozostanie bez odpowiedzi. Pistache, przyjacielu — ciągnął diuk — chodź no, piesku, tutaj. — Pies posłusznie przybiegł. — Powiedz no, czy największym złodziejem znanym światu jest sekretarz królewski pan Le Camus, który przybył do Paryża z dwudziestoma liwrami, a obecnie posiada dziesięć milionów?

Pies zaprzeczył potrząsając łbem.

— A może — ciągnął książę — generalny intendent pan d'Emery, który dał swemu synowi, panu Thore, z okazji jego małżeństwa, trzysta tysięcy liwrów renty i pałac, wobec którego Tuileries są rudera, a Luwr chałupą?

Pies znowu zaprzeczył, potrząsając łbem.

— To jeszcze nie on — podjął książę. — No więc szukajmy; a może przypadkiem jaśnie oświecony łotr Mazarini di Piscina, co?

Pies rozpaczliwie potakiwał, podnosząc i opuszczając łeb osiem czy dziewięć z rzędu.

— Teraz sami, panowie, widzicie — zwrócił się książę do widzów, którzy tym razem nie mieli nawet odwagi uśmiechnąć się — że największym złodziejem na świecie jest jaśnie oświecony łotr Mazarini di Piscina.

Przynajmniej tak utrzymuje Pistache. A teraz przejdźmy do innej próby.

— Panowie — ciągnął diuk de Beaufort, korzystając z wielkiej ciszy, jaka zapanowała w związku z trzecim numerem wieczoru. — Przypominacie sobie zapewne, jak to diuk de Guise nauczył był wszystkie psy paryskie skakać na cześć panny de Pons, którą ogłosił za najpiękniejszą z pięknych. Lecz nie było to nic nadzwyczajnego, moi panowie, gdyż zwierzęta te były posłuszne zupełnie machinalnie, nie umiejac rozluźnić (książę chciał powiedzieć: rozróżnić) panien, na cześć których miały skakać, od tych, na cześć których skakać nie miały. Pistache pokaże wam, podobnie jak i panu gubernatorowi, że daleko przewyższa swoich współbraci psiego rodu. Panie de Chavigny, bądź pan łaskaw użyć mi swej laski.

Pan de Chavigny użył księciu de Beaufort laski.

Diuk uniósł ją poziomo na wysokość stopy.

— Pistache, przyjacielu — powiedział — zrób mi tę przyjemność i skocz na cześć pani de Montbazon.

Wszyscy zaczęli się śmiać; wiadomo bowiem było, że w chwili aresztowania książę był zdeklarowanym kochankiem pani de Montbazon.

Pistache nie wzbraniał się i radośnie przeskoczył laskę.

— Wydaje mi się — odezwał się pan de Chavigny — że Pistache wykonał to samo, co robili jego współpracownicy, kiedy skakali na cześć panny de Pons.

— Zaraz, zaraz — odrzekł książę. — Pistache, przyjacielu, skocz na cześć królowej.

I podniósł laskę o sześć cali.

Pies skoczył przez laskę z całym szacunkiem.

— Pistache, przyjacielu — ciągnął diuk podnosząc laskę jeszcze o sześć cali — teraz skocz za króla.

Pies wziął rozpęd i pomimo wysokości lekko przeskoczył.

— A teraz uwaga — podjął diuk zniżając laskę prawie do podłogi. — Pistache, przyjacielu, skocz za jaśnie oświeconego łotra Mazariniego di Piscina.

Pies odwrócił się do laski tyłem.

— Co to ma znaczyć? — rzekł książę de Beaufort zakreślając półkole od ogona do głowy zwierzęcia i podsuwając mu znowu laskę. — No, skacz, panie Pistache!

Ale Pistache, podobnie jak za pierwszym razem, zrobił półobrót i wypiął zadek na laskę.

Książę wykonał tę samą ewolucję i powtórzył żądanie, ale tym razem cierpliwość Pistache'a wyczerpała się: rzucił się z wściekłością na laskę, wyrwał ją z rąk księcia i zmiażdżył w zębach.

Diuk wyjął mu z pyska dwa kawałki i z całą powagą zwrócił panu de Chavigny, mocno się ekskuzując. Jednocześnie oznajmił, że popis są skończone. Gdyby jednak życzył sobie być przytomnym następnemu pokazowi za trzy miesiące, Pistache nauczyłby się nowych sztuczek.

W trzy dni później Pistache został otruty.

Szukano winnego, ale jak można się było spodziewać, winowajca pozostał nieznanym. Książę kazał wznieść psu grobowiec z następującym epitafium:

*Tu spoczywa Pistache, jeden z najinteligentniejszych psów,*



*jakie kiedykolwiek istniały.*

Cóż można było rzec na taką pochwałę; pan de Chavigny nie był w stanie tego zabronić.

Ale ksiązę oświadczył wówczas głośno, że na jego psie wypróbowany został jakiś środek, który przeznaczony był dla niego, i pewnego dnia po obiedzie rzucił się na łóżko z krzykiem, że ma kolkę i został otruty przez Mazariniego.

Ten nowy szelmowski figiel doszedł do uszu kardynała i przeraził go wielce. Wieża w Vincennes uchodziła za bardzo niezdrową. Pani de Rambouillet powiedziała kiedyś, że izba, w której umarli Puylaurens, marszałek Ornano i wielki opat Vendôme, “jest na wagę arszeniku”; powiedzenie to zrobiło wielką karierę. Mazarini rozkazał więc, aby uwięziony nie brał do ust wina czy mięsa, zanim nie zostaną wypróbowane. W tym też celu przydzielono księciu La Ramee.

Pomimo wszystko pan de Chavigny nie przebaczył bynajmniej diukowi impertynencji, za które był już odcierpiał niewinny Pistache. Pan de Chavigny był kreaturą nieboszczyka kardynała; opowiadano nawet, że był jego synem. Musiał tedy znać się nieco na tyranizowaniu. Jął więc odpłacać księciu de Beaufort za jego zaczepki. Zabrał mu wszystkie pozostawione dotąd żelazne noże i srebrne widelce, kazać w zamian dać noże srebrne, a widelce drewniane; kiedy zaś ksiązę się poskarżył, pan de Chavigny kazał mu odpowiedzieć: “Dowiedziałem się, że kardynał oświadczył pani de Vendôme, matce księcia, iż syn jej zostanie w więzicy Vincennes na całe życie. Obawiam się więc, by na tę katastrofalną wiadomość więzień nie usiłował popełnić samobójstwa”. W piętnaście dni później ksiązę natknął się na drodze prowadzącej do miejsca gry w piłkę na dwa rzędy sadzonek wielkości małego palca. Zapytał, co to ma znaczyć. Odpowiedziano mu, że są to drzewa, które mają mu kiedyś zapewnić cień. Wreszcie pewnego ranka przyszedł doń ogrodnik i pod pozorem

przypodobania mu się, doniósł, że mają założyć dla księcia kwatery na szparagi. Otóż powszechnie wiadomo, że szparagi, które dziś potrzebują czterech lat na wyhodowanie, w owych czasach, kiedy ogrodnictwo stało znacznie niżej, wschodziły w ciągu pięciu lat. Grzeczności te rozwścieczyły księcia.

Wówczas pomyślał, że nadszedł czas odwołania się do jednego ze swoich czterdziestu sposobów i popróbował naprzód najprostszego, to jest przekupienia La Ramee. Ale La Ramee, który nabył stopień chorążego za kwotę tysiąca pięciuset talarów, był bardzo przywiązany do swej szarży. Toteż zamiast przystać na propozycję więźnia, pobiegł czym prędzej uprzedzić pana de Chavigny. Ten kazał natychmiast umieścić w pokoju księcia ośmiu ludzi, podwoił posterunki, potroił strażę. Od tej chwili książę chodził już tylko jak królowie w teatrze: czterej ludzie z przodu, czterej z tyłu, nie licząc idących za nimi podoficerów.

Z początku książę śmiał się z tych obostrzeń do rozpuku, były dlań bowiem rozrywką. Jak tylko nadarzyła się okazja, powtarzał: “To zabawne, to mnie rozrywa”. (Chciał on przez to powiedzieć: „To stanowi dla mnie rozrywkę”, ale jak wiadomo, nie zawsze mówił to, co chciał powiedzieć). Po czym dodawał: “Zresztą, jeśli będę chciał uniknąć tych wszystkich zaszczytów z waszej strony, mam jeszcze trzydzieści dziewięć innych sposobów”.

Wreszcie rozrywka ta znudziła go. Książę de Beaufort wytrzymał przez fanfaronadę sześć miesięcy. Ale na koniec, widząc ciągle ośmiu ludzi, którzy siadają, kiedy on siada, wstają, kiedy on wstaje, zatrzymują się, kiedy on się zatrzymuje, począł marszczyć brew i liczyć dni.

Nowe to prześladowanie wzmogło nienawiść księcia do Mazariniego. Od rana do wieczora klął, mówiąc wciąż tylko o obcięciu kardynałowi uszu. Mogło to przejąć dreszczem. Kardynał, który wiedział wszystko, co się działo w Vincennes, mimo woli naciągał biret aż po szyję.

Pewnego dnia książę zebrał dozorców i mimo swej przysłowiowej już trudności w wysławianiu się, wygłosił do nich następujące przemówienie, co

prawda z góry przygotowane:

— Panowie — zwrócił się do nich — czyż ścierpicie, aby wnuk dobrego króla Henryka IV był lżony i chamiony (chciał powiedzieć hańbiony). Do kroćset, jak powiadał mój dziad, wszak niemal rządziłem w Paryżu, nieprawdaż?! Przez cały jeden dzień opiekowałem się królem i jego bratem. Królowa mnie wtedy głaskała i nazywała najszlachetniejszym człowiekiem królestwa. Panowie mieszczenie, wyprowadźcie mnie stąd zaraz. Pójdę wprost do Luwru, skręcę kark Mazariniemu. Zostaniecie moją strażą przyboczną, zrobię was wszystkich oficerami, i to z dobrą gażą. Do kroćset, naprzód marsz!

Ale mimo całego patosu elokwencja wnuka Henryka IV nie wzruszyła tych ludzi o kamiennych sercach; ani jeden z nich nie drgnął. Widząc to książę de Beaufort powiedział im, że są łajdakami, i uznał ich za swych śmiertelnych wrogów.

Od czasu do czasu, gdy odwiedzał go pan de Chavigny, co miało miejsce dwa, trzy razy w tygodniu, diuk wykorzystywał te chwile, aby go zasypać pogroźkami.

— Co by pan zrobił, gdyby pewnego pięknego dnia zobaczył pan przychodzącą mnie uwolnić armię paryżan, naszpikowaną żelazem i najeżoną muszkietami.

— Wasza wysokość — odpowiedział pan de Chavigny, składając głęboki ukłon przed księciem — na wałach mam dwadzieścia armat, a w lochach trzydzieści tysięcy pocisków; zbombardowałbym ich, jakbym tylko najlepiej potrafił.

— Tak, ale gdyby pan już powystrzelał pańskie trzydzieści tysięcy pocisków, wzięliby wieżę, a z tą chwilą zmuszony byłbym pozwolić im pana powiesić, oczywiście ku memu wielkiemu żalowi.

Teraz z kolei książę złożył niezwykle uprzejmy ukłon przed panem de Chavigny.

— Aleja, wasza wysokość — podjął pan de Chavigny — z chwilą gdy

pierwszy buntownik przekroczyłby próg mych podwałochodów lub postawił stopę na mych wałach, byłbym zmuszony, ku memu wielkiemu strapieniu, zabić waszą wysokość własnoręcznie, zważywszy, że osoba waszej wysokości powierzona jest mojej szczególnej opiece i że winienem ją zwrócić żywą lub martwą.

I znów złożył ukłon przed księciem de Beaufort.

— Tak — ciągnął diuk. — Lecz ponieważ owi dzielni ludzie z pewnością nie przyszliby tu, nie powiesiwszy nieco wcześniej pana Giulio Mazariniego, wystrzegaliby się pan podnieść na mnie rękę i pozostawiłby mnie pan przy życiu, ze strachu, by nie być wleczonym przez Paryż czwórką koni, no nie? Co jest o wiele bardziej nieprzyjemne aniżeli być powieszonym, no nie?

I tak przez dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut odchodziły gorzkosłodkie żarty, kończące się zawsze jednakowo: Pan de Chavigny wołał zwracając się do drzwi:

— Hej, La Ramee!

La Ramee wchodził.

— La Ramee — mówił de Chavigny — polecam osobę księcia de Beaufort szczególnej pańskiej pieczy: proszę obchodzić się z nim ze wszystkimi względami należnymi urodzeniu i pozycji. Ale też z tego względu nie spuszczać go pan z oka ani na chwilę.

Po czym wycofywał się, składając księciu ukłon z ironiczną uprzejmością, co doprowadzało uwięzionego do białej gorączki.

Tak więc La Ramee stał się z konieczności współbiesiadnikiem księcia, jego wiecznym stróżem, cieniem jego ciała.

Ale trzeba przyznać, towarzystwo La Ramee, pełnego życia i wesołości, lojalnego współbiesiadnika, porządnego bibosza, zapalonego gracza w piłkę, zresztą poczciwca, posiadającego według księcia tylko jedną wadę, że nie dawał się przekupić — stało się dla uwięzionego raczej rozrywką aniżeli czymś nużącym.

Niestety, pan La Ramee nie odczuwał tego w ten sam sposób. I chociaż uważał sobie do pewnego stopnia za honor zamknięcie z tak ważnym więźniem, to jednak przyjemność poufalego współżycia z wnukiem Henryka IV nie równoważyła przeżyć, jakich mógł doznać, gdyby od czasu do czasu odwiedzał swoją rodzinę.

Można być jednocześnie doskonałym chorążym królewskim i dobrym ojcem i mężem. Otóż La Ramee uwielbiał żonę i dzieci, a mógł je widywać tylko jak przez mgłę z wysokości murów, kiedy przychodziły przechadzać się po drugiej stronie fosy, by mu nieść pociechę jako ojcu i małżonkowi. Oczywiście, było to dlań o wiele za mało. La Ramee, uważając, że jego wesołe usposobienie jest źródłem dobrego zdrowia, a nie rozważywszy nawet ewentualności, że może być przeciwnie, czuł, że nie wytrzyma dłużej podobnego trybu życia. Przekonanie to jęło się krzewić w jego umyśle dopiero, gdy stosunki między księciem a panem de Chavigny ulegały powoli coraz większemu zadrażnieniu. Nagle przestali się zupełnie widywać. La Ramee odczuł wówczas z jeszcze większą przykrością ciężącą na jego głowie odpowiedzialność. I dlatego to z wyłuszczonych wyżej powodów, szukał odciążenia; przyjął więc bardzo gorąco propozycję wzięcia sobie pomocnika, jaką uczynił mu był jego przyjaciel, intendent marszałka de Grammont. Powiadomił o tym natychmiast pana de Chavigny, który odparł, iż nie sprzeciwia się wcale, pod warunkiem jednak, że będzie to ktoś po jego myśli.

Uważamy za rzecz najzupełniej zbędną odtwarzać naszym czytelnikom fizyczny i duchowy portret Milczka. Jeśli, jak się spodziewamy, nie zapomnieli oni całkowicie pierwszej części tego dzieła, winni zachować dość wyraźne wspomnienie tej szacownej osoby, która w niczym się nie zmieniła, poza tym, że przybyło jej dwadzieścia lat. To uczyniło ją tylko bardziej małomówną i milczącą, mimo że od czasu zmiany, jaka w niej zaszła, Atos pozostawił jej całkowitą swobodę mówienia.

W tym właśnie czasie upływało dwanaście czy piętnaście lat, jak Milczek

przestał mówić, a nawyk dwunastu czy piętnastu lat staje się drugą naturą.

## 20. W którym Milczek obejmuje urządowanie

Milczek zaprezentował więc swoją korzystną powierzchowność w wieżycy Vincennes. Pan de Chavigny podbijał sobie bębenka, że ma nieomyłne oko. Świadczyłoby to, że był naprawdę synem kardynała de Richelieu, który podobnie twierdził wciąż to samo o sobie. Poddał więc kandydata badaniu i założył z góry, że zrosnięte brwi, wąskie wargi, zakrzywiony nos i wystające kości policzkowe Milczka są doskonałymi wskaźnikami. Skierował doń zaledwie dwanaście słów, na które Milczek odpowiedział czterema.

— Oto dystyngowany kawaler, zaraz go tak oceniłem — rzekł sobie pan de Chavigny. — Idźcie do pana La Ramee, żeby was przyjął, i powiedzcie mu, że odpowiadacie mi pod każdym względem.

Milczek obrócił się na pięcie i poszedł do pana La Ramee, gdzie miał być poddany o wiele ostrzejszej indagacji. La Ramee był tym przykrzejszy, że chciał znaleźć oparcie w Milczku, wiedząc, że na nim samym polega pan de Chavigny.

Milczek posiadał wszystkie kwalifikacje mogące uwieść chorążego, który pragnie mieć swego podchorążego; tak więc po tysiącu pytań, na które padło po ćwierć odpowiedzi, La Ramee, oczarowany tą powściągliwością, zatarł ręce i przyjął Milczka na służbę.

— Instrukcje? — rzucił Milczek.

— Więc tak: nie zostawiać więźnia nigdy samego, odbierać mu każde narzędzie, które może służyć do klucia lub krajanania, nie zezwalać na porozumiewanie się z ludźmi z zewnątrz ani na zbyt długie rozmowy ze strażnikami.

— To wszystko?

— Na razie wszystko — odparł La Ramee. — Jeśli zajdą nowe okoliczności, będą nowe instrukcje.

— Tak jest — odrzekł Milczek.

I wszedł do diuka de Beaufort.

Ów czesał sobie właśnie brodę, którą zapuścił umyślnie, podobnie jak i włosy, aby przypiąć łatkę Mazariniemu, wystawiając na pokaz swą nędzę i obnosząc swój mizerny wygląd. Ale kilka dni temu wydało mu się, że z wysokości wieży rozpoznaje w głębi jakiejś karocy piękną panią de Montbazon, której wspomnienie było mu zawsze drogie. Nie chciał dla niej być tym, czym był dla Mazariniego. W nadziei zobaczenia jej znowu zażądał ołowianego grzebienia i otrzymał go.

Księżę de Beaufort zażądał ołowianego grzebienia, ponieważ jak wszyscy blondyni miał nieco rudą brodę; czesząc ołowianym grzebieniem, farbował ją jednocześnie.

Milczek wchodząc spostrzegł, że księżę położył grzebień na stole; skłoniwszy się zabrał go.

Księżę spojrzał na tę obcą mu postać ze zdziwieniem.

Postać włożyła grzebień do kieszeni.

— Hola! Co to? — krzyknął diuk. — Cóż to za nowy hultaj?

Milczek nie odpowiedział nic, tylko skłonił się po raz wtóry.

— Czyś ty niemowa? — wrzasnął księżę.

Milczek zaprzeczył ruchem głowy.

— Coś ty za jeden? Odpowiadaj, rozkazuję ci!

— Strażnik.

— Strażnik?! — wykrzyknął diuk. — Brakowało jeszcze tylko takiego szubienicznika do mojej kolekcji. Hej, La Ramee! Czy jest tam ktoś?

Wezwany La Ramee nadbiegł. Na nieszczęście dla księcia zamierzał wyręczyć się osobą Milczka i pojechać do Paryża; właśnie był już na dziedzińcu, bardzo więc niezadowolony wszedł z powrotem po schodach.

— Co takiego, wasza wysokość? — zapytał.

— Co to za łajdak? Bierze mój grzebień i wkłada sobie do kieszeni —



powiedział księżę de Beaufort.

— Jest to jeden ze strażników waszej książęcej mości, chłopak pełen zalet. Wasza wysokość oceni go podobnie jak pan de Chavigny i ja, jestem tego pewien.

— To dlaczego zabiera mi grzebień?

— Istotnie — rzekł La Ramee — dlaczego bierzecie grzebień jego wysokości?

Milczek wydobyl z kieszeni grzebień, pociągnął po nim palcem i patrząc oraz wskazując na wielki ząb, zadowolil się wypowiedzeniem jednego tylko słowa:

— Kłuje.

— To prawda — przyznał La Ramee.

— Co to zwierzę mówi? — zapytał diuk.

— Że każde narzędzie kłujące zabronione jest waszej książęcej mości przez króla.

— Ach, o to chodzi! — rzekł diuk. — Czyś pan zwariował, La Ramee? Przecież sam mi go dałeś.

— Popelnilem bład, wasza wysokość, gdyż dając go, postąpiłem wbrew instrukcji.

Diuk spojrzal wścieklym okiem na Milczka, który zwrócił grzebień panu La Ramee.

— Przewiduję, że znienawidzę do cna tego hultaja — wymruczał księżę.

Istotnie, w więzieniu nie ma miejsca na uczucia pośrednie. Ponieważ zarówno ludzie, jak i rzeczy są albo przyjaciółmi, albo wrogami, kocha się albo nienawidzi, nieraz rozumnie, ale o wiele częściej instynktownie. Otóż z tego prostego powodu, że Milczek podobał się od pierwszego wejrzenia panu de Chavigny i La Ramee, musiał się nie podobać księciu de Beaufort, bowiem wszystko, co stanowiło zalety w oczach gubernatora i chorążego, stawało się wadami w oczach więźnia.

Jednakże Milczek nie chciał zaraz od pierwszego dnia wystąpić otwarcie przeciw więźniowi; potrzebna mu była nie odraza na łapu capu, ale piękna i solidna nienawiść, trwała w czasie.

Wycofał się więc, aby ustąpić miejsca czterem strażnikom, którzy wracając ze śniadania, mogli znów objąć służbę przy księciu.

Księżę zaś obmyślał nowy żart, po którym wiele sobie obiecywał: zażądał na jutrzejsze śniadanie raków i zamierzał spędzić dzień na robieniu małej szubienicy, aby pośrodku izby zawiesić na niej najpiękniejszy okaz raka. Czerwony kolor, który miało mu nadać gotowanie, nie pozostawiłby żadnej wątpliwości co do aluzji. W ten sposób diuk miałby przyjemność powieszenia kardynała in effigie<sup>38</sup>, zanim nastąpi to w rzeczywistości. Przecież nie będą mogli mu zarzucić, że powiesił co innego prócz raka.

Dzień ten wykorzystany został na przygotowania do egzekucji. W więzieniu łatwo się dziecinnieje, a księżę de Beaufort miał charakter skłonny ku temu bardziej aniżeli ktokolwiek inny. Jak zwykle udał się na przechadzkę i odłamał kilka gałązek mających odegrać ważną rolę w jego przedstawieniu; po długich poszukiwaniach znalazł kawałek szkła, co zdawało się sprawiać mu największą radość. Powróciwszy do siebie, postrzepił swą chustkę.

Żaden z tych szczegółów nie uszedł bystremu oku Milczka.

Nazajutrz rano szubienica była gotowa i celem ustawienia jej pośrodku izby księżę de Beaufort ostrzył jeden z jej końców kawałkiem znalezionej szkła.

La Ramee przyglądał się temu z ciekawością ojca, który sądzi, że może odkryje nową zabawkę dla swych dzieci, na twarzach zaś strażników malował się ów wyraz rozleniwienia, stanowiący zasadniczy rys żołnierskiej fizjonomii zarówno dawniej, jak i dziś.

Milczek wszedł właśnie w chwili, gdy księżę położył ów kawałek szkła, nie skończywszy jeszcze strugać podstawy szubienicy; przerwał tę czynność

---

38 In effigie (tac.) — tu: zaocznie.

chcąc przytwierdzić nic do drugiego końca.

Rzucił na Milczka spojrzenie, w którym przeblyskiwały jeszcze resztki wczorajszego złego humoru. Ponieważ jednak cieszył się już z góry na efekt, jaki niewątpliwie wienien był wywołać jego nowy wynalazek, nie zwracał już na strażnika uwagi.

Kiedy zawiązał wreszcie węzeł marynarski na jednym końcu nici, a na drugim pętlicę i rzucił okiem na półmisek z rakami, gdzie upatrzył sobie najokazalszego, obrócił się po swój kawałek szkła. Szkiełko zginęło.

— Kto mi wziął szkiełko? — zapytał marszcząc brew.

Milczek dał znak, że to on.

— Co, znowu ty? A dlaczego mi je wzięłeś?

— Właśnie — spytał La Ramee — dlaczego wzięłeś pan kawałek szkła należący do jego wysokości?

Milczek, który trzymał w dłoni kawałeczek szyby, odrzekł przeciągając palcem po ostrzu:

— Tnie.

— To prawda, wasza książęca mość — rzekł La Ramee. — Tam do licha, przyhołubiliśmy nieliczego chłopaka, co?

— Panie Milczek — powiedział książę — przysięgam panu, strzeż się we własnym swoim interesie znaleźć kiedykolwiek na odległość mego ramienia.

Milczek skłonił się i wycofał na drugi koniec izby.

— Sza, sza, mości książę — rzekł La Ramee — proszę mi dać pańską szubienicę, ostrugam ją swoim nożem.

— Pan? — zaśmiał się książę.

— Tak jest. Przecież o to właśnie chodzi waszej wysokości?

— Oczywiście — odrzekł diuk. — Będzie jeszcze zabawniej. Dobra, mój drogi La Ramee.

La Ramee, który nie pojął nic z okrzyku księcia, ostrugał szubienicę z możliwie największą starannością.

— Tam będzie stała — wskazał diuk. — Teraz zrób pan niewielką dziurę w ziemi, a ja tymczasem poszukam skazańca.

La Ramee przyklęknął na jedno kolano i wybrał ziemię.

W tym samym czasie książkę zawiesił na nitce raka. Następnie umieścił szubienicę pośrodku izby i wybuchnął śmiechem.

Podobnie La Ramee śmiał się z całego serca, nie bardzo wiedząc, z czego się śmieje, strażnicy zaś zawtórowali chórem.

Tylko jeden Milczek się nie śmiał. Zbliżył się do La Ramee i wskazując na obracającego się na nitce raka, rzekł:

— Kardynał!

— Powieszony przez jego wysokość księcia de Beaufort — podjął diuk, zaśmiewając się jak nigdy. — I przez pana Jakuba Chryzostoma La Ramee, chorążego królewskiego.

La Ramee wrzasnął z przerażenia i rzucił się do szubienicy; wyrwał ją z ziemi i w mgnieniu oka połamał na kawałki, które wyrzucił za okno. To samo zamierzał zrobić z rakiem, do tego stopnia postradał był zmysły, lecz Milczek złapał go za rękę:

— Zdatny do jedzenia — wyrzekł i włożył raka do kieszeni.

Tym razem diuk miał z tej sceny tyle radości, że niemal przebaczył Milczkowi rolę, jaką ten odegrał. Ale kiedy w ciągu dnia rozważył intencję strażnika i wydała mu się ona w samej swej istocie nikczemnej natury, poczuł, że wyraźnie rośnie w nim nienawiść.

Niemniej historia z rakiem, ku wielkiej rozpaczycy La Ramee, zyskała olbrzymi rozgłos w wieżycy, a nawet i na zewnątrz. Pan de Chavigny, który w głębi serca szczerze nienawidził kardynała, postarał się opowiedzieć anegdotę kilku przyjaciółom pałającym dobrymi chęciami, ci zaś rozpowszechnili ją w jednej chwili.

To pozwoliło księciu spędzić parę dni w doskonałym nastroju.

W tymże czasie diuk spostrzegł wśród strażników człowieka o dość

uczciwej twarzy i jał mu pochlebiać tym bardziej, im mniej z każdą chwilą podobał mu się Milczek. Otóż pewnego ranka, kiedy udało mu się wziąć owego strażnika na stronę i rozmawiać z nim w cztery oczy, wszedł na to Milczek. Popatrzył, co się dzieje, po czym zbliżywszy się z szacunkiem do strażnika i księcia, ujął pierwszego z nich za ramię.

— Czego pan chcesz? — spytał brutalnie diuk.

Milczek odprowadził dozorcę cztery kroki i wskazał mu drzwi.

— Idź stąd.

Strażnik posłusznie wykonał polecenie.

— Och, nie znoszę cię! — wykrzyknął książę. — Zostaniesz ukarany.

Milczek skłonił się z szacunkiem.

— Panie szpiegu, połamię ci kości! — wykrzyknął rozjątrzony książę.

Milczek skłonił się ponownie, jednocześnie się cofając.

— Panie szpiegu — ciągnął diuk — zaduszę cię własnymi rękami!

Milczek skłonił się, ciągle odstępując.

— I to już, w tejże chwili — dodał książę, który uważał, że lepiej skończyć z tym natychmiast.

I wyciągnął zaciśnięte pięści ku Milczkowi, który poprzestał na wypchnięciu strażnika z izby i zamknięciu drzwi za sobą.

W tejże chwili poczuł, jak ręce księcia, podobne do żelaznych kleszczy, spadły mu na ramiona. Zamiast się jednak bronić lub wołać na pomoc, poprzestał na dyskretnym podniesieniu wskazującego palca do warg, po czym ozdobiwszy twarz jednym ze swych najbardziej ujmujących uśmiechów, wyrzekł półgłosem:

— Tsss!

Gest, uśmiech czy słowo było u Milczka czymś tak niecodziennym, że książę stanął jak wryty, w najwyższym zdumieniu.

Milczek skorzystał z tej chwili i wyciągnął spod podszewki kaftana uroczy bilecik, opatrzony arystokratyczną pieczętką. Bez słowa pokazał go diukowi;

długie przebywanie w kabacie Milczka nie było w stanie pozbawić bileciku w zupełności zapachu perfum, jakim był przepojony.

Diuk, zdumiony coraz bardziej, puścił Milczka, wziął bilecik i poznawszy pismo, krzyknął!

— Od pani de Montbazon!

Milczek potakująco skinął głową.

Diuk rozdarł gwałtownie kopertę, przeciągnął dłonią po oczach, tak był ośniony, i przeczytał, co następuje:

*Drogi Księżę*

*Może Pan całkowicie zaufać dzielnemu człowiekowi, oddawcy tego listu, gdyż jest to sługa pewnego szlachcica, naszego stronnika, który poręczył za nim jako wypróbowanym dwudziestoma latami służby. Wyraził on zgodę na wejście w służbę waszego chorążego i na zamknięcie się z Panem w Vincennes, aby przygotować i dopomóc w Pańskiej ucieczce, którą organizujemy. Chwila uwolnienia jest bliska; proszę mieć cierpliwość i odwagę wiedząc, że mimo upływu czasu i nieobecności wszyscy Pańscy przyjaciele zachowali uczucia, jakimi Cię darzyli.*

*Całkowicie i na zawsze oddana*

*Maria de Montbazon*

*PS Podpisuję się pełnym imieniem, gdyż byłoby zbyt dufnością sądzić, że po pięciu latach rozstania rozpozna Pan inicjały.*

Przez chwilę diuk stał jak ogłuszony. To, czego poszukiwał od pięciu lat i czego nie mógł znaleźć, to znaczy sługi, pomocnika, przyjaciela, spadało nagle z nieba, w chwili kiedy się tego najmniej spodziewał. Popatrzył na Milczka ze zdumieniem i powrócił do listu, który przeczytał jeszcze raz od początku do

końca.

— Och, droga Mario — zaszeptał skończywszy czytanie. — Więc to istotnie ją dojrzałem wówczas w głębi karety. Więc to ona myśli o mnie jeszcze po pięciu latach rozstania! Do licha! To mi stałość, jaką możesz spotkać tylko w Astrei<sup>39</sup>.

Po czym, zwracając się do Milczka, rzucił:

— Więc ty, dzielny człowieku, zgadzasz się nam pomagać?

Milczek potaknął głową.

— I właśnie po to tu przyszedłeś?

Milczek powtórzył ten sam ruch.

— A ja chciałem cię zadusić! — wykrzyknął książę.

Milczek jął się uśmiechać.

— Słuchaj no! — I książę jął grzebać w kieszeni. — Słuchaj no — ciągnął ponawiając bezowocne poszukiwania — nie jest powiedziane, że podobne poświęcenie dla wnuka Henryka IV pozostanie bez wynagrodzenia.

Odruch diuka de Beaufort zdradzał najlepsze w świecie chęci, lecz jednym ze środków ostrożności przedsiębranych w Vincennes było odbieranie więźniom pieniędzy.

Milczek, widząc rozczarowanie diuka, wyciągnął z kieszeni kiesę pełną złota i podał mu ją.

— Oto, czego wasza wysokość szuka — rzekł.

Diuk otworzył kieskę i chciał ją opróżnić w dłonie Milczka, ale ten potrząsnął głową.

— Dziękuję, wasza wysokość — powiedział odsuwając się — zapłatę już otrzymałem.

Diuka ogarniało coraz większe zdumienie.

Wyciągnął do Milczka rękę; ten zbliżył się i z szacunkiem ją ucałował. Wielkopańskie maniery Atosa wycisnęły swe piętno na Milczku.

---

<sup>39</sup> Astrea — słynny i nadzwyczaj wówczas poczytny romans Honore d'Urfe (1568—1625).

— A teraz — spytał diuk — co będziemy robić?

— Jest jedenasta rano — podjął Milczek. — Niech wasza książęca mość zazaąda o godzinie drugiej gry w piłkę z La Ramee i pośle dwie, trzy piłki za wały.

— Dobrze, a potem?

— Potem... wasza książęca wysokość zbliży się do murów i zawoła na człowieka, który pracuje w fosie, aby je odrzucił.

— Rozumiem — rzekł diuk.

Oblicze Milczka zdawało się wyrażać żywe zadowolenie. W związku z jego małomównością prowadzenie rozmowy sprawiało mu trudność. Uczynił ruch, aby się oddalić.

— Ach, tak — rzekł książę — więc nie chcesz ode mnie nic przyjąć?

— Chciałbym, żeby wasza książęca mość przyrzekł mi coś.

— Co? Mów!

— Że kiedy będziemy uciekać, ja będę zawsze i wszędzie szedł pierwszy; gdyż jeśliby pochwycili waszą książęcą mość, to najwyżej zaprowadzą księcia znowu do więzienia; jeśli zaś mnie złapią, to czeka mnie co najmniej szubienica.

— Bardzo słusznie i, słowo szlachcica, będzie, jak prosisz.

— A teraz mam tylko jedną prośbę do waszej książęcej mości: aby dalej zaszczycał mnie swą nienawiścią jak dotąd.

— Będę się starał — rzekł diuk.

Zapukano we drzwi.

Diuk włożył bilet i sakiewkę do kieszeni i rzucił się na łóżko. Wiedziano, że uciekał się do tego w chwilach szczególnej nudy. Milczek poszedł otworzyć; był to La Ramee, który powracał od kardynała, gdzie rozegrała się opowiedziana przez nas scena.

La Ramee rzucił badawcze spojrzenie wokół siebie i widząc te same co zawsze przejawy wzajemnej odrazy więźnia i dozorczy, uśmiechnął się pełen wewnętrznego zadowolenia. Następnie zwrócił się do Milczka:



— Dobra, przyjacielu, dobra. Była o was mowa w ważnym miejscu i wkrótce nadejdą nowiny, mam nadzieję, wcale dla was przyjemne.

Milczek skłonił się, usiłując przybrać wyraz uprzejmości, po czym wycofał się, jak to miał we zwyczaju, kiedy wchodził jego zwierzchnik.

— No co, wasza książęca mość?! — rzekł La Ramee śmiejąc się rubasznie.  
— Wciąż jeszcze dąsacie się na tego biedaka?

— Ach, to pan, La Ramee — rzekł książę. — Na honor, najwyższy czas, żeby pan przyszedł. Rzuciłem się na łóżko i odwróciłem nosem do ściany, żeby nie ulec pokusie dotrzymania obietnicy i nie zadławić tego zbrodniarza Milczka.

— Nie wydaje mi się, by rzekł on waszej wysokości coś nieprzyjemnego — rzekł La Ramee, robiąc aluzję do milkliwości swego podwładnego.

— Dalibóg! I ja tak sądzę! Wschodni niemowa! Na honor, był już najwyższy czas, byś powrócił, La Ramee, i wyglądałem cię z niecierpliwością.

— Wasza wysokość jest zbyt łaskaw dla mnie — rzekł La Ramee, pochlebiony komplementem.

— Tak, po prawdzie, czuję, że będę dziś niezręczny, co oczywiście sprawi ci przyjemność.

— Zagramy więc dziś w piłkę? — zapytał machinalnie La Ramee.

— Jeśli pan zechcesz.

— Jestem na rozkazy waszej wysokości.

— To znaczy, mój drogi La Ramee, że jesteś człowiekiem zachwycającym i pragnąłbym przebywać w Vincennes wiecznie, aby odczuwać żywą przyjemność spędzania życia wraz z tobą.

— Sądzę, wasza wysokość, że kardynałowi nie zależy, ażeby życzenie waszej książęcej mości w tym względzie się nie spełniło.

— Jak to, widziałeś go pan teraz?

— Przysłał po mnie dziś rano.

— Doprawdy? Ażeby porozmawiać o mnie?

— A o czym to chciałby wasza książęca mość, żeby kardynał ze mną

rozmawiał? Tak, po prawdzie to wasza wysokość jest dlań zmorą.

Diuk uśmiechnął się gorzko.

— Ach, La Ramee, gdybyście przyjęli moje propozycje.

— Ależ, wasza wysokość, mamy o tym gadać znów od początku. Wasza książęca mość sam dobrze widzi, że to nierozsądne.

— La Ramee, powiedziałem ci i powtarzam raz jeszcze: zrobię cię bogatym.

— W jaki sposób? Wasza wysokość wyjdzie z więzienia dopiero wówczas, kiedy pańskie dobra zostaną skonfiskowane.

— Opuszczę więzienie nie wcześniej, póki nie będę panem Paryża.

— Tss, tss, czyż mogę słuchać podobnych rzeczy. To mi dopiero piękna rozmowa dla oficera jego królewskiej mości. Widzę, wasza wysokość, że będę musiał poszukać drugiego takiego Milczka.

— No cóż, nie rozmawiajmy o tym. A więc tematem rozmowy z kardynałem była moja osoba? Och, La Ramee, w dzień, kiedy cię zawezwie, powinienes mi pozwolić wdziać swoje ubranie. Poszedłbym zamiast ciebie i udusiłbym go. Daję słowo szlachcica, że gdyby mi to postawiono za warunek, powróciłbym następnie do więzienia.

— Widzę, wasza książęca mość, że będę musiał przywołać Milczka.

— Mocno żałuję. I cóż ci powiedział ten chłystek?

— Daruję waszej wysokości to słowo — rzekł La Ramee z szczwanym wyrazem twarzy — ponieważ układa się w rym ze słowem minister. Co mi powiedział? Powiedział, żeby dobrze pilnować waszej wysokości.

— A dlaczegoż tak pilnować? — dopytywał się zaniepokojony książę.

— Ponieważ pewien astrolog przepowiedział, że wasza wysokość zemknie.

— Ach, więc tak przepowiedział pewien astrolog? — rzekł książę zdjęty mimowolnym dreszczem.

— Dalibóg, tak! Daję słowo, ci głupi czarownicy sami nie wiedzą, co wymyślić, byleby tylko zadrzeć ucziwych ludzi.

— I co odpowiedziałeś przewielebnej eminencji?

— Że jeśli ów astrolog ułoży jakieś almanachy, nie radzę, by jego eminencja je kupował.

— Dlaczego?

— Bo wasza książęca mość musiałaby się zamienić w ziębę lub mysikrólika, aby móc stąd umknąć.

— Na nieszczęście masz dużo racji. No to chodźmy zagrać, La Ramee

— Wasza wysokość wybaczy, ale muszę prosić o udzielenie mi jakiejś pół godziny czasu.

— A to dlaczego?

— Ponieważ pan Mazarini, nie będąc równie dobrze urodzonym, nosi się wyżej od waszej wysokości, zapomniał mnie przeto zaprosić na śniadanie.

— Więc chcesz, żebym ci kazał tu przynieść śniadanie?

— O nie, wasza książęca mość. Muszę tylko wyjaśnić, że pasztetnik zwany ojcem Marteau, który mieszkał naprzeciwko zamku...

— No, cóż takiego?

— Ano, będzie jakieś osiem dni temu, sprzedał swój zakład pewnemu pasztetnikowi z Paryża, któremu, jak się zdaje, lekarze zalecili wiejskie powietrze.

— No dobrze, ale co to ma za związek z moją osobą?

— Chwileczkę, wasza wysokość, otóż ten przeklęty pasztetnik wyłożył taką masę różności, że człowiekowi po prostu ślina cieknie.

— Ach, ty łakomczuchu!

— Miły Boże! — podjął La Ramee. — Nie jest się, wasza książęca mość, łakomczuchem, jeśli się lubi dobrze jeść. Leży to już w naturze człowieka: poszukuje on doskonałości zarówno w pasztecie, jak i w innych rzeczach. Otóż ten łajdak pasztetnik, muszę to waszej wysokości wyznać, zoczywszy mnie przed swoją wystawą, wyszedł do mnie i powiada z całą ufnością: “Panie La Ramee, muszę zdobyć klientelę pośród uwieczonych w wieżycy. Kupięm

zakład od mego poprzednika, bo zapewnił mnie, że jest dostawcą zamkowym. A jednak, panie La Ramee, od ośmiu dni, jak tu siedzę, pan de Chavigny, na honor, nie zakupił nawet torcika”.

Wtedy ja mu na to, że pewnie pan de Chavigny żywi obawę, iż jego wyroby nie są dobre.

— Co, moje wyroby niedobre?! Zatem, panie La Ramee, osądź pan sam, i to natychmiast.

— Nie mogę — odpowiadam mu — muszę wracać na zamek.

— To — rzecze — idź pan do swoich spraw, bo wydajesz się śpieszyć, ale powróć tu za pół godziny.

— Za pół godziny?

— Tak. A jadłeś pan już śniadanie?

— Gdzie tam.

— Dobra, będzie pasztet wraz z butelką starego burgunda...

— Teraz wasza książęca mość pojmuje, że będąc na czczo, chciałbym za pozwoleniem waszej wysokości...

Tu La Ramee się skłonił.

— Idź już, idź, ty byku — rzekł książę — ale pamiętaj, daję ci tylko pół godziny czasu.

— Czy mogę temu następcy ojca Marteau obiecać, że wasza książęca mość będzie jego klientem?

— Tak, byleby tylko nie kładł grzybów do pasztetu; wiedz — dorzucił jeszcze — że grzyby z lasów Vincennes są dla mojej rodziny trujące.

La Ramee opuścił izbę nie zwracając uwagi na aluzję, a w pięć minut po jego wyjściu wszedł oficer straży pod pozorem czynienia księciu honorów i towarzyszenia mu. W rzeczywistości zaś, aby wypełnić rozkazy kardynała, który jak to już mówiliśmy, zalecał nie spuszczać więźnia z oka.

Ale podczas tych pięciu minut samotności diuk miał dość czasu, aby jeszcze raz odczytać bilet pani de Montbazon, który dla więźnia był dowodem,

że przyjaciele nie zapomnieli o nim i krzżeli się około jego uwolnienia. W jaki sposób? Tego jeszcze nie wiedział, ale obiecywał sobie, że każe Milczkowi, mimo iż jest on Milczkiem, opowiedzieć o tym. Ufał mu tym więcej, że zdał sobie teraz sprawę z całego jego postępowania: zrozumiał, że Milczek wymyślił wszystkie te drobne prześladowania, którymi dręczył diuka, po to, by strażnikom nie przyszło do głowy, że się z nim porozumiewa.

Ta przebiegłość dała księciu wysokie pojęcie o umyśle Milczka, któremu postanowił całkowicie zaufać.

## 21. Z którego dowiadujemy się, co zawierały pasztety następcy ojca Marteau

W pół godziny później La Ramee powrócił radosny i żwawy, jak człowiek, który sobie dobrze podjadł, a nade wszystko tego popił. Stwierdził, że pasztety były wyborne, a wino boskie.

Utrzymywała się piękna pogoda, można więc było rozegrać projektowaną partię. W Vincennes grało się w piłkę na otwartym polu, to znaczy na świeżym powietrzu; z największą tedy łatwością książę mógł wykonać zalecenie Milczka, to jest posłać piłki do fosy.

Jednakże aż do wybicia godziny drugiej diuk nie okazywał się zbyt niezręczny, gdyż była to godzina umówiona. Niemniej przegrał część partii rozegranych do tego momentu, co pozwoliło mu popaść w gniew i popełniać błąd za błędem, jak to się zdarza w podobnych wypadkach.

Z wybiciem godziny drugiej piłki jęły się kierować do fosy ku wielkiej radości La Ramee, który za każdą wybitą przez księcia na zewnątrz liczył sobie piętnaście punktów.

Wkrótce tyle piłek zostało wyrzuconych na zewnątrz, że zabrakło ich do gry. La Ramee zaproponował więc, by ktoś poszedł pozbierać je z fosy. Ale diuk zauważył bardzo rozsądnie, że byłaby to strata czasu. Zbliżył się więc do wału, który z tej strony, jak to powiadał kiedyś chorąży, miał przynajmniej z pięćdziesiąt stóp wysokości, i spostrzegł jakiegoś człowieka pracującego w jednym z tysiąca ogródków uprawianych przez wieśniaków po przeciwległej stronie fosy.

— Hej, przyjacielu! — zawołał.

Człowiek ów podniósł głowę i diuk omal nie krzyknął ze zdumienia.

Człowiekiem tym, wieśniakiem, ogrodnikiem, był hrabia de Rocheford, o którym sądził, że znajduje się w Bastylii.

— O co wam chodzi? — zapytał.

— Odrzuć tu z łaski swojej nasze piłki — rzekł diuk.

Ogrodnik skinął głową i zaczął je ciskać w górę, La Ramee zaś i strażnicy zbierali je. Jedna z nich upadła do stóp diuka; ponieważ była tak wyraźnie dlań przeznaczona, przeto schował ją do kieszeni.

Następnie, skinąwszy ogrodnikowi ręką na podziękowanie, powrócił do gry.

Był to stanowczo jego zły dzień; piłki w dalszym ciągu padały fałszywie: zamiast się trzymać w granicach pola gry, powróciły kilka razy do fosy. Wobec tego, że nie było tam już ogrodnika, który by je odrzucił, przepadały. W rezultacie diuk oświadczył, że wstydzi się tak wielkiej niezręczności i nie chce dalej grać.

La Ramee był zachwycony tym całkowitym zwycięstwem nad księciem krwi.

Księżę powrócił do siebie i położył się: od czasu jak odebrano mu książki, spędzał w ten sposób niemal całe dnie.

La Ramee zabrał odzienie księcia pod pozorem, że jest zakurzone i należy je oczyścić, a w istocie mieć pewność, że więzień nie ruszy się z miejsca. La Ramee był człowiekiem przezornym. Na szczęście księżę zdążył schować piłkę pod poduszkę.

Skoro tylko zamknęły się drzwi, diuk rozdarł zębami powłokę piłki, nie pozostawiono mu bowiem żadnego ostrego narzędzia; do stołu używał noży o srebrnych ostrzach, które się gięły i wcale nie kroily.

Pod powłoką znajdował się list następującej treści:

*Wasza Książęca Mość!*

*Twoi przyjaciele czuwają i godzina uwolnienia się zbliża.*

*Pojutrze proszę zażądać pasztetu przyrządzonego przez nowego pasztetnika, który odkupił zakład od dawnego właściciela. Jest nim nie kto inny, lecz sam Noirmont, marszałek dworu Waszej Wysokości. Pasztet proszę kroić, kiedy Wasza Wysokość pozostanie sam. Mam nadzieję, że Wasza Wysokość będzie zadowolony z zawartości.*

*Zawsze oddany sługa Waszej Wysokości,  
zarówno w Bastylii, jak i gdzie indziej,  
Hrabia de Rochefort*

*PS Wasza Wysokość może całkowicie zaufać Milczkowi, jest to człowiek bardzo inteligentny i zupełnie nam oddany.*

Książę de Beaufort, któremu zwrócono ogień, odkąd wyrzekł się malarstwa, spalił list, jak to już uczynił, ku swemu największemu żalowi, z listem pani de Montbazon, i zamierzał postąpić podobnie z piłką, kiedy nagle przyszło mu na myśl, że może być potrzebna do przesłania odpowiedzi hrabiemu de Rochefort.

Strzeżono go czujnie, bo gdy tylko się poruszył, wszedł La Ramee.

— Wasza książęca wysokość potrzebuje czegoś? — zapytał.

— Zimno mi — odrzekł diuk — i podgarniałem ogień, żeby lepiej grzał. Wiesz, mój drogi, że izby wieżycy Vincennes są słynne z zimna. Można by w nich przechowywać lód i zbiera się tu saletrę. Te, w których pomarli Puylaurens, marszałek Ornano i wielki opat, a mój wuj, były pod tym względem “na wagę arszeniku” — jak to mawiała pani de Rambouillet.

I książę położył się z powrotem, wetknąwszy piłkę pod poduszkę. La Ramee uśmiechnął się pod wąsem. W głębi duszy był to zacny człowiek, który wielce polubił swego znakomitego więźnia i który byłby zrozpaczony, gdyby przydarzyło mu się nieszczęście. A fakt trzech nieszczęśliwych wypadków, które kolejno dosięgły trzy wymienione przez diuka osoby, był nie do odparcia.



— Wasza książęca mość — powiedział — nie trzeba się poddawać podobnym myślom. To zabijają one, a nie saletra.

— Ach, mój drogi, jesteście doprawdy zachwycający. Gdybym był w stanie, jak ty, pójść na pasztet i wino burgundzkie do następcy ojca Marteau, zabawiłoby mnie to z pewnością.

— Faktem jest, wasza wysokość, że jego pasztety są wyborne, a co do wina, to tęgie wino.

— W każdym razie — podjął diuk — nietrudno jego piwnicy i kuchni mieć wyższość nad piwnicą i kuchnią pana de Chavigny.

— Cóż stoi na przeszkodzie, wasza książęca mość, żeby ich popróbować — rzekł La Ramee, dając się schwycić w pułapkę. — Zresztą przyrzekłem mu już, że wasza wysokość będzie jego klientem.

— Masz rację. Jeśli mam tu pozostać wieczyście, jak był mnie o tym łaskaw powiadomić pan Mazarini, muszę sobie stworzyć jakąś rozrywkę na stare lata, muszę się stać smakoszem.

— Wasza wysokość — rzekł La Ramee — proszę posłuchać dobrej rady i nie odkładać, aż będzie za późno na te rzeczy.

Dobrze — rzekł sobie w duchu książę de Beaufort — ponoć każdy człowiek otrzymuje od szczodroblewości niebiańskiej, w celu zatracenia ciała i duszy, jeden z siedmiu grzechów głównych, o ile nie dwa. Wydaje mi się, że mistrz La Ramee otrzymał obżarstwo. Dobrze, wykorzystamy to.

Po czym dodał głośno:

— A więc, mój drogi La Ramee, pojutrze mamy święto?

— Tak, wasza wysokość, Zielone Świątki.

— Chcesz mi udzielić lekcji pojutrze?

— Jakiej lekcji?

— Obżarstwa.

— Chętnie, wasza wysokość.

— Ale lekcja w cztery oczy. Odeślemy dozorców do garkuchni pana de

Chavigny, a tutaj wyprawimy wieczerzę, której zaaranżowanie pozostawiam tobie.

— Hm! — mruknął La Ramee.

Propozycja była ponętna, lecz La Ramee, mimo iż kardynał osądził go na pierwszy rzut oka niekorzystnie, był starym praktykiem i znał wszystkie pułapki, jakie może zastawić więzień. Książę de Beaufort, mówił sobie, przygotował był czterdzieści sposobów ucieczki z więzienia. Czy wieczerza ta nie kryje jakiegoś podstępu?

Zastanawiał się przez chwilę. Wynikiem tego była decyzja, że prowianty i wina zamówi osobiście, a co za tym idzie, najmniejszy pyłek nie zamiesza się do żywności ani kropla jakiegokolwiek płynu nie zamąci wina.

Co zaś do możliwości spojenia go, to książę na pewno nie żywi podobnego zamiaru, i na samą myśl o tym La Ramee począł się śmiać. Po czym przyszedł mu do głowy pewien pomysł, który miał ostatecznie wszystkiemu zaradzić.

Diuk dość niespokojnym okiem śledził twarz La Ramee, w miarę jak uzewnętrzniał się na niej monolog, wreszcie jednak oblicze chorążego rozjaśniło się.

— No — rzucił diuk — zgoda?

— Tak, wasza książęca mość, pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że do stołu będzie nam usługiwał Milczek.

Nic nie mogło być księciu bardziej na rękę. Był jednak tak opanowany, że najbardziej ostentacyjnie okazał swój zły humor.

— Do diabła z twoim Milczkiem! — wrzasnął. — Popsuje mi całą uroczystość.

— Przykażę mu trzymać się z tyłu za waszą wysokością; jeśli nie piśnie słówka i wasza wysokość nie będzie go ani widział, ani słyszał, to przy odrobinie dobrej woli będzie pan mógł sobie wyobrazić, że Milczek znajduje się o sto mil.

— Mój drogi, wiesz, co w tym wszystkim jest dla mnie więcej niż jasne?  
To, że mi nie ufasz.

— Wasza wysokość, toć pojutrze Zielone Świątki.

— A cóż mają Zielone Świątki do mnie? Czy obawiasz się, żeby Duch Święty nie zstąpił pod postacią ognistego języka i nie otworzył wrót mego więzienia?

— Nie, wasza książęca mość, ale mówiłem już, co przepowiedział ten przeklęty czarownik.

— A cóż on takiego przepowiedział?

— Że nim minie dzień Zielonych Świątek, waszej wysokości nie będzie już w Vincennes.

— I ty wierzysz, głupcze, w czarowników?

— Dbam o nich tyle... co... — tu pstryknął palcami. — Ale za to pan Giulio, który jako Włoch jest przesądny, bardzo się tym trapi.

Diuk wzruszył ramionami.

— A więc niech będzie — rzekł, zgrywając doskonale dobroduszość. — Zgadzam się na Milczka, inaczej nie doszlibyśmy do ładu, tylko nie życzę sobie już nikogo więcej. Pan zajmiesz się wszystkim: zamówisz wieczerzę wedle swego gustu. Ja wskażę tylko potrawę: będzie nią jeden ze wspomnianych przez ciebie pasztetów. Zamówisz go wyraźnie dla mnie, aby następca ojca Marteau przeszedł samego siebie. Obiecasz mu, że będę jego odbiorcą nie tylko przez cały czas mego pobytu w więzieniu, ale nawet i wówczas, kiedy stąd wyjdę.

— Wasza książęca mość wciąż jeszcze sądzi, że stąd wyjdzie? — spytał La Ramee.

— No — odparł książę — chociażby po śmierci Mazariniego; jestem młodszy odeń. o całe piętnaście lat. Co prawda — dodał śmiejąc się — w Vincennes żyje się szybciej.

— Wasza książęca mość — mówił La Ramee — o, wasza książęca mość!

— Bądź wcześniej się umiera, co wychodzi na jedno.

— Wasza książęca wysokość — przerwał La Ramee — idę zamówić wieczerzę.

— Sądysz, że uda ci się wykształcić twego ucznia?

— Mam nadzieję, wasza wysokość — odparł La Ramee.

— Jeśli ci starczy na to czasu — zamruczał diuk.

— Co wasza książęca mość mówi?

— Jego książęca mość mówi, że nie oszczędzasz kiesy pana kardynała, który zechciał obarczyć się kosztami naszego mieszkania i utrzymania.

La Ramee zatrzymał się w drzwiach.

— Kogo mam tu przysłać, wasza wysokość?

— Kogo ci się podoba, byle nie Milczka.

— A więc oficera straży?

— Z szachami.

— Tak jest.

I La Ramee wyszedł.

W pięć minut później wkroczył oficer straży i wkrótce diuk de Beaufort zdawał się być zagłębiony po uszy we wzniosłe kombinacje szachowe.

Szczególne to rzecz myśl ludzka i jakie zmiany wywołują w niej znak, słowo, nadzieja. Diuk de Beaufort przebywał w więzieniu już od pięciu lat, a jedno spojrzenie wstecz ukazywało mu, że te pięć lat, które płynęły bardzo powoli, były mimo wszystko krótsze aniżeli dwa dni, czterdzieści osiem godzin dzielące go od chwili wyznaczonej na ucieczkę.

Poza tym jeszcze jedna sprawa intrygowała go szalenie: w jaki sposób dokona się ta ucieczka. Kazano mu mieć nadzieję co do wyniku, lecz ukryto przed nim szczegóły dotyczące zawartości tajemniczego pasztetu. Jacy przyjaciele nań oczekiwali? Miał więc jeszcze przyjaciół po pięciu latach więzienia? W takim razie był księciem bardzo uprzywilejowanym.

Zapomniał, że prócz przyjaciół pamiętała o nim kobieta, co było rzeczą o wiele bardziej niezwykłą. Co prawda, nie była mu zapewne zbyt wierną, ale nie

zapomniała go, a to już wiele.

Natłok podobnych rozważań zaprzętał niezmiernie umysł diuka, toteż z szachami rzecz miała się podobnie jak z piłką na placu gry: ksiązę popełniał błąd za błędem i oficer wygrywał wieczorem podobnie jak La Ramee z rana.

Lecz owe kolejne porażki miały jedną zaletę: pozwoliły księciu zabić czas aż do ósmej wieczór; zawsze to zyskane trzy godziny. Potem nadejdzie noc, a z nocą — sen.

Tak przynajmniej sądził ksiązę: lecz sen to bóstwo bardzo kapryśne i kiedy się je wzywa, każe na siebie czekać. Diuk oczekiwał nań aż do północy, skracając się na materacach jak święty Wawrzyniec na ruszcie. Wreszcie zasnął.

Zbudził się jednak wraz z nastaniem dnia. Miał fantastyczne sny. Wyrosły mu skrzydła; oczywiście chciał zaraz wzlecieć i z początku skrzydła niosły go doskonale. Lecz gdy osiągnął pewną wysokość, nagle dziwna ta podpora przestała działać, skrzydła strzaskały się i wydawało mu się, że leci w przepaść bez dna. Zbudził się z czołem zroszonym potem, potłuczony, jakby istotnie spadł z wysoka na ziemię.

Zasnął, aby znów błędzić w labiryncie coraz bardziej niedorzecznych snów. Ledwie zamknął oczy, kiedy jego umysł, zaprzętnięty jedną tylko rzeczą — ucieczką, podejmował na nowo usiłowanie tej ucieczki. Teraz było to coś innego: znalezione zostało podziemne przejście, które miało go wyprowadzić poza Vincennes. Wszedł do tego przejścia, a przed nim kroczył Milczek z latarnią w ręku. Powoli przejście się zacieśniało, ksiązę jednak szedł dalej. Wreszcie stało się tak ciasno, że nadaremnie usiłował się posuwać: mury zaciskały się i napierały nań. Czynił niesłychane wysiłki, aby iść dalej, ale było to niemożliwością; daleko przed sobą jednak widział Milczka, jak ze swą latarnią szedł wciąż naprzód. Chciał zawołać, ażeby mu dopomógł wydostać się z przejścia, którego go dusiło, lecz nie mógł wymówić słowa. Wtedy z tej strony, skąd przyszedł, usłyszał kroki pogoni; kroki te zbliżały się bezustannie. Został odkryty, żadnej nadziei na ucieczkę. Mury zdawały się być w zмовie z

wrogami i cisnęły go tym mocniej, im bardziej należało umykać. Wreszcie posłyszał głos La Ramee i dostrzegł go. La Ramee wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu księcia, wybuchając śmiechem. Książę został z powrotem złapany i zaprowadzony do tej niskiej sklepionej izby, gdzie pomarli marszałek Ornano, Puylaurens i jego stryj. Znajdowały się tam trzy ich groby tworząc na podłodze wypukłości, a czwarty stał otworem, czekając na trupa.

Zbudziwszy się, diuk zmagął się równie mocno z sennością jak poprzednio z bezsennością. Kiedy wszedł La Ramee, zastał księcia tak bladego i zmęczonego, że zapytał, czy nie jest chory.

— To prawda — odezwał się jeden ze strażników, który sypiał w celi, a nie mógł zmrużyć oka wskutek bólu zęba spowodowanego wilgocią — jego książęca mość miał noc bardzo niespokojną i kilka razy wołał przez sen na pomoc.

— Co się stało, wasza wysokość? — zapytał La Ramee.

— To ty, głupcze — rzekł diuk — nabiłeś mi wczoraj głowę bzdurami o ucieczce i przez ciebie śniłem, że uciekałem i w ucieczce skręciłem sobie kark.

La Ramee wybuchnął śmiechem.

— Wasza książęca mość sam widzi, że to ostrzeżenie niebios. Mam więc nadzieję, że wasza wysokość nigdy nie dopuści się podobnej niedorzeczności, chyba tylko we śnie.

— Masz rację, mój drogi La Ramee — odrzekł diuk, już zupełnie rozbudzony, ocierając ściekający mu jeszcze z czoła pot — pragnę myśleć jedynie o jedzeniu i picciu.

— Tss! — szepnął La Ramee.

I pod różnymi pozorami oddalił strażników, jednego po drugim.

— A więc? — zapytał książę, gdy pozostali sami.

— Więc wieczerza waszej książęcej mości już zamówiona.

— No i z czegoż będzie się ona składała, panie marszałku mego dworu?

— Wasza książęca mość wyraził zgodę, że w tym względzie zdaje się na

mnie.

— Pasztet będzie?

— Oczywiście. Jak wieża.

— Zrobi go następca ojca Marteau?

— Jak zostało zamówione.

— I powiedziałaś mu, że to dla mnie?

— Tak, powiedziałem mu.

— A cóż on odpowiedział?

— Że zrobi wszystko, aby zadowolić waszą wysokość.

— To dobrze — rzekł książę zacierając ręce.

— Do kroćset! — rzekł La Ramee. — Ależ wasza wysokość lubuje się w tych rzeczach! Od pięciu lat nie widziałem waszej książęcej mości z tak radosną twarzą jak dziś.

Książę spostrzegł, że nie dość panuje nad sobą, lecz w tejże chwili Milczek, jak gdyby podsłuchiwał pod drzwiami i zrozumiał, że trzeba natychmiast odwrócić uwagę La Ramee, wszedł i dał znak, że ma coś do powiedzenia.

La Ramee zbliżył się do Milczka, który jął doń coś szeptać.

Tymczasem książę powrócił do równowagi.

— Zabroniłem raz na zawsze — rzekł — aby człowiek ten przychodził tu bez mego zezwolenia.

— Wasza książęca mość — odrzekł La Ramee — proszę mu wybaczyć, to ja go upoważniłem.

— A dlaczegoś go upoważnił, skoro wiesz, że mi to nie odpowiada?

— Wasza wysokość przypomina sobie, co było umówione — rzekł La Ramee. — Ma on nam usługiwać podczas tej wybornej wieczerzy. Wasza wysokość zapomniał już o wieczerzy?

— Nie, lecz zapomniałem o panu Milczku.

— Wiadomo waszej książęcej mości, że bez niego nie masz wieczerzy.

— No to rób, co uważasz!

— Chodź no, chłopcze — rzekł La Ramee — i słuchaj, co ci powiem.

Milczek podszedł z bardzo kwaśną miną.

La Ramee ciągnął:

— Jego książęca wysokość raczył zaprosić mnie samego jutro na wieczerzę.

Milczek dał znak, którym chciał wyrazić, że nie rozumie, co to ma za związek z jego osobą.

— Tak, tak — mówił La Ramee. — Rzecz ta dotyczy właśnie ciebie, bo będziesz miał zaszczyt usługiwać nam, a poza tym, jeśli przy naszym dobrym apetycie i potężnym pragnieniu pozostanie coś na dnie półmisków i w głębi butelek, będzie to dla ciebie.

Milczek pochylił się na znak podziękowania.

— A teraz, wasza książęca mość — ciągnął La Ramee — proszę wybaczyć mi, gdyż jak się zdaje, pan de Chavigny wyjeżdża na kilka dni i uprzedził mnie przed wyjazdem, że ma dla mnie jakieś polecenia.

Diuk próbował wymienić spojrzenie z Milczkiem, lecz oko Milczka było jak nieżywe.

— Idź — zwrócił się książę do La Ramee — i powracaj czym prędzej.

— Czy wasza książęca mość zechce wziąć rewanż za wczorajszą partię piłki?

Milczek skinął niedostrzegalnie głową.

— Owszem, ale musisz się pilnować, La Ramee. Chociaż dnie następują po sobie, ale nie są do siebie podobne i dziś jestem zdecydowany porządnie cię stłuc.

La Ramee wyszedł; Milczek przeprowadził go oczami, zachowując absolutną nieruchomość ciała. Potem sprawdziwszy, że drzwi zamknięte, wyciągnął żywo z kieszeni ołówek i ćwiartkę papieru.

— Wasza wysokość, proszę pisać.



— A co mam pisać?

Milczek podniósł palec i podyktował:

Wszystko gotowe na jutro wieczór, czekajcie między siódmą a dziewiątą, miejcie dwa wierzchowce w pogotowiu, zejdziemy przez pierwsze okno galerii.

— Co dalej? — zapytał diuk.

— Co dalej, wasza książęca mość? — podjął zdumiony Milczek. — Dalej proszę podpisać.

— To wszystko?

— Co wasza książęca mość chciałby więcej? — zapytał Milczek, który był zwolennikiem najsurowszej zwięzłości.

Diuk podpisał.

— A teraz — rzekł Milczek — czy wasza książęca mość zapodział gdzieś piłkę?

— Jaką piłkę?

— Tę, co zawierała list.

— Nie, sądziłem, że może nam być użyteczna. Oto ona. Diuk wyjął piłkę spod poduszki i pokazał ją Milczkowi. Milczek uśmiechnął się najmilej, jak tylko umiał.

— Więc? — spytał diuk.

— Więc zaszyję papier w piłkę. W czasie gry wasza książęca mość pośle piłkę do fosy.

— A jak zginie?

— Proszę być spokojnym, na pewno będzie tam ktoś, kto ją podniesie.

— Ogrodnik? Milczek skinął głową.

— Ten sam co wczoraj? Milczek powtórnie skinął głową.

— Hrabia de Rochefort?

Milczek na potwierdzenie po trzykroć skinął głową.

— Podaj mi przynajmniej kilka szczegółów, w jaki sposób mamy uciekać.

— Jest mi to wzbronione aż do chwili samej ucieczki.

- Co to za jedni będą mnie oczekiwać po drugiej stronie fosy?
- Nie wiem, wasza książęca mość.
- Jeśli nie chcesz, żebym zwariował, powiedz mi przynajmniej, co będzie zawierał ten wyborny pasztet?
- Będzie zawierał, wasza wysokość, dwa sztylety, sznur z węzłami i sprężynowy knebel w kształcie gruszki.
- Rozumiem.
- Wasza książęca mość widzi więc, że będzie tam coś dla każdego.
- Dla nas sztylety i sznur.
- A gruszkę każemy zjeść La Ramee — odparł Milczek.
- Mój drogi Milczku — powiedział diuk — mówisz rzadko, ale kiedy już mówisz, to trzeba ci oddać sprawiedliwość: jesteś złotousty!

## 22. Przygoda Marii Michon

W tym samym czasie, kiedy książę de Beaufort snuł z Milczkiem plany ucieczki, dwaj jeźdźcy, którym towarzyszył z tyłu służący, wjeżdżali do Paryża ulicą od strony przedmieścia Saint-Marcel. Byli to hrabia de La Fere i wicehrabia de Bragelonne.

Młody człowiek przybył tutaj po raz pierwszy i Atos nie wykazał zbytnej kokieterii w stosunku do Paryża, swej dawnej miłości, wprowadzając doń młodzieńca przez tę dzielnicę. Ostatnia wioska w Turenii miała zapewne o wiele miłszy wygląd aniżeli Paryż oglądany od strony, z jakiej się patrzy na Blois. Dlatego też musimy powiedzieć ku wstydu tyle chwalonego miasta, że na młodym człowieku wywarło ono nieszczególne wrażenie.

Atos zaś wyglądał jak zawsze beztrosko i pogodnie.

Dotarłszy do Saint-Medard, hrabia, który w tym wielkim labiryncie służył swemu towarzyszowi podróży za przewodnika, skręcił w ulicę des Postes, następnie w l'Estrapade, później w Fosses-Saint-Michel, a dalej w Vaugirard. Dotarłszy do ulicy Ferou podróżni skierowali się nią. Gdy znaleźli się w jej połowie, Atos podniósł z uśmiechem wzrok i wskazując młodzieńcowi dom o mieszczańskim wyglądzie, wyrzekł:

— Spójrz, Raulu, oto dom, gdzie spędziłem siedem najśłodszych i najokrutniejszych lat mego życia.

Z kolei młody człowiek się uśmiechnął i pozdrowił ów dom. Synowskie oddanie Raula dla opiekuna przejawiało się w każdej okoliczności jego życia.

Jak już powiedzieliśmy, Raul był dla Atosa nie tylko głównym, ale i jedynym przedmiotem uczuć, wyjąwszy dawne wspomnienia z pułku, zrozumiałe więc będzie, jak czułe i głębokie sentymta napełniały tym razem serce dawnego muszkietera.

Dwaj podróżni zatrzymali się przed wywieszką “Zielony Lis” przy ulicy du Vieux-Colombier. Atos znalazł tę oberżę od wielu lat; przychodził tu z przyjaciółmi po sto razy. Lecz w ciągu dwudziestu lat w zajęździe zaszło wiele zmian, poczynając od właścicieli.

Podróżni oddali konie w ręce stajennych, a ponieważ byli to rumaki rasy szlacheckiej, zalecili, aby miano o nie jak największe staranie, żeby dano im słomy i owsa oraz obmyto piersi i nogi ciepłym winem. Zrobiły tego dnia dwadzieścia mil. Tak więc zająwszy się najpierw końmi, jak przystało na prawdziwych kawalerów, zażądali następnie dwóch izb dla siebie.

— Przystrój się, Raulu — rzekł Atos. — Mam zamiar przedstawić cię komuś.

— Jeszcze dzisiaj, panie? — zapytał młodzieniec.

— Za pół godziny.

Młody człowiek skłonił się.

Nie tak wytrzymały jak Atos, który zdawał się być z żelaza, Raul wolałby prawdopodobnie wziąć kąpiel w Sekwanie; wiele o niej słyszał i obiecywał sobie, że daleko jej do Loary. Może wolałby też po kąpeli pójść do łóżka, lecz skoro hrabia de La Fere coś zdecydował, pozostawało tylko być mu posłusznym.

— Ale, ale, Raulu, ubierz się starannie, pragnąłbym, abyś pięknie wyglądał.

— Mam nadzieję, panie — odparł młody człowiek uśmiechając się — że nie wchodzi tu w grę małżeństwo. Wszak znacie, panie, moje uczucia dla Luizy.

Teraz znów uśmiechnął się Atos.

— O nie, bądź spokojny, jakkolwiek mam cię przedstawić pewnej kobiecie.

— Kobiecie?

— Tak, a nawet pragnę, abyś ją pokochał.

Młodzieniec spojrzał na hrabiego nieco spłoszony, ale uśmiech Atosa

szybko go uspokoił.

— A w jakim wieku jest ta pani? — zapytał wicehrabia de Bragelonne.

— Mój drogi Raulu, naucz się raz na zawsze, że nie należy nigdy stawiać takiego pytania. Jeżeli jesteś w stanie odczytać wiek z oblicza kobiety, po cóż ją o to zapytywać, a jeśli nie możesz tego uczynić, to jesteś niedyskretny.

— A czy piękna?

— Szesnaście lat temu uchodziła nie tylko za najpiękniejszą, ale i za najpowabniejszą kobietę Francji.

Odpowiedź ta całkowicie uspokoiła wicehrabiego. Atos nie mógł mieć żadnego zamiaru zarówno wobec niego, jak i kobiety, która uchodziła za najpiękniejszą i najpowabniejszą we Francji na rok przed jego urodzeniem.

Udał się więc do swej izby i z zalotnością tak właściwą młodości jął się przykładać do wypełnienia wskazań Atosa, to znaczy starał się zrobić wszystko, by stać się chłopcem możliwie najpiękniejszym. Było to rzeczą nietrudną dla kogoś, kogo sama natura do tego przysposobiła.

Kiedy się znów pojawił, Atos przyjął go z owym ojcowskim uśmiechem, z jakim niegdyś przyjmował d'Artagnana; tylko o ileż więcej czułości kryło się teraz w tym uśmiechu dla Raula.

Atos obrzucił bystrym spojrzeniem jego stopy, jego dłonie, jego włosy — te trzy znamiona dobrego urodzenia. Czarne włosy, wytwornie rozdzielone, jak to było w modzie owej epoki, spadały puklami, obramiając twarz o matowej cerze. Rękawiczki z szarawej danielowej skóry, harmonizujące pięknie z kapeluszem, opinały dłoń delikatną i elegancką, buty zaś, w tym samym kolorze co rękawiczki i kapelusz, obciskały stopę przypominającą stopę dziesięcioletniego dziecka.

— Hm — mruknął Atos — jeśli nie będzie się nim chlubiła, to okaże się po prostu nazbyt wybredna.

Była trzecia po południu, to znaczy godzina odpowiednia do składania wizyt. Dwaj podróżni udali się ulicą de Grenelle, skręcili w ulicę des Rosiers,

weszli na Saint-Dominique i zatrzymali się na wprost klasztoru Świętego Jakuba przed wspaniałym pałacem zdobnym w tarcze herbowe de Luynes.

— To tutaj — rzekł Atos.

I wszedł do pałacu krokiem stanowczym i pewnym, który wskazuje odźwiernemu, iż wchodzący ma do tego wszelkie prawo. Wstąpił do podcienia i zwracając się do oczekującego lokaja, odzianego w paradną liberię, zapytał, czy może się widzieć z księżną de Chevreuse i czy przyjmie ona pana hrabiego de La Fere.

W chwilę później lokaj powrócił i oświadczył, że jakkolwiek jej księżęca wysokość pani de Chevreuse nie ma zaszczytu znać pana hrabiego de La Fere, to jednak prosi go do siebie.

Atos udał się za lokajem, który poprowadził go przez długi rząd komnat, by wreszcie zatrzymać się przed zamkniętymi drzwiami. Znajdowali się w salonie. Atos dał znak wicehrabiemu de Bragelonne, aby pozostał na miejscu.

Lokaj otworzył drzwi i zaanonsował pana hrabiego de La Fere.

Księżna de Chevreuse, o której tak często była mowa bez okazji wprowadzenia jej osoby na scenę w naszym opowiadaniu “Trzej Muszkietierowie”, uchodziła jeszcze za kobietę bardzo piękną. Istotnie, chociaż liczyła sobie w tym czasie lat czterdzieści cztery do czterdziestu pięciu, wyglądała na jakieś lat trzydzieści osiem, trzydzieści dziewięć zaledwie. Wciąż miała te same piękne blond włosy, wielkie oczy, żywe i inteligentne, którym tylekroć przydawała bystrości intryga, a zaślepiła je miłość; jej kibić nimfy sprawiała, że patrząc na nią z tyłu miało się wrażenie, iż jest to jeszcze wciąż ta sama młoda dziewczyna, która przeskakiwała z Anną Austriaczką fosę Tuileries, co w roku 1623 pozbawiło koronę francuską dziedzica.

Zresztą była to zawsze ta sama szalona istota, która na swych przygodach miłosnych wycisnęła takie piętno oryginalności, że stały się one nieomal przyczyną świetności jej rodu.

Księżna znajdowała się w małym buduarze, którego okno wychodziło na

ogród. Buduar ów, wedle mody zaprowadzonej przez księżnę de Rambouillet, kiedy wznosiła swój pałac, obity był czymś w rodzaju błękitnego adamaszku w różowe kwiaty i złote liście. Przebywanie w takim buduarze, zwłaszcza w pozycji jak w tej chwili, to znaczy leżąc na szezlongu, z głową wspartą o obicie ściany, świadczyło o wielkiej zalotności kobiety w wieku księżnej de Chevreuse.

W ręku trzymała na wpół otwartą książkę, pod ramieniem zaś miała podłożoną poduszkę.

Na zapowiedź lokaja uniosła nieco głowę i zaciekawiona wysunęła ją.

W drzwiach pojawił się Atos.

Miał na sobie strój z fioletowego aksamitu z takimiż szmuklerskimi detalami, akselbanty koloru polerowanego srebra, płaszcz pozbawiony jakichkolwiek złotych haftów, a czarny kapelusz opasywało proste, fioletowe pióro.

Na nogach miał buty z czarnej skóry, a na lakierowanym pasie zwisała szpada o wspaniałej rękojeści, tylekroć podziwiana niegdyś przy ulicy Ferou przez Portosa, szpada, której mu Atos nigdy nie chciał pożyczyć.

Wykładany kołnierz koszuli był ze wspaniałych koronek; na sztylpy butów opadały również koronki.

Cała postać zaanonsowanego księżnej de Chevreuse nie znanym jej zupełnie nazwiskiem sprawiała wrażenie szlachcica tak wysokiego rodu, że pani domu na wpół uniosła się i wdzięcznym ruchem wskazała przybyłemu miejsce obok siebie.

Atos skłonił się i usiadł. Lokaj zamierzał się oddalić, lecz Atos dał mu znak, by zaczekał.

— Pani — zwrócił się do księżnej — ośmieliłem się przedstawić pani w jej pałacu, nie będąc jej znanym; śmiałość moja odniosła sukces, ponieważ raczyłaś mnie przyjąć. Teraz z kolei odważam się prosić o półgodzinną rozmowę.

— Przyzwalam na nią, panie — odpowiedziała księżna ze swym

najwdzięczniejszym uśmiechem.

— Ale to jeszcze nie wszystko, pani. Jestem wielki zarozumialec i wiem o tym! Proszę o rozmowę w cztery oczy i pragnąłbym gorąco, aby nam jej nie przerywano.

— Nie przyjmuję nikogo — księżna zwróciła się do lokaja. — Możesz odejść.

Lokaj wyszedł.

Nastała chwila ciszy, w czasie której obie strony, oceniwszy od pierwszego wejrzenia swą przynależność do wysokich rodów, badały się wzajemnie, nie odczuwając z tego powodu żadnego zakłopotania.

Pierwsza przerwała milczenie księżna de Chevreuse, mówiąc z uśmiechem:

— Czy waszmość pan nie widzisz, że czekam z niecierpliwością?

— Ja zaś — odparował Atos — patrzę i podziwiam.

— Wybacz mi waszmość, ponieważ spieszno mi wiedzieć, z kim rozmawiam. Przynależysz pan bezspornie do dworu, a jednak nie widziałam pana nigdy na dworze. Czyżbyś pan przypadkiem wyszedł z Bastylli?

— Nie, pani — odpowiedział Atos z uśmiechem — ale być może, znajduję się na drodze, która tam prowadzi.

— W takim razie, proszę mi powiedzieć, kim pan jesteś, i zaraz stąd odejść — odparła księżna tym swoim krotochwilnym tonem, który miał tyle wdzięku — jestem już bowiem wystarczająco skompromitowana, aby się kompromitować jeszcze bardziej.

— Kim jestem, pani? Powiedziano tu już moje nazwisko: hrabia de La Fere. Nigdy się pani z nim nie zetknęła. Niegdyś nosiłem inne, które zapewne pani знаła, lecz z pewnością zdążyła je już zapomnieć.

— Proszę je powiedzieć.

— Niegdyś — rzekł hrabia de La Fere — nazywałem się Atos.

Księżna de Chevreuse zrobiła wielkie oczy. Było oczywiste, że jak powiedział hrabia, nazwisko owo nie zostało zupełnie wymazane z jej pamięci,



choć zatarło się mocno wśród innych wspomnień.

— Atos, chwileczkę!...

I złożyła obie dłonie na czole, jakby chcąc zmusić tysiące rozbieganych myśli do zatrzymania się choć na chwilę celem rozeznania się w ich świetnej i różnobarwnej ciżbie.

— Czy mam dopomóc waszej księżęcej mości? — uśmiechnął się Atos.

— Ależ tak — odrzekła księżna znużona już poszukiwaniami — sprawi mi pan prawdziwą przyjemność.

— Atos ów związany był z trzema młodymi muszkietierami, którzy nazywali się d'Artagnan, Portos i...

Tu Atos się zatrzymał.

— I Aramis — żywo dorzuciła księżna.

— O właśnie, i Aramis. Więc pani nie zapomniała tak zupełnie tego nazwiska?

— Nie — odparła — o, nie. Biedny Aramis! Był to uroczy szlachcic, elegancki, dyskretny i pisał ładne wiersze. Sądzę, że się źle pokierował — dorzuciła.

— Jak najgorzej, został księdzem.

— Ach, cóż za nieszczęście! — rzekła księżna de Chevreuse, bawiąc się niedbale wachlarzem. — Doprawdy, bardzo panu dziękuję.

— Za co, pani?

— Za odnowienie tego wspomnienia, które jest jednym z przyjemniejszych wspomnień mej młodości.

— Czy pozwoli mi więc pani przypomnieć sobie inne?

— Stojące w związku z tamtym?

— I tak, i nie.

— Dalibóg, proszę mówić; z człowiekiem takim jak pan jestem gotowa na wszystko.

Atos skłonił się.

— Aramis — ciągnął — związany był z pewną młodą bieliźniarką z Tours.

— Z pewną młodą bieliźniarką z Tours? — powtórzyła księżna de Chevreuse.

— Tak, jego kuzynką, która się nazywała Maria Michon.

— Ach, tak, znam ją! — wykrzyknęła księżna — to ta, do której pisywał o obłączeniu La Rochelle, by uprzedzić o spisku knutym przeciwko temu biednemu Buckinghamowi.

— O właśnie. Czy wasza wysokość zezwoli mi mówić o niej?

Księżna de Chevreuse popatrzyła na Atosa.

— Tak, byleby tylko niezbyt źle.

— Byłbym niewdzięcznikiem — powiedział Atos — a niewdzięczność uważam nie za przywarę czy przestępstwo, ale za ułomność, co jest o wiele gorsze.

— Pan niewdzięcznikiem w stosunku do Marii Michon? — rzekła księżna de Chevreuse próbując czytać w oczach Atosa. — Jakże by to mogło być. Pan jej nigdy nie znał osobiście.

— Kto wie, pani — odparł Atos. — Istnieje ludowe przysłowie, które powiada, że tylko góry się ze sobą nie spotykają, a ludowe przysłowia bywają niekiedy niewiarygodnie trafne.

— O, niech pan mówi dalej, proszę mówić — rzekła księżna z ożywieniem. — Nie wyobraża pan sobie, jak mnie ta rozmowa bawi.

— Pani mnie ośmielasz, będę więc dalej rzecz prowadził. Otóż owa kuzynka Aramisa, ta Maria Michon, no, ta młoda bieliźniarka, mimo swego niskiego stanu posiadała znajomości w najwyższych sferach. Damy dworu, te postawione najwyżej, zwała swymi przyjaciółkami, a królowa, tak pełna dumy z racji, że jest zarazem Austriaczką i Hiszpanką, nazywała ją swoją siostrą.

— Niestety — wyrzekła księżna de Chevreuse z lekkim westchnieniem i nieznacznym ruchem brwi, jej tylko właściwym — wiele się od tego czasu zmieniło.

— I królowa miała słuszość — ciągnął Atos — ponieważ Maria była jej bardzo oddana jako pośredniczka między nią a jej bratem królem Hiszpanii.

— Co dziś — wtrąciła księżna — zarzuca się jej jako wielką zbrodnię.

— Tak że kardynał, prawdziwy kardynał, tamten, postanowił pewnego pięknego dnia aresztować biedną Marię Michon i osadzić ją w zamku Loches. Na szczęście sprawa nie mogła być załatwiona tak tajemnie, by rzecz nie wyszła na jaw. Przypadek tego rodzaju został przewidziany: gdyby Marii Michon groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo, królowa miała jej przesłać modlitewnik oprawny w zielony aksamit.

— O to, to. Ależ waszmość jesteście doskonale poinformowany.

— Pewnego ranka książę de Marsillac przyniósł zieloną książeczkę. Nie było czasu do stracenia. Na szczęście Maria Michon, podobnie jak jej subretka Ketty, wyglądały wspaniale w męskim stroju. Książę dostarczył Marii Michon strój kawalera, Ketty zaś strój lokaja, dał im dwa wyśmienite wierzchowce, po czym obie uciekające opuściły natychmiast Tours kierując się ku Hiszpanii. Drżąc za najmniejszym odgłosem, jechały bocznymi drogami, ponieważ bały się wielkich traktów. Gdy po drodze nie było zajazdu, prosiły gdzie bądź o gościńcę.

— Ależ tak, dokładnie tak! — wykrzyknęła księżna plasnawszy w dłonie.  
— Byłoby doprawdy ciekawe...

I zatrzymała się.

— Czy mam iść w ślad za uciekającymi aż do kresu ich podróży? — podjął Atos. — Nie, pani, nie będę tu w ten sposób zabierał czasu. Będziemy im towarzyszyć tylko do małej wioski w Limousin, położonej między Tulle i Angouleme, do małej wioski zwanej Roche-l'Abeille.

Księżna de Chevreuse krzyknęła zaskoczona i spojrzała na Atosa z wyrazem takiego zdumienia, że stary muszkieter aż się uśmiechnął.

— Chwileczkę, pani — ciągnął Atos — to, co pozostało mi do powiedzenia, jest jeszcze bardziej dziwne od tego, co już opowiedziałem.

— Panie — odrzekła księżna de Chevreuse — mam pana za

czarnoksiężnika, spodziewam się wszystkiego; ale w istocie... mniejsza o to, niech pan opowiada dalej.

— Dzień był wówczas długi i męczący; dokuczało zimno: jedenasty października. W wiosce nie było ani zajazdu, ani zamku, chaty wieśniaków ubogie i brudne, a Maria Michon miała bardzo arystokratyczne nawyki. Podobnie jak jej siostra królowa nawykła do przyjemnych pachnideł i cienkiej bielizny. Zdecydowała więc poprosić o gościnę na probostwie.

Atos zatrzymał się.

— Och, mów pan dalej, przecież uprzedziłam pana, że jestem przygotowana na wszystko.

— Dwie podróżniczki zastukały do drzwi. Godzina była późna, ksiądz, leżąc już w łóżku, krzyknął, by weszły. Weszły, gdyż drzwi nie były wcale zamknięte. Na wsiach panuje ogromne wzajemne zaufanie. W pokoju księdza paliła się lampa. Maria Michon, która doskonale udawała najbardziej uroczego pod słońcem kawalera, pchnęła drzwi, wetknęła głowę i poprosiła o gościnę.

— Chętnie, mój młody kawalerze — odrzekł ksiądz — jeśli się zadowolicie resztkami mej kolacji i połową mej izby.

Podróżniczki naradzały się przez chwilę. Ksiądz usłyszał, jak wybuchnęły śmiechem, po czym pan, a raczej pani odpowiedziała:

— Dziękuję, księżę proboszczu, przyjmujemy zaproszenie.

— A więc jedzcie i zachowujcie się możliwie najciszej — odrzekł ksiądz — gdyż ja również biegałem cały dzień i nie byłoby mi przykro przespać tę nockę.

Pani de Chevreuse przechodziła w sposób widoczny od zaskoczenia do zdumienia, a ód zdumienia do osłupienia. Twarz jej, wpatrzona w Atosa, przybrała wyraz trudny do oddania; widać było, że chce mówić, a jednak milczała bojąc się utracić choćby jedno słówko z tego, co opowiadał jej rozmówca.

— A potem? — spytała.

— Potem? O, to doprawdy najtrudniejsze.

— Mów pan! Mów! Mów! Można mi o mnie mówić wszystko. Zresztą to nie dotyczy mnie, to sprawa panny Marii Michon.

— Słusznie — odparł Atos. — A więc Maria Michon zjadła wieczerzę ze swą subretką, po czym zgodnie z otrzymanym przyzwoleniem weszła do izby, gdzie spoczywał gospodarz. Tymczasem Ketty ułożyła się w fotelu w pierwszej izbie, to znaczy tam, gdzie wieczerzały.

— Po prawdzie — rzekła księżna — jeśli nie jesteś pan co najmniej diabłem we własnej osobie, to zupełnie nie wiem, w jaki sposób możesz znać te wszystkie szczegóły.

— Była to czarująca kobieta ta Maria Michon — podjął Atos — jedno z tych szalonych stworzeń, którym bezustannie snują się po głowie najdziwaczniejsze pomysły, jedna z tych istot urodzonych po to, aby dręczyć nas wszystkich, ilu nas jest. Otóż biorąc gospodarza za księdza, zalotnica owa umyśliła sobie, że byłoby wesołym wspomnieniem na starość, pośród tylu już innych posiadanych wspomnień, podręczyć jeszcze i księdza.

— Hrabio — rzekła księżna — klnę się na moją cześć, pan mnie przeraża.

— Niestety — podjął Atos — poczciwy proboszcz nie był świętym Ambrozym, a, powtarzam, Maria Michon była istotą godną uwielbienia.

— Panie — wykrzyknęła księżna chwytając Atosa za rękę — powiedz mi pan natychmiast, skąd pan znasz te wszystkie szczegóły, w przeciwnym razie każę sprowadzić tu mnicha z klasztoru Vieux-Augustins i odprawię egzorcyzmy.

Atos począł się śmiać.

— Nic łatwiejszego, pani. Pewien kawaler, jadący również w ważnej misji, przybył na godzinę przedtem prosić księdza o gościnę, i to właśnie w chwili, gdy proboszcz wezwany do umierającego opuszczał na całą noc nie tylko dom, ale i wioskę. Otóż ten boży człowiek, z całym zaufaniem do swego gościa, który zresztą był szlachcicem, pozostawił mu dom, wieczerzę i łóżko. Maria Michon

prosiła więc o gościnę gościa, a nie pocziwego księdza.

— A ten kawaler, ten gość, ten szlachcic, który przybył przed nią?...

— To ja, hrabia de La Fere — rzekł Atos podnosząc się i z szacunkiem składając ukłon przed księżną de Chevreuse.

Księżna przez chwilę trwała w osłupieniu, po czym nagle wybuchnęła śmiechem.

— Na honor, a to śmieszne! Tę szaloną Marię Michon spotkało wręcz coś więcej, niż się spodziewała. Niechże pan siada, drogi hrabio, i opowiada dalej.

— Teraz, pani, pozostało mi tylko oskarżyć się. Jak to już rzekłem, podróżowałem w pilnej misji. O świcie bezgłośnie opuściłem pokój pozostawiając moją uroczą towarzyszkę noclegu uspioną. W pierwszej izbie również spała z głową odrzuconą na fotel służebna, godna w każdym calu swej pani. Jej piękna twarz zwróciła moją uwagę; zbliżyłem się i rozpoznałem tę małą Ketty, którą nasz przyjaciel Aramis ulokował u boku mojej towarzyszki. W ten sposób dowiedziałem się, że owa uroczą podróżniczka jest to...

— Maria Michon — dorzuciła żywo księżna de Chevreuse.

— Maria Michon — podjął Atos. — Wyszedłem więc z domu, udałem się do stajni, odnalazłem służącego w gotowości, a konia już osiodłanego. Odjechaliśmy.

— I nie przejeżdżałeś pan już nigdy przez tę wioskę? — dopytywała księżna de Chevreuse.

— W rok później, pani.

— I co?

— I... chciałem jeszcze raz zobaczyć pocziwego proboszcza. Zastałem go bardzo zaaferowanego pewnym wydarzeniem, z którego nic nie mogłem zrozumieć. Właśnie przed ośmiu dniami otrzymał w wiszącej kołysce uroczego chłopczyka w wieku trzech miesięcy wraz z kieszką pełną złota i biletem zawierającym te proste słowa: "11 października 1633 roku".

— To data owej dziwnej przygody — rzekła księżna.

— Tak, ale proboszcz nie rozumiał nic poza tym, że spędził tę noc przy umierającym, gdyż Maria Michon również opuściła probostwo, zanim on tam powrócił.

— Czy panu wiadome jest, że Maria Michon natychmiast po powrocie do Francji, w roku 1643, zasięgała języka o tym dziecku, którego nie mogła zatrzymać przy sobie, kiedy była zbiegiem. Lecz po powrocie do Paryża pragnęła je sama wychować.

— I co powiedział jej ksiądz? — zapytał z kolei Atos.

— Że pewien szlachcic, którego wcale nie znał, zgodził się chętnie zająć dzieckiem i jego przyszłością i zabrał je ze sobą.

— To prawda.

— Ach, teraz rozumiem! Ten szlachcic to pan, jego ojciec!

— Tss, proszę nie tak głośno, on tam jest.

— Jest tam! — wykrzyknęła księżna de Chevreuse, żywo powstając — on tam jest, mój syn, syn Marii Michon tam jest! Ależ chcę go natychmiast widzieć.

— Proszę wziąć pod uwagę, pani, że nie zna on ani swego ojca, ani swojej matki — przerwał Atos.

— Zachowałeś pan sekret i oto przyprowadziłeś go do mnie w przekonaniu, że uczynisz mnie szczęśliwą. O, dzięki, dzięki ci, panie! — wykrzyknęła księżna chwytając jego dłoń i usiłując ją podnieść do swych warg. — Dzięki ci, masz pan serce pełne szlachetności!

— Przyprowadzam go, pani — rzekł Atos cofając rękę — abyś ty z kolei dlań coś uczyniła. Do tej pory ja czuwałem nad jego edukacją i jak sędzę, uczyniłem zeń szlachcica w całym tego słowa znaczeniu. Lecz nadszedł moment, kiedy zmuszony jestem znowu rozpocząć życie koczownicze i pełne niebezpieczeństw, życie człowieka zaangażowanego w politykę. Od jutra rzucam się w przygodę, w której mogę zostać zabity; nie pozostaje więc nikt inny poza panią, aby wprowadzić chłopca w świat, gdzie powołany jest do

zajęcia odpowiedniego dla siebie miejsca.

— O, proszę być spokojnym! — wykrzyknęła księżna. — Na nieszczęście mało czym rozporządzam obecnie, ale wszystko, co mi pozostało, to dla niego; co się zaś tyczy jego majątku i tytułu...

— O to, pani, proszę się wcale nie troszczyć; substytuowałem go na włościach Bragelonne, które posiadam tytułem spadku. Daje mu to tytuł wicehrabiego i dziesięć tysięcy liwrów renty.

— Na mą duszę, panie, ależ z waści prawdziwy szlachcic! Teraz spieszno mi ujrzeć naszego młodego wicehrabiego. Gdzież on jest?

— Tam, w salonie. Przywołam go tutaj, jeśli pani sobie tego życzysz.

Atos uczynił krok ku drzwiom. Księżna de Chevreuse zatrzymała go.

— A czy piękny?

Atos uśmiechnął się.

— Podobny do matki.

Jednocześnie otworzył drzwi i skinął na młodzieńca, który stanął w progu. Księżna de Chevreuse nie była w stanie stłumić krzyku radości ujrawszy tak uroczego kawalera; przechodził on wszelkie oczekiwania, jakie duma jej mogła sobie wymarzyć.

— Wicehrabio, proszę się zbliżyć — rzekł Atos. — Jej wysokość, księżna de Chevreuse, dozwala, byś ucałował jej dłoń.

Młodzieniec podszedł z odkrytą głową, czarująco się uśmiechając, po czym przyklęknął na jedno kolano i ucałował dłoń księżnej.

— Panie hrabio — zwrócił się do Atosa — czy aby nie w celu przełamania mej nieśmiałości rzekłeś, iż pani jest księżną de Chevreuse? Może to raczej królowa?

— Nie, wicehrabio — odrzekła księżna, ujmując z kolei jego dłoń i każąc mu usiąść przy sobie. Kiedy nań patrzała, oczy jej błyszczały od rozkoszy. — Nie, na nieszczęście nie jestem wcale królową, gdybym bowiem nią była, zrobiłabym od razu wszystko, na co pan zasługuje. Ale w mojej sytuacji... no



zobaczymy — dorzuciła, ledwie się powściągnąwszy, żeby nie dotknąć wargami tego tak niewinnego czoła — no, zobaczymy. A czemu zamierzasz się poświęcić?

Atos stojąc spoglądał na nich oboje z wyrazem niewypowiedzianego szczęścia.

— Wydaje mi się, pani — odezwał się młodzieniec swym miłym i dźwięcznym głosem — że dla szlachcica jest tylko jedna droga życiowa: służba z bronią w ręku. Pan hrabia, jak mniemam, wychował mnie w intencji zrobienia ze mnie żołnierza, każąc żywić nadzieję, że przedstawi mnie w Paryżu komuś, kto mógłby moją osobę polecić jego książęcej wysokości.

— Tak, rozumiem. To słusznie, jeśli młody żołnierz jak pan służy pod młodym generałem jak on; no, zobaczymy, chwileczkę... Osobiście nie jestem z nim zbyt dobrze z powodu nieporozumień mojej macochy, pani de Montbazon, z panią de Longueville. Ale przez księcia de Marcillac... Oczywiście, hrabio, a więc tak! Księżę de Marcillac jest moim starym przyjacielem; poleci on naszego młodego przyjaciela pani de Longueville, ona z kolei da mu list do jego książęcej wysokości, swego brata, który kocha ją zbyt czule, by nie spełnić wszystkiego, czego odeń zażąda.

— A więc wszystko składa się cudownie — rzekł hrabia. — Czy wolno mi jeszcze prosić panią, księżno, o jak największy pośpiech? Mam powody życzyć sobie gorąco, by wicehrabia jutro wieczorem znajdował się już poza Paryżem.

— Życzysz sobie, hrabio, aby wiadano, że się nim interesujesz?

— Dla jego przyszłości byłoby może lepiej, żeby nie wiadano, iż mnie znał kiedykolwiek.

— Och, panie! — wykrzyknął młody człowiek.

— Wiesz dobrze, Bragelonne, że nigdy nie czynię nic bez powodu.

— Tak, panie — odpowiedział młody człowiek — wiem dobrze, że jesteś pan człowiekiem najwyższej mądrości, i będę wam posłuszny, jak to zawsze miałem we zwyczaju.

— Panie hrabio, proszę pozostawić wicehrabiego mojej pieczy — rzekła księżna. — Poślę do księcia de Marcillac, który na szczęście bawi w tej chwili w Paryżu, i nie puszczę go, póki sprawa nie będzie doprowadzona do końca.

— Doskonale, wasza, księżęca mość, tysiąckrotne dzięki. Mam jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia. Po moim powrocie, to znaczy gdzieś około szóstej wieczorem, oczekuję wicehrabiego w gospodzie.

— Jakie plany macie na dzisiejszy wieczór?

— Idziemy do księdza Scarron, mam do niego list. Winienem tam spotkać jednego z moich przyjaciół.

— To doskonale — odparła księżna. — Ja też spędzę tam chwilkę, nie wychodźcie zatem, zanim się nie zobaczymy.

Atos złożył księżnie ukłon i gotował się do wyjścia.

— Panie hrabio — rzekła śmiejąc się księżna — czy godzi się w tak poważnym nastroju opuszczać swoich dawnych przyjaciół?

— Ach — wyszeptał Atos całując jej dłoń — gdybym był wiedział wcześniej, że Maria Michon jest tak czarującym stworzeniem!...

I westchnąwszy opuścił buduar.

## 23. Książ Scarron

Przy ulicy des Tournelles znajdowało się mieszkanie, które znali wszyscy nosiciele lektyk i wszyscy lokaje Paryża, chociaż nie należało ono do żadnego wielkiego pana ani bankiera. Nie ucztowano tam, nie grano, nie tańczono.

A jednak było to miejsce spotkań wielkiego świata i chodził tam cały Paryż.

Mieszkanie to należało do małego Scarrona.

Nigdzie tak się nie śmiano, jak u tego dowcipnego księdza; nigdzie nie dzielono się tyloma nowinami. Nowinki te były tak szybko komentowane, ćwiartowane i przerabiane bądź na powiastkę czy epigramat, że każdy pragnął spędzić godzinkę z małym Scarronem, usłyszeć, co też on mówi, i to, co powiedział, zanieść gdzie indziej. Wielu płonęło chęcią wtrącenia tam swego słówka, a jeśli tylko było ono zabawne, było mile widziane.

Drobny książ Scarron, który zresztą był księdzem tylko dlatego, że posiadał opactwo, a wcale nie z powodu święceń, był niegdyś jednym z najbardziej zalotnych prebenderuszy miasta Mans, gdzie zamieszkiwał. Otóż pewnego karnawałowego dnia zapragnął ponad dopuszczalną miarę zabawić to pocziwe miasto, którego był duszą. Kazał więc służącemu, by wysmarował go miodem; następnie rozpruł pierzynę, wytarzał się w niej tak, że przeobraził się w najbardziej groteskowy stwór skrzydlaty, jaki można sobie wyobrazić.

W tym dziwnym kostiumie jał składać wizyty przyjaciółom i przyjaciółkom. Początkowo gapie szli za nim ze zdumieniem, potem z wrzaskiem, następnie zaczęli go grubiańsko znieważać, dzieci jęły weń rzucać kamieniami, wreszcie musiał wziąć nogi za pas, by umknąć przed pociskami. W chwili gdy rzucił się do ucieczki, wszyscy ruszyli za nim, napieranemu, osaczonemu, szarpanemu ze wszystkich stron Scarronowi nie pozostawało nic

innego, jak umknąć przed eskortującym go tłumem rzucając się do rzeki. Pływał jak ryba, lecz woda była lodowata. Scarron był spocony, zimno go ścieło, kiedy więc dopłynął do drugiego brzegu, był już sparaliżowany.

Wszelkimi sposobami znanymi podówczas próbowano przywrócić władzę jego członkom; lecząc zadano mu tyle cierpień, że oddalił wszystkich lekarzy oświadczając, iż najbardziej odpowiada mu choroba; następnie powrócił do Paryża, gdzie miał już ustaloną opinię człowieka lotnego dowcipu. Tu kazał sporządzić sobie krzesło własnego pomysłu. I kiedy pewnego dnia, siedząc w tym krześle złożył wizytę królowej Annie Austriaczce, ta, zachwycona jego dowcipem, zapytała, czy nie życzy on sobie jakiego tytułu.

— Tak jest, wasza królewska mość. Jest taki jeden, który bardzo pragnąłbym mieć — odparł Scarron.

— A jakież to? — zapytała Anna Austriaczka.

— Tytuł chorego waszej królewskiej mości — odpowiedział ksiądz. I Scarron został mianowany chorym królowej z pensją tysiąca pięciuset liwrów.

Od tego czasu Scarron, pozbawiony troski o dzień jutrzejszy, wiódł wesoły tryb życia przejadając zarówno kapitały, jak i dochody.

Jednakże pewnego dnia wysłannik kardynała dał mu do zrozumienia, że postępuje niewłaściwie przyjmując u siebie koadiutora.

— A to czemu? — zapytał Scarron. — Czyż nie jest to człowiek dobrze urodzony?

— Dalibóg, w samej rzeczy.

— Przyjemny?

— Nie da się zaprzeczyć.

— Dowcipny?

— Na nieszczęście ma za wiele dowcipu.

— Więc dlaczegóż pan chcesz — odparł Scarron — abym przestał widywać podobnego człowieka?

— Ponieważ źle myśli.

— Doprawdy? A o kim?

— O kardynale.

— Jakżeż to? Widuję się ciągle z panem Gilles Despreaux, który o mnie źle myśli, a pan chcesz, abym przestał się widywać z panem koadiutorem, dlatego że myśli źle o kimś innym? Niemożliwe!

Rozmowa utknęła, a Scarron, powodowany przekorą, widywał się z panem de Gondy jeszcze częściej.

Otóż rankiem tego dnia, w którym przybyliśmy wraz z Atosem do Paryża, przypadła wypłata kwartalna i Scarron, jak to miał we zwyczaju, posłał służącego z pokwitowaniem, aby podjął jego pensję kwartalną z kasy wypłat; tam jednak odpowiedziano:

“Państwo nie posiada już pieniędzy dla księdza Scarrona”.

Kiedy służący przyniósł tę odpowiedź Scarronowi, bawił właśnie u niego książę de Longueville, który z miejsca zaofiarował się z dwakroć wyższą pensją od skreślonej przez Mazariniego. Ale szczywany podagryk ani myślał jej przyjąć. Zakrzętnął się tak żywo, że o czwartej po południu całe miasto wiedziało o odmowie kardynała. Był to właśnie czwartek, dzień przyjęć u księdza; przybyły doń tłumy, w całym mieście zaciekle krytykowano Mazariniego.

Na ulicy Saint-Honore Atos spotkał dwóch nieznanymi szlachciców, jadących konno jak i on, ze służącym z tyłu jak jego służący, i zdążających tą samą drogą.

— Czy pan wie, że ten łajdak Mazarini skreślił pensję biednemu Scarronowi?!

— Toż to niedorzeczność — odparł Atos oddając ukłon obu kawalerom.

— Zaraz widać, żeś pan jest zacnym człowiekiem — odpowiedział ów, który zwrócił się był do Atosa. — Ten Mazarini to prawdziwa plaga.

— Niestety, panie — odrzekł Atos. — Nie mnie o tym mówić.

I rozstali się jak najuprzejmiej.

— Dobrze się składa, że mamy tam iść dziś wieczorem — zwrócił się Atos

do wicehrabiego. — Wyrazimy nasze uszanowanie temu biednemu człowiekowi.

— Ale kto to właściwie jest ten pan Scarron, który poruszył tak cały Paryż? — zapytał Raul. — Czy to może jakiś minister, co popadł w niełaskę?

— Ależ na Boga, nic podobnego, wicehrabio — odparł Atos. — To po prostu mały szlachcic o wielkim umyśle, który popadł w niełaskę u kardynała za napisanie przeciw niemu jakiegoś czterowiersza.

— A czy ludzie szlacheckiego pochodzenia piszą wiersze? — spytał naiwnie Raul. — Sądziłem, że to przynosi ujmę.

— Tak, mój drogi wicehrabio — Atos zaśmiał się w odpowiedzi — ale tylko wówczas, kiedy wiersze są złe; gdy są pisane dobrze, przyczyniają jeszcze sławy. Weź takiego pana de Rotrou. Jednakże — ciągnął Atos tonem, jakim udziela się zbawczej rady — sądzę, że lepiej tego nie czynić.

— A więc — pytał Raul — ten pan Scarron jest poetą?

— Tak, uprzedziłem cię, wicehrabio, miej się więc na baczności w tym domu. Mów tylko gestami albo raczej tylko słuchaj.

— Tak, panie — odrzekł Raul.

— Będiesz mnie widział wiele rozmawiającego z jednym z moich przyjaciół; będzie to ksiądz d'Herblay, o którym często ode mnie słyzałeś.

— Przypominam go sobie, panie.

— Od czasu do czasu zbliż się do nas niby dla powiedzenia czegoś, lecz proszę cię nie mów nic. Również i nie słuchaj. Pomoże nam to uniknąć natrętów.

— Tak, panie, będę posłuszny w każdym calu.

Atos pojechał odbyć dwie wizyty na mieście. Po czym o godzinie siódmej skierowali się w stronę ulicy des Tournelles. Była ona zapchana tragarzami, końmi i pieszą służbą. Atos utorował sobie przejście i wszedł do środka, a za nim młodzieniec. Pierwszą osobą, której widok uderzył go zaraz przy wejściu, był Aramis; przysiadł obok fotela na kółkach, bardzo obszernego, posiadającego

baldachim z tkaniny używanej na obicia, pod którym poruszała się owinięta brokatową kołdrą, drobna postać o twarzy dość młodej, pełnej uśmiechów, lecz od czasu do czasu pokrywającej się bladością, przy czym oczy jej nie traciły bynajmniej żywego, bystrego czy ujmującego wyrazu. Był to ksiądz Scarron, zawsze roześmiany, pełen kpiny, prawiący komplementy, cierpiący i drapiący się małą pałeczką.

Wokół tego jakby ruchomego namiotu cisnął się tłum szlachty i dam. Komnata utrzymana była bardzo czysto i przyzwoicie umeblowana. Z dużych okien spadały wielkie, wzorzyste w kwiaty draperie, niegdyś o żywych barwach, teraz już nieco spłowiałych; obicie ścian skromne, ale w dobrym guście. Dwaj lokaje, uprzejmi, wymusztrowani, pełnili swą służbę z dystynkcją.

Zoczywszy Atosa, Aramis zbliżył się ku niemu, ujął za dłoń i przedstawił Scarronowi, który okazał nowemu gościowi tyleż grzeczności co i szacunku, wicehrabiego zaś obdarzył dowcipnym komplementem. Raul zdumiał się, gdyż nie był przygotowany na taki majestat dowcipnisia. Skłonił się jednak z wielką gracją. Atosa jęli komplementować dwaj czy trzej panowie, którym przedstawił go Aramis, po czym hałas spowodowany wejściem hrabiego powoli się uciszył i potoczyła się ogólna rozmowa.

Po czterech czy pięciu minutach, które pozwoliły Raulowi dojść do siebie i rozejrzeć się w topografii zgromadzenia, otworzyły się drzwi i lokaj oznajmił przybycie panny Paulet.

Atos ujął wicehrabiego za ramię.

— Raulu, spójrz na tę kobietę, jest ona bowiem osobistością historyczną; do niej to właśnie jechał Henryk IV, kiedy został zamordowany.

Raul zadrzał; od kilku dni co chwila podnosiła się jakaś kurtyna, odsłaniająca przed nim jakiś heroiczny aspekt: oto weszła kobieta jeszcze młoda i piękna, która znała Henryka IV i z nim rozmawiała.

Wszyscy stłoczyli się wokół nowo przybyłej, gdyż była ona jeszcze wciąż bardzo w modzie. Wysoka, o smukłej, giętkiej figurze, miała bujne, złociste

włosy, w jakich lubował się Rafael i w jakie Tycjan przystrajał wszystkie swoje Magdaleny. Ten płowy kolor, a może królewska władczość, która stanowiła o jej przewadze nad innymi kobietami, nadały jej przydomek Lwicy.

Niechaj nasze piękne panie pretendujące do tego światowego tytułu wiedzą, że nie przypadł on im, jak być może sądziły, z Anglii, ale od ich pięknej, pełnej dowcipu rodaczki, panny Paulet.

Panna Paulet skierowała się wprost do Scarrona wśród szmeru głosów, jaki podniósł się zewsząd na jej przybycie.

— A więc, drogi księże — rzekła spokojnym głosem — jest pan teraz człowiekiem ubogim? Dowiedzieliśmy się o tym dziś po południu u pani de Rambouillet. Doniósł nam to pan de Grasse.

— Tak, ale za to państwo jest teraz bogate — odparł Scarron. — Trzeba się umieć poświęcić dla kraju.

— Pan kardynał kupi sobie co roku za tysiąc pięćset liwrów więcej pomady i pachnidła — powiedział frondysta, w którym Atos rozpoznał szlachcica spotkanego na ulicy Saint-Honore.

— Ale co na to muza? — odezwał się słodziutkim głosem Aramis. — muza, która potrzebuje złotego środka. Przecież ostatecznie:

*Si Virgilio puer aut tolerabile desit*

*Hospitium, caderent omnes a crinibus hydri<sup>40</sup>.*

— Doskonale! — rzekł Scarron, wyciągając rękę do panny Paulet. — Jeśli nie posiadam już mojej hydry, pozostała mi przynajmniej moja lwica.

Powiedzonka Scarrona wydawały się tego wieczoru wyśmienite. Jest to przywilej prześladowanych. Pan Menage nie posiadał się z entuzjazmu.

---

40 Si Virgilio... hydri.

Bo gdyby nie miał Wergiliusz choć przytulnego domostwa I niewolnika, wnet Furii węże wypadłyby z włosów. (Przekł. Gabrieli Pianko).  
Fragment jednaj z satyr Juwenalisa, zawierający aluzję do opisu Furii w VII ks. Eneidy Wergiliusza.  
Sens: gdyby Wergiliusz był biedny, nie skreśliłby tak wspaniałych opisów.



Panna Paulet udała się na swoje zwykłe miejsce. Zanim jednak siadła, powiodła z wyżyn swego wzrostu okiem królowej po całym zgromadzeniu i zatrzymała wzrok na Raulu.

Atos uśmiechnął się.

— Zostałeś, wicehrabio, zauważony przez pannę Paulet. Idź, pokłoń się jej. Bądź tym, kim jesteś — szczerym prowincjuszem. Tylko nie śmiej mówić jej cokolwiek na temat Henryka IV.

Wicehrabia rumieniąc się podszedł do Lwicy i wkrótce zniknął pośród tych wszystkich panów, którzy otaczali jej krzesło.

Utworzyły się teraz dwie zupełnie wyraźne grupy: jedna otaczająca pana Menage, a druga pannę Paulet. Scarron przemykał od jednej do drugiej sterując wśród całego towarzystwa swym fotelem na kółkach ze zręcznością pilota manewrującego barką na morzu usianym podwodnymi rafami.

— Kiedy porozmawiamy? — spytał Atos Aramisa.

— Zaraz — odpowiedział tenże. — Jeszcze trochę za mało ludzi.

Zwrócono by na nas uwagę.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i lokaj zaanonsował pana koadiutora.

Na dźwięk tego nazwiska wszyscy się obrócili, ponieważ zaczynało ono być już bardzo głośne.

Atos zachował się podobnie jak i wszyscy. Ksiądz de Gondy znał tylko z nazwiska.

Ujrzał małego, czarnego mężczyznę, źle zbudowanego, o rękach niezręcznych we wszystkim prócz dobywania szpady i pistoletu, krótkowidza, który na wstępie zderzył się ze stołem, omal go nie wywracając. Lecz przy tym wszystkim na twarzy jego malowała się jakaś wyższość i duma. Scarron również się obejrzał i wyjechał mu naprzeciw w swoim fotelu. Panna Paulet ze swego miejsca przesłała mu powitanie ręką.

— Aha — rzekł koadiutor spostrzegłszy Scarrona, co nastąpiło dopiero wówczas, gdy się nań natknął — to ksiądz w niełaskach, he?

Był to zwrot sakramentalny. Wyrzeczono go ze sto razy tego wieczora i Scarron miał już setny dowcip na ten temat, tym razem omal nie chybiony — uratował go jedynie rozpaczliwy wysiłek.

— Kardynał Mazarini zechciał o mnie pomyśleć — odparł.

— Nadzwyczajne! — wykrzyknął Menage.

— Ale co pan zrobisz, aby nas dalej u siebie przyjmować? — ciągnął koadiutor. — Skoro pańskie dochody tak się zmniejszają, będę zmuszony mianować pana kanonikiem przy katedrze Panny Marii.

— Nie, och nie! Zbyt bym waszą wielebność kompromitował.

— Więc masz pan źródła, których nie znamy.

— Zapożyczę się u królowej.

— Ależ jej królewska mość nie posiada osobiście nic — wtrącił Aramis. — Czyż nie żyje ona we wspólnocie posagowej?

Koadiutor odwrócił się i przyjaźnie uśmiechnął do Aramisa, skinąwszy mu końcem palca.

— Wybacz, drogi księże — rzekł doń. — Jesteś pan mocno spóźniony i muszę panu coś podarować.

— Co takiego? — spytał Aramis.

— Sznur do kapelusza.

Wszyscy zwrócili się w stronę koadiutora, który wyciągnął z kieszeni sznur o szczególnym kształcie.

— Ależ to proca! — rzekł Scarron.

— Otóż to! Fronde — odparł koadiutor. — Wszystko robi się pod fronde. Panno Paulet, mam dla pani wachlarz a la fronde. Panu d'Herblay dam mego rękawicznika, robi on rękawiczki a la fronde. Panu zaś, Scarron, piekarz mój daje nieograniczony kredyt; wypieka on chleby a la fronde, wyśmienite!

Aramis wziął sznur i opasał nim kapelusz.

W tejże chwili otworzyły się drzwi i lokaj zawołał głośno:

— Jej wysokość księżna de Chevreuse!

Na to nazwisko wszyscy powstali.

Scarron żywo skierował fotel w stronę drzwi. Raul się zaczerwienił. Atos skinął na Aramisa, który poszedł schronić się we wnęce okna.

Słuchając komplementów pełnych szacunku, którymi przyjęto ją zaraz od wejścia, księżna wyraźnie poszukiwała kogoś czy czegoś. Wreszcie dostrzegła Raula i oczy jej rozblęły; spostrzegła Atosa i o władnęło ją rozmarzenie; we wnęce okiennej dojrzała Aramisa i za wachlarzem drgnęła niedostrzegalnie ze zdziwienia.

— O właśnie! — ozwała się, jakby chcąc odpędzić myśli, które opadły ją mimo woli. — Jak tam się czuje biedny Voiture? Nie wiesz pan przypadkiem, panie Scarron?

— Jak to! Pan Voiture chory? — zapytał jegomość, który rozmawiał z Atosem na ulicy Saint-Honore — a co mu dolega?

— Grał nie troszcząc się, aby mu lokaj zmieniał koszule — rzekł koadiutor. — W ten sposób zaziębił się i jest umierający.

— Gdzież to?

— Miły Boże, u mnie! Proszę sobie wyobrazić, że ten biedny Voiture uroczyście ślubował, iż nie będzie więcej grał. Po trzech dniach nie mógł już zdzierżyć i wędruje na arcybiskupstwo, bym zdjął zeń śluby. Na nieszczęście byłem w tym czasie bardzo zajęty z poczciwym radcą Broussel, i to w najdalszym z moich apartamentów. Tymczasem Voiture zobaczył markiza de Luynes oczekującego przy stole na partnera do gry. Markiz go woła, zaprasza do stołu. Voiture odpowiada, że nie może grać, ponieważ nie zdjąłem zeń ślubów, Luynes przemawia w moim imieniu, bierze grzech na swój rachunek i Voiture zasiada do stołu, przegrywa czterysta talarów. Wyszedłszy na dwór zaziębia się i kładzie do łóżka, by więcej już nie powstać.

— Czy z nim aż tak źle, z naszym drogim Voiture? — zapytał Aramis ukryty na wpół za zasłoną okienną.

— Niestety — odpowiedział pan Menage. — Bardzo z nim źle i ten wielki

człowiek zapewne nas opuści, deseret orbem<sup>41</sup>.

— On, umrzeć? — wyrzekła cierpko panna Paulet. — Ani mu w myśli. Otoczony kochankami jak Turek. Pani de Saintot przybiegła i podaje buliony, La Renaudot grzeje mu prześcieradła. I tak wszystkie aż do naszej przyjaciółki, markizy de Rambouillet, która posyła mu napary z ziół.

— Pani go nie lubisz, droga Partenio! — rzekł śmiejąc się Scarron.

— Ach, cóż za niesprawiedliwość, drogi mój nieboraku! Nienawistny mi jest w tak znikomym stopniu, że z przyjemnością zamówię mszę za spokój jego duszy.

— Nie darmo nazwano cię Lwicą — odezwała się ze swego miejsca pani de Chevreuse. — Mocno kąsas.

— Pani zbyt krzywdzisz wielkiego poetę, jak mi się zdaje — ośmielił się odezwać Raul.

— On, wielki poeta? Widać zaraz, wicehrabio, że przybywasz pan z prowincji, jak mi to niedawno powiedziałaś, i że nie widziałeś go nigdy na oczy. On, wielki poeta? Ma zaledwie pięć stóp wzrostu.

— Brawo, brawo! — zawołał duży, suchy i czarny mężczyzna z butnym wąsem i olbrzymim rapierem. — Brawo, piękna Paulet! Czas już ustawić tego małego Voiture na właściwym miejscu. Oświadczam głośno: uważam, że znam się na poezji i jego poezja zawsze mnie mierzyła.

— Co to za fanfaron, panie? — spytał Raul Atosa.

— Pan de Scudery.

— Autor Kleii i Wielkiego Cyrusa?

— Napisał je wspólnie ze swą siostrą. Właśnie w tej chwili rozmawia ona z tą piękną osobą, tam obok pana Scarron.

Raul obejrzał się i w samej rzeczy ujrzał dwie nowe, dopiero co przybyłe osoby. Jedna z nich to sam czar, sama kruchość, sam smutek, okolone pięknymi czarnymi włosami; oczy miała aksamitne jak owe piękne fioletowe bratki o

---

41 Deseret orbem (łac.) — opuści świat.

płatkach skrzących się złotym środkiem. Druga z kobiet, zdająca się sprawować opiekę nad nią, była sucha, żółta, prawdziwa postać dueni bądź dewotki.

Raul przyrzekł sobie święcie, że nie opuści salonu nie porozmawiawszy wpierw z piękną dziewczyną o aksamitnych oczach. Przez jakieś dziwne skojarzenie przypomniła mu ona, mimo że nie mogło być tu mowy o żadnym podobieństwie, biedną, małą Luizę, którą pozostawił cierpiącą na zamku de la Valliere, i o której tutaj wśród tego całego towarzystwa na chwilę był zapomniiał.

Tymczasem Aramis podszedł do koadiutora; ów, z twarzą całą w uśmiechach, szepnął mu na ucho kilka słów. Aramis, choć bardzo opanowany, nie zdołał powściągnąć nieznacznego wzdrygnięcia.

— Niech pan się śmieje — rzekł mu pan de Retz. — Patrzą tu na nas.

I odszedł porozmawiać z księżną de Chevreuse otoczoną wielkim kołem gości.

Aramis, chcąc zmylić uwagę kilku ciekawskich, udał, że się śmieje, a zobaczywszy z kolei, że Atos skierował się do wnęki okiennej i pozostaje tam już od jakiegoś czasu, zdecydował się doń przyłączyć rzuciwszy po drodze tu i ówdzie kilka słów.

Ledwie znaleźli się obok siebie, nawiązali rozmowę, której towarzyszyła dobitna gestykulacja.

Wówczas podszedł do nich Raul, jak mu to był zalecił Atos.

— Właśnie ksiądz recytował mi — rzekł głośno Atos — rondo pana de Voiture. Niezrównane!

Raul postął jakiś czas przy nich, po czym przyłączył się do grupy księżnej de Chevreuse, do której podeszły z jednej strony panna Paulet, a z drugiej panna de Scudery.

— Niezupełnie zgadzam się z panem de Scudery — odezwał się koadiutor — przeciwnie, uważam, że pan de Voiture jest poetą, wyłącznie tylko poetą. Nie masz u niego zupełnie idei politycznych.

— A zatem? — zagadnął Atos.

— Jutro — rzucił szybko Aramis.

— O której?

— O szóstej.

— Gdzie?

— W Saint-Mande.

— Kto ci to powiedział?

— Hrabia de Rochefort.

Ktoś się zbliżał.

— A idee filozoficzne? Właśnie brakuje ich w poezji tego biednego Voiture. Co do mnie, podzielam zdanie pana koadiutora: tylko poeta.

— Tak, z pewnością. W poezji był fenomenalny — odezwał się pan Menage. — Wszelako potomność, podziwiając go, wypomina mu jedno: że pozwalał sobie w fakturze wiersza na zbyt wielką dowolność. Nie zdając sobie sprawy zamordował poezję.

— O właśnie, zamordował! — potwierdził Scudery.

— Ależ jakie arcydzieła te jego listy — wtrąciła księżna de Chevreuse.

— O, jeśli o to chodzi — rzekła panna de Scudery — to znakomity zbiór.

— To prawda — odparła panna Paulet — ale tylko w wypadku, gdy rzecz toczy się żartem; jego styl epistolarny, poważny godzien jest politowania i przyznacie mi rację, że o ile nie mówi o czymś bez ogródek, wypada to bardzo źle.

— Ale zgodzi się pani przynajmniej, że w rzeczach uciesznych jest niezrównany.

— Tak, z pewnością — podjął Scudery podkrecając wąsa. — Uważam jednak, iż jego komizm jest wymuszony, żart zaś zbyt płaski. Proszę przeczytać sobie *List karpia do szczupaka*.

— Nie mówiąc — dorzucił Menage — że najlepsze inspiracje czerpał z pałacu Rambouillet. Proszę przejrzeć *Zelidę* i *Alcidaleę*.

— Co do mnie — rzekł Aramis zbliżając się do grona i pozdrawiając z szacunkiem księżnę de Chevreuse, która odpowiedziała mu łaskawym uśmiechem — co do mnie, zarzuciłbym mu jeszcze zbyt swobodny stosunek do ludzi na piedestale. Uchybił on częstokroć jej wysokości księżnie, panu marszałkowi d'Albert, panu de Schomberg, nawet samej królowej.

— Jak to, królowej? — zapytał Scudery, wysuwając w przód prawą nogę, jakby przyjmował pozycję obronną. — Do licha, wcale o tym nie wiedziałem. I w jakież to sposób uwłaczył jej majestatowi?

— Nie znacie państwo jego utworu *Myślałem*?

— Nie — rzekła księżna de Chevreuse.

— Nie — rzekła panna de Scudery.

— Nie — rzekła panna Paulet.

— Po prawdzie sędzę, że królowa mało komu o tym powiedziała, ale wiem to z ust zupełnie pewnych.

— I znasz pan ten utwór?

— Sędzę, że przypomniałbym go sobie.

— Prosimy, prosimy — odezwał się chór głosów.

— Więc opowiem państwu, przy jakiej okazji rzecz ta została napisana — rzekł Aramis. — Otóż pan de Voiture jeździł karocą królowej po lesie Fontainebleau zażywając z nią przejażdżki sam na sam. Udał zamyślonego, chcąc, by królowa zapytała go, o czym myśli. I nie chybił.

— O czym waść tak myślisz, panie de Voiture? — zapytała jej królewska mość.

Voiture uśmiechnął się, udawał przez pięć minut, że się zastanawia, by uwierzono, że improwizuje, i odpowiedział:

*Myślałem, że przeznaczenie,*

*Po niesłusznych tylu klęskach,*

*Dało pani sławy wieniec*

*I zaszczyty, i zwycięstwa;  
Żeś przez los jest wyróżnioną  
Bardziej, aniżeli dotąd było,  
Że nie powiem zakochaną!...  
Samo tak się w rym złożyło.*

Scudery, Menage i panna Paulet wzruszyli ramionami.

— Chwileczkę — rzekł Aramis — jest tego trzy strofki.

— Powiedz pan raczej: trzy kuplety — rzekła panna de Scudery — to najwyżej piosenka.

*Myślałem, że Amor mały,  
Co użyczał Tobie broni,  
Już bez wdzięku, łuku, strzały  
Z Marii dworu oddalony.  
Jakaż korzyść mi przypadnie,  
Gdy rozmyślam obok pani —  
Przecz traktujesz tak nieładnie  
Tych, co byli ci oddani?*

— O, co się tyczy tego ostatniego rysu — rzekła pani de Chevreuse — to nie wiem, czy mieści się on w poetyckich regułach, domagam się dlań jednak łaski, ponieważ to prawda. A jeśli tego trzeba, przyłączą się do mego zdania pani de Hautefort i pani de Sennecey, nie licząc księcia de Beaufort.

— Dalej, dalej — wtrącił Scarron — mnie to już nie dotyczy: od dzisiejszego ranka nie jestem jej chorym.

— A ostatni kuplet? — spytała panna de Scudery. — Jak tam ostatni kuplet?

— Proszę bardzo — rzekł Aramis — jest on o tyle lepszy, iż operuje



imionami własnymi, tak że nie sposób się pomylić.

*Myślałem — a my poeci  
Jakieś dziwne mamy myśli —  
Co też kaprys Ci zaleci,  
Jak postąpisz wówczas, jeśli  
Ujrzysz na tym miejscu, z bliska,  
Że Buckingham tutaj zdąży...  
Który łaskę twoją zyska —  
Książd spowiednik czy też książkę?*

Po ostatniej strofie zakrzyknęli wszyscy jak jeden, że to impertynencja ze strony pana de Voiture.

— To jednak, niestety — odezwała się półgłosem młoda dziewczyna o aksamitnych oczach — uważam te wiersze za urocze.

Podobnie sądził też i Raul, który podszedł do Scarrona i rumieniąc się rzekł:

— Panie Scarron, zrób mi ten zaszczyt, proszę, i powiedz, kim jest owa młoda dama tak odosobniona w swojej opinii w gronie tego znakomitego towarzystwa.

— Ach, mój wicehrabio, drogi młodzieńcze — odparł Scarron — suponuję, że masz chęć zaproponować jej przymierze zaczepno-odporne?

Raul zarumienił się ponownie.

— Wyznaję, że uważam te wiersze za bardzo ładne.

— I tak jest w samej rzeczy — rzekł Scarron — ale tsss... między poetami nie mówi się tego.

— Ależ ja nie mam zaszczytu być poetą i zapytałem o...

— Istotnie: kto jest ta młoda dama, nieprawdaż? To piękna Indianka.

— Proszę mi wybaczyć, panie — Raul zarumienił się — ale wiem z tego

tyle co i przedtem. Niestety, jestem prowincjuszem.

— Ma to znaczyć, że pojmujesz pan niewiele z gadaniny płynącej tu potokiem ze wszystkich ust. Tym lepiej, młodzieńcze, tym lepiej! Nie usiłuj zrozumieć, stracisz daremnie czas. A kiedy wreszcie zrozumiesz, nie będzie już o tym mowy.

— Wybacz mi więc pan i zechciej powiedzieć, kim jest osoba nazywana przez pana piękną Indianką?

— O, proszę bardzo! Jest to jedna z najbardziej uroczych istot, jakie istnieją, panna Franciszka d'Aubigne<sup>42</sup>.

— Czy pochodzi ona z rodu sławnego Agrypy, przyjaciela Henryka IV?

— To jego wnuczka. Przybyła z Martyniki i właśnie dlatego nazywam ją piękną Indianką.

Raul otworzył szeroko oczy. Spotkały się one z oczami młodej damy, która się uśmiechnęła.

W towarzystwie rozprawiano dalej o panu de Voiture.

— Panie — powiedziała panna d'Aubigne zwracając się tym razem do Scarrona, jakby chciała się włączyć do rozmowy prowadzonej z młodym wicehrabią — czy nie budzą w panu podziwu przyjaciele tego biednego Voiture? Proszę tylko posłuchać, jak go oskubują, przez cały czas wychwalając. Jeden pozbawia go zdrowego sensu, drugi poezji, trzeci oryginalności, inny komizmu, jeszcze inny niezależności, inny... Ach, miły Boże! Cóż pozostawia z tego “znakomitego zbioru”, jak była się wyraziła panna de Scudery.

Scarron zaczął się śmiać, Raul również. Piękna Indianka, zdumiona wywołanym efektem, spuściła oczy i przybrała z powrotem swą niewinną minkę.

— Co za dowcipna osoba — rzekł Raul.

Atos, stojąc wciąż jeszcze we wnęce okiennej, z lekceważącym uśmiechem

---

42 Panna Franciszka d'Aubigne — późniejsza żona Scarrona, znana pod nazwiskiem pani de Maintenon od nazwy swych dóbr. Po śmierci Scarrona (1660) została faworytą, a potem nawet żoną (1684) Ludwika XIV.

na wargach błdził wzrokiem po całej tej scenie.

— Niech pan łaskawie przywoła hrabiego de La Fere — zwróciła się księżna de Chevreuse do koadiutora — muszę z nim pomówić.

— Ja zaś — odparł koadiutor — muszę tak postępować, żeby uważano, iż nie rozmawiam z nim wcale. Lubię go i podziwiam, ponieważ znam jego dawne przygody, przynajmniej niektóre, lecz według mojej rachuby ukłonię mu się dopiero pojutrze rano...

— A dlaczegóż to dopiero pojutrze rano?

— Dowie się pani o tym jutro wieczorem — zaśmiał się koadiutor.

— Doprawdy, mój drogi Gondy — rzekła księżna — mówisz pan jak Apokalipsa<sup>43</sup>. Panie d'Herblay — dodała zwracając się do Aramisa — czy nie zechciałby pan jeszcze raz usłużyć mi tego wieczoru?

— Ależ, księżno! Dziś wieczorem, jutro i zawsze proszę mi rozkazywać.

— A więc poszukaj pan hrabiego de La Fere, chciałabym z nim pomówić.

Aramis zbliżył się do Atosa i powrócił wraz z nim.

— Panie hrabio — rzekła księżna wręczając mu list — oto co panu przyobiecałam. Nasz protegowany będzie przyjęty doskonale.

— Pani — odparł Atos — jest on bardzo szczęśliwy mogąc cokolwiek zawdzięczać tobie.

— Nie masz mu pan czego zazdrościć w tym względzie, poznanie go bowiem mam tobie do zawdzięczenia — odparła ta filuterna kobieta z uśmiechem, który przypomniał Aramisowi i Atosowi Marię Michon.

Powiedziawszy to, podniosła się i zażądała karety. Panna Paulet już odjechała, panna de Scudery właśnie odjeżdżała.

— Wicehrabio — rzekł Atos do Raula — idź za jej księżącą wysokością i poproś, by wyświadczyła ci tę łaskę i dozwoliła podać sobie rękę przy schodzeniu, a sprowadzając ją skorzystaj ze sposobności i podziękuj jej.

Piękna Indianka podeszła do Scarrona, ażeby go pożegnać.

---

43 Apokalipsa — jedna z ksiąg Nowego Testamentu, pełna niesamowitych, wizjonerskich obrazów.

— Pani już odchodzi?

— Jak pan widzisz, odchodzę jedna z ostatnich. Jeśli będziesz pan miał wiadomości o panu de Voiture, a nade wszystko pomyślne, proszę, prześlij mi je łaskawie jutro.

— Och, teraz może on umrzeć — odparł Scarron.

— Jak to? — rzekła dziewczyna o aksamitnych oczach.

— Bez wątpienia, panegiryk na jego cześć już gotowy.

I rozstali się w uśmiechach, młoda dziewczyna oglądając się, by spojrzeć na biednego paralityka z sympatią, biedny paralityk przeprowadzając ją oczami zakochanego.

Powoli poszczególne grupy przerzedziły się. Scarron zdawał się nie wiedzieć, że niektórzy spośród jego gości wiedli tajemne rozmowy, że do kilku z nich nadeszły jakieś listy i że ów wieczór u niego krył w sobie jakiś cel daleki literaturze, o której przecież tyle tutaj mówiono. Ale cóż to mogło Scarrona obchodzić? Teraz można było frondować u niego do woli. Od dzisiejszego rana, jak to sam powiedział, nie był już chorym królowej.

Raul zaś istotnie towarzyszył księżnej aż do karocy, gdzie wsiadając podała mu rękę do pocałowania; po czym wiedziona jednym z tych szalonych kaprysów, które budziły tyle uwielbienia, a nade wszystko czyniły ją tak niebezpieczną, nagle chwyciła jego głowę i ucałowała w czoło, mówiąc:

— Wicehrabio, niechaj me życzenia i ten pocałunek przyniosą ci szczęście.

Potem odsunęła go i kazała woźnicy ruszać do pałacu de Luynes. Karoca odjechała. Pani de Chevreuse po raz ostatni skinęła młodzieńcowi ręką przez drzwiczki i Raul, głęboko zdumiony, powrócił na górę.

Atos domyślił się, co zaszło, i uśmiechnął się.

— Chodźmy wicehrabio — rzekł — czas na ciebie, jutro wyjeżdżasz do armii jego książęcej mości. Prześpij dobrze swą ostatnią noc mieszczucha.

— Będę więc żołnierzem? — rzekł młodzieniec. — Och, panie, dziękuję z całego serca!

— Żegnaj, hrabio — rzekł ksiądz d'Herblay. — Powracam do klasztoru.

— Żegnaj, księżu — powiedział koadiutor — jutro mam kazanie i muszę jeszcze tego wieczoru rozważyć ze dwadzieścia tekstów.

— Żegnajcie, panowie — rzekł hrabia — idę przespać dwadzieścia cztery godziny jednym ciągiem, upadam ze zmęczenia.

I trzech mężczyźni pożegnali się, wymieniwszy jeszcze na ostatek spojrzenia.

Scarron śledził ich spod oka, ukryty za portierami salonu.

— Ani jeden z nich nie będzie robił tego, o czym mówił — zamruczał z małpim uśmieszkiem. — No, z Bogiem, mężni kawalerowie! Kto wie, czy nie pracują na to, by mi zwrócono moją pensję!... Mogą puszczać w ruch ramiona, a to jest wiele! Ja, niestety, mam tylko język! Lecz spróbuję dowieść, że to też coś znaczy. Hej, Champenois! Bije jedenasta. Zawieź mnie do łóżka. Doprawdy, ta panna d'Aubigne jest bardzo urocza.

Z tymi słowy biedny paralytyk zniknął w sypialni, której drzwi zamknęły się za nim. Jedno po drugim zagasły światła w salonie przy ulicy des Tournelles.

## 24. Saint-Denis

Ledwie jęło świtać, Atos wstał i zaczął się ubierać. Po bladości większej niż zwykle i po śladach, jakie pozostawiła na jego twarzy bezsenność, łatwo można było poznać, że musiał spędzić prawie całą noc nie zmrużywszy oka. Człowiek ten, tak twardy i stanowczy zazwyczaj, owego ranka miał w sobie coś ślamazarnego i niezdecydowanego.

Zajmował się przygotowaniami do odjazdu Raula, a jednocześnie marudził, jakby usiłując zyskać na czasie. Naprzód oczyścił własnoręcznie szpadę, którą wyciągnął z pokrowca z pachnącej skóry; obejrzał uważnie, czy rękojeść siedzi dobrze w gardzie i czy klinga osadzona jest w rękojeści.

Następnie wrzucił na dno sakwy przeznaczonej dla młodego człowieka kieszkę pełną luidorów i przywołał Olivaina, było to imię służącego, który towarzyszył im z Blois. Rozkazał mu spakować w swojej obecności tłumok, dopilnowując, aby znalazły się w nim wszystkie rzeczy niezbędne dla młodzieńca udającego się na wyprawę.

Wreszcie, zużywwszy niemal godzinę na te starania, otworzył drzwi do izby wicehrabiego i wszedł tam na palcach.

Przez duże kwatery szyb wpadało już do izby promieniste słońce, Raul bowiem, powróciwszy późno, zaniedbał wczoraj zapuścić zasłony. Spał jeszcze smacznie z głową wdzięcznie wspartą na ramieniu. Jego długie, czarne włosy na wpół przesłaniały urocze czoło, całe wilgotne od potu, jaki spływa perłami kropel po policzkach zmęczonego dziecka.

Atos zbliżył się i nachylony, w postawie pełnej czułości i melancholii, długo przyglądał się młodzieńcowi o uśmiechniętych ustach i na wpół przymkniętych powiekach; sny jego musiały być przyjemne, a sen lekki, tak wiele troskliwości i miłości wkładał anioł stróż w swą milczącą opiekę. W

obliczu tej młodości tak bogatej i czystej Atos poddał się z wolna urokom marzenia. Ujrzał ponownie swoją młodość przywodzącą te wszystkie słodkie wspomnienia, co są raczej zapachem aniżeli myślami. Między tą przeszłością a teraźniejszością była przepaść. Wyobraźnia jednak ma lot anioła i błyskawicy — przebywa morza, gdzieśmy się omal nie rozbili, ciemności, gdzie utraciliśmy nasze złudzenia, otchłań, co pochłonęła nasze szczęście. Atos sądził, że całą pierwszą część jego życia złamała mu kobieta. Rozmyślał z lękiem, jak wielki wpływ może mieć miłość na ustrój tak delikatny, a jednocześnie tak mocny.

Wspominając wszystko, co sam był przecierpiał, wyobrażał sobie, co może przecierpieć Raul. Wyraz czulej, głębszej litości, która przeniknęła mu serce, odbił się w jego ciepłym spojrzeniu, jakim objął młodego człowieka.

W tejże chwili Raul ocknął się ze snu bezchmurnego, wolnego od ciemności i zmęczenia, charakterystycznego dla pewnych delikatnych ustrojów, na przykład ptaków. Oczy jego napotkały wzrok Atosa i niewątpliwie pojął to wszystko, co działo się w sercu opiekuna, oczekującego na jego przebudzenie, jak kochanek oczekuje na przebudzenie ukochanej, gdyż w spojrzeniu chłopca przebijał wyraz bezgranicznej miłości.

— Byłżebyś to pan tutaj? — odezwał się z szacunkiem.

— Tak, to ja, Raulu — odparł hrabia.

— I pan mnie nie budzi?

— Chciałem, przyjacielu, podarować ci jeszcze kilka chwil tego smacznego snu. Jesteś zapewne zmęczony po wczorajszym dniu, który przeciągnął się tak późno w noc.

— O, jakież pan dobry! — zawołał Raul. Atos uśmiechnął się.

— Jakże się czujesz? — zapytał.

— Ależ doskonale, jestem zupełnie wypoczęty i rześki.

— Przecież rośniesz jeszcze, a w tym wieku odczuwa się zmęczenie w dwójnasób — ciągnął Atos z ojcowską i czarującą troskliwością, jaką może żywić dojrzały mężczyzna w stosunku do młodzieńca.

— Och, panie, wybacz mi — odrzekł Raul zawstydzony tyloma dowodami uprzedzającej grzeczności — za chwilę będę już ubrany.

Atos wezwał Olivaina i Raul był rzeczywiście gotów po upływie dziesięciu minut, z punktualnością, jaką wdrożony w służbę wojskową hrabia wpoił w swego wychowanka.

— A teraz — Raul zwrócił się do służącego — zajmij się moim bagażem.

— Bagaże czekają już gotowe, Raulu — rzekł Atos. — Kazałem w swojej obecności spakować twoją sakwę, i nie odczujesz żadnych braków. Powinna już być przytroczona do koni, podobnie jak tłumok służącego, o ile wykonano moje rozkazy.

— Wszystko wedle woli pana hrabiego — rzekł Olivain. — Konie również czekają gotowe.

— Więc podczas kiedy ja spałem — wykrzyknął Raul — pan był tak dobry zająć się tymi wszystkimi drobiazgami! Doprawdy, stale obsypujesz mnie pan dobrodziejstwami.

— A zatem lubisz mnie trochę, przynajmniej żywię tę nadzieję — odparł Atos tonem niemal rozczulenia.

— Och, panie! — wykrzyknął Raul, który opanował się, aż mu dech zapierało, by nie okazać wzruszenia jakimś wybuchem czułości. — Bóg mi świadkiem, że pana kocham i czczę.

— Rozejrzyj się, czyś czego nie zapomniał — rzekł Atos i aby pokryć rozczulenie, udawał, że szuka czegoś wokół.

— Ależ nie, panie.

W tym momencie do Atosa podszedł ociągając się służący i rzekł przyciszonym głosem:

— Pan wicehrabia nie ma szpady, ponieważ pan hrabia kazał mi ją zabrać wczoraj wieczorem.

— Wiem o tym — odparł Atos. — Załatwię to sam.

Raul zdawał się nie zauważać rozmowy. Schodził w dół, spozierając co



chwila na hrabiego; chciał wiedzieć, czy nadszedł już moment pożegnania, lecz Atos nie mrugnął okiem.

Już na ganku Raul spostrzegł trzy konie.

— Och, panie — wykrzyknął cały rozpromieniony — pojedzie pan ze mną?

— Chcę cię kawałek odprowadzić.

W oczach Raula rozbłysła radość i lekko wskoczył na konia.

Atos wolno doszedł swego, szepnąwszy coś przedtem służącemu, który miał jechać zaraz za nimi, poszedł z powrotem na górę. Raul, zachwycony towarzystwem hrabiego, nie zauważył nic albo też udał, że nic nie dostrzega.

Dwaj jeźdźcy skierowali się przez Pont-Neuf, potem nadbrzeżem lub raczej okolicą którą nazywano wówczas wodopojem Pepina, a dalej wzdłuż murów Grand-Chatelet. Wjechali na ulicę Saint-Denis, gdzie dołączył do nich służący.

Jechali w milczeniu. Raul czuł dobrze, że zbliża się moment rozstania, gdyż hrabia wydał jeszcze wczoraj szereg poleceń dotyczących jego osoby na dzień dzisiejszy. Zresztą spojrzenia jego wyrażały dwa razy więcej czułości, a kilka słów, które mu się wymknęły, potęgowały miłość. Od czasu do czasu rzucał mimochodem jakąś myśl czy radę, a słowa jego przepojone były troskliwością.

Kiedy dwaj kawalerowie, minąwszy bramę Saint-Denis, dotarli na wyżynę des Recellets, Atos spojrzał na wierzchowca wicehrabiego.

— Słuchaj, Raulu — rzekł — masz ciężką rękę. Mówiłem o tym już nieraz i nie należy tego nigdy zapominać, gdyż jest to wielka wada u jeźdźcy. Spójrz, koń twój jest już zmęczony, pokryty potem, podczas gdy mój wygląda, jakby dopiero co wyszedł ze stajni. Ściągając w ten sposób wędzidło robisz go twardym w pysku i zauważ tylko, nie możesz już kierować nim z niezbędną szybkością. A niejednokrotnie ratunek kawalerzysty zależy od natychmiastowego posłuszeństwa jego konia. Pomyśl tylko, za osiem dni nie będziesz jeździł na maneżu, lecz na polu bitwy.

Po czym nagle, jakby pragnąc osłabić przykrość tych uwag, mówił w dalszym ciągu.

— Popatrz no, Raulu, jaka piękna równina do polowania na kuropatwy.

Młodzieniec wziął sobie do serca naukę, lecz nade wszystko podziwiał, jak delikatnie mu jej udzielono.

— Kiedy indziej zauważyłem jeszcze coś innego: strzelając z pistoletu, zbyt sztywno trzymasz ramię. Ta sztywność psuje celność strzału. W ten sposób na dwanaście strzałów chybiłeś trzy razy.

— A pan trafiłeś wszystkie dwanaście — odpowiedział uśmiechając się Raul.

— Ponieważ zginałem ramię i w ten sposób opierałem się na łokciu. Czy rozumiesz dobrze, co ci chcę powiedzieć, Raulu?

— Tak, panie. Od owej pory strzelałem sam idąc za pańską radą i wszystko wypadło jak najlepiej.

— Słuchaj — podjął Atos — a jeśli chodzi o szermierkę, nazbyt ostro atakujesz swego przeciwnika. Wiem dobrze, że jest to wada wynikająca z twego wieku. Ale pamiętaj: ruch ciała w ataku wytrąca zawsze szpadę z linii. I jeśli będziesz miał do czynienia z człowiekiem opanowanym, zastopuje cię od pierwszego twojego kroku, po prostu cofając szpadę, a nawet przez cios na wprost.

— To pan czynisz często w ten sposób, ale nie wszyscy posiadają pańską zręczność i odwagę.

— Jakiż chłodny wiatr — rzucił Atos — jest to jeszcze wspomnienie zimy. Ale wróćmy do rzeczy. Jeśli pójdziesz w ogień, a pójdziesz na pewno, gdyż polecono cię młodemu generałowi, który bardzo lubi zapach prochu, pamiętaj walcząc w pojedynkę, co często zdarza się zwłaszcza nam, kawalerzystom, nie strzelaj pierwszy. Kto strzela pierwszy, rzadko trafia, strzela bowiem w obawie, by nie zostać bezbronnym w obliczu uzbrojonego przeciwnika. Poza tym, jeśli do ciebie będą strzelali, postaw konia dęba; manewr ten dwa czy trzy razy ocalił

mi życie.

— Będę go stosował, panie, choćby przez samą wdzięczność.

— Zobacz no, czy to nie kłusowników tam przychwycono? Tak, istotnie... I jeszcze jedna ważna sprawa, Raulu: gdybyś został w szarzy ranny i spadł z konia, a miał jeszcze trochę sił, zejdź z linii, którą przeszedł twój oddział. Inaczej w wypadku odwrotu zostaniesz stratowany. W każdym razie, gdybyś był ranny, napisz natychmiast albo każ mnie zawiadomić. Znamy się na ranach — dorzucił Atos uśmiechając się.

— Dzięki, panie — odpowiedział młodzieniec głęboko wzruszony.

— Oto i Saint-Denis — zamruczał Atos.

Rzeczywiście dojeżdżali w tej chwili do bramy miejskiej strzeżonej przez dwóch wartowników. Jeden z nich rzekł do drugiego:

— Jeszcze jeden młody szlachcic, który jak mi się wydaje, jedzie do wojska.

Atos zwrócił się w ich stronę: wszystko, co dotyczyło Raula, nawet nie bezpośrednio, nabierało natychmiast znaczenia w oczach jego opiekuna.

— A z czegoż o tym wnosicie? — zagadnął ich.

— Z postawy, panie — odparł wartownik. — Zresztą jest już w swoich latach. To już dzisiaj drugi.

— Co? Przejeżdżał już dziś rano ktoś podobny do mnie? — spytał Raul.

— Na honor, w samej rzeczy, tęga mina, piękny strój. Wyglądał mi na syna kogoś z wysokiego rodu.

— Będzie moim towarzyszem podróży, panie — podjął Raul, kiedy ruszyli dalej — ale, niestety, nie przyniesie mi zapomnienia o tym, co tracę.

— Nie sędzę, Raulu, byś doń dołączył, gdyż mam ci coś tutaj do powiedzenia, a to, co mam ci rzec, potrwa być może tyle czasu, że ów szlachcic wysforuje się dobrze przed ciebie.

— Jak pan sobie życzy.

Gawędząc w ten sposób, przejeżdżali ulice pełne ludzi z powodu

uroczystego święta. Wreszcie dotarli przed starą bazylikę, gdzie odprawiano właśnie pierwszą mszę.

— Zsiądźmy, Raulu — rzekł Atos. — Olivain, popilnuj koni i podaj mi szpadę.

Atos wziął w rękę szpadę, którą mu podał służący, i obaj z Raulem wkroczyli do kościoła.

Hrabia podał młodzieńcowi święconą wodę. W sercach niektórych ojców tli coś z uprzedzającej grzeczności, jaką żywi kochanek dla kochanki.

Młodzieniec dotknął dłoni Atosa, złożył ukłon i przeżegnał się.

Atos powiedział coś jednemu z dozorców, na co tamten skinął głową i skierował się w stronę grobowców.

— Chodź, Raulu, pójdziemy za tym człowiekiem.

Dozorca otworzył kratę prowadzącą do grobów królewskich i zatrzymał się na najwyższym stopniu, podczas gdy Atos i Raul schodzili w dół. W głębi schody grobowców oświetlone były srebrną lampą płonącą na ostatnim stopniu. Pod lampą znajdował się katafalk na dębowych kozłach, przykryty wielką kapą z fioletowego aksamitu, zdobnego w złote lilie.

Młodzieniec, przygotowany do tej sytuacji zarówno stanem swego serca wypełnionego smutkiem, jak i majestatem kościoła, przez który przechodzili, zeszedł w dół krokiem powolnym i uroczystym. Stał teraz z odkrytą głową przed szczątkami ostatniego króla, który miał dołączyć do swoich przodków dopiero wówczas, kiedy z kolei do niego dołączy jego następca. Szczątki te zdawały się tam pozostawać, ażeby mówić ludzkiej pysze, tak skłonnej na tronie do uniesień:

— Prochu ziemski, czekam cię!

Nastała chwila ciszy.

Po czym Atos podniósł rękę i wskazując na trumnę, rzekł:

— Ten tymczasowy grobowiec należy do człowieka słabego i pozbawionego wielkości, którego panowanie było mimo to pełne doniosłych

wydarzeń. Nad królem bowiem czuwał umysł drugiego człowieka, podobnie jak ta lampa czuwa nad trumną i oświeca ją. Faktycznym królem, Raulu, był tamten. Ten był tylko powłoką, którą tamten wypełniał swą duszą. A jednak człowiek ów nie dostał zaszczytu, by mieć grobowiec choćby u stóp tego, dla którego sławy sterał swoje życie. Tak wielka u nas jest potęga królewskiego majestatu. Zapamiętaj to sobie, Raulu, że jeśli ów człowiek uczynił króla małym, to królestwo uczynił wielkim, i jeszcze to, że pałac w Luwrze mieści w sobie zawsze dwie rzeczy: króla, który umiera, i królestwo, które nie umiera. To panowanie przeminęło już, Raulu. Minister, który napełniał swego pana obawą, strachem, nienawiścią, zstąpił już do grobu, pociągając za sobą króla, bo nie chciał go zapewne pozostawić samego z obawy, by król nie zniszczył jego dzieła. Król bowiem buduje tylko wówczas, gdy ma przy sobie bądź Boga, bądź ducha bożego. Jednakże w owym czasie wszyscy widzieli w śmierci kardynała wyzwolenie, ja zaś sam — jakże współcześni są zaślepieni — po prostu pokrzyżowałem kilkakrotnie zamiary tego wielkiego człowieka, który dzierżył w swych dłoniach Francję i zależnie od tego, czy je zaciskał, czy rozwierał, dusił ją bądź pozwalał jej do woli zaczerpnąć tchu. Jeśli w swym straszliwym gniewie nie stał mnie i moich przyjaciół na pył, to niewątpliwie dlatego, abym dziś mógł ci powiedzieć: naucz się, Raulu, odróżniać zawsze króla od królestwa; król to tylko człowiek, królestwo to duch boży. Jeśli będziesz miał wątpliwości nie wiedząc, komu masz służyć, porzuć materialne pozory dla tej niewidzialnej zasady, gdyż to ona jest wszystkim. Tylko że wolą Boga było uczynić ją namacalną, wcielając w człowieka. Wydaje mi się, Raulu, że jakby przez mgłę widzę twoją przyszłość. Wierzę, że będzie lepsza od naszej. Będziesz miał lepszą sytuację od nas; my mieliśmy ministra bez króla, podczas gdy ty będziesz miał króla bez ministra. Będziesz mógł więc służyć królowi, kochać go i szanować. Jeśli ten król jest tyranem, gdyż wszechwładza kryje w sobie zawsze szal popychający ją ku tyranii, wówczas kochaj, szanuj i służ królestwu — tej sprawie niezawodnej, to znaczy duchowi bożemu na ziemi, to znaczy tej iskrze

niebiańskiej, co czyni z pyłu rzecz tak wielką i świętą, że my, jakkolwiek szlachta wysokiego rodu, jesteśmy równie mali wobec tego ciała leżącego na ostatnim stopniu schodów, jak ono przed tronem Stwórcy.

— Będę kochał Boga, panie, i szanował królestwo. Będę służył królowi i jeśli umrę, to chciałbym umrzeć za króla, za królestwo, za Boga. Czy dobrze cię, panie, zrozumiałem?

Atos uśmiechnął się i rzekł:

— Jesteś szlachetny, weź tę szpadę.

Raul przyklęknął.

— Nosił ją mój ojciec, prawy szlachcic. Z kolei nosiłem ją ja i kiedy rękojeść tkwiła w mej dłoni, a pochwa zwisała u boku, przysporzyłem jej kilkakroć honoru. Jeśli ręka twoja, Raulu, jest jeszcze zbyt słaba, aby władać tą szpadą, tym lepiej: będziesz miał więcej czasu, ażeby się nauczyć trzymać ją w pochwie, póki nie nadejdzie jej dzień.

— Panie — rzekł Raul biorąc szpadę z ręki hrabiego — winienem wam wszystko; jednak szpada ta jest najcenniejszym darem, jaki od ciebie, panie, otrzymałem. Będę ją nosił, przysięgam wam to, pełen wdzięczności.

I zbliżył wargi do rękojeści, którą z szacunkiem ucałował.

— A więc powstań, wicehrabio, uściskajmy się.

Raul podniósł się i z wylaniem rzucił się w ramiona Atosa.

— Żegnaj — wyszeptał hrabia czując, że mu taje serce — żegnaj i myśl o mnie.

— Wiecznie! Wiecznie! — wykrzyknął młodzieniec. — Przysięgam ci, panie, a jeśli przydarzy mi się nieszczęście, twoje imię będzie ostatnim, jakie wypowiem, wspomnienie o panu moją ostatnią myślą.

Atos, chcąc ukryć wzruszenie, jął pośpiesznie wchodzić na górę. Dozorcy grobów dał sztukę złota, skłonił głowę przed ołtarzem i wielkimi krokami przemierzył kruchę, przed którą oczekiwał ich Olivain z dwoma nowymi końmi.

— Olivain — rzekł hrabia, wskazując na pendent Raula — zacieśnij sprzączkę szpady, bo opada trochę za nisko. Tak, dobrze. A teraz będziesz towarzyszył panu wicehrabiemu, póki nie dołączy do was Milczek. Z chwilą gdy przybędzie, odjedziesz wicehrabiego. Słyszałeś, Raulu? Milczek to stary sługa, pełen odwagi i roztropności. Będzie ci towarzyszył wszędzie.

— Tak, panie — odrzekł Raul.

— Na koń, niech ujrzę, jak odjeżdżasz.

Raul wykonał rozkaz.

— Bywaj, Raulu, żegnaj, moje drogie dziecko.

— Bądź zdrow, panie, bywaj, mój ukochany opiekunie!

Atos skinął ręką, gdyż nie odważył się wymówić słowa, i Raul odjechał z odkrytą głową.

Atos pozostał na miejscu i spoglądał za młodzieńcem aż do chwili, gdy ten znikł za zakrętem.

Wtedy hrabia rzucił cugle w ręce jakiegoś chłopca, wszedł po chwili na schody, następnie z powrotem do kościoła, ukląkł w najciemniejszym kątku i jał się modlić.

## 25. Gdzie mowa o jednym z czterdziestu sposobów ucieczki księcia de Beaufort

A tymczasem płynęły dni zarówno dla więźnia, jak i dla tych, którzy zajmowali się jego ucieczką, z tą różnicą, że dla niego płynęły one wolniej. W przeciwieństwie do innych, którzy z zapałem podejmują ryzykowne decyzje, a stygną, w miarę jak zbliża się chwila, by je wykonać, książę de Beaufort, którego rwąca odwaga stała się już przysłowiowa, spętany pięcioletnią beczynnością zdawał się popychać przed sobą czas i ze wszystkich sił przyzywał godzinę działania. Nie biorąc pod uwagę projektów, jakie żywił na dalszą przyszłość, już w samej jego ucieczce tkwiły projekty (trzeba to przyznać, mgliste i bardzo chwiejne) początku zemsty, która rozpieierała mu serce. Przede wszystkim ucieczka jego była nieprzyjemną dla pana de Chavigny, do którego książę żywił wstręt za drobne prześladowania, jakimi ów mu dopiekał. Dalej jeszcze nieprzyjemniejszą dla Mazariniego, do którego książę żywił najwyższą odrazę za stawiane mu przez kardynała ciężkie zarzuty. Jak z tego widać, zachowana została proporcja między uczuciami żywionymi przez księcia de Beaufort do gubernatora i ministra, do podwładnego i zwierzchnika.

Poza tym książę, znający doskonale wnętrze Palais-Royal i świadomy stosunków łączących królową z kardynałem, wyobrażał sobie w swym więzieniu cały bieg dramatycznych scen, jakie by zaszły, kiedy z gabinetu ministra do komnaty Anny Austriaczki przedostałaby się wieść: książę de Beaufort uciekł. Rozmyślając o tym wszystkim, książę uśmiechał się leciutko. Czując się już jak za murami, oddychał powietrzem pól i lasów, popędzał konia i krzyczał na cały głos: “Jestem wolny!”

Co prawda budząc się z marzeń znajdował się znów w czterech ścianach, o



dziesięć kroków widział La Ramee, jak robił młynka palcami, w przedpokoju zaś dozorców, jak śmieli się lub popijali.

Jedyną rzeczą przynoszącą mu wytchnienie od tego wstrętnego widoku była ponura mina Milczka — oto jak wielka jest niestałość umysłu ludzkiego — twarz, którą najpierw tak znienawidził, a która następnie stała się całą jego nadzieją. Milczek wydawał mu się teraz Antinousem<sup>44</sup>.

Nie trzeba dodawać, że wszystko to było grą gorączkowej wyobraźni więźnia, Milczek bowiem był wciąż ten sam. I właśnie dlatego cieszył się całkowitym zaufaniem swego zwierzchnika La Ramee, który obecnie wierzył mu więcej niż samemu sobie, gdyż jak to już powiedzieliśmy, La Ramee w głębi serca odczuwał pewną słabość do księcia de Beaufort.

Tak więc La Ramee ze skromnej wieczerzy, jaką miał spożyć sam na sam ze swoim więźniem, robił wielkie święto. La Ramee miał jedną wadę: był żarłokiem. Uznał, że pasztety są rzeczą dobrą, a wino — wyborną. Otóż następca ojca Marteau przyobiegał mu pasztet z bażanta miast z drobiu, a zamiast wina Macon — Chambertin. Wszystko to, spotęgowane jeszcze obecnością dostojnego księcia, w gruncie rzeczy tak pocziwego, umiającego wymyślać tak pocieszne sztuczki przeciw panu de Chavigny i tak zabawne żarty z Mazariniego, wszystko to sprawiało, że nadchodzące piękne Zielone Świątki stały się dla La Ramee jednym z czterech dorocznych świąt.

La Ramee oczekiwał więc szóstej wieczór z równą niecierpliwością co i księżę.

Od samego rana zajęty był wszystkimi drobiazgami, a ufając jedynie sobie, osobiście złożył wizytę następcy ojca Marteau. Ten przeszedł samego siebie: pokazał mu prawdziwie olbrzymi pasztet ozdobiony na wierzchu herbem księcia de Beaufort. Pasztet był jeszcze pusty, lecz koło niego leżał bażant i dwie kuropatwy, szpikowane tak drobno, że robiły wrażenie poduszeczek ze szpilkami. Ślinka pociekła La Ramee, powrócił więc do izby księcia zacierając

<sup>44</sup> Antinous — młody Bityńczyk, niewolnik, potem faworyt cesarza rzymskiego Hadriana; odznaczał się niezwykłą pięknnością.

ręce.

Na domiar szczęścia, jak to już rzekliśmy, pan de Chavigny, polegając w zupełności na La Ramee, postanowił udać się w małą podróż i wyruszył tego właśnie ranka, w następstwie czego La Ramee został zastępcą gubernatora zamku.

Co do Milczka, to zdawał się on być jeszcze bardziej ponury niż kiedykolwiek.

Rankiem książę rozegrał z La Ramee partię piłki. Jedno skinięcie Milczka dało mu do zrozumienia, aby miał na wszystko oko.

Milczek szedł przodem, wskazując drogę, którą miano iść wieczór. Miejsce gry w piłkę znajdowało się na tak zwanym małym dziedzińcu zamku. Było to miejsce dosyć odludne, gdzie stawiano warty tylko na czas gry księcia de Beaufort. Biorąc zresztą pod uwagę wysokość murów, nawet i ta ostrożność wydawała się przesadna.

Aby dotrzeć do tego dziedzińca, trzeba było otworzyć trzy bramy, każdą innym kluczem. Te trzy klucze nosił La Ramee.

Gdy przybyli na miejsce, Milczek machinalnie usiadł koło strzelnicy zwiesiwszy nogi na zewnątrz muru. Było oczywiste, że w tym właśnie miejscu zostanie uwiązana sznurowa drabinka.

Cały ten manewr, jasny dla księcia, był oczywiście niezrozumiały dla La Ramee.

Rozpoczęła się gra. Tym razem książę miał wenę i można powiedzieć, plasował piłki, gdzie tylko chciał. La Ramee został pobity na głowę.

Czterej z dozorców księcia szli za nim i zbierali piłki. Po skończonej grze, naśmiawszy się do woli z niezręczności La Ramee, książę dał dozorcóm dwa ludwiki, aby wraz z pozostałymi czterema kolegami popili sobie za jego zdrowie.

Dozorcy poprosili La Ramee o zezwolenie, a on udzielił im go, lecz jedynie na wieczór. Do tego czasu miał jeszcze zająć się różnymi ważnymi szczegółami,

a ponieważ musiał wychodzić, nie chciał, aby więzień pozostawał bez dozoru.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa książę de Beaufort pokierowałby sprawami z mniej pomyślnym skutkiem, aniżeli to był uczynił jego własny dozorca.

Wreszcie wybiła godzina szósta, chociaż miano siadać do stołu dopiero o siódmej, obiad był już gotów i podany. Na kredensie stał olbrzymi pasztet z herbem księcia. Wydawał się być upieczony doskonale, o ile można było sądzić ze złocistego koloru nasycającego jego skórkę.

Z resztą obiadu miała się rzecz podobnie.

Wszyscy się niecierpliwiłi: dozorczy, ażeby iść popić, La Ramee, by zasiąść do stołu, książę zaś, by uciec.

Jedyny Milczek był nieprzenikniony. Można by rzec, iż Atos wychowywał go w przewidywaniu tej właśnie doniosłej okoliczności.

Były momenty, kiedy książę de Beaufort, patrząc nań, zapytywał siebie, czy czasem nie śni i czy ta marmurowa postać jest naprawdę na jego służbie i ożywi się we właściwej chwili.

La Ramee odesłał dozorców, zaleciwszy im pić za zdrowie księcia, a gdy już odeszli, zamknął bramy, włożył klucze do kieszeni i wskazał księciu stół, jakby chciał rzec:

— Jeśli wasza książęca mość sobie życzy...

Książę spojrział na Milczka, Milczek na zegar: było dopiero kwadrans po szóstej, ucieczka oznaczona była na godzinę siódmą, należało zatem poczekać jeszcze trzy kwadransy.

Chcąc zyskać kwadrans czasu, książę, pod pozorem interesującej lektury, prosił, iżby mógł dokończyć rozdziału. La Ramee zbliżył się i zajrzał przez ramię, co za książka pochłania księcia tak, że przeszkadza mu zasiąść do stołu, kiedy obiad już podany.

Były to *Komentarze Cezara*, które sam, wbrew rozkazom pana de Chavigny, dostarczył był księciu przed trzema dniami.

La Ramee przyrzekł sobie święcie nie naruszać więcej regulaminu wieżycy.

Trwając w oczekiwaniu, odkorkowywał butelki i wachał pasztet.

O wpół do siódmej diuk podniósł się mówiąc z powagą:

— Największym człowiekiem starożytności był stanowczo Cezar.

— Takie jest zdanie waszej książęcej mości?

— Tak.

— Co do mnie — odrzekł La Ramee — to wolę Hannibala.

— A dlaczego to, panie La Ramee — spytał diuk.

— Bo nie pozostawił Komentarzy — zaśmiał się tubalnie La Ramee.

Książę zrozumiał aluzję i zasiadł do stołu wskazując La Ramee, by zajął miejsce naprzeciw.

Chorąży nie dał sobie tego powtarzać dwa razy.

Nie masz twarzy bardziej wyrazistej nad twarz prawdziwego żarłoka, który znalazł się przed suto zastawionym stołem. Podobnie i oblicze La Ramee wyrażało uczucie doskonałej błogości, kiedy brał z rąk Milczka talerz zupy.

Książę popatrzył nań z uśmiechem.

— Do kroćset! — zawołał — wiedz pan, La Ramee, gdyby mi powiedziano, iż jest w tej chwili we Francji człowiek szczęśliwszy od pana, nie uwierzyłbym w to.

— I, na honor, wasza książęca mość miałby rację. Bo co do mnie, kiedy jestem głodny, nie znam przyjemniejszego widoku nad dobrze zastawiony stół. A jeśli w dodatku — ciągnął dalej La Ramee — człowiek, który zaszczyca ten stół, jest wnukiem Henryka IV, to wasza książęca mość rozumie, iż honor ten podwaja przyjemność delectowania się.

Z kolei skłonił się książę, a na twarzy Milczka, stojącego za La Ramee, pojawił się niedostrzegalny prawie uśmiech.

— Mój drogi La Ramee — odezwał się diuk — pozostaje mi tylko odplacić ci komplementem.

— O nie, wasza książęca mość — odparł z serdecznym wylaniem La Ramee — mówię szczerze, co myślę. W tym, co rzekłem, nie masz żadnego komplementu.

— A więc jesteś pan do mnie przywiązany?

— To znaczy, że byłbym niepokieszony, jeżeliby wasza wysokość wyszedł z Vincennes.

— Co za dziwny sposób świadczenia despektu (książę chciał powiedzieć afektu).

— Ale cóż by wasza książęca mość robił za murami więzienia? Byle głupstwo mogłoby poróżnić waszą wysokość z dworem i umieszczono by pana w Bastylii zamiast w Vincennes. Pewnie, zgoda, że pan de Chavigny nie jest przyjemny — ciągnął La Ramee rozkoszując się szklanką madery — ale pan du Tremblay jeszcze gorszy.

— To prawda! — rzekł książę, którego bawił taki obrót rozmowy. Wskazówka zegara, na który spoglądał od czasu do czasu, posuwała się rozpaczliwie wolno.

— Czegóż bo wasza książęca mość może spodziewać się od rodzonego brata kapucyna wychowanego w szkole kardynała de Richelieu! Ach, wasza wysokość, proszę mi wierzyć, to wielkie szczęście, że królowa, która zawsze życzyła panu dobrze, przynajmniej tak słyszałem, wpadła na myśl wysłać waszą wysokość tutaj, gdzie są i spacer, i piłka, i dobry stół, i świeże powietrze.

— W samej rzeczy, La Ramee — odparł diuk. — Słuchając tego, co mówisz, czuję, jak wielkim byłem niewdzięcznikiem, myśląc choćby przez chwilę o wyjściu stąd.

— O, to szczyt niewdzięczność! Ale wasza wysokość nie myślał o tym nigdy poważnie.

— Zapewne, lecz muszę ci wyznać — może to szaleństwo, że nie mówię “nie” — i jeszcze od czasu do czasu o tym myślę.

— Czy zawsze, wasza wysokość, za pomocą jednego z pańskich

czterdziestu sposobów?

— Ależ oczywiście — potwierdził diuk.

— Wasza książęca mość, wobec tego, że czynimy tu sobie zwierzenia, proszę mi opowiedzieć o jednym z tych czterdziestu sposobów wymyślonych przez waszą wysokość.

— Z chęcią. Milczek, podaj nam pasztet.

— Słucham tedy — rzekł La Ramee, rozwalając się w fotelu. Jednocześnie podniósł szklanę i zmrużył oko, chcąc popatrzeć na słońce poprzez rubinowy płyn w niej zawarty.

Książę rzucił okiem na zegar. Jeszcze dziesięć minut i zacznie wydzwaniać siódma.

Milczek postawił pasztet przed księciem, który ujął nóż o srebrnym ostrzu celem otwarcia pokrywy. Wtedy La Ramee, w obawie, aby nie uszkodziła się tak piękna sztuka, podsunął księciu swój nóż o ostrzu z żelaza.

— Dziękuję ci, La Ramee — rzekł diuk biorąc podany nóż.

— A więc, wasza wysokość — zagadnął choraży — jakież to ów znakomity sposób?

— Chcesz, żebym ci powiedział o tym, na który najwięcej liczyłem i który postanowiłem zastosować najpierwej?

— O tak, właśnie o tym.

— A więc zgoda — odparł książę, naciskając jedną ręką pasztet, a drugą opisując nożem koło. — Przede wszystkim miałem nadzieję, że będę miał za dozorcę takiego dzielnego chłopca jak pan, panie La Ramee.

— Pięknie — rzekł La Ramee — i ma go wasza wysokość. I cóż dalej?

— Winszuję sobie tego. La Ramee skłonił się.

— Mówiłem też sobie — ciągnął diuk — że gdy już będę miał przy sobie takiego poczciwca jak pan, postaram się, by któryś z nie znanych dla niego moich przyjaciół polecił mu oddanego mi człowieka, z którym mógłbym omówić przygotowania do ucieczki.

— Co dalej, co dalej, nieźle pomyślane.

— Prawda? — podchwycił książkę. — Na przykład sługę któregoś z dzielnych szlachciców, wroga Mazariniego, jakim winien być każdy szlachcic.

— Tss, wasza wysokość, nie rozmawiajmy o polityce.

— Gdy już będę miał przy sobie tego człowieka — ciągnął diuk — to byleby tylko był on sprytny i umiał zdobyć zaufanie mego dozorca, ten będzie na nim polegał, ja zaś wtedy będę otrzymywał wieści z zewnątrz.

— Ach, tak! A w jaki sposób wiadomości z zewnątrz?

— O, to bardzo proste — rzekł książę de Beaufort — na przykład grając w piłkę.

— Grając w piłkę? — zapytał La Ramee, który zaczął z całą uwagą przysłuchiwać się opowiadaniu diuka.

— Ano tak, posłuchaj pan: posyłam piłkę w fosę, a tam znajduje się człowiek, który ją podnosi. W piłce mieści się list. Zamiast odrzucić mi piłkę, o którą prosiłem go z murów, rzuca inną. Ta inna zawiera znów list. W ten sposób dokonaliśmy wymiany myśli i nikt tego nie zauważył.

— Tam do diabła! — wykrzyknął La Ramee drapiąc się w ucho. — Dobrze, że mi wasza wysokość o tym powiedział, będę miał oko na zbierających piłki.

Diuk uśmiechnął się.

— Ale ostatecznie — ciągnął La Ramee — wszystko to tylko sposób komunikowania się.

— To już wiele, jak mi się zdaje.

— Ale nie dosyć.

— Myli się pan. Mówię na przykład do moich przyjaciół: “Tego a tego dnia, o tej i o tej godzinie bądźcie z dwoma wierzchowcami po drugiej stronie fosy”.

— No tak, a potem? — pytał zaniepokojony trochę La Ramee. — Chyba że te konie miałyby skrzydła, aby wzlecieć na wały i tam poszukać waszą

wysokość.

— Och, mój Boże — odparł niedbale ksiązę — nie chodzi o to, aby konie miały skrzydła do wzniesienia się na wały, lecz żebym ja miał sposób zejścia w dół.

— Jakież to?

— Sznurową drabinę.

— Zapewne — odpowiedział La Ramee usiłując się śmiać — ale drabinki sznurowej nie posyła się jak list w piłce.

— Nie, lecz posyła się ją w czym innym.

— W czym innym, w czym innym! A w czymże to?

— Na przykład w pasztecie.

— W pasztecie?

— Tak. Suponuj pan taką rzecz — ciągnął diuk. — Suponuj pan na przykład, że mój majordomus Noirmont wszedł w posiadanie, za gotówkę, sklepu ojca Marteau...

— No i? — napierał La Ramee cały drżący.

— No cóż! La Ramee, który jest żarłokiem, widzi jego pasztety, ocenia znacznie wyżej od pasztetów jego poprzednika i proponuje mi skosztowanie ich. Wyrażam zgodę pod warunkiem, że La Ramee posmakuje wraz ze mną. Chcąc się czuć swobodniej, oddała on dozorców, pozostawiając jedynie Milczka, ażeby nam usługiwał. Milczek zaś jest tym człowiekiem, którego dał mi jeden z przyjaciół. To właśnie ów sługa, z którym jestem w zmowie, gotów mi we wszystkim pomagać. Pora mej ucieczki oznaczona jest na godzinę siódmą. Więc na kilka minut przed siódmą...

— Na kilka minut przed siódmą? — powtórzył La Ramee, któremu pot uperlił czoło.

— Na kilka minut przed siódmą — mówił dalej diuk, ilustrując słowa akcją — zdejmuję wierzch pasztetu. Znajduję w nim dwa sztylety, sznurową drabinę i knebel. Przykładam jeden ze sztyletów do piersi La Ramee i powiadam:



“Przyjacielu, przykro mi niezmiernie, ale jeśli wykonasz jeden ruch lub krzykniesz, zginąłeś!”

Powiedzieliśmy już, że diuk mówiąc wprowadzał jednocześnie swe słowa w czyn. Stał więc przy La Ramee i opierał ostrze sztyletu o jego pierś tak wyraźnie, że chorąży nie mógł mieć żadnych wątpliwości co do powziętej przez księcia decyzji.

Tymczasem Milczek, jak zwykle milczący, wyciągnął z pasztetu drugi sztylet, sznurową drabinkę i knebel.

La Ramee z rosnącym przerażeniem śledził każdy z tych przedmiotów.

— Och, wasza książęca mość! — krzyknął patrząc na diuka z wyrazem takiego osłupienia, że kiedy indziej wywołałoby to u tamtego wybuch śmiechu — wasza wysokość nie będzie miał serca mnie zabić!

— Nie, o ile nie będziesz mi przeszkadzał w ucieczce.

— Ależ, wasza wysokość, jeśli zezwolę na pańską ucieczkę, będę zrujnowany.

— Zwrócę ci, coś zapłacił za urząd.

— Więc wasza wysokość postanowił naprawdę opuścić zamek?

— Dalibóg!

— A czy nie zmieni postanowienia waszej wysokości to, co miałbym mu do powiedzenia?

— Chcę być wolny jeszcze dziś wieczór.

— A jeśli będę się bronił, wołał, krzyczał?!

— Słowo szlachcica, zabiję cię.

W tejże chwili zegar jął wydzwaniać godzinę.

— Siódma — wyrzekł Milczek, który do tej pory nie wymówił ani słowa.

— Widzisz sam, siódma godzina — rzekł diuk — jestem spóźniony. La Ramee poruszył się, jakby chcąc uspokoić sumienie.

Książę zmarszczył brew i chorąży poczuł ostrze sztyletu, jak przeniknęło przez ubranie i zatrzymało się gotowe przebić pierś.

- Tak jest, wasza wysokość, to wystarczy. Już się nie ruszę.
- Śpieszmy się — powiedział diuk.
- Wasza wysokość ostatnią łaskę.
- Jaka? Mów szybko.
- Proszę mnie związać, wasza wysokość.
- A dlaczegoż to?
- Żeby nie myślano, że jestem współnikiem waszej wysokości.
- Ręce — odezwał się Milczek.
- Nie z przodu, lecz z tyłu, z tyłu!
- Ale czym? — spytał książę.
- Paskiem waszej książęcej mości — odparł La Ramee.

Książę odpiął pas i podał Milczkowi, który skrępował ręce chorążemu, jak ten sobie życzył.

- Nogi — rzekł Milczek.

La Ramee wyciągnął nogi, Milczek wziął ręcznik, podał go na pasy i związał nimi La Ramee.

— A teraz szpadę — prosił La Ramee — zwiążcie gardę mej szpady. Diuk wyrwał jedną tasiemkę z pludrów i spełnił to życzenie.

— A teraz knebel — powiedział biedny La Ramee — proszę o knebel. Inaczej wytoczą mi proces, że nie krzychałem. Niech wasza wysokość wkłada.

Milczek gotował się wypełnić życzenie chorążego, kiedy ów skinął, że chce jeszcze coś powiedzieć.

- Mów — rzekł diuk.

— Wasza książęca mość, proszę pamiętać, jeśli z waszej przyczyny stanie mi się co złego, że mam żonę i czworo dzieci.

- Bądź spokojny. Knebluj, Milczek!

W sekundę później chorąży zakneblowany leżał na ziemi. Jako ślad walki, wywrócono dwa czy trzy krzesła. Milczek wyjął z kieszeni La Ramee wszystkie znajdujące się tam klucze i najpierwej otworzył drzwi izby, w której się

znajdowali, a po opuszczeniu jej zamknął drzwi na dwa spusty. Po czym szybko przebiegli galerię prowadzącą do małego dziedzińca. Jedne po drugich zostały otwarte i zamknięte trzy bramy z szybkością przynoszącą zaszczyt zręczności Milczka. Wreszcie dotarli na plac gry w piłkę. Było tam zupełnie pusto, żadnych wart, nikogo w oknach.

Diuk podbiegł do muru i pod drugiej stronie fosy ujrzał trzech jeźdźców z dwoma wierzchowcami luzem. Wymienił z nimi sygnał i odetchnął z ulgą, wszystko składało się pomyślnie.

Tymczasem Milczek umocowywał główny watek liny. Nie była to sznurowa drabinka, lecz kłębek jedwabiu z drażkiem, który należało wziąć między nogi i siedząc na nim okrakiem odwijać własnym ciężarem.

— Zjeżdżaj — rzekł książę.

— Ja pierwszy, wasza książęca mość? — zapytał Milczek.

— Naturalnie — odrzekł diuk. — Jeśli złapią mnie, ryzykuję tylko więzienie, jeśli ciebie, zostaniesz powieszony.

— No tak... — rzekł Milczek.

I siadłszy okrakiem na drażku rozpoczął natychmiast niebezpieczny zjazd. Diuk śledził go z mimowolnym przerażeniem. Przebył już trzy czwarte wysokości muru, kiedy nagle sznur pękł. Milczek spadł w fosę jak kamień.

Książę krzyknął, Milczek jednak nawet nie jęknął; musiał być ciężko ranny, gdyż leżał jak długi w miejscu, gdzie spadł.

Natychmiast jeden z oczekujących mężczyzn ześliznął się w fosę, umocował koniec sznura pod barkami Milczka, dwaj zaś inni, którzy trzymali sznur za drugi koniec, pociągnęli leżącego ku sobie.

— Niech wasza książęca mość zjeżdża — rzekł człowiek z fosy. — Tylko jakieś piętnaście stóp wysokości i miękki trawnik.

Diuk już zjeżdżał. Zadanie jego było trudniejsze, gdyż nie miał drażka, który by go podtrzymał. Trzeba było zjeżdżać tylko za pomocą rąk, i to z wysokości jakichś pięćdziesięciu stóp. Ale jak powiedzieliśmy, diuk był

zreźny, silny i miał wiele zimnej krwi. Nie upłynęło i pięć minut, a znalazł się na końcu sznura. Jak to mu powiedział był szlachcic, do ziemi było nie więcej nad piętnaście stóp. Puścił sznur, na którym zwisał, i zeskoczył nie czyniąc sobie żadnej szkody.

Natychmiast jął się wspinać po pochyłości fosy, na której szczycie spotkał się z hrabią de Rochefort. Dwaj pozostali szlachcice byli mu nie znani.

Zemdlonego Milczka przywiązano do konia.

— Panowie — rzekł książę — podziękuję wam później, teraz nie ma chwili do stracenia, w drogę więc, w drogę. Za mną, komu jestem drogi!

I wskoczył na konia. Odjeżdżał co sił galopem, oddychając pełną piersią i krzycząc z trudną do wyrażenia radością:

— Wolny... Wolny... Wolny...

## 26. D'Artagnan zjawia się w samą porę

D'Artagnan podjął w Blois pieniądze, które Mazarini, pragnąc go znów mieć przy sobie, zdecydował się dać mu na poczet przyszłych usług.

Dla przeciętnego jeźdźca było z Blois do Paryża cztery dni drogi. D'Artagnan dotarł do rogatki Saint-Denis trzeciego dnia po południu około czwartej. Kiedy indziej nie zabrałoby mu to więcej czasu niż dwa dni. Widzieliśmy, że Atos, który wyjechał w trzy godziny po nim, przybył o dwadzieścia cztery godziny wcześniej.

Wiórek odwykł od tego rodzaju forsownych spacerów. D'Artagnan wyrzucał mu jego zniewieściałość.

— Ach, panie, czterdzieści mil w trzy dni. Podług mnie to i tak bardzo pięknie jak na cukiernika.

— Czy ty naprawdę stałeś się już kramarzem i teraz, kiedyśmy się odnaleźli, serio myślisz o żywocie w sklepiku?

— Hm — podjął Wiórek — po prawdzie to pan jeden stworzony jesteś do życia czynnego. Ale niech pan popatrzy na pana Atosa, kto by powiedział, że to ten sam nieustraszony poszukiwacz przygód, jakiego znaleźliśmy dawniej? Żyje teraz jak prawdziwy szlachcic, ma dzierzawę jak prawdziwy ziemianin.

Uważcie, panie, że nie masz nic bardziej pożądanego nad spokojny żywot.

— Ach, ty hipokryto — rzekł d'Artagnan — widać wyraźnie, że zbliżasz się do Paryża, a w Paryżu czeka cię sznurek i szubienica.

Właśnie w tym momencie dwaj podróżni zbliżali się do rogatki. Wiórek opuścił rondo kapelusza myśląc, że będzie przejeżdżał ulicami, gdzie był bardzo znany, d'Artagnan zaś podkreślał węża przypomniawszy sobie Portosa, który powinien go oczekiwać przy ulicy Tiquetonne. Rozmyślał, jak postąpić, aby przyjaciel zapomniał o swych dobrach Bracieux i kuchniach na miarę Homera w

Pierrefonds.

Skrecając na ulicę Montmartre, w jednym z okien zajazdu “Pod Kózką” spostrzegł Portosa przyodzianego we wspaniały jasnobłękitny, obcisły kaftan, cały haftowany srebrem. Portos właśnie ziewał, że omal nie wypadły mu szczęki z zawiasów, a przechodnie oglądali z podziwem pełnym szacunku tego dorodnego i bogatego szlachcica, który zdawał się być tak strasznie znudzony swoim bogactwem i wielkością.

Zresztą ledwie d’Artagnan i Wiórek wyjechali z za rogu ulicy, Portos natychmiast ich zobaczył.

— Ach, to ty, d’Artagnanie! — zakrzyknął. — Bogu niech będą dzięki.

— Dzień dobry, drogi przyjacielu — odpowiedział d’Artagnan.

Natychmiast zebrał się tłumek gapiów wokół koni, które służący z gospody trzymali już za uzdy, i wokół jeźdźców rozmawiających tak z zadartymi głowami. Ale jedno zmarszczenie brwi d’Artagnana, dwa, trzy wymowne gesty Wiórka zostały w lot zrozumiane przez otaczających i rozproszyły tłum, który gęstniał tym bardziej, im mniej było wiadomo, po co się zebrał.

Portos zdążył już zejść na próg oberży.

— Ach, drogi mój przyjacielu, jakże tu źle moim koniom.

— Doprawdy! Jestem zrozpaczony z przyczyny tych szlachetnych zwierząt.

— I ja też bardzo źle się czułem — rzekł Portos. — I gdyby nie gospodyni — ciągnął kołysząc się na nogach, z właściwym sobie butnym wyrazem zadowolenia z samego siebie — która jest dość przyjemna i zna się na żartach, byłbym poszukał noclegu gdzie indziej.

Piękna Magdalena, która właśnie podeszła podczas tej rozmowy, cofnęła się o krok i śmiertelnie zbladła słysząc słowa Portosa. Sądziła bowiem, że powtórzy się scena ze Szwajcarem, ale ku jej wielkiemu zdziwieniu d’Artagnan nawet nie mrugnął i zamiast się gniewać, rzekł z uśmiechem:

— Tak, rozumiem, drogi przyjacielu, cóż warte powietrze ulicy Tiquetonne

w porównaniu z powietrzem doliny Pierrefonds. Ale bądź spokojny, postaram się dla ciebie o lepsze.

— Kiedyż to?

— Spodziewam się, dalibóg, że wkrótce.

— Ach! Tym lepiej.

Na to westchnienie Portosa rozległa się zza drzwi cicha i głęboka stękanina. D'Artagnan, który zsiadł był z konia, dostrzegł wtedy rysujący się na ścianie niby płaskorzeźba olbrzymi brzuch Muszkiet; jego wykrzywione smutkiem usta rzucały głuche skargi.

— Co, i ty także, mój biedny panie Musz, zostałeś przeniesiony do tego nędznego zajazdu? — zapytał d'Artagnan szyderczym tonem, który mógł oznaczać równie dobrze współczucie, jak i kpinę.

— On uważa, że kuchnia jest tu okropna — odparł Portos.

— A czemuż to sam nie pitrasiał, jak w Chantilly?

— Och, panie, nie masz tu ani stawów jego książęcej mości, ażeby łowić piękne karpie, ani lasów jego wysokości, gdzie można łapać w sidła wyborne kuropatwy, co się zaś tyczy piwnicy, to obejrzałem ją detalicznie i po prawdzie mało co w niej jest.

— Panie Musz — rzekł d'Artagnan — współczułbym wam doprawdy, gdybym w tej chwili nie miał na głowie czegoś o wiele pilniejszego.

I biorąc Portosa za rękę, ciągnął dalej:

— Mój drogi du Vallon, jak widzę, jesteś już' ubrany. To bardzo szczęśliwie, gdyż zaraz prowadzę cię do kardynała.

— Doprawdy? — rzekł Portos wytrzeszczając osłupiałe oczy.

— Tak, przyjacielu.

— Przedstawisz mnie?

— Przeraza cię to?

— Nie, ale wprawia w zmieszanie.

— Och, bądź spokojny. To już nie z tamym kardynałem sprawa. Ten nie

zmiażdży cię swoim majestatem.

— Nie o to chodzi, ale rozumiesz, d'Artagnanie, chodzi o dwór.

— Ech, przyjacielu, dworu już nie ma.

— Ale królowa.

— Coś ci powiem: nie ma już królowej. Królowa? Bądź spokojny, nie zobaczymy jej.

— I powiadasz, że natychmiast idziemy do Palais-Royal?

— Zaraz. Ażeby uniknąć opóźnienia, pożyczysz mi konia.

— Do usług, rozporządzaj wszystkimi czterema.

— W tej chwili potrzebuję tylko jednego.

— Czy nie weźmiesz ze sobą służących?

— Tak, weź Muszkiet, to nie zaszkodzi. Co do Wiórka, to ma on powody nie pokazywać się na dworze.

— A dlaczegoż to?

— Jest w złych stosunkach z jego eminencją.

— Musz — powiedział Portos — osiodłasz Wulkana i Bayarda.

— A czy ja, panie, mam wziąć Chama?

— Nie, weź porządnego konia, Febusa albo Dumnego, jedziemy z uroczystą wizytą.

— Och — odetchnął Muszkiet — a więc chodzi tylko o wizytę.

— Oczywiście, Musz, o nic innego. Ale na wszelki wypadek weź pistolety do olster; moje znajdziesz przy siodle już nabite.

Musz westchnął. Nie bardzo rozumiał, jak można odbywać uroczyste wizyty będąc uzbrojonym po zęby.

— Istotnie — rzekł Portos patrząc za oddalającym się posłusznie starym służącym — masz rację d'Artagnan, Musz wystarczy. Musz prezentuje się bardzo okazale.

D'Artagnan się uśmiechnął.

— A ty się nie przebierzesz? — zapytał Portos.



— Nie, pozostanę, jak jestem.

— Ależ jesteś cały okryty potem i kurzem, buty masz zabłocone.

— Ten niedbały strój podróżny będzie świadectwem mego pośpiechu, z jakim starałem się stawić na rozkazy kardynała.

W tejże chwili powrócił Muszkiet z trzema końmi gotowymi do drogi. D'Artagnan wskoczył znów w siodło, jakby od ośmiu dni jedynie wypoczywał.

— Wiórek, długą szpadę...

— Ja zaś — tu Portos wskazał na małą, paradną szpadę o złoconej gardzie — wziąłem ze sobą szpadę dworską.

— Weź, przyjacielu, rapier.

— A to czemu?

— Nie wiem, ale weź jednak, zaufaj mi.

— Musz, mój rapier — wyrzekł Portos.

— Przecież to wszystko sprzęt wojenny, panie — odparł Muszkiet — to znaczy idziemy w pole? Niech mi pan to powie od razu, a ja stosownie do tego poweźmę odpowiednie środki ostrożności.

— Jadąc z nami, jak wiesz — podjął d'Artagnan — zawsze dobrze podjąć pewne środki ostrożności. Masz słabą pamięć albo już zapomniałeś, że nie w naszym zwyczaju spędzać noce na zabawach i serenadach.

— Niestety, w samej rzeczy — rzekł Muszkiet uzbrajając się od stóp do głów — zapomniałem o tym.

Ruszyli dość szybko i przybyli do Pałacu Kardynalskiego około siódmej piętnaście. Na ulicach przewalały się tłumy, gdyż był to dzień Zielonych Świątek i patrzano na obu przejeżdżających kawalerów ze zdziwieniem; jeden z nich był jak spod igły, a drugi zakurzony, jakby dopiero co opuścił pole bitwy.

Muszkiet również ściągał na siebie wzrok gapiów, a ponieważ wieść o Don Kichocie była wówczas bardzo popularna, niektórzy mówili, że to Sancho Pansa, który straciwszy pana, znalazł sobie dwóch nowych.

Dotarwszy na przedpokoje d'Artagnan znalazł się pośród samych

znajomych. Byli to muszkietierowie z jego kompanii, pełniący właśnie służbę. Polecił zawołać odźwiernego i pokazał list kardynała, surowo nakazujący mu powrót bez najmniejszej straty czasu. Odźwierny skłonił się i wszedł do jego eminencji.

D'Artagnan skierował wzrok na Portosa i zdawało mu się, że dostrzega, jak tamtym wstrząsa lekki dreszcz. Z uśmiechem nachylił się do jego ucha i rzekł:

— Odwagi, dzielny przyjacielu. Nie trać śmiałości, wierz mi, orzeł zamknął oczy, mamy do czynienia tylko ze zwykłym sępem. Trzymaj się hardo jak w dniu bastionu Saint-Gervais i nie kłaniaj się zbyt nisko temu Włochowi, bo będzie o tobie złego mniemania.

— Dobrze, dobrze — odparł Portos.

Odźwierny powrócił.

— Panowie wejda, jego eminencja czeka.

Istotnie, Mazarini siedział w swoim gabinecie, pracując nad wykreślaniami z listy pensji i beneficjów możliwie największej liczby nazwisk.

Kątem oka dostrzegł wchodzących d'Artagnana i Portosa, lecz chociaż na zapowiedź odźwiernego zabłysła w jego oku radość, teraz wydawał się nieporuszony.

— Ach, to pan, panie poruczniku — odezwał się — pośpieszył się pan, to dobrze, witam, witam.

— Dziękuję, monsignore. Jestem na rozkazy waszej eminencji, podobnie jak i pan du Vallon, jeden z moich starych przyjaciół, który ukrywał swe szlachectwo pod imieniem Portosa.

Portos skłonił się kardynałowi.

— Znamienity kawaler — rzekł Mazarini.

Portos pokręcił głową w prawo i lewo, po czym, pełen godności, poruszył barkami.

— Najlepsza szpada królestwa, monsignore — rzekł d'Artagnan — znana to rzecz dla wielu takich, którzy tego nie mówią, i takich, którzy nie mogą już

tego powiedzieć.

Portos skłonił się d'Artagnanowi.

Mazarini lubił dorodnych żołnierzy, niemal tak, jak później lubił ich Fryderyk Pruski. Jął więc podziwiać muskularne ręce Portosa, jego szerokie bary i tępy wzrok. Miał wrażenie, że kłoni się przed nim jego urząd ministerialny i całe królestwo, ucieleśnione w ludzkiej postaci. To mu przywiodło na pamięć, że ongiś grono muszkieterów składało się z czterech osób.

— A dwaj pozostali przyjaciele? — zagadnął.

Portos otwierał już usta, sądząc, że nadeszła sposobność wtrącić swoje słówko, ale d'Artagnan powstrzymał go nieznacznym spojrzeniem.

— Nasi przyjaciele mają pewne trudności, dołączą do nas nieco później.

Mazarini lekko zakasłał, po czym spytał:

— A pan, jako swobodniejszy od nich, powrócił chętnie na służbę?

— Tak, monsignore — pośpieszył z odpowiedzią d'Artagnan — i to ze szczerego oddania, ponieważ pan de Breceux jest człowiekiem bogatym.

— Bogatym? — wyrzekł Mazarini.

Było to jedyne słowo mające przywilej wzbudzenia w nim prawdziwego szacunku.

— Pięćdziesiąt tysięcy liwrów renty. Były to pierwsze słowa z ust Portosa.

— Ze szczerego oddania — podjął Mazarini ze swym przebiegłym uśmieszkiem — tylko ze szczerego oddania?

— Monsignore zapewne nie wierzy już zbytnio w to słowo? — zagadnął d'Artagnan.

— A pan, mości Gaskończyku? — odparł Mazarini opierając oba łokcie na biurku, a podbródek na dłoniach.

— Ja — odrzekł d'Artagnan — myślę o oddaniu jak o imieniu chrzestnym na przykład, któremu oczywiście musi towarzyszyć nazwisko wywodzące się od włości. Pewnie, że mniejsze lub większe oddanie to rzecz zwyczajna, ale trzeba,

aby zawsze z oddaniem wiązało się dawanie.

— A pański przyjaciel, na przykład, czegoż by pragnął, co by się wiązało z jego oddaniem?

— A więc, monsignore: mój przyjaciel posiada trzy wspaniałe włości — du Vallon w Corbeil, de Bracieux w okolicach Soissons i de Pierrefonds w Valois; pragnąłby, ażeby na jednej z nich ustanowiona została baronia, monsignore.

— Tylko tyle? — rzekł Mazarini, któremu oczy roz błysły radością, kiedy stało się wiadome, że nie rozwiązując sakiewki może odpłacić Portosowi za jego oddanie. — Tylko tyle? To rzecz do załatwienia.

— Będę więc baronem! — wykrzyknął Portos postępując krok naprzód.

— Mówiłem ci przecież — rzekł d'Artagnan przytrzymując go za rękę — a monsignore potwierdza to.

— No, a pan, mości d'Artagnan, czego waść sobie życzysz?

— Monsignore, we wrześniu będzie dwadzieścia lat, jak kardynał de Richelieu mianował mnie porucznikiem.

— Przeto chciałbyś waść, ażeby kardynał Mazarini mianował cię kapitanem.

D'Artagnan skłonił się.

— Nie ma w tym nic niemożliwego. Zobaczmy, panowie, zobaczmy. A teraz panie du Vallon, jaką służbę byś pan wolał? W mieście czy w polu?

Portos już otworzył usta, aby odpowiedzieć.

— Monsignore — uprzedził go d'Artagnan — pan du Vallon, podobnie jak i ja, rozmiłowany jest w służbie ekstraordynaryjnej, to znaczy w przedsięwzięciach uznawanych za szalone i niemożliwe.

Gaskonada ta nie była Mazariniemu niemiłą. Zamyślił się, po czym ją mówił:

— Muszę jednakże wyznać, że wezwałem panów, aby posadzić was przy spokojnej robocie. Żywię pewne obawy... Ale cóż tam znowu?

W samej rzeczy, w przedpokoju dał się słyszeć wielki hałas i niemal

jednocześnie otworzyły się drzwi do gabinetu. Jakiś człowiek okryty kurzem wpadł do komnaty krzyżąc:

— Wasza eminencjo! Gdzie jest pan kardynał?

Mazarini był przekonany, że go chcą zamordować, cofnął się więc wraz z fotelem. D'Artagnan i Portos skoczyli i znaleźli się pomiędzy nowo przybyłym a kardynałem.

— Ależ panie — rzekł Mazarini — co się dzieje, że wpadasz tutaj jak do hal targowych.

— Monsignore — wyrzucił z siebie oficer, do którego skierowana była ta wymówka — dwa słowa chciałbym natychmiast i bez świadków. Jestem de Poin, oficer straży w wieżycy Vincennes.

Oficer był tak blady i wyczerpany, że Mazarini w przekonaniu, iż przyniósł jakąś ważną wiadomość, skinął na d'Artagnana i Portosa, by ustąpili miejsca wysłannikowi.

D'Artagnan i Portos wycofali się do jednego z kątów gabinetu.

— Mów pan, mów pan szybko — rzekł Mazarini. — Co się stało?

— Stało się to, monsignore, że księżę de Beaufort uciekł właśnie z zamku Vincennes.

Mazarini krzyknął i sam z kolei zbladł jeszcze bardziej aniżeli zwiastun tej nowiny. Opadł na fotel niemal zdruzgotany.

— Uciekł! Księżę de Beaufort uciekł?

— Monsignore, widziałem z górnego tarasu, jak uciekał.

— I nie kazałeś pan strzelać?

— Był poza zasięgiem strzałów.

— Ale co robił pan de Chavigny?

— Był nieobecny.

— A La Ramee?

— Znalaziono go w izbie więźnia, skępowanego, z kneblem w ustach i sztyletem obok.

— A ów człowiek przydzielony księciu?

— Był z księciem w zмовie i uciekli razem.

Mazarini aż jęknął.

— Monsignore — odezwał się d'Artagnan robiąc krok w stronę kardynała.

— Co? — zapytał Mazarini.

— Wydaje się, że wasza eminencja traci na próżno drogocenny czas.

— Jak to?

— Jeśli wasza eminencja rozkaże ruszyć w pogoń za więźniem, może udałoby się go jeszcze doścignąć. Francja jest wielka i do najbliższej granicy będzie ze sześćdziesiąt mil.

— A kto by chciał ścigać? — krzyknął Mazarini.

— Dalibóg, ja.

— I zaaresztowałbyś go pan?

— Dlaczegoż by nie?

— Zaaresztowałbyś pan księcia de Beaufort, zbrojnego, w polu?

— Jeśli monsignore kazałby mi zaaresztować diabła, schwytałbym go za rogi i przywiódłbym do waszej eminencji.

— Ja także — odezwał się Portos.

— Waść także? — rzekł Mazarini spoglądając na obu tych ludzi ze zdumieniem. — Ależ diuk nie podda się bez zaciętej walki.

— Ha, walki... — odparł d'Artagnan, w którego oczach zapaliły się płomienie. — Dawno już nie biliśmy się, prawda, Portosie?

— Bitwa! — rzucił Portos.

— I sądzisz pan, że go schwytasz?

— Tak jest, jeśli będziemy mieli lepsze konie.

— A więc bierz pan, ile znajdziesz, ludzi ze straży i jedź.

— Monsignore daje nam rozkaz?

— Na piśmie. — Mazarini wziął papier i skreślił kilka linijek.

— Niech wasza eminencja doda, że będziemy mogli zabierać wszystkie

konie, jakie spotkamy po drodze.

— Tak, tak — rzekł Mazarini — w służbie króla. Bierz pan i pędź.

— Rozkaz, monsignore.

— Mości du Vallon — rzekł Mazarini — pańska baronia siedzi na zadzie konia księcia de Beaufort. Chodzi tylko o to, aby go złapać. Co do pana, drogi d'Artagnan, to nie obiecuję panu nic, lecz jeśli mi go pan przyprowadzisz martwego lub żywego, będziesz mnie mógł prosić, o co tylko zechcesz.

— Na koń, Portosie! — rzekł d'Artagnan ujmując dłoń przyjaciela.

— Tak jest — odpowiedział Portos z godną podziwu zimną krwią. Zeszli paradnymi schodami zabierając ze sobą napotkanych po drodze gwardzistów i wołając: Na koń! Na koń! W ten sposób zebrali około dwunastu ludzi.

D'Artagnan i Portos wskoczyli jeden na Wulkana, drugi na Bayarda.

Muszkiet dosiadł na oklep Febusa.

— Za mną! — wrzasnął d'Artagnan.

— W drogę — dorzucił Portos.

I wbili ostrogi w boki swych szlachetnych rumaków, które pomknęły ulicą Saint-Honore na kształt huraganu.

— Panie baronie, obiecałem panu, że trochę poćwiczymy i jak widzisz, słowa dotrzymałem.

— Tak, kapitanie — odpowiedział Portos.

Obejrzeni się. Muszkiet, spocony bardziej od swego konia, jechał w pewnej odległości. Za Muszkietem galopowało dziesięciu gwardzistów.

Zdumieni mieszczanie wychodzili na próg swoich domostw, podrażnione psy, oszczekując, goniły za jeźdźcami.

Na rogu cmentarza Saint-Jean d'Artagnan obalił jakiegoś człowieka, ale był to wypadek zbyt błahy, by zatrzymać tak śpieszących się ludzi. Galopujący oddział pędził dalej, jakby konie miały skrzydła.

Niestety, nie masz na tym świecie błahych wydarzeń i zobaczymy, że wypadek ów prowadził do zguby monarchii.

## 27. Na gościńcu

Galopowali tak przez całe przedmieście Saint-Antoine i drogą prowadzącą do Vincennes. Wkrótce znaleźli się za miastem, już byli w lesie, już zoczyli wioskę.

Za każdym krokiem konie zdawały się coraz bardziej rozpalać, chrapy jęły im czerwienieć niby rozżarzone piece. D'Artagnan wbił ostrogi w brzuch rumaka, wyprzedzając Portosa o jakieś dwie stopy. O dwie długości za nim jechał Muszkiet. Gwardziści sunęli jeden za drugim zależnie od walorów swych wierzchowców.

Ze szczytu jakiegoś wzniesienia d'Artagnan zoczył grupę ludzi stojących zewnątrz fosy na wprost ściany wieżycy, zwróconej ku Saint-Maur. Zrozumiał, że tędy uciekł więzień i że tutaj mógłby zasięgnąć wiadomości. W pięć minut był u celu, gdzie dołączyli doń jeden po drugim gwardziści.

Wszyscy znajdujący się w tej grupie byli bardzo podnieceni. Spoglądali na sznur zwisający jeszcze z otworu strzelnicy i zerwany na dwadzieścia stóp od ziemi. Oceniali wzrokiem wysokość i snuli moc domysłów. Na murach krążyły wystraszone posterunki.

Patrol dowodzony przez sierżanta odpędzał mieszczan od miejsca, gdzie diuk dosiadł konia.

D'Artagnan najechał wprost na sierżanta.

— Panie poruczniku — rzekł sierżant — tutaj nie wolno się zatrzymywać.

— Ten rozkaz mnie nie tyczy — odparł d'Artagnan. — Czy poszła pogoń za uciekającymi?

— Tak, panie poruczniku, na nieszczęście tamci jadą na dobrych koniach.

— A ilu ich jest?

— Czterech zdrowych i jeden ranny, którego zabrali ze sobą.



— Czterech — zwrócił się d'Artagnan do Portosa — słyszysz, baronie?

Tylko czterech.

Radosny uśmiech rozjaśnił twarz Portosa.

— Jak daleko się wysforowali?

— Dwie godziny i kwadrans, panie poruczniku.

— Dwie godziny i kwadrans, to głupstwo, mamy dobre konie, nieprawdaż, Portosie?

Portos westchnął, pomyślałszy o tym, co czekało jego biedne konie.

— Doskonale — rzekł d'Artagnan. — A teraz, w którą stronę pojechali?

— Tego, panie poruczniku, nie wolno nam mówić.

D'Artagnan wyciągnął z kieszeni papier.

— Rozkaz królewski — rzekł.

— Wobec tego proszę rozmawiać z panem gubernatorem.

— A gdzie gubernator?

— Na wsi.

Twarz d'Artagnana pociemniała od gniewu, zmarszczył czoło, skronie zaczerwieniły się.

— Och, nędzniku, zdaje mi się, że drwisz sobie ze mnie. Czeka! Rozwinął papier, podsunął go jedną ręką sierżantowi, a drugą sięgnął do olster po pistolet i odciągnął kurek.

— Rozkaz królewski, mówię ci. Czytaj i odpowiadaj albo ci palnę w łeb.

Którędy pojechali?

Sierżant zobaczył, że z d'Artagnanem nie ma żartów.

— Drogą na Vendómois — odpowiedział.

— A którą bramą wyjechali?

— De Saint-Maur.

— Jeśli mnie okłamałeś, nędzniku, będziesz jutro wisiał.

— A jeśli wasza miłość ich dogoni, to już nie powróci, by mnie kazać powiesić — zamruczał sierżant.

D'Artagnan wzruszył ramionami, skinął na eskortę i dał koniowi ostrogę.

— Tędy, panowie, tędy! — wołał kierując się ku wskazanej bramie parku.

Ale teraz po ucieczce diuka dozorca uważał za stosowne zamknąć bramę na cztery spusty. Trzeba było na nim wszystko wymuszać, podobnie jak rzecz miała się z sierżantem. Zabrało to jeszcze dziesięć minut czasu.

Po przewyciężeniu tej ostatniej przeszkody oddział pognął z poprzednią szybkością.

Nie wszystkie jednak konie szły nadal z tym samym ogniem; kilka z nich nie mogło długo wytrzymać tak szalonej jazdy; trzy ustały już po godzinie, jeden padł.

D'Artagnan, który jechał nie odwracając głowy, nawet tego nie zauważył. Portos powiedział mu o tym ze zwykłym spokojem.

— Wystarczy, że dojedzie nas dwóch — odparł d'Artagnan. — Jest ich przecież tylko czterech.

— To prawda — powiedział Portos.

I dał koniowi ostrogę.

W ciągu dwóch godzin konie przebyły dwanaście mil bez zatrzymywania. Nogi zaczęły im drżeć, piana płatami oblepiała kaftany jeźdźców, a pot zwierząt przesiąkał przez spodnie.

— Odpocznijmy choć na chwilę, niech wytchną te biedaki — odezwał się Portos.

— Nie, zajedźmy je na śmierć, a dogońmy tamtych. Widzę świeże ślady. Nie ma jeszcze kwadransa, jak tędy przejechali.

Istotnie powierzchnia gościńca poryta była końskimi kopytami. W ostatnich blaskach dnia wyraziście rysowały się ślady.

I popędzili dalej. Po dwóch milach koń Muszkiety zwałił się na ziemię.

— Bach! — rzekł Portos. — Febus stracony.

— Kardynał zapłaci ci zań tysiąc pistoli.

— Och — odparł Portos — jestem wyższy nad to!

— A więc jazda, galopem.

— Tak, jeśli jeszcze możemy.

Istotnie koń d'Artagnana odmówił posłuszeństwa. Był już bez tchu.

Ostatnie uderzenia ostrogą miast zmusić do marszu, obaliły go.

— Do diabła — rzekł Portos — ot i Wulkan zajeżdżony.

— Do kata! — wrzasnął d'Artagnan rwąc włosy — trzeba się zatrzymać.

Daj mi swojego konia, Portosie! Ale co ty, u diabła, robisz?

— Dalibóg, nic, to raczej Bayard wali się na ziemię.

Podczas gdy Portos wyplątywał się ze strzemion, d'Artagnan chciał konia dźwignąć, spostrzegł jednak, że zwierzęciu cieknie z chrapów krew.

— Trzeci! — zawołał. — Teraz już wszystko skończone!

W tejże chwili dało się słyszeć rzenie.

— Tss — szepnął d'Artagnan.

— Co tam?

— Słyszę konia.

— To któryś z naszych dochodzi.

— Nie, to z przodu.

— A to co innego.

I jął teraz słuchać sam, natężając ucha w stronę wskazaną przez d'Artagnana.

— Panie — odezwał się Muszkiet, który porzuciwszy na gościńcu rumaka, dołączył piechotą do swego pana — panie, Febus nie wytrzymał i...

— Cicho — szepnął Portos.

Właśnie w tejże chwili nocny wietrzyk przyniósł powtórny odgłos końskiego rzenia.

— To przed nami, jakieś pięćset kroków stąd — rzekł d'Artagnan.

— Istotnie, panie;— powiedział Muszkiet. — Pięćset kroków stąd stoi domek myśliwski.

— Muszkiet, pistolety — rzucił d'Artagnan.

— Trzymam je w ręku, panie.

— Portos, pistolety z olster.

— Wyjęte.

— Dobrze — odparł d'Artagnan biorąc z kolei swoje — teraz rozumiesz, Portosie?

— Nie za bardzo.

— Jedziemy w służbie króla.

— A więc?

— W imię tej służby zarekwirujemy owe konie.

— Aha — rzekł Portos.

— Ani słowa i do dzieła.

I wszyscy trzech ruszyli naprzód w noc, niknąc jak zjawy. Za zakrętem drogi ujrzeli blask światła wśród drzew.

— Dom — rzekł cicho d'Artagnan. — Pozwól mi działać i rób to co ja.

Przemykając się od drzewa do drzewa, dotarli nie zauważeni na dwadzieścia kroków od domu. Dzięki latarni zawieszanej w szopie dostrzegli z tej odległości cztery dobrze prezentujące się konie. Jakiś parobek właśnie je czyścił. Obok leżały siodła i uzdy.

D'Artagnan podszedł szybko, dając znak towarzyszom, aby trzymali się kilka kroków za nim.

— Kupuję te konie — rzekł do parobka.

Ów obrócił się zdumiony, ale nic nie powiedział.

— Nie słyszysz, hultaju? — podjął d'Artagnan.

— Słyszę — odparł tamten.

— To dlaczego nie odpowiadasz?

— Bo te konie nie są do sprzedania.

— Wobec tego zabieram je.

I położył dłoń na najbliższym. W tym momencie wyłonili się jego towarzysze i uczynili to samo.

— Ależ panowie! — zakrzyknął służący. — One zrobiły za jednym zamachem sześć mil i dopiero przed półgodziną zostały rozsiadłane.

— Pół godziny odpoczynku wystarczy — rzekł d'Artagnan. — Złapią jeszcze lepszy oddech.

Stajenny jął wołać na pomoc. Ktoś wyglądający na intendenta wyszedł właśnie w momencie, gdy d'Artagnan wraz z towarzyszami zakładali siodła na grzbiety wierzchowców.

Intendent chciał podnieść krzyk.

— Drogi przyjacielu — rzekł d'Artagnan — jedno słowo, a strzelę ci w łeb.

I pokazał mu lufę pistoletu, który zresztą natychmiast włożył znów pod pachę, aby dalej siodłać.

— Ależ panie — rzekł intendent — czy pan wie, że te konie należą do księcia de Montbazon?

— Tym lepiej — odparł d'Artagnan — muszą to być zatem dobre rumaki.

— Panie — rzekł intendent cofając się krok za krokiem i usiłując z powrotem dotrzeć do drzwi — uprzedzam, że zawołam swoich ludzi.

— A ja swoich. Jestem porucznikiem muszkieterów królewskich, za mną jedzie dziesięciu gwardzistów. Nie słyszysz tętentu? Zobaczymy.

Nic nie było słyhać, lecz intendent bał się cokolwiek posłyszeć.

— No, Portosie? — zapytał d'Artagnan.

— Skończyłem.

— A pan, Musz?

— Ja także.

— Na koń i jazda.

I wszyscy trzej dosiedli wierzchowców.

— Do mnie! — krzyknął intendent. — Do mnie! Służba, strzelby!

— W drogę! — krzyknął d'Artagnan. — Zanosi się na tęgą strzelaninę.

I wszyscy trzej rzucili się z wiatrem w zawody.

— Do mnie! — ryczał intendent, podczas gdy stajenny biegł do sąsiedniego budynku.

— Uwaga, bo zabijesz własne konie! — d'Artagnan wybuchnął śmiechem.

— Ognia! — dobiegła go odpowiedź intendenta.

Światło podobne do błyskawicy rozjaśniło drogę. Równocześnie z hukiem wystrzałów trzech jeźdźcy usłyszeli świst kul, które przepadły gdzieś w przestrzeni.

— Strzelają jak pachołki — rzekł Portos. — Za czasów księcia de Richelieu strzelano lepiej. Pamiętasz, panie Musz, drogę do Crevecoeur?

— Ach, panie, jeszcze do tej pory prawy pośladek boli mnie od tego.

— D'Artagnan, jesteś pewny, że jedziemy po śladach? — zapytał Portos.

— Dalibóg! Nie słyszałeś?

— Co?

— Że konie te należą do księcia de Montbazon.

— No?

— No, księżę de Montbazon jest mężem księżnej de Montbazon.

— I co dalej?

— Księżna de Montbazon zaś jest kochanką księcia de Beaufort.

— Ach, rozumiem — odparł Portos. — Więc kazała dać konie rozstawne.

— Właśnie.

— I my jedziemy za diukiem końmi, które pozostawił.

— Mój drogi Portosie, jesteś naprawdę człowiekiem wyższej inteligencji — rzekł d'Artagnan swym tonem na wpół serio, na wpół drwiąco.

— Phi! — rzucił Portos — taki już jestem.

Jechali tak z godzinę. Konie były białe od piany, z brzuchów ściekała im krew.

— Czyżbym tam coś widział? — rzekł d'Artagnan.

— Masz wielkie szczęście, jeśli coś widzisz w taką noc — odrzekł Portos.

— Jakieś iskry.

— I ja również widzę — odparł Muszkiet.

— Czyżbyśmy ich doganiali?

— A to dopiero! Padły koń — rzekł d'Artagnan ściągnając swego wierzchowca, który właśnie uskoczył w bok. — Zdaje się, że i oni są u kresu sił.

— Wydaje mi się, że słyhać jakby cały oddział jeźdźców — rzekł Portos pochylony nad grzywą swego konia.

— Niemożliwe.

— Cała kupa.

— A to co innego.

— Znów koń — wyrzekł Portos.

— Martwy?

— Nie, zdycha.

— Z siodłem czy bez?

— Z siodłem.

— Więc to oni.

— Śmiało, mamy ich.

— Ale jeśli ich kupa — rzekł Muszkiet — to nie my ich mamy, ale oni nas.

— Ba! — odparł d'Artagnan — uważają nas za silniejszych, ponieważ ich ścigamy. Nastraszą się i rozproszą.

— Na pewno — powiedział Portos.

— O, widzicie! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Tak, znów iskry. Tym razem i ja je widziałem — rzekł Portos.

— Naprzód, naprzód! — rzucił d'Artagnan swym skrzeczącym głosem. —  
Za pięć minut będziemy się śmiać.

I znów ruszyli przed siebie. Konie oszalałe z bólu i pościgu leciały mroczną drogą, pośrodku której zaczęła się rysować jakaś masa bardziej zwarta i ciemniejsza od reszty horyzontu.

## 28. Spotkanie

Gnali tak jeszcze z dziesięć minut.

Nagle od zwartej masy odcięły się dwa czarne punkty i jęły się zbliżać, rósć, a w miarę jak rosły, przybierać kształt dwóch jeźdźców.

— O — rzekł d'Artagnan — idą na nas.

— Tym gorzej dla nich — odrzekł Portos.

— Kto tam? — zakrzyknął ochrypły głos.

Trzej jeźdźcy w pełnym galopie nie zatrzymali się i nie odpowiedzieli. Słychać było tylko chrzęst dobywanych szpad i szczęk kurków odwodzonych przez czarne zjawy.

— Cugle w zęby! — rzucił d'Artagnan.

Portos pojął w lot. Jednocześnie z d'Artagnanem wyciągnął lewą ręką pistolet z olster i odwiódł kurek.

— Kto idzie? — zakrzyknięto po raz wtóry. — Ani kroku dalej albo śmierć!

— Ba! — odrzucił Portos, niemal dławiąc się kurzem i żując uzdę jak koń wędzidło — ba, jużemy takich widzieli!

Na te słowa dwa cienie zatarasowały drogę i w świetle gwiazd błysnęły lufy wymierzonych do strzału pistoletów.

— Z drogi! — wrzasnął d'Artagnan — albo zginiecie!

Odpowiedzią na tę groźbę były dwa strzały, lecz nacierający szli z takim impetem, że w tejże chwili siedzieli już na przeciwnikach. Rozległ się trzeci strzał, oddany z bardzo bliska przez d'Artagnana i jego przeciwnik padł. Portos zaś tracił swego z taką siłą, że choć trzymał szpadę odwróconą, samym tylko uderzeniem odrzucił go na jakieś dziesięć kroków od konia.

— Kończ go, Muszkiet! — zakrzyknął.



I rzucił się naprzód obok przyjaciela, który podjął już dalszy pościg.

— No? — zapytał.

— Rozwaliłem mu łeb — odparł d'Artagnan. — A ty?

— Obaliłem go tylko, ale uwaga...

Rozległ się huk strzelby: to Muszkiet wykonał w biegu rozkaz pana.

— Nuże, nuże — odezwał się d'Artagnan. — Dobrze idzie, pierwszą partię wygraliśmy.

— Otóż i nowi gracze — rzekł Portos.

Istotnie, nowi dwaj jeźdźcy odłączyli się od głównej grupy i przybliżali gwałtownie, aby znów zagrozić drogę.

Tym razem d'Artagnan wcale nie czekał, aż się sami odezwą.

— Z drogi! — krzyknął pierwszy. — Z drogi!

— Czego chcecie? — padło zapytanie.

— Diuka! — ryknęli obaj jak jeden.

Odpowiedział im wybuch śmiechu zakończony jękiem: d'Artagnan śmiejącego się przebił na wylot.

W tejże chwili dwa wystrzały huknęły jak jeden. To Portos i jego przeciwnik wystrzelili do siebie.

D'Artagnan obejrzał się i dostrzegł Portosa tuż obok.

— Brawo, Portosie — rzekł. — Zdaje się, że go zabiłeś.

— Zdaje się, trafiłem tylko konia.

— Cóż chcesz, mój drogi, nie każdy wystrzał trafia w punkt i nie ma się co skarżyć, gdy pójdzie tylko w kartę. Ale dalibóg, co z moim koniem?

— Twój koń pada — rzekł Portos zatrzymując swego.

W samej rzeczy, rumak d'Artagnana potykał się i padał na kolana, po czym jął rzeźić i legł na ziemi.

Trafiony został w pierś kulą pierwszego z przeciwników d'Artagnana.

D'Artagnan rzucił przekleństwo, od którego niebo gotowe było się rozpaść w kawałki.

— Potrzebuje pan konia? — zagadnął go Muszkiet.

— Do kata! Czy potrzebuję... — krzyknął d'Artagnan.

— Proszę — odparł Muszkiet.

— Do kroć diabłów, skąd masz te dwa luzaki? — rzucił d'Artagnan wskakując na jednego.

— To po zabitych. Pomyślałem, że mogą się nam przydać, i zabrałem.

Tymczasem Portos nabił z powrotem pistolet.

— Baczość! — rzucił d'Artagnan. — Znowu dwóch.

— Ależ to może być tak do jutra — rzekł Portos.

Istotnie dwaj nowi jeźdźcy już nadjeżdżali pędem.

— Panie — rzekł Muszkiet — ten, co go pan obalił, podnosi się.

— Czemuś z nim nie zrobił tego co z poprzednim?

— Byłem zajęty, panie; przytrzymałem konie.

Rozległ się strzał. Muszkiet wydał okrzyk bólu.

— Och, panie, w drugi! — zawołał. — Akurat w drugi. Taki sam strzał jak na drodze do Amiens.

Portos odwrócił się jak lew i runął na spieszzonego jeźdźca, który usiłował właśnie dobyć szpady. Zanim wyciągnął ją z pochwy, Portos gałką swojej szpady zadał mu tak straszliwy cios w głowę, że tamten padł jak byk pod obuchem rzeźnika.

Muszkiet, jęcząc żałośnie, zsunął się wdłuż konia, gdyż rana nie pozwalała mu pozostawać w siodle.

Dostrzegłszy jeźdźców d'Artagnan zatrzymał się i znowu nabił pistolet. Co więcej, jego nowy koń miał strzelbę przytroczoną do łęku siodła.

— No i co? — zapytał Portos. — Czekamy czy atakujemy?

— Atakujemy.

— Atakujemy — powtórzył Portos.

I wbili ostrogi w brzuchy wierzchowców. Jeźdźcy byli już o dwadzieścia kroków.

— W imieniu króla, z drogi! — krzyknął d'Artagnan.

— Król nie ma tu nic do gadania! — odparł posepny i wibrujący głos, który zdawał się dobywać z jakiejś chmury, gdyż jeździec zbliżał się spowity kłębem pyłu.

— Dobrze, dobrze, zobaczymy, czy król nie przejdzie wszędzie — podjął d'Artagnan.

— Zobaczycie — odparł ten sam głos.

I dwa wystrzały pistoletowe rozległy się niemal jednocześnie; jeden d'Artagnana, drugi przeciwnika Portosa. Kula d'Artagnana zrzuciła przeciwnikowi kapelusz, kula zaś przeciwnika Portosa przeszła przez gardziel jego rumaka, który wydawszy tylko jeden jęk padł na miejscu.

— Zapytuję po raz ostatni, dokąd zmierzacie? — indagował ten sam głos.

— Do diabła — rzucił odpowiedź d'Artagnan.

— Doskonale! Możecie być spokojni, że tam zajedziecie.

D'Artagnan ujrzał wymierzoną w siebie lufę muszkietu. Nie miał już możliwości sięgnąć do olster. Przypomniał sobie radę daną mu swego czasu przez Atosa i jął wspinać konia.

Kula trafiła zwierzę w sam środek brzucha. D'Artagnan poczuł, jak się koń pod nim osuwa, i z właściwą sobie cudowną zręcznością rzucił się w bok.

— No tak — dał się słyszeć ten sam wibrujący, szyderczy głos — toż to jatka końska, a nie walka między ludźmi. Za szpadę, mości panie, za szpadę!

I zeskoczył z konia.

— Niech będzie za szpadę — odparł d'Artagnan. — Lubię to.

W dwóch susach dopadł przeciwnika, aż poczuł jego broń na swojej. Z przyrodzoną sobie zręcznością złożył się tercją, swą ulubioną pozycją.

Tymczasem Portos z pistoletem w obu rękach klęczał za koniem, który bił kopytami w przedśmiertnych konwulsjach.

Pomiędzy d'Artagnanem i jego przeciwnikiem rozpoczęła się walka.

D'Artagnan, według swego zwyczaju, natarł ostro, ale tym razem spotkał się z

umiejętnością i siłą, które go zastanowiły. Dwa razy odparty kwartą, odstąpił jeden krok wstecz. Przeciwnik ani drgnął. D'Artagnan powrócił i znów złożył się tercją.

Dwa, trzy razy padły z obu stron ciosy, ale bez rezultatu. Snopy iskier tryskały ze szpad.

Wreszcie d'Artagnan uznał, że nadszedł moment sposobny do zastosowania ulubionej finty. Podprowadził do niej bardzo zręcznie, wykonał z błyskawiczną szybkością i zadał silne pchnięcie, jak sądził, nie do odparcia.

Cios został sparowany.

— Do kata! — zakrzyknął swym gaskońskim akcentem.

Na ten okrzyk przeciwnik uskoczył wstecz i pochylając odkrytą głowę, usiłował rozeznąć w ciemnościach twarz d'Artagnana. Ten zaś, obawiając się finty, nie atakował.

— Uważaj — rzekł mu Portos, oba pistolety mam nabite.

— Jeszcze jeden powód, byś strzelał pierwszy — odrzekł tamten.

Portos strzelił; błysk oświetlił pole walki.

W jego blasku dwaj walczący obok krzyknęli.

— Atos! — padło z ust d'Artagnana.

— D'Artagnan! — wyrzekł Atos.

Atos podniósł szpadę w górę, a d'Artagnan opuścił swoją.

— Aramisie — krzyknął Atos — nie strzelaj!

— Więc to ty, Aramisie? — zapytał Portos i rzucił precz pistolet.

Aramis wcisnął swój do olster, a szpadę włożył do pochwy.

— Synu mój! — szepnął Atos wyciągając rękę do d'Artagnana.

— Atosie — rzekł d'Artagnan załamując ręce — więc ty stajesz w jego obronie? A ja zaprzysięgłem, że przyprowadzę go żywym czy umarłym! Jestem zhańbiony!

— Zabij mnie — odparł Atos odkrywając pierś — jeśli honor twój wymaga mej śmierci.

— O, ja nieszczęsny! O, ja nieszczęsny! — krzyczał d'Artagnan. — Jeden tylko człowiek na świecie mógł mnie zatrzymać i trzebaż fatalności, że on właśnie staje na mej drodze. I cóż powiem kardynałowi?

— Powiedz mu pan — rozległ się donośny głos nad polem walki — że posłał przeciwko mnie jedynych dwóch ludzi zdolnych obalić czterech, zdolnych bez ujmy walczyć wręcz z hrabią de La Fere i kawalerem d'Herblay, a poddać się może dopiero pięćdziesięciu ludziom.

— Jego książęca wysokość! — rzekli razem Atos i Aramis odsłaniając diuka de Beaufort, podczas gdy d'Artagnan i Portos cofnęli się o krok w tył.

— Pięćdziesięciu ludzi — zaszepotali.

— Proszę, spójrzcie, panowie, wokół siebie, jeśli wątpicie w moje słowa — rzekł diuk.

D'Artagnan i Portos rozejrzeli się wokoło. Istotnie byli zewsząd otoczeni oddziałem konnych.

— Po odgłosach walki — ciągnął diuk — sądziłem, że jest was ze dwudziestu, toteż zawróciłem z całym oddziałem. Zbrzydziwszy sobie ciągłą ucieczkę, zapragnąłem sam ująć za szpadę, a tymczasem was tylko dwóch.

— Tak — wtrącił Atos — ale wasza książęca mość sam powiedział, że warci są dwudziestu.

— Dalej, panowie, proszę o szpady — rzekł diuk.

— Nasze szpady! — odparł d'Artagnan podnosząc głowę i przytomniejąc.  
— Nasze szpady?! Przenigdy!

— Przenigdy! — powtórzył Portos.

Kilku ludzi poruszyło się.

— Chwileczkę, wasza książęca mość, dwa słowa — odezwał się Atos. Zbliżył się do księcia, który się doń nachylił, i szepnął mu kilka słów.

— Jak pan sobie życzysz, hrabio — odparł książę. — Zbyt jestem panu zobowiązany, by odmówić pierwszej jego prośbie. Proszę się oddalić, panowie — zwrócił się do ludzi ze swej drużyny. — Panowie d'Artagnan i du Vallon,

jesteście wolni.

Rozkaz został natychmiast wykonany i d'Artagnan wraz z Portosem znaleźli się pośrodku dużego koła.

— A teraz — odezwał się Atos — d'Herblay, zjeżdż z konia i chodź tutaj.

Aramis zeskoczył z konia i podszedł do Portosa, Atos zaś do d'Artagnana. Tak więc wszyscy czterej znaleźli się razem.

— Przyjacielu — podjął Atos — czy żałujesz jeszcze naszej nie przelanej krwi?

— Nie — odparł d'Artagnan — tylko żal ściska mi serce, gdy widzę nas występujących przeciwko sobie, nas, co byliśmy zawsze tak ze sobą związani. Przykro mi, że spotykamy się w przeciwnych obozach. Och, teraz już chyba niczego nie dokonamy.

— Och. mój Boże, niczego, wszystko skończone — dorzucił Portos.

— Więc przystańcie do nas — rzekł Aramis.

— Cicho, d'Herblay — przerwał Atos. — Ludziom takiego pokroju nie czyni się podobnych propozycji. Jeśli są po stronie Mazariniego, to dlatego, że tak natchnęło ich sumienie, jak nasze postawiło nas po stronie książąt.

— Tymczasem jesteśmy wrogami — rzekł Portos. — Psiakrew, kto by to kiedyś pomyślał.

D'Artagnan nie odezwał się wcale, tylko westchnął.

Atos spojrzał na starych przyjaciół i ujął ich dłonie w swe ręce.

— Panowie — rzekł — sprawa to poważna i serce moje przepełnia taki ból, jakbyście je na wskroś przebili. Tak, jesteśmy w przeciwnych obozach, to wielka i smutna prawda. Ale jeszcze nie wypowiedzieliśmy sobie wojny. Moglibyśmy to chyba jakoś ułożyć. Niezbędna jest ostateczna rozmowa.

— Ja ze swej strony domagam się jej — rzeki Aramis.

— Zgoda — rzucił dumnie d'Artagnan.

Portos skinął głową na znak przyzwolenia.

— Umówmy więc miejsce spotkania — ciągnął Atos — dogodnie dla nas

wszystkich. Tam ustalimy ostatecznie nasze wzajemne stanowiska oraz jak mamy postępować wobec siebie.

— Doskonale! — odrzekli trzej pozostali.

— Zgadza się więc? — zapytał Atos.

— Całkowicie.

— Miejsce?

— Odpowiada wam plac Królewski? — zapytał d'Artagnan.

— W Paryżu?

— Tak.

Atos i Aramis spojrzeli na siebie, po czym Aramis potakująco skinął głową.

— Niech będzie plac Królewski — rzekł Atos.

— Kiedy?

— Jutro wieczorem, jeśli wola.

— Zdążycie wrócić?

— Tak.

— O której?

— O dziesiątej wieczór, jeśli wam odpowiada.

— Doskonale.

— Wyniknie z tego albo pokój, albo wojna, ale przynajmniej honor nasz pozostanie nienaruszony.

— Niestety — zamruczał d'Artagnan — myśmy już postradali nasz honor żołnierski.

— D'Artagnanie — odezwał się z powagą Atos — przysięgam, że sprawiasz mi przykrość, myśląc o tym. Ja mam na myśli co innego, a mianowicie, żeśmy skrzyżowali ze sobą szpady. Tak — ciągnął potrząsając żałośnie głową — dobrześ powiedział, wszyscyśmy nieszczęśni. Chodźmy, Aramisie.

— A my, Portosie, wracajmy z naszą hańbą do kardynała.

— Przede wszystkim powiedzcie mu — zawołał jakiś głos — żem jeszcze nie za stary, aby działać.

D'Artagnan rozpoznał głos Rocheforta.

— Czy mogę coś zrobić dla panów? — zagadnął ksiązę.

— Dać świadectwo, że zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, wasza wysokość.

— Bądźcie spokojni, uczynię to. Żegnam panów. Mam nadzieję, że za jakiś czas znowu się zobaczymy. Może pod Paryżem, a może i w samym Paryżu. Wówczas będziecie mogli się odegrać.

Z tymi słowy diuk skinął na pożegnanie ręką, puścił konia galopem i zniknął wraz z orszakiem, którego obraz roztopił się w ciemnościach, a tętent rozpląnął w przestrzeni.

D'Artagnan i Portos znaleźli się sami na trakcie z jednym tylko człowiekiem trzymającym dwa luzaki.

Sądziłi, że to Muszkiet, i podeszli doń.

— Co widzę?! — wykrzyknął d'Artagnan. — To ty, Milczek?

— Milczek! — powtórzył Portos.

Milczek przytaknął dwom przyjaciołom na znak, że się nie mylą.

— A czyje to konie? — zapytał d'Artagnan.

— Kto je nam dał? — pytał Portos.

— Pan hrabia de La Fere.

— Ach, Atosie, Atosie — mruzczał d'Artagnan — o wszystkim pamiętasz, prawdziwy z ciebie szlachcic.

— Chwała Bogu! — rzekł Portos. — Obawiałem się, że będę musiał wracać na piechotę.

I wskoczył na siodło. D'Artagnan już siedział w swoim.

— A ty dokąd, Milczek? — zagadnął d'Artagnan. — Opuszczasz swego pana?

— Tak, jadę dołączyć do pana wicehrabiego de Bragelonne, który znajduje



się przy armii flandryjskiej.

W milczeniu ujechali kilka kroków traktem prowadzącym w stronę Paryża, kiedy nagle posłyszeli jęki dolatujące jakby gdzieś z rowu.

— Co to? — zapytał d'Artagnan.

— To Muszkiet — odparł Portos.

— Och, tak, panie, to ja — odparł płaczliwy głos, a jednocześnie na drodze wyrósł jakiś cień.

Portos podjechał w stronę swego intendenta, do którego był naprawdę przywiązany.

— Ranionyś niebezpiecznie, drogi Musz?

— Musz? — podjął Milczek otwierając szeroko oczy.

— Nie, panie, nie sędzę. Tylko jestem ranny w to miejsce tak niepolityczne.

— Ach, i nie możesz dosiąść konia?

— Och, panie, co mam zrobić?

— A pieszo możesz iść?

— Spróbuję, do pierwszego z brzegu domu.

— Co robić? — rzekł d'Artagnan. — Przecież trzeba nam wracać do Paryża.

— Ja zajmę się Muszkietem — odezwał się Milczek.

— Dzięki ci, mój pocziwcze — rzekł Portos.

Milczek zsiadł z konia i podał ramię swemu staremu przyjacielowi, który przyjął je ze łzami w oczach, Milczek nie mógł, stwierdzić, czy istotnym powodem łez była radość z ujrzenia przyjaciela, czy też ból, jaki sprawiała rana.

D'Artagnan zaś i Portos w milczeniu podążali do Paryża.

W trzy godziny później minął ich jakiś kurier okryty kurzem. Był to człowiek wysłany przez diuka do kardynała z listem, w którym zgodnie z obietnicą książę poświadczał czyny Portosa i d'Artagnana.

Mazarini po otrzymaniu listu spędził noc bardzo źle. Książę oznajmiał

własnoręcznie, że znajduje się na wolności i że wydaje kardynałowi wojnę na śmierć i życie.

Kardynał przeczytał list dwa, trzy razy, po czym złożył go i schowawszy do kieszeni, rzekł:

— Jakkolwiek d'Artagnan nie dostał księcia, to przynajmniej pociesza mnie fakt, że pędząc stratował tego Broussela. Ten Gaskończyk to człowiek bezwzględnie wartościowy, nawet swoją niezręcznością wyświadcza mi przysługi.

Kardynał miał na myśli człowieka, którego d'Artagnan obalił był w Paryżu przy rogu cmentarza Saint-Jean. Był to właśnie radca Broussel.

## 29. Pocziwiec Broussel

Ale na nieszczęście dla kardynała Mazariniego, którego w tym czasie prześladował pech, pocziwiec Broussel nie został stratowany.

Rzecz miała się tak: właśnie przekraczał on spokojnie ulicę Saint-Honore, kiedy koń unoszący d'Artagnana potracił go w plecy i obalił w błoto. Jak już nadmieniliśmy, d'Artagnan nie zauważył nawet tego drobnego dlań przypadku. Zresztą d'Artagnan podzielał uczucie głębokiej i pogardliwej obojętności, jaką szlachta, a w szczególności szlachta wojskowa, żywiła w tych czasach do mieszczaństwa. Pozostał więc obojętny na nieszczęście, jakie przydarzyło się temu małemu, czarno odzianemu człowieczkowi. I zanim biedny Broussel zdołał krzyknąć, cały huragan zbrojnych jeźdźców przepadł w dali. Dopiero wówczas można było rannego posłyszeć i dźwignąć.

Nadbiegli ludzie, ujrzeli jęczącego człowieka, spytali o nazwisko, adres, tytuł, a kiedy powiedział, że nazywa się Broussel, że jest radcą parlamentu i zamieszkuje przy ulicy Saint-Landry, natychmiast podniósł się w tłumie wrzask, straszliwy, groźny wrzask, który przeraził rannego nie mniej niż ów huragan, co przetoczył się po jego ciele.

— Broussel! — krzyczano — Broussel, nasz ojciec! obrońca naszych praw przeciw Mazariniemu! Broussel, przyjaciel ludu! Zabity, stratowany przez tych kardynalskich zbrodniarzy! Na pomoc! Do broni! Śmierć!

W jednej chwili zebrał się olbrzymi tłum. Zatrzymano jakąś karete, aby w niej położyć małego radcę. Ale ktoś z ludu zauważył, iż ruch pojazdu może pogorszyć stan, w jakim znajduje się ranny. Fanatycy zaproponowali, aby zanieść go na rękach, co zostało przyjęte z entuzjazmem i jednomyślnie zaakceptowane. Jak rzekli, tak zrobili. Lud, groźny i tkliwy jednocześnie, dźwignął go i poniosł, podobny owemu olbrzymowi z baśni, który grzmi jak

burza, pieszcząc i kołysząc w ramionach karzełka. Broussel powątpiewał był już o przywiązaniu paryżan do niego. W czasie tych trzech lat rozsiewał ducha opozycji nie bez cichej nadziei, że pewnego dnia stanie się popularny. Ta demonstracja, co wynikła tak w porę, sprawiła mu przyjemność i napełniła dumą, ponieważ objawiła miarę jego wpływów. Z drugiej jednak strony triumf ten przyćmiewały pewne obawy. Obok ran, które przysparzały mu wiele cierpienia, nękała go obawa, że na każdym rogu ulicy ujrzy wyłaniający się szwadron gwardzistów bądź muszkietarów szarżujących na tłum. A cóż się wtedy stanie z bohaterem tej ciżby?

Miał ciągle przed oczami ten wir ludzki, ten huragan podkutych nóg, który obalił go jednym podmuchem. Powtarzał więc słabym głosem:

— Śpieszcie się, moje dzieci, gdyż naprawdę bardzo cierpię. Każda z tych skarg wzmagała wokół niego jęki i podwajała siłę złorzeczeń. Nie bez trudu przybyli wreszcie do domu Broussela. Tłum, który wtargnął w ulicę wcześniej, ściągnął do okien i na progi domów całą dzielnicę. W oknie pewnego domu, dokąd prowadziła wąska brama, widać było miotającą się starą służącą, która krzyczała ze wszystkich sił, i niemłodą już kobietę, która płakała. Obie wyraźnie zatrwożone, chociaż objawiały to każda w inny sposób, rozpytywały ludzi, którzy za całą odpowiedź niewyraźnie i niezrozumiale coś wykrzykiwali.

Ale kiedy pojawił się radca niesiony przez ośmiu ludzi, blady i spoglądający na swój dom, na żonę i służącą okiem umierającego, poczciwa pani Broussel zemdląła, a służąca wznosząc ramiona ku niebu rzuciła się na schody na spotkanie swego pana z okrzykiem: “O mój Boże! Mój Boże! Żeby chociaż tu był Friquet i mógł pobiec po chirurga!”

Okazało się, że Friquet był na miejscu. Gdzieżby mogło zabraknąć paryskiego urwisa?

Friquet skorzystał oczywiście z Zielonych Świątek, aby poprosić właściciela oberży o zwolnienie; zwolnienie, którego nie można mu było odmówić, biorąc pod uwagę, że umowa z chłopcem zastrzegała, iż będzie on

miał wolne wszystkie cztery wielkie doroczne święta.

Friquet był na czele pochodu. Ma się rozumieć przychodziło mu na myśl poszukać chirurga, lecz ostatecznie uznał za znacznie przyjemniejsze wykrzykiwanie na całe gardło: “Zabili pana Broussela! Pana Broussela, ojca ludu! Niech żyje pan Broussel!”, anizeli iść samemu bocznymi ulicami i zwyczajnie rzec do człowieka odzianego na czarno: “Niech pan idzie, panie chirurgu, potrzebuje pana radca Broussel”.

Na nieszczęście Friqueta, który odgrywał tak poważną rolę w orszaku, postąpił on nierozważnie czepiając się krat parterowego okna, aby z góry oglądać tłum. Ta ambicja zgubiła go: matka zauważyła syna i posłała po lekarza.

Następnie ujęła rannego pocziwca w swe ramiona i chciała wnieść na pierwsze piętro, ale u stóp schodów radca stanął na nogi i oświadczył, że czuje się na tyle silny, aby samemu wejść na górę. Następnie poprosił Gervaise — takie było imię służącej — by postarała się oddalić tłum, ale ona nie słuchała swego pana.

— O mój biedny pan! Mój drogi pan! — wykrzykiwała.

— Tak, moja droga, tak Gervaise — mruczał Broussel, aby ją uspokoić. — Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

— Jakże mam się nie trapić, kiedy pan jest potłuczony, porozbijany, pobity.

— Ależ nie, ależ nie — odpowiedział Broussel — to nic albo prawie nic.

— Nic, a pan cały pokryty błotem! Nic, a krew we włosach! Ach, mój Boże, mój Boże! Mój biedny pan.

— Ciszej — mówił Broussel — ciszej.

— Krew, mój Boże! krew! — krzyczała Gervaise.

— Lekarza, chirurga, doktora! — wył tłum. — Radca Broussel umiera! To mazariniści go zabili!

— O mój Boże! — rozpaczał Broussel. — Przez tych nieszczęśników spalą mi dom!

— Niech pan stanie w oknie i pokaże się, panie nasz.

— Ani myślę, do kroćset — odparł Broussel. — Takie pokazywanie się dobre dla króla. Powiedz im, Gervaise, że czuję się lepiej. Powiedz im, że idę nie do okna, ale do łóżka, i żeby sobie stąd poszli.

— Ale dlaczego pan chce, żeby sobie poszli? Toż to honor dla pana, że są tutaj.

— Czyż nie widzisz — rozpaczal Broussel — doprowadzą do tego, że zostanę powieszony! Dalej, spojrzysz no, moja żona czuje się źle!

— Broussel, Broussel! — krzyczał tłum. — Niech żyje Broussel! Chirurga dla Broussela!

Narobili takiego tumultu, że stało się to, co przewidywał Broussel. Pluton gwardzistów przegnał kolbami muszkietów całą tę ciżbę, zresztą nie taką znów groźną. Na pierwsze okrzyki: “Gwardziści! Wojsko!” Broussel, który drżał na myśl, że go wezmą za podżegacza całego tego tumultu, wpakował się w ubraniu do łóżka.

Wojsko przegnało tłum, dzięki czemu stara Gervaise po trzykrotnie powtórzonym poleceniu Broussela mogła wreszcie zamknąć bramę od ulicy. Ale zaledwie brama się zawarła i Gervaise weszła do swego pana na górę, rozległo się mocne stukanie.

Pani Broussel powróciwszy do sił, stojąc w nogach łóżka cała drżąca jak liść, ściągała mężowi obuwie.

— Zobacz no, kto tam stuka — ozwał się Broussel — i nie otwieraj, Gervaise, póki się nie dowiesz, kto zacz.

Gervaise wyjrzała.

— To pan prezydent Blancmesnil — odparła.

— W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, abyś otworzyła — powiedział Broussel.

— No — rzekł wchodząc prezydent — co oni ci tam zrobili, drogi Broussel? Słyszałem, żeś omal nie został zabity?

— Faktem jest, że najprawdopodobniej uknuto coś przeciw mojemu życiu — odparł Broussel ze stoicką pewnością.

— O mój biedny przyjacielu! Więc chcieli zacząć od ciebie; ale przyjdzie kolej na każdego z nas. Nie mogąc zwyciężyć wszystkich naraz, próbują niszczyć jednego po drugim.

— Jeśli wyjdę z tego cało — rzekł Broussel — pragnę z kolei zmiażdżyć ich młotem swej wymowy.

— Wydobrzejesz — odparł Blancmesnil — ażeby musieli drogo zapłacić za tę napaść.

Pani Broussel zanosila się od płaczu, Gervaise rozpaczała.

— Co się dzieje?! — krzyknął urodziwy młody człowiek, silnie zbudowany, który wpadł do pokoju. — Mój ojciec ranny?!

— Masz przed sobą ofiarę tyranii — rzekł Blancmesnil jak prawdziwy spartanin.

— O! — zawołał młodzieniec zwracając się ku drzwiom. — Biada tym, którzy cię tknęli, mój ojcze!

— Jakubie — rzekł radca podnosząc się — pójdź raczej, mój przyjacielu, poszukać jakiegoś lekarza.

— Słyszę krzyki — rzekła stara. — To na pewno Friquet prowadzi lekarza. Nie, to kareta.

Blancmesnil wyjrzał przez okno.

— Koadiutor — rzucił.

— Pan koadiutor? — powtórzył Broussel. — O mój Boże, poczekajcie, niechże choć wyjdę mu naprzeciw.

I radca, niepomny na ranę, już miał się rzucić na spotkanie księcia de Retz, gdyby go nie powstrzymał był Blancmesnil.

— No, mój drogi Broussel — zagadnął koadiutor wchodząc. — Cóż to się dzieje z tobą? Mówią o zasadzce, o zabójstwie? Dzień dobry, panie Blancmesnil. Jadąc zabrałem swego lekarza i przyprowadzam go panu.

— Ach, panie — rzekł Broussel — ileż łask ci zawdzięczam! Prawdą jest, iż zostałem okrutnie obalony i stratowany przez królewskich muszkieterów.

— Powiedz, przez kardynalskich, powiedz, przez muszkieterów tego Mazariniego. Ale każemy mu za to wszystko zapłacić, bądź spokojny.

Nieprawdaż, panie de Blancmesnil?

Blancmesnil pochylił się właśnie w ukłonie, kiedy nagle otworzyły się drzwi pchnięte przez gońca. Za nim postępował lokaj we wspaniałej liberii obwieszczając na cały głos:

— Jego wysokość książę de Longueville.

— Co?! — zakrzyknął Broussel. — Jego książęca wysokość tutaj? Jakież to zaszczyt dla mnie! Och, panie!

— Śpieszę ubolewać, panie — odparł książę — nad losem naszego dzielnego obrońcy. A więc jesteś pan ranny, mój drogi radco?

— Gdybym nawet nim był, pańska wizyta wyleczyłaby mnie, wasza wysokość.

— Jednak pan cierpi?

— Bardzo — odparł Broussel.

— Przyprowadziłem swego medyka — rzekł książę. — Czy pozwolisz mu pan wejść?

— Ależ! — rzekł Broussel.

Książę skinął na lokaja, który wprowadził czarno odzianego człowieka.

— Miałem tę samą myśl co wasza książęca mość — ozwał się koadiutor. Lekarze spojrzeli na siebie.

— Ach, to pan, mości koadiutorze — odrzekł książę. — Przyjaciele ludu spotykają się tam, gdzie ich miejsce.

— Tumult ten przeraził mnie, więc przybiegłem. Sądzę jednak, że najpilniejsza sprawa to, aby nasi medycy zajęli się dzielnym radcą.

— W waszej obecności, panowie? — rzekł Broussel całkiem onieśmielony.

— A dlaczegóżby nie, mój drogi? Spieszno nam, przysięgam ci na to,



wiedzieć, co ci dolega.

— Och, mój Boże! — wtrąciła pani Broussel — co to znów za hałas?

— Można by powiedzieć, że oklaski — rzucił Blancmesnil podbiegając do okna.

— Co?! — wykrzyknął Broussel blednąc. — Co tam znowu?

— Barwy jego wysokości księcia de Conti — odkrzyknął Blancmesnil. — Jego wysokość księżę de Conti we własnej osobie.

Koadiutor i księżę de Longueville mieli ogromną chęć roześmiać się. Lekarze zamierzali już podnieść okrycie Broussela. Broussel ich powstrzymał. W tejże chwili wszedł księżę de Conti.

— Ach, panowie, ubiegliście mnie! — rzekł na widok koadiutora. — Nie miej mi pan tego za złe, drogi Broussel. Kiedy dowiedziałem się o twym wypadku, pomyślałem, że nie masz może lekarza, więc udałem się, by zabrać swego. Jak się miewasz, i co to za zabójstwo, o którym się opowiada?

Broussel chciał mówić, lecz brakowało mu słów; zdruzgotany był brzemieniem zaszczytów, jakie nań spadały.

— A więc obejrzyj chorego, drogi doktorze — zwrócił się księżę de Conti do towarzyszącego mu człowieka w czerni.

— Panowie — ozwał się jeden z lekarzy — mamy więc konsylium.

— Jak sobie chcecie, panowie — rzekł księżę — lecz uspokójcie mnie szybko co do stanu zdrowia naszego drogiego radcy.

Trzej lekarze zbliżyli się do łóżka. Broussel ze wszystkich sił naciągał na siebie okrycie, ale mimo oporu został obnażony i zbadany.

Miał tylko kontuzję ramienia i uda.

Trzej lekarze spojrzeli na siebie nie rozumiejąc, po co zgromadzono trzech najuczniejszych ludzi fakultetu paryskiego dla podobnej drobnostki.

— No i co? — rzekł koadiutor.

— No i co? — rzekł diuk.

— No i co? — rzekł księżę.

— Mamy nadzieję — ozwał się jeden z medyków — że wypadek nie będzie miał następstw. Przechodzimy do sąsiedniego pokoju, by sporządzić receptę.

— Broussel! Wiadomości o Brousselu! — krzyczał lud. — Jak się czuje Broussel?!

Do okna podbiegł koadiutor. Na jego widok lud się uciszył.

— Przyjaciele — powiedział koadiutor — uspokójcie się, panu Broussel nie grozi niebezpieczeństwo. Jednak rana jest poważna i wypoczynek konieczny.

Natychmiast rozległy się na ulicy okrzyki: “Niech żyje Broussel! Niech żyje pan koadiutor!”

Księżcia de Longueville ogarnęła zazdrość i z kolei on podszedł do okna.

— Niech żyje pan de Longueville! — zakrzyknięto natychmiast.

— Moi przyjaciele — rzekł diuk pozdrawiając lud ręką — rozejdźcie się w spokoju i nie dawajcie naszym nieprzyjaciołom powodu do radości wywoływaniem zamieszek.

— Doskonale, wasza wysokość! — ozwał się z łóżka Broussel — tak przemawia uczciwy Francuz.

— Tak, tak, panowie paryżanie — rzekł książę de Conti podchodząc z kolei do okna po swoją porcję oklasków — prosi was o to pan Broussel. Poza tym potrzebuje on wypoczynku, a hałas mógłby mu przeszkadzać.

— Niech żyje książę de Conti! — krzyczał tłum. Książę pozdrowił go. Następnie wszyscy trzej pożegnali radcę, a tłum, który odprawili w imieniu Broussela, odprowadzał ich. Byli już na bulwarze, a jeszcze Broussel ich żegnał ze swego łóżka.

Stara służąca zdumiona spoglądała na swego pana z podziwem. Radca urósł w jej oczach o całą stopę.

— Oto co znaczy służyć swemu krajowi zgodnie z sumieniem — powiedział radca z satysfakcją.

Po godzinnej naradzie wyszli również i lekarze, zalecając obmycie kontuzji wodą z solą.

Przez cały dzień trwała procesja karoc. Cała Fronda składała Brousselowi karty wizytowe.

— Co za wspaniały triumf, mój ojczy — rzekł młodzieniec, który nie rozumiejąc prawdziwego powodu, jaki kierował tych wszystkich ludzi do ojca, brał na serio manifestacje możnych, książąt i ich przyjaciół.

— Niestety, mój drogi Jakubie — odparł Broussel — wielce się obawiam, że zapłacę za ten triumf trochę za drogo, i niewiele się myślę, jeśli powiem, iż pan Mazarini właśnie w tej chwili sporządza rachunek utrapień, jakie mu przyczyniłem.

Friquet powrócił o północy, nie mógł bowiem znaleźć lekarza.

## 30. Czterej starzy przyjaciele przygotowują się do ponownego spotkania

Portos, siedząc na podwórzu zajazdu “Pod Kózką”, zwrócił się do d’Artagnana, który właśnie powracał z pałacu kardynała z wydłużoną i ponurą twarzą:

— No i cóż, przyjął cię źle, mój mężny d’Artagnanie?

— Dalibóg, źle! To naprawdę wstrętne bydlę. Co tam takiego zajadasz, Portosie? ,

— Jak widzisz, maczam suchar w winie szampańskim. Rób to samo.

— Masz rację. Gimblou, szklaneczkę!

Wezwany tym dźwięcznie brzmiącym imieniem chłopiec przyniósł żadaną szklanekę i d’Artagnan usiadł koło przyjaciela.

— Jakże się tam odbyło?

— No cóż! Rozumiesz sam, że nie miałem innego sposobu wyłożenia całej sprawy. Gdy wszedłem, przeszył mnie spojrzeniem, wzruszyłem więc ramionami i powiedziałem:

— Nie byliśmy, monsignore, najmocniejsi.

— Tak, wiem o tym, ale podaj mi pan szczegóły.

— Rozumiesz, Portosie, że nie mogłem podać szczegółów nie wymieniając nazwisk naszych przyjaciół, a wymienić nazwiska znaczyło zgubić ich.

— Dalibóg!

— Monsignore — powiedziałem — ich było pięćdziesięciu, a nas dwóch.

— Tak — on mi na to — lecz to nie przeszkadza, że wymieniano strzały, o czym już słyszałem.

— Faktem jest, że obie strony nie żałowały prochu.

— A szpady oglądały też światło dzienne? — zagadnął znowu.

— Raczej nocne ciemności, monsignore — odpowiedziałem mu.

— Ach tak — ciągnął kardynał — a ja uważałem drogiego pana za Gaskończyka.

— Gaskończykiem jestem tylko wówczas, kiedy mogę dopiąć swego, monsignore.

Odpowiedź spodobała mu się, gdyż zaczął się śmiać.

— Mam nauczkę — rzekł — aby moim gwardzistom przydzielać lepsze konie. Gdyby bowiem mogli nadażyć za wami i zdziałać każdy tyle co pan i pański przyjaciel, dotrzymalibyście słowa i przyprowadzilibyście mi księcia żywym czy martwym.

— Widzę z tego, że nie jest tak źle — podjął Portos.

— Ach, mój Boże, oczywiście, że nie, drogi przyjacielu, ale to się tak mówi. Nie do wiary — przerwał — jak te suchary ciągną wino. Toż to prawdziwe gąbki. Gimblou, drugą butelkę.

Butelkę przyniesiono natychmiast, co świadczyło o stopniu poważania, jakim cieszył się d'Artagnan w zakładzie. Prawił on dalej:

— Już odchodziłem, kiedy mnie jeszcze zawołał:

— Mieliście trzy konie zabite czy też zajeżdżone? — zapytał mnie.

— Tak, monsignore.

— Ile były warte?

— Jak mi się zdaje — wtrącił Portos — wcale niezły odruch.

— Tysiąc pistoli — odpowiedziałem.

— Tysiąc pistoli — rzekł Portos — ho, ho! to dużo. Jeśli zna się na koniach, powinien się być targować.

— Na honor, miał na to gorącą chętkę, bo aż podskoczył i popatrzył na mnie. A ja na niego. Wtedy zrozumiał, sięgnął ręką do szafy i wyciągnął obligi Banku Lyońskiego.

— Na tysiąc pistoli?

— Na tysiąc pistoli. Jak uciał. Ani jednego więcej, sknera!

— Masz je przy sobie?

— O, proszę.

— Dalibóg, uważam, że załatwił to przyzwoicie.

— Przyzwoicie! Z ludźmi, którzy nie tylko ryzykowali swą skórę, ale jeszcze oddali mu wielką przysługę.

— Wielką przysługę? Jaka?

— Cóż! Zdaje się, że mu stratowałem pewnego radcę parlamentu.

— Jak to! Tego małego, czarnego, co go obaliłeś przy rogu cmentarza Świętego Jana?

— O, właśnie, mój drogi. Przeszkadzał mu. Na nieszczęście nie stratowałem go zupełnie. Zdaje się, że się wygrzebie i dalej będzie mu przeszkadzał.

— Popatrz no — rzekł Portos — a ja powstrzymałem mego konia, który jechał wprost na niego! Załatwi się to innym razem.

— Cham jakiś, powinien mi być zapłacić za radcę.

— Tss, jeśli niezupełnie stratowany...

— Pan de Richelieu powiedziałby: “Za radcę pięćset talarów”. Ostatecznie, nie mówmy już o tym. Ile cię kosztowały twoje bydlaki, Portosie?

— Ach, przyjacielu, gdyby tu był biedny Muszkiet, powiedziałby ci co do liwra, tynfa i grosza.

— Głupstwo. W każdym razie powiedz w przybliżeniu do dziesięciu talarów.

— No, Wulkan i Bayard kosztowały mnie każdy mniej więcej po dwieście pistoli, co do Febusa zaś, myślę, będziemy bliscy prawdy, oceniając go na jakieś półtorej setki.

— Zatem pozostaje czterysta pięćdziesiąt pistoli — rzekł dosyć zadowolony d’Artagnan.

— Tak, ale dochodzą jeszcze rzędy końskie.

— Dalibóg, prawda. A ileż za nie?

— No, licząc sto pistoli za trzy...

— Niech będzie sto pistoli — rzekł d'Artagnan. — Zostaje więc trzysta pięćdziesiąt pistoli.

Portos skłonił głowę na znak zgody.

— Dajmy więc pięćdziesiąt pistoli gospodyni na nasze utrzymanie — rzekł d'Artagnan — a trzysta podzielmy między siebie.

— Podzielmy.

— Lichy interes! — zamruczał d'Artagnan ściskając w dłoni swoje pieniądze.

— Ba! To tak zawsze. Ale powiedz no mi...

— Co?

— Nie wspominał o mnie wcale?

— Ależ oczywiście! — wykrzyknął d'Artagnan, bojąc się zniechęcić przyjaciela stwierdzeniem faktu, iż kardynał nie napomknął o nim ani słówka.

— Ależ tak. Powiedział...

— Co powiedział?

— Czekaj, chcę sobie przypomnieć jego własne słowa. Rzekł tak: “Co do pańskiego przyjaciela, to powiedz mu pan, żeby go głowa nie bolała”.

— Doskonale! — rzekł Portos — jasne jak dzień, że trwa w zamiarze uczynienia mnie baronem.

W tejże chwili w sąsiednim kościele wydzwoniła godzina dziewiąta. D'Artagnan zadrżał.

— A prawda — rzekł Portos — bije już dziewiąta, a o dziesiątej, pamiętasz, mamy spotkanie na placu Królewskim.

— Ach, nie mów, Portosie — wykrzyknął d'Artagnan z odruchem zniecierpliwienia. — Nie przypominaj mi o tym, od wczoraj mnie to gnębi. Nie pójdę.

— A dlaczegóż to?

— Dlatego, że bolesne dla mnie ujrzeć znów tych dwóch ludzi, którzy utracili nam całe przedsięwzięcie.

— Przecież ani jedna, ani druga strona nie uzyskała przewagi. Ja miałem jeszcze nabity pistolet, a ty stałeś twarzą w twarz z przeciwnikiem dzierząc szpadę w ręce.

— Tak — rzekł d'Artagnan — ale jeśli za tym spotkaniem coś się kryje...

— Och! — rzekł Portos — sam w to nie wierzysz, d'Artagnanie.

Istotnie, d'Artagnan nie wierzył, by Atos był zdolny do podstępu, lecz szukał pretekstu, nie chciał bowiem iść na to spotkanie.

— Pójść tam trzeba — ciągnął wspaniały pan de Bracieux — uważaliby, że stchórzyliśmy. Och, drogi przyjacielu, stawiliśmy dzielnie czoło pięćdziesięciu wrogom na trakcie i równie dzielnie potrafimy go stawić dwom przyjaciołom na placu Królewskim.

— Tak, tak — odrzekł d'Artagnan — wiem o tym. Ale oni stanęli po stronie książąt nie uprzedziwszy nas o tym. Wszak Atos i Aramis rozegrali ze mną partię, która mnie niepokoi. Prawdę odkryliśmy wczoraj. Po cóż iść i dowiadywać się dzisiaj czegoś innego.

— Więc ty naprawdę im nie ufasz?

— Aramisowi nie ufam, odkąd został księdzem. Nie możesz sobie wyobrazić, mój drogi, co się z niego zrobiło. Widzi, że stoimy mu na drodze prowadzącej do biskupstwa, i, być może, bez przykrości usunąłby nas z niej.

— No, z Aramisem to inna sprawa — rzekł Portos — i wcale by mnie to nie zdziwiło.

— Książę de Beaufort może z kolei podjąć próbę schwytania nas.

— Ba! Skoro miał nas już w ręku i wypuścił. Zresztą miejmy się na baczności, weźmy broń i Wiórka ze strzelbą.

— Wiórek to frondysta — rzekł d'Artagnan.

— Do diabła z wojnami domowymi! Nie można już liczyć ani na swoich przyjaciół, ani na swoich służących. Ach, żebyż ten biedny Muszkiet był tutaj!



Ten przynajmniej nigdy mnie nie opuści.

— Tak, póki będziesz bogaty. Ach, mój drogi, nie wojny domowe nas rozdzielają, ale to, że nie mamy już po dwadzieścia lat i że szczerze porywy młodości ustąpiły miejsca podszeptom interesów, tchnieniom ambicji, namowom egoizmu. Tak, masz rację, Portosie, chodźmy tam, ale dobrze uzbrojeni. Gdybyśmy tam nie poszli, powiedzieliby, że mamy stracha.

— Hej tam, Wiórek! — rzucił d'Artagnan. Wiórek pojawił się.

— Osiodłaj konie i weź strzelbę.

— Przede wszystkim, panie, przeciw komu idziemy?

— Przeciw nikomu. To zwykła ostrożność na wypadek, gdybyśmy zostali napadnięci.

— Czy pan wie, że chciano zabić zacnego radcę Broussela, tego ojca ludu?

— Doprawdy? — rzekł d'Artagnan.

— Tak, ale go pięknie pomszczono, gdyż tłum odniósł go do domu na rękach. Od wczoraj dom pełen odwiedzających. Złożyli mu wizytę koadiutor, książę de Longueville, książę de Conti; księżne de Chevreuse i de Vendôme pozostawiły u niego swoje karty wizytowe i teraz, kiedy zechce...

— No tak, kiedy zechce.

Wiórek jął śpiewać:

*Wiatr się zerwał dzisiaj z rana,*

*Wiatr od Frondy wieje,*

*Może zdmuchnie Mazarina,*

*Który już się chwieje.*

*Wiatr się zerwał dzisiaj z rana,*

*Wiatr od Frondy wieje.*

— Teraz mnie już nie dziwi — d'Artagnan zwrócił się po cichu do Portosa — że Mazarini tak bardzo pragnął stratowania tego radcy na śmierć.

— Sam pan rozumie — podjął Wiórek — że jeśli prosi mnie pan o zabranie strzelby na jakąś wyprawę uknutą przeciwko radcy Broussel...

— Nie, bądź spokojny. Ale skąd masz te wszystkie szczegóły?

— O, z dobrego źródła, panie. Dowiedziałem się od Friqueta.

— Od Friqueta?... Znam skądś to nazwisko.

— To syn służącej pana Broussel, zuch, który, ręczę za to, w czasie rozruchów nie da sobie w kaszę dmuchać.

— Czy nie jest on ministrantem od Panny Marii? — zapytał d'Artagnan.

— Tak, ten sam, protegowany Gryzipiórka.

— Ach, już wiem. Jest on również chłopcem do posług w oberży przy ulicy Calandre.

— Zgadza się.

— A co ty masz z tym pędakiem? — zapytał Portos.

— Ho, ho! otrzymałem już odeń dobre informacje, a przy sposobności mógłby jeszcze udzielić jakichś nowych.

— Tobie, który o mało co nie stratowałes jego pana?

— A któż mu o tym powie?

— To prawda.

W tym czasie Atos i Aramis wjeżdżali do Paryża przedmieściem Saint-Antoine. Pokrzepiwszy się w drodze, śpieszyli teraz, by zdążyć na spotkanie. Towarzyszył im tylko Gryzipiórek. Milczek, jak już wiemy, pozostał, aby pielęgnować Muszkietę, i miał dołączyć wprost do młodego wicehrabiego de Bragelonne, który udawał się do flandryjskiej armii.

— Teraz — rzekł Atos — musimy wstąpić do jakiejś oberży, aby się przebrać w miejskie szaty, zostawić pistolety i rapiery oraz broń służącego.

— O, co to, to nie, drogi hrabio, pozwolisz, że w tym względzie będę zupełnie przeciwnego zdania, a nawet będę próbował przekabacić cię na swoją stronę.

— A dlaczegoż to?

— Ponieważ udajemy się na spotkanie wojenne.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Aramisie?

— Że plac Królewski jest tylko dalszym ciągiem traktu Vendómois.

Niczym innym.

— Jak to! Nasi przyjaciele...

— Stali się naszymi najniebezpieczniejszymi wrogami, Atosie, wierz mi, pilnujmy się, a nade wszystko ty się pilnuj!

— Och, mój drogi d'Herblay!

— Kto ci powiedział, że d'Artagnan nie zrzucił porażki na nasze barki i nie uprzedził kardynała? Kto ci powiedział, że kardynał nie skorzysta z tego spotkania, aby nas schwytać.

— Ależ Aramisie, czy sądzisz, że d'Artagnan, że Portos przyłożyliby rękę do podobnej nikczemności?

— Masz rację, drogi Atosie, między przyjaciółmi byłaby to nikczemność, ale między wrogami to tylko podstęp.

Atos skrzyżował ramiona, a jego piękna głowa opadła na pierś.

— Cóż chcesz, Atosie! — mówił Aramis — tacy są ludzie, a nie zawsze ma się dwadzieścia lat. Zraniliśmy okrutnie, jak sam o tym wiesz, miłość własną d'Artagnana, która zaślepiła go w jego postępkach. Został pokonany. Czy nie słyszałeś, jak rozpaczał na drodze? Co się tyczy Portosa, to być może jego baronia zależała od powodzenia tej sprawy. Cóż, spotkał nas na swej drodze i tym razem jeszcze nie zostanie baronem. Skąd wiesz, że ta sławna baronia nie zależy od spotkania z nami tego wieczoru? Bądźmy, Atosie, ostrożni.

— A jeśli oni przyjdą bez broni? Co za wstyd dla nas, Aramisie!

— O, bądź spokojny, mój drogi, ręczę ci, że tak nie będzie. Zresztą mamy wymówkę: przyjeżdżamy z podróży i jesteśmy buntownikami!

— Wymówkę! Mamy więc przewidywać okoliczność, że będziemy zmuszeni uciec się do wymówki wobec d'Artagnana i Portosa. Och. Aramisie, Aramisie — ciągnął Atos potrząsając smutnie głową — na mą duszę, czynisz

mnie najniezszczęśliwszym z ludzi. Sączysz rozczarowanie w serce, które nie przestało bić dla uczuć przyjaźni. Słuchaj, Aramisie, przysięgam, że wolałbym raczej, aby mi je wyrwano z piersi. Ty idź, jak sobie chcesz. Ja pójdę bez broni.

— O nie, bo ja nie pozwolę ci tak iść. Tu już nie wchodzi w grę jeden człowiek, już nie Atos, nawet nie hrabia de La Fere, którego przez tę słabość wydajesz na łup. Chodzi tu o całe stronnictwo, do którego należysz i które na ciebie liczy.

— Niechaj więc będzie, jak powiadasz — odpowiedział ze smutkiem Atos. I milcząc jechali dalej.

Ledwie dotarli do krat pustego placu, jadąc ulicą Pas-de-la-Mule, gdy pod arkadami przy wylocie ulicy Św. Katarzyny dostrzegli trzech jeźdźców.

Byli to d'Artagnan i Portos owinięci w płaszcze, pod którymi widać było szpady. Za nimi postępował Wiórek z muszkietem wspartym o udo.

Dostrzegłszy d'Artagnana i Portosa, Atos i Aramis zsiadli ze swych koni.

Tamci uczynili podobnie. D'Artagnan zauważył, że trzy konie zamiast pozostać w rękach Gryzipiórka przywiązane zostały do pierścieni arkad. Rozkazał więc Wiórkowi postępować podobnie jak Gryzipiórek. Podeszli do siebie dwóch przeciw dwom, w towarzystwie służących, i wymienili uprzejmy ukłon.

— Gdzie panowie życzylibyście sobie porozmawiać z nami? — zagadnął Atos, zauważywszy, że wiele osób zatrzymało się i przygląda, jakby chodziło tu o jeden z owych sławnych pojedynków, żywych jeszcze w pamięci paryżan, a nade wszystko mieszkańców placu Królewskiego.

— Krata zamknięta — rzekł Aramis — ale jeśli ci panowie lubią świeże powietrze w otoczeniu drzew i nie zakłóconą samotność, wziąłbym klucz od pałacu Rohan i byłoby cudownie.

D'Artagnan zatopił wzrok w ciemności placu, a Portos zaryzykował wsadzić głowę między dwa pręty celem spenetrowania zalegającego mroku.

— Jeśli panowie wolicie inne miejsce — rzekł Atos swym szlachetnym i

przekonywającym głosem — to wybierzcie je sami.

— Sądzę, że to miejsce będzie najlepszym z możliwych, jeśli pan d'Herblay ma możliwość uzyskać klucz — odrzekł d'Artagnan.

Aramis natychmiast się oddalił przestrzegając Atosa, aby nie pozostawał nazbyt blisko d'Artagnana i Portosa. Lecz ten, któremu udzielił tej rady, tylko się uśmiechnął lekceważąco i postąpił krok ku starym przyjaciółom stojącym na swoich miejscach.

Aramis istotnie zakołatał był do pałacu Rohan i wkrótce ukazał się z człowiekiem, który mówił:

— Da mi pan na to słowo.

— Trzymaj — rzekł Aramis wręczając mu ludwika.

— Och, wasza wielbność nie chce dać słowa. — I dozorca potrząsnął głową.

— Czy można na takie głupstwa dawać słowo? — odparł Aramis. — Zapewniam cię tylko, że w chwili obecnej ci panowie są naszymi przyjaciółmi.

— Tak jest, z całą pewnością — rzekli zimno Atos, d'Artagnan i Portos.

D'Artagnan słyszał tę rozmowę i pojął jej sens.

— Widzisz? — rzekł do Portosa.

— Co widzę?

— Że nie chciał dać słowa.

— Słowa? Na co?

— Ów człowiek chciał od Aramisa przyrzeczenia, że nie przyszedł na plac Królewski, aby się bić.

— I Aramis nie chciał dać słowa?

— Nie.

— Więc uwaga.

Atos nie spuszczał wzroku z obu rozmawiających. Aramis otworzył drzwi i usunął się, dając przejście d'Artagnanowi i Portosowi. Wchodząc, d'Artagnan zaczepił gardą szpady o kratę i musiał uchylić płaszcz. Przy tej czynności

odkrył błyszczącą kolbę pistoletu, na której załśnił promień księżyca.

— Widzisz — rzekł Aramis jedną ręką dotykając ramienia Atosa, drugą zaś ukazując arsenał, który dźwigał za pasem d'Artagnan.

— Niestety, tak — odparł Atos z głębokim westchnieniem.

I wszedł jako trzeci. Aramis, będąc ostatni, zamknął za sobą kratę. Obaj służący zostali na zewnątrz. Ale ponieważ nie dowierzali sobie również, trzymali się z daleka.

## 31. Plac Królewski

Szli w milczeniu aż do samego środka placu. Ponieważ w tejże chwili zza chmury wyłonił się księżyc, uznali, że na odkrytym placu byłiby łatwo widoczni. Podeszli więc pod lipy, gdzie panował większy mrok.

Tu i ówdzie stały tam ławki i czterech przechadzających się zatrzymało się przed jedną z nich. Atos dał znak, d'Artagnan i Portos usiedli. Atos i Aramis stanęli przed nimi.

Po chwili milczenia, w czasie której każdy z nich czuł się zakłopotany koniecznością przystąpienia do wyjaśnień, odezwał się Atos:

— Panowie, dowodem siły naszej starej przyjaźni jest, że stawiliśmy się na to spotkanie. Nie zbrakło ani jednego, nikt więc nie ma sobie nic do wyrzucenia.

— Proszę posłuchać, panie hrabio — odparł d'Artagnan. — Zamiast nam prawić komplementy, na które być może nie zasługujemy ani my, ani wy, należałoby raczej z całą szczerością przystąpić do wyjaśnień.

— Nic innego sobie nie życzę — odpowiedział Atos. — Jestem szczery, proszę mówić ze mną zupełnie otwarcie. Czy masz pan coś do zarzucenia mnie bądź księdzu d'Herblay?

— Tak — rzekł d'Artagnan. — Kiedy miałem zaszczyt widzieć pana na zamku de Bragelonne, wysunąłem pewne propozycje, które zostały zrozumiane. Zamiast mi odpowiedzieć jak przyjacielowi, pan igrałeś ze mną jak z dzieckiem, i wychwalana przez pana przyjaźń zerwana została nie wczoraj wskutek skrzyżowania się naszych szpad, lecz skutkiem zatajania prawdy jeszcze na pańskim zamku.

— D'Artagnanie — wyrzekł Atos tonem łagodnego wyrzutu.

— Chciał pan ode mnie szczerości, oto ona, chce pan wiedzieć, co myślę, tedy mówię. A teraz, jeśli łaska, powtarzam to samo jego wielbności księdzu

d'Herblay. Postępowałem z panem tak samo i podobnie zostałem oszukany.

— Doprawdy, dziwak z pana — podjął Aramis. — Poszukiwał mnie pan w celu uczynienia pewnych propozycji, ale czy pan je istotnie uczynił? Nie, pan mnie podpytywał, i to wszystko! A cóż ja panu powiedziałem? Że Mazarini to cham i że nie służyłbym Mazariniemu. I to było wszystko. Czy powiedziałem panu, że nie służyłbym komu innemu? Przeciwnie, o ile mi się zdaje, dałem panu do zrozumienia, że jestem z książętami. Nawet, jeśli się nie mylę, żartowaliśmy nader przyjemnie na temat wielce prawdopodobnego wypadku, że kardynał poleci, byś mnie pan zaaresztował. Czy należysz pan do stronnictwa? Tak, bez wątpienia. A więc dlaczegóż my ze swej strony nie mielibyśmy należeć do innego? Pan miałeś swoje sekreta, podobnie jak my mieliśmy nasze. Nie powiedzieliśmy ich sobie, tym lepiej. Świadczy to, że potrafimy dochować tajemnicy.

— Nie czynię panu żadnych wyrzutów — odrzekł d'Artagnan. — Jeśli oceniam wasze postęпки, to tylko dlatego, że pan hrabia de La Fere mówił o przyjaźni.

— A jakżeż pan osądza te postęпки? — zapytał wyniośle Aramis.

Krew napłynęła do skroni d'Artagnana, powstał i odpowiedział:

— Sądzę, że to są postęпки wychowanka jezuitów.

Widząc, że d'Artagnan się podnosi, Portos podniósł się również. Wszyscy czterej stanęli groźnie naprzeciw siebie.

Usłyszawszy odpowiedź d'Artagnana, Aramis uczynił ruch, jakby chciał położyć rękę na szpadzie.

Atos powstrzymał go.

— D'Artagnanie — wyrzekł — przyszedłeś tu dziś wieczorem rozwścieczony jeszcze po naszej wczorajszej przygodzie. Uważałem cię, d'Artagnanie, za człowieka nazbyt wielkodusznego, by twoja miłość własna, urażana przez piętnaście minut, miała wziąć górę nad dwudziestoma latami przyjaźni. No, powiedz. Sądziś, że masz mi coś do zarzucenia? Jeśli jestem w



błędzie, d'Artagnan, uznaj swój błąd.

Głos Atosa, poważny i melodyjny, wciąż jeszcze wywierał swój dawny wpływ na d'Artagnana, podczas gdy głos Aramisa, ostry i piskliwy w chwilach złego humoru, doprowadzał go do irytacji. Toteż odpowiedział Atosowi:

— Uważam, panie hrabio, że na zamku de Bragelonne miałeś mi konfidencjonalnie coś do powiedzenia i że pan — ciągnął wskazując na Aramisa — winieneś mi również coś podobnego w swoim klasztorze. Nie rzuciłbym się w ogóle w przygodę, gdzie musieliście stanąć mi w poprzek drogi. Jeśli bowiem byłem dyskretny, to nie powód, by mnie brać za zupełnego głupca. Gdybym tak chciał zgłębiać różnicę między tymi, których pan d'Herblay przyjmuje z pomocą drabinki sznurowej, a tymi, których przyjmuje z pomocą drewnianej, zmusiłbym go do rozmowy ze mną.

— Do czego pan się miesza?! — wrzasnął Aramis błady z gniewu, podejrzewając w duchu, że d'Artagnan podpatrzył go z panią de Longueville.

— Mieszam się do tego, co mnie dotyczy, a potrafię udawać, że nie widziałem tego, co mnie nie dotyczy, ale nienawidzę obłudników i do jednej kategorii zaliczam zarówno muszkieterów, którzy udają księży, jak i księży, którzy udają muszkieterów. — I obracając się w stronę Portosa, dorzucił: — A ten pan podziela moje zdanie.

Portos, który jeszcze nic nie rzekł, odpowiedział tylko jednym słowem i jednym gestem. Powiedział mianowicie: "tak" i ujął w dłoń szpadę.

Aramis uskoczył w tył i wyciągnął swoją. D'Artagnan pochylił się, gotów atakować lub bronić.

Wówczas Atos wyciągnął rękę przyrodzonym sobie gestem głównodowodzącego, powoli odpiął szpadę wraz z pochwą i złamał ją o kolano odrzucając obie części w prawo.

Następnie zwracając się do Aramisa rzekł:

— Aramis, proszę, złam swoją szpadę.

Aramis zawahał się.

— Trzeba — powiedział Atos, po czym ciszej i łagodniej dodał: — Życzę sobie tego.

Wtedy Aramis, jeszcze bledszy, lecz już ujarzmiony gestem Atosa i pokonany jego głosem, przełamał giętką klingę, po czym skrzyżował ramiona i czekał drżąc cały z wściekłości.

Poryw ów spowodował, iż d'Artagnan i Portos cofnęli się: d'Artagnan nie wyciągnął szpady w ogóle, Portos zaś włożył swoją do pochwy.

— Nigdy — wyrzekł Atos, podnosząc powoli prawą rękę ku niebu — przenigdy. Przysięgam w obliczu Boga, który patrzy na nas i słucha w uroczystej powadze tej nocy, że moja szpada nie tknie nigdy waszych, moje oko nie rzuci na was gniewnego spojrzenia, moje serce nie drgnie nigdy uczuciem nienawiści. Żyliśmy razem, nienawidziliśmy i kochaliśmy razem, razem przelewaliśmy krew i, być może, dodam jeszcze, łączy nas potężniejsza więź aniżeli przyjaźń, łączy nas może pakt popełnionej zbrodni, gdyż wszyscy czterej, jak tu jesteśmy, skazaliśmy, osądziliśmy i straciliśmy istotę ludzką, której nie mieliśmy być może prawa usunąć z tego świata, mimo iż wydawała się ona na tym świecie być raczej z piekła rodem. D'Artagnan, kochałem cię zawsze jak syna. Portosie, spaliśmy obok siebie dziesięć lat. Aramis jest waszym bratem jak i moim, ponieważ Aramis kochał was, jak ja was Kocham dziś jeszcze, jak będę was kochał zawsze. Cóż dla was znaczy kardynał Mazarini, dla nas, którzyśmy zniewolili rękę i serce takiego człowieka jak Richelieu? Cóż znaczy ten czy ów książę dla nas, którzyśmy utwierdzili koronę na głowie pewnej królowej? D'Artagnan, przepraszam cię, że wczoraj skrzyżowaliśmy nasze szpady, Aramis podobnie przeprosza Portosa. A teraz, jeśli możecie, darzcie mnie nienawiścią, lecz przysięgam, że ja mimo waszej nienawiści żywię dla was tylko szacunek i przyjaźń. Teraz, Aramisie, powtórz moje słowa, a potem, jeśli sobie tego życzą i jeśli ty sobie tego życzysz, opuścimy naszych starych przyjaciół na zawsze.

Nastała chwila uroczystej ciszy, przerwana wreszcie przez Aramisa.

— Przysięgam — wyrzekł z czołem spokojnym i spojrzeniem niezachwianie szczerym, ale głosem, w którym drgało jeszcze ostatnie poruszenie uczucia — przysięgam, że nie odczuwam żadnej nienawiści do tych, którzy byli moimi przyjaciółmi. Żałuję, że nie tknął swej szpady, Portosie. Przysięgam wreszcie, że nie tylko szpada moja nie skieruje się w waszą pierś, ale że na przyszłość w najtajniejszej głębi moich myśli nie pozostanie nawet cień wrogich uczuć w stosunku do was. Pójdźmy, Atosie.

Atos poruszył się zmierzając do odejścia.

— Och, nie, nie! Nie odchodźcie! — wykrzyknął d'Artagnan, porwany jednym z tych niepohamowanych uniesień, które zdradzały ogień jego krwi i wrodzoną prostoduszność. — Nie odchodźcie. I ja także pragnę złożyć przysięgę. Przysięgam więc, że oddałbym ostatnią kroplę krwi, ostatni strzęp mojego ciała, aby zachować szacunek takiego człowieka jak ty, Atosie, przyjaźń takiego człowieka jak ty, Aramisie.

I rzucił się w ramiona Atosa.

— Synu mój! — rzekł Atos cisnąc go do serca.

— Ja zaś — rzekł Portos — nic nie przysięgam, do kroćset, brak mi tchu. Jeśliby mi przyszło stawać przeciw wam, sądzę, że dałbym się przebić na wylot, gdyż nigdy na świecie nikogo nie kochałem oprócz was.

I zacny Portos zalał się łzami rzucając się w ramiona Aramisa.

— Moi przyjaciele — rzekł Atos — oto czego się spodziewałem, oto czego oczekiwałem od dwóch serc takich jak wasze. Tak, powiedziałem to i powtarzam, nasze losy są nieodwołalnie ze sobą związane, chociaż kroczymy różnymi drogami. Szanuję twój pogląd, d'Artagnan, szanuję twoje przekonania, Portosie. Ale chociaż walczymy o różne sprawy, pozostajemy przyjaciółmi. Ministrowie, książęta, królowie przeminą jak potoki, wojna domowa — jak płomień, ale my, czyż my nie pozostaniemy? Mam co do tego dobre przeczucia.

— Tak — odparł d'Artagnan — bądźmy zawsze muszkietierami i za jedyny sztandar miejmy tę sławną serwetę z bastionu Świętego Gerwazego, na której

wielki kardynał kazał wyhaftować trzy kwiaty lilii.

— Tak — rzekł Aramis — ludzie kardynała czy frondyści, co nas to obchodzi. Odzyskamy dobrych sekundantów do naszych pojedynków, oddanych przyjaciół w ciężkich tarapatach, wesołych kompanów do zabawy.

— Ilekroć się spotkamy w walce — rzekł Atos — na jedno słowo: “plac Królewski!” przerzucimy szpady w lewą rękę, a prawą wyciągniemy do uścisku, choćby to było wśród najokrutniejszej rzezi.

— Mówisz zachwycająco — rzekł Portos.

— Jesteś największym z ludzi — rzekł d’Artagnan — a co się tyczy nas, to przewyższasz wszystkich o dziesięć łokci.

Atos uśmiechnął się z wyrazem niewymownej radości.

— A więc załatwione — rzekł. — Teraz, panowie, wasze dłonie. Jesteście choć trochę chrześcijanami?

— Dalibóg! — odparł d’Artagnan.

— W naszym wypadku pozostaniemy chrześcijanami, aby dochować wierności naszej przysiędze — rzekł Aramis.

— Gotów jestem przysiąc na wszystko, co zechcą — odezwał się Portos — nawet na Mahometa! Niech mnie diabli wezmą, jeśli kiedykolwiek byłem tak szczęśliwy jak w chwili obecnej.

I poczciwy Portos otarł wilgotne jeszcze oczy.

— Czy kto z was posiada krzyż? — zapytał Atos.

Portos i d’Artagnan spojrzeli na siebie, potrząsając głowami jak ludzie zaskoczeni.

Aramis uśmiechnąwszy się wyciągnął spod kaftana krzyż wysadzany diamentami i zawieszony na sznurze pereł.

— Proszę, oto jest.

— A więc — podjął Atos — przysięgajmy na ten krzyż; bez względu na to, z czego jest zrobiony, zawsze jest on krzyżem; przysięgajmy więc, że będziemy związani ze sobą na zawsze wbrew wszystkim i wszystkiemu. I czy przysięga ta

nie mogłaby wiązać nie tylko nas, ale i naszych potomków? Odpowiada wam taka przysięga?

— Tak jest — odrzekli wszyscy jak jeden.

— Ach, ty zdrajco — rzekł po cichutku d'Artagnan nachylając się do ucha Aramisa — kazałeś nam przysięgać na krucyfiks frondystki.

## 32. Prom na rzece Osie

Spodziewamy się, że czytelnik nie całkiem zapomniał młodego podróżnego, którego pozostawiliśmy na flandryjskiej drodze.

Raul, rozstawszy się ze swym opiekunem naprzeciw bazyliki królewskiej, nie odrywał odeń wzroku, póki hrabia nie zniknął mu z oczu. Wtedy dał koniowi ostrogę, przede wszystkim, by umknąć bolesnym myślom, a następnie, by ukryć przed Olivainem wzruszenie zniekształcające mu rysy.

Lecz godzina forsownego marszu rozproszyła niebawem wszystkie mroczne wapory wprawiające w smutek bogatą wyobraźnię młodzieńca. Nie znana dotąd rozkosz swobody, rozkosz zawierająca w sobie powab nawet dla tych, którzy nigdy nie cierpieli z powodu zależności, ozłociła Raulowi niebo i ziemię, a nade wszystko ów rozległy, lazurowy widnokrąg życia nazywany przeszłością.

Jednakże po wielu próbach rozmowy z Olivainem spostrzegł, że całe dnie spędzane w ten sposób byłyby nader smętne, widok zaś mijanych miast, o których nikt nie mógł mu już dać tych dokładnych wyjaśnień, jakie uzyskiwał od Atosa, najmędrszego i najprzyjemniejszego ze wszystkich przewodników, przywodził mu na pamięć słowa hrabiego, tak łagodne, przekonywające i tak ciekawe.

Jeszcze jedno wspomnienie zasmuciło Raula: gdy dojeżdżali do Louvres i za zasłoną z topoli ujrzał zameczek, który tak bardzo przypominał mu la Valliere, zatrzymał się, aby popatrzeć nań z dziesięć minut; potem podjął dalszą drogę wzdychając i nawet nie odpowiadając Olivainowi, który dopytywał się z szacunkiem o przyczynę takiego zachowania. Widok rzeczy zewnętrznych jest tajemnym przewodnikiem, który nawiązuje łączność ze strunami pamięci i budzi

ją częstokroć niezależnie od nas. Owa nić, jak nić Ariadny<sup>45</sup>, raz poruszona prowadzi w labirynt myśli, gdzie błądzimy dążąc za cieniem przeszłości nazywanym wspomnieniem. Otóż widok tego zamku przeniósł Raula o pięćdziesiąt mil na zachód, kazał mu się cofnąć do momentu, kiedy to pożegnał się z małą Luizą, do chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, i każda kępa dębów, każda chorągiewka widziana na szczycie łupkowego dachu przypominały mu, że miał powracać do swych przyjaciół z dzieciństwa, oddala się od nich z każdą sekundą coraz bardziej i, być może, opuścił ich nawet na zawsze.

Z sercem wezbranym i ciężką głową polecił Olivainowi zaprowadzić konie do niewielkiej oberży, którą zauważył był przy drodze na pół strzelenia z muszkietu mniej więcej, wprost przed miejscem, dokąd dojechali. Sam zeskoczył z konia, przystanął pod piękną grupą kwitnących kasztanów, wokół których brzęczało mnóstwo pszczół, i zlecił Olivainowi, aby gospodarz przyniósł mu papier listowy i kałamarz na znajdujący się tu stół, jakby przeznaczony do pisania.

Olivain, zgodnie z poleceniem, oddalił się, podczas gdy Raul usiadł oparłszy łokieć na stole, zaś jego wzrok zagubił się w tym uroczym krajobrazie, usłanym zielonymi polami i bukietami drzew. Od czasu do czasu strącał z włosów kwiaty obsypujące go jak śnieg.

Siedział tak około dziesięciu minut, z których pięć zbiegło mu na snuciu marzeń, kiedy w zasięgu jego roztargnionego spojrzenia pojawiła się postać z czerwoną twarzą, z serwetą wokół ciała, drugą serwetą na ramieniu, w białej czapce na głowie i zbliżała się doń trzymając papier, atrament i pióro.

— Ach, ach — odezwała się zjawą — widać wszyscy jaśnie wielmożni panowie kierują się tymi samymi myślami. Nie ma bowiem jeszcze kwadransa, jak pewien młody pan na pięknym koniu, jak wy, panie, o szlachetnej

---

<sup>45</sup> Nić Ariadny — wg mitologii greckiej Ariadna, królowna Krety, dała Tezeuszowi, wchodzącemu do wielkiej i skomplikowanej budowli zwanej Labiryntem kłębek nici. Tezeusz jeden koniec nici przywiązał u wejścia i ciągle rozwijając kłębek mógł zapuścić się w głąb Labiryntu nie bojąc się złądzenia.

powierzchności, jak wasza, panie, w pańskim mniej więcej wieku, zatrzymał się przed tą samą grupą drzew, kazał tu przynieść ten stół i to krzesło i spożył obiad z jakimś starszym panem, który wyglądał na jego guwernera. Zjedli pasztet nie poniechawszy ani okruszyny i wypili butelkę starego wina Macon nie uroniwszy ani kropelki. Na szczęście mamy jeszcze to samo wino i podobne pasztety, więc gdyby pan zechciał zlecić...

— Nie, mój przyjacielu — rzekł Raul uśmiechając się — dzięki, na razie potrzebne mi są rzeczy, o które prosiłem. Byłbym tylko szczęśliwy, jeśli pióro byłoby dobre, a atrament czarny. Zapłacę wówczas za pióro cenę butelki, a za atrament cenę pasztetu.

— A więc, panie — odparł gospodarz — dam waszemu słudze pasztet i butelkę i w ten sposób będzie pan miał pióro i atrament na dodatek.

— Rób, jak chcesz — odrzekł z obojętną miną Raul; stawiał on pierwsze kroki w obcowaniu z tą szczególną sferą społeczną, która, dopóki grasowali na gościńcach złoczyńcy, współdziałała z nimi, a odkąd ich już nie ma, z powodzeniem ich zastąpiła.

Gospodarz, uspokojony co do swoich dochodów, położył na stole papier, atrament i pióro. Trafem pióro było znośne i Raul zabrał się do pisania.

Gospodarz tkwił przed nim dalej i z pewnego rodzaju mimowolnym podziwem przyglądał się tej pełnej uroku postaci, tak poważnej, a jednocześnie łagodnej. Uroda była i będzie zawsze królową.

— To całkiem inny gość niż ten, co tu był przed chwilą — zwrócił się gospodarz do Olivaina, który podchodził właśnie do Raula, chcąc zobaczyć, czy czego nie potrzebuje. — Wasz młody pan nie ma apetytu.

— O, trzy dni temu miał jeszcze apetyt, ale cóż! Stracił go od przedwczoraj.

Olivain wraz z gospodarzem podążyli ku oberży. Olivain, jak to jest w zwyczaju służących zadowolonych ze swojego stanu, opowiedział oberżyskie wszystko, co uważał za stosowne powiedzieć na temat młodego szlachcica.



A tymczasem Raul pisał:

*Panie!*

*Po czterech godzinach marszu zatrzymuję się celem napisania do Pana, gdyż nie ma chwili, aby mi Pana nie brakowało i bezustannie trwam w gotowości zwrócenia głowy, jakbym miał odpowiedzieć na Wasze słowa, Panie. Jestem tak otepiały po Pańskim wyjeździe i tak strapiony naszą rozłąką, że tylko w sposób bardzo znikomym jestem w stanie wyrazić całe uczucie i całą wdzięczność dla Pańskiej osoby. Pan mi wybaczy, mając bowiem tak szlachetne serce, pojmiesz wszystko, co dzieje się w moim. Proszę do mnie napisać, bardzo o to proszę, gdyż Pańskie wskazówki stanowią po części o moim istnieniu. A poza tym, jeśli mi wolno to wyrazić, jestem niespokojny, wydawało mi się bowiem, że sam przygotowujesz się Pan do jakiejś niebezpiecznej wyprawy, w której to materii nie śmiałem nawet zapytać, skoroś mi Pan o tym nic nie mówił. Odczuwam więc, jak widać, ogromną potrzebę wiadomości od Pana. Odkąd nie mam już Pana koło siebie, każdej chwili boję się zbłądzić. Byłeś Pan dla mnie potężną podporą, a dziś, przysięgam, czuję się zupełnie samotny. Bądź Pan łaskaw, jeśli otrzymasz wiadomości z Blois, napomknąć kilkoma słowami o mej małej przyjaciółce, pannie de la Valliere, której zdrowie, jak Ci wiadomo, w chwili naszego wyjazdu mogło nasuwać pewne obawy. Panie mój i drogi opiekunie, pojmuję Pan, jak bliskie mi są i nieodzowne wspomnienia chwil spędzonych u boku Pana. Spodziewam się, że czasami i Pan również pomyśli o mnie; a kiedy chwilami będzie mnie Panu brakowało, kiedy odczujesz Pan moją nieobecność jako drobną przykrość, będę pełen radości, uważając, że Pan*

*odczuwa mój afekt i oddanie i że potrafiłem je Panu okazać, gdy miałem szczęście żyć obok Pana.*

Ukończywszy list, Raul poczuł się spokojniejszy; rozejrzał się bystro, czy Olivain z gospodarzem go nie podglądają i złożył na papierze pocałunek — milczącą i wzruszającą pieszczotę, którą serce Atosa zdolne było odgadnąć przy otwarciu listu.

Tymczasem Olivain pociągał z butelki i obżerał się pasztetem. Konie również się pokrzepiły. Raul skinął na gospodarza, by doń podszedł, rzucił na stół talara, dosiadł konia, a w Senlis oddał list na pocztę.

Odpoczynek pozwolił jeźdźcom i koniom odbywać dalszą drogę bez zatrzymywania się. W Verberie Raul rozkazał Olivainowi dowiedzieć się czegoś o młodym szlachcicu, który jechał przed nim. Widziano go przejeżdżającego przed niespełna trzema kwadransami na tęgim koniu, jak to już powiedział był oberżysta; jeździec ów posuwał się szybko.

— Spróbujmy doścignąć tego szlachcica — rzekł Raul do Olivaina. — Zdąza podobnie jak my do armii, będziemy więc mieli przyjemną kompanię.

O czwartej po południu Raul dotarł do Compiègne; zjadłszy tam z apetytem obiad, znów rozpytywał o owego szlachcica, co był jechał przed nim. Zatrzymał się podobnie jak Raul w zajęździe “Pod Dzwonem i Butelką” — najlepszym w Compiègne — i podążył w dalszą drogę mówiąc, że zamierza stanąć na nocleg w Noyon.

— A więc staniemy na noc w Noyon — rzekł Raul.

— Proszę pana — odparł z szacunkiem Olivain — pozwoli mi pan zauważyć, żeśmy już dobrze zmordowali konie tego ranka. Sądzę, że lepiej byłoby, spać tutaj, a wyjechać wczesnym rankiem. Jak na pierwszy etap, osiemnaście mil starczy.

— Pan hrabia de La Fere pragnie, abym się śpieszył — odpowiedział Raul — żebym dołączył do księcia czwartego dnia rankiem. Dojedziemy więc do

Noyon. Będzie to etap podobny do tego, kiedy to jechaliśmy z Blois do Paryża. Przybędziemy na miejsce o ósmej. Konie będą miały całą noc na odpoczynek, a jutro o piątej rano udamy się w dalszą drogę.

Olivain nie śmiał się sprzeciwić temu postanowieniu, ale jadąc za Raulem pomrukiwał.

— Dalej, dalej — mełł między zębami — wyszum się zaraz pierwszego dnia, a jutro w miejsce dwudziestu mil zrobisz dziesięć, pojutrze pięć, za trzy dni zaś będziesz w łóżku. I tam dopiero wypoczniesz. Wszyscy młodzi to prawdziwe fanfarony!

Widać było od razu, że Olivain nie wyszedł ze szkoły Wiórków i Milczków.

Raul istotnie czuł się zmęczony, pragnął jednak wypróbować swe siły, a karmiony zasadami Atosa, pewny, że słyszał tysiąc razy, jak mówiło się o etapach dwudziestopięciomilowych, nie chciał pozostawać w tyle za swoim ideałem. Podziwem zaś natchnął go d'Artagnan, ów człowiek z żelaza, który zdawał się być zbudowany cały ze ścięgien i mięśni.

Jechał więc, coraz bardziej ponaglając konia mimo przestrogi Olivaina. Uroczą dróżka, którą się posuwał, prowadziła do promu, skracając drogę o milę. Upewnił się w tym, gdy dotarłszy do szczytu pagórka, spostrzegł przed sobą rzekę. Gromadka jezdnych stała na brzegu gotowa do załadowania; Raul nie wątpił, że to ów szlachcic ze swym orszakiem. Zawołał, ale był jeszcze zbyt daleko, by go usłyszano. Wówczas, mimo zmęczenia konia, Raul puścił się galopem. Wkrótce falistość terenu zasłoniła mu widok podróźnych, a kiedy dotarł na nowe wzniesienie, prom opuścił brzeg i płynął już na drugą stronę.

Raul, widząc, że nie sposób dotrzeć na czas, by wraz z podróźnymi przepłynąć promem, przystanął w oczekiwaniu na Olivaina.

W tejże chwili usłyszeli krzyk, który zdawał się dochodzić z rzeki. Raul obrócił się w stronę, skąd dobiegło wołanie, i osłaniając dłonią oczy oślepione słońcem, wykrzyknął:

— Olivain, co tam takiego?

Rozległ się drugi krzyk, bardziej przenikliwy od pierwszego.

— Panie — rzekł Olivain — pękł sznur od promu i statek spływa. Ale co to tam w wodzie? Coś się szamoce.

— Bez wątpienia! — zakrzyknął Raul utkwivszy wzrok w jednym punkcie rzeki, gdzie promienie słoneczne wspaniale oświetlały konia i jeźdźca.

— Tona! — krzyknął z kolei Olivain.

Było tak w samej rzeczy i Raul upewnił się również, że zdarzył się wypadek i topi się człowiek. Ściągnął koniowi cugle, wbił ostrogi w brzuch i zwierzę gnane bólem, czując, że jeździec je wypuścił, przeskoczyło ogrodzenie otaczające przystań i wpadło w rzekę, wyrzucając daleko fontanny piany.

— Ach, panie — wykrzyknął Olivain — co pan robisz, na Boga!

Raul kierował konia w stronę nieszczęśnika znajdującego się w niebezpieczeństwie. Było to dlań zresztą zadanie bardzo powszednie. Wychowany nad brzegami Loary, wykołysany był, że się tak wyrazimy, przez nurty rzeki, po stokroć przebywał ją na koniu, tysiąc razy przepływał sam. Atos w przewidywaniu, że kiedyś zrobi z wicehrabiego żołnierza, przyzwyczajał go do takich przedsięwzięć.

— Och, mój Boże! — nie ustawał zrozpaczony Olivain — co rzekłby pan hrabia, gdyby to widział?

— Pan hrabia uczyniłby to samo — rzucił Raul popędzając z całej siły konia.

— Ale jak ja przejadę! — wykrzyknął Olivain, blady i zrozpaczony, kręcąc się na brzegu.

— Skacz, tchórz! — wrzasnął Raul ciągle płynąc.

Po czym zwracając się do podróżnego, który szamotał się dwadzieścia kroków odeń, zawołał:

— Odwagi, panie, odwagi, idzie pomoc!

Olivain szedł naprzód, cofał się, stawiał konia dęba, kazał mu się obracać,

aż wreszcie z sercem udreńczonym i pełnym wstydu, rzucił się podobnie jak Raul naprzód, powtarzając: “Zginałem, jesteśmy zgubieni”.

A tymczasem prom, porwany przez nurt, spływał gwałtownie w dół i słychać było nawoływania unoszonych na nim ludzi.

Jakiś człowiek o siwych włosach rzucił się z promu do rzeki i płynął ze wszystkich sił ku tonącemu, ale zmuszony posuwać się pod prąd, nie podążał szybko.

Raul parł w dalszym ciągu i wyraźnie się zbliżał, lecz koń i jeździec, których nie spuszczał z oka, szli niewątpliwie na dno. Nad wodą widać było ledwie końskie nozdrza, a jeździec, który w czasie szamotania wypuścił cugle, wyciągał teraz ramiona i leciał głową w tył. Jeszcze minuta — i wszystko zniknie z oczu.

— Odwagi — krzyczał Raul — odwagi!

— Za późno — wyszeptał młodzieniec — za późno...

Woda zalała mu głowę i stłumiła głos w gardle. Raul rzucił się z konia pozostawiając go własnemu losowi, i trzema, czterema uderzeniami ramion znalazł się tuż przy szlachcicu. Natychmiast schwycił konia za łańcuszek od munsztuka i podniósł mu pysk nad wodę. Wówczas zwierzę odetchnęło swobodniej i jakby rozumiejąc, że nadeszła pomoc, zdwoiło wysiłki.

Jednocześnie Raul chwycił młodzieńca za ręce, położył mu je na końskiej grzywie, której tamten się chwycił z rozpaczliwym wysiłkiem tonącego. Pewny, że jeździec nie wypuści już grzywy z dłoni, Raul zajął się tylko koniem, którego skierował do przeciwległego brzegu, pomagając mu pruć wodę i zachęcając go słowem.

W pewnej chwili zwierzę dotknęło nogą dna i postawiło kopyto na piasku.

— Uratowany! — wykrzyknął człowiek o siwych włosach, stając z kolei na dnie.

— Uratowany — wyszeptał machinalnie szlachcic, puszczając grzywę konia i zsuwając się z siodła wprost w ramiona Raula.

Raul miał tylko dziesięć kroków do brzegu, więc przeniósł tam zemdlonego szlachcica, ułożył go na trawie, rozluźnił sznurki jego kołnierza i odpiął haftki kaftana.

W minutę później człowiek o siwych włosach był już przy nim.

Z kolei wylądował Olivain, przeżegnawszy się uprzednio po wielokroć, a dalej i ludzie z promu jęli kierować się do brzegu, jak umieli, z pomocą drąga znalezionego przypadkiem na statku.

Powoli, dzięki staraniom Raula i człowieka towarzyszącego młodemu jeźdźcowi, życie wróciło na blade policzki niedoszłego topielca, który Otworzył oczy, początkowo jeszcze błędne, wkrótce jednak utkwił je przytomnie w swoim zbawcy.

— Ach, to pan! — wykrzyknął. — Właśnie szukałem pana. Bez pana zginąłbym, po trzykroć bym zginął.

— Ale wracasz pan do życia, jak sam widzisz — odparł Raul. — W ten sposób będziemy kwita za kąpiel.

— Ach, panie, jakżeśmy ci wdzięczni — zawołał człowiek o siwych włosach.

— To ty, mój poczciwy d'Arminges? — rzekł młodzieniec. — Napędziłem ci strachu, co? Ale to twoja wina: Jesteś moim wychowawcą, dlaczego nie nauczyłeś mnie lepiej pływać?

— Och, panie hrabio — odparł starzec — gdyby się panu przytrafiło nieszczęście, nie śmiałybym stanąć przed panem marszałkiem.

— Ale jak to się stało? — spytał Raul.

— O panie, bardzo prosto — odrzekł ów, którego tytułowano hrabią. — Byliśmy mniej więcej na jednej trzeciej rzeki, kiedy pękła lina od promu. Krzyki i bieganina przewoźników przestraszyły mego konia i skoczył do wody. Ja pływam źle i nie odważyłbym się skoczyć do rzeki. Zamiast wesprzeć ruchy mego konia, paraliżowałem je. I właśnie już się topiłem najpiękniej w świecie, kiedy pan dotarłeś w samą porę, aby mnie wyciągnąć z wody. W ten sposób,

jeśliby to panu odpowiadało, bylibyśmy odtąd związani na śmierć i życie.

— Panie — odparł Raul składając ukłon — zapewniam cię, że jestem całkowicie na twe usługi.

— Nazywam się hrabia de Guiche — ciągnął kawaler. — Moim ojcem jest marszałek de Grammont. A teraz, kiedy pan wiesz, kim ja jestem, proszę, uczynić mi ten zaszczyt i powiedz, kim pan jesteś?

— Jestem wicehrabia de Bragelonne — rzekł Raul czerwieniąc się, że nie może wymienić swego ojca, jak to był uczynił hrabia de Guiche.

— Wicehrabio, pańskie oblicze, dobroć i odwaga usposabia mnie do pana jak najlepiej, posiadasz pan całą moją wdzięczność. Uściśnijmy się i proszę o pańską przyjaźń.

— Panie — rzekł Raul oddając hrabiemu uścisk — kocham już pana z całego serca, proszę na mnie liczyć jak na oddanego przyjaciela.

— A teraz dokąd pan się udajesz, wicehrabio? — zapytał de Guiche.

— Do wojsk jego książęcej wysokości, hrabio.

— I ja również! — wykrzyknął młody człowiek w porywie radości. — Ach, świetnie, razem oddamy pierwszy wystrzał.

— Doskonale, niech was wiąże uczucie wzajemnej miłości — ozwał się wychowawca. — Jesteście obaj młodzi i bez wątpienia prowadzi was ta sama gwiazda, musieliście się więc spotkać.

Dwaj młodzieńcy uśmiechnęli się z ufnością przyrodzoną młodości.

— A teraz — rzekł wychowawca — musicie zmienić ubrania. Wasi służący, którym wydałem polecenia, gdy zeszli z promu, winni już przybyć do zajazdu. Grzeją bieliznę i wino, chodźcie więc.

Młodzieńcy nie mieli żadnych zastrzeżeń co do tej propozycji; przeciwnie, uważali ją za wyśmienitą. Dosiedli zatem natychmiast koni, patrząc na siebie i podziwiając wzajemnie. Byli to rzeczywiście dwaj wytworni kawalerowie o figurach smukłych i roslých, dwie szlachetne twarze o czołach pogodnych, spojrzeniu łagodnym i dumnym, uśmiechu, szczerym i subtelnym. De Guiche

mógł mieć lat osiemnaście, ale nie był wyższy od Raula, który liczył zaledwie piętnaście.

Spontanicznie wyciągnęli do siebie dłonie i kłując ostrogą swe rumaki, ramię w ramię przebyli drogę od rzeki do zajazdu. Jeden uważał, że życie, którego omal nie utracił, jest dobre i wesołe, drugi dziękował Bogu, że mógł już w swoim życiu dokonać czegoś, co byłoby miłe jego opiekunowi.

Co się tyczy Olivaina, to był on jedynym, którego piękne zachowanie jego pana zupełnie nie ukontentowało. Wykręcając mankiety i poły swego kaftana, rozważał, że postój w Compiègne oszczędziłby mu nie tylko wypadku, którego ledwie uniknął, lecz także, jako niewątpliwych skutków, zapalenia płuc oraz reumatyzmu.



### 33. Utarczka

Pobyt w Noyon upłynął szybko, wszyscy spali głębokim snem. Raul polecił się obudzić, gdyby przybył Milczek, lecz ów jednak nie przyjechał.

Konie bez wątpienia przyjęły również z uznaniem te osiem godzin zupełnego wypoczynku na obfitej podściółce, jaką im rzucono. Hrabia de Guiche został zbudzony o piątej rano przez Raula, który przyszedł powiedzieć mu dzień dobry. Śniadanie zjedzono w pośpiechu i o szóstej mieli za sobą już dwie mile.

Rozmowa z młodym hrabią była dla Raula bardzo interesująca. Raul dużo słuchał, a młody hrabia ciągle opowiadał. Wychował się w Paryżu, gdzie Raul był tylko jeden raz, mówił ó swych szaleństwach paziowskich na dworze, którego Raul nigdy nie oglądał, o dwóch pojedynkach, na które znalazł sposób, by je odbyć mimo edyktów, a nade wszystko wbrew wychowawcy. Wszystko to było dla Raula niezwykle ciekawe. Raul był z wizytą tylko u Scarrona. Wymienił de Guiche'owi osoby, które tam widział. De Guiche znał wszystkich: panią de Neuillan, pannę d'Aubigne, pannę de Scudery, pannę Paulet i księżnę Chevreuse. Kpił dowcipnie ze wszystkich. Raul drżał, aby jego towarzysz nie zaczął kpić z księżnej de Chevreuse, dla której odczuwał prawdziwą i głęboką sympatię, ale tamten, bądź instynktownie, bądź wiedziony skłonnością ku księżnej, mówił o niej możliwie wszystko najlepsze. Pochwały te podwoiły uczucie przyjaźni Raula do hrabiego.

Nastąpił rozdział o miłostkach i miłości. Również i w tych rzeczach Bragelonne miał więcej do wysłuchania aniżeli do powiedzenia. Słuchał więc i zdawało mu się, że hrabia w opowiedzianych trzech, czterech dość przejrzystych przygodach, podobnie jak i on, skrywa w głębi serca jakąś tajemnicę.

De Guiche, jak już mówiliśmy, wychowany był przy dworze i znane mu

były dobrze wszystkie intrygi dworskie. Był to ten dwór, o którym Raul tyle słyszał u hrabiego de La Fere. Tylko że zmienił on bardzo swoje oblicze od czasów, kiedy Atos tam bywał. Wszystko więc co opowiadał hrabia de Guiche, było dla jego towarzysza nowe. Młody hrabia, lubiący obmawiać, dowcipny, dokonał rewii całego towarzystwa. Opowiedział o dawnych przygodach miłosnych księżnej de Longueville z Colignym, o pojedynku tegoż na placu Królewskim, pojedynku tak dlań fatalnym, który księżna oglądała przez żaluzje; o jej nowych amatorach z księciem de Marcillac, który, jak mówią, był tak o nią zazdrosny, że gotów był wszystkich pozabijać, nawet jej spowiednika, księdza d'Herblay. Dalej, o romansach księcia de Galles z Mademoiselle, zwaną później "La Grandę Mademoiselle"<sup>46</sup>, tak sławną od czasu swego sekretnego małżeństwa z Lauzunem. Nawet królowa nie została oszczędzona, a i kardynał Mazarini stanowił przedmiot kpin.

Dzień minął jak godzina. Wychowawca hrabiego, lubiący uciechy, człowiek światowy, kuty na cztery nogi, jak się o nim wyrażał jego uczeń, przypominał Raulowi po wielekroć Atosa głęboką swą wiedzą i pełną dowcipu, zjadliwą kpina. Ale co się tyczy wdzięku, delikatności i szlachetności wyglądu, nikt nie mógł się równać z hrabią de La Fere.

Konie, oszczędzane bardziej aniżeli poprzedniego dnia, zatrzymały się około czwartej wieczorem w Arras. Zbliżano się do teatru wojny i postanowiono zatrzymać się w tym mieście aż do jutra. Oddziały hiszpańskie korzystały niekiedy z nocy, aby robić wyprawy w okolice Arras.

Armia francuska zajmowała pozycje od Pont-a-Marc aż do Valenciennes, zawracając na Douai. Mówiono, że księżę osobiście znajduje się w Bethune. Armia nieprzyjacielska rozłożyła się od Cassel po Courtray, a ponieważ nie było takich rabunków i gwałtów, których by się nie dopuszczała, biedni ludzie z pogranicza porzucali swe odosobnione siedziby i szli schronić się do obronnych miast, zapewniających im przytułek. Arras przepełnione było uciekinierami.

---

46 Bratanica Ludwika XIII.

Mówiono o bliskiej bitwie. Miała ona być decydująca, przy czym książę nie podejmował dotąd żadnych akcji w oczekiwaniu na posiłki, które właśnie nadeszły. Młodzi ludzie winszowali sobie, że trafili tak w samą porę.

Jedli razem i spali w jednej izbie. Byli w wieku zawierania szybkich przyjaźni, mieli uczucie, że się znają od urodzenia i że rozstanie byłoby niemożliwością.

Wieczór wypełniły rozmowy o wojnie. Słudzy wyczyścili broń, młodzieńcy nabili pistolety na wypadek utarczki. Przebudzili się zrozpaczeni, śniąc obaj, że przybyli za późno, aby wziąć udział w bitwie.

Rankiem rozeszła się wieść, że książę de Conde opuścił Bethune, aby się wycofać na Carvin, pozostawiając jednak w pierwszym z tych miast swoją załogę. Ponieważ jednak nowina ta nie przedstawiała nic określonego, młodzieńcy postanowili, że będą podróżować dalej ku Bethune, mogąc w drodze wedle woli skrócić ukosem w prawo i pomaszerować na Garvin.

Wychowawca hrabiego de Guiche znał kraj znakomicie, zaproponował więc, by pojechać drogą na przełaj, leżącą pośrodku między gościńcami do Lens i do Bethune. W Ablain zasięgnie się języka. Dla Milczka pozostawiono marszrutę.

Ruszono w drogę około siódmej rano.

De Guiche, który był młody i popędliwy, rzekł do Raula. — Jest nas trzech panów i trzech służących. Nasi służący są dobrze uzbrojeni, a twój wydaje się być nieustępliwy.

— Nie widziałem go jeszcze nigdy przy robocie — odparł Raul — ale to Bretończyk, więc można nań liczyć.

— O tak, tak — podjął de Guiche — jestem pewny, że przy okazji umiałby strzelić z muszkietu. Co do mnie, mam dwóch pewnych ludzi, którzy byli na wojnie z moim ojcem. Jest nas więc sześciu żołnierzy. Gdybyśmy tak napotkali mały oddziałek grasantów, równy nam liczbą, a nawet większy, czyż nie pójdziemy do natarcia, Raulu?

— Oczywiście, panie — odparł wicehrabia.

— Hola, młodzieńcy, hola — odezwał się wychowawca wtrącając się do rozmowy — coś za ostro, do kroćset! A moje instrukcje to tylko dla mnie, panie hrabio? Czyś pan zapomniał, że mam rozkaz doprowadzić cię zdrowego i całego do jego wysokości księcia pana? Kiedy już pan będziesz w armii, możesz się pan dać zabić, jeśli ci to sprawi przyjemność, ale do tego czasu uprzedzam, że ja w charakterze generała dowodzącego armią nakazuję odwrót i sam podaję tyły na widok pierwszego pióropusza.

De Guiche i Raul spojrzeli na siebie kątem oka i uśmiechnęli się. Kraj stawał się dość zalesiony i od czasu do czasu spotykało się małe grupy uchodzących wieśniaków, którzy pędzili przed sobą bydło i ciągnęli na wózkach lub nieśli na barkach najcenniejsze swoje rzeczy.

Do Ablain dotarli bez wypadku. Tam zasięgnęli języka i dowiedzieli się, że księżę istotnie opuścił Bethune i znajduje się między Cambrin i la Venthie. Zostawiwszy dla Milczka szkic, pojechali znowu drogą na w skos, która w ciągu pół godziny wyprowadziła gromadkę na brzeg małego strumienia wpadającego do Lys.

Kraj był uroczy, pocięty dolinami zielonymi jak szmaragd. Od czasu do czasu napotykali małe zagajniki, przez które przebiegała ich dróżka. Przed każdym z tych zagajników wychowawca, w przewidywaniu zasadzki, kazał wyjeżdżać na czoło dwóm służącym hrabiego, którzy w ten sposób tworzyli straż przednią. Wychowawca i dwaj młodzieńcy stanowili główną siłę, a Olivain, z karabinem wspartym o kolano i czujnym okiem, osłaniał tyły.

Od pewnego czasu widać było na widnokręgu dość gęsty las. Na sto kroków od tego lasu pan d'Arminges przedsięwziął zwykłe ostrożności i posłał naprzód dwóch służących hrabiego.

Służący zniknęli wśród drzew, a młodzi ludzie i wychowawca śmiejąc się i rozmawiając jechali za nimi jakieś sto kroków. Olivain trzymał się z tyłu w takiej samej odległości. Nagle rozległo się pięć, sześć wystrzałów z muszkietu.

Wychowawca krzyknął “stać”, młodzi ludzie posłuchali i zatrzymali konie. W tejże chwili ujrzeli obu służących powracających galopem.

Młodzieńcy, niecierpliwi poznać przyczynę strzelaniny, ruszyli ku służącym. Wychowawca podążył za nimi.

— Zatrzymano was? — dopytywali z ożywieniem obaj młodzieńcy.

— Nie — odrzekli służący — nawet prawdopodobnie nas nie widziano.

Strzały rozległy się na sto kroków przed nami, gdzie największa gęstwina, więc powróciliśmy zapytać, co robić.

— Moim zdaniem — rzekł pan d'Arminges — a nawet, gdy zajdzie potrzeba, moją wolą jest, byśmy się cofnęli. W tym lesie może się kryć zasadzka.

— I nic nie widzieliście? — zapytał hrabia służących.

— Zdaje się — rzekł jeden z nich — że widziałem jeźdźców odzianych na żółto, jak prześlizgiwali się łożyskiem potoku.

— To znaczy — rzekł wychowawca — że natknęliśmy się na oddział Hiszpanów. Do tyłu, panowie, odwrót!

Młodzieńcy rzucili sobie porozumiewawcze spojrzenia; w tejże chwili rozległ się wystrzał z pistoletu, po nim zaś dwa lub trzy wołania o pomoc.

Młodzi ludzie upewnili się wzrokiem po raz ostatni, że żaden z nich nie myśli się cofać, i kiedy wychowawca zawrócił był już konia, oni runęli naprzód. Raul wołał: “Do mnie, Olivain!” A hrabia de Guiche ze swej strony: “Do mnie, Urbain i Blanchet!”

I zanim wychowawca ochłonął ze zdumienia, tamci zniknęli już w lesie. Dając koniom ostrogę młodzieńcy jednocześnie chwycili za pistolety. W pięć minut później dotarli do miejsca, skąd zdawał się dochodzić hałas. Wtedy zwolnili bieg koni posuwając się z przezornością.

— Tsss! — szepnął de Guiche. — Jeźdźcy!

— Tak, trzech na koniach i trzech, którzy zeszli na ziemię.

— Co robią? Widzisz coś?

— Tak, zdaje mi się, że przeszukują kogoś rannego czy zabitego.

— To jakieś podłe zabójstwo! — odparł de Guiche.

— Jednak to żołnierze — podjął de Bragelonne.

— Tak, ale grasanci, to znaczy zbroje grasujący po gościńcach. — A więc jazda! — rzekł Raul.

— Jazda! — potwierdził de Guiche.

— Panowie! — zakrzyknął biedny wychowawca. — Panowie, zaklinam...

Ale młodzi byli głusi. Ruszyli jeden przez drugiego, a krzyki wychowawcy miały tylko ten skutek, że obudziły czujność Hiszpanów.

Trzech grasantów siedzących na koniach rzuciło się natychmiast na spotkanie młodym, podczas gdy trzej pozostali kończyli rabować obu podróżnych. Podjechawszy bowiem bliżej młodzieńcy zauważyli, że zamiast jednego leżą dwa ciała.

Na dziesięć kroków de Guiche strzelił pierwszy i chybił. Z kolei strzelił Hiszpan, który najeżdżał na Raula, i młodzieniec poczuł w lewym ramieniu ból podobny do smagnięcia biczem. Na cztery kroki oddał strzał, Hiszpan trafiony w sam środek piersi rozłożył ramiona i padł na wznak, na zad swego konia. Koń zawrócił nagle i poniósł go.

W tejże chwili Raul dojrzał jak przez mgłę lufę muszkietu skierowaną w swoją stronę. Przypomniał sobie zlecenie Atosa: ruchem szybkim jak błyskawica postawił wierzchowca dęba. Padł strzał.

Koń uskoczył w bok, potknął się wszystkimi czterema nogami i upadł przywalając Raulowi nogę.

Hiszpan rzucił się ku niemu, chwytając muszkiet za lufę, żeby kolbą strzaskać głowę Raula.

Na nieszczęście Raul, w pozycji, w jakiej się znajdował, nie mógł ani dobyć szpady z pochwy, ani wyciągnąć pistoletu z olster. Widział, jak kolba kołowała nad jego głową i mimo woli przymknął oczy. Wtedy de Guiche jednym susem skoczył do Hiszpana i przyłożył mu pistolet do gardła.

— Poddaj się — krzyknął — albo śmierć!

Muskiet wypadł z rąk żołnierza, który natychmiast się poddał.

De Guiche zawołał jednego ze swych służących i oddał mu jeńca pod straż, każąc rozwalić głowę, gdyby próbował ucieczki. Zeskoczył z konia i zbliżył się do Raula.

— Dalibóg, panie! — rzekł Raul śmiejąc się, mimo iż bladość zdradzała niechybnie wzruszenie pierwszym starciem. — Szybko spłacasz swoje długi, nie chcąc mieć na dalszą przyszłość zobowiązań. Bez pana — dodał słowa hrabiego — zginąłbym, po trzykroć bym zginął.

— Mój przeciwnik rzuciwszy się do ucieczki — odparł de Guiche — ułatwił mi znakomicie przyjście z pomocą. Ale powiedz, czyś ciężko ranny, widzę, żeś cały we krwi?

— Sądzę, że to jakieś draśnięcie w ramię — odrzekł Raul. — Pomóż mi wydobyć się spod konia, a mam nadzieję, nic nie stanie na przeszkodzie, byśmy ruszyli w dalszą drogę.

Pan d'Arminges i Olivain byli już na ziemi i podnosili konia, który miotał się w agonii. Raulowi udało się wyciągnąć stopę ze strzemienia, a następnie nogę spod konia i w jednej chwili stanął o własnych siłach.

— Nic nie złamane? — pytał de Guiche.

— Dalibóg, nie, dzięki Bogu. — odparł Raul. — Ale co się stało z nieszczęśnikami, których zamordowali ci nędznicy?

— Przybyliśmy za późno. Sądzę, że ich zabili i uciekli unosząc zdobycz. Moi służący są przy trupach.

— Chodźmy zobaczyć, czy na pewno są martwi i czy nie można by im pomóc — rzekł Raul. — Olivain, odziedziczyliśmy dwa konie, lecz ja straciłem swego, weź sobie lepszego z nich, a mnie dasz swojego.

I zbliżyli się do miejsca, gdzie spoczywały ofiary.

## 34. Mnich

Leżało tam dwóch mężczyzn. Jeden nieruchomy, twarzą do ziemi, przeszyty trzema kulami, skąpany we własnej krwi... Ten był martwy.

Drugi, którego służący wsparli plecami o drzewo, utkwił oczy w niebie i splótłszy ręce, żarliwie się modlił. Ten otrzymał postrzał, który strzaskał mu szczyt kości udowej.

Młodzieńcy skierowali się najpierw do zabitego i popatrzyli na siebie ze zdziwieniem.

— Toż to ksiądz — rzekł de Bragelonne — ma tonsurę. O przekłęci, którzy podnoszą rękę na sługi boże.

— Niech pan tu idzie — rzekł Urbain, stary żołnierz, który przebył wszystkie kampanie pod wodzą kardynała. — Niech pan tu pozwoli. Tamtemu nie pomoże się już nic, podczas gdy tego może da się uratować.

Ranny uśmiechnął się ze smutkiem.

— Mnie uratować? O nie — odrzekł. — Możecie tylko pomóc mi umrzeć.

— Czy pan jesteś księdzem? — spytał Raul.

— Nie, panie.

— A mnie się wydawało, że pański nieszczęsny towarzysz był duchownym — odparł Raul.

— To proboszcz z Bethune, panie. Przenosił w bezpieczne miejsce święte naczynia ze swego kościoła i skarbiec kapituły, gdyż jego wysokość ksiązę opuścił wczoraj nasze miasto i jutro będzie tam już może Hiszpan. A ponieważ było wiadome, że nieprzyjacielskie oddziały myszkują po wsiach i że wyprawa należy do niebezpiecznych, nikt nie ośmielił się mu towarzyszyć; wtedy ja się ofiarowałem.

— I ci nędznicy napadli na was. I ci nędznicy strzelali do księdza!



— Proszę was, panowie — odezwał się ranny rozglądając się wokół — bardzo cierpię i pragnąłbym być przewieziony do jakiegoś domostwa.

— Gdzie by mogli udzielić pomocy? — rzekł de Guiche.

— Nie, gdzie bym mógł się wypowiedzieć.

— Ale może nie jesteś pan tak niebezpiecznie ranny, jak panu się wydaje — wtrącił Raul.

— Niech mi pan wierzy — odparł ranny — nie ma czasu do stracenia, kula strzaskała górę kości udowej i przedostała się aż do wnętrzości.

— Czy pan jesteście lekarzem? — spytał de Guiche.

— Nie — odrzekł umierający — ale znam się trochę na ranach; moja jest śmiertelna. Spróbujcie mnie więc przenieść dokądś, gdzie mógłbym znaleźć księdza, albo weźcie ten trud na siebie i sprowadźcie go tutaj, a Bóg was wynagrodzi za ten święty uczynek; zbawienia potrzebuje moja dusza, bo ciało już przepadło.

— Umrzeć przy spełnianiu pobożnego dzieła, to niemożliwe, i Bóg wam pomoże.

— Na litość boską, panowie — rzekł ranny zbierając wszystkie siły, jakby chciał się podnieść — nie traćmy ani chwili na bezużyteczne słowa: albo pomożecie mi dotrzeć do najbliższej wioski, albo przysięgnijcie na wasze zbawienie, że sprowadzicie tutaj pierwszego napotkanego zakonnika, pierwszego proboszcza, pierwszego lepszego księdza. Ale — dorzucił z akcentem rozpaczony — być może żaden nie ośmieli się przyjść, ponieważ wiadomo, że Hiszpanie przebiegają okolicę, i wtedy umrę bez rozgrzeszenia. Mój Boże, mój Boże! — dodał ranny z akcentem przerażenia, który wstrząsnął młodymi. — Ale wy na to nie pozwolicie, nieprawdaż? To byłoby straszne.

— Uspokój się pan — rzekł de Guiche — przysięgam, że doczekasz tak upragnionej pociechy. Proszę tylko powiedzieć, w jakiej stronie znajduje się dom, gdzie moglibyśmy zwrócić się o pomoc, i wioska, gdzie moglibyśmy poszukać księdza.

— Dziękuję i niech wam Bóg wynagrodzi. Pół mili stąd, idąc tą drogą, znajduje się oberża, a około mili od oberży będziecie mieli wioskę Greney. Poszukajcie proboszcza, a jeśli nie będzie go u siebie, wstąpcie do klasztoru Augustianów, który stoi na samym krańcu miasteczka na prawo, i przeprowadźcie jakiegokolwiek brata zakonnika czy księdza, aby tylko miał daną sobie od naszego świętego kościoła moc rozgrzeszania in articulo rnorris.

— Panie d'Arminges — zwrócił się de Guiche — niech pan pozostanie przy tym nieszczęśniku i czuwa, aby przenoszono go możliwie najdelikatniej. Proszę zrobić nosze z gałęzi i rzucić na nie nasze płaszcze. Dwaj służący poniosą nosze, trzeci z nich będzie w pogotowiu, by zastąpić tego, który się zmęczy. Ja z wicehrabią pójdziemy po księdza.

— Idźcie, panie hrabio — rzekł wychowawca — ale zaklinam, nie narażajcie się.

— Bądź pan spokojny, zresztą dziś jesteśmy już uratowani. Zna pan aksjomat: Non bis in idem<sup>47</sup>.

— Odwagi, panie — zwrócił się Raul do rannego, zaraz spełnimy pańskie życzenia.

— Niech was Bóg błogosławi, panowie — odpowiedział umierający z akcentem nie dającej się opisać wdzięczności.

Obaj młodzi ludzie pogalopowali we wskazanym kierunku, podczas gdy wychowawca hrabiego de Guiche czuwał nad sporządzeniem noszy.

Po dziesięciu minutach młodzieńcy dostrzegli oberżę.

Raul, nie schodząc z konia, zawołał gospodarza, uprzedził go, że przyniosą tu rannego, i prosił, aby tymczasem przygotowano wszystko, co jest niezbędne do opatrunku, to znaczy łóżko, bandażę, szarpie, a poza tym, żeby, jeśli zna w okolicy jakiegoś lekarza chirurga lub opatrującego rany, posłał po niego. Raul zobowiązał się opłacić posłańca.

Gospodarz na widok dwóch młodych panów, bogato odzianych, obiecał

---

47 Non bis in idem (łac.) — tu: to samo nie powtarza się dwa razy.

wszystko, co odeń żądano, nasi zaś kawalerowie stwierdziwszy, że wzięto się do przygotowań na przyjęcie rannego, pocwałowali w stronę Greney.

Przejechali tak ponad milę i rozróżniali już pierwsze domy wioski, o dachach krytych czerwoną dachówką, ostro odcinających się od otaczającej zieleni drzew, kiedy spostrzegli jadącego im naprzeciw na mule ubogiego mnicha. Widząc jego duży kapelusz i suknię z szarej wełny, wzięli go za brata augustianina. Tym razem przypadek zdawał się im zsyłać to, czego szukali.

Podjechali do zakonnika.

Był to dwudziestodwu- dwudziestotrzyletni mężczyzna, którego jednak ascetyczny tryb życia wyraźnie postarzył. Był blady nie tą matową bladością, która jest urodą, ale bladością z odcieniem żółci; krótko przyszczyżone włosy, ledwie wyglądające spod kapelusza, były jasnoblonde, a jasnoniebieskie oczy zdawały się nic nie widzieć.

— Czy pan przypadkiem nie jest osobą duchowną? — zagadnął Raul ze zwykłą sobie grzecznością.

— A dlaczego mnie pan o to pytasz? — odparł nieznajomy z obojętnością wręcz opryskliwą.

— Aby wiedzieć — rzekł z wyższością hrabia de Guiche.

Nieznajomy trącił muła piętą i pojechał dalej.

De Guiche skoczył przed niego i zagroził drogę.

— Proszę odpowiedzieć. Pytamy grzecznie i godzi się sprawę wyjaśnić.

— Sądzę, że chyba wolno mi powiedzieć albo nie powiedzieć, kim jestem, dwóm pierwszym lepszym napotkanym, którym wpadło na myśl zapytać mnie o to.

De Guiche powstrzymał z najwyższym wysiłkiem wściekłą chęć połamania mnichowi kości.

— Przede wszystkim — odparł przewyciężając się — nie jesteśmy pierwszymi lepszymi napotkanymi. Ten oto mój przyjaciel jest wicehrabią de Bragelonne, ja zaś jestem hrabią de Guiche. Wreszcie nie jakiś kaprys kazał nam

zadać to pytanie. Opodal leży ranny i umierający człowiek, który woła o pomoc kościoła. Jeśli jesteś pan księdzem, wzywam pana w imię człowieczeństwa, byś poszedł ze mną celem przyniesienia mu pociechy; jeśli nim pan nie jesteś, to zupełnie inna sprawa. Uprzedzam w imię kurtuazji, którą pan zdajesz się najzupełniej ignorować, że pańska zuchwałość zostanie ukarana.

Mnich z bladego stał się sinym, uśmiechnął się przy tym w tak dziwny sposób, że Raul, który nie spuszczał go z oczu, odczuł, jak ów uśmiech burzy w nim krew niczym obelga.

— To jakiś hiszpański albo flamandzki szpieg — ozwał się kładąc rękę na rękojeści pistoletów.

Groźne niby błyskawica spojrzenie było odpowiedzią daną Raulowi.

— A więc, mój panie — rzekł de Guiche — odpowiesz pan czy nie?

— Jestem księdzem, proszę panów — odrzekł młody człowiek.

I twarz jego przybrała na powrót swój zwykły obojętny wyraz.

— A więc, mój ojczcie — rzekł Raul wkładając pistolety do olster i przydając swym słowem akcent szacunku, który nie płynął zresztą z serca — a więc jeśli jesteś księdzem, to, jak powiedział był mój przyjaciel, znajdziesz sposobność, by spełnić swoją powinność: pewien nieszczęśnik ranny podąża nam na spotkanie, ma się zatrzymać w najbliższym zajezdzie i prosi o służbę bożego. Towarzyszą mu nasi ludzie.

— Jadę tam — odparł mnich. I trącił piętami muła.

— Jeślibyście tam, ojczcie, nie pojechali — rzekł de Guiche — wiedzcie, że mamy konie, które są w stanie doścignąć waszego muła, i wystarczający autorytet, żeby kazać was schwytać, gdziekolwiek się znajdziecie. Wtedy, przysięgam, sprawa wasza odbędzie się nie mieszkając; wszędzie znajdzie się drzewo i sznurek.

Oko mnicha znów zabłysło, ale to było wszystko. Powtórzył swoje zdanie: “Jadę tam”, i odjechał.

— Jedźmy za nim — rzekł de Guiche — to będzie pewniejsze.

— Miałem ci to zaproponować — odparł de Bragelonne.

I obaj młodzieńcy puścili się w powrotną drogę, regulując tempo według jazdy mnicha, za którym podążali na odległość strzału z pistoletu.

Po pięciu minutach mnich obejrzał się, ażeby się upewnić, czy jadą za nim.

— Patrz — rzekł Raul — dobrześmy zrobili.

— Co za okropna postać z tego mnicha — rzucił hrabia de Guiche.

— Okropna — odpowiedział Raul — szczególnie wygląd: te żółte włosy, przymglone oczy, wargi, które za najmniejszym wypowiedzianym słowem gdzieś przepadają...

— Tak, tak — rzekł de Guiche, którego mniej uderzyły te wszystkie szczegóły, zważywszy, że Raul obserwował, podczas gdy de Guiche rozmawiał. — Tak, dziwna postać. Ale ci mnisi poddawani są tak poniżającym praktykom: posty czynią ich bladymi, dyscyplina robi z nich obłudników, a oczy ich straciły blask wskutek opłakiwania utraconych dóbr tego żywota, którymi my się cieszymy.

— Nareszcie — rzekł Raul — biedak ten będzie miał księdza, ale na Boga, penitent wydaje się mieć więcej sumienia aniżeli spowiednik. Co do mnie, wyznaję, zwykłem widywać księży o całkiem innym wyglądzie.

— Ach, zrozum — rzekł de Guiche — to jeden z tych braci wędrownych, którzy żebrzą na gościńcach aż do dnia, kiedy nie spadnie im z nieba jakieś beneficjum. Po większej części to cudzoziemcy: Szkoci, Irlandczycy, Duńczycy. Nieraz pokazywano mi podobnych.

— Podobnie szkaradnych?

— Nie, lecz umiarkowanie ohydnych.

— Co za nieszczęście dla tego rannego biedaka umrzeć, będąc w rękach podobnego mnicha.

— Ba — rzucił de Guiche — odpuszczenie spływa nie z rąk tego, który je daje, ale od Boga. Jednak jeśli chcesz widzieć, to wolałbym umrzeć nie okazawszy skruchy aniżeli mieć do czynienia z podobnym spowiednikiem.

Podzielasz moje zdanie, wicehrabio, nieprawdaż? Widzę, jak pieścisz gałkę swego pistoletu, zupełnie jakbyś miał zamiar strzaskać mnichowi głowę.

— Tak, hrabio, zdumiewająca rzecz i może cię to zdziwi: odczuwałem na widok tego człowieka nieokreślony wstręt. Czy widziałeś kiedykolwiek podnoszącego się na twojej drodze węża?

— Nigdy — odparł de Guiche.

— Lecz mnie przydarzyło się to w naszych lasach Blaisois i przypominam sobie, że na widok pierwszego węża, który patrzył na mnie swymi matowymi oczami, skupiony, chwiejący głową, poruszający językiem, stałem jak wryty, pobladły, jakby urzeczony aż do chwili, kiedy hrabia de La Fere...

— Twój ojciec? — spytał de Guiche.

— Nie, mój opiekun — odparł Raul czerwieniąc się.

— Ach, tak.

— Aż do chwili — podjął Raul — kiedy hrabia de La Fere powiedział mi: “Dalej, Bragelonne, wyciągaj broń”. — Wtedy przyskoczyłem do gada i rozciąłem go na dwoje w momencie, gdy sycząc podnosił się na ogonie, aby rzucić się na mnie. Przysięgam ci, dokładnie to samo wrażenie odniosłem na widok tego człowieka, który patrząc na mnie powiedział: “A dlaczego mnie pan o to pytasz?”

— I nie wyrzucasz sobie, żeś go nie rozciął na dwoje podobnie jak tamtego węża?

— Dalibóg, że tak, prawie że tak — odparł Raul.

W tejże chwili ujrzeni oberżę i nadciągający z przeciwległej strony orszak z rannym, prowadzony przez pana d'Arminges. Dwaj ludzie nieśli umierającego, trzeci prowadził konie.

Młodzieńcy dali wierzchowcom ostrogi.

— Oto ranny — rzekł de Guiche mijając brata augustianina — bądźcie tak dobrzy i pośpieszcie się trochę, mości mnichu.

Co się tyczy Raula, to ów odsunął się od braciszka na całą szerokość drogi

i minął go odwracając z niesmakiem głowę.

Młodzieńcy jechali więc przed spowiednikiem zamiast za nim. Dotarli do rannego i zawiadomili o pomyślnej nowinie. Podniósł się, aby spojrzeć we wskazanym kierunku, zobaczył mnicha, jak zbliżał się przyśpieszając krok muła, i opadł na nosze z rozjaśnioną przez radość twarzą.

— Teraz już — rzekli młodzieńcy — uczyniliśmy dla pana wszystko, co było w naszej mocy, a ponieważ spieszno nam dołączyć do armii księcia pana, jedziemy dalej w swoją stronę. Wybaczysz nam pan, nieprawdaż? Mówią bowiem, że ma być bitwa, więc nie chcielibyśmy przybyć w dzień po niej.

— Jedźcie, moi młodzi panowie — rzekł ranny — i bądźcie błogosławieni obaj za wasze miłosierdzie. Istotnie, jak rzekliście, dopełniliście wszystkiego, co było w waszej mocy. Mogę tylko rzec wam raz jeszcze: niech Bóg ma w swej opiece was i drogie wam osoby.

— Panie — zwrócił się de Guiche do swego wychowawcy — jedziemy przodem, dołączycie do nas na drodze do Cambrin.

Gospodarz stał w drzwiach, wszystko już było przygotowane: łożko, bandaż, szarpie, a stajenny udał się po lekarza do Lens, miasta najbliżej stąd położonego.

— Tak — rzekł oberżysta — będzie tak, jak panowie sobie życzą, ale czy pan nie zatrzyma się, aby obandażować ranę? — ciągnął zwracając się do de Bragelonne'a.

— Ech tam, moja rana! Głupstwo — odrzekł wicehrabia — będzie na to czas na najbliższym postoju. Tylko gdybyś zobaczył przejeżdżającego jeźdźca i gdyby ten zagadnął cię o pewnego młodego człowieka na gniadoszu, w towarzystwie służącego, bądź tak dobry powiedzić mu, że istotnie widziałeś mnie i że pojechałem dalej, zamyślając obiadować w Mazingarbe, a nocować w Cambrin. Jeździec ów jest moim służącym.

— Czy nie byłoby lepiej i pewniej, gdybym zapytał go o nazwisko, a jemu oznajmił pańskie? — odparł gospodarz.

— Nigdy nie zawadzi nadmiar ostrożności — rzekł Raul. — Nazywam się wicehrabia de Bragelonne, a ów człowiek Milczek.

W tejże chwili nadciągnęli: ranny z jednej strony, a mnich z drugiej. Młodzieńcy rozstąpili się, żeby przepuścić nosze, mnich zaś zszedł z muła i kazał go zaprowadzić do stajni nie zdejmując zeń siodła.

— Mości mnichu — rzekł de Guiche — wypowiadaj należycie tego dzielnego człowieka i nie trap się o koszta zarówno swoje, jak i twojego muła — wszystko już zapłacone.

— Dzięki, panie — odparł mnich z owym uśmiechem, który przyprawił de Bragelonne'a o dreszcze.

— Jedziemy, hrabio — rzekł Raul, który zdawał się instynktownie nie znosić obecności augustianina. — Chodźmy, źle się tu czuję.

— Dzięki jeszcze raz, piękni młodzi panowie — rzekł ranny — a nie zapominajcie się za mnie pomodlić.

— Może być pan o to spokojny — odparł de Guiche dając ostrogę koniowi, żeby dołączyć do de Bragelonne'a, który był już jakieś dwadzieścia kroków na przodzie.

W tejże właśnie chwili nosze, dźwigane przez dwu służących zostały wniesione do domu. Gospodarz i jego żona, która na to nadbiegła, stali na schodach. Ranny nieszczęśnik zdawał się cierpieć okrutne bóle, ale zajęty był jedną myślą: czy mnich kroczy za nim.

Na widok tego bladego i zakrwawionego człowieka kobieta ścisnęła mocno ramię męża.

— Co znowu? — zapytał ją. — Czy może źle się czujesz?

— Nie, ale patrz — odrzekła oberżystka wskazując mężowi ranego.

— Ani słowa, zdaje mi się, że z nim kiepsko.

— Ale nie o to mi chodzi — ciągnęła kobieta cała drżąca — zapytuję cię tylko, czy go rozpoznajesz?

— Tego człowieka? Poczekaj!...



— Ach, widzę, że go poznajesz — rzekła — boś i ty teraz zbladł.

— Istotnie! — wykrzyknął oberżysta — co za nieszczęście na nasz dom, toż to dawny kat z Bethune.

— Dawny kat z Bethune — zamruczał młody mnich stając na progu.

Na jego obliczu malowało się uczucie odrazy, jaką wzbudzał w nim penitent.

Pan d'Arminges, stojąc w drzwiach, zauważył jego wahanie,

— Mości mnichu — rzekł—jest czy był katem, niemniej nieszczęśnik ów jest człowiekiem. Oddajcie mu więc ostatnią posługę, o którą was prosi, a wasz uczynek będzie tym godniejszy pochwały.

Mnich nic nie odrzekł, lecz milcząc szedł dalej aż do niskiej izby, gdzie słudzy złożyli umierającego na łóżku.

Widząc, że do rannego zbliża się sługa boży, opuścili obaj izbę zamykając drzwi.

D'Arminges i Olivain już oczekiwali na nich, dosiedli więc koni i we czwórkę ruszyli klusa tą samą drogą, na której krańcu zniknęli byli Raul i jego towarzysze.

W momencie kiedy wychowawca i jego orszak przepadli za zakrętem, przed progiem oberży zatrzymał się nowy podróżny.

— Czego pan sobie życzysz? — pytał gospodarz blady jeszcze i roztrzęsiony z powodu uczynionego przed chwilą odkrycia.

Podróżny dał znak, że chce się czegoś napić, a zsiadłszy na ziemię, wskazał na konia, żeby go oczyścić.

— Do diabła — rzekł do siebie oberżysta — ten znów wygląda na niemowę. — A gdzie chcecie panie pić? — zapytał.

— Tu — rzekł podróżny wskazując na stół.

— Omyliłem się — powiedział do siebie gospodarz — to wcale nie jest niemowa.

Skłonił się, poszedł po butelkę wina oraz suchary i postawił je przed

mrukliwym gościem.

— Czy życzysz sobie, panie, jeszcze czego? — zapytał.

— Ehe — odparł podróżny.

— A czegoż to?

— Wiedzieć, czyście nie widzieli młodego piętnastoletniego szlachcica na gniadoszu, ze służącym?

— Wicehrabiego de Bragelonne?

— O, właśnie.

— To pan nazywasz się Milczek?

Podróżny potaknął głową.

— A więc — odparł oberżysta — wasz młody pan był tutaj przed kwadransem. Będzie obiadować w Mazingarbe, a nocować w Cambrin.

— Ile stąd do Mazingarbe?

— Dwie i pół mili.

— Dziękuję.

Milczek upewniwszy się, że spotka swego pana jeszcze przed zapadnięciem nocy, wyraźnie się uspokoił, otarł pot z czoła i nalawszy sobie wina, popijał w milczeniu.

Właśnie stawiał szklankę na stole i szykował się napełnić ją po raz drugi, kiedy z izby, gdzie znajdował się mnich z umierającym, doleciał straszliwy krzyk.

Milczek zerwał się na równe nogi.

— Co to, skąd ten krzyk?

— Z izby rannego — odparł gospodarz.

— Jakiego rannego? — spytał Milczek.

— Dawny kat z Bethune, którego napadli hiszpańscy grasanci.

Przyniesiono go tutaj i właśnie teraz spowiada się ojcu augustianinowi; zdaje się bardzo cierpieć.

— Dawny kat z Bethune? — wymruczał Milczek sięgając do wspomnień

— mężczyzna pięćdziesiąt pięć, sześć lat, wysoki, silny, ogorzały, włosy i broda czarne?

— O to, to, tylko że broda mu posiwiała, a włosy zbielały. Znasz go pan?  
— pytał gospodarz.

— Raz go widziałem — odparł Milczek i zasepiło mu się czoło na to wspomnienie.

Nadbiegła drżąca kobieta.

— Słyszałeś? — zwróciła się do męża.

— Tak — odparł gospodarz spoglądając z niepokojem w stronę drzwi.

W tejże chwili dał się słyszeć krzyk mniej donośny aniżeli poprzedni, Po którym jednak nastąpił długi, przeciągły jęk. Wszyscy troje drżąc spojrzeli po sobie.

— Trzeba zobaczyć, co się tam dzieje — ozwał się Milczek.

— Można by rzec, że to krzyk człowieka zarzynanego — wyszeptał gospodarz.

— O Jezusie! — jęknęła kobieta zegnając się.

Jeśli Milczek mówił mało, to wiadomo, że działał dużo. Skoczył ku drzwiom i mocno nimi szarpnął, ale były od wewnątrz zamknięte na zasuwę.

— Otworzyć — krzyczał oberżysta — otworzyć! Mości mnichu, otworzyć natychmiast!

Nikt nie odpowiedział.

— Otwierać albo wyważę drzwi — rzekł Milczek.

Ta sama cisza.

Milczek rozejrzał się wokoło i dostrzegł w jednym z kątów łom, przypadkiem tam się znajdujący. Podsadził go i zanim oberżysta zdołał mu przeszkodzić, wywalił drzwi do wewnątrz. Izba zalana była krwią, która przeciekała przez materace, ranny nic nie mówił, jedno rzeził. Mnich zniknął.

— Mnich! — krzyknął gospodarz. — Gdzie mnich?

Milczek rzucił się do otwartego okna wychodzącego na podwórze.

— Musiał uciec tędy! — zawołał.

— Tak pan sądzisz? — rzekł wystraszony gospodarz. — Chłopcze, zobacz no, czy muł mnicha jest w stajni.

— Nie ma! — odkrzyknął ten, do którego skierowane było pytanie. Milczek zmarszczył brew, oberżysta złożył ręce i rozejrzał się wokoło z niedowierzaniem. Kobieta nawet nie śmiała wejść do izby, przerażona zatrzymała się w drzwiach.

Milczek podszedł do rannego i patrzył na jego ostre i charakterystyczne rysy, przywodzące mu na pamięć dawne straszliwe wspomnienie.

Wreszcie po chwili ponurej i milczącej kontemplacji rzekł:

— Nie ma wątpliwości to on.

— Żyje jeszcze? — zapytał oberżysta.

Nie odpowiadając Milczek rozpiął rannemu kaftan, aby zbadać serce. Za nim z kolei zbliżył się gospodarz, lecz nagle obaj odskoczyli: gospodarz z okrzykiem przerażenia, Milczek blednąc.

Z lewej strony w piersi kata tkwiło wbite aż po gardę ostrze sztyletu.

— Biegnijcie po pomoc — rzucił Milczek. — Ja pozostanę przy nim. Oberżysta jak błędny wypadł z izby, jego żona zaś uciekła już przedtem, posłyszawszy krzyk męża.

## 55. Rozgrzeszenie

O oto, co zaszło:

Widzieliśmy, że mnich nie z własnej woli, lecz raczej wbrew niej towarzyszył rannemu, który został mu polecony w tak dziwny sposób, prawdopodobnie, gdyby to było możliwe, próbowaliby uciec. Ale pogróżki obu szlachciców, ich orszak, niewątpliwie z odpowiednimi instrukcjami, wreszcie (żeby już wszystko wyczerpać) samo zastanowienie — wszystko to nie pozwoliło mnichowi ujawniać zbyt wiele złej woli i kazało mu aż do końca grać rolę spowiednika; wszedłszy więc już raz do izby, zbliżył się wprost do wezgowia rannego.

Kat obrzucił szybkim, charakterystycznym dla umierających, co to już nie mają czasu do stracenia, spojrzeniem oblicze tego, który miał być jego pocieszycielem, drgnął zdziwiony i rzekł:

— Bardzoście młodzi, mój ojcie.

— Ludzie w tej sukni nie mają lat — odparł oschle mnich.

— Mów do mnie łagodniej, ojcie — rzekł ranny — potrzebny mi na te ostatnie chwile przyjaciel.

— Bardzo cierpisz? — zagadnął mnich.

— O tak, ale więcej dusza aniżeli ciało.

— Ocalimy twoją duszę — rzekł młody człowiek. — Czy istotnie jesteś katem z Bethune, jak powiadali ci ludzie?

— To znaczy — podjął żywo ranny, który widocznie obawiał się, aby imię kata nie zamknęło mu drogi do ostatniej posługi, o którą prosił — to znaczy, byłem nim, ale już nie jestem. Minęło piętnaście lat, jak ustąpiłem ze swego urzędu. Jestem jeszcze figurantem przy egzekucjach, ale sam już nie ścinam, o nie!

— I nie brzydzicie się swoim zawodem?

Kat westchnął głęboko.

— Póki ścinałem tylko w imieniu prawa i sprawiedliwości — odrzekł — zawód mój pozwalał mi spać spokojnie jako człowiekowi będącemu pod osłoną sprawiedliwości i prawa. Ale od owej straszliwej nocy, kiedy byłem narzędziem osobistej zemsty i z nienawiścią podniosłem miecz na boskie stworzenie, od tego dnia...

Kat zatrzymał się potrząsając głową z wyrazem rozpaczony.

— Mów — rzekł mnich, który usiadł w nogach łóżka i jął okazywać zainteresowanie dla zapowiadającej się tak niezwykle opowieści.

— Och! — wykrzyknął umierający z porywem długo tłumionego bólu, który wreszcie znalazł sobie ujście — och, przecież usiłowałem przez dwadzieścia lat zbożnego żywota zagłuszyć ten wyrzut sumienia! Wyzbyłem się wrodzonego okrucieństwa ludzi przelewających krew. Przy każdej sposobności poświęcałem życie, aby ratować tych, którzy byli w niebezpieczeństwie, i ratowałem na ziemi istnienia ludzkie w zamian za to, które pozbawiłem żywota. Ale to nie wszystko: dobra nabyte za wykonywanie mego zawodu rozdałem ubogim, pilnie uczęszczałem do kościołów, ludzie, którzy przedtem unikali mnie, przywykli do mego widoku. Wszyscy mi przebaczyli, kilku nawet polubiło mnie. Lecz myślę, że Bóg mi nie przebaczył, gdyż wspomnienie tej egzekucji prześladowuje mnie bez ustanku; każdej nocy wydaje mi się, że widzę przed sobą cień tej kobiety.

— Kobiety! Zabiłeś więc kobietę? — wykrzyknął mnich.

— I wy, ojczy, także — zawołał kat — wy także użyliście tego słowa, które rozbrzmiewa w moim uchu: zabiłeś. Zabiłem tedy, a nie dokonałem egzekucji. Jestem zabójcą, a nie człowiekiem wymierzającym sprawiedliwość.

I jęknąwszy przymknął oczy.

Mnich niewątpliwie przestraszył się, żeby mu ranny nie umarł, zanim wszystkiego nie powie, gdyż żywo podjął:

— Mów dalej, bo nic nie wiem, a kiedy skończysz swą opowieść, Bóg i ja osądzimy cię.

— O mój ojcze! — ciągnął kat nie podnosząc powiek, jakby się obawiał, że kiedy je otworzy, zobaczy znów coś przerażającego. — Zwłaszcza gdy nocą przebywam jakąś rzekę, podwaja się ów strach, którego nie mogłem przezwyciężyć. Wydaje się wtedy, że ręka mi ciąży, jakbym trzymał w niej jeszcze kordelas, że woda przybiera kolor krwi, że wszystkie odgłosy przyrody, szum drzew, szmer wiatru, plusk fali, łączą się w jeden głos płaczu, rozpaczy, strachu, który woła do mnie: “Niechaj się dzieje sprawiedliwość boska!”

— Majaczy — szepnął mnich potrząsając głową.

Kat otworzył oczy, uczynił ruch, aby się obrócić w stronę młodego człowieka, i chwycił go za ramię.

— Majaczę — powtórzył — mówisz, że majaczę? Och! Nie, wszak było to wieczorem, wszak wrzuciłem jej ciało do rzeki, wszak sam uniesiony pychą wypowiedziałem te słowa, co mi je wyrzuty sumienia wciąż powtarzają. Stawszy się narzędziem sprawiedliwości ludzkiej, uważałem, że staję się narzędziem sprawiedliwości boskiej.

— No, ale jak to się stało? — pytał mnich.

— Było to wieczorem, przyszedł do mnie jakiś człowiek, pokazał rozkaz, poszedłem za nim. Oczekiwało już na mnie czterech innych panów. Powiedli mnie założywszy mi maskę. Zawsze sobie zastrzegałem, że jeśli to, czego ode mnie żądano, wyda mi się niesłuszne, odmówię. Zrobiliśmy pięć do sześciu mil posepni, spokojni, prawie bez słowa. Wreszcie przez okno jakiejś chatki pokazali mi kobietę wspartą łokciami o stół i rzekli: “To na niej trzeba dokonać egzekucji”.

— Wstrętne! — rzekł mnich. — I posłuchałeś?

— Ojcze, toż ta kobieta była potworem, mówiono, że otruła swego drugiego męża, usiłowała zamordować szwagra, który znajdował się wśród owych mężczyzn, otruła niedawno młodą kobietę, swoją rywalkę, a przed

opuszczeniem Anglii, jak powiadano, kazała zasztyletować faworyta królewskiego.

— Buckingham? — zakrzyknął mnich.

— Tak, Buckingham.

— Czy kobieta ta była Angielką?

— Nie, była Francuzką, ale wyszła za mąż w Anglii.

Mnich pobladł, otarł czoło i zaraz zamknął drzwi na zasuwę. Kat myślał, że go opuszcza, i jęcząc opadł na łóżko.

— Nie, nie, już jestem — podjął mnich, żywo powracając do niego — mów dalej. Co to byli za ludzie?

— Jeden był cudzoziemcem, jak sędzę, Anglikiem. Czterej inni byli Francuzami i nosili mundury muszkieterów.

— Nazwiska tych ludzi? — pytał mnich.

— Nie znałem ich. Tyle że czterej pozostali panowie nazywali Anglika milordem.

— A kobieta ta była piękna?

— Młoda i piękna. Och, tak, nade wszystko piękna. Jeszcze ją widzę, jak klęcząc u mych stóp błagała z głową przechyloną do tyłu. Do dziś dnia nie rozumiem, jak to się stało, że ściałem tę tak piękną, bladolicą głowę.

Mnich zdawał się być ogarnięty dziwnym wzruszeniem. Wszystkie jego członki drżały. Było widać, że chce o coś zapytać, a nie śmie. Wreszcie gwałtownie się przewyciężywszy zapytał:

— A nazwisko tej kobiety?

— Nie znam. Jak wam rzekłem, była dwa razy zameżna, zdaje się raz we Francji, a raz w Anglii.

— I powiadasz, że była młoda?

— Jakieś dwadzieścia pięć lat.

— Piękna?

— Do szaleństwa.



- Blondyna?
- Tak.
- Bujne włosy, nieprawdaż? Opadały aż na ramiona.
- Tak.
- Oczy o cudownym wyrazie?
- Zależało to od jej woli. Och, tak, właśnie tak.
- Głos przedziwnej słodczy?
- Skąd to wiecie?

Kat wsparł się na łokciach i utkwiał przerażone spojrzenie w mnichu, który zsiniał.

— I tyś ją zabił! — rzekł mnich. — Posłużyłeś za narzędzie tym nikczemnikom, którzy nie wazyli się sami jej zabić! Nie miałeś litości nad jej młodością, urodą, bezbronnością. Więc zabiłeś tę kobietę?

— Niestety — podjął kat. — Rzekłem ci, ojcze, że ta kobieta pod niebiańską powłoką ukrywała diabelską duszę i kiedy ją ujrzałem, kiedy przypomniałem sobie całe zło, jakie wyrządziła mnie samemu...

— Tobie? A cóż takiego mogła zrobić tobie? No!

— Uwiodła i zgubiła mego brata, który był księdzem. Uciekła z nim z klasztoru.

— Z twoim bratem?

— Tak. Mój brat był jej pierwszym kochankiem. Była przyczyną śmierci mego brata. O mój ojcze, mój ojcze! Nie patrz tak na mnie. Więc jestem winien? Nie dasz mi rozgrzeszenia?

Mnich przybrał układny wyraz twarzy.

— Nie inaczej, nie inaczej, dam ci rozgrzeszenie, jeśli mi wszystko powiesz.

— Och, tak — krzyknął kat — wszystko! Wszystko! Wszystko!

— A więc odpowiadaj. Jeśli ona uwiodła twojego brata, a rzekłeś, że go uwiodła, czy nie tak?

— Tak.

— Jeśli spowodowała jego śmierć... rzekłeś, że spowodowała jego śmierć?

— Tak — powtórzył kat.

— A więc powinienesz znać jej panięskie nazwisko.

— O mój Boże — mówił kat — o mój Boże! Zdaje się, że umrę.

Rozgrzeszenia, ojczy, rozgrzeszenia!

— Powiedz jej nazwisko — zawołał mnich — a dam ci je!

— Nazywała się... o mój Boże, litości — szeptał kat.

I opadł na łóżko blady, drżący, jak człowiek, który ma zaraz umrzeć.

— Jej nazwisko! — powtórzył mnich nachylając się nad konającym, jakby pragnął wyrwać to nazwisko, jeśli tamten nie będzie chciał mu powiedzieć — jej nazwisko... mów, bo inaczej nie udzielię ci abszolucji.

Umierający zdawał się zbierać wszystkie siły. Żrenice mnicha skrzyły się.

— Anna de Bueil — wyszeptał ranny.

— Anna de Bueil! — krzyknął mnich powstając i wznosząc obie ręce do nieba. — Anna de Bueil! Dobrze powiedziałaś, Anna de Bueil, nieprawdaż?

— Tak,, tak, to jej nazwisko, a teraz rozgrzesz mnie, ojczy, bo umieram.

— Ja ciebie rozgrzeszyć! — wrzasnął mnich ze śmiechem, który zjeżył włosy na głowie umierającego. — Ja rozgrzeszyć? Nie jestem wcale księdzem.

— Nie jesteście, ojczy, księdzem! — zawołał kat. — Więc kim?

— O nieszczęsny, teraz ja ci powiem.

— O Boże! Mój Boże!

— Jestem John Francis de Winter.

— Nie znam pana! — zawołał kat.

— Czekaj, czekaj, zaraz mnie poznasz. Ja jestem John Francis de Winter — powtórzył — a ta kobieta...

— A ta kobieta?

— To moja matka.

Kat wydał pierwszy okrzyk, ten straszliwy krzyk, który został najpierw

usłyszany.

— Och, przebacz mi pan, przebacz — wyszeptał — jeśli nie w imię boże, to przynajmniej od siebie. Jeśli nie jako ksiądz, to przynajmniej jako syn.

— Przebaczyć ci? — wrzasnął fałszywy mnich. — Tobie przebaczyć! Bóg może to uczyni, ale ja nigdy!

— Przez litość — rzekł kat wyciągając do niego rękę.

— Żadnej litości dla takiego, co nie znał litości. Umieraj jak człowiek bez skruchy, umieraj w rozpaczy, umieraj i bądź przeklęty!

I dobywszy spod szaty sztyletu zatopił go w piersi umierającego mówiąc:

— Masz tu moje rozgrzeszenie.

Wtedy właśnie usłyszano ów drugi krzyk, słabszy od pierwszego, po czym nastąpił przeciągły jęk.

Kat, który się był podniósł, padł z powrotem na łóżko. Mnich zaś, nie wyciągając sztyletu z rany, podbiegł do okna, otworzył je, skoczył na kwiaty w ogródku, wśliznął się do stajni, wziął swego muła, wyszedł tylną bramą, popędził do najbliższego gaju, tam zrzucił mniszą suknię, wydobył ze swej sakwy strój jeździecki, przebrał się, dotarł na piechotę do pierwszej stacji pocztowej, wziął konia i cwałem pognął do Paryża.

## 36. Milczek mówi

Milczek pozostał przy kacie sam; gospodarz poszedł szukać pomocy, jego żona modliła się.

Po chwili ranny otworzył oczy.

— Pomocy — wyszeptał — pomocy! O mój Boże, mój Boże. Nie znajdę na tym świecie przyjaciela, który pomoże mi żyć albo umrzeć.

I z wysiłkiem przeniósł rękę na pierś; dłoń jego napotkała rękojeść sztyletu.

— Ach! — rzekł jak człowiek, który sobie coś przypomina. I ramię opadło.

— Odwagi — odezwał się Milczek — już poszli po pomoc.

— Ktoś pan jest? — zagadnął ranny utkwivszy w Milczku nadmiernie rozszerzone oczy.

— Stary znajomy — odparł Milczek.

— Pan?

Ranny próbował sobie przypomnieć rysy człowieka, który doń przemawiał.

— A w jakich okolicznościach spotkaliśmy się? — zapytał.

— Będzie ze dwadzieścia lat temu, nocą, pan mój zabrał was z Bethune i zaprowadził do Armentieres.

— A, poznaję dokładnie, byliście jednym z czterech służących.

— O właśnie.

— Skąd pan przybywasz?

— Przejeżdżałem tędy i zatrzymałem się w tej oberży, żeby koniowi dać trochę wytchnąć. Opowiedziano mi właśnie, że kat z Bethune leży tu ranny, kiedy dwa razy krzyknęliście. Na pierwszy okrzyk przybiegliśmy, na drugi wyważyliśmy drzwi.

— A mnich? — spytał kat. — Czy nie widzieliście mnicha?

— Jakiego mnicha?

— Tego, co był ze mną zamknięty?

— Nie, już go tu nie było, zapewne uciekł przez okno. To on wymierzył wam ten cios?

— Tak.

Milczek skierował się do wyjścia.

— Co pan zamierzasz zrobić? — spytał ranny.

— Trzeba biec za nim.

— Wystrzegaj się go pan!

— A to dlaczego?

— Zemścił się i dobrze zrobił. Teraz mam nadzieję, Bóg mi przebaczy, bo odpokutowałem.

— Wytłumacz to jaśniej — rzekł Milczek.

— Ta kobieta, którą wy i wasi panowie kazaliście zabić...

— Milady?

— Tak, Milady, prawda, takeście ją nazywali...

— Ale co ma Milady do mnicha?

— To jego matka.

Milczek zachwiał się i popatrzył na umierającego okiem matowym, niemal ogłupiałym.

— Jego matka? — powtórzył.

— Tak, jego matka.

— I on zna tę tajemnicę?

— Wziąłem go za mnicha i wyspowiadałem się z niej.

— O nieszczęśniku! — zakrzyknął Milczek, któremu na samą myśl o następstwach, jakie mogło mieć podobne odkrycie, włosy zwilgotniały od potu.

— O nieszczęśniku, mam nadzieję, nie wymieniłeś nikogo po nazwisku?

— Nie wyrzekłem ani jednego nazwiska, bo żadnego nie znałem, wyjąwszy panię jego matki, i właśnie po tym ją rozpoznał. Ale on wie, że w liczbie sędziów był jego wuj.

I opadł wyczerpany. Milczek chciał mu pomóc i zbliżył dłoń do rękojeści sztyletu.

— Nie ruszaj go pan — rzekł kat. — Jeśli się wyjmie ten sztylet, umrę natychmiast.

Milczek pozostał tak z wyciągniętą ręką, po czym nagle uderzył się pięścią w czoło.

— Och, jeśli kiedykolwiek człowiek ów dowie się, kto są ci inni, pan mój jest wówczas zgubiony.

— Śpiesz się pan, śpiesz! — zakrzyknął kat. — Uprzedź go, jeśli jeszcze żyje. Uprzedź jego przyjaciół. Wierz mi, że moja śmierć nie zakończy tej straszliwej historii.

— Dokąd jechał? — spytał Milczek.

— W stronę Paryża.

— Kto go zatrzymał?

— Dwaj młodzi szlachcice śpieszący do wojska, z których jeden — słyszałem jego nazwisko wypowiedziane przez kolegę — nazywa się wicehrabia de Bragelonne.

— I to ów młodzieniec przyprowadził wam tego mnicha?

— Tak.

Milczek wznosił oczy do nieba.

— A więc to z woli Boga? — zapytał.

— Niewątpliwie — odparł ranny.

— To przerażające — zamruczał Milczek. — Przecież ta kobieta zasłużyła na swój los. Czy już tak nie sądzisz?

— Kiedy się umiera — odparł kat — zbrodnie innych zdają się zupełnie nikłe w porównaniu z własnymi.

I opadł wyczerpany, przymykając oczy.

Milczek zastygł rozdarty między uczuciem litości nie pozwalającym mu pozostawić tego człowieka bez pomocy a obawą, nakazującą ruszać natychmiast

z nowiną do hrabiego de La Fere, kiedy usłyszał hałas w korytarzu i zobaczył gospodarza wchodzącego z chirurgiem, którego wreszcie znalezione.

Kilku ciekawskich gapiów szło za nim — rozgłos szczególnego wydarzenia zaczynał się szerzyć.

Lekarz zbliżył się do umierającego, który jakby omdlał.

— Trzeba najpierw wyciągnąć z piersi żelazo — rzekł potrząsając znacząco głową.

Milczek przypomniał sobie przepowiednię rannego i odwrócił oczy.

Chirurg odchylił kaftan, rozdarł koszulę i obnażył pierś.

Jak to już powiedzieliśmy, żelazo tkwiło zatopione aż po gardę.

Chirurg ujął za koniec rękojeści. W miarę jak wyciągał sztylet, ranny otwierał oczy przerażające swym znieruchomieniem. Gdy ostrze wyszło całe, różowa piana okoliła jego usta, po czym odetchnął i struga krwi bluznęła z otworu rany. Umierający utkwiał w Milczku spojrzenie szczególnie wymowne, głucho zarzęził i natychmiast wyzionął ducha.

Wówczas Milczek podniósł z ziemi skąpany we krwi sztylet, który wzbudzał we wszystkich przerażenie, skinął na gospodarza, by z nim wyszedł, zapłacił rachunek z hojnością godną swego pana i dosiadł konia.

Początkowo Milczek zamierzał zawrócić wprost do Paryża, ale pomyślał o niepokoju, jaki mógłby ogarnąć Raula w wypadku przedłużającej się jego nieobecności. Przypomniał też sobie, że Raul znajduje się tylko o dwie mile stąd, że w kwadrans będzie już u niego oraz że droga, powrót i wyjaśnienia nie zabrałyby mu nawet godziny. Puścił konia galopem i w dziesięć minut później zsiadł już przy "Mulet-Couronne", jedynej oberży w Mazingarbe.

Po pierwszych słowach zamienionych z gospodarzem nabrał pewności, że dopędził poszukiwanego.

Raul siedział za stołem z hrabią de Guiche i jego wychowawcą, ale ponura ranna przygoda rzuciła na dwa młode czoła cień smutku, którego nie była w stanie rozproszyć wesołość pana d'Arminges, nastrojonego bardziej filozoficznie

od młodzieńców dzięki wielkiemu obyciu z tego rodzaju widowiskami.

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Milczek, blady, pokryty kurzem, obryzany jeszcze krwią nieszczęsnego rannego.

— Milczek, mój poczciwy Milczek — wykrzyknął Raul — nareszcie cię widzę. Wybaczcie, panowie, to nie sługa, lecz przyjaciel.

Zerwał się i przybiegł do przybyłego.

— Jak się czuje pan hrabia? Tęskni za mną trochę? Czy widziałeś go od czasu, kiedyśmy się rozstali? Odpowiedz, ja też mam ci wiele do powiedzenia. Od trzech dni mamy moc przygód. Ale co tobie? Takiś blady? Krew, skąd ta krew?

— Istotnie krew! — rzekł hrabia podnosząc się. — Czyś ranny, mój przyjacielu?

— Nie, panie — odparł Milczek — to nie moja krew.

— A czyja? — spytał Raul.

— To krew nieszczęśnika, któregoście panowie pozostawili w oberży, a który zmarł w moich ramionach.

— W twoich ramionach! Ten człowiek! A wiesz chociaż, kto to taki?

— Tak — rzekł Milczek.

— Wszak to był dawny kat z Bethune.

— Wiem.

— Znałeś go?

— Znałem.

— Umarł?

— Tak.

Młodzieńcy spojrzeli po sobie.

— Cóż chcecie, panowie — odezwał się d'Arminges — to powszechne prawo i nawet kat nie jest spod niego wyjęty. Z chwilą gdy zobaczyłem jego ranę, nie żywiłem żadnej nadziei, a wiadomo wam, że i on tak myślał, ponieważ żądał mnicha.



Na to słowo Milczek przybladł.

— Dalej, dalej, siadajmy do stołu — rzekł d'Arminges, który jak wszyscy ludzie tej epoki, a nade wszystko jego wieku, nie dopuszczał wzruszenia pomiędzy dwoma daniami.

— Tak, panie, ma pan rację — rzekł Raul. — Dalej, Milczek, każ sobie podawać; rozkazuj, zamawiaj, a jak odsapniesz, porozmawiamy.

— O nie, panie — odparł Milczek. — Nie mogę się zatrzymać nawet na chwilę, muszę ruszać znów do Paryża.

— Jak to znów do Paryża! Mylisz się, to Olivain ma pojechać, a ty zostaniesz.

— Olivain zostaje, ja natomiast odjeżdżam. Przybyłem umyślnie, aby pana o tym uwiadomić.

— Ale dlaczego ta zmiana?

— Tego nie mogę panu powiedzieć.

— Wytłumacz się.

— Nie mogę wytłumaczyć.

— Co za żarty?

— Pan wicehrabia wie, że ja nigdy nie żartuję.

— Oczywiście, ale wiem również, że pan hrabia de La Fere powiedział, że ty zostajesz ze mną, a Olivain powraca do Paryża. Będę się stosował do rozkazów pana hrabiego.

— Ale nie w tej sytuacji, panie.

— Czy przypadkiem nie jest to nieposłuszeństwo wobec mnie.

— Tak panie, ale tak trzeba.

— A więc się upierasz?

— Odjeżdżam i życzę szczęścia, panie wicehrabio.

Milczek skłonił się i skierował do drzwi. Raul, jednocześnie wściekły i zaniepokojony, pobiegł za nim i chwycił za ramię.

— Milczek! — krzyknął — zostań, taka moja wola!

— A więc — ozwał się Milczek — chce pan, abym dopuścił do zabicia pana hrabiego.

Skłonił się i znów zmierzał do wyjścia.

— Milczek, mój przyjacielu — rzekł wicehrabia — nie odjedziesz tak, nie porzucisz mnie w podobnej niepewności. Milczek, mów, mów, zaklinam cię!

I Raul chwiejąc się opadł na fotel.

— Mogę wam rzec tylko jedno, panie, gdyż tajemnica, o którą pan pytasz, nie należy do mnie. Spotkał pan pewnego mnicha.

— Tak.

Młodzińcy popatrzyli na siebie przerażeni.

— Zaprowadził go pan do rannego?

— Tak.

— Miał pan czas, aby mu się przyjrzeć?

— Tak.

— I zapewne rozpoznałby go pan, spotkawszy kiedykolwiek?

— Och, tak, przysięgam — rzekł Raul.

— Ja również — dodał de Guiche.

— A więc jeśli go pan kiedykolwiek spotkasz — rzekł Milczek — gdziekolwiek by to było, na trakcie, na ulicy, w kościele, wszędzie, gdzie będzie on i gdzie pan będziesz, depcz go i miażdż bez litości, bez miłosierdzia, jakbyś to pan zrobił ze żmiją, wężem, gadem. Miażdż i nie puszczaj, póki nie będzie martwy. Póki on żyw, życie pięciu ludzi będzie zawsze dla mnie niepewne.

I nie dodawszy ani słowa Milczek skorzystał ze zdumienia i przerażenia, jakie posiał wśród słuchaczy, i wypadł z izby.

— No, hrabio — rzekł Raul zwracając się do hrabiego de Guiche — czy nie utrafiłem mówiąc, że ten mnich zrobił na mnie wrażenie gada!

W dwie minuty później doleciał odgłos galopującego drogą konia. Raul podbiegł do okna.

To Milczek powracał do Paryża. Pożegnał wicehrabiego potrząsnawszy

kapeluszem i wkrótce zniknął za zakrętem drogi.

Jadąc Milczek rozważał dwie rzeczy: że takiego tempa koń nie wytrzyma przez dziesięć mil, a następnie, że nie posiada wcale pieniędzy.

Lecz o ile mało Milczek mówił, o tyle posiadał dużą wyobraźnię. Na pierwszym postoju sprzedał konia i za uzyskaną sumę wynajął pocztę.

## 37. W przeddzień bitwy

Z ponurych rozmyślań wyrwał Raula gospodarz, który wpadł do izby, gdzie rozegrała się opisana przez nas scena, wołając:

— Hiszpanie! Hiszpanie!

Krzyk brzmiał dostatecznie poważnie, aby wszystko, co zaprzętało dotąd uwagę, ustąpiło miejsca temu, co krzyk ów winien był spowodować.

Młodzieńcy jęli rozpytywać i dowiedzieli się, że nieprzyjaciel posuwał się rzeczywiście przez Houdin i Bethune.

Podczas gdy pan d'Arminges wydawał zarządzenia, aby odpoczywające konie gotowe były do drogi, obaj młodzieńcy wspięli się do najwyżej położonych okien domu, skąd rozciągał się widok na okolicę. Istotnie, od strony Marsin i Lens ujrzeli wynurzającą się wielką kolumnę piechoty i kawalerii. Tym razem nie był to już lotny oddziałek partyzancki, ale cała armia.

Nie było więc innego wyboru, tylko posłuchać roztropnych zaleceń pana d'Arminges i wycofać się.

Młodzieńcy zbiegli błyskawicznie z góry. Pan d'Arminges siedział już na koniu. Olivain trzymał ich wierzchowce, słudzy hrabiego de Guiche pilnie strzeżli hiszpańskiego jeńca usadowionego między nimi na zakupionym specjalnie koniku. Z nadmiaru ostrożności jeniec miał skępowane ręce.

Oddziałek pokłusował drogą na Cambrin, gdzie spodziewano się znaleźć księcia, ale od wczoraj już go tam nie było; wycofał się do La Bassee na fałszywą wieść, że nieprzyjaciel miał przekroczyć Lys pod Estaire.

Istotnie, księżę, zmylony przez te meldunki, wycofał swoje oddziały z Bethune, koncentrując wszystkie siły pomiędzy Vieille-Chapelle i la Venthie; sam zaś, przeprowadziwszy wraz z marszałkiem de Grammont rozpoznanie na całej linii, powrócił i zasiadł do stołu rozpytując oficerów zgromadzonych u

jego boku o wieści, które zlecił był każdemu z nich zasięgnąć; żaden jednak nie konkretnego nie wiedział. Armia nieprzyjacielska przepadła od czterdziestu ośmiu godzin, zdawała się zapaść pod ziemię.

A wiadomo, że armia nieprzyjacielska nigdy nie znajduje się tak blisko, co za tym idzie, nigdy nie jest tak groźna, jak wówczas, gdy zupełnie zniknie. Książę siedział więc wbrew swemu zwyczajowi posępny i zatroskany, kiedy wszedł oficer służbowy i zaraportował marszałkowi de Grammont, że ktoś chce z nim mówić.

Diuk de Grammont, otrzymawszy milczące zezwolenie księcia, wyszedł.

Książę odprowadził go oczami, po czym wzrok jego pozostał utkwiony w drzwiach. Nikt nie śmiał się odezwać z obawy, by nie przerwać księciu rozmyślań.

Nagle rozległ się głuchy huk. Książę żywo się uniósł wyciągając rękę w stronę, skąd odgłos doleciał. Znał go dobrze: był to wystrzał armatni.

Wszyscy podobnie jak książę porwali się z miejsc.

W tejże chwili otworzyły się drzwi.

— Wasza wysokość pozwoli — rzekł marszałek de Grammont promieniejąc — mój syn, hrabia de Guiche, i jego towarzysz podróży, wicehrabia de Bragelonne, przekażą pożądanę przez nas wiadomości, jakie zdołali zebrać o nieprzyjacielu.

— Jak to — odparł żywo książę — co znaczy pozwolę! Nie tylko pozwalam, ale żądam. Niech wejdą.

Marszałek wpuścił obu młodzieńców, którzy stanęli przed księciem.

— Proszę, mówcie, panowie — rzekł książę witając ich — najpierw mówcie. A potem załatwimy sprawy etykiety. Najpilniejsze dla nas wszystkich: wiedzieć, gdzie wróg i co robi.

Z natury rzeczy głos przypadł oczywiście hrabiemu de Guiche, nie tylko dlatego, że był starszy, ale i dlatego, że został przedstawiony księciu przez ojca. Zresztą znał księcia od dawna, podczas gdy Raul widział go po raz pierwszy.

Opowiedział więc, co widzieli z okien oberży w Mazingarbe.

W tym czasie Raul przyglądał się młodemu generałowi, tak już wslawionemu bitwami pod Rocroi, Fribourg i Nortlingen.

Ludwik de Bourbon, książę Conde, którego od śmierci jego ojca Henryka de Bourbon nazywano w skróceniu i zgodnie ze zwyczajem epoki księciem panem, był młodym człowiekiem, liczącym zaledwie dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat, miał orle spojrzenie, agl'occhi grifani, jak powiada Dante, zakrzywiony nos, włosy długie, spadające w lokach; był średniego wzrostu, zgrabny, posiadał wszystkie cechy wielkiego wojownika: bystre oko, błyskawiczną decyzję, bajeczną odwagę. Nie przeszkadzało mu to być jednocześnie wytwornym i błyskotliwym, tak że oprócz rewolucji, jaką dzięki nowym pomysłom wywołał w sztuce wojennej, spowodował jeszcze drugą w Paryżu wśród młodych arystokratów przy dworze; z natury rzeczy był on ich przywódcą w przeciwieństwie do wytwornisiów dawnego dworu — dla których wzorem byli Bassompierre, Bellegarde i diuk d'Angouleme — tych nazywano fircykami.

Z pierwszych słów hrabiego de Guiche i z kierunku, skąd dobiegał odgłos armatni, książę zrozumiał wszystko. Nieprzyjaciel musiał przejść Lys koło Saint-Venant i maszerował na Lens, niewątpliwie w zamiarze zajęcia tego miasta i odcięcia armii francuskiej od Francji. Odgłos dział, który od czasu do czasu głużył inne, pochodził z armat wielkiego kalibru, jakie miała artyleria hiszpańska i lotaryńska.

Jakąż siłę stanowił ten oddział? Czy był to tylko korpus do wywołania zwykłej dywersji? Czy też była to cała armia?

Na to ostatnie pytanie księcia hrabia de Guiche nie mógł udzielić odpowiedzi.

Ponieważ było ono najważniejsze, przede wszystkim na nie książę pragnął mieć dokładną, zwięzłą i pewną odpowiedź.

Raul przewyciężył więc wrodzoną sobie nieśmiałość, która owładnęła nim

w obecności księcia, podszedł doń i rzekł:

— Wasza książęca mość pozwoli mi dorzucić kilka słów w tej materii, co być może wybawi waszą książęcą wysokość od kłopotu?

Książę odwrócił się i zdało się jednym rzutem oka ogarnął młodzieńca od stóp do głów. Ujrawszy, że to zaledwie piętnastoletni chłopiec, uśmiechnął się.

— Oczywiście, proszę, niech pan mówi — rzekł łagodząc swój lakoniczny, dobitny ton, jakby tym razem zwracał się do kobiety.

— Wasza książęca mość — odparł Raul czerwieniąc się — mógłby kazać przepytac hiszpańskiego jeńca.

— Pojmaliście hiszpańskiego jeńca? — krzyknął książę.

— Tak, wasza książęca mość.

— Ach, prawda — odparł hrabia de Guiche — zapomniałem o nim.

— To proste, przecież to pan go schwytaleś, hrabio — odparł Raul uśmiechając się.

Stary marszałek zwrócił się ku wicehrabiemu wdzięczny za tę pochwałę syna, podczas gdy książę wołał:

— Młody człowiek ma rację, niechaj przyprowadzą jeńca.

Tymczasem książę wziął hrabiego de Guiche na stronę i wypytywał, w jaki sposób jeniec został ujęty i kim jest ów młodzieniec.

— Panie — rzekł powracając do Raula — wiem, że masz pan list mojej siostry, księżnej de Longueville, ale widzę, że wolałeś polecić mi się sam udzielając dobrej rady.

— Wasza książęca mość — odparł Raul czerwieniąc się — nie chciałem bynajmniej przerywać waszej wysokości tak ważnej rozmowy rozpoczętej z panem hrabią. Oto list.

— Dobrze. Wręczysz mi go pan później. Otóż i jeniec, zajmijmy się rzeczami pilniejszymi.

Istotnie przyprowadzono grasanta. Był to jeden z tych zaciężnych żołdaków, jacy pozostali jeszcze w tej epoce, sprzedając” krew swoją każdemu

kto chciał ją kupić; żołnierz zestarzały w podstępach wojennych i grabieżach. Nie wyrzekł jednego słowa, odkąd został schwytany, tak że ci, co go złapali, nie wiedzieli, do jakiej narodowości należy.

Księżę spojrział nań nad wyraz nieufnie.

— Jakiej jesteś narodowości? — spytał.

Jeniec odpowiedział kilka słów w obcym języku.

— Aha, zdaje się, że to Hiszpan. Mówisz pan po hiszpańsku, de Grammont?

— Na honor, wasza książęca mość, niewiele.

— A ja nic. — Księżę zaśmiał się. — Panowie — zwrócił się do otaczających — czy jest wśród was ktoś, kto mówi po hiszpańsku i zechce mi służyć za tłumacza?

— Ja, wasza książęca mość — odezwał się Raul.

— Ach, mówisz pan po hiszpańsku?

— Wystarczająco, sędzę, aby wypełnić w tej mierze rozkazy waszej wysokości.

Przez cały ten czas jeniec stał obojętnie, jakby absolutnie nie rozumiał, o co chodzi.

— Jego książęca wysokość kazał zapytać, jakiej jesteś narodowości — rzekł młodzieniec w najczystszy kastylijskim dialekcie.

— Ich bin ein Deutscher<sup>48</sup> — odparł jeniec.

— Co on tam, u diabła, mówi? — zapytał księżę — i co to znów za szwargot?

— Powiedział, wasza książęca mość, że jest Niemcem — odparł Raul. — Wątpię jednak, ma bowiem zły akcent i wadliwą wymowę.

— Mówisz pan zatem i po niemiecku? — zagadnął księżę.

— Tak, wasza wysokość.

— Wystarczająco, aby przebadać w tym języku?

---

48 Ich bin ein Deutscher (niem.) — jestem Niemcem.



— Tak jest.

— To proszę go pytać.

Raul rozpoczął badanie, ale fakty potwierdziły jego przypuszczenie. Jeniec nie rozumiał bądź zdawał się nie rozumieć, co Raul doń mówi, Raul zaś mało co pojmował z jego odpowiedzi będących mieszaniną flamandzkiego i alzackiego. Jednakże w toku wszystkich wysiłków jeńca, by się wykręcić od przepisowego badania, Raul zdołał wychwycić prawdziwy akcent tego człowieka.

— Non siete Spagnuolo — rzekł — non siete Tedesco, siete Italiano<sup>49</sup>.  
Jeniec drgnął i zagryzł wargi.

— To rozumiem cudownie — rzekł książę de Conde. — Ponieważ jest Włochem, sam go przebadam. Dziękuję, wicehrabio — ciągnął dalej śmiejąc się — od dziś mianuję pana moim tłumaczem.

Ale jeniec nie był bardziej skłonny odpowiadać po włosku niż w innych językach, chciał jedynie uniknąć pytań. Nie wiedział nic, nie znał siły wroga ani nazwisk dowódców, ani dokąd armia maszeruje.

— Pięknie — rzekł książę, który pojął przyczyny tej niewiedzy — człowiek ten został schwytany na rabunku i mordowaniu. Mógłby ocalić życie mówiąc, skoro jednak nie chce mówić, zabrać go i rozstrzelać.

Jeniec zbladł. Dwaj żołnierze, którzy go przywiedli, ujęli go teraz pod ręce i poprowadzili ku drzwiom, podczas gdy książę zwrócił się do marszałka de Grammont. Zdawał się już nie pamiętać wydanego co dopiero rozkazu.

Doszedłszy do progu jeniec zatrzymał się. Żołnierze, dla których istniał tylko rozkaz, chcieli przymusić go, by szedł dalej.

— Chwileczkę — rzekł jeniec po francusku — wasza książęca mość, jestem gotów mówić.

— O właśnie — roześmiał się książę — wiedziałem, że tak się skończy. Posiadam cudowny sekret na rozwiązywanie języków. Młodzieńcy,

---

49 Non siete Spagnuolo, non siete Tedesco, siete Italiano (wł.) — Nie jesteś Hiszpanem, nie jesteś Niemcem, jesteś Włochem.

wykorzystajcie go, kiedy wy z kolei będziecie dowódcami.

— Ale pod warunkiem — ciągnął jeniec — że wasza wysokość przysięgnie mi darować życie.

— Słowo szlachcica — rzekł książę.

— A więc proszę pytać, wasza książęca mość.

— Gdzie armia przekroczyła Lys?

— Pomiędzy Saint-Venant a Aire.

— Kto nią dowodzi?

— Hrabia Fuonsaldagna, generał Beck i osobiście arcyksiążę.

— Ile ludzi liczy?

— Osiemnaście tysięcy ludzi i trzydzieści sześć dział.

— I dokąd się kieruje?

— Na Lens.

— Widzicie, panowie! — rzekł książę zwracając się z triumfującą miną do marszałka de Grammont i pozostałych oficerów.

— Tak — odezwał się marszałek — wasza książęca mość odgadł wszystko, co było możliwe do odgadnięcia dla ludzkiego geniuszu.

— Powiadomić Le Plessisa, Bellievre'a, Villequiera i d'Erlaka — rzucił książę — powiadomić wszystkie oddziały, które znajdują się z tej strony Lys, aby były gotowe do wymarszu tejże nocy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jutro zaatakujemy nieprzyjaciela.

— Ale proszę pomyśleć, wasza książęca mość — podjął marszałek de Grammont — że gromadząc wszystkich ludzi, jakich mamy do rozporządzenia, osiągamy zaledwie liczbę trzynastu tysięcy żołnierzy.

— Panie marszałku — odparł książę z jemu tylko właściwym, godnym podziwu spojrzeniem — wielkie bitwy wygrywa się jedynie małymi armiami.

Po czym zwrócił się do jeńca:

— Wziąć tego człowieka i pilnie nań baczyć. Życie jego zależy od wiadomości, jakich nam udzielił. Jeśli są prawdziwe, będzie wolny, jeśli

falszywe, zostanie rozstrzelany.

Jeńca wyprowadzono.

— Hrabio de Guiche — podjął książę — nie widziałeś się dawno z ojcem, pozostań więc z nim. A pana — ciągnął zwracając się do Raula — jeśli nie jesteś zbyt zmęczony, proszę za mną.

— Choćby na koniec świata, wasza książęca mość! — wykrzyknął Raul, odczuwając nie znany sobie entuzjazm dla tego młodego generała, który wydał mu się tak godny swej sławy.

Książę uśmiechnął się: pogardzał pochlebcami, lecz bardzo szanował entuzjastów.

— Chodźmy — rzekł — dobryś do rady, jak tego doświadczyliśmy. Jutro zobaczymy, coś za jeden w potrzebie.

— A ja, wasza książęca mość? — odezwał się marszałek.

— Niech pan zostanie i przyjmuje oddziały, ja zaś albo powrócę, albo też przyślę gońca, żebyś mi je przyprowadził. Do eskorty potrzebuję dwudziestu gwardzistów na najlepszych koniach, to wszystko.

— To bardzo mało — odrzekł marszałek.

— Wystarczy — odparł książę. — Czy masz pan dobrego konia, panie de Bragelonne?

— Ubito mi go dziś rano, wasza książęca mość, i chwilowo dosiadam wierzchowca swego sługi.

— Proszę wybrać sobie z mojej stajni, który panu będzie odpowiadał. Żadnych fałszywych wstyłów, niech pan bierze konia, jaki się panu wyda najlepszy. Będzie go pan potrzebował, być może, już dziś wieczorem, a jutro z całą pewnością.

Raul nie dał sobie powtarzać dwa razy. Wiedział dobrze, że oznaka najwyższej ogłady w obliczu zwierzchnika, zwłaszcza kiedy jest nim książę, to natychmiastowe posłuszeństwo, bez żadnych rezonowań. Udał się więc do stajni, wybrał tam andaluzyjskiego bułanka, osiodłał go i okiełznał — Atos

bowiem zalecał mu, by w chwili niebezpieczeństwa nie powierzać tych ważnych zabiegów nikomu — i dołączył do księcia, który właśnie dosiadł konia.

— A teraz — rzekł do Raula — czy nie zechciałby mi pan oddać listu, który przywiozłeś ze sobą.

Raul podał księciu list.

— Za mną, proszę! — dodał książę.

I wbił ostrogi w brzuch konia, uzdę rzucił za łęk siodła, jak to miał we zwyczaju, kiedy chciał uwolnić ręce, odpieczętował list księżnej de Longueville i ruszył galopem drogą ku Lens w towarzystwie Raula z nieliczną eskortą.

Tymczasem gońcy, którzy mieli zwołać oddziały, wyruszyli cwałem w przeciwnych kierunkach.

Książę galopując przeczytał całą treść listu. Po chwili rzekł:

— Piszą mi tu o panu z jak najlepszej strony; mogę panu powiedzieć tylko jedno: niewiele widziałem i słyszałem, ale to więcej dało mi do myślenia niż list.

Raul skłonił się.

Za każdym krokiem małego oddziałku w stronę Lens strzały armatnie rozlegały się coraz bliżej. Książę z napięciem kierował wzrok w stronę, skąd dobiegał huk. W tym nieruchomym wypatrywaniu było coś z drapieżnego ptaka. Można by powiedzieć, że posiadał siłę przebijania zasłon z drzew rozciągających się przed nim i zamykających widnokrąg.

Od czasu do czasu nozdrza księcia rozszerzały się, jakby spieszo mu było odetchnąć zapachem prochu. Posapywał jak i jego koń.

Wreszcie usłyszeli łomot armatni tak blisko, iż było oczywiste, że od pola bitwy dzieli ich nie więcej aniżeli jedna mila. Istotnie, za zakrętem ujrzeli małą wioskę d'Aunay.

Chłopi byli wielce strwożeni. Fama o hiszpańskich okrucieństwach rozeszła się szeroko i każdego napawała trwogą. Kobiety ratowały się już ucieczką w stronę Vitry. Zostało tylko kilku mężczyzn.

Na widok księcia podbiegli, jeden z nich poznał go.

— Ach, wasza książęca mość — wykrzyknął — czy pan przybywasz, aby wygnać tych łajdaków Hiszpanów i tych wszystkich rabusiów lotaryńskich?

— Tak — rzekł książę — jeśli zechcesz usłużyć mi jako przewodnik.

— Chętnie, a gdzie wasza wysokość chce, abym poprowadził?

— Na jakieś wyniosłe miejsce, skąd mógłbym obejrzeć Lens i jego okolice.

— Mam coś po myśli waszej książęcej mości.

— A mogę ci wierzyć, dobryś Francuz?

— Jestem starym żołnierzem spod Rocroi.

— Trzymaj — rzekł książę dając mu sakiewkę — to za Rocroi. A teraz chcesz konia czy wolisz na piechotę?

— Na piechotę, wasza wysokość, na piechotę, zawsze służyłem w piechocie. Zresztą myślę poprowadzić drogami, gdzie wasza książęca mość sam będziesz musiał zejść z konia.

— Maszeruj więc — rzekł książę — i nie traćmy czasu. Wieśniak ruszył biegnąc przed koniem księcia. Sto kroków za wsią skręcili dróżką zagubioną w głębi pięknej doliny. Przebyli tak pod osłoną drzew jakieś pół mili. Huk dział, rozlegał się tak blisko, że za każdym strzałem wydawało się, iż słyszą gwizd kuli. Wreszcie znaleźli ścieżkę, która skręcała od drogi, idąc stromo bokiem góry. Wieśniak skierował się nią prosząc księcia, aby szedł za nim. Zeskoczył więc z konia, każąc Raulowi i jednemu z adiutantów uczynić to samo, a reszcie czekać rozkazów w pilnej gotowości i czujności, po czym jął wspinać się ścieżką.

Po dziesięciu minutach dotarli do ruin starego zamku. Wieńczyły one wierzchołek pagórka, którego szczyt górował nad całą okolicą. Zaledwie o ćwierć mili widać było broniące się resztką sił Lens, a przed Lens całą nieprzyjacielską armię.

Jednym rzutem oka książę objął obszar, który się odsłonił przed nim od Lens aż do Vimy. W jednej chwili powstał w jego umyśle cały plan bitwy, która

nazajutrz po raz drugi miała ocalić Francję od inwazji. Chwycił ołówek, wydarł kartkę z notatnika i napisał:

*Drogi Marszałku!*

*Za godzinę Lens będzie w rękach nieprzyjaciela. Proszę dołączyć do mnie i przyprowadzić całą armię. Będę w Vendin, aby przygotować dla niej pozycję. Jutro odbieramy Lens i bijemy nieprzyjaciela.*

Po czym obrócił się do Raula.

— Ruszaj pan co sił i wręcz ten list księciu de Grammont.

Raul skłonił się, wziął papier, zbiegł szybko z góry, wskoczył na konia i pognął galopem.

W kwadrans później był już u marszałka.

Tymczasem nadeszła część oddziałów. Reszty oczekiwano z minuty na minutę. Marszałek de Grammont stanął na czele całej stojącej w jego dyspozycji piechoty i kawalerii, po czym skierował się na drogę do Vendin, pozostawiwszy diuka de Chatillon, aby zaczekał i przyprowadził resztę.

Cała artyleria była gotowa wyruszyć w tym samym czasie, więc też udała się w drogę.

O siódmej wieczorem marszałek dotarł na wyznaczone miejsce. Oczekiwał go tam książę. Zgodnie z jego przewidywaniami Lens wpadło w ręce nieprzyjaciela prawie zaraz po odjeździe Raula. Zresztą obwieściło o tym zaprzestanie kanonady.

Oczekiwano nocy. W miarę jak następowały ciemności, przybywały kolejno ściągnięte przez księcia wojska. Zostały wydane rozkazy, aby nigdzie nie bito w kotły ani nie trąbiono.

O dziewiątej panowała już noc, jednakże ostatni zmierzch rozświetlał jeszcze równinę. W milczeniu ruszono w drogę, książę prowadził kolumnę.

Dotarłszy poza d'Aunay, wojska ujrzały Lens. Dwa, trzy domy stały w płomieniach, a do uszu żołnierzy dobiegał głuchy zgiełk oznaczający agonie miasta wziętego szturmem.

Księżę wskazał każdemu jego stanowisko: marszałek de Grammont miał dowodzić lewym skrzydłem opierając się o Mericourt, diuk de Chatillon prowadził centrum, wreszcie księżę, dowodzący prawym skrzydłem, pozostawał wysunięty przed d'Aunay.

Szyk miał nazajutrz być taki sam jak pozycje zajęte w wilię bitwy. Każdy po przebudzeniu będzie się znajdował już w miejscu swego działania.

Ruchy wojsk zostały przeprowadzone w najgłębszym milczeniu i z najwyższą precyzją. O dziesiątej każdy zajmował już swą pozycję, o pół do jedenastej księżę objechał posterunki i wydał rozkazy na dzień jutrzejszy.

Dowódcom nakazano przede wszystkim trzy rzeczy, których mieli dopilnować, by żołnierze przestrzegali je z całą skrupulatnością. Po pierwsze: poszczególne korpusy miały baczyć na porządek w marszu, tak by kawaleria i piechota znajdowały się zawsze na jednej linii i by każdy przestrzegał odstępów.

Po wtóre: do szarży ruszać stępa.

Po trzecie: pozwolić wrogowi, by strzelał pierwszy.

Księżę przydzielił hrabiego de Guiche ojcu, a Raula zatrzymał przy sobie; młodzieńcy prosili jednak, by pozwolono im noc spędzić razem, na co otrzymali zezwolenie.

Postawiono dla nich namiot obok marszałkowskiego. Chociaż dzień był bardzo męczący, żaden z nich nie odczuwał potrzeby snu. Zresztą przeddzień bitwy jest czymś poważnym i podniosłym nawet dla starych żołnierzy, a tym bardziej dla dwu młodzieńców, którzy mieli ujrzeć to straszliwe widowisko po raz pierwszy.

W przeddzień bitwy myśli się o tysiącu rzeczy, o których się dotąd nie pamiętało, a które teraz powracają. W przeddzień bitwy obojętni stają się przyjaciółmi, przyjaciele braćmi.

Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że jeśli w głębi serca istnieje tkliwsze uczucie, osiąga ono w sposób zupełnie naturalny najwyższy możliwy do osiągnięcia stopień uniesienia.

Należy mniemać, że obaj młodzieńcy żywili jakieś uczucia, gdyż po chwili każdy zasiadł w przeciwległym kącie namiotu i zaczął pisać.

Listy były długie. Cztery stronice pokrywały się jedna po drugiej drobnym i ścisłym pismem. Od czasu do czasu młodzi ludzie spoglądali na siebie uśmiechając się. Rozumieli się nic nie mówiąc. Te dwie subtelne i odpowiadające sobie organizacje psychiczne stworzone były, żeby rozumieć się bez słów.

Skończywszy listy każdy włożył swój w dwie koperty, aby nikt nie mógł przeczytać nazwiska osoby, do której list był adresowany, póki nie rozedrze pierwszej koperty. Następnie podeszli do siebie i z uśmiechem wymienili swe listy.

— Jeśli przydarzy mi się nieszczęście — rzekł de Bragelonne.

— Jeśli mnie zabiją — rzekł de Guiche.

— Bądź spokojny — wyrzekli jednocześnie.

Po czym ucałowali się jak dwaj bracia, owinęli każdy w swój płaszcz i usnęli snem młodym i pełnym wdzięku, jak śpią ptaki, kwiaty i dzieci.



## 38. Obiad jak za dawnych czasów

Drugie spotkanie dawniejszych muszkietierów nie było tak oficjalne i groźne jak pierwsze. Atos, który jak zawsze górował umysłem, osądził, że stół byłby ośrodkiem zebrania oddziałującym najszybciej i najwszechstronniej. Kiedy więc przyjaciele jego w obawie o swą godność i trzeźwość nie śmieli wspomnieć o jednym z owych wybornych dawnych obiadów, spożywanych bądź “Pod Szyszką”, bądź “Pod Heretykiem”, Atos pierwszy zaproponował zebrać się przy jakimś suto zastawionym stole i zdać się całkowicie na swe przyrodzone skłonności oraz styl bycia — tę naturalną swobodę, która stwarzała harmonię dającą im niegdyś miano nierozłącznych.

Propozycja ta przypadła każdemu z nich do gustu, nade wszystko zaś d’Artagnanowi, który gorąco pragnął odnaleźć smak i radość swych młodych lat; od dawna już bowiem jego subtelny i wesoły umysł musiał się zadowalać miernymi uciechami, podłym żarciem, jak sam zwykł mawiać. Portos w obliczu spodziewanego baronostwa był zachwycony okazją przestudiowania u Atosa i Aramisa tonu i manier właściwych ludziom dostojnego rodu. Aramis chciał się dowiedzieć od d’Artagnana i Portosa nowin z Palais-Royal i zapewnić sobie na wszelkie okazje oddanych przyjaciół, którzy wspierali niegdyś jego awantury tak zwrotnymi i niezwykłymi szpadami.

Co się tyczy Atosa, to był on jedynym, który niczego nie oczekiwał ani się spodziewał od innych, lecz kierował się wyłącznie uczuciem niewymuszonej wzniosłości i czystej przyjaźni.

Ustalono więc, że każdy poda swój dokładny adres i na życzenie jednego z przyjaciół zebranie odbędzie się u sławnego właściciela oberży “Pustelnia” przy ulicy de la Monnaie. Pierwsze spotkanie zostało ustalone na następną środę, punktualnie o ósmej wieczorem.

Tegoż więc dnia czterej przyjaciele przybyli punktualnie na umówioną godzinę, każdy pod innym pozorem. Portos miał wypróbować nowego konia, d'Artagnan wracał ze służby w Luwrze, Aramis miał odwiedzić w tej dzielnicy jedną ze swych penitentek, Atos zaś, który zamieszkiwał przy ulicy Guenegaud, znajdował się niemal na miejscu. Okazali więc zdziwienie spotykając się we drzwiach "Pustelni" — Atos przybyły przez Pont-Neuf, Portos ulicą du Roule, d'Artagnan od strony des Fosses-Saint-Germain-l'Auxerrois, wreszcie Aramis z ulicy de Bethisy.

Pierwsze słowa zamienione między czterema przyjaciółmi były trochę nienaturalne skutkiem afektacji, z jaką każdy z nich się zachowywał. Posiłek zaczął się więc w nastroju trochę sztywnym. Było widać, że d'Artagnan zmusza się do śmiechu, Atos do picia, Aramis do opowiadania, Portos do milczenia. Atos spostrzegł owo zakłopotanie i pragnąc temu szybko zaradzić, polecił przynieść cztery butelki szampana.

Na to polecenie, wydane przez Atosa ze zwykłym dlań spokojem, rozjaśniła się twarz Gaskończyka i wypogodziło czoło Portosa.

Aramis był zdumiony. Wiedział bowiem, że Atos nie tylko już nie pije, ale w dodatku odczuwa do wina pewną niechęć.

Zdziwienie jego wzrosło w dwójnasób, kiedy ujrzał, jak Atos napełnia i wychyla szklanicę wina z dawnym entuzjazmem. D'Artagnan napełnił i opróżnił swoją. Portos i Aramis tręcili się swoimi. W jednej chwili cztery butelki zostały opróżnione. Można by rzec, iż biesiadnikom spieszo było rozstać się z tym, co ostatnio zaprzętało ich myśli.

Wyśmienity ten specjał z miejsca rozproszył wszystkie, nawet najmniejsze chmurki, jakie mogły kryć się w głębi ich serc. Czterej przyjaciele zaczęli rozmawiać głośnie, jeden przez drugiego. Jęli też przybierać przy stole swe ulubione pozy. Wkrótce, rzecz niebywała, Aramis odpiął dwie pętle u swego kaftana, co widząc Portos odpiął u swego wszystkie.

Bitwy, długie marsze, otrzymane i zadane ciosy stanowiły pierwsze

urozmaicenie rozmowy. Następnie zaczęli mówić o kryjomo toczonych walkach przeciw temu, którego zwano teraz wielkim kardynałem.

— Dalibóg — rzekł śmiejąc się Aramis — dość już chyba tych pochwał dla zmarłych, poobmawiajmy trochę żywych. Chciałbym bardzo poplotkować nieco o Mazarinim. Czy wolno?

— Zawsze — odparł d'Artagnan wybuchając śmiechem — zawsze. Opowiedz swoje, a jeśli dobre, będę cię oklaskiwał.

— Pewien znakomity książę — zaczął Aramis — u którego Mazarini zabiegał o sojusz, został poproszony o przysłanie listy warunków, na zasadzie których zechciałby uczynić kardynałowi zaszczyt obcowania z nim. Książę, który czuł pewną odrazę do pertraktowania z podobnym chamem, sporządził wbrew sobie ową listę i przesłał mu ją. Zawierała trzy warunki, które Mazariniemu się nie spodobały. Zaproponował więc księciu zrzeczenie się ich za cenę dziesięciu tysięcy talarów.

— Ho, ho, ho! — zakrzyknęli trzej przyjaciele — cena niezbyt wygórowana, nie potrzebował się obawiać, że go wezmą za słowo. A cóż na to książę?

— Książę z miejsca posłał Mazariniemu pięćdziesiąt tysięcy liwrów z prośbą, aby doń nigdy więcej nie pisywał, i zaofiarował mu jeszcze dwadzieścia tysięcy liwrów, jeśli zobowiąże się nigdy do niego nie odzywać.

— I co na to Mazarini?

— Rozzłościł się? — spytał Atos.

— Kazał gońca oćwiczyć? — dopytywał się Portos.

— Zaakceptował sumę? — zapytał d'Artagnan.

— Zgadłeś, d'Artagnanie — rzekł Aramis.

I wszyscy wybuchnęli tak hałaśliwym śmiechem, że gospodarz wszedł zapytując, czy panom czego nie trzeba. Był przekonany, że się biją. Wesołość wreszcie przycichła.

— A czy można pożartować z księcia de Beaufort? — zagadnął

d'Artagnan. — Mam na to wielką chętkę.

— Mów — rzekł Aramis, który znał na wylot ten gaskoński umysł, tak subtelny i śmiały, nie cofający się nigdy i nigdzie przed niczym.

— A ty, Atosie? — zagadnął d'Artagnan.

— Daję słowo szlachcica, będziemy się śmiać, jeśli okażesz się dowcipny.

— A więc zaczynam — rzekł d'Artagnan. — Książę de Beaufort, rozmawiając pewnego dnia z jednym z przyjaciół księcia pana, opowiedział, że na wieść o pierwszych zatargach Mazariniego z parlamentem posprzeczał się z panem de Chavigny, a widząc jego oddanie nowemu kardynałowi, jego, który tak był przywiązany do starego kardynała, wyłoił go porządnie.

Ów przyjaciel, który dobrze znał zamiłowanie księcia de Beaufort do bicia, nie zdziwił się wcale i poszedł opowiedzieć to wszystko na gorąco księciu panu. Wieść rozeszła się błyskawicznie i oto każdy odwraca się plecami do pana de Chavigny. Ów szuka wytłumaczenia tego powszechnego chłodu. Ludzie wahają się, czy powiedzieć mu o tym. Wreszcie ktoś się odważył mu rzec, że wszyscy się dziwią, iż pozwolił się wyłoić księciu de Beaufort, chociaż jest to książę.

— A kto powiedział, że książę mnie wyłoił? — zagadnął de Chavigny.

— Sam książę — odpowiedział przyjaciel.

Docierają więc do źródła i odnajdują osobę, do której książę to mówił. Ta, zaprzysięgłszy na honor, że powie prawdę, powtarza i potwierdza wszystko.

De Chavigny zrozpaczony oszczerstwem, z którego nic nie rozumie, oświadcza przyjaciołom, że raczej umrze, aniżeli zniesie podobną zniewagę. W rezultacie posyła dwóch sekundantów do księcia z misją, by zapytali go, czy to prawda, iż powiedział o wyłojeniu pana de Chavigny.

— Powiedziałem i powtarzam to — odparł książę — tak bowiem rzeczywiście było.

— Wasza książęca mość — rzekł wtedy jeden z zastępców pana de Chavigny — proszę mi pozwolić oświadczyć waszej wysokości, że razy zadane szlachcicowi zniesławiają zarówno tego, który je zadaje, jak i tego, który je

otrzymuje. Król Ludwik XIII nie chciał trzymać szlachty na służbie, aby mieć prawo bicia swych pokojowych.

— No dobrze — zagadnął zdumiony książę — ale kto tu otrzymał razy i kto mówi o biciu?

— Właśnie wasza książęca mość utrzymuje, że bił...

— Kogo?

— Pana de Chavigny.

— Ja?

— Czy wasza wysokość nie wyłoił pana de Chavigny, o czym sam przynajmniej raczył mówić.

— Tak jest.

— Ale on temu zaprzecza.

— Wyłoiłem go tak, że na przykład przytoczę tu moje własne słowa — rzekł książę de Beaufort, pełen dobrze wam znanego majestatu. — „Mój drogi de Chavigny, godnyś nagany za wspomaganie podobnego hultaja jak ten Mazarini”.

— Ach, rozumiem, wasza książęca mość chciał powiedzieć “wyłajałem” — krzyknął drugi świadek.

— Wyłajał czy wyłoił, co to ma do rzeczy? — rzekł książę — alboż nie wychodzi na jedno? Po prawdzie, ci wasi szachraje od słów to straszni pedanci.

Śmiano się do rozpuku z tego filologicznego błędu księcia de Beaufort, u którego pomyłki tego rodzaju zaczynały stawać się przysłowiowe. Potem umówiono się, że raz na zawsze usunięte będzie z tych zebrań przyjacielskich wszelkie stronnicze myślenie, że d’Artagnan i Portos mogą wyśmiewać książąt pod warunkiem, iż Atos i Aramis będą mogli “łoić” Mazariniego.

— Dalibóg — rzekł d’Artagnan do swych dwóch przyjaciół — macie rację życząc źle Mazariniemu, gdyż daję głowę, on ze swej strony wam też dobrze nie życzy.

— Doprawdy? — rzucił Atos. — Gdybym wiedział, że ten hultaj zna mnie

z imienia, przechrzcilibym się w obawie, by nie sądzono, że i ja go znam.

— Nie zna cię z imienia, lecz z czynów; wie, że do ucieczki księcia de Beaufort przyczyniło się szczególnie dwóch szlachciców i ręczę wam, kazał ich energicznie szukać.

— Komu?

— Mnie.

— Jak to tobie?

— Tak. Jeszcze dziś rano posyłał po mnie, aby zapytać, czy mam już jakieś wiadomości.

— O tych dwóch szlachcicach?

— Tak.

— I co mu odpowiedziałeś?

— Że jeszcze w tej materii nic nie mam, ale że będę jadł obiad z dwoma osobami, które mogą mi coś powiedzieć.

— I tak mu rzekłeś — zawołał Portos, śmiejąc się donośnie całą gębą. — Brawo! Nie przeraża cię to, Atosie?

— Nie — odparł Atos — nie poszukiwanie wszczęte przez Mazariniego mnie przeraża.

— A co cię przeraża, powiedz nam? — podchwycił Aramis.

— Po prawdzie nic, przynajmniej teraz.

— A w przeszłości? — zagadnął Portos.

— Ach, w przeszłości, to inna rzecz — westchnął Atos — w przeszłości i w przyszłości...

— Czyżbyś się obawiał o twego młodego Raula? — spytał Aramis.

— No! — wtrącił d'Artagnan — nie ginie się w pierwszym starciu.

— Ani w drugim — dorzucił Aramis.

— Ani w trzecim — uzupełnił Portos. — Zresztą można nawet zginąć, a wyjść cało, najlepszy dowód, że tu jesteśmy.

— O nie! — rzekł Atos. — I nie Raul mnie niepokoi. Mam nadzieję, że

zachowa się jak szlachcic, a jeśli zginie, to jak przystało na dzielnego człowieka; ale słuchajcie, jeśli przydarzyłoby mu się nieszczęście, to...

Atos przeciągnął dłonią po pobladłym czole.

— To? — indagował Aramis.

— To uważałbym je za pokutę.

— O, o — wtrącił d'Artagnan — wiem już, co chcesz powiedzieć.

— Ja również — dodał Aramis. — Ale nie należy o tym myśleć, Atosie.

Co przeszło, to przeszło.

— Nie pojmuję — rzekł Portos.

— Sprawa Armentieres — szepnął d'Artagnan.

— Sprawa Armentieres? — zapytał tamten.

— Milady...

— Ach, tak, zupełnie o niej zapomniałem.

Atos rzucił nań swe głębokie spojrzenie.

— Zapomniałeś o niej, ty, Portosie?

— Słowo daję, że zapomniałem — odparł Portos — upłynęło już tyle czasu.

— I nie obciąża to wcale twego sumienia?

— Dalibóg, że nie.

— A twego, Aramisie?

— Czasami myślę o tym jako o jednym ze stanów sumienia, który daje szczególny powód do dyskusji.

— A ty, d'Artagnanie?

— Co do mnie, wyznaję, że kiedy myśl moja zatrzymuje się na owych straszliwych czasach, to pamiętam tylko lodowate ciało tej biednej pani Bonacieux. Tak, tak — zaszeptał — wielokroć żałowałem ofiary, ale nigdy nie miałem wyrzutów co do jej zabójczyni.

Atos potrząsnął głową z wyrazem powątpiewania.

— Zastanów się — rzekł Aramis — jeśli bowiem przyjmujesz

sprawiedliwość boską i jej udział w sprawach tego świata, to kobieta owa została ukarana z woli boskiej. Byliśmy tylko narzędziem, i to wszystko.

— A wolna wola, Aramisie?

— A co robi sędzia? Posiada wolną wolę i skazuje bez żadnej obawy. Co robi kat? Jest panem swego ramienia, a jednak uderza nie żywiąc w sumieniu wyrzutów.

— Kat... — szepnął Atos.

I było widać, że absorbuje go jakieś wspomnienie.

— Wiem, to straszne — odezwał się d'Artagnan — ale kiedy się pomyśli, że zabijaliśmy Anglików, mieszkańców La Rochelle, Hiszpanów, nawet Francuzów, których jedyną winą było, że celowali w nas i chybili, którzy pobłądzili tylko krzyżując z nami broń i nie dość szybko sparowali cios, to na honor, uważam się za rozgrzeszonego z zabicia tej kobiety.

— Teraz, kiedyś mi to wszystko przypominał — rzekł Portos — widzę jeszcze, Atosie, tę scenę, jak bym tam był: Milady znajdowała się, gdzie ty teraz (Atos przybladł), ja zaś tam, gdzie d'Artagnan. U boku wisiała mi szpada, która cięła jak damascenka... Przypominasz ją sobie, Aramisie, sam nazywałeś ją zawsze imieniem Balizardy? Otóż przysięgam wam wszystkim, że gdyby nie było tam kata z Bethune... Czy z Bethune?... Tak, dalibóg, z Bethune... ściałbym głowę zbrodniarce bez pudła, a nawet choćbym miał spudłować. Mimo że była to kobieta.

— A poza tym — rzekł Aramis tym swoim tonem beztroskiej filozofii, który przybrał od czasu, gdy został duchownym, a w którym czuło się więcej ateizmu aniżeli ufności w Boga — po co o tym wszystkim myśleć? Co się stało, to się stało. W ostatniej godzinie wyświadamy się z tego, a Bóg będzie wiedział lepiej od nas, czy była to zbrodnia, błąd, bądź czyn zasługujący na nagrodę. Odczuwać skruchę, powiecie? Daję słowo, że nie! Na honor i krzyż, żałuję tylko dlatego, że była to kobieta.

— Co najbardziej pocieszające w tym wszystkim — odezwał się



d'Artagnan — że nie pozostał żaden ślad.

— Miała syna — rzekł Atos.

— Wiem o tym dobrze — odparł d'Artagnan — i ty mi o tym mówiłeś, ale ktoś wie, co się z nim stało? Martwy wąż, martwy płód? Czy sądzicie, że wuj jego, de Winter, wychowywałby tego młodego gada? Wykląłby syna, tak jak wyklął matkę.

— Wtedy biada de Winterowi — rzekł Atos — dziecko bowiem nic nie zawiniło.

— Dziecko nie żyje albo niech mnie diabli... — stwierdził Portos. — Taka mgła panuje w tym parszywym kraju, jak powiada d'Artagnan. przynajmniej...

W momencie kiedy owa konkluzja Portosa miała na powrót rozpogodzić wszystkie mniej lub więcej zasepione czoła, na schodach rozległy się kroki i ktoś zapukał.

— Wejść — rzekł Atos.

— Proszę panów — rzekł gospodarz — jakiś człowiek chce koniecznie mówić z jednym z waszych wielmożności.

— Z którym? — zapytali czterej przyjaciele. — Z panem hrabią de La Fere.

— To ja — rzekł Atos. — A jak się nazywa?

— Milczek.

— Co — rzekł blednąc Atos — już z powrotem? Czyżby się coś przytrafiło wicehrabiemu de Bragelonne?

— Niech wejdzie — rzucił d'Artagnan. — Niech wejdzie!

Ale Milczek już wszedł był po schodach i czekał na progu. Wpadł do izby dając gospodarzowi znak, żeby się stąd zabierał.

Gospodarz zamknął za sobą drzwi. Czterej przyjaciele trwali w oczekiwaniu. Podniecenie Milczka, jego bladość, spocona twarz, zakurzone szaty, wszystko to wskazywało, że był zwiastunem jakiejś ważnej i strasznej wiadomości.

— Panowie — rzekł — ta kobieta miała dziecko, dziecko wyrosło na mężczyznę, tygryś miała małe, tygrys skoczył, idzie na was, strzeżcie się.

Atos spojrzał na przyjaciół z melancholijnym uśmiechem. Portos szukał u boku szpady, która wisiała właśnie na ścianie, Aramis chwycił za sztylet, d'Artagnan powstał.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Milczek?! — krzyknął.

— Że syn Milady opuścił Anglię, że znajduje się we Francji, że zdąża do Paryża, jeśli go tu już nie ma.

— Do diabła — odparł Portos — a jesteś tego pewien?

— Pewien.

Długa chwila milczenia była odpowiedzią na to oświadczenie. Milczek był do tego stopnia zziębnięty i zmęczony, że opadł na krzesło.

Atos nalał szampana do szklanki i podał mu.

— Ech! — rzucił d'Artagnan — poza tym, gdyby nawet żył i przybywał do Paryża, widzieliśmy już takich. Niech sobie przybywa!

— Tak — rzekł Portos, pieszcząc wzrokiem swą szpadę zawieszoną na ścianie — oczekujemy nań i niech przybywa.

— Zresztą toż to tylko dzieciuch — dodał Aramis.

Milczek podniósł się.

— Dzieciuch! — rzekł. — A czy, panowie, wiecie, co ten dzieciuch zrobił? Przebrany za mnicha dowiedział się o całej historii spowiadając kata z Bethune. Po czym, gdy już wyspowiadał i wyciągnął zeń wszystko, miast rozgrzeszenia wpakował mu w serce ten oto sztylet. Proszę, jeszcze czerwony i lepki, nie upłynęło bowiem więcej niż trzydzieści godzin, jak został wyciągnięty z rany.

I Milczek cisnął na stół sztylet, który mnich pozostawił był przez nieuwagę w ranie kata.

D'Artagnan, Portos i Aramis powstali i rzucili się odruchowo do swoich szpad.

Jedynie Atos pozostał na krześle spokojny i zadumany.

— I mówisz, Milczek, że jest on przebrany za mnicha?

— Tak, za augustianina.

— Jak wygląda?

— Mego wzrostu, jak mi powiedział oberżysta, szczupły, oczy jasnoniebieskie, włosy blond.

— A... czy nie widział Raula? — zagadnął Atos.

— Odwrotnie, spotkali się ze sobą i właśnie pan wicehrabia sam zaprowadził go do łoża umierającego.

Atos powstał bez słowa i z kolei jął zdejmować szpadę.

— Ależ panowie — rzekł d'Artagnan próbując się śmiać — czy wiecie, że wyglądamy jak baby. Jak to, my, czterej mężowie, którzy bez zmrużenia oka stawialiśmy czoło armiom, my drżymy przed dzieciuchem!

— Tak — odparł Atos — lecz ten dzieciuch przybywa w imię boże.

I wypadł co tchu z gospody.

## 39. List Karola I

A teraz czytelnik musi przebyć wraz z nami Sekwanę i towarzyszyć nam aż do bramy klasztoru Karmelitanów przy ulicy Świętego Jakuba.

Jest godzina jedenasta rano i pobożne siostry wysłuchały właśnie mszy na intencję powodzenia wojsk Karola I. Po wyjściu z kościoła pewna kobieta i dziewczyna, obie w czerni, jedna wyglądająca na wdowę, druga na sierotę, powróciły do swojej celi.

Kobieta uklękła na drewnianym, malowanym klęczniku, a kilka kroków od niej wsparta o krzesło stała dziewczyna rzewnie płacząc.

Kobieta musiała być niegdyś piękna, lecz teraz widać łyzy ją postarzyły. Dziewczyna była czarująca, a płacz przydawał jej jeszcze piękności. Kobieta wyglądała na lat czterdzieści, dziewczyna na czternaście.

— Panie mój — mówiła modląc się na klęczkach — zachowaj mi męża, uchronij syna, a zabierz mi życie, tak smutne i nieszczęsne.

— Panie mój — mówiła dziewczyna — zachowaj mi matkę.

— Twoja matka, Henryko, nie może ci nic pomóc na tym świecie — rzekła strapiona kobieta, która się modliła. — Twoja matka nie ma już ani tronu, ani małżonka, ani syna, ani pieniędzy, ani przyjaciół. Twoją matkę, moje biedne dziecko, opuścił cały świat.

I padając w ramiona córki, która rzuciła się, by ją podtrzymać, kobieta zanosła się szlochem.

— Mamo, bądź mężna — rzekła dziewczyna.

— O, w tym roku królowie są nieszczęśliwi — odparła matka składając głowę na ramieniu dziecka. — I nikt w tym kraju nie myśli o nas, każdy zajęty własnymi sprawami. Dopóki twój brat był z nami, był mi pociechą. Ale twój brat wyjechał i teraz nie jest w stanie dać o sobie znać ani mnie, ani swemu ojcu.

Dałam w zastaw swoje ostatnie klejnoty, sprzedałam wszystkie rzeczy swoje i twoje, aby opłacić służbę, która odmówiłaby towarzyszenia mi, gdybym nie zaspokoila tego kaprysu. Teraz na skutek tego jesteśmy zmuszone żyć na koszt córek bożych. Jesteśmy biedne, tylko Bóg nas wspomaga.

— Ale dlaczego nie zwrócisz się, pani, do królowej, swojej siostry? — zapytała dziewczyna.

— Niestety — odparła strapiona kobieta. — Królowa, moja siostra, nie jest już królową. Kto inny rządzi w jej imieniu. Pewnego dnia zrozumiesz to.

— A więc do króla, twojego siostrzeńca. Czyż może chcesz, pani, abym z nim pomówiła. Wiesz, mam, jak on mnie kocha.

— Niestety! Król, mój siostrzeniec, nie jest jeszcze królem i jemu samemu, jak wiesz o tym dobrze, Laporte mówił nam to ze dwadzieścia razy, jemu samemu wszystkiego niedostaje.

— A więc zwróćmy się do Boga — rzekła dziewczyna i uklękła obok matki.

Te dwie kobiety, modlące się tak na jednym klęczniku, były to córka i wnuczka Henryka IV, żona i córka Karola I.

Kończyły już swoją modlitwę, kiedy mniszka lekko zastukała do drzwi celi.

— Proszę wejść, siostrze — rzekła starsza z kobiet ocierając łzy i podnosząc się.

Mniszka uchyliła z szacunkiem drzwi.

— Wasza królewska mość raczy mi wybaczyć, jeśli przeszkadzam jej w rozmyślaniach — rzekła — ale w rozmównicy czeka pewien pan z Anglii, który prosi o zaszczyt wręczenia waszej królewskiej mości listu.

— Och, list! List od króla może! Bez wątplenia wiadomość od twego ojca! Słyszysz, Henryko!

— Tak, pani, słyszę i jestem pełna nadziei.

— A co to za pan, proszę powiedzieć, siostrze.

— Szlachcic, lat czterdzieści pięć, pięćdziesiąt.

— Jego nazwisko? Czy podał swoje nazwisko?

— Milord de Winter.

— Milord de Winter! — wykrzyknęła królowa. — Przyjaciel mego małżonka! Niech wejdzie! Niech wejdzie!

I pobiegła naprzeciw wysłannikowi, którego skwapliwie schwyciła za rękę.

Lord de Winter, wszedłszy do celi, przyklęknął i podał królowej list w złotym futerale.

— Ach, milordzie — rzekła królowa — przynosisz nam pan ze sobą trzy rzeczy, których nie oglądałyśmy od tak dawna: złoto, oddanego przyjaciela i list króla, naszego małżonka i pana.

De Winter skłonił się powtórnie, ale był tak wzruszony, że nic nie mógł odrzec.

— Milordzie — rzekła królowa wskazując na list — rozumie pan, jak spieszno mi wiedzieć, co zawiera to pismo.

— Już odchodzę, pani — odparł de Winter.

— Ależ proszę zostać — zaprzeczyła królowa — odczytamy je w pańskiej przytomności. Czyż pan nie zdaje sobie sprawy, że mam tysiące pytań dla pana?

De Winter odszedł kilka kroków i tak pozostał w milczeniu. Matka i córka ze swej strony cofnęły się do niszy okiennej, gdzie wsparte o siebie czytały chciwie następujący list:

*Pani i Droga Małżonko!*

*Wreszcie dobiliśmy kresu. Wszystkie środki, jakie Bóg pozostawił mi do dyspozycji, zostały zgromadzone tu na polach Naseby, skąd w pośpiechu do Was piszę. Na tych polach oczekuję armii zbuntowanych poddanych i będę walczył przeciw nim po raz ostatni. Zostawszy zwycięzcą przeciągnę walkę w nieskończoność. Jeśli mnie zwyciężą, będę zupełnie zgubiony. W tym ostatnim wypadku (niestety, kiedy się*

*jest w takiej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, należy wszystko przewidzieć) chcę spróbować dotrzeć do brzegów Francji. Ale czy będzie to możliwe, czy zechcą przyjąć tam nieszczęśliwego króla, który będzie fatalnym przykładem w kraju i tak już wzburzonym przez domową niezgodę? Pani mądrość i Pani afekt będą mi za przewodnika. Oddawca niniejszego listu opowie Pani to, czego nie mogę powierzyć grze przypadku. Wyjaśni, jakich kroków oczekuję od Pani. Upoważniam go także do przekazania błogosławieństwa dla mych dzieci i wszystkich uczuć mego serca dla Pani, Królowej i Drogiej Małżonki.*

List zamiast “Karol, król” był podpisany “Karol, jeszcze król”. Ta smutna lektura, wrażenie której de Winter śledził na obliczu królowej, zapaliła jednak w jej oczach błysk nadziei.

— Niechaj nie będzie już więc królem — zakrzyknęła — niechaj zostanie pokonany, wypędzony, wygnany, ale niech żyje! Niestety, tron jest w dzisiejszych czasach zbyt niebezpiecznym posterunkiem, abym pragnęła, by na nim pozostał. Ale, milordzie — ciągnęła dalej — proszę mi powiedzieć, nic nie ukrywając przede mną, jak jest z jego królewską mością. Czy jego pozycja jest naprawdę tak rozpaczliwa, jak sądzi?

— Niestety, pani, o wiele bardziej rozpaczliwa, niż on sam mniema. Jego królewska mość ma tak dobre serce, że nie rozumie, co to nienawiść, tak lojalny, że nie podejrzewa zdrady. Anglia ogarnięta jest szaleństwem, który, żywiąc co do tego obawy, ugasi tylko krew.

— A cóż lord Montross? — odrzekła królowa. — Słyszałam, jak mówiono o wielkich i błyskawicznych zwycięstwach, o bitwach wygranych pod Inverlashy, pod Auldone, pod Alfort i pod Kilsyth. Słyszałam, jak mówiono, że maszeruje ku granicy, aby się połączyć ze swym królem.

— Tak, pani. Ale na granicy natknął się na Lesly'ego. Wyczerpał

zwycięstwo nadludzkimi przedsięwzięciami i zwycięstwo go opuściło.

Montross, pobity pod Philippaugh, zmuszony był odprawić resztki swej armii i uciekać przebrany za służącego. Obecnie znajduje się w Bergen w Norwegii.

— Niech Bóg go ma w swej opiece! — rzekła królowa. — Przynajmniej pociechą jest, kiedy się wie, że ci, co tylekroć ryzykowali dla nas życie, znajdują się w bezpiecznym miejscu. A teraz, milordzie, kiedy widzę sytuację króla tak, jak się ona przedstawia, to znaczy rozpaczliwą, proszę mi rzec, co ma pan do powiedzenia od mego królewskiego małżonka.

— A więc, pani, królewski małżonek pragnie, aby wasza królewska mość spróbowała wywiedzieć się, jaki jest stosunek króla Francji i królowej do niego.

— Niestety, wiadome to panu — odrzekła królowa — król to jeszcze dziecko, a królowa jest kobietą, i to bardzo słabą. Wszystkim tutaj jest pan de Mazarini.

— Czyż chciałby on odgrywać we Francji podobną rolę, jak Cromwell w Anglii?

— O nie! To giętki i przebiegły Włoch, który być może marzy o zbrodni, ale nigdy nie ośmieli się jej popełnić. I, odwrotnie do Cromwella, który cieszy się poparciem obu izb, Mazarini w walce z parlamentem opiera się jedynie na osobie królowej.

— Jeszcze jedna racja więcej, aby poparł króla, którego prześladowają parlamenty.

Królowa z goryczą potrząsnęła głową.

— Jeśli mogę, milordzie, sądzić coś o tym sama — odparła — kardynał nie uczyni nic albo być może wystąpi nawet przeciwko nam. Cięży mu już obecność moja i mej córki we Francji, a tym bardziej ciężyłby mu król, milordzie. — Uśmiechając się melancholijnie Henrieta dodała — to smutnie, wprost wstyd powiedzieć, ale spędziłyśmy zimę w Luwrze bez pieniędzy, bez bielizny, niemal pozbawione chleba, często nie opuszczając łóżka z powodu opału.



— To straszne! — wykrzyknął de Winter. — Córka Henryka IV i żona Karola I! Że też wasza królewska mość nie zwróciła się do pierwszego lepszego z nas!

— Oto gościnność, jaką obdarza królowę minister, do którego król pragnie się zwrócić.

— Ale słyszałem, że mówią o małżeństwie jego wysokości księcia Walii i księżniczki Orleańskiej? — zagadnął de Winter.

— Tak, przez chwilę żywiłam co do tego pewną nadzieję. Dzieci się kochały. Ale królowa, która z początku popierała tę miłość, zmieniła zdanie. A i książe Orleański, który sprzyjał początkowo ich pierwszemu zbliżeniu, zabronił córce myśleć o podobnym związku. Ach, milordzie — ciągnęła królowa nie usiłując nawet otrzeć łez — lepiej już walczyć, jak to uczynił jego królewska mość, i umrzeć, jak mu zapewne pisane, aniżeli żyć żebrząc jak ja.

— Odwagi, wasza królewska mość, odwagi — rzekł de Winter. — Proszę nie rozpaczać. Interesy francuskiej monarchii, obecnie tak bardzo zachwianej, polegają na zwalczaniu rebelii u najbliższego sąsiada. Mazarini jest mężem stanu i zrozumie tę konieczność.

— Ale czy pan jest pewny — odparła królowa tonem powątpiewania — że was już kto nie ubiegł?

— Kto? — spytał de Winter.

— Tacy jak Joice, tacy jak Pridge czy Cromwell.

— Co, krawiec? Woźnica? Piwowar? O pani! Spodziewam się, że kardynał nie sprzymierzy się z podobnymi ludźmi.

— A kimże innym jest on sam?

— Ale chociażby ze względu na honor króla, na cześć królowej...

— A więc miejmy nadzieję, że uczyni cośkolwiek ze względu na honor — odparła królowa Henrieta. — Przyjaciół bywa zawsze wymowny i pan, milordzie, uspokoiłeś mnie. Proszę mi podać rękę, idziemy do ministra.

— Wasza królewska mość — rzekł de Winter składając ukłon — doprawdy

jestem skonfundowany tym zaszczytem.

— A wreszcie, jeśli odmówi — rzekła królowa Henrieta zatrzymując się — a król przegra bitwę?

— Jego królewska mość schroni się wówczas w Holandii, gdzie jak słyszałem, znajduje się już książę Walii.

— A czy jego królewska mość w wypadku ucieczki mógłby liczyć na wiele takich sług jak pan, milordzie?

— Niestety, pani — odparł de Winter. — Ale przypadek taki został przewidziany i przybywam do Francji szukać sprzymierzeńców.

— Sprzymierzeńców? — Królowa potrząsnęła głową.

— Wasza wysokość — odparł de Winter — niech tylko odnajdę dawnych przyjaciół, których tu niegdyś miałem, a odpowiadam za wszystko.

— Idźmy więc, milordzie — rzekła królowa z owym dojmującym powątpiewaniem ludzi, którzy długo doświadczali nieszczęść — idźmy więc i niech Bóg pana wysłucha.

Królowa wsiadła do karety, a de Winter konno, w asyście dwóch służących, towarzyszył jej przy drzwiczkach.

## 40. List Cromwella

W chwili kiedy królowa Henrieta opuszczała klasztor Karmelitanek, udając się do Palais-Royal, przed bramą siedziby królewskiej zsiadł z konia jakiś jeździec oznajmiając straży, że ma coś ważnego do przekazania kardynałowi Mazariniemu.

Jakkolwiek kardynał często żywił obawy, to jednak jeszcze częściej potrzebował doniesień i informacji, co sprawiało, iż dostęp doń nie był trudny. Przy pierwszych drzwiach nie natrafiało się na istotne przeszkody, drugie przekraczało się dość łatwo, ale przy trzecich obok straży i odźwiernych warował wierny Bernouin, cerber, którego nie było w stanie wzruszyć żadne słowo, oczarować żaden kruszec, choćby nawet złoto.

Dopiero więc przy trzecich drzwiach starający się lud żądający przyjęcia musiał się poddać formalnemu przesłuchaniu.

Kawaler, pozostawiwszy konia uwiązanego do krat podwórca, wszedł paradnymi schodami i zwrócił się do straży w pierwszej sali.

— Do jego eminencji kardynała Mazariniego?

— Przechodzić — odpowiedzieli gwardziści, nie podnosząc nawet nosów jedni znad kart, inni znad kości. Byli zresztą zachwyceni mogąc dać do zrozumienia, iż nie do nich należy pełnienie funkcji lokajów.

Kawaler wszedł do drugiej sali. Tu trzymali straż muszkietierowie i odźwierni.

Powtórzył swe żądanie.

— Masz pan zezwolenie na posłuchanie? — zapytał odźwierny zachodząc petentowi z przodu.

— Posiadam odpowiednie pismo, ale nie od kardynała Mazariniego.

— Proszę wejść i zapytać pana Bernouin — odparł odźwierny.

I otworzył drzwi do trzeciego pokoju.

Czy to przez przypadek, czy też był to jego stały posterunek, dość że Bernouin stał za drzwiami i wszystko słyszał.

— To ja jestem tym, kogo pan szukasz — rzekł. — Od kogóż ten list, co go pan przynosisz dla jego eminencji?

— Od generała Olivera Cromwella — odparł nowo przybyły. — Proszę powiedzieć jego eminencji to nazwisko i dać odpowiedź, czy może mnie przyjąć, czy też nie.

Trwał w postawie dumnej i posepnej, tak charakterystycznej dla purytanów.

Bernouin, ogarnąwszy inkwizytorskim spojrzeniem postać młodego człowieka, cofnął się do gabinetu kardynała i przekazał słowa wysłannika.

— Człowiek z listem Olivera Cromwella? — zdziwił się Mazarini. — A co za jeden?

— Typowy Anglik, monsignore: włosy rude blond, raczej rude aniżeli blond, oczy szaroniebieskie, raczej szare aniżeli niebieskie. Co do reszty — człowiek pyszny i sztywny.

— Niech da ten list.

— Monsignore prosi o list — rzekł Bernouin przechodząc z gabinetu do przedpokoju.

— Monsignore nie zobaczy listu bez doręczyciela — odparł młody człowiek — ale żeby przekonać pana, że istotnie nim jestem, proszę, oto list.

Bernouin przyjrzał się pieczęci i stwierdziwszy, że pismo istotnie pochodzi od generała Olivera Cromwella, zamierzał powrócić do Mazariniego.

— Proszę dodać — rzucił za nim młody człowiek — że nie jestem zwykłym posłańcem, ale wysłannikiem nadzwyczajnym.

Bernouin powrócił do gabinetu, po czym wyszedłszy po kilku sekundach z powrotem, rzekł trzymając drzwi otwarte:

— Proszę wejść, panie.

Mazariniemu potrzebne było to kręcenie się lokaja tam i z powrotem, aby opanować wzruszenie, o jakie przyprawiła go zapowiedź tego listu. Jakkolwiek miał umysł przenikliwy, na próżno szukał powodu, który mógł doprowadzić Cromwella do nawiązania z nim korespondencji.

Na progu gabinetu pojawił się młody człowiek. W jednej ręce dzierzył kapelusz, w drugiej list.

Mazarini podniósł się.

— Ma pan pismo uwierzytelniające?

— Oto ono, monsignore — odparł młodzieniec.

Mazarini wziął list, odpieczętował go i czytał:

*Pan Mordaunt, jeden z mych sekretarzy, odda to pismo polecające do rąk Jego Eminencji Kardynała Mazariniego w Paryżu, poza tym jest on w posiadaniu drugiego listu, poufnego, do Jego Eminencji.*

*Oliver Cromwell*

— Doskonale, panie Mordaunt — rzekł Mazarini — proszę mi dać to drugie pismo i spocząć.

Młody człowiek wydobył z kieszeni drugi list, wręczył kardynałowi i usiadł.

Jednakże kardynał, zatopiony w swych rozważaniach, wziął list i nie odpieczętowując go obracał w dłoni. Celem zmylenia wysłannika, zgodnie ze swym zwyczajem, jął go rozpytywać. A wiedząc z doświadczenia, że mało kto, kiedy go pyta osobiście jednocześnie nań patrząc, zdoła przed nim ukryć cośkolwiek, rzekł:

— Jesteś pan za młody, panie Mordaunt, na tak trudną funkcję ambasadora, gdzie częstokroć przepadają nawet najstarsi dyplomaci.

— Mam dopiero dwadzieścia trzy lata, monsignore. Ale wasza eminencja

myli się mówiąc, że jestem młody. Jestem grubo starszy od waszej eminencji, choć nie posiadam jego mądrości.

— Jak to, panie? — zapytał Mazarini — nie rozumiem.

— Powiadam, monsignore, że lata cierpień liczą się podwójnie, a cierpię od dwudziestu lat.

— Ach, tak, rozumiem, fortuna nie dopisuje; jesteś pan ubogi, nieprawdaż?

Po czym dorzucił jakby do siebie:

— Ci angielscy rewolucjoniści to wszystko żebraki i chamy.

— Monsignore, powinienem był mieć pewnego dnia sześciomilionową fortunę, ale mi ją zabrano.

— Więc nie pochodzisz pan z ludu? — zdumiał się Mazarini.

— Gdybym nosił przysługujący mi tytuł, byłbym lordem. Gdybym nosił własne nazwisko, usłyszałby pan jedno z najznakomitszych nazwisk Anglii.

— Jakże więc pan się nazywasz? — zapytał Mazarini.

— Nazywam się Mordaunt — odparł młody człowiek lekko się skłaniając.

Mazarini pojął, że wysłannik Cromwella życzy sobie zachować incognito.

Zamilkł więc na chwilę, ale przez ten czas przyglądał mu się z uwagą, jeszcze większą niż poprzednio. Lecz młodzieniec był nieprzenikniony.

— Do diabła z tymi purytanami — szepnął Mazarini — są jak wykuci z marmuru.

A głośno:

— Masz pan może jeszcze jakichś krewnych?

— Tak, panie, pozostał z nich jeden.

— Więc dopomaga panu?

— Byłem u niego trzykrotnie, aby błagać o pomoc, i trzykrotnie kazał mnie wygnąć lokajom.

— Och, mój Boże! Drogi panie Mordaunt — rzekł Mazarini, żywiąc nadzieję, że młodzieniec wpadnie w pułapkę zwiedziony fałszywym współczuciem — och, mój Boże, jakże mnie zainteresowało pańskie

opowiadanie. Więc pan nie znasz swego pochodzenia?

— Znam dopiero od niedawna.

— A do chwili poznania?

— Uważałem się za porzucone dziecko.

— Więc pan nie widziałeś nigdy swojej matki?

— Ależ tak, monsignore, w dzieciństwie ze trzy razy przychodziła do mej żywicielki. Pamiętam jak dziś, gdy przyszła po raz ostatni.

— Masz pan dobrą pamięć — wtrącił Mazarini.

— O tak, monsignore — odparł młody człowiek z akcentem tak szczególnym, że kardynała przejął dreszcz.

— A kto pana wychowywał? — zapytał.

— Pewna francuska żywicielka. Kiedy miałem pięć lat i nikt już za mnie nie płacił, wyrzuciła mnie, wskazując tego z krewnych, o którym moja matka często jej wspominała.

— I co pan zrobiłeś?

— Ponieważ płakałem i zebrałem na traktach, wziął mnie do siebie pewien pastor z Kingstone i wychował w wierze kalwińskiej, obdarował całą posiadaną przez siebie wiedzą i pomógł mi w poszukiwaniach rodziny.

— A poszukiwania?

— Były nadaremne, wszystko wyjaśnił przypadek.

— I odkrył pan, co się stało z pańską matką?

— Dowiedziałem się, że zamordował ją ów krewny wspomagany przez czterech swoich przyjaciół. Ale już wtedy wiedziałem, że zostałem pozbawiony szlachestwa i wyzuty ze wszystkich mych dóbr przez króla Karola I.

— Teraz rozumiem, dlaczego służysz pan Cromwellowi. Nienawidzisz pan króla.

— Tak, monsignore, nienawidzę go — odparł młodzieniec.

Mazarini, zdumiony, dostrzegł diaboliczny wyraz, z jakim tamten wypowiedział te słowa. Przy tym twarz jego przybrała kolor żółci i posiniała,

jak to się dzieje zazwyczaj z twarzami zaczerwienionymi od napływu krwi.

— Historia pańska budzi przerażenie, panie Mordaunt, i do żywego mnie porusza, ale na szczęście jesteś na służbie wszechpotężnego pana. Winien on ci dopomóc w poszukiwaniach. My tu też posiadamy wiele różnych informacji.

— Monsignore, rasowemu psu wystarczy pokazać tylko początek śladu, aby pewnie dotarł do jego końca.

— Czy pan sobie życzysz, abym pomówił z krewnym, o którym mi opowiedziałeś? — spytał Mazarini uważając, że trzeba sobie u boku Cromwella urobić człowieka przyjaznego.

— Dzięki, monsignore, sam już z nim porozmawiam,

— Ale czy nie mówiłeś mu pan, że obchodzi się z tobą źle?

— Jak go teraz zobaczę, potraktuje mnie po raz pierwszy lepiej.

— Masz pan więc jakiś sposób, aby go zmiękczyć.

— Mam, panie, sposób, aby się mnie lękał.

Mazarini popatrzył na młodego człowieka, ale na błysk jego oczu opuścił głowę, czując się skrępowany dalszym prowadzeniem podobnej rozmowy, i otworzył list Cromwella.

Powoli oczy młodego kawalera stały się z powrotem matowe i szklane jak zwykle. Zapadł w głęboką zadumę. Przeczytawszy parę pierwszych linijek, Mazarini odważył się spojrzeć spod oka, czy Mordaunt nie podpatruje wyrazu jego twarzy, a stwierdziwszy obojętność zachowania się tamtego, odezwał się wzruszając nieznacznie ramionami:

— I załatwiał tu swoje sprawy przez ludzi, którzy załatwiają jednocześnie swoje! Zobaczymy, co tam w tym piśmie.

Podajemy je dosłownie:

*Do Jego Eminencji*

*Pana Kardynała Mazariniego*



*Pragnę, Monsignore, poznać Twoje ustosunkowanie się do bieżących spraw Anglii. Oba królestwa są zbyt bliskimi sąsiadami, by Francja nie interesowała się naszą sytuacją, podobnie jak my interesujemy się sytuacją Francji. Prawie wszyscy Anglicy są jednomyślni w zwalczaniu tyranii króla Karola I i jego zwolenników. Postawiony publicznym zaufaniem na czele tego ruchu, lepiej od kogokolwiek innego oceniłem jego naturę i skutki. Teraz prowadzę wojnę i przygotowuję się do wydania decydującej bitwy królowi Karolowi. Wygram ją, ponieważ nadzieja narodu i duch boży są ze mną. Kiedy bitwa ta będzie wygrana, król nie znajdzie już posiłków w Anglii, ani w Szkocji. I jeśli nie zostanie wzięty do niewoli lub zabity, będzie próbował przedostać się do Francji celem rekrutacji żołnierza oraz zaopatrzenia się ponownie w broń i pieniądze. Francja przyjęła już królową Henrietę i bez wątpienia mimo woli podsycała nie wygasłe jeszcze ognisko wojny w moim kraju. Ale królowa Henrieta jest córką Francji i należna jej jest gościnność ze strony Francji. Co się tyczy króla Karola, sprawa przedstawia się inaczej: Francja przyjmując go i wspierając wyraziłaby przyganę aktom ludu angielskiego. Anglii zaś, a nade wszystko działalności rządu, jaką ten zamierza podjąć, szkodziłaby, i to w sposób tak istotny, że równałoby się to wyraźnie wrogiemu działaniu...*

W tejże chwili poważnie zaniepokojony obrotem, jaki przybiera list, Mazarini przerwał znów czytanie i spojrzał spod oka na młodego człowieka.

Tamten jednak trwał wciąż w zadumie.

Mazarini czytał w dalszym ciągu:

*Jest więc sprawą pilną, abym wiedział, czym się mam kierować, jeśli chodzi o zamiary Francji: zarówno interesy tego królestwa, jak i*

*interesy Anglii, chociaż kierowane zupełnie odmiennie, są sobie bardziej bliskie, niżby się można tego spodziewać. Anglia potrzebuje spokoju wewnętrznego, aby wykorzystać fakt wypędzenia króla.*

*Francja zaś potrzebuje spokoju, aby wzmocnić tron swego młodocianego monarchy. Podobnie jak my potrzebujecie wewnętrznego pokoju, tak już niedalekiego dla nas dzięki energii naszego rządu.*

*Wasze spory z parlamentem, wasze głośnie właśnie z książętami, którzy dziś walczą po waszej stronie, a jutro przeciw wam, opór ludu kierowanego przez koadiutora, prezydenta Blancmesnila i radcę Broussela, wreszcie cały ten chaos przenikający do różnych dziedzin państwa winien sprawić, że nie będziesz, Monsignore, mógł ze spokojem rozpatrywać ewentualności wojny zewnętrznej, wówczas bowiem Anglia, ogarnięta entuzjazmem nowych idei, sprzymierzyłaby się z Hiszpanią, która gorąco pragnie tego przymierza. Sądziłem więc, Monsignore, znając pańską rozwagę i osobistą pozycję, jaką stwarzają Panu dziś wydarzenia, sądziłem, że będzie Pan wolał skupić swe siły w granicach królestwa Francji, pozostawiając nowy rząd Anglii własnym siłom. To neutralne stanowisko zasadza się wyłącznie na trzymaniu króla Karola z dala od terytorium Francji i niewspomaganiu tego zupełnie obcego francuskiej ziemi monarchy ani bronią, ani pieniędzmi, ani wojskami.*

*Pismo moje jest całkowicie poufne i dlatego przesyłam je przez zaufanego człowieka. Będzie ono poprzedzać, dzięki uczuciom, które Wasza Eminencja zapewne oceni, środki, jakie podejmę stosownie do wydarzeń. Oliver Cromwell sądzi, że postąpi słuszniej informując o swych racjach umysł tak inteligentny jak umysł kardynała Mazariniego, aniżeli monarchinię, bez wątpienia godną podziwu dla swej stałości, jednak zbyt powolną próżnym przesądom urodzenia i*

*boskości władzy.*

*Żegnaj, Monsignore; jeśli nie będę miał odpowiedzi do piętnastu dni, będę uważał swoje pismo za niebyle.*

*Oliver Cromwell*

— Panie Mordaunt — rzekł kardynał podnosząc głos, jakby chciał zbudzić zamyślonego — odpowiedź moja na to pismo będzie zadowalała generała Cromwella o tyle bardziej, o ile będę pewniejszy, że nikt nie będzie o niej wiedział. Proszę zatem udać się do Boulogne-sur-Mer i tam jej oczekiwać, jak również obiecać mi, iż wyruszy pan stąd już jutro rano.

— Przyrzekam, monsignore — odparł Mordaunt — lecz ile dni każe mi wasza eminencja oczekiwać na tę odpowiedź?

— Jeśli pan nie otrzymasz jej w ciągu dziesięciu dni, możesz odjechać do Anglii.

Mordaunt się skłonił.

— Ale to jeszcze nie wszystko, mój panie — ciągnął Mazarini. — Pańskie osobiste przygody bardzo mnie poruszyły, poza tym pismo pana Cromwella potwierdza w moich oczach ważność pańskiej osoby jako ambasadora. Więc powtarzam, proszę mi powiedzieć, co mogę dla pana uczynić?

Mordaunt zastanowił się chwilę i po widocznym wahaniu już otwierał usta chcąc coś mówić, kiedy pośpiesznie wszedł Bernouin, nachylił się do ucha kardynała i jął szeptać:

— Monsignore, w tej chwili wchodzi do Palais-Royal królowa Henrieta w towarzystwie angielskiego szlachcica.

Mazarini aż podskoczył na fotelu, co bynajmniej nie uszło uwagi młodego człowieka, i przerwał poufną rozmowę, do jakiej bez wątpienia zmierzał.

— Pan słyszał, nieprawdaż? — zwrócił się kardynał. — Wyznaczam panu Boulogne, gdyż jak sądzę, jest panu obojętne, w którym z miast francuskich pan się zatrzyma. Jeśli wolisz pan inne, proszę je podać, lecz zgodzi się pan łatwo,

że mając wszędzie do czynienia z sugestiami, których uniknąć mogę tylko dzięki dyskrecji, pragnę, by nie wiadano o pańskiej obecności w Paryżu.

— Odjadę, monsignore — rzekł Mordaunt, postępując kilka kroków ku drzwiom, przez które był wszedł.

— Nie, nie tędy, panie — żywo krzyknął kardynał. — Proszę przejść tą galerią, która wyprowadzi pana do przedsionka. Pragnę, ażeby nie widziano, jak pan wychodzisz, nasze spotkanie winno być sekretne.

Mordaunt skierował się za Bernouinem, który przeprowadził do sąsiedniej sali, gdzie przekazał go w ręce odźwiernego wskazawszy drzwi wyjściowe.

Po czym pośpiesznie powrócił do swego pana, aby wprowadzić królowę Henrietę, która przemierzała już oszkloną galerię.

## 41. Mazarini i królowa Henrieta

Kardynał powstał i szybko udał się na przyjęcie królowej Anglii. Spotkał ją pośrodku galerii prowadzącej do jego gabinetu.

Okazywał tej monarchini bez orszaku i klejnotów tym więcej szacunku, im mocniej odczuwał wyrzuty z powodu swego skąpstwa i braku serca.

Lecz ci, którzy zmuszeni są prosić, umieją nadać swemu obliczu każdy wyraz, więc i córka Henryka IV promieniała uśmiechami idąc na spotkanie człowieka, którego nienawidziła i którym pogardzała.

— Ach — rzekł do siebie Mazarini — co za słodka mina! Czyżby przybywała pożyczyc pieniędzy?

I rzucił niespokojne spojrzenie na wieko żelaznej skrzyni, przekręcił nawet do wewnątrz dłoni wspaniały diament pierścienia, blask którego ściągał uwagę na jego rękę, zresztą białą i piękną. Na nieszczęście pierścień ów nie miał właściwości pierścienia Gygesa<sup>50</sup>, tamten bowiem powodował, że jego posiadacz stawał się niewidzialnym, gdy postąpił jak Mazarini.

Otóż Mazarini pragnął gorąco stać się w tym momencie niewidzialnym, ponieważ domyślał się, że królowa Henrieta przybywa z jakąś prośbą. Kiedy królowa, tak źle przezeń traktowana, pojawia się z uśmiechem zamiast z ustami pełnymi gróźb, przybywa ona w roli suplikantki.

— Panie kardynale — odezwał się dostoyny gość — początkowo miałam zamiar porozmawiać o sprawie, która mnie tu sprowadza, z królową, moją siostrą, pomyślałam jednak, że sprawy natury politycznej należą przede wszystkim do mężczyzn.

— Pani — odparł Mazarini — proszę mi wierzyć, że wasza królewska

---

<sup>50</sup> Gyges — król Lidii (VII w. p.n.e.). Wg pisarzy starożytnych posiadał pierścień cudowny, którego przekręcenie na palcu czyniło właściciela niewidzialnym.

mość wprawia mnie w pomieszenie tym wyróżnieniem.

Jest bardzo uprzejmy — pomyślała królowa — czyżby mnie przeniknął?

Weszli do gabinetu kardynała. Poprosił ją, aby usiadła, a kiedy już usadowiła się w fotelu, rzekł:

— Proszę rozkazywać najbardziej unizonomu ze swych sług.

— Niestety, panie, odzwyczaiłam się od rozkazywania, a nawykłam do próśb. Przychodzę tu prosić, zbyt szczęśliwa, jeśli prośba moja będzie wysłuchana.

— Słucham waszą królewską mość — rzekł Mazarini.

— Panie kardynale, chodzi o wojnę, którą król, mój małżonek, prowadzi przeciw zbuntowanym poddanym. Być może, nie jest panu wiadome, że w Anglii trwa walka — mówiła królowa ze smutnym uśmiechem — i że niebawem dojdzie do zmagania o wiele bardziej decydujących, aniżeli to miało miejsce do tej pory.

— Nic mi o tym nie wiadomo, pani — rzekł kardynał, a słowom jego towarzyszyło lekkie wzruszenie ramion. — Niestety, nasze własne wojny pochłaniają całkowicie czas i umysł biednego ministra, tak nieudolnego i słabego jak ja.

— A więc, panie kardynale — odparła królowa — zawiadamiam pana, że mój małżonek, Karol I, lada dzień podejmie decydujące kroki. W razie niepowodzenia... — Mazarini drgnął. — Musimy wszystko przewidzieć — ciągnęła królowa. — W razie niepowodzenia pragnie on schronić się do Francji i żyć tutaj jako prywatna osoba. Co pan na to? Kardynał słuchał i żaden mięsień jego twarzy nie zdradził najmniejszego wrażenia. Trwał na niej uśmiech taki sam jak zwykle, fałszywy i przymilny, a kiedy królowa skończyła, odezwał się swym najbardziej jedwabistym głosem:

— Czy wasza królewska mość wierzy, że Francja, ulegająca obecnie takim wstrząsom i tak pełna wrzenia, byłaby zbawczą przystanią dla wyzutego z tronu króla? Korona na głowie Ludwika XIV jest niepewna, jakżeż więc poradzi on

podwójnemu ciężarowi?

— Jeśli chodzi o moją osobę, ciężar ten nie był zbyt dotkliwy — przerwała królowa z bolesnym uśmiechem — i nie proszę, aby uczyniono więcej dla mego męża, aniżeli uczyniono dla mnie. Pan sam widzi, że jesteśmy monarchami o bardzo skromnych wymaganiach.

— Och, pani — spieszenie rzekł kardynał, aby od razu przeciąć wyjaśnienia, które już wisiały w powietrzu — pani to zupełnie inna sprawa, jesteś pani córką Henryka IV, tego wielkiego, wzniosłego króla.

— Co nie przeszkadza panu odmawiać gościnności jego zięciowi, nieprawdaż? Winien pan jednak sobie przypomnieć, że ten wielki, wzniosły król, wygnany pewnego dnia, jak to się może stać z moim mężem, udał się o pomoc do Anglii i że Anglia mu jej udzieliła. Co prawda królowa Elżbieta nie była jego siostrzenicą.

— Peccato<sup>51</sup> — rzekł Mazarini wijąc się pod ciosami tej prostej logiki — wasza królewska mość mnie nie rozumie. Niesłusznie osądza moje intencje, a to niewątpliwie dlatego, że się źle wysławiam po francusku.

— Proszę mówić po włosku. Nasza matka, królowa Maria Medici, nauczyła nas tego języka, zanim jeszcze kardynał, pański poprzednik, zesłał ją na wygnanie, aby tam zmarła. Jeśli pozostało jeszcze cokolwiek z tego wielkiego, tego wzniosłego króla Henryka, o którym pan przed chwilą wspomniałeś, należy się dziwić pańskiemu głębokiemu dlań uwielbieniu wobec tak nikłych uczuć litości dla jego rodziny.

Po czole Mazariniego ściekał pot dużymi kroplami.

— Przeciwnie, uwielbienie to jest tak wielkie i tak prawdziwe — odparł Mazarini nie przyjmąwszy propozycji królowej przejścia na inny język — że jeśli król Karol I, niechaj go Bóg chroni od wszelkiego nieszczęścia! przybyłby do Francji, ofiarowałbym mu mój dom, mój własny dom. Lecz, niestety, byłoby to schronienie niezbyt pewne. Któregoś dnia lud spaliłby ten dom, jak spalił dom

---

<sup>51</sup> Peccato (wł.) — jestem winny.

marszałka d'Ancre. Biedny Concino Concini! Przecież pragnął tylko dobra Francji.

— Podobnie jak pan, monsignore — rzuciła ironicznie królowa.

Mazarini zdawał się nie rozumieć podwójnego sensu zdania, które sam był wypowiedział, i w dalszym ciągu uważał się nad losem Concino Conciniego.

— Ostatecznie więc, panie kardynale — rzekła zniecierpliwiona królowa — jak brzmi pańska odpowiedź?

— Pani! — wykrzyknął Mazarini coraz bardziej rozczulony — pani, czy wasza królewska mość pozwoli udzielić sobie jednej rady? Oczywiście, że zanim odważę się na to zuchwalstwo, zacznę od rzucenia się do stóp waszej królewskiej mości powolny jej życzeniom.

— Proszę mówić, panie — odrzekła królowa. — Rada męża tak roztropnego jak pan musi być z pewnością dobra.

— Proszę mi wierzyć, pani, że jego królewska mość winien się bronić do upadłego.

— Właśnie to czyni i ostatnia bitwa, jaką zamierza wydać siłami o wiele słabszymi od sił jego wrogów, dowodzi, iż nie zamierza ustąpić bez walki. Co począć jednak w wypadku, jeśli zostanie zwyciężony?

— W takim wypadku, pani, moja rada... wiem, że jestem wielce zuchwały udzielając rad waszej królewskiej mości, ale rada moja brzmi: niech król nie opuszcza królestwa. Królów nieobecnych szybko się zapomina. Jeśli uda się do Francji, sprawa jego stracona.

— W takim razie — podjęła królowa — jeśli taka jest pańska rada i jeśli pana istotnie obchodzi jego los, proszę mu wysłać jakąś pomoc w ludziach i pieniądzech, ja bowiem nie mogę dlań już nic uczynić. Sprzedałam nawet ostatni diament, aby mu pomóc. Nic mi nie pozostało, sam pan wiesz o tym, wiesz pan lepiej, lepiej niż ktokolwiek inny. Gdyby mi pozostał jakiś klejnot, kupiłabym drzewa, aby ogrzać tej zimy siebie i swoją córkę.

— Ależ pani, wasza królewska mość nie zdaje sobie sprawy, czego ode



mnie żąda! W dniu, w którym posiłki cudzoziemskie staną się częścią jakiegoś króla, celem wprowadzenia go z powrotem na tron, będzie to poczytane za przyznanie się, że nie wspomaga go już miłość poddanych.

— Właściwie, mości kardynale — odezwała się królowa zniecierpliwiona śledzeniem biegu myśli tego sprytnego umysłu, co sam gubił się w labiryncie własnych słów — właściwie, odpowiedz mi pan: tak albo nie. Jeśli król będzie trwał w chęci pozostania w Anglii, czy pošle mu pan posiłki? Jeśli zaś przybędzie do Francji, czy udzieli mu pan gościny?

— Pani — odparł kardynał zgrywając się na jak największą szczerłość — Mam nadzieję dowieść waszej królewskiej mości, jak bardzo jestem jej oddany, i pragnę ukończyć sprawę, która pani tak leży na sercu. Mniemam, że po tym wszystkim wasza królewska mość nie będzie wątpiła w moje gorliwe dla niej służby.

Królowa przygryzła wargi i niecierpliwie się poruszyła w fotelu.

— A więc co zamierza pan czynić? — zagadnęła wreszcie. — No, proszę mówić.

— Natychmiast udam się na naradę do królowej i przełożymy następnie sprawę parlamentowi.

— Z którym jesteś pan w wojnie, nieprawdaż? Obarczy pan Broussela funkcją sprawozdawcy tej sprawy. Dostyc, mości kardynale, dostyc. Rozumiem pana albo raczej nie mam racji. Istotnie, zwróć się pan do parlamentu, bowiem właśnie parlament, wróg królów, udzielił jedynej pomocy córce tego wielkiego, tego wzniosłego Henryka IV, którego pan tak uwielbiasz, dzięki czemu nie umarła ona tej zimy z głodu i chłodu.

I z tymi słowy królowa pełna majestatycznego oburzenia powstała. Kardynał wyciągnął ku niej splecione dłonie.

— O pani, pani, jakże mnie wasza królewska mość mało znasz. Mój Boże! Ale królowa Henrieta, nie obejrzawszy się nawet w stronę wylewającego te obłudne łzy, przemierzyła gabinet, sama otworzyła sobie drzwi i w tłumie

licznych gwardzistów jego eminencji, dworzan gotowych mu nadskakiwać wśród zbytku rywalizującego z królewskim, podeszła ująć ramię de Wintera, stojącego z boku, samotnie. Biedna, podupadła królowa, przed którą wszyscy, powodowani etykietą, jeszcze się kłonili, nie miała już naprawdę nic poza jedynym ramieniem, na którym mogła się wesprzeć.

— Wszystko jedno — rzekł do siebie Mazarini, kiedy pozostał sam — było to przykre, rola do zagrania trudna, ale nie powiedziałem nic ani jednemu, ani drugiej. Hm! Ten Cromwell to zawzięty myśliwy na królów, żal mi ich ministrów, jeśli się kiedykolwiek zacznie ich czepiać. Bernouin!

Bernouin wszedł.

— Niech no tam popatrzą, czy ów młody człowiek w czarnym kaftanie, z krótko przystrzyżonymi włosami, którego niedawno do mnie wprowadzałeś, znajduje się jeszcze w pałacu.

Bernouin wyszedł. W czasie jego nieobecności kardynał zajął się przekręcaniem pierścienia z oczkiem do góry, wytarciem diamentu i podziwianiem jego przejrzystości. A ponieważ w oczach miał jeszcze łzę, która mąciła mu wzrok, potrząsnął głową, aby spadła.

Bernouin powrócił z Commingesem, który właśnie miał służbę.

— Monsignore — rzekł Comminges — kiedy odprowadzałem młodego człowieka, o którego wasza eminencja zapytuje, podszedł on do szklanych drzwi galerii i przyglądał się czemuś ze zdziwieniem, bez wątpienia obrazowi Rafaela, co wisi na wprost tego wejścia. Po czym chwilę zadumał się i zszedł schodami. Zdaje się, że widziałem, jak dosiadł swego siwego konia i opuścił dziedziniec pałacu. Ale czy monsignore nie zamierza udać się do jej królewskiej mości?

— A po co?

— Pan de Guitaut, mój wuj, powiedział mi właśnie, że jej królewska mość otrzymała jakieś nowiny z armii.

— To dobrze, już tam idę.

W tejże chwili pojawił się pan de Villequier. Właśnie przyszedł od

królowej po kardynała.

Comminges dobrze wszystko widział i Mordaunt rzeczywiście tak się zachował, jak opowiadał oficer. Przechodząc galerię równoległą do wielkiej oszklonej galerii spostrzegł de Wintera, który właśnie oczekiwał na ukończenie pertraktacji przez królową.

Na ten widok młody człowiek zatrzymał się gwałtownie wcale nie w podziwie przed obrazem Rafaela, ale jakby zafascynowany czymś strasznym. Oczy jego rozszerzyły się, dreszcz przebiegł całe ciało. Można by rzec, że pragnie przebić się przez szklany wał, który go dzielił od wroga. Gdyby bowiem Comminges zobaczył, z jakim wyrazem nienawiści młody człowiek wparł wzrok w de Wintera, ani na chwilę by nie wątpił, że ów angielski lord jest jego śmiertelnym wrogiem.

Ale ten opanował się.

Uczył to niewątpliwie, ażeby się móc zastanowić, gdyż zamiast dać się porwać pierwszemu odruchowi i iść wprost na de Wintera, Mordaunt zeszedł powoli ze schodów. Opuścił pałac z pochyloną głową, wskoczył na siodło, zatrzymał konia na rogu ulicy Richelieu i z oczami utkwionymi w kratę jał oczekiwać, kiedy karoca królowej opuści dziedziniec.

Oczekiwanie to nie trwało długo, gdyż królowa zabawiła u Mazariniego jeszcze kwadrans, ale ten kwadrans wyczekiwania zdawał się dla oczekującego wiekiem.

Wreszcie ciężka machina, którą w owe czasy nazywano karocą dudniąc, wytoczyła się zza ogrodzenia i de Winter, ciągle konno, znów pochylił się do drzwiczek, aby rozmawiać z jej królewską mością.

Konie ruszyły kłusa i skierowały się w stronę Luwru, gdzie też i wjechały. Przed wyjazdem z klasztoru Karmelitanek królowa Henrieta zapowiedziała córce, aby czekała na nią w pałacu, który zamieszkiwała tak długo i który opuściła tylko dlatego, że ubóstwo w złożonych salach wydawało się jej jeszcze trudniejsze do zniesienia.

Mordaunt posuwał się za pojazdem, a kiedy zobaczył, że wjeżdża on w mroczną arkadę, skierował się wraz z koniem pod mur okryty cieniem i pozostał tam nieruchomy pośród gzymsów Jana Goujon<sup>52</sup>, sam podobny płaskorzeźbie przedstawiającej konny posąg.

Czekał, podobnie jak to był czynił pod Palais-Royal.

---

52 Jean Goujon — słynny rzeźbiarz i architekt francuski (1510—1568).

## 42. Jak ludzie dotknięci nieszczęściem biorą nieraz przypadek za opatrność

— A więc co, wasza królewska mość? — zagadnął de Winter, kiedy królowa oddaliła służbę.

— A więc stało się to, co przewidywałam, milordzie.

— Odmawia?

— Czyż nie powiedziałam panu tego z góry?

— Kardynał odmawia przyjęcia króla, Francja odmawia gościny nieszczęśliwemu monarsze? Ależ to pierwszy podobny wypadek, pani!

— Nie powiedziałam, milordzie, że Francja, powiedziałam kardynał, a kardynał nie jest nawet Francuzem.

— A czy z królową pani się widziała?

— Daremne — odparła królowa Henrieta, smutnie potrząsając głową. — Królowa nigdy nie powie tak, jeśli kardynał wyrzekł nie. Czy nie wiadomo panu, że ten Włoch kieruje wszystkim, zarówno w sprawach wewnętrznych, jak i zewnętrznych. Co więcej, powracam tu do tego, co panu już powiedziałam: nie zdziwiłabym się, gdyby Cromwell nas uprzedził. Rozmawiając ze mną kardynał był zaambarasowany, lecz mimo to stanowczy w odmowie. Następnie, czy zauważył pan to poruszenie w Palais-Royal, tę bieganinę tam i sam zaaferowanych ludzi? Czyżby otrzymali oni jakieś wiadomości, milordzie?

— To wcale nie z Anglii, pani. Tak się bardzo śpieszyłem, iż jestem pewny, że nikt mnie nie uprzedził. Wyjechałem trzy dni temu, cudem przemknąłem się przez armię purytańską. Ze służącym Tony wzięliśmy pocztę, a konie, których teraz dosiadamy, kupiliśmy w Paryżu. Zresztą król, zanim coś zaryzykuje, poczeka, jestem tego pewien, na odpowiedź waszej królewskiej

mości.

— Przekażę mu pan, milordzie — podjęła zrozpaczona królowa — że nie jestem w stanie nic uczynić, że cierpiałam jak on, więcej niż on, zmuszona jeść chleb wygnańca i prosić o gościnę fałszywych przyjaciół, którzy śmieją się z mych łez. A jeśli chodzi o jego królewską osobę, musi się wspaniałomyślnie poświęcić i umrzeć jak król. Ja zginę u jego boku.

— Wasza królewska mość, wasza królewska mość! — krzyknął de Winter — popadasz pani w rozpacz, a być może pozostaje nam jeszcze jakaś nadzieja.

— Więcej przyjaciół, milordzie! Więcej takich przyjaciół na świecie jak pan! O mój Boże, mój Boże! — wykrzyknęła królowa Henrieta wznosząc ręce ku niebu — czyżbyś zabrał do siebie wszystkie szlachetne serca, jakie istniały na świecie?

— Spodziewam się, że nie, pani — odparł w zamyśleniu de Winter. — Kiedyś wspominałem o czterech ludziach.

— Co zamierzasz zrobić z tymi czterema ludźmi?

— Czterech ludzi oddanych, czterech ludzi gotowych umrzeć może wiele, proszę mi wierzyć, pani. A ci, o których mówię, wiele dokonali swego czasu.

— Gdzież oni przebywają?

— Tego właśnie nie wiem. Prawie od dwudziestu lat straciłem ich z oczu, a jednak zawsze, ilekroć król był w niebezpieczeństwie, powracałem do nich myślą.

— Byli to pańscy przyjaciele?

— Jeden z nich miał w ręku moje życie i darował mi je. Nie wiem, czy pozostał moim przyjacielem, ale ja, przynajmniej dotąd, jestem jego przyjacielem.

— Ludzie ci są we Francji, milordzie?

— Tak sądzę.

— Niech pan powie ich nazwiska. Być może, słyszałam je i mogłabym panu pomóc w poszukiwaniach.

— Jeden z nich nazywał się kawaler d'Artagnan.

— Och, milordzie, jeśli się nie mylę, ów kawaler d'Artagnan jest porucznikiem straży, słyszałam to nazwisko. Ale miej się na baczności, obawiam się bowiem, że jest to człowiek całkowicie oddany kardynałowi.

— Byłoby to najgorsze z nieszczęść — rzekł de Winter — i zacząłbym wierzyć, żeśmy naprawdę przekleci.

— A ci drudzy — pytała królowa, czepiając się ostatniej nadziei jak tonący brzytwy — a ci drudzy, milordzie?!

— Co się tyczy drugiego, to nazwisko jego słyszałem przypadkiem, ponieważ przed potykaniem się z nami owi czterej szlachcice przedstawili się właśnie i drugi nazywał się hrabia de La Fere. Co do dwóch pozostałych, to przyzwyczajwszy się nazywać ich przybranymi nazwiskami zapomniałem prawdziwych.

— Och, mój Boże — rzuciła królowa — jeśli pan sądzi, że ci czcigodni szlachcice mogliby być tak użyteczni dla króla, odnalezienie ich byłoby rzeczą niecierpiącą zwłoki.

— Oczywiście — rzekł de Winter — są oni prawdziwie godni zaufania. Proszę, uważnie posłuchaj, pani, i sięgnij do wspomnień. Czy nie słyszałaś, pani, jak sobie opowiadano, że Anna Austriaczka została niegdyś uratowana z największego niebezpieczeństwa, jakie królowej kiedykolwiek zagrażało?

— Ach tak, w czasie jej romansów z panem Buckingham, nie znana mi tylko przyczyna... jakieś diamenty i spinki.

— O właśnie, wasza królewska mość, ci ludzie uratowali królowę. Myśl, że nazwiska tych szlachciców są pani zupełnie nie znane, dlatego iż królowa miast uczynić ich pierwszymi panami królestwa zapomniała o nich, budzi uśmiech politowania.

— A więc, milordzie, trzeba ich szukać. Tylko cóż mogą zdziałać czterej ludzie albo raczej trzej? Gdyż mówiłam już panu, że nie można liczyć na pana d'Artagnana.

— Byłaby to jedna waleczna szpada mniej, ale zawsze zostałyby jeszcze trzy nie licząc mojej. Otóż czterech oddanych ludzi przy królu, gotowych go chronić przed wrogami, czuwać nad nim w czasie bitwy, wesprzeć w radzie, towarzyszyć w ucieczce, wystarczyłoby nie aby króla uczynić zwycięzcą, ale aby go uratować, jeśli zostanie pokonany, i pomóc mu przebyć morze. Cokolwiek powiedziałby na to Mazarini, kiedy królewski małżonek pani już raz znajdzie się na brzegu Francji, będzie miał tam tyle miejsc do schronienia i ukrycia, ile ptak morski w czasie burz.

— Szukaj, milordzie, szukaj tych szlachciców, a jeśli ich odnajdziesz, jeśli się zgodzą udać wraz z tobą do Anglii, każdego z nich obdarzę księstwem w dniu, kiedy powrócimy na tron; poza tym dam im tyle złota, ile trzeba, aby zakupić pałac Whitehall. Szukaj więc, milordzie, szukaj zaklinam cię!

— Poszukałbym, pani, i odnalazłbym bez wątpienia, ale nie mam na to czasu. Czy wasza królewska mość pamiętasz, że król pełen niepokoju oczekuje jej odpowiedzi?

— A więc jesteśmy zgubieni — wybuchnęła królowa, był to krzyk złamanego serca.

W tym momencie otworzyły się drzwi i ukazała się młoda Henryka. Królowa wiedzioną wzniosłą siłą, która jest heroizmem matek, ukryła łzy w głębi swego serca, dając znak de Winterowi, aby mówił o czym innym.

Ale tak gwałtowna zmiana nie uszła uwagi księżniczki. Stała w progu, westchnęła i zwróciła się do królowej:

— Dlaczego, mamusiu, płaczesz zawsze, kiedy mnie nie ma? Królowa się uśmiechnęła i miast jej odpowiedzieć rzekła:

— Patrz, de Winter, będąc tylko na wpół królową, zyskałam chociaż jedno — moje dzieci nazywają mnie matką zamiast mówić do mnie: wasza królewska mość.

Po czym, zwracając się do córki, ciągnęła dalej:

— Czego sobie życzysz, Henryko?



— Mamo, do Luwru przybył pewien kawaler i pragnie złożyć hołd waszej królewskiej mości. Przyjeżdża z armii i jak powiada, ma list do pani, o ile się orientuję, od marszałka de Grammont.

— To jeden z wiernych mi — królowa zwróciła się do de Wintera. — Ale czy zauważyłeś, mój drogi lordzie, co za niedostatek służby; moja córka pełni rolę pokojowca.

— Pani, proszę, miej litość nade mną — odparł de Winter — łamiesz mi pani serce.

— A co to za kawaler, Henryko? — spytała królowa.

— Widziałam go przez okno, pani, to młodzieniec, wygląda na jakieś szesnaście lat, nazywa się wicehrabia de Bragelonne.

Królowa z uśmiechem skinęła głową, młoda księżniczka otworzyła drzwi i Raul pojawił się w progu.

Uczył trzy kroki w stronę królowej i przyklęknął.

— Pani — rzekł — przynoszę waszej królewskiej mości list mojego przyjaciela, pana hrabiego de Guiche, który mówił mi, iż ma zaszczyt należeć do sług pani. List ten zawiera ważną nowinę i wyrazy szacunku.

Na dźwięk nazwiska hrabiego de Guiche, jagody młodej księżniczki pokraśniały. Królowa spojrzała na nią z pewną surowością.

— Henryko, powiedziałaś mi, że list jest od marszałka de Grammont — rzekła królowa.

— Tak sądziłam, pani... — wybąkała dziewczyna.

— To moja wina, pani — odezwał się Raul. — Rzeczywiście zapowiedziałem się od marszałka de Grammont. Ale ponieważ jest on ranny w prawe ramię i nie może sam pisać, hrabia de Guiche służył mu wtedy za sekretarza.

— Była więc bitwa? — spytała królowa, dając znak Raulowi, aby powstał.

— Tak, pani — odparł młodzieniec wręczając list de Winterowi, który postąpił naprzód, aby go wziąć i oddać królowej.

Na wiadomość o stoczonej bitwie młoda księżniczka otworzyła usta, chcąc zapytać o coś, co ją bez wątpienia interesowało. Ale usta się zamknęły, nie wymówiwszy słowa, podczas gdy rumieńce na jej policzkach stopniowo zanikły.

Królowa widziała te wszystkie odruchy i macierzyńskie serce zrozumiało je niewątpliwie, gdyż zwracając się znów do Raula spytała:

— Czy nie przydarzyło się nic złego hrabiemu de Guiche? Jest to bowiem nie tylko jeden z naszych sług, jak to panu był powiedział, ale i jeden z naszych przyjaciół.

— Nie, pani — odpowiedział Raul. — Przeciwnie, tego dnia zyskał wielką sławę, miał zaszczyt być ucałowany przez samego księcia na polu bitwy.

Księżniczka plasnęła w dłonie, lecz ogarnięta wielkim wstydem, iż pozwoliła sobie na okazanie podobnej radości, zrobiła półobrót i pochyliła się nad wazonem pełnym róż, jakby chciała odetchnąć ich zapachem.

— Zobaczmyż, co pisze hrabia — rzekła królowa.

— Miałem zaszczyt powiedzieć waszej królewskiej mości, że pisał on w imieniu swego ojca.

— Tak, panie.

Królowa odpieczętowała list i przeczytała:

*Wasza Królewska Mość*

*Nie mogąc dostąpić zaszczytu pisania osobiście do Pani z powodu rany, jaką otrzymałem wprawę ramię, piszę wyręczając się swym synem, hrabią de Guiche, który znany jest Pani, podobnie jak ojciec, jako jej sługa. Piszę, aby oznajmić, iż wygraliśmy bitwę pod Lens i że zwycięstwo to niechybnie pozwoli kardynałowi Mazariniemu i królowej wywierać olbrzymi wpływ na sprawy Europy. Niechaj Wasza Królewska Mość, jeśli tylko zechce zawierzyć mej radzie, skorzysta z tego momentu, aby wywrzeć nacisk na rząd naszego pana*

*w sprawie swego dostojnego małżonka. Wicehrabia de Bragelonne, który będzie miał zaszczyt wręczyć Pani ten list, jest przyjacielem mego syna, któremu wedle wszelkiego prawdopodobieństwa uratował życie. Szlachcicowi temu Wasza Królewska Mość może całkowicie zaufać w wypadku, gdyby Pani zechciała mi przekazać jakiś ustny czy pisemny rozkaz.*

*Mam zaszczyt pozostawać z całym szacunkiem*

*Marszałek de Grammont*

W momencie, kiedy była mowa o przysłudze, jaką był oddał hrabiemu, Raul nie mógł się powstrzymać i zwrócił głowę w stronę młodej księżniczki. Dojrzał, jak w jej oczach przemknął wyraz nieskończonej dlań wdzięczności. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że córka Karola I kochała jego przyjaciela.

— Bitwa pod Lens wygrana! — rzekła królowa. — Jacy oni tu szczęśliwi, wygrywają bitwy! Tak, marszałek de Grammont ma rację, to stanowi zwrot w ich sprawach; lecz boję się bardzo, że nie dotyczy to w niczym naszych spraw, o ile im w ogóle nie zaszkodzi. Jest to wiadomość całkiem świeża, panie — ciągnęła królowa — i wdzięczna ci jestem za twoje starania, aby mnie doszła. Gdyby nie pan, gdyby nie ten list, dowiedziałabym się o niej dopiero jutro, być może nawet pojutrze, jako ostatnia w całym Paryżu.

— Wasza królewska mość — odparł Raul — Luwr jest drugim pałacem, dokąd ta wieść dotarła. Jeszcze nikt jej nie zna, a zaprzysiągłem panu hrabiemu de Guiche oddać ten list do rąk waszej królewskiej mości, jeszcze zanim uściskam mego opiekuna.

— Pański opiekun jest również z rodu de Bragellone? — zapytał lord de Winter. — Znałem niegdyś pewnego de Bragelonne, czy on żyw jeszcze?

— Nie, panie, umarł i właśnie po nim mój opiekun, będący jego bliskim kuzynem, jak sądzę, odziedziczył ziemię, której tytuł noszę.

— A jak się nazywa pański opiekun? — zagadnęła królowa, która nie mogła powstrzymać swego zainteresowania tym urodziwym młodzieńcem.

— Hrabia de La Fere, pani — odparł młody człowiek gnąc się w ukłonie.

De Winter aż drgnął ze zdziwienia. Królowa patrzyła nań przejawiając żywą radość.

— Hrabia de La Fere! — krzyknęła. — Czy to nie nazwisko, o którym właśnie mówiliście mi, panie?

De Winter nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Hrabia de La Fere! — wykrzyknął z kolei. — Och, panie, proszę mi odpowiedzieć, błagam: czy hrabia de La Fere nie jest właśnie owym panem, którego znałem jako pięknego i dzielnego muszkietera Ludwika XIII i który obecnie może liczyć jakieś czterdzieści siedem, osiem lat?

— Tak, panie, zgadza się co do joty.

— I który pełnił służbę pod przybranym nazwiskiem?

— Pod imieniem Atosa. Słyszałem dopiero niedawno, jak jego przyjaciel pan d'Artagnan nazywał go tym imieniem.

— To to, właśnie, wasza królewska mość, to to. Bogu niech będzie chwała! Czy jest on w Paryżu? — ciągnął hrabia zwracając się do Raula.

Po czym znów do królowej:

— Miejmy jeszcze nadzieję, miejmy nadzieję. Opatrzność, powodując odnalezienie tego dzielnego szlachcica, w cudowny sposób opowiada się po naszej stronie. A gdzież on, panie, zamieszkuje?

— Pan hrabia de La Fere mieszka przy ulicy Guenegaud, w oberży "Pod Karolem Wielkim".

— Dziękuję, panie. Proszę uprzedzić mego dostojnego przyjaciela, by zaczekał u siebie, pójdę go zaraz uściskać.

— Spełnię to z wielką przyjemnością, jeśli jej królewska mość zechce mnie zwolnić.

— Zwalniam cię, panie wicehrabio de Bragelonne — rzekła królowa —

zwalniam i bądź przekonany o naszych najlepszych uczuciach.

Raul skłonił się z szacunkiem obu paniom, pożegnał de Wintera i wyszedł.

De Winter i królowa rozmawiali jeszcze jakiś czas po cichu, aby księżniczka ich nie słyszała. Zbyteczna przezorność, była ona bowiem zajęta własnymi myślami.

Kiedy de Winter zabierał się już do odejścia, królowa rzekła:

— Milordzie, proszę, posłuchaj: mam jeszcze krzyż diamentowy po mojej matce i gwiazdę świętego Michała od mego męża. Są one warte prawie pięćdziesiąt tysięcy liwrów. Przysięgałam sobie raczej umrzeć z głodu niż rozstać się z tymi drogocennymi fantami. Ale dzisiaj, kiedy te dwa klejnoty mogą być użyteczne memu mężowi czy jego obrońcom, trzeba wszystko złożyć w ofierze tej nadziei. Niech je pan weźmie. I jeśli trzeba pieniędzy na pańską wyprawę, proszę je sprzedać bez obawy, milordzie, proszę je sprzedać. Lecz o ile znajdzie pan sposób, aby je zachować, proszę mi wierzyć, milordzie, że będę pana uważała za człowieka, który mi oddał największą przysługę, jaką szlachcic może oddać królowej, i że ten, kto odniesie mi tę gwiazdę i krzyż w chwili dla mnie pomyślnej, zyska błogosławieństwo moje i moich dzieci.

— Pani — rzekł de Winter — wasza królewska mość będziesz miała oddanego sługę. Biegnę złożyć w zupełnie pewnym miejscu oba te przedmioty. Nigdy bym na to nie przystał, gdyby nam pozostały jakieś zasoby z naszej dawnej fortuny. Ale dobra nasze są skonfiskowane, gotowizna wyczerpana i doszło do tego, że musimy wyczerpać wszystko, co posiadamy. W ciągu godziny udam się do hrabiego de La Fere, a jutro, wasza królewska mość, będziesz pani miała definitywną odpowiedź.

Królowa wyciągnęła rękę do lorda de Wintera, a ten ucałował ją z szacunkiem. Po czym, zwracając się w stronę córki, rzekła:

— Milordzie, zlecono ci, byś przekazał coś od ojca i temu dziecku. De Winter stanął zdumiony, nie wiedział bowiem, co królowa przez to chciała powiedzieć.

Wtedy młoda Henryka podeszła uśmiechając się i rumieniąc i podała czoło szlachcicowi.

— Proszę powiedzieć memu ojcu, że czy będzie królem czy zbiegiem, zwycięzcą czy zwyciężonym, potężnym czy ubogim, zawsze będzie miał we mnie najuleglejszą i najbardziej oddaną mu córkę.

— Wiem o tym, pani — odparł de Winter dotykając wargami czoła Henryki.

Po czym wyszedł i nie odprowadzony przez nikogo przemierzał obszerne apartamenta, opustoszałe i mroczne. Obtarł łzy, których on, zblazowany pięćdziesięcioma latami dworskiego życia, nie był w stanie powstrzymać na widok tej królewskiej niedoli, tak pełnej godności, a jednocześnie tak bezbrzeżnej.

## 43. Stryj i bratanek

Koń i służący de Wintera oczekiwali nań u bramy. Lord zmierzał do swojej kwatery bardzo zamyślony, od czasu do czasu oglądając się, by kontemplować czarną i głuchą fasadę Luwru. Wtedy to ujrzał jakiegoś jeźdźca jakby odrywającego się od muru i podążającego za nim w pewnej odległości. Przypomnił sobie, że wychodząc z Palais-Royal widział niemalże podobny cień.

Sługa lorda de Wintera, zdążający za nim o kilka kroków, zaniepokojony również śledził owego jeźdźca.

— Tony — zwrócił się lord do sługi, dając mu jednocześnie znak, aby się zbliżył.

— Słucham, panie.

I sługa zrównał się z panem.

— Czy zauważyłeś tego człowieka, co jedzie za nami?

— Tak, milordzie.

— Co to za jeden?

— Nie mam pojęcia, wiem tylko tyle, że idzie on za waszą miłością od Palais-Royal, zatrzymał się przy Luwrze, żeby poczekać na waszą dostojność, i razem ruszył spod Luwru.

— Jakiś szpieg kardynała — rzekł do siebie de Winter — udawajmy, że nie dostrzegamy jego opieki.

I dawszy koniowi ostrogę zagłębił się w labirynt ulic prowadzących do jego zajazdu położonego koło Marais. Zamieszkując niegdyś długo przy placu Królewskim lord de Winter ulokował się oczywiście w pobliżu swego dawnego mieszkania.

Nieznajomy puścił konia galopem.

De Winter zajechał do swej gospody i wszedł do siebie na górę, zamierzając obserwować szpiega. Ale w momencie kiedy kładł na stole rękawiczki i kapelusz, spostrzegł w stojącym przed nim lustrze postać rysującą się na progu izby.

Obrócił się, przed nim stał Mordaunt.

De Winter zbladł i znieruchomiał, Mordaunt zaś trwał w drzwiach, zimny, groźny, podobny do posągu Komandora<sup>53</sup>.

Między dwoma mężczyznami zapanowała chwila lodowatego milczenia.

— Panie — rzekł de Winter — sądziłem, że już wytłumaczyłem panu, jak nuży mnie to nachodzenie, proszę więc oddalić się albo każę cię wygnać jak w Londynie. Nie jestem twoim stryjem, nie znam pana.

— Mój stryju, pan się mylisz — odparł chrapliwym i szyderczym głosem Mordaunt. — Tym razem mnie pan nie wygnasz jak w Londynie, nie będziesz miał dość śmiałości. Co się tyczy zaprzeczania, że jestem pańskim bratankiem, pomyślisz pan dwa razy, zanim to uczynisz, teraz, kiedy dowiedziałem się wielu rzeczy, o których rok temu nie miałem pojęcia.

— A co mnie obchodzi, coś się pan dowiedział! — rzekł de Winter.

— Obchodzi pana bardzo, mój stryju, jestem tego pewien i niebawem będziesz pan tego samego zdania — dorzucił z uśmiechem, który przyprawił o dreszcz jego rozmówcę. — Kiedy przyszedłem po raz pierwszy do pana w Londynie, uczyniłem to, aby zapytać, co się stało z moim mieniem. Kiedy przybyłem po raz wtóry, to by zapytać cię, kto splamił moje imię. Tym razem staję przed tobą, aby zadać pytanie o ileż straszliwsze od tamtych. Aby rzec panu, jak Bóg rzekł do pierwszego mordcercy: “Kainie, cóżeś uczynił z bratem swoim, Ablem?” Milordzie, coś uczynił ze swoją siostrą, która była moją matką?

---

53 Posąg Komandora — wg średniowiecznych podań hiszpańskich wielki uwodziciel Don Juan zapragnął uwieść córkę rządcy, czyli Komandora Sewilli. Gdy ten mu przeszkodził, Don Juan zabił go w pojedynku. Następnie, szydząc, zaprosił na ucztę posąg z grobowca zabitego. Posąg przyszedł i porwał Don Juana do piekieł.



De Winter się cofnął uderzony żarem tych płonących oczu.

— Z pańską matką?

— Tak, z moją matką, milordzie — odparł młody człowiek potakując głębokim skinieniem głowy.

De Winter przemógł się gwałtownie i powracając do wspomnień, aby wyzwolić z nich nową nienawiść, krzyknął:

— Możesz dochodzić sam, co się z nią stało, nieszczęsny, i pytaj o to piekła. Może ono ci odpowie.

Wtedy młody człowiek przeszedł przez pokój, stanął twarzą w twarz z lordem de Winter i skrzyżowawszy ramiona rzekł:

— Zapytałem o to kata z Bethune — głos Mordaunta brzmiał głucho, twarz miał zsiniałą z bólu i gniewu — i kat z Bethune dał mi odpowiedź.

De Winter padł na krzesło jak rażony piorunem i na próżno usiłował znaleźć jakieś słowa.

— Co, nieprawdaż? — ciągnął młody człowiek. — Słowo to tłumaczy wszystko, klucz ten otwiera przepaść. Matka moja dziedziczyła po swoim mężu, a pan zamordowałeś moją matkę. Moje nazwisko zapewniało mi majątek ojcowski, a pan pozbawiłeś mnie mego nazwiska. Potem, kiedy pozbawiłeś mnie nazwiska, wyzułeś mnie i z fortuny. Nie dziwi mnie już teraz, że nie uznajesz mnie pan; nie dziwi już, że nie chcesz mnie znać. Jest rzeczą niestosowną nazywać kogoś swym bratankiem, kiedy samemu jest się łupieżcą, a drugiego uczyniło się nędzarzem, kiedy się jest mordercą, a drugiego uczyniło się sierotą.

Słowa te sprawiły przeciwny efekt, aniżeli spodziewał się Mordaunt. De Winter uświadomił sobie, jakim potworem była Milady. Podniósł się spokojny i poważny, parując surowym spojrzeniem egzaltowany wzrok młodzieńca.

— Chcesz pan dotrzeć do sedna tej straszliwej tajemnicy? — zagadnął. — A więc dobrze, niech tak będzie!... Dowiedz się pan więc, kim była kobieta, za którą przybyłeś dziś tutaj żądać ode mnie rachunku. Kobieta ta, według

wszelkiego prawdopodobieństwa, otruła swego brata i żeby dziedziczyć po mnie, chciała mnie z kolei zamordować. Mam na to dowody. Cóż pan na to powiesz?

— Odpowiem, że była to moja matka!

— Kazała człowiekowi ongiś sprawiedliwemu, dobremu i czystemu zasztyletować nieszczęsnego diuka Buckingham. Co, pan powiesz na tę zbrodnię, mam i na nią dowody?

— To była moja matka.

— Powróciwszy do Francji, otruła ona w klasztorze Augustianek w Bethune pewną młodą kobietę, która darzyła uczuciem jednego z jej wrogów. Czy ta zbrodnia przekona pana o sprawiedliwym wymiarze kary? I na nią mam dowody.

— To była moja matka! — wrzasnął młody człowiek, który za każdym razem krzyczał coraz głośniej.

— Wreszcie, obciążona zbrodniami, przeżarta rozpustą, obmierzła wszystkim, groźna jak pantera pożądająca krwi, padła pod ciosami ludzi, których przywiodła do rozpacz, a którzy nie wyrządzili jej nigdy najmniejszej krzywdy. Jej ohydne zamachy sprawiły, że znalazła sędziów. Ów zaś kat, którego pan widziałeś, a który sądzisz pan, że opowiedział panu wszystko, jeśliby opowiedział wszystko, to musiałby panu powiedzieć także, iż drżał z radości mszcząc się na niej za hańbę i samobójstwo swego brata. Dziewczyna przewrotna, małżonka cudzołożna, siostra wyrodna, zabójczyni, trucicielka, ohydna dla wszystkich, którzy ją znali, dla wszystkich narodów, które przyjęły ją na swoje łono, umarła przeklęta przez niebo i ziemię. Oto kim była ta kobieta.

Mordauntem wstrząsnął szloch, sprawiając, że na bladą jego twarz znów napłynęła krew. Zacisnął kurczowo pięści, z oblicza ściekał mu pot, włosy nastroszyły się nad czołem jak u Hamleta; wrzasnął z wściekłością:

— Milcz pan! To moja matka! Nic nie wiem o jej rozpuszcie, nie wiem o jej występkach, nic nie wiem o jej zbrodniach. Ale wiem, że miałem matkę, że

pięciu mężczyzn sprzymierzonych przeciw jednej kobiecie zabiło ją potajemnie, nocą, po cichli, jak tchórze! Wiem, że pośród nich byłeś też i pan, że byłeś między nimi, mój stryju, i że wyrzekłeś jak oni, głośniejszy od innych: Musi umrzeć! Ostrzegam pana i proszę uważnie wysłuchać tych słów, wyryć je w swojej pamięci tak, żebyś pan ich nigdy nie zapomniał. Za morderstwo, które odarło mnie ze wszystkiego, morderstwo, które pozostawiło mnie nędzarzem, za owo morderstwo, które mnie zwichnęło, uczyniło złym, nieubłagany, zażądam rachunku najpierw od pana, a następnie od pańskich współników, kiedy będę ich już znał.

Z nienawiścią w oczach, pianą na ustach, z wyciągniętą pięścią Mordaunt postąpił jeszcze jeden krok w stronę de Wintera; był to krok straszliwy i groźny.

Lord położył rękę na szpadzie i rzekł z uśmiechem człowieka, który od trzydziestu lat igra ze śmiercią:

— Chce mnie pan zabić? A więc uznaję pana za swego bratanka, gdyż jest pan nieodrodnym synem swojej matki.

— Nie — odparł Mordaunt, z najwyższym wysiłkiem przywracając rysom swej twarzy i mięśniom ciała normalny stan i wygląd — nie, nie zabiję pana, przynajmniej w tej chwili, gdyż bez pana nie odkryję pozostałych. Ale kiedy już dowiem się o nich, drzyj waść. Zasztylowałem kata z Bethune, zasztylowałem go bez litości, bez miłosierdzia, a był to najmniej winny z was wszystkich.

Z tymi słowy młodzieniec opuścił izbę i zeszedł ze schodów na tyle spokojny, aby nie zwrócić uwagi. Na niższym podeście minął Tony'ego, schylonego nad poręczą i czekającego tylko na krzyk swego pana, aby pobiec na górę.

Ale de Winter nie zawołał go wcale. Zmiażdżony, osłabiony, trwał nieruchomo i nasłuchiwał. Dopiero gdy doszedł go odgłos oddalających się kopyt konia, padł na krzesło mówiąc:

— Boże, dzięki ci, że wie tylko o mnie.

## 44. Ojcostwo

W tym samym czasie, kiedy rozgrywała się owa straszliwa scena u lorda de Wintera, Atos, siedząc przy oknie w swoim pokoju wsparty łokciami o stół, z głową w dłoniach, chłonał wzrokiem i słuchem opowiadanie Raula o jego podróży i szczegółach bitwy.

Piękna i szlachetna postać hrabiego wyrażała niewypowiedziane szczęście, przysłuchując się opowiadaniu o tych pierwszych, tak świeżych i czystych wzruszeniach; chłonał dźwięk głosu młodzieńca, który pasjonował się już pięknymi uczuciami, jak to bywa, kiedy słucha się muzyki pełnej harmonii. Zapomniał, co było ponure w przeszłości. Można by rzec, że powrót tego ukochanego dziecka zdołał przemienić obawy w nadzieje. Atos czuł się szczęśliwy, szczęśliwy jak nigdy.

— A więc byłeś przytomny, de Bragelonne, w tej wielkiej bitwie i brałeś w niej udział? — pytał dawny muszkieter.

— Tak, panie.

— A powiedz no mi, zacięta była, co?

— Jego książęca wysokość brał osobiście udział w jedenastu szarżach.

— To wielki wojownik, de Bragelonne.

— To bohater, panie. Ani na chwilę nie traciłem go z oka. Och, panie, jakże to pięknie nazywać się Conde i tak godnie nosić to nazwisko.

— Spokojny i pełen świetności, nieprawdaż?

— Spokojny jak na paradzie, pełen świetności jak w jakie święto.

Podchodziliśmy do nieprzyjaciela stępa; zakazano nam pierwszym strzelać i szliśmy na Hiszpanów, którzy stali na wzgórzu z muszkietami u nogi. Na trzydzieści kroków od nich książę zwrócił się do żołnierzy: “Chłopcy — rzekł — musicie wytrzymać wściekłą salwę, ale potem, bądźcie spokojni, wszystko

pójdzie z nimi jak z płatką”. Była taka cisza, że zarówno swoi, jak i nieprzyjaciel słyszeli te słowa. Po czym podniósł szpadę i zawołał: “Trąbki, grać!”

— Dobrze, dobrze!..., W potrzebie i ty tak postąpisz, Raulu, nieprawdaż?

— Wątpię, panie, ponieważ uważam to za coś bardzo pięknego i bardzo wielkiego. Kiedy doszliśmy na dwadzieścia kroków, ujrzeliśmy, że muszkiety pochylają się jak jedna lśniąca linia. To słońce kładło się na lufach. “Stępa, dzieci, stępa — rzucił księżę — już zaraz”.

— Bałeś się, Raulu? — zagadnął hrabia.

— Tak, panie — odparł naiwnie młodzieniec — czułem w sercu jakby wielki chłód i na słowo “Ognia”, które rozległo się w hiszpańskich szeregach, zamknąłem oczy i pomyślałem sobie o panu.

— Doprawdy, Raulu? — spytał Atos ściskając mu dłoń.

— Tak, panie. W tejże chwili rozległ się taki huk, że można by rzec, piekło się rozwarło i ci, co nie padli rażeni, poczuli żar płomienia. Otworzyłem oczy zdumiony, zem nie zabity, a nawet nie ranny. Trzecia część szwadronu leżała pokotem, ranna i we krwi. W tej chwili spotkałem się ze wzrokiem księcia i nie myślałem już o niczym innym, tylko o tym jednym, że on na mnie patrzy. Uderzyłem ostrogami konia i znalazłem się wśród nieprzyjacielskich szeregów.

— I księżę był z ciebie zadowolony?

— Tak mi przynajmniej powiedział, kiedy polecił towarzyszyć do Paryża panu de Chatillon, który tu przybył, by przekazać wieści królowej i przywieźć zdobyte sztandary. “Jedź — rzekł do mnie księżę — nieprzyjaciel nie pozbiera się przed upływem piętnastu dni. Nie potrzebuję cię tutaj. Jedź uścisnąć tych, których kochasz i którzy kochają ciebie, i powiedz mej siostrze, pani de Longueville, że dziękuję jej za podarek, jaki mi uczyniła oddając cię w moje ręce”. I przybyłem, panie — dodał Raul patrząc na hrabiego z uśmiechem głębokiej miłości — ponieważ sądziłem, że będziesz uradowany widząc mnie z powrotem.

Atos przyciągnął młodzieńca do siebie i pocałował go w czoło, jak gdyby był młodą dziewczyną.

— W ten sposób, Raulu, zostałeś wprowadzony w świat. Masz przyjaciół wśród diuków, marszałka Francji za protektora, księcia krwi za wodza, i tego samego dnia, kiedy powróciłeś, zostałeś przyjęty przez dwie królowe: jak na nowicjusza to wcale pięknie.

— Ach, panie — rzekł nagle Raul — przypomniał mi jedną rzecz, o której zapomniałem, opowiadając wam ,w pośpiechu moje czyny. Otóż u jej królewskiej mości, królowej Anglii, był pewien szlachcic, który na wymówione przeze mnie pańskie nazwisko wydał okrzyk zdumienia i radości. Mówił, że należy do grona pańskich przyjaciół, prosił o adres i przyjedzie pana odwiedzić.

— Jak się nazywa?

— Nie śmiałem go o to pytać. Ale chociaż wyraża się wytwornie, sądząc po akcencie, jest Anglikiem.

— Ach, tak — wyrzekł Atos.

I pochylił głowę jakby szukając we wspomnieniach. Kiedy znów podniósł czoło, ujrzał nagle mężczyznę stojącego w uchylonych drzwiach i patrzącego nań z rozrzewnieniem.

— Lord de Winter — wykrzyknął hrabia.

— Atos, przyjacielu!

I obaj trwali przez chwilę w uścisku. Następnie Atos, ująwszy obie jego dłonie, rzekł patrząc mu w oczy:

— Co z panem, milordzie? Wydajesz się być tyle smutny, ile ja jestem radosny.

— Tak, drogi przyjacielu, to prawda, i powiem nawet więcej: widok twój podwaja me obawy.

I de Winter rozejrzał się wokoło siebie, jakby pragnąc, by pozostali sami. Raul domyślił się, że przyjaciele chcą ze sobą porozmawiać, i nie czekając opuścił komnatę.

— Teraz, kiedy jesteśmy sami — rzekł Atos — mówmy o panu.

— Kiedyśmy sami — odparł lord de Winter — mówmy o nas. On jest tutaj.

— Kto?

— Syn Milady.

Atos, jeszcze raz porażony tym imieniem, które zdawało się go prześladować jak złowrogie echo, przez moment zawahał się, zmarszczył lekko brew, po czym rzekł spokojnym tonem:

— Wiem o tym.

— Wiesz?

— Tak. Milczek spotkał go między Bethune i Arras i przycwalał tu z powrotem, aby uprzedzić mnie o jego obecności.

— Więc Milczek go znał?

— Nie, ale był przytomny przy łożu śmierci pewnego człowieka, który go znał.

— Kata z Bethune! — wykrzyknął de Winter.

— Wiesz o tym? — zdziwił się Atos.

— W tej chwili właśnie syn Milady mnie opuścił — odparł de Winter — wszystko mi powiedział. Ach, mój przyjacielu, cóż za straszliwa scena! Żeśmy też nie zadusili dziecka wraz z matką.

Atos, jak wszystkie szlachetne natury, nigdy nie okazywał innym przykrych uczuć, przeciwnie, skrywał je w sobie, a w ich miejsce wzbudzał nadzieję i pocieszał. Można by rzec, że osobiste cierpienia opuszczały jego duszę przetworzone w pociechę dla innych.

— Czegóż się obawiasz, milordzie? — rzekł powracając do siebie, opanowawszy już instynktowny strach, jaki odczuwał na początku. — Czyż nie możemy się bronić? Czy ten młody człowiek stał się zawodowym mordercą, zimnym zabójcą? Mógł on zabić kata z Bethune w odruchu wściekłości, ale obecnie jego szal został na pewno zaspokojony.

De Winter uśmiechnął się ze smutkiem i potrząsnął głową.

— Czyż już nie pamiętasz, hrabio, tej krwi?

— Ba! — odparł Atos, usiłując się też uśmiechnąć — straci ona na okrucieństwie w drugim pokoleniu. Zresztą, przyjacielu, Opatrzność ostrzegła nas, abyśmy się mieli na baczności. Nie pozostaje nam nic innego, tylko czekać. Czekajmy więc. Ale jak to już mówiłem na początku, porozmawiajmy o tobie. Powiedz mi, co cię sprowadza do Paryża.

— Kilka ważnych spraw, o których dowiesz się później. Ale cóż to słyszałem od jej królewskiej mości, monarchini Anglii: ponoć pan d'Artagnan służy Mazariniemu! Proszę mi wybaczyć moją szczerość, przyjacielu, nie darzę nienawiścią ani nie spotwarzam kardynała, a pańskie opinie są dla mnie zawsze świętością. Czy może przypadkiem i pan jesteś jego człowiekiem?

— Pan d'Artagnan jest w służbie — odparł Atos. — Jest żołnierzem, posłuszny ustanowionej władzy. Pan d'Artagnan nie jest człowiekiem bogatym i musi żyć ze swej gaży porucznika. Tacy milionerzy jak pan, milordzie, należą do rzadkości we Francji.

— Niestety — rzekł de Winter — dziś jestem także biedny, biedniejszy od niego. Ale powróćmy do ciebie.

— A więc chcesz wiedzieć, czy jestem mazarinistą? Nie, po tysiąckroć nie. Proszę mi także wybaczyć, milordzie, moją szczerość.

De Winter wstał i objąwszy Atosa ramionami uściskał go.

— Dzięki, hrabio — rzekł — dzięki za tę pomyślną wiadomość. Widzisz mnie szczęśliwym i odmłodzonym. Ach, nie jesteś mazarinistą! Doskonale, zresztą to nie do pomyślenia. Ale proszę mi jeszcze wybaczyć, czyś wolny?

— Co przez to rozumiesz?

— Pytam, czyś nieżonaty.

— Ach, jeśli o to chodzi, to nie — odparł Atos uśmiechając się.

— Bo ten młodzieniec, tak piękny, wytworny, pełen gracji...

— Dziecko, które wychowuję i które nie zna nawet swego ojca.



— Bardzo dobrze. Zawsze jesteś ten sam, Atosie, wielki, i szlachetny.

— No, milordzie, czegoż pan chcesz ode mnie?

— Czy Portos i Aramis są jeszcze twoimi przyjaciółmi?

— Proszę też dodać i d'Artagnana, milordzie. Jesteśmy zawsze czwórka oddanych sobie przyjaciół, jak ongiś. Ale jeśli chodzi o służbę kardynałowi albo o jego zwalczanie, o to, czy się jest mazarinistą czy frondystą, to jest nas tylko dwóch.

— A czy pan Aramis trzyma z d'Artagnanem? — indagował lord de Winter.

— Nie — odparł Atos — pan Aramis uczynił mi zaszczyt dzielenia moich przekonań.

— Czy możesz mnie umówić z tym czarującym i tak pełnym dowcipu przyjacielem?

— Oczywiście, kiedy pan sobie tylko życzysz.

— Zmienił się?

— Został księdzem, to wszystko.

— Przerażasz mnie. Stan jego zmusza go zatem do wyrzeczenia się wszelkich przedsięwzięć.

— Przeciwnie — rzekł Atos uśmiechając się — nigdy nie czuł się do tego stopnia muszkietierem, jak od czasu, kiedy został księdzem, i znajdziesz go prawdziwym Galaorem<sup>54</sup>. Życzysz sobie, abym posłał poń Raula?

— Dziękuję, hrabio, można by go nie zastać o tej porze. Ale ponieważ gotów jesteś zań ręczyć...

— Jak za siebie samego.

— Czy mógłbyś jutro o dziesiątej rano przyprowadzić go do mnie na most przy Luwrze?

— Aha — rzekł Atos uśmiechając się — masz pan pojedynek?

— Tak, hrabio, piękny pojedynek, pojedynek, w którym, mam nadzieję, i

---

54 Galaor — postać z hiszpańskiej literatury rycerskiej, typ dzielnego i prawego rycerza.

sam weźmiesz udział.

— Dokąd pójdziemy, milordzie?

— Do jej wysokości królowej Anglii, która zleciła mi przedstawić cię sobie, panie hrabio.

— Jej królewska mość mnie zna?

— Ja cię znam.

— Zagadka — rzekł Atos. — Ale mniejsza z tym, z chwilą kiedy znasz rozwiązanie, nie pytam o nic więcej. Czy nie wyświadczysz mi zaszczytu zjedzenia ze mną obiadu, milordzie?

— Dziękuję, hrabio — odparł de Winter — wizyta tego młodego człowieka, wyznam to panu, odjęła mi apetyt, a pozbawi zapewne i snu. Co zamierza on zbroić tu, w Paryżu? Nie przyjechał po to, aby się tu ze mną spotkać, gdyż nic nie wiedział o mojej podróży. Młodzieniec ten napętnia mnie przerażeniem, hrabio. Nosi on w sobie krwiożercze zamysły.

— Co robi w Anglii?

— To jeden z najgorliwszych sekciarzy Olivera Cromwella.

— Co związało go z tą sprawą? Matka i ojciec byli katolikami, jak sądzę?

— Nienawiść do króla.

— Do króla?

— Tak, król ogłosił go bękartem, wyzuł z dóbr, wzbronił nosić nazwisko de Winter.

— A jak on się teraz nazywa?

— Mordaunt.

— Purytanin przebrany za mnicha, wędrował samotnie drogami Francji.

— Mówisz, za mnicha?

— Tak, nie wiedziałeś o tym?

— Wiem tyle, co mi sam powiedział.

— W ten sposób, przypadkowo, tu błagam Boga o wybaczenie, jeśli bluźnię, w ten sposób wysłuchał spowiedzi kata z Bethune.

— Teraz wszystko odgaduję: przybył wysłany przez Cromwella.

— Do kogo?

— Do Mazariniego. I królowa słusznie odgadła, że zostaliśmy uprzedzeni.

Teraz wszystko staje się jasne. Żegnaj, hrabio, do jutra.

— Ale noc jest ciemna — rzekł Atos widząc, że lord de Winter jest bardziej niespokojny, aniżeli chciałby to okazać — a tyś zapewne bez służącego?

— Mam Tony'ego, dobry chłopiec, ale naiwny.

— Hej, Olivain, Milczek, Blaisois, weźcie muszkiety i poproście pana wicehrabiego.

Blaisois był to duży chłopak, na wpół służący, na wpół wieśniak, którego widzieliśmy mimochodem na zamku Bragelonne, jak anonsował, że podano do stołu. Atos ochrzcił go imieniem prowincji, skąd chłopiec pochodził.

W pięć minut później wszedł Raul.

— Wicehrabio, będziesz pan towarzyszył milordowi aż do jego gospody i proszę, nie pozwól nikomu zbliżyć się doń.

— Ależ, hrabio — odparł de Winter — za kogo mnie bierzesz?

— Za cudzoziemca, który zupełnie nie zna Paryża — odrzekł Atos — i któremu wicehrabia wskaże drogę.

De Winter uściskał mu dłoń.

— Milczek — rzekł Atos — pójdiesz na czele i będziesz dawał baczenie na mnicha.

Milczek zadrżał, po czym skinął głową i czekał na odmarsz, pieszcząc kolbę muszkietu z wymownym milczeniem.

— Do jutra, hrabio — rzekł de Winter.

— Tak, milordzie.

Mały oddziałek ruszył w stronę ulicy Świętego Ludwika. Olivain drżał jak Sozja<sup>55</sup> na każdy błysk podejrzanego światła, Blaisois trzymał się dość dobrze,

---

55 Sozja — służący z komedii Moliera Amfitrion, odznaczający się niebywałym tchórzostwem

ponieważ był nieświadomy jakiegokolwiek niebezpieczeństwa. Tony zaś rozglądał się na prawo i lewo, ale nic nie mógł rzec, gdyż nie znał francuskiego.

De Winter i Raul szli obok siebie i rozmawiali.

Milczek, który w myśl rozkazu Atosa poprzedzał orszak z pochodnią w jednej ręce, a muszkietem w drugiej, doszedłszy przed gospodę de Wintera, uderzył pięścią w drzwi, a kiedy otworzono, bez słowa skłonił się przed milordem.

Powrót odbył się podobnie. Przenikliwe oczy Milczka nie dojrzały nic podejrzanego poza jakimś cieniem zaczajonym w kącie ulicy Guenegaud i nadbrzeża. Wydawało mu się, że przechodząc zauważył już był tego nocnego obserwatora, który przyciągał jego wzrok. Ruszył nań, ale zanim mógł go dopaść, cień zniknął w uliczce, w którą zapuszczać się Milczek nie uważał za roztropne.

Zdali Atosowi sprawozdanie z powodzenia wyprawy, a ponieważ była już dziesiąta wieczór, każdy udał się do swojej izby.

Nazajutrz hrabia, otworzywszy oczy, ujrzał z kolei u swego wezłowania Raula. Młodzieniec był zupełnie ubrany i czytał nową książkę pana Chapelanina.

— Już wstałeś, Raulu?

— Tak, panie — odparł młody człowiek z lekkim wahaniem — źle spałem.

— Ty, Raulu! Źle spałeś? A cóż cię tak absorbowало? — dopytywał Atos.

— Powie pan, że tak bardzo śpieszę go opuścić, ledwie tu przybywszy, ale...

— Masz tylko dwa dni urlopu, Raulu?

— Przeciwnie, panie, mam dziesięć dni, ale ja wcale nie zamierzam jechać do obozu...

Atos uśmiechnął się.

— Więc dokąd — rzekł — o ile to, wicehrabio, nie jest sekretem? Tyś już niemal mężczyzną, ponieważ jesteś po chrzcie bojowym, i zdobyłeś sobie prawo

udania się, dokąd chcesz, bez opowiadania mi się.

— Nigdy, panie — rzekł Raul — póki będę miał szczęście mieć pana za swego opiekuna, nie przyjdzie mi na myśl uwalniać się spod tej opieki, tak dla mnie drogiej. Pragnąłbym jedynie spędzić jeden dzień w Blois. Pan na mnie patrzy i będzie się śmiał ze mnie?

— Nie, przeciwnie — rzekł Atos westchnąwszy — nie, wcale się nie śmieję, wicehrabio. Ależ to zupełnie naturalne, że pragniesz znów ujrzeć Blois!

— A więc pan mi na to zezwala? — wykrzyknął Raul promieniejąc radością.

— Oczywiście, Raulu.

— A czy w głębi serca nie czujesz pan do mnie urazy?

— Nic podobnego. Dlaczegoż miałbym żywić urazę o to, co ci sprawia przyjemność?

— Ach, jaki pan dobry! — wykrzyknął młodzieniec czyniąc ruch, jakby chciał rzucić się na szyję Atosowi; jednak szacunek go powstrzymał.

Atos wyciągnął doń ramiona.

— Więc mogę wyjeżdżać natychmiast?

— Kiedy chcesz, Raulu.

Raul postąpił trzy kroki ku wyjściu.

— Panie — rzekł — myślałem o jednej rzeczy, mianowicie, że dostanie się do otoczenia jego książęcej wysokości zawdzięczam księżnie de Chevreuse, tak dla mnie łaskawej.

— I że musisz jej podziękować, nieprawdaż, Raulu?

— Ale wydaje mi się, panie, że decyzja należy jednak do was.

— Zajdź do pałacu de Luynes, Raulu, i zapytaj, czy jej książęca wysokość może cię przyjąć. Widzę z przyjemnością, że nie zapominasz o formach towarzyskich. Weźmiesz ze sobą Milczka i Olivaina.

— Obu, panie? — zdziwił się Raul.

— Obu!

Raul skłonił się i wyszedł.

Patrząc nań, jak zamykał drzwi, i słuchając jego wesołego, wibrującego głosu nawołującego Milczka i Olivaina, Atos westchnął.

Prędko mnie opuszcza — rozmyślał potrząsając głową — ale cóż, jest tylko posłuszny ogólnemu prawu. Już taka jest natura, zawsze patrzy w przód. Niewątpliwie kocha on to dziecko. Lecz czyż kochając innych, mnie kocha mniej?

I Atos wyznał sobie, że wcale nie spodziewał się tego nagłego odjazdu. Lecz Raul był tak szczęśliwy, że wobec tego wszystko zatarło się w umyśle Atosa.

O dziewiątej przygotowania do odjazdu były zakończone. Kiedy Atos przyglądał się, jak Raul dosiada konia, przyszedł służący przynosząc dlań pozdrowienia od księżnej de Chevreuse. Polecono mu powiedzieć hrabiemu de La Fere, że księżna dowiedziała się o przybyciu swego młodego protegowanego, jak również o jego zachowaniu się na polu bitwy i że byłaby rada powinszować mu tego.

— Powiedz księżnej pani — odparł Atos — że pan wicehrabia dosiada właśnie konia, aby udać się do pałacu de Luynes.

Po czym, dawszy nowe zlecenie Milczkowi, Atos skinął Raulowi ręką na znak, że może odjeżdżać.

Zresztą, zastanawiając się nad tym, Atos osądził, że być może lepiej nawet, jeśli Raul opuści Paryż w danej chwili.

## 45. Jeszcze jedna królowa prosi o pomoc

Atos zaraz z rana posłał powiadomienie Aramisowi; list dał Blaisois, jedynemu służącemu, jaki mu pozostał. Blaisois zastał Gryzipiórka przywdziewającego kościelną suknię, tego dnia miał bowiem służbę u Panny Marii.

Atos zalecił Blaisois, aby usiłował rozmówić się z Aramisem osobiście. Blaisois, duży i naiwny chłopak, nie rozumiejący nic poza rozkazem, pytał o księdza d'Herblay i mimo zapewnień Gryzipiórka, że nie ma go w domu, nalegał w taki sposób, że wprawił tamtego w gniew. Blaisois, widząc Gryzipiórka w kościelnym stroju, mało się przejął jego zaprzeczeniami i chciał przejść mimo, sądził bowiem, że ów, z którym załatwia sprawę, posiada wszystkie cnoty związane ze swą suknią, to znaczy cierpliwość i chrześcijańskie miłosierdzie.

Ale Gryzipiórek, ilekroć chwyciła go pasja, był zawsze sługą muszkietera; chwycił więc za kij od miotły i trzasnął nim Blaisois, mówiąc:

— Znieważyłeś kościół. Przyjacielu, znieważyłeś kościół.

W tejże chwili na tak niezwykły hałas ukazał się Aramis, uchylając ostrożnie drzwi od sypialni.

Wtedy Gryzipiórek oparł z szacunkiem, miotłę jednym końcem, widział był bowiem, że tak czynią szwajcarzy u Panny Marii ze swymi halabardami. Blaisois zaś, spojrzawszy z wyrzutem w stronę cerbera, wyciągnął list z kieszeni i okazał Aramisowi.

— Od pana hrabiego de La Fere? — spytał Aramis. — Doskonale. Po czym cofnął się, nawet nie zapytawszy o przyczynę całego hałasu. Blaisois powrócił smętnie do gospody “Pod Karolem Wielkim”. Atos zapytał go, jak wykonał zlecenie. Sługa opowiedział swą przygodę.

— Głuptasie! — roześmiał się Atos — nie powiedziałeś więc, że

przychodzisz ode mnie?

— Nie, panie.

— A co rzekł Gryzipiórek, kiedy się dowiedział, że jesteś ode mnie?

— Och, panie, przeproszał mnie na wszelki sposób i zmusił do wypicia dwóch szklanek bardzo dobrego muszkatowego wina, w którym kazał mi umoczyć trzy czy cztery wyborne suchary. Ale to bez znaczenia, to brutal jak sam diabeł. Taki tam kościelny! Pfuj!

Doskonale — pomyślał Atos — z chwilą kiedy Aramis otrzymał mój list, to żeby nie wiem jak był zajęty, na pewno się zjawi.

O godzinie dziesiątej Atos, dokładny jak zawsze, znajdował się już na moście koło Luwru. Tam spotkał lorda de Wintera, który przybył jednocześnie z nim.

Czekali prawie dziesięć minut.

Milord jął się niepokoić, że Aramis nie przyjdzie.

— Cierpliwości — rzekł Atos mając oczy utkwione w kierunku ulicy du Bac. — Cierpliwości, oto ksiądz, który daje kuksańca jakiemuś człowiekowi i kłania się kobiecie. Musi to być Aramis.

Istotnie, był to on. W tym momencie jakiś młody, zagapiony mieszczanin znalazł się na jego drodze i Aramis, którego ów ochlapał, jednym ciosem pięści odrzucił go na dziesięć kroków. Jednocześnie przechodziła któraś z jego penitentek. A ponieważ była młoda i ładna, Aramis skłonił się jej z najwdzięczniejszym uśmiechem.

Po chwili był już przy nich.

Rozumie się, że padli sobie z lordem de Winter w objęcia.

— Dokąd idziemy? — pytał Aramis. — Jakieś spotkanie na ostre, do kroćset? Nie wzięłem dziś rano szpady i muszę po nią wrócić do siebie.

— Nie — odparł de Winter — idziemy złożyć wizytę jej królewskiej mości królowej Anglii.

— To doskonale — odrzekł Aramis — a jaki cel ma ta wizyta? — ciągnął



nachylając się do ucha Atosa.

— Dalibóg, nie mam pojęcia, może chcą od nas coś wydobyć?

— Czy to ma jakiś związek z tą przeklętą sprawą? — odparł Aramis. — W, takim razie nie kwapiłbym się zbytnio, aby tam iść, gdyż byłoby to narażeniem się na przygany, a odkąd udzielam je innym, nie lubię ich sam otrzymywać.

— Gdyby tak było — rzekł Atos — nie prowadziłby nas lord de Winter do jej królewskiej mości, gdyż dostałoby się i jemu, należał przecież do nas.

— Tak, to prawda, chodźmy więc.

Gdy dotarli do Luwru, lord de Winter przeszedł pierwszy. Zresztą przy drzwiach znajdował się jeden jedyny dozorca. W świetle dziennym Atos, Aramis, a nawet Anglik mogli dostrzec straszliwe ubóstwo pomieszczenia, które chciwe miłosierdzie odstępowało nieszczęsnej królowej.

Wielkie sale całkowicie ogołoczone z mebli, zniszczone ściany, na których tu i ówdzie widać było stare złocone gzymsy, jakie ostały się w tym opuszczeniu; okna nie domykały się, brakowało w nich szyb. Żadnych dywanów, straży, służby — oto co najpierw uderzyło wzrok Atosa i na co w milczeniu wskazał swemu towarzyszowi, trącając go łokciem i ukazując oczami tę nędzę.

— Mazarini mieszka lepiej — rzekł Aramis.

— Mazarini jest prawie-królem — odrzekł Atos — a królowa Henrieta prawie już nie jest królową.

— Gdybyś zechciał, Atosie, mieć koncept — rzekł Aramis — to wierzę, miałbyś go lepszy aniżeli ten biedny Voiture.

Atos się uśmiechnął.

Królowa zdawała się oczekiwać ich z niecierpliwością, gdyż na pierwszy ruch, posłyszany w sali przed jej komnatą, wyszła na próg, by przyjąć dworzan swej niedoli.

— Proszę wejść, panowie, bardzo mi miło — wyrzekła.

Szlachcice weszli i na razie zatrzymali się w postawie stojącej, ale na znak

królowej, aby usiedli, Atos dał przykład posłuszeństwa. Był poważny i spokojny. Za to Aramis wściekał się. To królewskie nieszczęście rozjątrzyło go, badał wzrokiem każdy nowo dostrzeżony przejaw nędzy.

— Pan przygląda się mojemu zbytkowi? — rzekła królowa Henrieta, rzuciwszy smutne spojrzenie wokół siebie.

— Wasza królewska wysokość, proszę mi to wybaczyć, ale nie potrafiłbym ukryć swego oburzenia widząc, jak na francuskim dworze traktują córkę Henryka IV.

— Czy ten pan nie należy do stanu rycerskiego? — zwróciła się do de Wintera.

— To ksiądz d'Herblay — odparł zapytany.

Aramis zarumienił się.

— Wasza królewska mość, to prawda, że jestem księdzem, ale wbrew swej woli. Nigdy nie miałem powołania do duchownej sukienki. Sutanna moja trzyma się na jednym guziku i zawsze jestem gotów przeobrazić się z powrotem w muszkietera. Tego ranka, nie wiedząc, że będę miał honor widzieć waszą królewską mość, przystroiłem się dziwacznie w te szaty, ale to nie umniejsza mnie ani na jotę i wasza królewska mość odnajdziesz najbardziej oddanego sobie sługę we wszystkim, co zechcesz mi rozkazać.

— Kawaler d'Herblay — podjął de Winter — jest jednym z tych walecznych muszkieterów jego królewskiej mości króla Ludwika XIII, o których już pani wspominałem. — Po czym zwrócił się w stronę Atosa. — A ten pan jest hrabią de La Fere. Jego wysoka reputacja znana jest doskonale waszej królewskiej mości.

— Proszę panów — odezwała się królowa — kilka lat temu miałam wokół siebie pełno szlachty, skarbów, wojska. Na jedno skinienie wszystko to było na me usługi. Dziś, spójrzcie na moje otoczenie, dziwi was ono bez wątpienia. Ale dla dopełnienia pewnego zamiaru, który ma mi ocalić życie, mam tylko lorda de Wintera, przyjaciela od dwudziestu lat, i was, panowie, których widzę po raz

pierwszy, a znam wyłącznie jako swych rodaków.

— To wystarczy, wasza królewska mość — odparł Atos składając głęboki ukłon — jeśli życie trzech ludzi może odkupić życie jej wysokości.

— Dzięki, panowie. Ale proszę mnie posłuchać — ciągnęła — jestem nie tylko najbiedniejszą z królowych, ale i najnieszczęśliwszą z matek, najbardziej zrozpaczoną z małżonek. Moje dzieci, przynajmniej dwoje, księżę Yorku i księżniczka Charlota, są daleko ode mnie, wystawione na ciosy ludzi ambitnych i wrogów. Mój królewski małżonek wiezie w Anglii żywot tak pełen utrapień, że słabo to wyrażam stwierdzając, iż szuka on śmierci jak czegoś upragnionego. Oto, panowie, list, który mi przesłał przez lorda de Wintera. Czytajcie.

Atos i Aramis wzbraniali się.

— Proszę, czytajcie — powtórzyła królowa.

Atos odczytał na głos znany nam już list, w którym król Karol zapytywał, czy udzieli mu gościny we Francji.

— A więc? — zagadnął Atos ukończywszy czytanie.

— Więc odmówił mu jej — odparła królowa.

Dwaj przyjaciele wymienili pogardliwe uśmiechy.

— A teraz, pani, co należy czynić? — zapytał Atos.

— Czy macie choć trochę współczucia dla tak wielkiego nieszczęścia? — spytała wzruszona królowa.

— Mam honor zapytać waszą królewską mość, czego pani sobie życzy, byśmy, pan d'Herblay i ja, dla niej uczynili. Jesteśmy do usług.

— Ach, waszmość istotnie masz szlachetne serce! — wykrzyknęła królowa głosem pełnym wdzięczności, gdy tymczasem lord de Winter patrzył na nią zdając się mówić: Czyż ja, pani, nie ręczyłem za nich?

— No, a pan? — zwróciła się królowa do Aramisa.

— Ja, pani — odpowiedział — dokądkolwiek idzie pan hrabia, choćby to była droga do śmierci, idę za nim o nic nie pytając. Lecz jeśli chodzi o służby waszej królewskiej wysokości — dodał patrząc na królową z całym wdziękiem

młodości — to idę przed panem hrabią.

— Więc, panowie — rzekła królowa — ponieważ sprawy tak stoją, ponieważ chcecie oddać swe służby ubogiej władczyni, opuszczonej przez cały świat, oto co należy uczynić dla mnie. Król jest sam z kilkoma szlachty, których boi się utracić każdego dnia, pośród Szkotów, którym nie ufa, chociaż sam jest Szkotem. Odkąd opuścił go lord de Winter, odchodzę ód zmysłów. Otóż może domagam się zbyt wiele, gdyż nie mam do tego żadnego tytułu: jedźcie do Anglii, dołączcie do króla, bądźcie jego przyjaciółmi, jego stróżami, nie odstępujcie go w bitwie, nie odstępujcie w samym domu, gdzie każdego dnia czyhają zasadzki o ileż groźniejsze niż wszelkie niebezpieczeństwa wojny. A w zamian za uczynioną dla mnie ofiarę, panowie, przyrzekam wam nie wynagrodzić — uważam, że słowo to zraniłoby was — ale kochać was jak siostra i przenosić nad wszystkich prócz męża i dzieci. Przysięgam to w obliczu Boga!

Tu królowa z wolna i uroczyście; podniosła oczy ku niebu.

— Kiedy wasza królewska mość każe nam wyruszyć? — zapytał Atos.

— A więc zgadzacie się?! — krzyknęła radośnie królowa.

— Tak, pani. Tylko, jak mi się wydaje, wasza królewska mość za daleko zmierza pragnąc obdarzyć nas przyjaźnią o wiele ponad nasze zasługi. Służąc tak nieszczęśliwemu monarsze i tak pełnej cnót królowej, służymy Bogu, pani. Jesteśmy ci oddani duszą i ciałem.

— Ach, panowie — odparła wzruszona do łez królowa — oto pierwsza chwilka radości i nadziei, jakiej doświadczyłam od pięciu lat. Tak, służycie Bogu, a ponieważ moja władza będzie zbyt ograniczona, aby odwdzięczyć się za podobną ofiarę, On wam ją wynagrodzi, On, który czyta w moim sercu całą wdzięczność dla Niego i dla was. Ratujcie mego małżonka, ratujcie króla, i choć obojętni na nagrodę, jaką możecie otrzymać na ziemi za ten piękny uczynek, pozostawcie mi nadzieję, że was znów ujrzę, aby osobiście podziękować. Pozostaję trwając w oczekiwaniu. Macie mi, panowie, coś do

powiedzenia? Odtąd jestem waszą przyjaciółką. Zajmujecie się moimi sprawami, więc winnam się zająć waszymi.

— Wasza królewska mość — podjął Atos — proszę tylko o modlitwy.

— A ja — rzekł Aramis — jestem sam na świecie i pozostaje mi tylko służba waszej królewskiej mości.

Królowa wyciągnęła do nich dłoń, którą ucałowali, ona zaś szepnęła de Winterowi:

— Jeśli, milordzie, nie macie pieniędzy, nie wahajcie się ani chwili. Połamcie klejnoty, które wam wręczyłam, wyjmijcie z nich diamenty i sprzedajcie jakiemu Żydowi. Uzyskacie za nie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu tysięcy liwrów, jeśli to konieczne, wydajcie je, byleby tylko ci szlachcice potraktowani byli, jak na to zasługują, to znaczy po królewsku.

Królowa przygotowała dwa listy: jeden napisała sama, drugi jej córka, księżniczka Henryka. Oba były zaadresowane do króla Karola. Jeden wręczyła Atosowi, drugi Aramisowi, gdyby wypadek rozdzielił ich i musieli osobno dać się poznać królowi. Po czym opuścili komnatę.

U stóp schodów de Winter zatrzymał się.

— Idźcie, panowie, w swoją stronę — rzekł — a ja pójdę w swoją, by nie wzbudzać żadnych podejrzeń. Dziś wieczór o dziewiątej spotkamy się przy bramie Saint-Denis. Pojedziemy moimi końmi, dopóki się da, a potem weźmiemy pocztowe. Jeszcze raz dziękuję, moi drodzy przyjaciele, dziękuję w swoim imieniu, dziękuję w imieniu królowej.

I trzech szlachcice uścisnęli sobie dłoń: hrabia de Winter ruszył ulicą Saint-Honore, Atos zaś z Aramisem pozostali.

— A więc — odezwał się Aramis, kiedy byli już sami — co powiesz, drogi hrabio, o tej sprawie?

— Kiepska — odparł Atos — bardzo kiepska.

— Ale podjąłeś się jej z entuzjazmem?

— Jak zwykle, kiedy podejmuję się obrony wielkiej zasady, mój drogi

d'Herblay. Królowie mogą być silni tylko przez szlachtę, ale szlachta może być czymś wielkim tylko przez królów. Podtrzymujemy monarchie, gdyż w ten sposób podtrzymujemy samych siebie.

— Idziemy tam na pewną śmierć — rzekł Aramis. — Nienawidzę Anglików, są grubiańscy jak wszyscy ludzie, którzy piją piwo.

— Czyżby lepiej było pozostać tutaj — odparł Atos — i przespacerować się do Bastylji lub wieżycy Vincennes za pomoc przy ucieczce księcia de Beaufort? Daję słowo, Aramisie, wierz mi, nie ma czego żałować. Unikamy więzienia i postępujemy jak bohaterowie — wybór nietrudny.

— To prawda. Ale w każdym razie, mój drogi, trzeba powrócić do pierwszej sprawy, bardzo głupiej, wiem o tym, ale wręcz koniecznej: masz pieniądze?

— Jakieś sto pistoli, które przysłał mi mój dzierżawca w wilię wyjazdu z Bragelonne. Lecz z tego muszę odłożyć dla Raula pięćdziesiąt: młody człowiek musi żyć godnie. Mam więc tylko około pięćdziesięciu pistoli. A ty?

— Jestem pewny, że gdybym wywrócił wszystkie kieszenie i przeszukał wszystkie swe szuflady, nie znalazłbym dziesięciu ludwików. Na szczęście lord de Winter jest bogaty.

— W tej chwili lord de Winter jest zrujnowany, gdyż Cromwell położył rękę na jego dochodach.

— Przydałby się tutaj baron Portos — odparł Aramis.

— Żal mi d'Artagnana — dodał Atos.

— Pełna kabza!

— Tęga szpada!

— Skaptujmy ich.

— Ten sekret nie należy do nas, Aramisie. I zawierz mi, nie dopuszczajmy nikogo w tych sprawach do konfidencji. A poza tym, podejmując taki krok, wydawalibyśmy się wątpić o nas samych. Żałujmy każdy osobno, ale nie mówmy o tym.

— Masz rację. Co porabiasz dziś wieczór? Ja muszę załatwić dwie sprawy.

— Czy coś takiego, co da się załatwić?

— Cóż, jak trzeba koniecznie.

— A co to za sprawy?

— Najpierw cios spada dla koadiutora, którego spotkałem wczoraj wieczorem u księżnej de Rambouillet i który, uważam, przybrał szczególnie górny ton na mój widok.

— Ho, ho! Kłótnia między księżmi! Pojedynek między sprzymierzeńcami.

— Cóż chcesz, mój drogi! To rębacz, ja również, uganiam się po alkowach, ja także. Sutanna mu ciąży, a i ja, dalibóg, mam jej po uszy. Czasami myślę, że to on jest Aramisem, a ja koadiutorem, do tego stopnia jeden przypomina drugiego. Ta rola Sozji<sup>56</sup> już mnie nudzi i przyćmiewa moją osobę. Zresztą to warchoł, który doprowadzi nasze stronnictwo do upadku. Jestem przekonany, że gdybym go spoliczkował, jak to dziś rano uczyniłem z tym małym mieszczuchem, który mnie ochlapał, zmieniłoby to oblicze spraw.

— Ja zaś, drogi Aramisie — odpowiedział spokojnie Atos — ja zaś sądzę, że to zmieni najwyżej oblicze pana de Retz. Wierz mi, pozostawmy rzeczy ich biegowi. Zresztą nie należysz już ani do jednego, ani do drugiego stronnictwa: jesteś człowiekiem królowej Anglii, a on człowiekiem Frondy, jeśli więc druga sprawa, której żałujesz, iż nie możesz załatwić, nie jest ważniejsza od pierwszej...

— O, ta jest bardzo ważna.

— To załatwiał ją natychmiast.

— Na nieszczęście nie ode mnie zależy załatwić ją, kiedy zechcę. Dopiero późnym wieczorem.

— Rozumiem — rzekł Atos uśmiechając się — o północy.

— Prawie.

— Cóż chcesz, mój drogi, właśnie podobne sprawy się odkłada i ty mając

---

<sup>56</sup> Sozja — tu: sobowtór; w komedii Moliera Amfitrion bóg Merkury przybrał postać Sozji, służącego, i na scenie pojawiają się wciąż dwa sobowtóry: Sozja prawdziwy i Merkury — Sozja fałszywy.

taką wymówkę, odłożysz ją aż do swego powrotu.

— Tak, jeśli powrócę.

— Jak nie powrócisz, to co cię obchodzi? Miej trochę rozumu. No, Aramisie, przecież nie masz już dwudziestu lat, drogi przyjacielu.

— I bardzo żałuję, do kata! Ot, żebym to miał dwadzieścia lat!

— Tak — odparł Atos — wierzę, iż popełniałbyś nieliczne szaleństwa. Ale musimy się rozstać: mam złożyć jedną czy dwie wizyty i napisać list. Wracaj więc zabrać mnie o ósmej, a może wolałbyś raczej, żebym cię oczekiwał z wieczerzą o siódmej?

— Doskonale, mam złożyć dwadzieścia wizyt i napisać tyleż listów. I z tym rozstali się. Atos udał się z wizytą do księżnej de Vendôme, złożył bilet księżnej de Chevreuse i napisał do d'Artagnana następujący list:

*Drogi Przyjacielu, wyjeżdżam z Aramisem w ważnej sprawie. Chciałbym Cię pożegnać, ale nie mam czasu. Nie zapominaj, że piszę do Ciebie, aby jeszcze raz powtórzyć, jak bardzo Cię Kocham.*

*Raul udał się do Blois i nic nie wie o moim wyjeździe; czuwaj nad nim w czasie mej nieobecności, jak tylko będziesz mógł. Jeśli przypadkiem nie będziesz miał ode mnie wiadomości w ciągu trzech miesięcy, powiedz mu, by otworzył pakiet zaadresowany na jego imię. Znajdzie go w Blois w mojej brązowej szkatułce, do której przysyłam Ci klucz.*

*Ucałuj Portosa od Aramisa i ode mnie.*

*Do widzenia, a może żegnaj.*

I kazał Blaisois odnieść list.

O umówionej godzinie nadszedł Aramis; był ubrany w strój podróżny, u boku miał ową starodawną szpadę, której tak często dobywał i której teraz bardziej aniżeli kiedykolwiek gotów był dobyć.



— Sądzę — rzekł — że stanowczo postępujemy niesłusznie odjeżdżając w ten sposób, jednym słowem, nie pożegnawszy Portosa i d' Artagnana.

— To już załatwione, drogi przyjacielu — odparł Atos — zadbałem o to. Uściskałem ich obu od ciebie i siebie.

— Jesteś godny podziwu, drogi hrabio, myślisz o wszystkim.

— Więc jak, zdecydowałeś się na tę podróż?

— Stanowczo, i obecnie, kiedy przemyślałem to sobie, jestem gotów opuścić Paryż w tejże chwili.

— Ja również — odpowiedział Atos. — Żałuję tylko, iż nie uściskałem d' Artagnana, ale ten szatan jest tak przebiegły, że mógłby odgadnąć nasze zamiary.

Pod koniec obiadu Blaisois powrócił.

— Oto, wasza dostojność, odpowiedź pana d' Artagnana.

— Ależ, głuptasie, przecież ci nie mówiłem, że ma być odpowiedź — rzucił Atos.

— Toteż odszedłem nie mieszkając, ale zawołał na mnie i dał mi to. I Blaisois wręczył skórzany woreczek, wielce zaokrąglony i brzęczący. Atos otworzył go i pierwsze, co wyciągnął, był to bilecik o następującej treści:

*Drogi Hrabio*

*Kiedy się wyjeżdża w podróż, i to jeszcze na trzy miesiące, nigdy nie dosyć pieniędzy. Przypominam sobie nasze lata nędzy i przesyłam Ci połowę mej sakiewki. Są to pieniądze, które udało mi się wyludzić od Mazariniego. Nie zróbcie więc z nich, błagam, zbyt złego użytku.*

*Co się tyczy tego, że Was więcej nie ujrzę, nie wierzę ani słowa. Z Waszym męstwem i Waszą szpadą przechodzi się wszędzie.*

*Zatem do widzenia, a nie żegnaj.*

*Bez wątpienia, od chwili kiedy ujrzałem Raula, pokochałem go jak swoje własne dziecko. Jednak, wierz mi, proszę szczerze Boga, by*

*nie zostać jego ojcem, chociaż byłbym dumny z takiego syna jak on.*

*Twój d'Artagnan*

*PS Oczywiście, pięćdziesiąt ludwików, które posyłam, są  
zarówno dla Ciebie, jak i dla Aramisa, dla Aramisa, jak i dla Ciebie.*

Atos uśmiechnął się, a jego piękne spojrzenie przesłoniła łza. D'Artagnan, którego zawsze czule kochał, jakkolwiek mazarinista, kochał go też zawsze.

— Dalibóg — odezwał się Aramis wysypując sakiewkę na stół — pięćdziesiąt ludwików i wszystkie z wizerunkiem króla Ludwika XIII. Więc co robisz, hrabio, z tym złotem, zatrzymujesz czy odsyłasz?

— Zatrzymuję, Aramisie. Gdybym go nawet nie potrzebował, jeszcze bym je zatrzymał. Co ofiarowano ze szczerego serca, winno być szczerym sercem przyjęte. Weź sobie dwadzieścia pięć, Aramisie, i mnie daj dwadzieścia pięć.

— Na szczęście, wielcem rad, że jesteś mego zdania. Co, więc jedziemy?

— Jak sobie życzysz. Cóż to nie masz wcale sługi?

— Nie, ten dureń Gryzipiórek strzelił głupstwo, zostając, jak wiesz, kościelnym. W ten sposób nie może opuścić Panny Marii.

— To dobrze, weźmiesz Blaisois, z którym nie wiedziałbym, co robić, mam już bowiem Milczka.

— Chętnie — odparł Aramis.

W tejże chwili Milczek stanął w progu.

— Gotowi — powiedział ze zwykłym sobie lakonizmem.

— Jedźmy więc — rzekł Atos.

Istotnie, osiodłane konie już czekały, czekali też i słudzy. Na rogu nadbrzeża spotkali Gryzipiórka, który nadbiegł zadyszany.

— Och, panie, Bogu dzięki! Zdążyłem na czas.

— Co się stało?

— Pan Portos wyszedł z domu i zostawił to dla waszej wielbności, mówiąc, iż rzecz bardzo pilna i musi być doręczona przed pańskim odjazdem.

— Dobrze — rzekł Aramis biorąc sakiewkę, którą mu podawał Gryziپیórek. — A to co?

— Wasza wielbność zaczeka, jest list.

— Słuchaj no, powiedziałem ci już, że jeśli nazwiesz mnie jeszcze raz po kościelnemu, połamię ci kości. Zobaczmyż list.

— Jakże go przeczytasz? — zagadnął Atos. — Ciemno jak w kominie.

— Czekajcie, panowie — rzekł Gryziپیórek.

Skrzesał ognia, zaświecił ogarek służący do zapalania świec w kościele. W jego świetle Aramis czytał.

*Drogi d'Herblay*

*Dowiaduję się od d'Artagnana, który mi przekazuje Twoje uściski, jak też i hrabiego de La Fere, że wyjeżdżasz z ekspedycją, która być może potrwa dwa albo trzy miesiące. Ponieważ wiem, że nie lubisz prosić przyjaciół, ofiaruję Ci dwieście pistoli, którymi możesz rozporządzać wedle woli i zwrócić je, kiedy nadarzy się okazja. Nie obawiaj się, że sprawisz mi kłopot: jeśli będę potrzebował pieniędzy, każę je sobie przysłać z jednego z mych zamków. W samym tylko Bracieux mam dwadzieścia tysięcy w złocie. A jeśli nie posyłam Ci więcej, to tylko z obawy, że nie przyjąłbyś zbyt dużej sumy.*

*Zwracam się do Ciebie, jak wiesz bowiem, hrabia de La Fere mimo woli onieśmiela mnie zawsze nieco, chociaż kocham go z całego serca. Ale rozumie się samo przez się, że co ofiaruję Tobie, ofiaruję jednocześnie Jemu.*

*Pozostaję oddany Ci mocno, o czym mam nadzieję, nie wątpisz.*

*Du Vallon de Bracieux de Pierrefonds*

— No i cóż ty na to? — zagadnął Aramis.

— Mój drogi d'Herblay, powiem tylko, że to niemal świętokradztwo wątpić w Opatrzność, kiedy się ma takich przyjaciół.

— A więc?

— A więc podzielimy pistole Portosa, jak podzieliliśmy ludwiki d'Artagnana.

Podział został dokonany przy świetle ogarka Gryzipiórka, po czym dwaj przyjaciele ruszyli w drogę.

Po kwadransie byli już przy bramie Saint-Denis, gdzie oczekiwał ich de Winter.

## 46. W którym wykazano, że pierwszy odruch jest zawsze dobry

Trzej szlachcice skierowali się tak dobrze znaną sobie drogą pikardyjską; Atosowi i Aramisowi przywodziła ona na pamięć kilka najbardziej barwnych wspomnień z ich młodości.

— Gdyby Muszkiet był z nami — rzekł Atos docierając do miejsca, gdzie mieli rozprawę z brukarzami — jakżeby drżał przechodząc tędy. Czy przypominasz sobie, Aramisie? To tutaj dosięgła go owa sławetna kula.

— Dalibóg, wybaczam mu — odparł Aramis — ponieważ na to wspomnienie sam odczuwam dreszcz. Patrz, po tamtej stronie tego drzewa ustronie, gdzie już myślałem, że zginął.

Jechali dalej. Wkrótce z kolei Milczek jął zagłębiać się w rozpamiętywania. Dotarłszy pod oberżę, gdzie niegdyś tak hucznie biesiadowali ze swym panem, zbliżył się do Atosa i wskazując na piwniczne okienko, rzekł:

— Kielbasy!

Atos zaczął się śmiać, szaleństwo młodości bowiem wydało mu się tak zabawne, jakby słuchał opowieści o kimś trzecim.

Wreszcie po dwóch dniach i jednej nocy marszu dotarli nad wieczorem, przy wspaniałej pogodzie, do Boulogne, miasta wówczas niemal opustoszałego, wzniesionego całkowicie na wzgórzu. To, co nazywają podgroziem, nie istniało zupełnie. Boulogne było groźną warownią.

Gdy dojeżdżali do bram miasta, de Winter rzekł:

— Zróbmy tak jak w Paryżu: rozdzielimy się, aby uniknąć podejrzeń. Mam tu oberżę mało uczęszczaną, której właściciel jest mi całkowicie oddany. Udam się tam, ponieważ czekają mnie na pewno listy, a wy idźcie, ot choćby do

najlepszego zajazdu w mieście: “Pod Szpadą Henryka Wielkiego”.

Odpocznijcie, a za dwie godziny bądźcie na grobli portowej; winna tam oczekiwać nasza barka.

W ten sposób została ułożona cała rzecz. Lord de Winter pojechał dalej wzdłuż zewnętrznych wałów, by dostać się przez inną bramę, podczas gdy dwaj przyjaciele wjechali tą, przed którą się właśnie znajdowali. Po dwustu krokach trafili na wskazany zajazd.

Dano odpocząć koniom nie rozsiodlując ich jednak. Słudzy spożyli posiłek, gdyż zaczynało się robić późno, a obaj panowie, którym pilno było wsiadać na barkę, umówili się z nimi na grobli portowej, zaleciwszy, by nie rozmawiali absolutnie z nikim, ktokolwiek by to nie był. Zrozumiałe oczywiście, że zalecenie to odnosiło się wyłącznie do Blaisois. Jeśli chodzi o Milczka, od dawna stało się ono zbędne.

Atos i Aramis zeszli do portu.

Ich odzienie pokryte kurzem, pewna swoboda w postawie, która zawsze pozwala rozpoznać człowieka wdrożonego do podróży, spowodowały, że dwaj przyjaciele obudzili uwagę kilku spacerujących.

Między nimi dostrzegli przede wszystkim jednego, na którym przybycie ich sprawiło pewne wrażenie. Człowiek ów, którego zauważyli pierwsi z tychże samych powodów, z jakich sami zostali zauważeni, chodził smętnie tam i z powrotem po grobli. Spozstrzegłszy ich przyglądał się nieustannie i jakby płonął chęcią odezwania się.

Był młody i blady; oczy miał tak wyblakłoniebieskie, iż w zależności od barw, jakie odbijały, wydawały się rozdrażnione jak oczy tygrysa.

Jego krok, mimo iż chodził wolno, a zawracał niepewnie, był twardy i śmiały. Ubrany czarno nosił z pewną gracją długą szpadę.

Przybywszy na groblę, Atos i Aramis zatrzymali się, aby popatrzeć na mały stateczek przycumowany do pala i wyszykowany jak do odjazdu.

— To bez wątpienia nasz — rzekł Atos.

— Tak — odpowiedział Aramis — żaglowiec zaś, który przygotowuje się tam do odpłynięcia, wygląda, że ma nas zawieźć do miejsca przeznaczenia. Teraz — ciągnął dalej — byle tylko de Winter nie dał na siebie czekać. To wcale nie takie przyjemne tkwić tutaj: nie widać ani jednej przechodzącej kobiety.

— Tss! — rzucił Atos — słuchają, o czym rozmawiamy.

Istotnie, spacerujący, który w czasie tych rozważań kręcił się za ich plecami, na nazwisko de Winter przystanął. Ale ponieważ twarz jego nie wyrażała żadnego poruszenia na dźwięk tego nazwiska, mógł to być również zbieg okoliczności.

— Panowie — odezwał się młody człowiek, skłaniając się grzecznie i z wielką swobodą — proszę wybaczyć moją ciekawość, lecz widzę, że przybyliście z Paryża, a przynajmniej, żeście tu obcy w Boulogne.

— Tak, panie, przyjeżdżamy z Paryża — odpowiedział Atos z równą grzecznością — czym możemy służyć?

— Czy nie byłby pan tak łaskaw powiedzieć mi, prawda to, że pan kardynał Mazarini nie jest już ministrem?

— Co za dziwne pytanie — rzucił Aramis.

— I tak, i nie — odparł Atos. — To znaczy, że połowa Francji go przepędza, druga zaś skutkiem intryg i obietnic, popiera, w ten sposób, jak pan widzisz, może to trwać bardzo długo.

— Ostatecznie więc — rzekł cudzoziemiec — ani nie uciekł, ani nie jest uwięziony?

— Nie, panie, przynajmniej jeśli chodzi o chwilę obecną.

— Zechciejcie, panowie, przyjąć podziękowanie za waszą uprzejmość — odparł młody człowiek oddalając się.

— I co ty na tego wścibskiego? — spytał Aramis.

— Prowincjusz, który się nudzi, albo też szpieg, który węszy.

— A ty odpowiedziałeś mu w ten sposób?

— Nic mnie nie upoważniało odpowiedzieć mu inaczej. Był dla mnie grzeczny, więc i ja dlań również.

— Ale jeśli to szpieg...

— Co miałby tu do roboty szpieg? Nie jesteśmy już w czasach kardynała de Richelieu, który za najmniejszym podejrzeniem kazał zamykać porty.

— Mniejsza o to, nie miałeś jednak racji odpowiadając mu tak, jak to uczyniłeś — rzekł Aramis, idąc wzrokiem za młodym człowiekiem, który właśnie znikł za wydmami.

— A ty — odparł Atos — zapominasz, żeś popełnił innego rodzaju nieroztropność, wymieniając nazwisko lorda de Winter. Czyś zapomniał, że młodzieniec zatrzymał się właśnie na dźwięk tego nazwiska?

— Jeszcze jeden powód więcej, że kiedy zwrócił się do ciebie, trzeba go było poprosić, by poszedł swoją drogą.

— Byłaby zwada — rzekł Atos.

— A odkąd to zwada napawa cię strachem?

— Zwada zawsze napęła mnie strachem, ilekroć mnie gdzieś oczekują, a zwada może mi przeszkodzić w przybyciu. Zresztą chcesz, bym ci coś wyznał? Ja również jestem ciekaw obejrzeć tego młodzieńca z bliska.

— A czemuż to?

— Aramisie, będziesz się śmiał ze mnie, Aramisie, będziesz mówił, że ustawicznie powtarzam to samo; będziesz mnie nazywał najbojaźliwszym z marzycieli.

— A to z jakiego powodu?

— Do kogo wydaje ci się podobny ten człowiek?

— Z brzydoty czy z urody? — zaśmiał się Aramis.

— Z brzydoty, oczywiście, o ile mężczyzna może być podobny do kobiety.

— Dalibóg! — wykrzyknął Aramis. — Nasunąłeś mi pewną myśl. Nie, z pewnością nie jesteś marzycielem, drogi przyjacielu, i teraz, gdy się zastanowiłem, tak, daję słowo, masz rację: te cienkie, zaciśnięte usta, te oczy



wydające się zawsze słuchać głowy, a nie serca. To jakiś bękart Milady.

— Kpisz, Aramisie.

— Tylko z przyzwyczajenia, przysięgam ci bowiem, że równie jak ty nie lubię spotykać na swej drodze tego wężego pomiotu.

— De Winter nadchodzi — rzucił Atos.

— To dobrze, brak tylko naszych służących, którzy każą na siebie czekać.

— Nie, już ich widzę, idą ze dwadzieścia kroków za milordem. Rozpoznaję Milczka po sztywno osadzonej głowie i długich nogach. Tony niesie nasze strzelby.

— A zatem załadujemy się na statek już po ciemku? — zagadnął Aramis, spojrzawszy na zachód, gdzie słońce zostawiło tylko złocistą chmurę, która zdawała się powoli gasnąć zanurzając się w morzu.

— Możliwe — odparł Atos.

— Do czarta! — podjął Aramis — nie lubię morza w dzień, ale jeszcze mniej nocą. Huk fal, szum wiatru, straszliwe kołysanie statku, przyznaję, wolałbym klasztor w Noisy.

Atos uśmiechnął się smętnie, słuchając bowiem przyjaciela wyraźnie myślał o czym innym i podążał w stronę de Wintera. Aramis szedł za nim.

— A cóż to się stało naszemu przyjacielowi? — odezwał się. — Wygląda na jednego z dantejskich potępieńców, któremu szatan przemieścił szyję i który ogląda swe pięty. Co za diabeł, że tak się obziera za siebie?

Zoczywszy ich, z kolei de Winter przyśpieszył kroku i dołączył do nich ze zdumiewającą szybkością.

— Co panu jest, milordzie? — spytał Atos — dlaczego pan taki zadyszany?

— Nic, nic — odparł de Winter. — Jednak gdym mijał wydmy, zdawało mi się...

I znów się obejrzał. Atos spojrzał na Aramisa.

— Ale odjeżdżamy — ciągnął de Winter — odjeżdżamy, statek zapewne

nas oczekuje, a oto nasza barka na kotwicy, widzicie ją stąd? Chciałbym już być na niej.

I znów się obejrzał.

— Zapomniał pan czegoś? — zagadnął Aramis.

— Nie, głupstwo.

— Widział go — rzekł po cichu Atos do Aramisa.

Dotarli do schodów prowadzących do barki. De Winter kazał najpierw zejść sługom, którzy nieśli broń, i tragarzom dźwigającym kufry, po czym zaczął sam schodzić.

W tejże chwili Atos spostrzegł mężczyznę, który szedł brzegiem morza równoległe do falochronu, pośpieszając, jakby chciał asystować ich wsiadaniu z drugiego nadbrzeża, odległego zaledwie o dwadzieścia kroków.

W zmierzchu, który jął zstępować na ziemię, rozpoznał indagującego ich przedtem młodzieńca.

Ho, ho! — rzekł do siebie — byłbyż to naprawdę jakiś szpieg, co chciałby przeszkodzić nam w załadowaniu?

Ale gdyby obcy miał taki zamiar, było już trochę za późno na wprowadzenie go w czyn. Z kolei więc Atos zeszedł po schodach, nie tracąc jednak z oczu młodego człowieka. Ten, skróciwszy sobie drogę, ukazał się na służbie.

— Nastaje na nas z pewnością — rzekł Atos — lecz wsiadajmy jakby nigdy nic, a gdy już raz będziemy na pełnym morzu, niech przychodzi.

I Atos wskoczył do barki, która natychmiast odbiła od brzegu i zaczęła się oddalać odpychana przez czterech silnych wioślarzy.

Lecz młodzieniec jął iść za nią, a raczej wyprzedzać ją. Miała ona przepłynąć pomiędzy końcem falochronu, gdzie wznosiła się zapalona właśnie latarnia, a nawisłą skałą. Było go widać z daleka wspinającego się na skałę, jakby chciał znaleźć się ponad barką, kiedy będzie przechodziła przesmykiem.

— Aha, tak — rzekł Aramis do Atosa — ten młody człowiek jest

niewątpliwie szpiegiem.

— Co za młody człowiek? — zapytał de Winter odwracając się.

— No ten, co szedł za nami, rozmawiał, oczekiwał tam w dole — o!

De Winter odwrócił się i spojrział w kierunku wskazanym przez Aramisa.

Latarnia zalewała światłem wąską cieśninę, którą przebywali, i skałę, gdzie stał młody człowiek z gołą głową i skrzyżowanymi ramionami.

— To on! — wykrzyknął lord de Winter chwytając Atosa za ramię — to on! Rozpoznałem go dobrze i nie omyliłem się.

— Co za on? — zapytał Aramis.

— Syn Milady — odparł Atos.

— Mnich! — wykrzyknął Milczek.

Młodzieniec usłyszał te słowa. Można by rzec, że się rzucił w dół, tak bardzo wysunął się na kraniec skały i wychylił nad morze.

— Tak, to ja, mój stryju! Ja — syn Milady, ja — mnich, ja — sekretarz i przyjaciel Cromwella. Znam ciebie, ciebie i twoich towarzyszy.

W barce znajdowało się trzech mężczyzn, z pewnością dzielnych, którym nikt nie śmiałyby zaprzeczyć odwagi. A jednak na ten głos, ten ton i gest po grzbiecie przebiegł im dreszcz przerażenia.

Milczkowi zaś włosy zjeżyły się na głowie, a pot zalał czoło.

— Ach, to ten bratanek, ten mnich — rzekł Aramis — syn Milady, jak sam powiedział?

— Niestety, tak — wyszeptał de Winter.

— No, to poczekajcie — rzucił Aramis.

I z przerażająco zimną krwią, która cechowała go w najtrudniejszych sytuacjach, chwycił jeden z dwóch muszkietów trzymany przez Tony'ego, nabił i wymierzył do człowieka, trwającego na skale jak anioł klątwy.

— Ognia! — wrzasnął Milczek za Aramisem.

Atos rzucił się na lufę strzelby i zapobiegł mającemu nastąpić wystrzałowi.

— Niech cię diabli! — krzyknął Aramis — już go miałem na muszce.

Posłałbym mu kulę prosto w pierś.

— Wystarczy, że zabiliśmy matkę — rzucił głucho Atos.

— Matka była zbrodniarką, która dojadła zarówno nam wszystkim, jak i tym, co byli nam drodzy.

— Tak, ale syn nam nic nie zrobił.

Milczek, który wspiął się na palce, aby widzieć wynik strzału, opadł zniechęcony, trzepnąwszy dłońmi.

Młodzieniec wybuchnął śmiechem.

— Ach, toście tacy? — powiedział. — Tacyście, teraz was już znam. Jego skrzekliwy śmiech i słowa pełne groźby wionęły uniesione bryzą ponad barką i zagubiły się w głębiach widnokregu. Aramisa przejął dreszcz.

— Spokój — odezwał się Atos. — Do diabła, czy przestaliśmy już być mężczyznami?

— Bynajmniej — odparł Aramis. — Ale tamten to demon. I możesz zapytać stryja, czy nie miałbym słuszności uwalniając go od drogiego bratanka.

De Winter w odpowiedzi tylko westchnął.

— Byłoby po wszystkim — ciągnął Aramis. — I obawiam się bardzo, Atosie, czy nie zmusiłeś mnie do popełnienia głupstwa kierując się swoją roztropnością.

Atos ujął rękę de Wintera i usiłując nadać rozmowie inny obrót, spytał szlachcica:

— Kiedy wylądujemy w Anglii?

Ale ten nie usłyszał wcale tych słów i nic nie odpowiedział.

— Spójrz, Atosie — odezwał się Aramis — może jeszcze nie za późno. Patrz, on ciągle tam tkwi.

Atos odwrócił się z wysiłkiem; widok tego młodzieńca był mu wyraźnie przykry.

Istotnie, stał on dalej na skale, latarnia morska tworzyła wokół niego rodzaj świetlnej aureoli.

— Ale co on porabia w Boulogne? — zapytał Atos, który będąc uosobieniem rozumu, we wszystkim doszukiwał się przyczyny mało się troszcząc o wynik.

— Jechał za mną — odezwał się de Winter, który tym razem usłyszał głos Atosa, gdyż słowa pokrywały się z jego myślami.

— Na to, by podążać za tobą, mój przyjacielu — rzekł Atos — musiałby wiedzieć o naszym wyjeździe. A zresztą, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, było wprost przeciwnie: wyprzedzał nas.

— Więc nic z tego nie pojmuję — rzekł Anglik, potrząsając głową jak człowiek, który myśli, że walka z siłą nadprzyrodzoną jest daremna.

— Sądzę, Aramisie — rzekł Atos — że stanowczo nie miałem racji pozbawiając cię swobody działania.

— Zamilcz — odparł Aramis — płakałbym, gdybym mógł.

Milczek głucho chrząknął, co było podobne do ryku.

W tejże chwili zawołano na nich przez tubę ze statku. Pilot siedzący przy sterze odpowiedział i barka przybiła do burty.

Momentalnie szlachta, słudzy, bagaże — wszystko znalazło się na pokładzie. Kapitan czekał tylko na pasażerów, by ruszyć w drogę. Zaledwie postawili stopę na statku, wzięto kurs na Hastings, gdzie mieli lądować.

Wtedy trzech przyjaciele mimo woli rzucili ostatnie spojrzenie ku skale, na której odcinał się jeszcze wyraźnie groźny cień ich prześladowcy.

Po czym dobiegł ich jeszcze głos z ostatnią groźbą:

— Do widzenia, panowie, w Anglii!

## 47. Te Deum z powodu zwycięstwa pod Lens

Cała ta krzątanina, którą zauważyła królowa Henrieta, daremnie usiłując odgadnąć przyczynę, wynikła na wieść o zwycięstwie pod Lens. Jego zwiastunem książę pan uczynił diuka de Chatillon, który przyczynił się wybitnie do sukcesu. Poza tym zlecono mu zawiesić pod sklepieniem Panny Marii dwadzieścia dwa sztandary zdobyte na Lotaryńczykach i Hiszpanach.

Wiadomość ta miała znaczenie decydujące: przechyliła rozpoczęty z parlamentem spór na korzyść dworu. Wszelkie doraźnie wpisywane podatki, którym parlament się sprzeciwiał, były zawsze uzasadniane koniecznością podtrzymywania honoru Francji i ryzykowną nadzieją pobicia wroga. Ponieważ od czasów Nortlingen doświadczano samych niepowodzeń, parlament miał doskonałą sposobność, by interpelować pana Mazariniego w sprawie obiecywanych, a ciągle odkładanych zwycięstw. Tym razem jednak miano je w garści, odniesiono triumf, i to triumf całkowity. W ten sposób wszyscy zrozumieli, że dwór odniósł podwójne zwycięstwo: jedno na zewnątrz, a drugie wewnątrz kraju, tak że nie było nikogo, do młodego króla włącznie, kto by na tę wieść nie zakrzyknął.

— Ejże, panowie z parlamentu, zobaczymy, co teraz powiecie!

Królowa zatem przycisnęła do serca królewskie dziecię, którego górne i nieposkromione uczucia harmonizowały tak pięknie z jej uczuciami. Tegoż wieczora odbyła się narada, na którą wezwano marszałka de La Meilleraie i księcia de Villeroy, ponieważ obaj byli mazarinistami, panów Chavigny i Segurier, ponieważ nienawidzili parlamentu, oraz panów Guitaut i Comminges, ponieważ byli oddani królowej.

Żadna z decyzji, jakie zapadły na tej naradzie, nie przedostała się na zewnątrz. Wiedziano jedynie, że następnej niedzieli zostanie odśpiewane Te

Deum u Panny Marii na cześć zwycięstwa pod Lens.

Następną więc niedzielę paryżanie obudzili się w radosnym nastroju. W owych czasach nie było jeszcze nadmiaru podobnych uroczystości i wywoływały one swój efekt. Słońce, które także zdawało się brać udział w święcie, wstało promienne i złożyło ponure wieżycę stolicy już wypełnionej niezmiernymi tłumami ludu. Najbardziej ponure ulice śródmieścia przybrały odświętny wygląd, a wzdłuż nadbrzeży widać było długie szeregi mieszczan, rzemieślników, kobiet i dzieci udających się do Panny Marii; przypominali rzekę, co wzbiera w stronę swych źródeł.

Kramy były puste, domy zamknięte, każdy chciał widzieć młodego króla z matką i sławnego kardynała Mazariniego, którego nienawidzono do tego stopnia, że nikt nie zamierzał rezygnować z zobaczenia go na własne oczy.

Zresztą w tym niezmiernym tłumie panowała największa swoboda; wszelkie opinie wyrażano otwarcie, dzwoniła w nich, można rzec, nuta buntu, jak tysiące dzwonów wszystkich paryskich kościołów wydzwaniało Te Deum. Miejska straż składała się z samych paryskich mieszczan, nic więc groźnego nie tłumilo koncertu ogólnej nienawiści, nie mroziło słów w złorzeczących ustach.

Tymczasem o ósmej rano pułk gwardii królowej, dowodzony przez Guitaut, a w zastępstwie przez jego siostrzeńca, pana Comminges, przemaszerował z bębniami i trąbami na czele, by rozstawić się od Palais-Royal aż do Panny Marii. Paryżanie przyglądali się temu spokojnie, zawsze ciekawi muzyki wojskowej i barwnych mundurów.

Friquet ubrał się odświętnie i pod pozorem fluksji, którą sprokurował sobie na poczekaniu pakując niezliczoną ilość pestek wiśni po jednej stronie ust, otrzymał od swego zwierzchnika Gryzypiórka zwolnienie na cały dzień.

Najsamprzód Gryzypiórek odmówił, ponieważ był w złym humorze: raz że Aramis odjechał nie mówiąc dokąd, a następnie, że musiał służyć do mszy odprawianej z okazji zwycięstwa, które nie było po jego myśli.

Jak sobie bowiem przypominamy, Gryzypiórek był frondystą. I gdyby

istniał sposób, by kościelny mógł się uchylić od podobnej uroczystości jak zwykły ministrant, Gryzipiórek z pewnością zwróciłby się do arcybiskupa z taką samą prośbą, z jaką zwrócono się do niego. Najpierw więc, jak to już rzekliśmy, odmówił wszelkiego zwolnienia. Ale fluksja Friqueta tak rosła w oczach Gryzipiórka, że dla honoru korpusu ministrantów, który skompromitowałaby podobna szpetność, ustąpił wreszcie mruczając pod nosem. We drzwiach kościoła Friquet wypluł swą fluksję i przesłał w stronę Gryzipiórka jeden z tych gestów, które ulicznikowi paryskiemu zapewniają wyższość nad wszystkimi innymi urwisami świata. Jeśli zaś chodzi o oberżę, to oczywiście wykręcił się po prostu, mówiąc, że służy do mszy u Panny Marii.

Friquet był więc wolny i jak już widzieliśmy, przyodział się w swój najwspanialszy strój; przede wszystkim ozdobę godną jego osoby stanowiła czapka, jedna z owych trudnych do opisanie czapek, które są czymś pośrednim pomiędzy średniowieczną beretą a kapeluszem z czasów Ludwika XIII. To interesujące nakrycie głowy sporządziła mu matka i czy to z kaprysu, czy braku jednolitego materiału niezbyt troszczyła się o dobór kolorów. W ten sposób arcydzieło kapelusznictwa siedemnastego wieku było żółte i zielone z jednej strony, białe i czerwone z drugiej. Ale Friquet, który zawsze lubił różnorodność kolorów, szczylił się tym i triumfował jeszcze bardziej.

Wyszedłszy od Gryzipiórka, ruszył biegiem do Palais-Royal; dotarł tam już w momencie wymarszu pułku gwardii. Ponieważ przyleciał po to, aby nacieszyć się jego widokiem jak i orkiestrą, zajął miejsce na jej czele udając dwoma kawałkami łupku bicie w bęben, po czym przeszedł na trąbkę, którą oczywiście naśladował ustami w sposób zjednujący mu nieraz pochwały amatorów sztuki imitatorskiej.

Zabawa ta trwała od rogatki des Sergents aż do placu Panny Marii, więc Friquet zabawił się doskonale. Ale kiedy pułk zatrzymał się i rozwijające się kompanie dotarły aż do serca starego miasta, ustawiając się na skraju ulicy Saint-Christophe tuż koło ulicy Cocatrix, gdzie mieszkał Broussel, Friquet



przypomniał sobie, że nie jadł śniadania. Zastanowił się, gdzie mógłby skierować swe kroki celem dopełnienia tego ważnego aktu dnia, i po dojrzałym namyśle zdecydował, że uda się do radcy Broussela, który pokryje koszty jego posiłku.

Puścił się więc pędem, zupełnie bez tchu dotarł przed drzwi radcy i mocno zastukał.

Otworzyła mu jego matka, stara służąca Broussela.

— Co tu robisz, gałganie, dlaczego nie jesteś u Panny Marii?

— Byłem, matusiu — odparł Friquet — ale widziałem, że dzieją się tam rzeczy, o których pan Broussel winien być powiadomiony, i za pozwoleniem pana Gryzipiórka, wiesz, mateczko, pana kościelnego Gryzipiórka, przyszedłem, aby porozumieć się z panem Brousselem.

— A cóż ty, małpiszonie, masz do mówienia panu Broussel?

— Chcę to powiedzieć jemu samemu.

— To się nie da zrobić, pracuje teraz.

— Więc poczekam — odparł Friquet, co tym bardziej było mu na rękę, że znalazł dobry sposób wykorzystania momentu.

Wbiegł zatem szybko na schody, podczas gdy jejmość Nanette postępowała za nim wolniej.

— Lecz ostatecznie czego chcesz od pana Broussela?

— Chcę mu powiedzieć — odparł Friquet wrzeszcząc ile sił — że cały pułk gwardii idzie z tej strony. A ponieważ słyszałem, jak wszędzie mówią, że na dworze są doń źle usposobieni, więc przyszedłem uprzedzić, aby się miał na baczności.

Broussel posłyszał wrzask urwisa i zachwycony nadmiarem jego gorliwości, zeszedł na pierwsze piętro; istotnie bowiem pracował był w swoim gabinecie na drugim piętrze.

— Och, mój przyjacielu — rzekł — co nas obchodzi pułk gwardii i czyś oszalał, żeby wszczynać podobny skandal? Czyż nie wiesz, że to, co robią ci

panowie, to zwykła rzecz i że leży w zwyczajach tego regimentu ustawiać się w szpaler na przyjazd króla?

Friquet udał zdziwionego i obracając swoją nową czapkę w palcach rzekł:

— Nie dziwne, panie Broussel, że pan o tym wie, bo pan wiesz wszystko. Ale ja, Bóg mi świadkiem, nie wiedziałem i sądziłem, że dam panu dobrą radę. Nie miej pan o to do mnie urazy, panie Broussel.

— Przeciwnie, mój chłopcze, przeciwnie. Twoja gorliwość podoba mi się. Nanette, niech no się pani rozejrzy za morelami, które przysłała nam wczoraj z Noisy księżna de Longueville. I proszę dać z pół tuzina waszemu synowi oraz przylepkę świeżego chleba.

— Dziękuję panu, panie Broussel — odparł Friquet. — Dziękuję, w samej rzeczy bardzo lubię morele.

Broussel udał się teraz do żony i poprosił o śniadanie. Zegar wskazywał dziewiątą i pół. Radca podszedł do okna. Ulica była zupełnie opustoszała, tylko z dala dawał się słyszeć jakby szum przybierającego morza, bezmierny łoskot ludowych fal rosnących wokół Panny Marii.

Hałas ten wzmógł się w dwójnasób, kiedy nadciągnął d'Artagnan z kompanią muszkietarów i jął ustawiać się u bram Panny Marii, aby wziąć udział w nabożeństwie. Poradził Portosowi, by skorzystał z okazji i zobaczył uroczystość. Portos więc w paradnym stroju, na swym najpiękniejszym koniu grał rolę muszkietera honorowego, jak niegdyś często d'Artagnan. Sierżant kompanii, stary żołnierz z wojen hiszpańskich, poznał Portosa, swego dawnego towarzysza, i wkrótce opowiedział wszystkim podkomendnym o wielkich czynach tego olbrzyma, chluby starych muszkietarów de Treville'a. Portos został nie tylko dobrze przyjęty w kompanii, ale w dodatku spoglądano nań z podziwem.

O dziesiątej działo z Luwru obwieściło wyjazd króla. Ruch podobny do ruchu drzew, którym burza gnie i miesza wierzchołki, przebiegł po ciżbie, aż zafalowała ona z nieruchomymi muszkietami gwardzistów. Wreszcie pojawił się

król z królową w karecie całej złoconej. Dziesięć innych jechało za nimi z damami, dostojnikami domu królewskiego i całym dworem.

— Niech żyje król! — krzyczano ze wszystkich stron.

Młody król wetknąwszy dostojnie głowę w drzwiczki zrobił dość wdzięczną minkę, a nawet skłonił się lekko, co wzmogło w dwójnasób krzyki pospólstwa.

Orszak posuwał się powoli i zużył prawie pół godziny na przebycie przestrzeni dzielącej Luwr od placu Panny Marii. Dotarłszy tam, wpłynął powoli pod olbrzymie sklepienie mrocznej katedry i nabożeństwo się rozpoczęło.

W momencie gdy dwór zajmował miejsca, z rzędu dworskich pojazdów ruszyła powoli karoça z herbami de Comminges, by zatrzymać się aż na krańcu całkiem pustej ulicy Saint-Christophe. Kiedy się tam znalazła, czterech gwardzistów i chorąży, którzy ją eskortowali, weszli do środka ciężkiej maszyny i opuścili zasłony. Następnie przez przemyślnie urządzone otwory chorąży ją obserwowali całą ulicę Cocatrix, jakby oczekując czyjś przybycia.

Wszyscy byli tak zajęci uroczystością, że ani karoça, ani ostrożności, jakie zachowywali znajdujący się w jej wnętrzu, nie zostały zauważone. Friquet, którego zawsze czujne oko mogło ich jedynie zauważyć, poszedł rozkoszować się morelami na belkowaniu jednego z domów dziedzica Panny Marii. Oglądał stąd króla, królową, Mazariniego i słuchał mszy, jakby sam do niej służył.

Pod koniec świętej ofiary królowa widząc, że Comminges stoi koło niej oczekując potwierdzenia wydanego mu już przed opuszczeniem Luwru rozkazu, rzekła półgłosem:

— Niech pan idzie i niech Bóg pana wspiera.

Comminges oddalił się natychmiast, opuścił kościół i wszedł w ulicę Saint-Christophe.

Friquet, który dostrzegł tego pięknego oficera idącego w towarzystwie dwóch gwardzistów, wynalazł sobie nową zabawę i poszedł za nim, i to tym chętniej, że uroczystość była na ukończeniu i król wsiadł do karety.

Zaledwie chorąży zoczył Commingesa na końcu ulicy Cocatrix, rzucił jedno słowo woźnicy, a ten natychmiast uruchomił swą machineę i podjechał nią pod bramę Broussela.

Comminges zastukał do bramy w chwili, kiedy powóz się przy niej zatrzymał.

Friquet czyhał tuż za Commingesem na otwarcie bramy.

— Co tu robisz, urwisie? — zapytał Comminges.

— Czekam, bo chcę wejść do pana Broussela, panie oficerze — odparł Friquet tym przymilnym tonem, jakim stosownie do okoliczności umie posługiwać się chłopiec paryski.

— Więc mieszka on tutaj? — zapytał Comminges.

— Tak, panie.

— A na którym piętrze?

— W całym domu — odparł Friquet. — To jego dom.

— Ale gdzie przebywa zazwyczaj?

— Kiedy pracuje, to na drugim piętrze, na posiłki zaś schodzi na pierwsze.

W tej chwili powinien jeść obiad, bo już południe.

— Dobrze — rzekł Comminges.

W tym momencie otworzono bramę. Oficer zapytał lokaja i dowiedział się, że pan Broussel jest w domu i rzeczywiście je obiad. Comminges wszedł za lokajem, a Friquet za Commingesem.

Broussel siedział z rodziną za stołem, mając naprzeciwko żonę, po obu bokach córki, a na końcu stołu Louvieres'a swego syna, którego już widzieliśmy, jak pojawił się podczas wypadku radcy; zresztą z wypadku tego radca wykurował się całkowicie. Teraz, wróciwszy do zupełnego zdrowia, pocziwiec smakował piękne owoce, przysłane mu przez księżną de Longueville.

Comminges, który chwycił lokaja za ramię, w momencie gdy ten chciał otworzyć drzwi, aby go zaanonsować, pchnął je sam i znalazł się przed tym rodzinnym obrazkiem.

Zoczywszy oficera Broussel poczuł się trochę nieswojo, ale widząc, że ów grzecznie się uklonił, podniósł się i odpowiedział również uklonem.

Mimo jednak tych wzajemnych uprzejmości na twarzach kobiet odmalował się niepokój. Louvieres zbladł i niecierpliwie oczekiwał, co też oficer powie.

— Panie — odezwał się Comminges — przyniosłem rozkaz króla.

— Doskonale. Słucham pana — odparł Broussel. — Cóż to za rozkaz? I wyciągnął rękę.

— Mam polecenie ująć pana — odrzekł Comminges ciągle tym samym tonem, z tą samą uprzejmością. — Jeśli pan zechce mi zaufać, oszczędzi pan sobie trudu czytania tego długiego listu i uda się ze mną.

Gdyby piorun uderzył w sam środek tych poczciwych ludzi, tak spokojnie razem siedzących, nie sprawiłby straszliwszego wrażenia. Broussel, cały drżący, cofnął się. W owej epoce zostać uwięzionym z powodu niełaski króla było rzeczą okropną. Louvieres poruszył się, aby skoczyć do szpady, która leżała na krześle w rogu sali. Ale jedno spojrzenie poczciwca Broussela, który w tym wszystkim nie tracił głowy, powstrzymało ów rozpaczliwy odruch. Pani Broussel oddzielona od małżonka całą szerokością stołu, zalewała się łzami, obie córki trzymały ojca w objęciach.

— Idziemy, panie — odezwał się Comminges — śpieszmy się, trzeba być posłusznym królowi.

— Ależ, panie — odrzekł Broussel — jestem słabego zdrowia i w tym stanie nie mogę się udać do więzienia. Proszę o zwłokę.

— To niemożliwe — odparł Comminges — rozkaz jest wyraźny i musi być wykonany natychmiast.

— Niemożliwe! — rzekł Louvieres. — Weź sobie pod uwagę, że pogrążasz nas w rozpacz.

— Niemożliwe! — rozległ się jakiś jazgotliwy głos w głębi pokoju. Comminges odwrócił się i ujrzał panią Nanette z miotłą w ręku i oczami miotającymi błyskawice gniewu.

— Droga Nanette, uspokój się — rzekł Broussel. — Proszę cię.

— Ja mam być spokojna, kiedy aresztują mego pana, podpórę, wyzwoliciela i ojca biednego ludu. Ach tak! Jeszcze mnie poznać... Proszę się stąd zabierać — zwróciła się do Commingesa.

Comminges uśmiechnął się.

— No, panie — rzekł zwracając się do Broussela — nakaz tej kobiecie milczenie i proszę za mną.

— Mnie kazać milczeć, mnie! — odrzekła Nanette. — Ach, tak! Trzeba by na to kogo innego niż ty, mój wymuskany ptaszku królewski. Ja ci pokażę.

I pani Nanette rzuciła się do okna, otworzyła je, po czym głosem tak przenikliwym, że można go było posłyszeć aż na dziedzińcu Panny Marii, zakrzyknęła:

— Na pomoc! Aresztują mego pana! Aresztują radcę Broussela! Na pomoc!

— Panie — rzekł Comminges — proszę się zdeklarować natychmiast: czy pan posłuchasz rozkazu, czy też zamysłasz bunt przeciw królowi!

— Ależ posłucham, posłuchani, panie! — zawołał Broussel, próbując się uwolnić od uścisków obu córek i powstrzymać spojrzeniem syna, ciągle gotowego mu się wymknąć.

— W takim razie — rzekł Comminges — nakażcie milczeć tej starej.

— Co, starej?! — krzyknęła Nanette.

I chwyciwszy za kratę okna zaczęła co tchu wrzeszczeć:

— Na pomoc! Na pomoc panu Broussel, aresztują go, bo bronił ludu, na pomoc!

Comminges chwycił służącą wpół i chciał ją oderwać od okna, ale w tej chwili inny głos, wychodzący jakby z antresoli, zawył falsetem:

— Mordują! Pali się! Trzymaj zbója! Mordują pana Broussel! Zarzynają pana Broussela!

Był to głos Friqueta. Nanette, czując wsparcie, podjęła swoje ze zdwojoną

siłą.

W oknach pojawiły się już głowy ciekawych. Zwabieni z krańca ulicy ludzie nadbiegali pojedynczo, grupami, potem całym tłumem. Słysząc było okrzyki, widać było karoce, ale nikt nic nie rozumiał. Friquet skoczył z antresoli na dach pojazdu.

— Chcą aresztować pana Broussela! — wołał. — W karecie są gwardziści, a oficer tam na górze!

Tłum jął wymyślać i zbliżył się do koni. Dwaj gwardziści, którzy zostali w wąskim przejściu, wbiegli po schodach na pomoc panu Commingesowi; ci zaś z karocy otworzyli drzwiczki i skrzyżowali piki.

— Widzicie ich — krzyczał Friquet. — Widzicie ich? Oto oni.

Woźnica się odwrócił i smagnął Friqueta batem, aż chłopiec zawył z bólu.

— Ach, ty diabelski furmanie! — wrzasnął Friquet. — I ty mieszasz się do tego? Poczekaj!

I wskoczył z powrotem na antresolę, skąd obrzucał woźnicę wszystkim, co tylko miał pod ręką.

Pomimo groźnej postawy gwardzistów, a być może nawet wskutek niej, tłum jął złorzeczyć i podchodzić do koni. Gwardziści silnymi ciosami pik odpędzili najbardziej niesfornych.

Jednakże tumult ciągle rósł; ulica nie mogła już pomieścić gapiów, którzy napływali ze wszystkich stron. Napór ich zacieśniał przestrzeń, jaka zachowała się jeszcze między ludźmi a karoce dzięki groźnym pikom gwardzistów.

Żołnierze, spychani niby przez żywy mur, byli o krok od zmiżdżenia o piasty kół i pudło karocy. Dwadzieścia razy powtórzony okrzyk chorążego: “W imię króla” na nic się nie zdał wobec tego strasznego zbiegowiska i zdawał się niecić jeszcze większe rozdrażnienie, gdy wtem na zawołanie “W imię króla” nadjechał jakiś jeździec i widząc tak sponiewierane mundury, rzucił się w środek bójki ze szpadą w ręce, niosąc niespodziewaną pomoc gwardzistom.

Kawaler ów był młodzieńcem liczącym zaledwie piętnaście, szesnaście lat;

z gniewu twarz mu pobladła. Zeskoczył na ziemię, jak reszta gwardzistów oparł się plecami o dyszel karocy, zasłonił się koniem, dobył z olster pistolety, zatknął je za pas i jął robić szpadą jak człowiek, dla którego jest to zwykła rzecz.

Przez dziesięć minut młodzieniec ów sam jeden opierał się naporowi całego tłumu.

Wreszcie ujrzano Commingesa, jak pchał przed sobą Broussela.

— Połamać karete! — wrzeszczał lud.

— Na pomoc! — krzyczała stara kobieta.

— Mordują! — krzyczał Friquet, dalej zrzucając na gwardzistów grad wszelkiego rodzaju przedmiotów, jakie tylko wpadały mu w rękę.

— W imię króla! — wołał Comminges.

— Pierwszy, który podejdzie, zginie! — krzyczał Raul, który znalazłszy się w opresji, dźgnął ostrzem szpady jakiegoś olbrzyma szykującego się do zmiżdżenia młodzieńca. Dźgnięty poczuwszy, że jest ranny, odskoczył z wyciem.

W samej rzeczy był to Raul powracający właśnie z Blois po pięciu dniach nieobecności, w myśl obietnicy danej hrabiemu de La Fere. Chciał rzucić okiem na uroczystość, skierował się więc ulicami prowadzącymi krótszą drogą do Panny Marii. Dotarłszy w pobliże ulicy Cocatrix, został porwany falą ludu, a na hasło: “W imię króla” przypomniał sobie słowa Atosa: “Służ królowi”. Pobiegł więc walczyć za króla, którego gwardzistów maltretowano.

Comminges wrzucił, jeśli można tak powiedzieć, Broussela do karocy i wskoczył za nim. W tejże chwili rozległ się strzał z rusznicy, kula przeszła z góry w dół przez kapelusz Commingesa i strzaskała ramię gwardziście. Comminges podniósł głowę i poprzez dym ujrzał groźne oblicze Louvieres'a, który pojawił się w oknie drugiego piętra.

— Ach, to pan — rzekł Comminges — jeszcze pan usłyszysz o mnie.

— Pan również — odparł Louvieres — i zobaczymy, kto z nas będzie mówił głośniej.



Friquet i Nanette wyli bez przerwy; krzyki, huk strzałów, zapach prochu, zawsze tak odurzający, wywierały swój efekt.

— Śmierć oficerowi! Zabić go! — wył tłum.

Powstał wielki rumor.

— Jeszcze krok — krzyknął Comminges podnosząc zasłony, ażeby lepiej było widać wnętrze karocy, i przykładając szpadę do piersi Broussela — jeszcze krok, a zabiję więźnia. Mam rozkaz przyprowadzić go martwym lub żywym, więc przyprowadzę go martwym i koniec.

Rozległ się straszliwy krzyk; żona i córki Broussela błagalnie wyciągały do ludu ramiona.

Lud zrozumiał, że ten oficer, tak blady, a jednocześnie tak zdecydowany, uczyni to, co zapowiedział; grożono więc dalej, ale odstąpiono.

Comminges kazał rannemu gwardziście wejść ze sobą do karocy, innym zaś zamknąć drzwi.

— Pędź do pałacu — rzucił woźnicy, który bardziej przypominał martwego aniżeli żywego.

Woźnica zaciął batem konie i w tłumie natychmiast rozwarła się szeroka droga. Jednak po dotarciu do nadbrzeża trzeba było się zatrzymać. Karoca wywróciła się, tłum porwał, zdusił, zgniótł konie.

Raul pieszo, ponieważ nie miał czasu z powrotem dosiąść wierzchowca, wyczerpany płazowaniem szpadą, podobnie jak gwardziści zmęczeni byli płazowaniem brzeszczotami, jął zadawać pchnięcia. Ale chwycenie się tego straszego i ostatecznego środka tylko rozjątrzyło pospólstwo. Od czasu do czasu wśród tłumu można było dostrzec błysk lufy muszkietu lub brzeszczotu rapiera. Rozległo się parę strzałów, oddanych niewątpliwie w powietrze, których odgłos bynajmniej nie trwożył serc. Z okien w dalszym ciągu pociski leciały jak grad. Słychać było głosy, jakie słyszy się jedynie w czasie rozruchów. Widać było twarze, jakie widzi się jedynie w krwawe dni. Okrzyki: “Śmierć! Śmierć gwardzistom! Oficera do Sekwany!” górowały nad całym olbrzymim tumultem.

Raul ze starmoszonym kapeluszem, skrwawioną twarzą, czuł, że zaczynają go opuszczać nie tylko siły, ale i świadomość. Oczy pławiły się w czerwonym oparze, poprzez ten opar widział, jak wyciąga się po niego sto groźnych ramion, gotowych schwytać go, gdy tylko padnie. Comminges, w przewróconej karocy, wrywał sobie włosy z wściekłości. Gwardziści nie mogli nikomu śpieszyć z pomocą, każdy bowiem zajęty był własną obroną. Było już po wszystkim: karoca, konie, gwardziści, trabanci, być może i sam więzień, wszystko miało pójść wniwecz, kiedy nagle rozległ się znany dobrze Raulowi głos i szeroka szpada błysnęła w powietrzu. W tejże chwili tłum rozstał się, przesyty na wskroś, osłupiały, zmiążdżony. Jakiś oficer muszkietarów, płazując, tnąc w prawo i w lewo, biegł w stronę Raula i chwycił go w ramiona, kiedy ten miał już upaść.

— Święty Boże! — krzyknął oficer — zamordowali cię? Jeśli tak, biada im!

I obrócił się, tak mocarny, gniewny i groźny, że najbardziej zaciekli rebelianci runęli jedni na drugich rzucając się do ucieczki, przy czym kilku stoczyło się aż do Sekwany.

— Pan d'Artagnan — szepnął Raul.

— Tak, na Boga! We własnej osobie i jak się zdaje, na twoje szczęście, mój młody przyjacielu. Hej tam, do mnie! — krzyknął prostując się w strzemionach i wznosząc szpadę; głosem i ruchem przyzywał muszkietarów, którzy nie byli w stanie nadążyć za nim, tak szybko jechał. — No dalej, wymieść to wszystko! Do muszkietów! Za broń! Gotuj broń! Cel! Na te rozkazy góry ludowe jęły zapadać się tak gwałtownie, że d'Artagnan nie mógł powstrzymać wybuchu homeryckiego śmiechu.

— Dzięki, d'Artagnanie — rzekł Comminges ukazując się do połowy z drzwiczek wywróconej karety. — Dzięki, mój młody szlachcicu! Pańskie nazwisko, żebym je mógł podać królowej?

Raul już szykował się do odpowiedzi, kiedy d'Artagnan nachylił się do

jego ucha i rzekł:

— Milcz i pozwól mnie odpowiedzieć.

Po czym, zwracając się do Commingesa, dodał:

— Nie trać pan czasu, Comminges, jeśli możesz, wychodź z karety i każ podjeżdżać następnej.

— Ale jakiej?

— Dalibóg, pierwszej, jaka będzie przejeżdżać przez Pont-Neuf. Mam nadzieję, że jadący w niej będą aż nazbyt szczęśliwi użyczając swej karety w służbę króla.

— Nie wiadomo — odparł Comminges.

— Idź pan, za pięć minut całe to tałałajstwo powróci ze szpadami i muszkietami. Zabiją pana, a więźnia oswobodzą. Idź pan. O, patrz, właśnie jedzie tam jakaś kareta.

Po czym, nachylając się ponownie nad Raulem, szepnął:

— Przede wszystkim nie wymieniaj swego nazwiska. Młodzieniec popatrzył nań zdumiony.

— Doskonale, już biegnę — rzekł Comminges — a jeśli powrócą, otwierajcie ogień.

— Ależ nie, ależ nie — odpowiedział d'Artagnan — przeciwnie, niech się nikt nie rusza; za jeden strzał w tej chwili jutro zapłacono by zbyt drogo.

Comminges zabrał swych czterech gwardzistów, tyluż muszkieterów i pobiegł do karety. Kazał wysiąść znajdującym się w niej ludziom i przyprowadził ich do obalonego pojazdu.

Ale kiedy trzeba było przeprowadzić Broussela z pogruchotanego powozu do innego, lud, ujrawszy człowieka, którego nazywał swoim wybawcą, zawył w sposób zgoła nieprawdopodobny i runął znów w stronę karocy.

— W drogę! — rzucił d'Artagnan. — Dziesięciu muszkieterów pojedzie z panem, ja pozostanę z dwudziestoma, aby tłum utrzymać w szachu. Jazda, ani chwili do stracenia! Dziesięciu ludzi do pana de Comminges!

Dziesięciu ludzi opuściło oddział, otoczyło nową karete i odjechało galopem.

Z chwilą odjazdu karety krzyki wzmogły się w dwójnasób; ponad dziesięć tysięcy ludzi cisnęło się na nadbrzeżu, przepelniało Pont-Neuf i przyległe ulice.

Huknęło kilka strzałów. Jeden z muszkietierów został raniony.

— Naprzód! — krzyknął d'Artagnan doprowadzony do ostateczności i zagryzł wąsa.

Wraz ze swymi dwudziestoma ludźmi jał szarżować na cały ten tłum, który rozproszył się w przerażeniu. Na miejscu pozostał jedynie jakiś człowiek z rusznicą w ręku.

— Ach, to ty — rzekł ów człowiek — to ty chciałeś go już raz zamordować! Czekaj!

I pochylił rusznicę w stronę najeżdżającego pełnym galopem d'Artagnana.

D'Artagnan pochylił się na szyję swego wierzchowca, młodzieniec strzelił — kula ścięła pióro u kapelusza.

Rozpędzony koń potracił i odrzucił na mur nierozważnego, który sam jeden chciał powstrzymać burzę.

D'Artagnan osadził konia w miejscu i kiedy jego muszkietierowie szarżowali dalej, zamierzył się szpadą na obalonego.

— Ach, panie! — zakrzyknął Raul, który rozpoznał młodzieńca, gdyż widział go przy ulicy Cocatrix — niech pan go oszczędzi, to syn aresztowanego.

D'Artagnan zatrzymał ramię wzniesione do ciosu.

— Więc pan jesteś jego synem — odezwał się — to zupełnie inna sprawa.

— Poddaję się — rzekł Louvieres, wyciągając do oficera wystrzeloną rusznicę.

— Ależ nie, nie poddawaj się, do kata! Przeciwnie, zmykaj, i to szybko. Jak cię schwyca, zostaniesz powieszony.

Młodzieniec nie dał sobie tego powtarzać dwa razy, przemknął pod szyją

konia i zniknął za rogiem ulicy Guenegaud.

— Dalibóg — zwrócił się d'Artagnan do Raula — w samą porę zatrzymałeś mi rękę. Byłby to już trup, a dalibóg, gdybym się dowiedział, kim był, nie mógłbym odżalować, że go zabił.

— Ach, panie — odpowiedział Raul — pozwolisz pan, że zanim podziękuję za tego biednego chłopca, złożę dzięki za siebie. I ja też miałem zginać, kiedyś waszmość nadjechał.

— Czekaj, czekaj, młodzieńcze, i nie męcz się mówieniem.

Po czym, wyciągnąwszy z olster flaszę hiszpańskiego wina, rzekł:

— Pociągnij z niej ze dwa łyki. Raul wypił i chciał znowu dziękować.

— Drogi — odparł d'Artagnan — pomówimy o tym później.

Po czym widząc, że muszkietierowie wymietli nadbrzeże od Pont-Neuf aż do bulwaru Saint-Michel i już powracali<sup>^</sup> podniósł szpadę, aby zdwoili kroku.

Muskietierowie podjechali kłusa. W tymże czasie z drugiej strony nadbrzeża nadciągnęło dziesięciu ludzi eskorty, jaką przydzielił d'Artagnan Commingesowi.

— Hej! — zawołał d'Artagnan zwracając się do nich — zaszło coś nowego?

— Ech, panie poruczniku — odparł wachmistrz — karetą jeszcze raz poszła w kawałki, to prawdziwe przekleństwo!

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— Niezdary, kiedy się wybiera karetę, winna być solidna. Karetą na areszt dla jednego Broussela winna udźwignąć dziesięć tysięcy ludzi.

— Co pan porucznik rozkaże?

— Bierz oddział i prowadź do kwater.

— A pan porucznik zabierze się sam?

— No pewnie. Sądziś, że potrzebuję eskorty?

— Jednak...

— Maszerować!

Muszkietierowie odjechali, d'Artagnan pozostał sam z Raulem.

— Boli teraz? — zapytał go.

— Tak, panie, głowa ciąży i płonie.

— Cóż tam z tą głową? — zatroskał się i zdjął młodzieńcowi kapelusz. —

Ach, rana.

— Tak, zdaje mi się, że dostałem w głowę doniczką od kwiatów.

— Kanalia! — rzucił d'Artagnan. — Ale widzę, masz ostrogi, byłeś konno?

— Tak, lecz zsiadłem z konia, żeby osłaniać pana de Comminges, i konia mi zabrano. O, patrzaj pan, oto on.

Istotnie, w tejże samej chwili koń Raula z Friquetem na siodle przejeżdżał mimo w galopie. Chłopiec powiewał czterokolorową czapką i wołał:

— Broussel! Broussel!

— Hej, stój, hultaju jeden! — zakrzyknął d'Artagnan. — Dawaj tu tego konia!

Friquet słyszał dobrze, lecz udawał, że nic nie słyszy, i próbował jechać dalej.

D'Artagnan przez moment miał chęć gonić za mości Friquetem, ale nie chciał Raula pozostawić samego. Zadowolił się więc wydobyciem pistoletu z olster i odciągnięciem kurka.

Friquet miał bystre oko i dobre ucho, zauważył ruch d'Artagnana, posłyszał szcęk kurka. Zatrzymał konia w miejscu.

— Ach, to pan, panie oficerze! — krzyknął podjeżdżając. — Po prawdzie jestem bardzo rad, że waszmość pana spotykam.

D'Artagnan spojrział na Friqueta uważnie i rozpoznał w nim małego chłopca z ulicy Calandre.

— To ty, hultaju — rzekł — chodź no tutaj.

— To ja, mości oficerze — odparł Friquet swym przymilnym tonem.

— Zmieniłeś więc zajęcie? Nie jesteś już ministrantem? Nie pracujesz w

tawernie? Kradniesz teraz konie?

— Ależ, mości oficerze, jak można tak mówić! — wykrzyknął Friquet. — Szukałem szlachcica, do którego należy ten koń, pięknego kawalera, walecznego jak sam Cezar... — Udał, że dopiero teraz dostrzegł Raula. — Chyba się nie mylę — ciągnął — że to on. Panie, nie zapomnicie chyba o chłopcu?

Raul sięgnął do kieszeni.

— Co zamyślasz? — zapytał d'Artagnan;

— Dać temu dzielnemu chłopcu dziesięć liwrów — odparł Raul, dobywając pistola z kieszeni.

— Dziesięć kopniaków w zadek — odparł d'Artagnan. — Zmykaj, łotrze jeden i pamiętaj, że znam twój adres.

Friquet, który nie spodziewał się wyjść z tej opresji tak tanim kosztem, dał jednego susa z nadbrzeża w ulicę Dauphine i zniknął. Raul dosiadł swego konia i obaj stępa ruszyli w stronę ulicy Tiquetonne; d'Artagnan bowiem opiekował się młodzieńcem jak własnym synem.

Przez całą drogę dawały się słyszeć głucho pomruki i dalekie groźby. Ale na widok oficera o tak marsowej postawie, na widok tej potężnej szpady zwisającej za rękojeść na pendencie usuwano się wszędzie z drogi i nie podjęto żadnej poważnej próby przeciwko obu jeźdźcom.

Tak więc dotarli bez wypadku do zajazdu "Pod Kózką".

Piękna Magdalena. oznajmiła d'Artagnanowi, że Wiórek powrócił i przyprowadził Muszkietę, który bohatercko zniósł wyjęcie kuli i czuje się w miarę dobrze.

D'Artagnan kazał więc przywołać Wiórka. Lecz mimo nawoływań Wiórek nie odpowiadał; zniknął.

— No, to podać wina! — rzucił d'Artagnan.

A kiedy przyniesiono wina i d'Artagnan został sam z Raulem, rzekł patrząc mu w oczy:

— Jesteś z siebie bardzo zadowolony, nieprawdaż?

— Ależ tak — odparł Raul. — Zdaje się, że spełniłem swój obowiązek.

Czyż nie stawałem w obronie króla?

— A któż ci powiadał, że trzeba bronić króla?

— Sam pan hrabia de La Fere.

— Tak, króla... Ale dziś nie broniłeś króla, lecz Mazariniego, a to nie to samo.

— Lecz panie...

— Popełniłeś rzecz potworną, młodzieńcze, zamieszales się w sprawy, które nie należą do ciebie.

— Jednak pan sam...

— Och, ja to zupełnie co innego. Ja muszę słuchać swego dowódcy. A twoim dowódcą jest jego książęca wysokość. Zrozum to dobrze, nie masz innego. Widział kto — ciągnął d'Artagnan — taką kiepską głowę, co zamierza przystać do Mazariniego i pomaga w aresztowaniu Broussela. Przynajmniej nie piśnij o tym ani słówka, gdyż pan hrabia de La Fere się wścieknie.

— Przypuszczasz pan, że hrabia de La Fere będzie się na mnie gniewał?

— Czy przypuszczam? Jestem tego pewien. Żeby nie to, dziękowałbym ci, gdyż ostatecznie pracowałeś dla nas. Toteż łaję cię w jego imieniu i w jego zastępstwie. Burza będzie więc łagodniejsza, wierz mi. Poza tym — dodał d'Artagnan — korzystam, moje drogie dziecko, z przywileju, jakiego udzielił mi twój opiekun.

— Nie rozumiem, panie — rzekł Raul.

D'Artagnan powstał, podszedł do sekretery, wyjął list i podał Raulowi.

Kiedy Raul przebiegł oczami papier, spojrzenie jego zmąciło się.

— Ach, mój Boże — rzekł podnosząc swe piękne, wilgotne od łez oczy na d'Artagnana — więc pan hrabia opuścił Paryż nie zobaczywszy się ze mną?

— Wyjechał cztery dni temu — odparł d'Artagnan.

— Ależ jego pismo zdaje się wskazywać, że znajduje się w śmiertelnym



niebezpieczeństwie.

— Och, on i śmiertelne niebezpieczeństwo! Bądź spokojny! Po prostu pojechał załatwić sprawy i wkrótce powróci. Mam nadzieję, nie mierzi cię przyjąć mnie tymczasem za swego opiekuna.

— Ależ nie, panie d'Artagnan — rzekł Raul — wszak jesteś pan tak dzielny szlachcicem i pan hrabia de La Fere tak bardzo pana kocha.

— Och, mój Boże, więc kochaj mnie i ty. Nie będę cię wcale dręczył, pod warunkiem wszakże, że będziesz frondystą, i to zaciekłym frondystą.

— Ale księżnę de Chevreuse będę mógł dalej widywać?

— Oczywiście! Tam do kata, myślę, że zawsze, a również i koadiutora, i księżnę de Longueville. A gdyby znalazł się tam poczciwiec Broussel, do aresztowania którego tak nierozważnie się przyczyniłeś, radziłbym ci prosić go szybko o przebaczenie i ucałować w oba policzki.

— Więc będę, panie, posłuszny, chociaż nie rozumiem.

— To zbędne, byś rozumiał. Spójrz — ciągnął d'Artagnan obracając się w stronę drzwi, które właśnie otwarto — oto i pan du Vallon, przybywający do nas w całkowicie potarganym odzieniu.

— Tak, ale za to — odparł ociekający potem i cały okryty kurzem Portos — ale za to natargałem niemało skór. Czyż nie chciały mi te hołysze wydrzeć szpady! Do kroćset! Co za poruszenie wśród ludu! — ciągnął olbrzym z całym spokojem. — Natłukłem gałką swej Balizardy chyba więcej niż dwudziestu. Daj no łyk wina, d'Artagnan.

— Och, powołam się tu na ciebie — rzekł Gaskończyk napełniając po brzegi szklanice Portosa. — Jak wypijesz, powiesz mi swoje zdanie.

Portos wychylił szklanice jednym haustem, postawił ją na stole, otarł wąsy i rzekł:

— O czym?

— Słuchaj — podjął d'Artagnan — oto pan de Bragelonne, który ze wszystkich sił pragnął dopomóc w aresztowaniu Broussela, i miałem wiele

trudności, by mu przeszkodzić w obronie pana de Comminges.

— Tam do kata! — zaklął Portos — a co powie opiekun, jak się o tym dowie?

— Widzisz — przerwał d'Artagnan — fronduj, przyjacielu, fronduj i pamiętaj, że we wszystkim zastępuję pana hrabiego.

Jednocześnie zadzwonił sakiewką.

Po czym, zwróciwszy się do swego towarzysza, zagadnął:

— Idziesz, Portos?

— Dokąd? — zapytał Portos nalewając sobie drugą szklanicę wina.

— Złożyć nasze uszanowanie kardynałowi.

Portos wychylił tę drugą z takim samym spokojem jak pierwszą, wziął kapelusz, który był złożył na krześle, i udał się za d'Artagnanem.

Jeśli chodzi o Raula, to pozostał całkowicie oszołomiony tym, co widział. D'Artagnan zabronił mu opuszczać izbę, dopóki nie uspokoi się to całe wrzenie.

Koniec części pierwszej

## SPIS ROZDZIAŁÓW

1. Widmo kardynała de Richelieu
2. Nocny ront
3. Dwaj dawni wrogowie
4. Anna Austriaczka w wieku czterdziestu sześciu lat
5. Gaskończyk i Włoch
6. D'Artagnan w wieku lat czterdziestu
7. D'Artagnan popada w tarapaty, lecz jeden z naszych starych znajomych przychodzi mu z pomocą
8. O różnicy wpływu, jaki może wyrzucić pół pistola na kościelnego i na ministranta
9. W którym d'Artagnan, szukając Aramis'a bardzo daleko, ujrzał go siedzącego na koniu z tyłu za Wiórkiem
10. Ksiądz d'Herblay
11. Dwaj cwaniacy
12. Portos du Vallon de Bracieux de Pierrefonds
13. W którym d'Artagnan odnalazłszy Portosa zmiarkował, że fortuna nie czyni człowieka szczęśliwym
14. Z którego wynika, że o ile Portos był niezadowolony ze swego losu, o tyle Muszkiet był bardzo rad ze swojego
15. Dwie anielskie głowy
16. Zamek Bragelonne
17. Dyplomacja Atosa
18. Książę de Beaufort
19. Który opowiada, czym zabawiał się książę de Beaufort w wieżycy zamku Vincennes
20. W którym Milczek obejmuje urządowanie
21. Z którego dowiadujemy się, co zawierały pasztety następcy ojca Marteau
22. Przygoda Marii Michon
23. Ksiądz Scarron
24. Saint-Denis
25. Gdzie mowa o jednym z czterdziestu sposobów ucieczki księcia de Beaufort
26. D'Artagnan zjawia się w samą porę
27. Na gościńcu
28. Spotkanie
29. Poczciwiec Broussel
30. Czterej starzy przyjaciele przygotowują się do ponownego spotkania
31. Plac Królewski
32. Prom na rzece Oise
33. Utarczka
34. Mnich

35. Rozgrzeszenie
36. Milczek mówi
37. W przeddzień bitwy
38. Obiad jak za dawnych czasów
39. List Karola I
40. List Cromwella
41. Mazarini i królowa Henrieta
42. Jak ludzie dotknięci nieszczęściem biorą nieraz przypadek za opatrzność
43. Stryj i bratanek
44. Ojcostwo
45. Jeszcze jedna królowa prosi o pomoc
46. W którym wykazano, że pierwszy odruch jest zawsze dobry
47. Te Deum z powodu zwycięstwa pod Lens